

JAMES S. A. CORREY



2

EXPANSE

PHOBOS

W O J N A
K A L I B A N A

2

EXPANSE

JAMES S. A. COREY

WOJNA
KALIBANA

PRZEŁOŻYŁ MAREK PAWELEC

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2018

Tytuł oryginału:
Caliban's War: Book 2 of the Expanse

Copyright © 2012 by James S. A. Corey
Copyright for the Polish translation © 2018 by
Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Iwona Sośnicka

Korekta:
Elwira Wyszynska

Ilustracja na okładce:
Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki:
Piotr Cieśliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

Wydanie II
ISBN 978-83-66065-79-6

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743

Skan i opracowanie wersji elektronicznej:
lesiojot

*Dla Bestera i Clarke'a –
to oni nas tu doprowadzili*

PROLOG

Mei

– Mei! – zawołała pani Carrie. – Zostaw malowanie. Przyszła twoja mama.

Minęło kilka sekund, zanim Mei zrozumiała słowa nauczycielki, i to nie dlatego, że nie znała słów – miała już cztery lata, nie była maluchem – po prostu nie pasowały do jej obrazu świata. Mama nie mogła po nią przyjść. Opuściła Ganimesesa i poleciała na stację Ceres, ponieważ, jak powiedział tatuś, mama potrzebowała trochę czasu dla siebie. *Wróciła*, pomyślała nagle Mei, czując szybsze bicie serca.

– Mamusia?

Z miejsca, gdzie Mei siedziała przy małych sztalugach, widok na drzwi szatni blokowało kolano pani Carrie. Dłonie Mei były lepkie od farb do malowania palcami, czerwone, niebieskie, i zielone plamy sięgały aż po nadgarstki. Przesunęła się do przodu i chwyciła nogę pani Carrie, po części, żeby ją przesunąć, po części, by pomóc sobie przy wstawaniu.

– Mei! – krzyknęła pani Carrie.

Dziewczynka popatrzyła na plamę z farby na spodniach pani Carrie i ledwie kontrolowany gniew na szerokiej, ciemnej twarzy.

– Przepraszam, pani Carrie.

– W porządku – odpowiedziała nauczycielka napiętym

głosem, świadczącym o tym, że wcale nie było w porządku, ale Mei nie zostanie ukarana. – Idź umyć ręce, a potem wróć posprzątać po swoim malowaniu. Zapakuję twój obrazek i będziesz mogła dać go mamie. To piesek?

– Kosmiczny potwór.

– Bardzo ładny potwór. A teraz, proszę, skarbie, idź umyć ręce.

Mei przytaknęła i pobiegła do łazienki z fartuszkiem powiewającym wokół niej jak szmata zaczepiona w przewodzie wentylacyjnym.

– I nie dotykaj ściany!

– Przepraszam, pani Carrie.

– Nic nie szkodzi. Po prostu wytrzyj to po umyciu rąk.

Odkręciła wodę na maksimum, splukując ze skóry kolorowe mazaje. Ręce suszyła, nie przejmując się, czy chłapie wodą na podłogę i ścianę. Miała wrażenie, jakby ciężenie zmieniło kierunek, ciągnąc ją w stronę drzwi i poczekalni, zamiast w dół, do ziemi. Inne dzieci przyglądały się podekscytowane – bo ona była podniecona – jak Mei z grubsza ściera ślady farby ze ściany i pośpiesznie chowa słoiczki z farbą z powrotem do pudełka i odstawia na półkę. Ściągnęła fartuch przez głowę, nie czekając na pomoc pani Carrie, i wcisnęła go do kosza.

W poczekalni zastała panią Carrie z dwójką innymi dorosłych, z których żadne nie było mamusią. Była tam nieznaną jej pani, która trzymała ostrożnie obrazek Mei z kosmicznym potworem, uśmiechając się uprzejmie. Drugim dorosłym był doktor Strickland.

– Nie, bardzo dobrze sobie radzi z samoobsługą

w ubikacji – mówiła pani Carrie. – Oczywiście, czasami zdarzają się wypadki.

– Oczywiście – zgodziła się kobieta.

– Mei! – powiedział doktor Strickland, schylając się tak, że zrobił się niewiele większy od niej. – Jak się ma moja ulubiona dziewczynka?

– Gdzie jest... – zaczęła, ale zanim zdążyła powiedzieć *mamusia*, doktor Strickland wziął ją w ramiona.

Był większy od tatusia i pachniał jak sól. Odchylił ją do tyłu i zaczął łaskotać boki, od czego roześmiała się tak bardzo, że nie mogła mówić.

– Bardzo dziękujemy – powiedziała kobieta.

– Miło było panią poznać – odpowiedziała pani Carrie, ściskając rękę nieznannej pani. – Naprawdę miło jest mieć Mei w grupie.

Doktor Strickland nie przestawał łaskotać Mei, aż zamknęły się za nimi drzwi do Montessori. Mei wreszcie złapała oddech.

– Gdzie jest *mamusia*?

– Czeka na nas – odpowiedział doktor Strickland. – Zabierzemy cię teraz do niej.

* * *

Nowsze korytarze Ganimedesa były szerokie i zielone, a wymienniki powietrza ledwie pracowały. Z dziesiątków rynienek hydroponicznych wyrastały wąskie jak noże liście areki. Po ścianach rozpełzały się żółto–zielone liście *epipremnum złocistego*, a pod nimi rozkładały się ciemnozielone, proste *sansewierie gwinejskie*. Pełnozakresowe diody świeciły na złotobiało. Tata mówił, że tak właśnie wygląda światło Słońca na Ziemi, a Mei

wyobrażała sobie planetę jako olbrzymią, skomplikowaną sieć roślin i korytarzy z rozciągniętym nad nimi w pasy Słońcem pośród błękitnego nieba-sufitu. Można było się tam wspiąć na ściany i trafić gdziekolwiek.

Mei oparła głowę na ramieniu doktora Stricklanda, wyglądając zza jego pleców i wymieniając nazwy wszystkich mijanych roślin. *Sansevieria trifasciata*. *Epipremnum aureum*. Poprawne nazywanie roślin zawsze wywoływało uśmiech na twarzy tatusia. Kiedy robiła to po cichu, jej ciało robiło się spokojniejsze.

– Więcej? – zapytała pani. Była ładna, ale Mei nie podobał się jej głos.

– Nie – odpowiedział doktor Strickland. – Mei jest ostatnia.

– *Chysalidocarpus lutescens* – powiedziała Mei na głos.

– Dobrze – powiedziała pani, a potem powtórzyła jeszcze raz, łagodniej: – Dobrze.

Im bliżej byli powierzchni, tym węższe robiły się korytarze. Starsze przejścia zawsze wydawały się brudniejsze, choć tak naprawdę nie było tam żadnego brudu. Po prostu były bardziej zużyte. Mieszkania i laboratoria blisko powierzchni były miejscem zamieszkania dziadków Mei, gdy przybyli na Ganimesesa. W tamtych czasach nie było niczego głębiej. Powietrze tak wysoko miało dziwny zapach, a wymienniki musiały cały czas pracować, szumiąc i dudniąc.

Dorośli nie rozmawiali ze sobą, ale doktor Strickland co jakiś czas przypominał sobie o Mei i zadawał jej pytania: którą kreskówkę w kanałach stacji lubi najbardziej? Kto jest jej najlepszą przyjaciółką w przedszkolu? Co jadła dzisiaj na obiad? Mei spodziewała się, że zacznie zadawać

inne pytania, te, które zadawał zawsze później, i zaczęła sobie przygotowywać odpowiedzi.

Czy drapie cię w gardle? Nie.

Czy budziłaś się spocona? Nie.

Czy w twojej kupce w tym tygodniu pojawiła się krew?
Nie.

Czy brałaś leki dwa razy każdego dnia? Tak.

Ale tym razem doktor Strickland nie zapytał o żadną z tych rzeczy. Korytarze, którymi szli, robiły się coraz starsze i węższe, aż pani musiała iść za nimi, żeby przepuścić ludzi idących z przeciwnej strony. Wciąż niosła w ręku obrazek Mei zwinięty w rulon, żeby nie pognieść papieru.

Doktor zatrzymał się przy nieoznaczonych drzwiach, przeniósł Mei na drugie biodro i wyciągnął ręczny terminal z kieszeni spodni. Wstukał coś w programie, którego dziewczynka jeszcze nigdy nie widziała, i drzwi otworzyły się z głośnym pyknięciem rozszczelniania, jak ze starego filmu. Korytarz po drugiej stronie był pełen śmieci i starych metalowych pudeł.

– To nie jest szpital – zauważyła Mei.

– To bardzo specjalny szpital – odpowiedział doktor Strickland. – Chyba jeszcze nigdy tu nie byłaś, prawda?

Według Mei to wcale nie wyglądało na szpital. Bardziej przypominało jeden z tych opuszczonych tuneli, o których czasem mówił tatuś, pozostałości z czasów, gdy dopiero budowano stację na Ganimesesie. Teraz używano ich już tylko na magazyny. Ale w tym na końcu znajdowała się śluza i kiedy przez nią przeszli, okolica zaczęła bardziej przypominać szpital. Przynajmniej zrobiło się czysto, a w powietrzu czuć było zapach ozonu, jak w komorach

do odkażania.

– Mei! Cześć, Mei!

To był jeden z dużych chłopców, Sandro. Miał już prawie pięć lat. Mei pomachała do niego, gdy doktor Strickland przechodził obok. Od razu zrobiło się jej lepiej, gdy zobaczyła, że są tu też starsi chłopcy. Skoro tu są, to pewnie wszystko jest w porządku, nawet jeśli pani idąca z doktorem Stricklandem nie była mamusią. Co jej przypomniało...

– Gdzie jest mamusia?

– Spotkamy się z nią za kilka minut – zapewnił doktor Strickland. – Musimy tylko najpierw zrobić kilka rzeczy.

– Nie – zaprotestowała Mei. – Nie chcę.

Doktor zaniósł ją do pokoju, który wyglądał trochę jak gabinet do badań, tylko że na ścianach nie było kreskówkowych lwów, a stoły nie wyglądały jak uśmiechnięte hipopotamy. Doktor Strickland posadził ją na stalowym stole i pogłaskał po głowie. Mei złożyła rączki na piersi i skrzywiła się.

– Chcę do mamusi – oświadczyła i sapnęła niecierpliwie, dokładnie tak, jak tatuś.

– No cóż, poczekaj tu chwilę, a ja zobaczę, co mogę zrobić w tej sprawie – odpowiedział z uśmiechem doktor Strickland. – Umea?

– Chyba jesteśmy gotowi. Sprawdź z operacyjnym, załaduj i wypuśćmy to.

– Pójdę im powiedzieć. Ty zostań tutaj.

Pani kiwnęła głową, a doktor Strickland wyszedł. Pani popatrzyła na nią bez śladu uśmiechu na ładnej twarzy. Mei jej nie lubiła.

– Chcę mój obrazek – oświadczyła. – On nie jest dla pani,

tylko dla mamusi.

Kobieta spojrzała na obrazek, jakby zapomniała, że go ma, a potem go rozwinęła.

– To kosmiczny potwór mamusi – wyjaśniła Mei. Tym razem kobieta się uśmiechnęła. Wyciągnęła obrazek, a Mei natychmiast go chwyciła. Zrobiła przy tym kilka zagnieć na papierze, ale się tym nie przejęła. Znowu złożyła rączki na piersi, skrzywiła się i sapnęła.

– Lubisz kosmiczne potwory, mała? – zapytała kobieta.

– Chcę do mamusi.

Pani podeszła bliżej. Pachniała jak sztuczne kwiaty i miała chude palce. Zdjęła Mei na podłogę.

– Chodź, mała – powiedziała. – Coś ci pokażę.

Pani zaczęła odchodzić i przez chwilę Mei się zawahała. Nie lubiła jej, ale jeszcze bardziej nie podobała jej się myśl, że mogłaby tu zostać sama. Poszła za nią. Pani przeszła krótkim korytarzem, wstukała kod na klawiaturze przy dużych metalowych drzwiach, które wyglądały jak wejście do starej służby, i przeszła przez nie, gdy się otworzyły. Mei weszła za nią. Pokój był zimny, nie podobało jej się tam. W środku nie było leżanki do badań, tylko duża szklana skrzynia wyglądająca jak akwarium na ryby, ale w środku nie było wody, a to, co tam siedziało, nie było rybą. Pani gestem wezwała Mei do podejścia bliżej, a gdy dziewczynka to zrobiła, pani ostro zastukała w szybę.

To coś w środku podniosło głowę. To był człowiek, tylko że goły, ale jego skóra nie wyglądała normalnie. Jego oczy świeciły na niebiesko, jakby miał ogień w głowie. I coś było nie tak z jego rękami.

Sięgnął w stronę szyby, a Mei zaczęła krzyczeć.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bobbie

– Snoopy znowu patroluje – skomentował szeregowy Hillman. – Dowódca chyba się na niego wkurzył.

Sierżant kompanii, „Gunny”, Roberta Draper z Marsjańskiego Korpusu Marines, powiększyła obraz z wyświetlacza przeziernego hełmu i spojrzała w kierunku wskazywanym przez Hillmana. Dwa tysiące pięćset metrów dalej grupa czterech marines Organizacji Narodów Zjednoczonych maszerowała wokół swojej placówki, oświetlona od tyłu przez strzeżoną przez nich olbrzymią kopułę szklarni. Kopułę niemal we wszystkich aspektach identyczną z tą, której pilnowała właśnie jej drużyna.

Jeden z czterech marines ONZ miał na bokach hełmu czarne krechy, które wyglądały jak uszy psa beagle.

– Tak, to Snoopy – potwierdziła Bobbie. – Jak na razie był na wszystkich dzisiejszych patrolach. Ciekawe, czym podpadł.

Patrole wokół szklarni na Ganimedesie oznaczały konieczność wymyślania sposobów na zajęcie czymś umysłu. Włącznie ze snuciem domysłów na temat życia marines z drugiej strony.

Druga strona. Osiemnaście miesięcy temu nie było stron. Planety wewnętrzne stanowiły jedną dużą i szczęśliwą, choć nieco patologiczną rodzinę. Potem był Eros, a teraz

dwie superpotęgi dzieliły między siebie Układ Słoneczny, Ganimedes zaś był tym księżycem, z którego żadna strona nie chciała zrezygnować: spichlerzem układu Jowisza.

Ponieważ tylko on dysponował wartą wzmianki magnetosferą, było to jedyne miejsce, gdzie w pasie silnego promieniowania Jowisza miały szansę wyrosnąć hodowane pod kopułami plony, choć i tak szklarnie i osiedla mieszkalne musiały być ekranowane, by chronić cywilów przed ośmioma remami trafiającymi codziennie na powierzchnię księżycy z Jowisza.

Pancerz Bobbie zaprojektowano tak, by żołnierz mógł przejść przez krater po bombie jądrowej kilka minut po wybuchu, więc sprawdzał się też nieźle jako ochrona przed usmażeniem marsjańskich marines przez Jowisza.

Za maszerującymi na patrolu ziemskimi żołnierzami kopuła jarzyła się w smudze słabego światła słonecznego, przechwyconego przez olbrzymie lustra orbitalne. Nawet z lustrami większość ziemskich roślin umarłaby tu z braku światła. Blask wystarczał do życia tylko mocno zmodyfikowanym odmianom, stworzonym przez naukowców na Ganimesie.

– Niedługo będzie zachód – zauważyła Bobbie, wciąż przyglądając się ziemskim marines poza ich strażnicą, ze świadomością, że oni też przyglądają się im.

Oprócz Snoopiego rozpoznała też Karzełka, który/która nie mógł/nie mogła mieć więcej niż metr dwadzieścia pięć wzrostu. Ciekawiło ją, jakiego przyzwiska używają dla niej. Może Duża Czerwona. Jej pancerz wciąż był pokryty marsjańskim kamuflażem. Była na Ganimesie na tyle krótko, że nie zdążyła jeszcze oddać go do pomalowania w szare i białe wzory.

W ciągu następnych pięciu minut kolejno gasły orbitalne lustra, wchodzące wraz z Ganimedesem na kilka godzin w cień Jowisza. Blask ze szklarni za jej plecami po włączeniu się sztucznego oświetlenia przybrał niebieski odcień. Choć ogólne natężenie światła nie spadło szczególnie mocno, cienie wydłużyły się w dziwne i subtelne sposoby. W górze Słońce – z tego miejsca nawet nie krążek, a jedynie najjaśniejsza gwiazda – błysnęło, przechodząc przez krawędź tarczy Jowisza i przez chwilę widać było delikatne pierścienie planety.

– Wchodzą z powrotem do środka – zauważył kapral Travis. – Snoopy idzie na końcu. Biedak. Czy my też możemy się schować?

Bobbie rozejrzała się po nieciekawym, brudnym lodzie Ganimedesa. Czowała chłód księżycy nawet przez zaawansowany technicznie pancerz.

– Nie.

Usłyszała kilka niezadowolonych mruknięć, ale ruszyli posłusznie prowadzeni wokół kopuły powolnymi susami w niskim ciężeniu. Oprócz Hillmana i Travisa w tym patrolu uczestniczył całkiem zielony szeregowy Gourab. I choć był w marines w sumie dopiero jakieś półtorej minuty, marudził z akcentem z doliny Marinera równie głośno, jak dwaj pozostali.

W zasadzie nie miała do nich pretensji, to wszystko było pracą wymyślaną na siłę. Jakimś zajęciem dla marsjańskich żołnierzy na Ganimedesie, żeby nie mieli czasu na nudę. Jeśli Ziemia zdecyduje się zagarnąć księżyc tylko dla siebie, czworo marines pilnujących szklarni nie zdoła jej powstrzymać. Przy znajdujących się na orbicie dziesiątkach ziemskich i marsjańskich okrętów w pełnym

napięcia zawieszeniu broni, gdyby doszło do walki, piechociarze dowiedzieliby się o tym dopiero wraz z rozpoczęciem bombardowania.

Kopuła z lewej wznosiła się prawie na pół kilometra: trójkątne szklane panele były rozdzielone jarzącymi się wspornikami o barwie miedzi, co przywoływało na myśl olbrzymią klatkę Faradaya. Bobbie nigdy jeszcze nie była wewnątrz żadnej z kopuł szklarni. Została skierowana z Marsa z pośpiesznie wysłanymi na planety zewnętrzne oddziałami i prawie od pierwszego dnia chodziła na patrole po powierzchni. Ganimedes sprowadzał się dla niej do portu kosmicznego, małej bazy marines i jeszcze mniejszej placówki strażniczej, którą obecnie nazywała domem.

Podczas wędrówki wokół kopuły Bobbie przyglądała się nieciekawej okolicy. Ganimedes nie zmieniał się zbyt bez jakichś dramatycznych wydarzeń. Jego powierzchnię pokrywały głównie krzemowe skały i zamrożona woda o temperaturze tylko kilka stopni wyższej od próżni. Atmosferę tworzył tlen tak rzadki, że mógł uchodzić za próżnię techniczną. Na powierzchni Ganimedesa nie zachodziła erozja. Zmieniała się tylko wtedy, gdy z przestrzeni spadały skały lub gdy ciepła woda z płynnego rdzenia wydostawała się na powierzchnię i tworzyła krótkotrwałe jeziora, a żadna z tych rzeczy nie zdarzała się często. W domu, na Marsie, wiatr i pył zmieniały krajobraz co godzinę, tutaj szła po swoich śladach z wczoraj, przedwczoraj i przedprzedwczoraj. A jeśli nigdy tu już nie wróci, jej ślady zostaną na świecie dłużej niż ona. Prywatnie uważała to za nieco makabryczne.

Przez zwykle gładkie syki i stuknięcia wydawane przez jej pancerz zaczęło się przebijać rytmiczne skrzypienie. Zazwyczaj minimalizowała wyświetlacz skafandra, bo generował taki zalew informacji, że wiedziała o wszystkim – poza tym, co faktycznie znajdowało się przed nią. Teraz wywołała ekran i mruganiem przerzuciła strony do ekranu diagnostycznego. Żółta kontrolka ostrzegła o niskim poziomie płynu hydraulicznego siłownika lewego kolana. Musiała mieć jakiś wyciek, choć powolny, bo skafander nie potrafił go odnaleźć.

– Poczekajcie chwilę – powiedziała Bobbie. – Hilly, masz w zestawie zapasowy płyn hydrauliczny?

– Tak – potwierdził Hillman, już po niego sięgając.

– Strzyknij mi trochę do lewego kolana, dobrze?

Gdy Hillman klęknął przed nią, zajmując się jej skafandrem, Gourab i Travis zaczęli się o coś spierać, dotyczyło to chyba sportu. Bobbie ich uciszyła.

– Ten skafander jest strasznie stary – skomentował Hillman. – Powinna pani przesiąść się na nowszy. Wiecie, sierżancie, takie rzeczy będą się zdarzać coraz częściej.

– Tak, powinnam – zgodziła się Bobbie.

Ale prawdę mówiąc, łatwiej było to powiedzieć niż zrobić. Figura Bobbie nie pasowała do standardowych skafandrów, a korpus zmuszał ją do skakania przez płonące obręcze za każdym razem, gdy zgłaszała zapotrzebowanie na nowy, dopasowany. Przy nieco ponad dwóch metrach wzrostu była tylko nieznacznie powyżej średniej dla marsjańskich mężczyzn, ale dzięki polinezyjskiemu pochodzeniu przy jednym g ciężenia ważyła ponad sto kilogramów. Nic z tego nie było tłuszczem – jej mięśnie zdawały się rosnąć za każdym

razem, gdy choćby tylko przeszła przez siłownię. A jako marine ćwiczyła praktycznie cały czas.

Noszony teraz przez nią opancerzony skafander był pierwszym od dwunastu lat aktywnej służby, który naprawdę dobrze na nią pasował, i choć zaczynał przypominać o swoim wieku, wciąż łatwiej było utrzymywać go na chodzie niż błagać i składać podania o nowy.

Hillman zaczął chować narzędzia, gdy z trzaskiem ożyło radio Bobbie.

– Posterunek cztery do patrolu. Patrol, zgłoś się.

– Potwierdzam, czwórka – odpowiedziała Bobbie. – Tu patrol jeden. Mów.

– Gdzie jesteście, patrol jeden? Jesteście pół godziny do tyłu, a tu się dzieje coś dziwnego.

– Przepraszam, problem ze sprzętem – odpowiedziała Bobbie, zastanawiając się, co może się tam dziać, choć nie na tyle, by zapytać o to na otwartym kanale.

– Natychmiast wracajcie na posterunek. W placówce ONZ oddano strzały. Aktywujemy tryb bojowy.

Bobbie potrzebowała chwili, by to przyswoić. Widziała, że jej ludzie patrzą na nią z malującą się na twarzach mieszaniną zdziwienia i strachu.

– Ziemianie do was strzelają? – zapytała w końcu.

– Jeszcze nie, ale strzelają. Natychmiast tu wracajcie.

Hillman wstał. Bobbie jeszcze raz zgięła kolano i zobaczyła na wyświetlaczu zielone kontrolki. Kiwnęła w podzięce Hillmanowi, po czym rozkazała:

– Galopem z powrotem na posterunek. Ruszać się!

* * *

Bobbie z drużyną była wciąż o pół kilometra od placówki, gdy rozległ się ogólny alarm. Wyświetlacz jej skafandra ożył samodzielnie, przełączając się w tryb bojowy. Zestaw czujników zajął się wyszukiwaniem przeciwników i połączył się z jednym z satelitów w celu uzyskania widoku z góry. Poczowała kliknięcie, gdy wbudowane w prawe przedramię skafandra działko przełączyło się na tryb swobodnego strzału.

Gdyby zaczęło się bombardowanie orbitalne, rozbrzmiałoby tysiąc alarmów, ale i tak nie potrafiła się powstrzymać przed zerknięciem w niebo. Żadnych błysków ani śladów rakiet. Tylko potężna tarcza Jowisza.

Bobbie przyśpieszyła, pędząc w stronę strażnicy długimi susami. Drużyna podążyła za nią bez słowa. Osoba przeszkolona w stosowaniu wspomaganego skafandra, biegnąca w niskim ciężeniu, mogła szybko pokonać duże dystanse. Strażnica wyłoniła się zza krzywizny kopuły po kilku sekundach, a po kolejnych kilku zobaczyła też źródło alarmu.

Marines ONZ szarżowali na marsjańską placówkę. Trwająca od roku zimna wojna właśnie się rozgrzała. Gdzieś głęboko pod chłodnym wyrachowaniem szkolenia i dyscypliny poczuła zaskoczenie. Nie spodziewała się, że do tego dojdzie.

Reszta jej plutonu opuściła strażnicę, ustawiając się w linię ostrzału naprzeciw pozycji ONZ. Ktoś wyprowadził do szeregu *Yojimbo* – czterometrowy bojowy mech górował nad pozostałymi marines. Wyglądał jak bezgłowy olbrzym w pancerzu wspomaganym, potężne działka poruszały się powoli, śledząc nadciągających przeciwników. Ziemszy marines pędzili z pełną

prędkością przez dwa i pół tysiąca metrów, które oddzielały dwie strażnice.

Czemu nikt nic nie mówi? zaczęła się zastanawiać. Cisza jej plutonu była upiorna.

I właśnie wtedy, gdy jej drużyna dotarła do linii bojowej, skafander wrzasnął do niej ostrzeżenie o zagłuszaniu. Widok z góry zniknął w chwili, gdy urwał się kontakt z satelitą. Zgasły wskaźniki czynności życiowych zespołu i raporty o stanie sprzętu. Zniknął cichy szum otwartego kanału łączności, zostawiając po sobie jeszcze bardziej upiorną ciszę.

Gestami ustawiła swoich ludzi na prawej flance, po czym ruszyła wzdłuż szeregu, szukając dowódcy, porucznika Givensa. Zobaczyła jego skafander na środku linii, stał niemal tuż pod *Yojimbo*. Podbiegła do niego i przysunęła swój hełm do jego hełmu.

– Co się tu, cholera, dzieje, poruczniku? – krzyknęła.

– Możesz zgadywać równie dobrze, jak ja – krzyknęła gniewnie w odpowiedzi. – Przez zagłuszanie nie możemy kazać im się wycofać, a ignorują ostrzeżenia wizualne. Zanim odcięło nam radio, dostałem upoważnienie do otwarcia ognia, jeśli dotrą na odległość pół kilometra od naszej pozycji.

Bobbie miała jeszcze kilkaset pytań, ale oddziały ONZ mogły przekroczyć linię pięciuset metrów za kilka sekund, więc pognąła na pozycję na prawej flance przy swojej drużynie. Biegając, kazała skafandrowi policzyć nadchodzące siły i oznaczyć wszystkich jako wrogów. Skafander zgłosił siedem celów. Czyli nawet nie jedną trzecią liczebności placówki ONZ.

To nie ma żadnego sensu.

Poleciała skafandrowi narysować na wyświetlaczu kreskę na dystansie pięciuset metrów. Nie musiała mówić swoim chłopakom, że to strefa swobodnego ostrzału. To nie było potrzebne. Otworzą ogień chwilę po niej, nie zadając pytań o powody.

Żołnierze ONZ przekroczyli linię kilometra, wciąż nie oddając żadnego strzału. Nadchodzili w rozproszonej formacji, sześciu z przodu w nierównej linii i siódmy za nimi, jakieś siedemdziesiąt metrów z tyłu. Wyświetlacz jej skafandra wybrał jej na cel postać z lewego skraju linii wroga, domyślnie wybierając najbliższego. Coś zaczęło ją męczyć w głębi umysłu i odrzuciła ustawienia skafandra, wybierając cel z tyłu i żądając powiększenia.

Mała postać nagle urosła w jej okienku celowniczym. Poczula dreszcz wzdłuż kręgosłupa i powiększyła obraz ponownie.

Postać goniąca sześciu marines ONZ nie miała na sobie skafandra próżniowego. Właściwie nawet nie była człowiekiem. Jej skórę pokrywały chitynowe płyty przypominające duże, czarne łuski. Głowa była jednym wielkim koszmarem, ze dwa razy większa od zwykłej i pokryta dziwnymi, wystającymi naroślami.

Ale najbardziej niepokojąco wyglądały ręce tego czegoś. Zdecydowanie za duże jak na ciało i za długie w stosunku do szerokości – stanowiły wersję rąk z dziecięcego koszmaru. Ręce trolla kryjącego się pod łóżkiem lub więdźmy podkradającej się do okna. Rozciągały się i chwytaly pustkę z nieustanną szaloną energią.

Żołnierze Ziemi nie atakowali. Uciekali.

– Strzelajcie do tego, co ich goni – Bobbie krzyknęła w pustkę.

Stworzenie dopadło żołnierzy ONZ, zanim przekroczyli dystans pół kilometra, za którym Marsjanie otworzyliby ogień.

– Cholera jasna – wyszeptała Bobbie. – Niech to *szlag!*

Istota chwyciła marine ONZ swoimi wielkimi rękami i rozerwała go na pół, jakby był z papieru. Pancierz z tytanu i ceramiki rozerwał się równie łatwo, co ciało w środku, rozsiewając po lodzie w równym stopniu kawałki techniki, jak i ludzkie wnętrzności. Pozostałych pięciu żołnierzy jeszcze przyśpieszyło, ale ścigający ich potwór prawie nie zwolnił, zabijając ich kompana.

– Strzelajcie do niego, strzelajcie, strzelajcie – wrzasnęła Bobbie, otwierając ogień. Przeszkolenie i technika upakowana w pancierz bojowy czyniły z niej wyjątkowo skuteczną maszynę do zabijania. Gdy tylko palec nacisnął spust działka wbudowanego w skafander, z luf wyleciał strumień dwumilimetrowych pocisków przeciwpancernych, lecących z szybkością ponad tysiąc metrów na sekundę. Wystrzeliła pięćdziesiąt pocisków w niecałą sekundę. Stworzenie było stosunkowo powolnym celem wielkości człowieka, biegło w linii prostej, a komputer celowniczy mógł wprowadzić poprawki balistyczne pozwalające jej trafić w obiekt wielkości piłki do tenisa, sunący z prędkością nadzźwiękową. Każdy wystrzelony przez nią nabój trafił w potwora.

To jednak nie miało znaczenia.

Pociski przeleciały przez niego, prawdopodobnie nawet nie zwalniając znacząco przed wylotem z drugiej strony. Z każdej rany wystrzeliwała chmura czarnych włókien, które spadały na śnieg zamiast krwi. Przypominało to

strzelanie do wody. Rany zamykały się niemal szybciej niż powstawały i jedynym znakiem trafienia w stworzenie był ślad zostawianych za nim czarnych włókien.

A potem potwór dopadł drugiego marine ONZ. Zamiast rozerwać go na strzępy jak poprzedniego, wykręcił i rzucił w pełni opancerzonym Ziemianinem – o łącznej masie przekraczającej zapewne pięćset kilo – w stronę Bobbie. Jej wyświetlacz śledził żołnierza ONZ na wznoszącym się łuku i usłudźnie poinformował, że potwór nie rzucił go w jej *stronę* tylko *w nią*. Po bardzo płaskiej trajektorii. Czyli z dużą prędkością.

Uskoczyła na bok tak szybko, jak tylko pozwolił na to masywny pancerz. Bezradny marine ONZ zgarnął stojącego obok niej Hillmana i obaj zniknęli, z zabójczą prędkością odbijając się od lodu.

Zanim zdołała się odwrócić z powrotem do potwora, ten zabił dwóch kolejnych żołnierzy ONZ.

Strzelał już do niego cały marsjański szereg, włącznie z wielkim działem *Yojimbo*. Dwaj pozostali przy życiu ziemscy żołnierze rozdzielili się i uciekając przed potworem, biegli w przeciwnych kierunkach, dając marsjańskim odpowiednikom otwarte pole do ostrzału. Stwór został trafiony setki, tysiące razy. Sklejał się z powrotem w całość, utrzymując pełne tempo, nawet nie zwalniał, gdy obok niego wybuchały pociski z działa *Yojimbo*.

Bobbie, która już zdążyła z powrotem ustawić się w pozycji bojowej, posłała grad ognia w kierunku potwora, ale nie zrobiło to żadnej różnicy. Istota uderzyła w marsjańską linię, zabijając dwóch marines tak szybko, że wzrok nie nadążał za jej ruchami. *Yojimbo* uskoczył na

bok, znacznie zwinniej, niż mogłoby się to wydawać w przypadku maszyny tej wielkości. Bobbie pomyślała, że za sterami musi siedzieć Sa'id. Przechwalał się, że gdy tylko chciał, mógł zmusić wielkiego mecha do tanga. To też nie miało znaczenia. Jeszcze zanim Sa'id zdążył obrócić działo do strzału z przyłożenia, stwór przebiegł po boku pojazdu, chwycił właz pilota i wyrwał go z zawiasów, potem jednym ruchem wyciągnął Sa'ida z uprząży w kokpicie i rzucił nim jakieś sześćdziesiąt metrów w górę.

Pozostali marines zaczęli się cofać, cały czas strzelając. Bez radia nie mieli sposobu na skoordynowanie odwrotu. Bobbie stwierdziła, że biegnie w stronę kopuły razem z resztą. Drobną i odległą część jej umysłu, która nie uległa panice, wiedziała, że szkło i metal kopuły nie zapewnią żadnej ochrony przed czymś, co potrafiło rozerwać na pół opancerzonego człowieka i wyrwać pancerz z dziewięcotonowego mecha. Jednak ten przeblysł zdrowego rozsądku rozpoznał, że próba przełamania przerażenia jest daremna.

Zanim dotarła do zewnętrznych drzwi kopuły, został z nią już tylko jeden marine. Gourab. Z bliska widziała jego twarz przez opancerzoną szybę wizjera hełmu. Krzyczał do niej coś, czego nie słyszała. Zaczęła się nachylać do przodu, by zetknąć się z nim hełmem, gdy pchnął ją do tyłu na lód. Walił w panel sterowania drzwiami opancerzoną pięścią, próbując przebić się do środka, kiedy stwór złapał go i jednym niedbałym zamachem zerwał hełm ze skafandra. Gourab stał przez chwilę z twarzą w próżni, mrugając i otwierając usta do bezgłośnego krzyku, potem stwór oderwał jego głowę

równie łatwo, jak hełm.

Istota odwróciła się i popatrzyła na wciąż leżącą na ziemi Bobbie.

Z bliska Bobbie widziała jej świecące się, jasnoniebieskie oczy. Były piękne. Uniosła działko i naciskała spust przez pół sekundy, zanim zrozumiała, że już dawno temu skończyła się jej amunicja. Stwór popatrzył na jej broń w sposób, który wydawał się ciekawością, po czym spojrział jej w oczy i przechylił głowę na bok.

To już koniec, pomyślała. Tak zginę i nie dowiem się, co tego dokonało ani dlaczego. Mogła znieść śmierć. Zginąć bez poznania żadnych odpowiedzi było jednak niezwykle okrutne.

Stwór zrobił krok w jej stronę, po czym zatrzymał się i zadygotał. Z jego środka wyłoniła się nowa para kończyn, które wily się w próżni jak macki. Jego i tak już groteskowa głowa jakby nabrzmiała. Błękitne oczy rozbliły jasno jak światła w kopułach.

A potem stwór eksplodował w kuli ognia, która odrzuciła ją przez lód i cisnęła nią o niską grań z dostateczną siłą, by pochłaniający uderzenia żel w jej skafandrze całkowicie zeszczywniał, unieruchamiając ją.

Leżała na plecach, powoli tracąc przytomność. Nocne niebo w górze zaczęło błyskać światłami. Strzelały do siebie statki na orbicie.

Wstrzymać ogień, pomyślała, odchodząc w mrok. Oni uciekali. Wstrzymać ogień. Jej radio wciąż nie działało, kombinezon też. Nie mogła nikomu powiedzieć, że marines ONZ wcale nie atakowali.

I że zrobiło to coś innego.

ROZDZIAŁ DRUGI

Holden

Ekspres do kawy znowu się zepsuł.

Znowu.

Jim Holden jeszcze kilka razy nacisnął czerwony przycisk parzenia ze świadomością, że to niczego nie da. Ale nie potrafi! się powstrzymać. Wielki i lśniący ekspres do kawy, zaprojektowany do przygotowywania ilości wystarczających do zapewnienia dobrego nastroju marsjańskiej załozce, odmawiał wydania choćby jednej kropli. Albo choćby dźwięku. Odmawiał nie tylko parzenia kawy, odmawiał nawet *próby*. Holden zamknął oczy z powodu bólu głowy atakującego skronie i wcisnął przycisk na najbliższym panelu ściennym, włączając okrętowy interkom.

– Amos – powiedział.

Interkom nie działał.

Czując się nieco niedorzecznie, jeszcze kilka razy wcisnął przycisk ogólnego kanału. Nic. Otworzył oczy i zobaczył, że zgasły wszystkie kontrolki na panelu. A potem odwrócił się i stwierdził, że nie działają też światła na lodówce i piekarnikach. Nie chodziło tylko o ekspres do kawy, zbuntował się cały kambuz. Holden spojrzał na świeżo wymalowaną na ścianie kambuza nazwę *Rosynant*.

– Skarbie, czemu mnie ranisz, choć tak cię Kocham?

Wyciągnął ręczny terminal i zadzwonił do Naomi.

– ...tak? – odpowiedziała w końcu po kilku chwilach.

– Kambuz nie działa. Gdzie jest Amos?

Chwila ciszy.

– Dzwonisz do mnie z kambuza? Gdy jesteśmy na tym samym statku? Mając panel ścienny na wyciągnięcie ręki?

– Panel ścienny w kambuzie też nie działa. Mówiąc, że kambuz nie działa, nie miałem na myśli jakiejś sprytniej przenośni. To dosłownie znaczy, że w kambuzie nie działa zupełnie nic. Zadzwoniłem do ciebie, bo ty nosisz terminal, a Amos prawie nigdy nie ma go przy sobie. Oraz dlatego, że mnie nigdy nie mówi, nad czym pracuje, ale zawsze zgłasza to tobie. To gdzie jest Amos?

Naomi się roześmiała. Był to uroczy dźwięk, który niezawodnie przywoływał uśmiech na twarz Holdena.

– Powiedział, że będzie grzebał w okablowaniu.

– Masz zasilanie tam na górze? Czy lecimy na ślepo bez kontroli i próbujecie właśnie wykombinować, jak mi to powiedzieć?

Holden usłyszał wychwytywane przez mikrofon Naomi stukanie w klawisze. Nuciała cicho, pracując.

– Nie – powiedziała po chwili. – Jedyne miejsce bez zasilania to kambuz. A Aleks mówi, że dzieli nas niecała godzina od walki z kosmicznymi piratami. Przyjdiesz na mostek walczyć z piratami?

– Nie mogę z nimi walczyć bez kawy. Idę poszukać Amosa – stwierdził Holden, po czym się rozłączył i schował terminal z powrotem do kieszeni.

Podszedł do drabiny biegnącej wzdłuż osi statku i wezwał windę. Uciekający statek piratów mógł na dłużej

utrzymywać przyspieszenie tylko jednego g, więc pilot Holdena, Aleks Kamal, leciał do czasu przechwycenia z prędkością jeden i trzy dziesiąte g. Każde przyspieszenie powyżej jednego g sprawiało, że korzystanie z drabiny robiło się niebezpieczne.

Kilka sekund później głośno otworzył się pokładowy właz i winda z szumem zatrzymała się przed nim. Wszedł na nią i wcisnął przycisk pokładu warsztatu. Platforma zaczęła powoli opuszczać się wzdłuż drabiny przez włazy otwierające się przed nią i zamykające po ich minięciu.

Amosa Burtona znalazł w warsztacie, jeden pokład nad maszynownią. Mechanik miał przed sobą na blacie roboczym jakieś częściowo rozłożone, bardzo skomplikowane urządzenie, przy którym pracował z lutownicą w ręku. Ubrany był w za mały o kilka rozmiarów szary kombinezon, który z trudem mieścił jego szerokie ramiona. Na plecach stroju wciąż wyszyta była stara nazwa statku, *Tachi*.

– Amos, kambuz nie działa – zaczął bez zbędnego wstępu Holden, gdy winda się zatrzymała.

Amos niecierpliwie machnął jedną ręką, nie odrywając się od pracy. Holden czekał. Po kilku kolejnych chwilach lutowania Amos odłożył w końcu lutownicę i odwrócił się w jego stronę.

– Tak, nie działa, bo wyjąłem z niego tego skurwiela – wyjaśnił, wskazując na lutowane urządzenie.

– Możesz go włożyć na miejsce?

– Nie, przynajmniej na razie. Jeszcze z nim nie skończyłem.

Holden westchnął.

– Czy naprawdę konieczne jest wyłączenie działania

kambuza w celu naprawy tego czegoś tuż przed starciem z krwiożerczymi kosmicznymi piratami? Bo zaczyna mnie potwornie boleć głowa i chciałbym się napić kawy przed, no wiesz, walką.

– Owszem, to było konieczne – zapewnił Amos. – Mam wyjaśnić? Czy uwierzysz mi na słowo?

Holden kiwnął głową. Choć niezbyt tęsknił za czasami służby we flocie Ziemi, zdarzało mu się z nostalgią wspominać bezwzględny szacunek dla struktury dowodzenia. Na *Rosynancie* tytuł „kapitana” był znacznie mniej precyzyjnie zdefiniowany. Grzebanie w okablowaniu było robotą Amosa i oburzyłyby się na pomysł, że musi informować Holdena za każdym razem, gdy się do tego zabiera.

Holden odpuścił.

– Dobra – powiedział. – Ale wolałbym, żebyś mnie ostrzegł z wyprzedzeniem. Bez kawy będę marudny.

Amos wyszczerzył się do niego i odsunął do góry czapkę na prawie łysej głowie.

– Cholera, kapitanie, tu jesteśmy kryci – stwierdził, po czym sięgnął do tyłu i ściągnął z blatu wielki metalowy termos. – Przed wyłączeniem kambuza zrobiłem zapas awaryjny.

– Amos, przepraszam za wszystkie niemiłe rzeczy, które myślałem na twój temat.

Mechanik machnął ręką i wrócił do pracy.

– Bierz. Ja już sobie nałamię kubek.

Holden z powrotem wszedł do windy i wjechał nią na pokład dowodzenia, trzymając termos w obu dłoniach jak najcenniejszy skarb.

Naomi siedziała przy panelu czujników i łączności,

śledząc ich postęp w pościgu za uciekającymi piratami. Jeden rzut oka wystarczył Holdenowi, by się zorientować, że są znacznie bliżej niż wskazywał na to ostatni otrzymany szacunek. Przypiął się do pryczy przy stanowisku bojowym. Następnie otworzył najbliższą szafkę i zgadując, że w najbliższym czasie mogą się znaleźć w niskim ciśnieniu lub nieważkości, wyciągnął sobie bańkę na kawę.

– Zbliżamy się bardzo szybko – skomentował, nalewając sobie płyn z termosu. – Co się dzieje?

– Statek piratów zwolnił dość znacznie w stosunku do początkowego przyśpieszenia jednego g. Najpierw na kilka minut zwolnili do pół g, potem jakąś minutę temu w ogóle przestali przyśpieszać. Tuż przed zwolnieniem komputer wykrył jakieś fluktuacje w mocy wyjściowej ich silnika, więc pewnie za ostro ich goniliśmy.

– Zepsuli sobie statek?

– Zepsuli sobie statek.

Holden pociągnął długi łyk z bańki, parząc sobie przy tym język i zupełnie się tym nie przejmując.

– Ile czasu do przechwycenia?

– Najwyżej pięć minut. Aleks czekał z końcowym hamowaniem, aż znajdziesz się tutaj i przypniesz.

Holden wcisnął przycisk interkomu na panelu.

– Amos, przypnij się. Pięć minut do bandytów. – Potem przełączył się na kanał kokpitu. – Jaka sytuacja, Aleks?

– Wygląda na to, że zepsuli sobie statek – powtórzył Aleks z charakterystycznym akcentem doliny Marinera.

– Chyba wszyscy się co do tego zgadzają – przyznał Holden.

– Tak się trochę trudniej ucieka.

Dolina Marinera została oryginalnie zasiedlona przez mieszkańców Chin, wschodnich Indii i Teksasu. Aleks miał ciemną skórę i kruczoczarne włosy typowe dla wschodnich Indii, jednak pochodzącemu z Ziemi Holdenowi zawsze zgrzytało gdzieś w mózgu, gdy słyszał przesadzony teksański akcent w ustach kogoś, kto według niego powinien mówić z akcentem z Pendżabu.

– A przy okazji znacznie ułatwia nam to życie – dodał, aktywując panel bojowy. – Ustaw nas na względnym stop dziesięć tysięcy kilometrów od nich. Oświetlę ich laserem celowniczym i włączę działka obrony punktowej. I otwórz klapy wyrzutni. Spróbujemy wyglądać najgroźniej, jak to możliwe.

– Potwierdzam, szefie – odpowiedział Aleks.

Naomi obróciła się na fotelu i uśmiechnęła się do Holdena.

– Walka z kosmicznymi piratami. Bardzo romantyczne.

Holden nie potrafił się nie uśmiechnąć. Choć miała na sobie kombinezon marsjańskiego oficera floty o trzy rozmiary za krótki i pięć rozmiarów za szeroki na jej wysoką i chudą pasiarską sylwetkę, dla niego wyglądała pięknie. Długie, kręcone, czarne włosy zebrała w zmierzwiony kucyk. Jej rysy były uderzającą mieszanką cech azjatyckich, południowoamerykańskich i afrykańskich, niezwykłą nawet jak na mocno przemieszany Pas. Zerknął na swoje odbicie w ciemnym panelu i poczuł się bardzo zwyczajny, widząc bruneta z farmy w Montanie.

– Wiesz, jak lubię wszystko, przy czym używasz słowa „romantyczne” – powiedział. – Ale obawiam się, że nie czuję twojego entuzjazmu. Zaczęliśmy od ratowania

Układu Słonecznego przed koszmarnym zagrożeniem z gwiazd, a teraz to?

Holden znał dobrze tylko jednego policjanta, a i to krótko. Podczas potężnego i wyjątkowo nieprzyjemnego nagromadzenia katastrof, nazywanych obecnie skrótowo „incydentem Eros”, Holden połączył siły z chudym, szarym, złamanym człowiekiem o nazwisku Miller. Gdy się spotkali, Miller porzucił już pracę, obsesyjnie zajmując się sprawą zaginionej osoby.

Właściwie nigdy się nie zaprzyjaźnili, ale zdołali zapobiec zniszczeniu rasy ludzkiej przez połączenie wygenerowanej przez korporację socjopatii i odkrytą broń obcej rasy, którą przez większość ludzkiej historii uważano za jeden z księżyców Saturna. Przynajmniej pod tym względem ich partnerstwo było udane.

Holden był przez sześć lat oficerem floty wojennej i widział, jak ludzie giną, jednak tylko za pośrednictwem ekranu radaru. Na Erosie zobaczył z bliska, jak umierają tysiące. Sam zabił kilku z nich. Pochłonięta tam dawka promieniowania oznaczała, że nieustannie musiał przyjmować leki powstrzymujące rozwój ciągle powstających w jego tkankach nowotworów. I tak udało mu się bardziej niż Millerowi.

To dzięki Millerowi skażenie z kosmosu wylądowało na Wenus zamiast na Ziemi. Choć wcale nie oznaczało to jego końca. Niezależnie od tego, jakie polecenia otrzymał częściowo przejęty przez ludzi obcy organizm, wciąż wykonywał swój program pod osłoną gęstych chmur planety i jak dotąd nikt nie potrafił zaoferować bardziej gruntownej analizy naukowej niż *Hm. Dziwne*.

Stary, zmęczony detektyw z Pasa stracił życie, ratując

rasę ludzką.

Z kolei ocalenie ludzkości uczyniło z Holdena pracownika Sojuszu Planet Zewnętrznych, polującego na piratów. Nawet w tych gorszych dniach musiał przyznać, że trafił lepiej niż Miller.

– Trzydzieści sekund do przechwycenia – poinformował Aleks.

Holden wrócił myślami do terażniejszości i wywołał maszynownię.

– Przypiąłeś się, Amos?

– Potwierdzam, kapitanie. Wszystko gotowe. Spróbuj nie podziurawić mojego statku.

– Nikt nie będzie dzisiaj do nikogo strzelał – oświadczył Holden po wyłączeniu interkomu. Naomi pytająco uniosła brew. – Daj mi łączność, Naomi – poprosił. – Chcę porozmawiać z naszymi kolegami.

Po sekundzie na jego panelu pojawiła się konsola łączności. Wycelował wiązkę kierunkową w statek piracki i poczekał na zieloną kontrolkę połączenia.

– Lekki frachtowiec, tu kapitan James Holden z fregaty raketowej Sojuszu Planet Zewnętrznych *Rosynant*. Proszę odpowiedzieć.

W jego słuchawkach panowała cisza, nie było słyhać nic poza delikatnym szumem promieniowania tła.

– Słuchajcie, chłopaki, odpuśćmy sobie gierki. Dobrze wiecie, kim jestem. Wiem też, że pięć dni temu zaatakowaliście *Lunatyka*, frachtowiec z żywnością, uszkodziliście mu silniki i ukradliście sześć tysięcy kilogramów białka oraz całe powietrze. I nie muszę wiedzieć o was niczego więcej.

Znowu cisza z szumem w tle.

– Sytuacja wygląda tak. Mam już dość ścigania was i nie pozwolę wam przeciągać rozmów w nadziei, że zdołacie naprawić zepsuty silnik i znowu spróbujecie mi uciec. Jeśli w ciągu sześćdziesięciu sekund nie zgłosicie pełnego i bezwarunkowego poddania, wystrzelę dwie torpedy z głowicami plazmowymi wysokiej mocy i stopię wasz statek na żużel. A potem polecę do domu i będzie mi się świetnie spało.

Ciszę przerwał w końcu chłopięcy głos, który brzmiał zbyt młodo, by decydować się na los pirata.

– Nie możesz tego zrobić. SPZ nie jest prawdziwym rządem. W świetle prawa nie możesz mi nic zrobić, więc odpierdol się – powiedział głos brzmiący tak, jakby nie mógł się zdecydować, czy ma już za sobą etap mutacji.

– Poważnie? Tylko na tyle cię stać? – odpowiedział Holden. – Słuchaj, odpuśćmy sobie na moment rozmowę na temat legalności i tego, co uprawomocnia rząd. Popatrz na sygnały lidaru, które dostajesz z mojego statku. Ty siedzisz w poskładanym byle jak lekkim frachtowcu, do którego ktoś przyspawał ręcznej roboty działą Gausa, a ja w nowoczesnym marsjańskim torpedowcu z siłą ognia wystarczającą do zniszczenia małego księżyca.

Głos z drugiej strony nie odpowiedział.

– Chłopaki, nawet jeśli nie uznajecie mojej władzy za legalną, czy możemy się przynajmniej zgodzić, że mogę was w każdej chwili rozwalić?

W radiu dalej panowała cisza.

Holden westchnął i potarł nasadę nosa. Ból głowy nie chciał ustąpić nawet pomimo przyjętej dawki kofeiny. Pozostawiając otwarty kanał do pirackiego statku, otworzył połączenie z kokpitem.

– Aleks, puść krótką serię z przednich działek przez ten frachtowiec. Celuj w śródkręcie.

– Czekaj! – krzyknął chłopak z tamtego statku. – Poddajemy się! *Jezu Chryste!*

Holden przeciągnął się w nieważkości, ciesząc się nią po wielu dniach przyśpieszenia, i uśmiechnął się pod nosem. Rzeczywiście, *dzisiaj nikt nie będzie strzelał.*

– Naomi, powiedz naszym nowym kolegom, jak przekazać ci zdalną kontrolę nad statkiem i zabierzmy ich na stację Tycho. Niech się nimi martwi sąd SPZ. Aleks, gdy tylko z powrotem uruchomią silniki, wykreśl kurs powrotny z miłym, przyjemnym pół g. Idę do szpitala okrętowego i spróbuję znaleźć aspirynę.

Holden rozpiął uprząż pryczy przeciążeniowej i odepchnął się w stronę drabiny pokładowej. W drodze na dół zaczął piszczeć jego terminal. Dzwonił Fred Johnson, formalny przywódca SPZ oraz ich osobisty patron na stacji produkcyjnej korporacji Tycho, obecnie pełniący również funkcję faktycznej kwatery głównej SPZ.

– Cześć, Fred. Złapałem naszych piratów. Zabieram ich do domu pod sąd.

Na szerokiej twarzy Freda pojawił się uśmiech.

– To coś nowego. Znudzilo ci się rozwalanie ich?

– Nie, po prostu w końcu trafiłem na kogoś, kto uwierzył, gdy powiedziałem, że to zrobię.

Fred przestał się uśmiechać, marszcząc brwi.

– Słuchaj, Jim, nie dlatego dzwonię. Potrzebuję cię ekspresowo z powrotem na Tycho. Coś się dzieje na Ganimesie...

ROZDZIAŁ TRZECI

Praks

Praksidike Meng stał w drzwiach szopy, patrząc na pola falujących lekko liści – tak zielonych, że prawie czarnych – i ogarniała go panika. Wykrzywiała się nad nim kopuła była znacznie ciemniejsza niż powinna być. Odcięto zasilanie oświetlenia roślin, a lustra... nie potrafił nawet myśleć o lustrach.

Rozbłyśki walczących statków wyglądały jak usterki na tanim ekranie, ruch i kolor w miejscu, gdzie nic nie powinno się dziać.

Oznaka, że coś byto bardzo nie tak. Oblizwał wargi. Musiało być jakieś rozwiązanie. Jakiś sposób na uratowanie ich.

– Praks – odezwała się Doris. – Musimy iść. Już!

Największe osiągnięcie botaniki dla upraw w ubogim środowisku, *glycine kenon*, odmiana soi tak silnie zmodyfikowana, że praktycznie stanowiła zupełnie nowy gatunek, była zwieńczeniem ostatnich ośmiu lat jego życia. To ona była powodem, dla którego jego dziadkowie wciąż nie spotkali się na żywo z wnuczką. To ona, wraz z kilkoma innymi sprawami, doprowadziła do rozpadu jego małżeństwa. Dostrzegał na polu osiem nieco różnych odmian modyfikowanych chloroplastów, z których każdy próbował wyprodukować najwięcej białka z każdego

fotonu. Trzęsły mu się ręce. Zbierało mu się na wymioty.

– Zostało najwyżej pięć minut do uderzenia – powiedziała Doris. – Musimy się ewakuować.

– Nie widzę go – zaprotestował Praks.

– Jeśli leci dość szybko, to gdy to zobaczysz, będzie już za późno. Wszyscy inni już uciekli, zostaliśmy tylko my. Wsiadaj do windy.

Wielkie lustra orbitalne, oświetlając pola niczym setka bladych słońc, zawsze były jego sojusznikami. Nie potrafił uwierzyć, że go zdradziły. To była szaleńcza myśl. Lustro spadające ku powierzchni Ganimedesa – na jego szklarnię, jego soję, owoc jego życia – niczego nie wybierało. Samo było ofiarą przyczyny i skutku, jak wszystko inne.

– Ja uciekam – powiedziała Doris. – Jeśli będziesz tu jeszcze za cztery minuty, zginiesz.

– Poczekaj – poprosił Praks.

Wbiegł do wnętrza kopuły. Na skraju najbliższego pola padł na kolana i wbił dłonie w żyzną czarną glebę. Jej zapach przypominał aromatyczny olejek. Wcisnął palce najgłębiej jak potrafił, obejmując korzenie, i wyciągnął z ziemi drobną, wrażliwą roślinkę.

Doris stała w drzwiach windy, gotowa zjechać do jaskiń i tuneli stacji. Praks pobiegł do niej. Z rośliną do ocalenia kopuła wydała się nagle bardzo niebezpiecznym miejscem. Rzucił się przez drzwi, a Doris wcisnęła przycisk na wyświetlaczu. Duża metalowa kabina windy szarpnęła, przesunęła się i zaczęła zjeżdżać. Zwykle wozila ciężki sprzęt: kultywator, traktor i tony humusu, pobranych z procesorów recyklingu stacji. Teraz była tylko ich trójka: Praks usiadł na podłodze, trzymając

między skrzyżowanymi nogami sadzonkę soi, a Doris zagryzała dolną wargę i wpatrywała się w swój terminal. Winda wydawała się za duża.

– Lustro może nie trafić – odezwał się Praks.

– Może. Ale to trzynaście tysięcy ton metalu i szkła. Fala uderzeniowa będzie dość solidna.

– Kopuła może wytrzymać.

– Nie – odpowiedziała i Praks przestał się do niej odzywać.

Kabina brzęczała i stukała, opadając coraz głębiej pod powierzchnię lodu, wsuwając się w sieć tuneli składających się na zasadniczą część stacji. Powietrze pachniało elementami grzewczymi i przemysłowym smarem. Nawet teraz nie potrafił uwierzyć, że to zrobili. Nie potrafił przyjąć do wiadomości, że dranie z wojska naprawdę zaczęli do siebie strzelać. Nikt nigdzie nie mógł być aż tak krótkowzroczny. Tylko że chyba jednak mogli.

W ciągu miesięcy, które upłynęły od rozpadu sojuszu Ziemi z Marsem, jego początkowo ciągły strach stopniowo zmienił się w ostrożną nadzieję, a potem w satysfakcję. Każdy dzień, podczas którego Organizacja Narodów Zjednoczonych i Marsjanie nie zaczęli czegoś groźnego, był kolejnym dowodem na to, że już tego nie zrobią. Pozwolił sobie uwierzyć, że wszystko jest znacznie stabilniejsze, niż się wydaje. Nawet jeśli sytuacja się pogorszy i dojdzie do wojny, to nie tutaj. Ganimedes był miejscem, gdzie rosło jedzenie. Dzięki magnetosferze księżyc był najbezpieczniejszym miejscem na czas ciąży dla kobiet, odnotowywano tu najniższy wskaźnik wad urodzeniowych i liczbę martwych płoągów wśród wszystkich planet zewnętrznych. Był centrum

wszystkiego, co umożliwiło ekspansję ludzkości na Układ Słoneczny. Ich praca była równie cenna, jak delikatna, a ludzie u władzy nigdy nie pozwolą, by wojna dotarła i tutaj.

Doris powiedziała coś wulgarnego. Praks na nią spojrział. Przeczesła dłonią rzadkie, białe włosy, odwróciła się i splunęła.

– Straciłam łączność – wyjaśniła, unosząc ręczny terminal. – Cała sieć została zablokowana.

– Przez kogo?

– Ochronę stacji. ONZ. Marsa. Skąd mam wiedzieć?

– Ale jeśli...

Wstrząs był niczym uderzenie olbrzymiej pięści walącej w dach kabiny. Hamulce awaryjne zaskoczyły z hałasem, który poczuli w kościach. Zgasło światło i na dwa uderzenia serca pochłonęła ich ciemność. Włączyły się cztery awaryjne diody LED zasilane z baterii, a potem zgasły ponownie, gdy wróciło zasilanie kabiny. Przez ekran konsoli zaczęły się przewijać komunikaty diagnostyczne systemu. Silniki windy szumiły, kabina stukiała, a interfejs śledzący wyświetlał sumy kontrolne niczym sportowiec przeciągający się przed biegiem. Praks wstał i podszedł do panelu. Czujnik w szybie zgłaszał minimalne i wciąż spadające ciśnienie powietrza. Poczuł drżenie, gdy gdzieś w górze zamknęły się grodzie i ciśnienie na zewnątrz zaczęło z powrotem rosnać. Powietrze z szybu uciekło w próżnię, zanim aktywowały się grodzie awaryjne. Kopuła została rozbita.

Jego kopuła przepadła.

Przystawił dłoń do ust, nie zauważając, że rozmazuje sobie ziemię na policzku do czasu, aż cały się pobrudził.

Część jego umysłu przebiegała przez wszystko, co było konieczne do uratowania projektu – kontakt z kierownikiem w RMD– Southern, ponowne wypełnienie wniosków grantowych, wydobicie kopii zapasowych danych do odtworzenia wektorów wirusowych – podczas gdy drugą część umysłu opanował upiorny spokój. Wrażenie bycia dwoma osobami – z których jedna desperacko szukała ratunku, a druga pogrążyła się już w rozpacz – było podobne do ostatnich tygodni jego małżeństwa.

Doris odwróciła się do niego ze zmęczonym rozbawieniem rozchylającym szerokie wargi. Wyciągnęła rękę.

– Miło się z panem pracowało, doktorze Meng.

Kabina zadrżała przy wycofaniu hamulców awaryjnych. Poczuli kolejne uderzenie ze znacznie większej odległości. Spadło lustro lub statek. Żołnierze strzelali do siebie na powierzchni. Może nawet walka gdzieś głębiej w stacji. Nie było sposobu na sprawdzenie. Ucisnęła jej dłoń.

– Doktor Bourne – odpowiedział. – To był zaszczyt.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, kontemplując grób wcześniejszego życia. Doris westchnęła.

– No dobrze – powiedziała. – Wynośmy się stąd.

* * *

Przedszkole Mei mieściło się głęboko we wnętrzu księżycy, ale stacja metra była tylko kilkaset metrów od komory załadunkowej windy, a ekspresowa jazda w dół do niej nie zajmowała więcej niż dziesięć minut. A przynajmniej tyle by trwała, gdyby metro działało. W ciągu trzydziestu lat mieszkania na Ganimesie Praks

nigdy nawet nie zauważył, że stacje metra mają gradzie bezpieczeństwa.

Czterech żołnierzy stojących przed zamkniętą stacją miało na sobie grube pancerze pomalowane w nierówne linie w takich samych odcieniach beżu i stali, co korytarz. Trzymali groźnie wyglądające, wielkie karabiny szturmowe i patrzyli złowieszczo na tłoczący się w pobliżu mały tłumek.

– Jestem w radzie transportu – mówiła wysoka, szczupła kobieta o ciemnej skórze, stukając palcem w napierśnik żołnierza na potwierdzenie każdego słowa. – Jeśli nas nie przepuścisz, będziesz miał kłopoty. I to poważnie.

– Jak długo będzie nieczynne? – zapytał jakiś mężczyzna.
– Muszę wracać do domu. Jak długo będzie nieczynne?

– Panie i panowie – krzyknął żołnierz z lewej. Miał bardzo silny głos, który przedarł się przez pomruki i szepty tłumu jak głos nauczyciela przemawiającego do niespokojnych dzieci. – Stacja jest obecnie zablokowana ze względów bezpieczeństwa. Do czasu zakończenia działań wojskowych zabronione przemieszczanie się między poziomami przez kogokolwiek, z wyjątkiem oficjalnego personelu.

– Po której jesteście stronie – krzyknął ktoś. – Jesteście Marsjanami? Po czyjej stronie jesteście?

– A na razie – kontynuował żołnierz, ignorując pytanie – prosimy o cierpliwość. Gdy tylko podróż będzie bezpieczna, metro zostanie otwarte. Do tego czasu dla państwa własnego bezpieczeństwa prosimy o zachowanie spokoju.

Praks nie wiedział, że się odezwie, do chwili, gdy usłyszał własny głos. Brzmiał jękliwie.

– Moja córka jest na ósmym poziomie. Tam jest przedszkole. – Wszystkie poziomy są zablokowane – odpowiedział żołnierz. – Nic jej nie będzie. Musi pan po prostu poczekać.

Ciemnoskóra kobieta z rady transportu złożyła rękę na piersi. Praks zobaczył, jak dwóch mężczyzn, rozmawiając, opuszcza tłumek i odchodzi w głąb wąskiego, brudnego tunelu. W starych tunelach tak blisko powierzchni powietrze pachniało wymiennikami – plastikiem, ciepłem i sztucznymi zapachami. A teraz też strachem.

– Panie i panowie – krzyknęła kobieta w mundurze. – Dla własnego bezpieczeństwa proszę zachować spokój i pozostać na miejscu do zakończenia działań wojskowych.

– Jak dokładnie wyglądają działania wojskowe? – zapytała kobieta stojąca tuż obok Praksa tonem, który zmienił słowa w żądanie.

– Sytuacja jest dynamiczna – odpowiedziała kobieta w mundurze.

Praks pomyślał, że w jej głosie brzmi niebezpieczne napięcie. Była równie wystraszona jak wszyscy inni. Tyle że ona miała broń. To nie mogło się udać. Musi znaleźć jakiś inny sposób. Trzymając w ręku jedyny pozostały egzemplarz *glycine kenon*, Praks oddalił się od stacji metra.

Miał osiem lat, gdy jego ojciec przeniósł się z gęsto zaludnionych ośrodków na Europie, by pomóc budować laboratorium badawcze na Ganimesie. Konstrukcja trwała dziesięć lat, podczas których Praks zaliczył trudny okres dojrzewania. Kiedy rodzice spakowali się, by przenieść rodzinę na miejsce nowego kontraktu, asteroidę na ekscentrycznej orbicie w okolicach Neptuna, Praks

został. Załatwił sobie staż z botaniki, myśląc, że dzięki niemu będzie mógł hodować nielegalną, nieopodatkowaną marihuanę, ale szybko odkrył, że na ten sam pomysł wpadła jedna trzecia studentów. Cztery lata spędzone na próbach znalezienia zapomnianego schowka lub porzuconego tunelu niezajętego jeszcze przez nielegalny eksperyment hydroponiczny zapewniły mu dobrą znajomość rozkładu tuneli.

Szedł teraz przez stare, wąskie korytarze konstrukcji pierwszej generacji. Kobiety i mężczyźni siedzieli pod ścianami lub w barach i restauracjach, z twarzami pustymi, pełnymi gniewu lub strachu. Zamiast zwykłych wiadomości – na ekranach leciały stare programy rozrywkowe z muzyką, teatrem lub abstrakcyjną sztuką. Żaden terminal ręczny nie rozbrzmiewał powiadomieniami o wiadomościach.

Przy centralnych kanałach powietrznych znalazł to, czego szukał. Dział konserwacji zawsze trzymał tam kilka starych elektrycznych skuterów. Nikt ich już nie używał. Ponieważ Praks był starszym naukowcem, jego terminal pozwolił mu przejść przez bramkę w rdzewiejącym płocie. Znalazł skuter z przyczepką i do połowy naładowanym akumulatorem. Minęło siedem lat, od kiedy ostatni raz prowadził taką maszynę. Wsadził *glycine kenort* do bocznego wózka, przeszedł przez sekwencję diagnostyczną i wyjechał w korytarz.

Przy pierwszych trzech rampach stali żołnierze, tak jak przy stacji metra, więc nawet nie próbował się zatrzymywać. Przy czwartej rampie, tunelu zaopatrzeniowym prowadzącym z powierzchniowych magazynów w dół, do reaktorów, nie było nikogo.

Zatrzymał się na chwilę. W powietrzu unosiła się kwaśna woń, której nie potrafił zidentyfikować. Powoli zaczęły do niego docierać inne szczegóły. Ślady spalenizny na panelu ściennym, smuga czegoś ciemnego na podłodze korytarza. Usłyszał odległe dźwięki, które dopiero po trzech czy czterech sekundach zidentyfikował jako wystrzały.

Najwyraźniej *dynamiczna sytuacja* oznaczała walki w tunelach. W jego głowie pojawił się obraz sali Mei podziurawionej kulami i zalanej krwią, tak jaskrawy, jakby go sobie przypomniał, a nie wyobraził. Znowu opanowała go panika odczuwana wcześniej pod kopułą, tylko sto razy silniejsza.

– Nic jej nie jest – powiedział do rośliny. – Nie dopuściliby do strzelaniny w przedszkolu. Tam są dzieci.

Czarnozielone liście zaczynały już więdnąć. Przecież nie prowadziliby wojny przy dzieciach. Ani zapasach jedzenia. Ani delikatnych kopułach rolniczych. Znowu trzęsły mu się ręce, ale nie tak mocno, żeby nie mógł kierować.

* * *

Pierwszy wybuch nastąpił, gdy zjeżdżał rampą między siódmym a ósmym poziomem, wzdłuż boku jednej z olbrzymich niczym katedry, niedokończonych jaskiń, gdzie pozostawiono surowy lód księżycy do tajania i ponownego zamrażania w czymś, co było po części zieleńcem, a po części wielkim dziełem sztuki. Zobaczył błysk, potem oberwał falą uderzeniową i skuter wpadł w poślizg. Ściana zbliżała się szybko, więc Praks wyrwał nogę, zanim doszło do uderzenia. Usłyszał krzyczące gdzieś w górze głosy. Żołnierze pewnie mieli pancerze i

rozmawiali przez radio. Przynajmniej tak sądził. Krzyczący w górze ludzie musieli być po prostu ludźmi. Ścianę jaskini wyłobił drugi wybuch, odrywając od sufitu kawał lodu wielkości traktora. Bryła opadała powoli, lecz nieubłaganie ku podłodze, a potem rozbiła się o nią. Praks robił, co mógł, by utrzymać skuter w pionie. Jego serce waliło, jakby chciało się wyrwać z klatki piersiowej.

Na górnej krawędzi zakrzywionej rampy zobaczył postacie w pancerzach. Nie wiedział, czy to żołnierze ONZ, czy Marsa. Jeden zwrócił się w jego stronę, unosząc karabin, więc Praks podkręcił gaz, pędząc szybko w dół rampy. Ściągał go stukot broni automatycznej, woń dymu i pary.

Drzwi przedszkola były zamknięte. Nie wiedział, czy to dobry, czy zły znak. Zatrzymał chwiejny skuter i zeskoczył z niego. Uginały się pod nim nogi. Chciał zapukać delikatnie w stalowe drzwi wejściowe, ale przy pierwszej próbie rozerwał sobie skórę na kostkach.

– Otwórzcie! W środku jest moja córka! – Krzyczał jak szaleniec, ale ktoś w środku go usłyszał albo zobaczył na ekranie monitoringu.

Przegubowe stalowe płyty drzwi drgnęły i zaczęły się unosić. Praks rzucił się na ziemię i przecisnął się pod nimi.

Nową nauczycielkę, pannę Carrie, spotkał zaledwie kilka razy, odprowadzając lub odbierając Mei. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat, była wysoka i szczupła na sposób Pasiarzy. Nie pamiętał, żeby jej twarz była tak szara.

Z drugiej strony sala była nietknięta. Dzieci siedziały w kręgu, śpiewając piosenkę o podróży przez Układ

Słoneczny, z rymami dla wszystkich większych asteroid Pasa. Nie zobaczył żadnej krwi ani dziur po kulach, choć przez otwory wentylacyjne docierała woń palonego plastiku. Musiał zabrać Mei w jakieś bezpieczne miejsce, choć nie bardzo wiedział, gdzie je znaleźć. Popatrzył na krąg dzieci, próbując wyłowić jej twarz i włosy.

– Mei tu nie ma, proszę pana – powiedziała panna Carrie głosem równocześnie zdyszany i napięty. – Dzisiaj rano zabrała ją mama.

– Dziś rano? – odpowiedział Praks, ale jego umysł zatrzymał się na słowie *mama*. Co Nicola robiła na Ganimesie? Dwa dni temu dostał od niej wiadomość w sprawie wyroku dotyczącego alimentów, *nie mogła* dostać się z Ceres na Ganimesa w dwa dni...

– Zaraz po drugim śniadaniu – dodała nauczycielka.

– Chce pani powiedzieć, że została ewakuowana. Ktoś przyszedł i ewakuował Mei.

Nastąpił kolejny wybuch, który wstrząsnął lodem. Jedno z dzieci krzyknęło przestraszone. Nauczycielka obejrzała się w tamtym kierunku, potem z powrotem spojrzała na niego. Gdy znów się odezwała, mówiła ciszej.

– Zaraz po drugim śniadaniu przysza jej mama. Zabrała Mei ze sobą. Nie było jej tu przez resztę dnia.

Praks wyciągnął swój ręczny terminal. Wciąż nie miał połączenia, ale na tapecie miał zdjęcie z pierwszych urodzin Mei, jeszcze w czasach, gdy wszystko było dobrze. Całą wieczność temu. Wywołał zdjęcie i wskazał na Nicolę, śmiejącą się i huśtającą małą, cudowną kulkę szczęścia, którą była Mei.

– Ona? – zapytał Praks. – *Ona* tu była?

Nauczycielka milczała zmieszana. To była pomyłka. Ktoś

– nowa opiekunka, pracownik socjalny czy ktoś – przyszedł odebrać dziecko i zabrał niewłaściwie.

– Była w komputerze – powiedziała nauczycielka. – Miałam ją w systemie. *Pokazało ją.*

Zamigotały światła. Woń dymu nasiliła się, a wymienniki powietrza brzęczały głośno, stukając i trzeszcząc w próbach odessania cząstek stałych. Zakwilił chłopczyk, którego imię Praks powinien pamiętać, a nauczycielka odruchowo próbowała się do niego odwrócić. Praks chwycił ją za łokieć i odwrócił z powrotem.

– Nie, popełniła pani błąd – oznajmił. – Komu wydała pani Mei?

– System powiedział, że to jej mama! Miała identyfikację. Dostała wstęp.

Z korytarza dobiegły przytłumione dźwięki strzelaniny. Ktoś na zewnątrz wrzasnął, a potem dzieci zaczęły krzyczeć ze strachu. Nauczycielka wyrwała rękę. Coś uderzyło o drzwi wejściowe.

– Miała około trzydziestki. Ciemne włosy, ciemne oczy. Był z nią lekarz, ona była w systemie, a Mei nie robiła żadnych problemów.

– Wzięli jej lekarstwo? – zapytał. – Czy wzięli jej *lekarstwo?*

– Nie. Nie wiem. Chyba nie.

Choć wcale tego nie chciał, Praks potrząsnął kobietą. Tylko raz, ale mocno. Jeśli Mei nie miała ze sobą lekarstwa, już ominęła południową dawkę. Możliwe, że jej układ odpornościowy zacznie się wyłączać już rano.

– Pokaż – zażądał Praks. – Pokaż mi zdjęcie. Tej kobiety, która ją zabrała.

– Nie mogę! System nie działa – wykrzyczała nauczycielka. – W korytarzu zabijają ludzi!

Krąg dzieci się rozpadł i ze wszystkich stron dobiegały przerażone krzyki. Nauczycielka płakała, przyciskając dłonie do twarzy. Jej skóra zrobiła się prawie sina. Czuł, jak w jego mózgu szaleje prawie zwierzęca panika. Spokój, który na niego opadł, wcale jej nie ugasił.

– Czy jest tu jakiś tunel ewakuacyjny? – zapytał.

– Powiedzieli nam, żeby tu zostać – odparła nauczycielka.

– A ja pani mówię, żeby je ewakuować – warknął Praks, choć tak naprawdę myślał *muszę znaleźć Mei*.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bobbie

Przytomność wróciła falą gniewnego brzęczenia i bólu. Bobbie zamrugła, próbując oczyścić głowę i zorientować się, gdzie jest. Wszystko było szalenie niewyraźne. Brzęczący dźwięk okazał się alarmem jej skafandra. Kolorowe światła błyskały przez twarz: wyświetlacz skafandra wysyłał jej dane, których nie potrafiła odczytać. Sprzęt był w połowie procedury ponownego uruchamiania i co chwila włączały się kolejne alarmy. Próbowwała poruszyć rękami i stwierdziła, że choć jest słaba, to nie jest sparaliżowana ani unieruchomiona. Żel przeciwwuderzeniowy w skafandrze powrócił do postaci płynnej.

Coś poruszyło się w okienku słabego światła będącego wizjerem jej hełmu. Głowa, pojawiająca się i znikająca z pola widzenia. Potem kliknięcie, gdy ktoś podpiął kabel do zewnętrznego złącza skafandra. Czyli sanitariusz pobierający dane o obrażeniach.

– Mamy cię, Gunny – zabrzmiał młody męski głos w głośniczkach skafandra. – Mamy. Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Trzymaj się tam w środku.

Nie zdążył powiedzieć do końca *w środku*, gdy znowu straciła przytomność.

* * *

Obudziła się, odbijając się na noszach w długim, białym tunelu. Nie miała już na sobie skafandra. Bobbie zaczęła się bać, że połowi technicy medyczni nie tracili czasu na wyjmowanie jej z niego w standardowy sposób, że po prostu aktywowali mechanizm awaryjnego rozsadzania wszystkich uszczelek i złącz. Był to szybki sposób na wydostanie rannego żołnierza z czterystu kilogramów opancerzonego egzoszkieletu, ale skafander ulega! przy tym całkowitemu zniszczeniu. Bobbie poczuła ukłucie żalu z powodu utraty wiernego, starego skafandra.

Chwilę później przypomniała sobie, że cały jej pluton został zabity na jej oczach, i smutek z powodu utraty skafandra wydał się trywialny i poniżający.

Ostrzejszy ruch noszy posłał błyskawicę bólu wzdłuż jej kręgosłupa i z powrotem pogrążył ją w mroku.

* * *

– Sierżant Draper – powiedział głos.

Bobbie spróbowała otworzyć oczy i stwierdziła, że nie potrafi. Każda powieka ważyła tonę i zmęczyła ją nawet próba ich rozchylenia. Zamiast tego spróbowała więc odpowiedzieć i zawstydziła ją pijacka chryпка, która wydobyła się z jej gardła.

– Jest ledwie na granicy przytomności – powiedział głos. Był głęboki, łagodny i należał do mężczyzny. Wydawał się przepelniony ciepłem i troską.

Bobbie miała nadzieję, że będzie mówił dalej do czasu, aż znowu uśnie.

– Niech odpocznie – odpowiedział drugi głos, kobiecy i ostry. – Próba obudzenia jej teraz do końca może być

niebezpieczna.

– Nie obchodzi mnie, czy ją to zabije, pani doktor – zabrzmiał ten ciepły głos. – Muszę porozmawiać z tym żołnierzem, i to teraz. Proszę jej podać wszystko, co konieczne, aby do tego doprowadzić.

Bobbie uśmiechnęła się do siebie, nie przyswajając treści słów miłego głosu, tylko jego ciepłe, miłe brzmienie. Dobrze było mieć kogoś takiego, kto się o nią troszczył. Zaczęła z powrotem usypiać, witając nadchodzący mrok jak starego przyjaciela.

* * *

Wzdłuż jej kręgosłupa powędrował biały ogień i usiadła gwałtownie na łóżku, przytomna jak nigdy. Przypominało to przyjęcie koktajlu, mieszanki chemicznej podawanej załogantom, by utrzymać ich w przytomności podczas manewrów z wysokim przeciążeniem. Bobbie otworzyła oczy, po czym gwałtownie je zacisnęła, gdy jaskrawo białe światło w pomieszczeniu prawie wypaliło jej gałki oczne.

– Zgaście światło – wymamrotała szeptem wydobywającym się z suchego gardła.

Czerwień przebijająca się przez zaciśnięte powieki osłabła, ale gdy znowu je uniosła, wciąż było za jasno. Ktoś chwycił jej dłoń i przytrzymał, po czym wcisnął jej do ręki kubek.

– Potrafisz to utrzymać? – zapytał miły głos.

Bobbie nie odpowiedziała, po prostu przystawiła kubek do ust i łąpczywie wypła wodę.

– Jeszcze – poprosiła i tym razem zabrzmiało to już prawie jak jej zwykły głos.

Usłyszała dźwięki odsuwanego krzesła, a potem kroki

oddalające się po wykładanej kafelkami podłodze. Krótkie spojrzenie na otoczenie powiedziało jej, że jest w szpitalu. Słyszała elektryczny szum urządzeń medycznych w pobliżu, a w nosie o dominację walczyła woń antyseptyków i moczu. Ze wstydem zrozumiała, że to ona jest źródłem tego drugiego zapachu. Przez chwilę słyszała wodę z kranu, potem kroki zbliżyły się do niej. Z powrotem dostała kubek do ręki. Tym razem piła powoli, pozwalając, by woda zostawała na chwilę w ustach, zanim ją przełknęła. Była chłodna i pyszna.

– Jeszcze? – zapytał głos, gdy skończyła.

Pokręciła głową.

– Może później – stwierdziła. A potem, po chwili: – Czy ja ośleplam?

– Nie. Podano ci połączenie leków poprawiających skupienie i silnych amfetamin. Przez co masz całkowicie rozszerzone źrenice. Przepraszam, nie pomyślałem o przygaszeniu światła, zanim się obudzisz.

Głos wciąż był pełen ciepła i troski. Bobbie chciała zobaczyć twarz, do której należał ten głos, więc zaryzykowała ostrożne rozchylenie jednej powieki. Przygaszone światło nie piekło jej jak poprzednio, ale wciąż było nieprzyjemne. Właścicielem głosu okazał się być bardzo wysoki i szczupły mężczyzna w mundurze wywiadu floty. Twarz miał wąską i napiętą, jakby czaszka pod spodem usiłowała się przebić przez skórę. Posłał w jej stronę przerażający uśmiech, który nie sięgał poza lekkie uniesienie kącików ust.

– Sierżant kompanii Roberta W. Draper, 2. Korpus Ekspedycyjny Marines – powiedział głosem tak niepasującym do wyglądu, że Bobbie odniosła wrażenie

oglądania filmu z dubbingiem z innego języka.

– Tak jest, sir – odpowiedziała Bobbie po kilku sekundach ciszy, po czym zerknęła na jego belki i dodała: – Kapitanie.

Mogła teraz otworzyć oczy bez bólu, ale przez jej kończyny rozchodziło się dziwne mrowienie, równocześnie odbierając im czucie i sprawiając, że robiły się rozedrgane. Oparła się potrzebie przebierania palcami.

– Sierżancie Draper, jestem kapitan Thorsson i mam przeprowadzić przesłuchanie. Straciliśmy cały pluton. Na Ganimesesie doszło do dwudniowej walnej bitwy między siłami Organizacji Narodów Zjednoczonych i Marsjańskiej Republiki Kongresowej. Która, według ostatnich szacunków, doprowadziła do strat o wartości ponad pięciu miliardów dolarów MRK w zniszczonej infrastrukturze oraz śmierci prawie trzech tysięcy osób personelu wojskowego i cywilnego.

Znowu urwał, patrząc na nią zmrużonymi oczami, które lśniły jak u węża.

– Tak jest, sir – odpowiedziała Bobbie niepewna, jakiej reakcji oczekiwał.

– Sierżant Draper, dlaczego wasz pluton ostrzelał i zniszczył placówkę wojskową ONZ przy kopule czternaście?

To pytanie było tak absurdalne, że umysł Bobbie spędził kilka sekund na próbach zrozumienia, o co naprawdę mu chodziło.

– Kto rozkazał wam otworzyć ogień i dlaczego?

Oczywiście, nie mógł pytać, dlaczego jej ludzie rozpoczęli walkę. Nie wiedział o potworze?

– Nie wie pan o potworze?

Kapitan Thorsson się nie poruszył, ale kąciki jego ust opadły, a czoło zebrało się w bruzdy nad nosem.

– Potworze – powiedział, nie zmieniając ani odrobinę ciepłego tonu głosu.

– Sir, jakiś rodzaj potwora... mutanta... coś zaatakowało placówkę ONZ. Ich żołnierze biegli do nas, żeby przed tym uciec. Nie strzelaliśmy do nich. Ten... cokolwiek to było, pozabijało ich, a potem zabiło nas – powiedziała, czując mdłości. Musiała urwać, żeby przełknąć kwaśny smak w ustach. – To znaczy, wszystkich oprócz mnie.

Thorsson przez chwilę marszczył brwi, potem sięgnął do jednej z kieszeni i wyciągnął mały dyktafon cyfrowy. Wyłączył go i położył na tacy obok łóżka Bobbie.

– Zamierzam dać wam drugą szansę, sierżancie. Jak dotąd wasze akta są wzorowe. Jesteście świetną marinę. Jedną z najlepszych. Czy chcecie zacząć jeszcze raz?

Podniósł dyktafon i przystawił palec do przycisku kasowania, patrząc na nią znacząco.

– Myśli pan, że kłamie? – zapytała. Swędzenie w kończynach rozwinęło się w bardzo silną chęć sięgnięcia i wyrwania draniowi ręki przy samym barku. – Wszyscy do tego strzelaliśmy. Muszą być nagrania z kamer karabinów całego plutonu, jak to coś zabija żołnierzy ONZ, a potem atakuje nas. Sir.

Thorsson pokręcił swoją głową niczym topór, mrużąc przy tym oczy tak, że prawie całkiem je zamknął.

– Nie mamy transmisji plutonu przez cały okres walki, żadnych przesłanych danych...

– Byliśmy zagłuszani – wtrąciła się Bobbie. – Ja też straciłam łącze radiowe, gdy zbliżyłam się do potwora.

Thorsson kontynuował jakby w ogóle się nie odezwała.

– A cały lokalny sprzęt przepadł, gdy na kopułę spadło lustro orbitalne. Byliście poza miejscem uderzenia, ale fala uderzeniowa odrzuciła was prawie o ćwierć kilometra. Znalezienie was chwilę trwało.

Cały lokalny sprzęt przepadł. Taki sterylny sposób na określenie rzezi. Wszyscy w plutonie Bobbie zostali rozwaleni na kawałki i parę, gdy z orbity spadło na nich kilka tysięcy ton lustra. Jeden z monitorów włączył cichy alarm, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi, więc ona też go zignorowała.

– Mój skafander, sir. Ja też do tego strzelałam. Moje nagranie wciąż powinno tam być.

– Tak – zgodził Thorsson. – Zbadaliśmy nagrania wideo waszego skafandra. Nie ma tam nic poza szumami.

To przypomina kiepski horror, pomyślała. Bohaterka, która widzi potwora, ale nikt nie chce jej uwierzyć. Wyobraziła sobie drugą część, w której w niełasce staje przed sądem wojennym i zyskuje odkupienie dopiero w trzeciej części, gdy potwór pojawia się ponownie i zabija wszystkich, którzy nie wierzyli...

– Chwila! – rzuciła. – Jakiego kodowania użyliście? Mój skafander to starszy model, używa kompresji wideo w wersji 5.1. Proszę to powiedzieć technikowi i niech spróbują jeszcze raz.

Thorsson patrzy! na nią przez kilka chwil, po czym wyciągnął swój ręczny terminal i do kogoś zadzwonił.

– Przynieście skafander bojowy sierżant Draper do jej kabiny. I przyślijcie technika ze sprzętem wideo.

Odłożył terminal, a potem posłał Bobbie kolejny ze swoich przerażających uśmiezków.

– Przyznaję, sierżancie, że jestem bardzo ciekaw tego, co chcecie mi pokazać. Jeśli to wciąż jakiś podstęp, to kupiliście sobie tylko kilka minut.

Bobbie nie odpowiedziała, ale jej reakcja na podejście Thorssona zmieniła się w końcu ze strachu zmieszanego ze złością w irytację. Podciągnęła się do góry na wąskim szpitalnym łóżku i obróciła na bok, siadając na brzegu i odsuwając kołdrę. Jej rozmiary sprawiały, że bliskość zwykle wzbudzała w mężczyznach lęk lub pożądanie. A oba te uczucia sprawiały, że czuli dyskomfort. Nachyliła się lekko w stronę Thorssona i poczuła satysfakcję, gdy odsunął nieco swoje krzesło.

Po rysującej się na jego twarzy odrazie poznała, że natychmiast zorientował się, co zrobiła, i odwrócił wzrok, by nie patrzeć jej w oczy.

Otworzyły się drzwi i dwóch techników w kombinezonach floty wprowadziło do środka jej skafander na wózku. Nienaruszony. Czyli nie rozwalili go, wyciągając ją. Poczowała gulę w gardle i z wysiłkiem z powrotem ją przełknęła. Nie zamierzała okazać choćby cienia słabości w obecności tego błazna Thorssona.

– Ty. – Błazen wskazał technika starszego stopniem. – Jak się nazywasz?

– Bosman elektryk Singh, sir – odpowiedział zapytany, stając na baczność.

– Panie Singh, sierżant Draper twierdzi, że jej kombinezon stosuje inną kompresję wideo niż nowsze skafandry i to dlatego nie potrafiliście odczytać jej danych wideo. Czy to prawda?

Singh uderzył się otwartą dłonią w czoło.

– Cholera. Tak – potwierdził. – Nie pomyślałem... to stary

skafander Goliat typ III. Kiedy zaczęli robić typ IV, całkowicie przepisali oprogramowanie sprzętowe. Zupełnie inny system zapisu wideo. Rety, czuję się strasznie głupio...

– Właśnie – przerwał mu Thorsson. – Zróbcie cokolwiek potrzeba, żeby wyświetlić nagranie wideo zapisane w tym skafandrze. Im szybciej to zrobicie, tym mniej czasu będę miał do rozważań nad opóźnieniami spowodowanymi przez niekompetencję.

Trzeba Singhowi przyznać, że nie odpowiedział. Natychmiast podpiął skafander do monitora i zaczął pracować. Bobbie przyjrzała się swojemu pancerzowi. Miał mnóstwo zadrapań i wgnieceń, ale poza tym wydawał się nieuszkodzony. Poczwała silną ochotę, by go założyć, a potem poinformować Thorssona, gdzie może sobie wsadzić swoje nastawienie.

Przez jej nogi i ręce przebiegły kolejne dreszcze. Coś zamigotało w jej szyi jak bicie serca małego zwierzątka. Sięgnęła i dotknęła tego miejsca. To był jej puls. Zaczęła coś mówić, ale technik właśnie wykonał gest zwycięstwa i przybił piątkę z kolegą.

– Mam to, sir – powiedział Singh, po czym odtworzył nagranie.

Bobbie próbowała oglądać, ale obraz robił się niewyraźny.

Sięgnęła do ręki Thorssona, by zwrócić jego uwagę, ale w jakiś sposób nie trafiła i coraz bardziej przechylała się do przodu.

I znowu to samo, pomyślała, ogarnął ją krótki moment nieważkości i znowu zapadła w mrok.

* * *

– Niech to szlag – warknął ostry głos. – Do cholery, mówiłam, że tak będzie. Ta kobieta doznała ciężkich obrażeń wewnętrznych i paskudnego wstrząśnienia mózgu, nie może jej pan po prostu naszprycować amfą i przesłuchiwać. To nieodpowiedzialne. To cholerna zbrodnia!

Bobbie otworzyła oczy. Znowu była w łóżku. Thorsson siedział obok niej na krześle. Przy nogach łóżka stała korpulentna blondynka w fartuchu szpitalnym z twarzą zaczerwienioną ze złości. Kiedy zobaczyła, że Bobbie jest przytomna, podeszła do niej i ujęła jej dłoń.

– Sierżant Draper, proszę się nie ruszać. Upadła pani i część obrażeń się nasiliła. Zdołaliśmy panią ustabilizować, ale teraz musi pani odpocząć.

Mówiąc to, lekarka patrzyła na Thorssona, wyrazem twarzy dodając wykrzykniki po każdym zdaniu. Bobbie kiwnęła do niej głową, przez co poczuła się jakby miała tam miskę wody niesioną w przesuującym się ciężeniu. Brak bólu prawdopodobnie oznaczał, że podali jej wszystkie leki przeciwbólowe, jakie mieli na stanie.

– Pomoc sierżant Draper była kluczowa – odpowiedział Thorsson bez śladu przeprosin w ciepłym głosie. – Dzięki niej może uda nam się uniknąć otwartej wojny z Ziemią. Ryzykowanie własnym życiem, żeby inni nie musieli ginąć, to w zasadzie definicja pracy Roberta.

– Nie nazywaj mnie Roberta – wymamrotała Bobbie.

– Gunny – poprawił się Thorsson. – Przykro mi z powodu tego, co stało się z waszą drużyną. Ale przede wszystkim przepraszam za to, że wam nie uwierzyłem. Dziękuję za profesjonalną reakcję. Dzięki niej uniknęliśmy poważnego

błądu.

– Myślałam tylko, że jesteś dupkiem – powiedziała Bobbie.

– Taką mam pracę, żołnierzu. – Thorsson wstał. – Odpocznijcie.

Wyślemy was, gdy tylko zbierzecie dość sił na podróż.

– Wyślecie mnie? Z powrotem na Marsa?

Thorsson nie odpowiedział. Kiwnął głową lekarce, a potem wyszedł. Kobieta wcisnęła przycisk na jednym z urządzeń obok łóżka Bobbie i coś chłodnego wpłynęło do jej ramienia. Zgasło światło.

* * *

Galaretką. Czemu w szpitalach zawsze podaj galaretkę?

Bobbie bez entuzjazmu dźgnęła łyżkowiedelcem drżącą półkulę na talerzu. W końcu czuła się dość dobrze, by jeść, a miękkie, przejrzyste dania, które jej przynoszono, zaczynały się jej nudzić. W tej chwili atrakcyjna wydawała się nawet wysokobiałkowa i zawierająca dużo węglowodanów breja, którą serwowano na większości jednostek floty. Albo zalany sosem gruby stek z grzybów z dodatkiem kuskusu...

Rozsunęły się drzwi do jej pokoju i weszła lekarka, Trisha Pichon (która upierała się, by zwracać się do niej doktor Trish) w towarzystwie kapitana Thorssona i jeszcze jednego, nieznanego jej mężczyzny. Thorsson poczęstował ją swoim upiornym uśmiechem, ale Bobbie nauczyła się już, że jego twarz po prostu tak działała. Wydawało się, że brak mu mięśni potrzebnych do normalnego uśmiechu. Nowy mężczyzna miał na sobie mundur kapelana marines o nieokreślonej przynależności

religijnej.

Pierwsza odezwała się doktor Trish.

– Dobre wieści, Bobbie. Jutro cię wypuścimy. Jak się czujesz?

– Dobrze. Głodna – odpowiedziała Bobbie, znowu szturchając galaretkę.

– W takim razie spróbujemy ci podać prawdziwe jedzenie – stwierdziła doktor Trish z uśmiechem i wyszła z pokoju.

Thorsson wskazał kapelana.

– To kapitan Martens. Poleci z nami. Zostawię was, żebyście się mogli poznać.

Thorsson wyszedł, zanim Bobbie zdążyła zareagować, a Martens usiadł na krześle stojącym obok łóżka. Wyciągnął rękę, więc ją uścisnęła.

– Witam, sierżancie – powiedział. – Ja...

– Kiedy na formularzu 2790 zaznaczyłam „brak” w polu dotyczącym religii, traktowałam to poważnie – przerwała mu Bobbie.

Martens uśmiechnął się, najwyraźniej wcale niedotknięty jej impertynencją ani agnostycyzmem.

– Nie przyszedłem tu jako doradca religijny, sierżancie. Jestem również przeszkolonym psychoterapeutą, a ponieważ byliście świadkiem śmierci wszystkich członków swojej jednostki i sami o mało co nie zginęliście, kapitan Thorsson i wasza lekarka zgadzają się, że możecie potrzebować mojej pomocy.

Bobbie zaczęła protestować, ale jej słowa zostały zdławione przez nagłą gulę w gardle. Ukryła dyskomfort, popijając wodę z kubka.

– Nic mi nie jest. Dziękuję za odwiedziny.

Martens odchylił się na oparcie krzesła, ani na chwilę nie przestając się uśmiechać.

– Gdyby faktycznie nic wam nie było po tym, co przeszliście, byłby to znak, że coś z wami jest źle. A niedługo zostanieie wrzuceni w sytuację, która będzie się wiązać z dużym napięciem emocjonalnym i intelektualnym. Gdy znajdziemy się na Ziemi, nie będziecie mogli sobie pozwolić na luksus załamania emocjonalnego lub reakcje pourazowe. Czeka nas sporo pracy.

– Ziemia? – Bobbie chwyciła się tego słowa. – Chwileczkę. Czemu lecę na *Ziemię*?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Avasarala

Chrisjen Avasarala, zastępca podsekretarza rządu, siedziała blisko końca stołu. Miała na sobie pomarańczowe sari, będące jedynym barwnym akcentem pośród wojskowych granatów i szarości spotkania. Oprócz niej przy stole siedziało siedmiu dowódców poszczególnych typów sił zbrojnych Organizacji Narodów Zjednoczonych, sami mężczyźni. Znała ich nazwiska, przebiegi karier i profile psychologiczne, wysokość pensji, powiązania polityczne i wiedziała, z kim sypiali. Pod ścianami, jak wstydlivi nastolatki na tańcach, stali sztywno asystenci i członkowie personelu. Avasarala wyciągnęła z torebki pistację, dyskretnie otworzyła skorupkę i włożyła do ust słony orzeszek.

– Wszelkie spotkania z marsjańskim dowództwem będą musiały poczekać na ustabilizowanie się sytuacji na Ganimesie. Wcześniejsze prowadzenie oficjalnych rozmów dyplomatycznych wywoła wrażenie, że akceptujemy nowe status quo. – Mówił admirał Nguyen, najmłodszy z obecnych. Drapieżny. Pełen przekonania o swojej wyjątkowości, jak to zwykle bywało u młodych mężczyzn, którzy odnieśli sukces.

Generał Adiki– Sandoval kiwnął głową szeroką jak u byka. – Zgadzam się. Nie możemy myśleć tylko o Marsie.

Jeśli zaczniemy sprawiać wrażenie słabych, Sojusz Planet Zewnętrznych z pewnością nasili działania terrorystyczne.

Mikel Agee z korpusu dyplomatycznego odchylił się na fotelu i nerwowo oblizał wargi. Jego lśniące, czarne włosy i ściągnięta twarz nadawały mu wygląd wielkiego, człekokształtnego szczura.

– Panowie, muszę się nie zgodzić...

– Oczywiście, że tak – rzucił cierpko generał Nettleford.

Agee go zignorował.

– Spotkanie z Marsem na tym etapie jest koniecznym krokiem. Jeśli zaczniemy piętrzyć warunki wstępne i przeszkody, to nie tylko cały proces potrwa dłużej, ale wzrośnie też ryzyko wznowienia wrogich działań. Jeśli zdołamy zmniejszyć ciśnienie, spuścić trochę pary...

Admirał Nguyen kiwnął głową z twarzą bez wyrazu. Odezwał się konwersacyjnym tonem.

– Czy wy tam w dyplomacji macie jakieś metafory świeższe niż silnik parowy?

Avasarala zaśmiała się ze wszystkimi. Ona też nie miała dobrej opinii na temat kompetencji Ageego.

– Mars już eskalował – zauważył generał Nettleford. – Wydaje mi się, że w tej chwili najlepszym ruchem będzie ściągnięcie Siódmej z powrotem ze stacji Ceres. Niech lecą. Powiesimy na ścianie tykający zegar i zobaczymy, czy Mars będzie chciał bronić Ganimedesa.

– Mówisz o przeniesieniu ich do układu Jowisza? – zapytał Nguyen. – Czy wysłaniu w stronę Marsa?

– Wysłanie czegoś stamtąd w stronę Ziemi wygląda bardzo podobnie do wysłania go w stronę Marsa – odpowiedział Nettleford.

Avasarala odchrząknęła.

– Macie coś nowego na temat początkowego ataku? – spytała.

– Pracują nad tym technicy – odpowiedział Nettleford. – Ale to tylko wzmacnia moje stanowisko. Jeśli Mars testuje na Ganimesie nowe technologie, nie możemy im pozwolić na kontrolowanie tempa. Musimy umieścić na stole własne zagrożenie.

– Ale to była protomolekuła, tak? – zapytał Agee. – To znaczy, to coś, co było na Erosie, gdy został przejęty?

– Pracujemy nad tym – powtórzył Nettleford, z większym naciskiem na słowa. – Istnieją pewne powierzchowne podobieństwa, ale też podstawowe różnice. Protomolekuła nie rozprzestrzeniła się tak, jak na Erosie. Ganimes nie zmienia się tak, jak stało się z populacją Erosa. Na podstawie zebranych obrazów satelitarnych wygląda na to, że to coś skierowało się na terytorium Marsjan i uległo samozniszczeniu albo oni się tego pozbyli. Jeśli to w ogóle ma związek z Erosem, zostało mocno dopracowane.

– Czyli Mars ma próbkę i zdołali zrobić z tego broń – stwierdził admirał Souther. Nie odzywał się często i Avasarala zawsze zapominała, jak wysoki ma głos.

– To jedna z możliwości – przyznał Nettleford. – Bardzo poważna możliwość.

– Słuchajcie – powiedział Nguyen z pełnym samozadowolenia uśmiechem, jak dziecko pewne, że dostanie to, czego chce. – Wiem, że nie ma mowy o pierwszym uderzeniu, ale musimy porozmawiać na temat ograniczeń bezpośredniej odpowiedzi. Jeśli było to przygotowanie do czegoś większego, czekanie może się

równać wyjściu przez służę.

– Powinniśmy odbyć to spotkanie z Marsem – oświadczyła Avasarala.

W pokoju zapadła cisza. Twarz Nguyena pociemniała.

– Czy to... – zaczął, ale nie dokończył zdania.

Avasarala patrzyła, jak mężczyźni przyglądają się sobie nawzajem. Wyciągnęła z torebki kolejną pistację, zjadła orzeszek i schowała skorupki. Agee próbował nie wyglądać na zadowolonego. Naprawdę będzie musiała się dowiedzieć, kto zdołał wystawić go do reprezentowania korpusu dyplomatycznego. To był fatalny wybór.

– Będzie problem z zapewnieniem bezpieczeństwa – zauważył Nettleford. – Nie wpuszczimy ich okrętów wewnątrz naszego skutecznego obwodu obronnego.

– No cóż, nie możemy tego spotkania przeprowadzić na ich warunkach. Jeśli mamy to zrobić, chcemy ich tutaj, w miejscu, gdzie będziemy kontrolować teren.

– Zaparkować ich w bezpiecznej odległości i podjąć naszymi transporterami?

– Nigdy się na to nie zgodzą.

– W takim razie sprawdźmy, na co pójdą.

Avasarala cicho wstała i ruszyła do drzwi. Jej asystent – pochodzący z Europy młodzieniec, Soren Cottwarld – oderwał się od ściany i poszedł jej śladem. Generałowie udawali, że nie widzą jej wyjścia, a może byli tak pogrążeni w nowych problemach, które im podsunęła, że faktycznie im to umknęło. W każdym razie nie miała wątpliwości, że są równie zadowoleni z jej nieobecności, jak ona z wyjścia.

Korytarze kompleksu ONZ w Hadze były czyste i szerokie, urządzone w łagodnym stylu nadającym

wszystkiemu wygląd muzealnej dioramy portugalskich kolonii z lat czterdziestych dwudziestego wieku. Zatrzymała się przy recyklerze odpadów organicznych i zaczęła wydlubywać łupiny z torebki.

– Co następne? – zapytała.

– Odprawa z panem Errinwrightem.

– A później?

– Meeston Gravis w sprawie problemu afgańskiego.

– Anuluj to.

– Co mam im powiedzieć?

Avasarala otrzepała dłonie nad koszem i odwróciła się, maszerując energicznie w stronę centralnych pomieszczeń i wind.

– Pieprzyć go – rzuciła. – Powiedz mu, że Afgańczycy opierali się zewnętrznej władzy, jeszcze zanim moi przodkowie wyrzucili od siebie Brytyjczyków. Dam mu znać, gdy tylko znajdę sposób, żeby to zmienić.

– Tak jest, proszę pani.

– Potrzebuję też zaktualizowanego podsumowania w sprawie Wenus. Najnowszego. I nie mam czasu na zdobycie kolejnego doktoratu, żeby go przeczytać, więc jeśli nie będzie napisany jasnym, czytelnym językiem, wywal sukinsyna i znajdź kogoś, kto potrafi pisać.

– Tak jest, proszę pani.

Winda jadąca z poziomu lobby i sal konferencyjnych do biur błyszczała jak osadzony w stali oszlifowany diament i mogła swobodnie pomieścić stół zastawiony na cztery osoby. Rozpoznała ich, gdy weszli, i zaczęła wznoszenie się poprzez poziomy. Na zewnątrz okien wspólnych obszarów Binnenhof wydawał się kurczyć, a pod idealnie błękitnym niebem rozciągało się olbrzymie mrowisko

budynków Hagi. Była wiosna i śnieg leżący w mieście od grudnia w końcu zniknął. Z ulic daleko w dole zrywały się stada gołębi. Na planecie mieszkało trzydzieści miliardów ludzi, ale nigdy nie będzie ich więcej niż gołębi.

– To sami pieprzeni faceci – rzuciła.

– Przepraszam? – zapytał Soren.

– Generałowie. To sami pieprzeni faceci.

– Myślałem, że Souther był jedynym...

– Nie oni pieprzą, tylko są pieprzeni. Ta banda to sami mężczyźni. Kiedy ostatni raz to kobieta dowodziła siłami zbrojnymi? Na pewno nie za moich czasów. Iw ten sposób otrzymujemy kolejny przykład tego, co dzieje się z polityką, gdy w pokoju unosi się za dużo testosteronu. Co mi przypomina jedną rzecz: skontaktuj się z Annette Rabbir z infrastruktury. Nie ufam Nguyenowi. Chcę wiedzieć, jeśli nastąpi nasilenie wymiany wiadomości między nim a kimkolwiek ze zgromadzenia ogólnego.

Soren odchrząknął.

– Bardzo przepraszam, ale czy kazała mi pani właśnie szpiegować admirała Nguyena?

– Nie, poprosiłam o wszechstronny audyt całego ruchu sieciowego i nie obchodzi mnie wynik ogólny, tylko część dotycząca biura Nguyena.

– Oczywiście. Mój błąd.

Winda wzniosła się powyżej okien, pozostawiając w dole widok miasta, i pogrążyła się w ciemnym tunelu prywatnych biur. Avasarala strzeliła kostkami palców.

– Choć tak na wszelki wypadek – dodała – zrób to z własnej inicjatywy.

– Tak jest, proszę pani. Też tak pomyślałem.

Dla osób znających Avasaralę tylko ze słyszenia – jej

biuro wyglądało zwodniczo skromnie. Znajdowało się po wschodniej stronie budynku, gdzie zwykle karierę zaczynali urzędnicy niżsi rangą. Miała okno z widokiem na miasto, ale nie narożne. Ekran zajmujący większość południowej ściany był wyłączany, gdy nie był potrzebny, prezentując się jako matowoczarny prostokąt. Pozostałe ściany pokryto bambusowymi panelami. Dywan miał praktyczne, krótkie włosie i wzory ułatwiające ukrycie plam. Jedyłą ozdobą była mała kapliczka z glinianą rzeźbą Gautamy Buddy, stojąca obok biurka, oraz wazon z rżniętego kryształu z kwiatami przysyłanymi w każdy czwartek przez jej męża, Arjuna. Pomieszczenie pachniało świeżymi kwiatami i starym dymem fajkowym, choć Avasarala nigdy nie paliła i nie знаła nikogo, kto by palił. Podeszła do okna. W dole rozciągało się miasto zamknięte w betonie i antycznym kamieniu.

Na ciemniejszym niebie świeciła Wenus.

W ciągu dwunastu lat, przez które zasiadała przy tym biurku, w tym pokoju, zmieniło się wszystko. Sojusz między Ziemią i jej młodszym bratem był kiedyś wieczny i nienaruszalny. Pas stanowił źródło irytacji i kryjówkę niewielkich grup renegatów i wichrzycieli, którzy częściej ginęli na skutek awarii statków niż trafiali przed sądy. Ludzkość była sama we wszechświecie.

A potem to tajne odkrycie, że Febe, dziwaczny księżyc Saturna, był bronią obcych wystrzeloną na Ziemię, gdy życie było ledwie ciekawym pomysłem osłoniętym błoną lipidową. Jak po czymś takim cokolwiek mogło zostać takie samo?

A jednak. Owszem, Ziemia i Mars wciąż nie były pewne, czy są trwałymi sojusznikami, czy śmiertelnymi wrogami.

Tak, SPZ, Hezbollah próżni, zmieniał się w prawdziwą siłę polityczną planet zewnętrznych. Prawda, to coś, co miało przekształcić prymitywną biosferę Ziemi, poleciało na przejętym asteroidzie w chmury Wenus i zaczęło tam coś robić.

A jednak wciąż przychodziła wiosna. Cykl wyborów nie ulegał zmianie. Wieczne gwiazdy nadal rozświetlały niebo w kolorze indygo, świecąc jaśniej niż nawet największe miasta Ziemi.

Przeważnie znajdowała w tym komfort.

– Pan Errinwright – poinformował Soren.

Avasarala odwróciła się do budzącego się właśnie ekranu na ścianie. Sadavir Errinwright miał skórę ciemniejszą niż ona i okrągłą, miękką twarz. Świetnie wpasowywałyby się w dowolne miejsce Pendżabu, ale jego głos emanował chłodnym, analitycznym rozbawieniem Brytanii. Miał na sobie ciemny garnitur i elegancki, wąski krawat. Gdziekolwiek był, za jego plecami świeciło jasne światło dnia. Obraz migotał, system wyraźnie miał problem ze zrównoważeniem jasnego tła z ciemną twarzą, wyświetlając go w cieniu rządowego biura lub jako sylwetkę otoczoną światłem.

– Mam nadzieję, że spotkanie było udane?

– Było nieźle – odpowiedziała. – Będziemy dalej pracować nad szczytem marsjańskim. Obecnie dyskutują o kwestiach bezpieczeństwa.

– Taki był konsensus?

– Tak, gdy im to powiedziałam. Marsjanie wysyłają swoich najważniejszych przedstawicieli na spotkanie z Organizacją Narodów Zjednoczonych, aby osobiście przekazać przeprosiny i omówić sposób normalizacji

stosunków i przywrócenia Ganimedesa do bla bla bla.
Tak?

Errinwright podrapał się po brodzie.

– Nie jestem pewien, czy tak to widzą nasi odpowiednicy na Marsie – stwierdził.

– To będą mogli protestować. Wyślemy bojowe informacje dla prasy i zagrozimy anulowaniem spotkania nawet w ostatniej chwili. Tego rodzaju dramatyczne rozgrywki świetnie się sprzedają. A przede wszystkim doskonale odwracają uwagę. Po prostu nie pozwól pustogłowemu mówić o Wenus albo Erosie.

Skurcz na jego twarzy był prawie niewidoczny.

– Proszę, czy mogłabyś nie określać sekretarza generalnego mianem pustogłowego?

– Czemu nie? On wie, że to robię. Mówię mu to prosto w oczy, nie ma nic przeciwko.

– Uważa, że żartujesz.

– Bo jest pieprzonym pustogłowym. Nie pozwól mu mówić o Wenus.

– A nagrania?

Pytanie było uzasadnione. Cokolwiek dokonało ataku na Ganimesie, zaczęło na terenie kontrolowanym przez ONZ. Jeśli wierzyć wymianie wiadomości na poufnych kanałach – a zwykle były wiarygodne – Mars miał nagranie z kamery skafandra jakiegoś marine. Avasarala obejrzała siedem minut wysokiej rozdzielczości nagrania z czterdziestu kamer, na którym to coś mordowało najlepszych ludzi, jakich mogła wystawić Ziemia. Nawet gdyby Marsjan udało się przekonać do zamiecenia tego pod dywan, nie będzie to proste.

– Daj mi czas do spotkania – odpowiedziała Avasarala. –

Zobaczę, co powiedzą i w jaki sposób. Wtedy będę wiedziała, co zrobić. Jeśli to marsjańska broń, będzie to widać po tym, co przyniosą ze sobą do stołu.

– Rozumiem – odpowiedział powoli Errinwright. Co znaczyło, że nie rozumie.

– Z całym należnym szacunkiem, sir – powiedziała – na razie to musi pozostać wyłącznie między Ziemią a Marsem.

– Czy naprawdę chcemy dramatycznych rozgrywek między dwoma największymi siłami wojskowymi w układzie? Jak to sobie wyobrażasz?

– Dostałam informację od Michaela– Jona de Uturbe o zwiększonej aktywności na Wenus *w tej samej chwili*, gdy na Ganimesie zaczęła się strzelanina. To nie był wielki skok, ale zauważalny. A Wenus, która robi się niespokojna, gdy na Ganimesie pojawia się coś, co cholernie przypomina protomolekułę? To problem.

Dała mu chwilę na przyswojenie tego, zanim zaczęła mówić dalej. Wzrok Errinwrighta przesunął się, jakby czytał coś z powietrza. Było to dla niego typowe, gdy intensywnie się zastanawiał.

– Potrząsanie szabelką to nic nowego – powiedziała. – Przeżyliśmy je. Wszyscy wiedzą, czego się spodziewać. Mam segregator, w który wciśnięto dziewięćset stron analiz i planów awaryjnych na wypadek konfliktu z Marsem, włącznie z czternastoma sposobami postępowania, gdyby rozwinęli zupełnie nową, niespodziewaną technologię. Segregator ze scenariuszami na wypadek pojawienia się czegoś z Wenus ma całe trzy strony i zaczyna się od *Krok pierwszy: pomódl się*.

Errinwright spoważniał. Słyszała za sobą Sorena,

siedzącego w ciszy innej i bardziej emanującej niepokojem niż zwykle. Wyłożyła swój strach na stół.

– Mamy trzy opcje – oznajmiła cicho. – Pierwsza: to dzieło Marsa. To tylko wojna. Poradzimy sobie z tym. Druga: zrobił to ktoś inny. Nieprzyjemne i niebezpieczne, ale do rozwiązania. Trzecia: zrobiło się samo. A wtedy nie mamy nic.

– Zamierzasz wsadzić więcej stron do tego segregatora? – zapytał Errinwright. Brzmiał nonszalancko, ale wcale się tak nie czuł.

– Nie, sir. Zamierzam dowiedzieć się, z którą z tych opcji faktycznie mamy do czynienia. Jeśli to jedna z dwóch pierwszych, rozwiążę problem.

– A jeśli to trzecia?

– Przejdę na emeryturę – odpowiedziała. – Niech sprawą zajmie się jakiś inny dureń.

Errinwright znał ją dość długo, by usłyszeć żart w jej głosie. Uśmiechnął się i z roztargnieniem poprawił sobie krawat. To był jego charakterystyczny ruch. Był równie zaniepokojony jak ona. Choć nie zauważyłby tego nikt, kto nie znał go bardzo dobrze.

– To balansowanie na linie. Nie możemy dopuścić, by konflikt na Ganimesie zrobił się zbyt ostry.

– Dopilnuję, żeby była to jedynie impreza na boku – zapewniła Avasarala. – Nikt nie zaczyna wojny bez mojego pozwolenia.

– Chcesz powiedzieć, że bez wydania stosownej decyzji przez sekretarza generalnego, popartej głosowaniem zgromadzenia ogólnego.

– To ja mu mówię, kiedy może to zrobić – odcięła się. – Ale możesz mu przekazać wieści. Jaja mu się kurczą, gdy

takie rzeczy mówi mu stara baba.

– Zdecydowanie nie możemy do tego dopuścić. Daj znać, czego się dowiesz. Porozmawiam z ludźmi od pisania przemówień i dopilnuję, by tekst jego oświadczenia nie wyszedł poza stosowne ramy.

– A ktokolwiek dopuści do wycieku nagrania z ataku, będzie odpowiadał przede mną – dodała.

– Każdy, kto je wypuści, będzie winny zdrady, postawiony przed prawomocnym sądem i wysłany na dożywocie do kolonii karnej na Lunie.

– Może być.

– Nie odstawiaj samosądów, Chrisjen. Mamy trudne czasy, im mniej niespodzianek, tym lepiej.

– Tak jest, sir – odpowiedziała. Połączenie zostało zerwane, ekran zgasł. Zobaczyła w nim swoje niewyraźne odbicie jako smugę pomarańcza z siwymi włosami. Soren był plamą khaki i bieli.

– Potrzebujesz więcej pracy?

– Nie, proszę pani.

– To wynoś się stąd w cholerę.

– Tak jest, proszę pani.

Usłyszała oddalające się kroki.

– Soren!

– Proszę pani?

– Daj mi listę wszystkich, którzy zeznawali podczas przesłuchań w sprawie zdarzenia na Erosie. I przepuść wszystko, co mówili, przez analityków neuropsychiatrycznych, jeśli jeszcze nie zostało to zrobione.

– Czy chce pani transkrypcje?

– Tak, to też.

– Prześlę je pani najszybciej, jak to możliwe.

Zamknął za sobą drzwi, a Avasarala zapadła się w fotelu. Bolały ją stopy, a ból głowy grożący jej od poranka nasilał się, realizując groźby. Budda uśmiechnął się łagodnie, więc odpowiedziała mu śmiechem, jakby opowiedział żart. Miała ochotę wrócić do domu, usiąść na ganku i słuchać, jak Arjun ćwiczy na pianinie.

Zamiast tego...

Zadzwoiła do Arjuna ze swojego ręcznego terminala, zamiast używać systemu biurowego. Jakiś przesąd kazał jej utrzymywać te dwie sfery osobno, nawet w tak drobnych sprawach. Natychmiast odebrał połączenie. Miał kanciastą twarz z niemal już całkiem siwą, krótką brodą. Radosny błysk w oczach nie znikał nigdy, nawet gdy płakał. Zrobiło jej się lżej na piersi od samego patrzenia na niego.

– Będę dziś późno w domu – powiedziała, natychmiast żałując rzeczowego tonu. Arjun kiwnął głową.

– Jestem wstrząśnięty ponad wszelkie wyobrażenie. – Nawet jego sarkazm był łagodny. – Maską bardzo ci dziś ciąży?

Nazywał to maską. Jakby osoba, którą była, stając przed światem, była fałszem, a prawdziwa była tylko ta, która rozmawiała z nim i bawiła się z wnukami. Uważała, że się myli, ale ta fikcja była na tyle przyjemna, że nigdy nie protestowała.

– Dzisiaj wyjątkowo. Co ty robisz, kochany?

– Czytam wstępną wersję rozprawy doktorskiej Kukurri. Wymaga poprawek.

– Jesteś w biurze?

– Tak.

– Powinieneś wyjść do ogrodu – zasugerowała.

– Bo tam właśnie chciałabyś być? Możemy iść razem, gdy wrócisz do domu.

Westchnęła.

– Mogę być bardzo późno.

– W takim razie obudź mnie, jak wrócisz, wtedy pójdziemy. Dotknęła ekranu, a on się uśmiechnął, jakby poczuł pieszczotę.

Rozłączyła się. Od dawna mieli zwyczaj nie mówić sobie do widzenia. Była to jedna z tysięcy drobnych rzeczy rodzących się z dziesięcioleci małżeństwa.

Avasarala obróciła się do systemu biurkowego i wywołała analizę taktyczną bitwy na Ganimesie, profile wywiadowcze głównych dowódców sił Marsa oraz plan spotkania wypełniony już częściowo przez generałów od czasu opuszczenia przez nią konferencji. Wyciągnęła z torebki pistację, rozerwała łupinkę i pogrążyła się w fali informacji, tańcząc w nich myślami. W oknie za jej plecami gwiazdy walczyły ze świetlnym zanieczyszczeniem Hagi, ale najjaśniejsza i tak była Wenus.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Holden

Holden śnił o długich, krętych korytarzach wypełnionych na wpół ludzkimi koszmarami, gdy głośne brzęczenie obudziło go w całym czarnej kabinie. Przez chwilę zmagął się z nieznanymi taśmami pryczy, zanim zdołał się odczepić i unieść w nieważkości. Znowu zabrzączał panel ścienny. Odepchnął się od łóżka i wcisnął przycisk, zalewając światłem maleńką kabinę. Siedemdziesięcioletnia prycza przeciążeniowa nad schowkiem na rzeczy osobiste pod jedną ze ścian, ubikacja i umywalka w rogu i panel ścienny naprzeciw łóżka z wymalowaną powyżej nazwą *Lunatyk*.

Panel zabrzączał po raz trzeci.

– Gdzie jesteśmy, Naomi? – zapytał Holden po wciśnięciu przycisku odpowiedzi.

– Końcowe hamowanie na orbitę parkingową. Nie uwierzysz, ale kazali nam się ustawić w kolejce.

– Ustawić w kolejce?

– Tak – potwierdziła Naomi. – Chyba wchodzą na wszystkie statki lądujące na Ganimesesie.

Cholera.

– Cholera. Która strona?

– Czy to istotne?

– Cóż – rzucił Holden. – Ziemia chce mnie dostać za

przejęcie kilku tysięcy ich pocisków nuklearnych i przekazanie ich SPZ. Mars tylko za kradzież statku. Chyba wiąże się z tym różne wymiary kary.

Naomi się roześmiała.

– W obu wypadkach zamknęliby cię na wieczność.

– W takim razie możesz mnie uznać za pedanta.

– Ta grupa, do której czekamy w kolejce, wygląda na okręty ONZ, ale obok nich zaparkowała marsjańska fregata i obserwuje wszystko.

Holden w duchu odmówił modlitwę dziękczynną za to, że dał się na Tycho przekonać Fredowi Johnsonowi do lotu na Ganimesesa świeżo naprawionym *Lunatykiem*, zamiast próby lądowania *Rosynantem*. Frachtowiec był w tej chwili najmniej podejrzanie wyglądającym statkiem floty SPZ. I wiązało się z nim znacznie mniejsze ryzyko ściągnięcia niechcianej uwagi niż lot skradzionym okrętem marsjańskim. Zostawili *Rosa* zaparkowanego milion kilometrów od Jowisza w miejscu, gdzie raczej nikt nie będzie zaglądał. Aleks wyłączył na okręcie wszystko poza wymiennikami powietrza i czujnikami biernymi, a teraz pewnie siedział w kabinie z grzejnikiem i mnóstwem koców, czekając na wiadomość.

– Dobra, idę na górę. Wyślij wiązkę kierunkową do Aleksa i daj mu znać, jak wygląda sytuacja. Jeśli nas aresztują, ma zabrać *Rosa* z powrotem na Tycho.

Holden otworzył schowek pod koją i wyciągnął kiepsko dopasowany kombinezon z wyszytą na plecach nazwą *Lunatyk* oraz nazwiskiem *Philips* na kieszeni na piersi. Według dokumentów statku sprokurowanych przez magików na Tycho był marynarzem pierwszej klasy, Walterem Philipsem, inżynierem i pomocnikiem do

wszystkiego na frachtowcu z żywnością *Lunatyk*. Był również trzecim w strukturze dowodzenia na trzyosobowym statku. Ze względu na jego reputację w Układzie Słonecznym uznano, że lepiej będzie, jeśli Holden nie dostanie na statku stanowiska wymagającego rozmowy z jakimikolwiek władzami.

Umył się nad maleńką umywalką – zamiast swobodnie płynącej wody oferowała system wilgotnych ręczników i mydlanych gazików– drapiąc się z irytacją po mizernej brodzie hodowanej w ramach maskowania. Nigdy dotąd nie próbował dorobić się brody i był bardzo rozczarowany odkryciem, że owłosienie na jego twarzy rosło w kępkach nierównej długości, kręconych włosów. W ramach solidarności Amos również przestał się golić i mógł się teraz poszczycić bujną lwią grzywą, rozważał nawet, czy nie zachować jej na stałe, bo wyglądała świetnie.

Holden wsunął do komory recyklera zużyty ręcznik i odepchnął się w stronę wjazdu kabiny, a potem wleciał wzdłuż drabiny na pokład dowodzenia.

Nie, żeby było czym dowodzić. *Lunatyk* miał prawie sto lat i był coraz bliżej końca służby. Gdyby na potrzeby zadania nie potrzebowali takiego właśnie statku, ludzie Freda prawdopodobnie już rozebraliby go na części. Niedawne starcie z piratami też mu się nie przysłużyło. Jednak ostatnie dwadzieścia lat służby jednostka spędziła, przewożąc jedzenie między Ganimedesem a Ceres i w rejestrach pokaże się jako regularny gość księżycy Jowisza. Nie powinni wzbudzić żadnych podejrzeń, lecąc z zaopatrzeniem dla potrzebujących. Fred uznał, że dzięki regularnym wizytom na Ganimedesie statek może zostać

przepuszczony bez kontroli celnej i ściągania uwagi blokujących wojsk.

Wyglądało na to, że nieco się przeliczył.

Gdy Holden przybył na miejsce, zastał Naomi przypiętą przy jednym ze stanowisk sterowania. Miała na sobie zielony kombinezon podobny do tego, który on nosił, choć na kieszeni wyszyto nazwisko *Estancia*. Posłała mu uśmiech i gestem wezwała, żeby spojrzał na jej ekran.

– To grupa statków, które sprawdzają wszystkich przed lądowaniem.

– Szlag – rzucił Holden, powiększając obraz teleskopowy, żeby lepiej przyjrzeć się kadłubom i oznakowaniu. – Zdecydowanie okręty ONZ. – Na ekranie coś małego przeleciało między jednym ze statków ONZ a dużym frachtowcem znajdującym się obecnie na czele kolejki. – A to wygląda jak szalupa abordażowa.

– Cóż, w takim razie dobrze, że nie strzygłeś się od miesiąca – powiedziała, ciągnąc go za brodę. – Z tą szczotką na głowie i paskudną brodą nie poznałyby cię nawet twoje własne matki.

– Mam nadzieję, że nie powołali ich do służby – odpowiedział Holden, próbując zachować równie lekki ton. – Ostrzegę Amosa, że przylecą.

* * *

Holden, Naomi i Amos czekali w krótkim korytarzyku z szafkami, tuż przed wewnętrznymi drzwiami śluzy, aż grupa kontrolerów zakończy cykl śluzy. Naomi wyglądała bardzo sztywno w świeżo wypranym mundurze kapitańskim i magnetycznych butach. Kapitan *Estancia* dowodziła *Lunatykiem* przez dziesięć lat, zanim zginęła w

pirackim ataku. Holden uważał, że Naomi świetnie nadawała się na jej zastępstwo.

Stojący za nią Amos miał na sobie kombinezon z plaketką głównego mechanika i znudzony wyraz twarzy. Wydawał się przygarbiony nawet w nieważkości na ich bieżącej orbicie wokół Ganimedesa. Holden starał się naśladować jego postawę i nieco zirytowany wyraz twarzy.

Śluza zakończyła pracę i rozsunęły się jej wewnętrzne drzwi. Do środka, hałasując magnetycznymi butami, weszło sześciu marines w pancerzach bojowych i młody porucznik. Porucznik szybko obejrzał załogę i sprawdził coś na swoim ręcznym terminalu. Wyglądał na równie znudzonego co Amos. Holden domyślał się, że biedak został przydzielony do nieprzyjemnego zadania kontrolowania statków przez cały dzień i prawdopodobnie chciał jak najszybciej mieć to zadanie za sobą.

– Rowena Estancia, kapitan i większościowy udziałowiec zarejestrowanego na Ceres frachtowca *Łkający lunatyk*.

Nie zrobił z tego pytania, ale Naomi i tak odpowiedziała.

– Tak jest, sir.

– Podoba mi się nazwa – skomentował porucznik, nie odrywając wzroku od terminala.

– Sir?

– Nazwa statku. Jest niezwykła. Jeśli wejdę na pokład jeszcze jednego statku nazwanego na cześć czyjegoś dziecka lub dziewczyny zostawionej po tym magicznym weekendzie na Tytanie, to przysięgam, że zacznę wystawiać mandaty za brak wyobraźni.

Holden poczuł napięcie rodzące się u podstawy

kręgosłupa i wędrujące do góry. Porucznik mógł być znudzony pracą, ale był bystry i uważny, co dał im do zrozumienia już na samym początku wizyty.

– No cóż, ten nazwałam po trzech przepłakanych miesiącach, które spędziłam na Tytanie, gdy mnie opuścił – z szerokim uśmiechem stwierdziła Naomi. – Na dłuższą metę pewnie tak było lepiej. Inaczej nazwałabym go na cześć mojej złotej rybki.

Zaskoczony porucznik gwałtownie uniósł głowę, a potem się roześmiał.

– Dziękuję, kapitanie. To pierwszy powód do śmiechu tego dnia. Wszyscy inni są przerażeni, a tym sześciu mięśniakom – wskazał na towarzyszących mu marines – chemicznie usunięto poczucie humoru.

Holden posłał spojrzenie Amosowi. *Czy on z nią flirtuje? Chyba tak.* Zmarszczone czoło Amosa mogło znaczyć cokolwiek.

– Białko, suplementy, filtry do wody i antybiotyki – odczytał ze swojego terminala porucznik. – Mogę zerknąć?

– Oczywiście, sir – potwierdziła Naomi, wskazując w stronę wjazdu. – Tędy.

Odeszła, prowadząc za sobą oficera ONZ i dwóch marines. Pozostała czwórka stanęła na straży przed służą.

– Jak wam dzisiaj leci, chłopaki? – zapytał Amos, szturchając łokciem Holdena.

Marinę go zignorowali.

– Gadałem sobie z kumplem tutaj, mówiłem „założę się, że te blaszane skafandry noszone przez chłopaków muszą strasznie uwierać w kroku”.

Holden zamknął oczy i telepatycznie zaczął wysyłać

Amosowi polecenia zamknięcia się. Nie zadziało.

– No wiecie, cały ten fajny sprzęt poprzypinany w różnych miejscach, ale jedno, czego nie można, to podrapać się po jajach. Albo, nie daj Boże, jakby trzeba było trochę się poruszyć, żeby zrobić miejsce.

Holden otworzył oczy. Marines patrzyli teraz na Amosa, choć nie poruszyli się i milczeli. Holden przeszedł do dalszego kąta pomieszczenia i spróbował stopić się ze ścianą. Nikt nawet nie spojrzął w jego stronę.

– Bo wiecie – Amos nie ustępował, mówiąc głosem pełnym dobroduszości. – Mam taką teorię i liczyłem na to, że pomożecie mi ją wyjaśnić.

Najstarszy marinę zrobił pół kroku do przodu, ale to wszystko.

– Wymyśliłem sobie – powiedział Amos – że aby uniknąć całego problemu, po prostu ucinają te wszystkie części, które mogłyby się zaplątać w skafander. Dodatkowa korzyść to pozbawienie was pokusy zabawy ze sobą podczas tych długich zimnych nocy na statku.

Marinę zrobił kolejny krok, a Amos natychmiast ruszył w jego stronę, niwelując odległość.

– To powiedz szczerze, chłopcze – mówił teraz znosem praktycznie przy opancerzonej przyłbicy marinę, osadzając na niej parę. – Zewnętrzne powierzchnie tych pancerzy są poprawne anatomicznie, prawda?

Zapadła długa, pełna napięcia cisza, przerwana w końcu, gdy ktoś odchrząknął przy włączu, a na korytarzu pojawił się porucznik.

– Jakiś problem?

Amos uśmiechnął się i zrobił krok do tyłu.

– Skąd. Próbuję poznać dzielnych mężczyzn i kobiety

utrzymywanych z moich podatków.

– Sierżancie? – powiedział porucznik.

Marinę się cofnął.

– Nie, sir. Żadnego problemu.

Porucznik odwrócił się i uściśnął dłoń Naomi.

– To była czysta przyjemność, kapitan Estancia. Nasi ludzie niedługo prześlą wam pozwolenie na lądowanie. Nie wątpię, że mieszkańcy Ganimedesa będą wdzięczni za dostarczane zapasy.

– Z przyjemnością pomagamy – odpowiedziała Naomi, posyłając oficerowi promienny uśmiech.

Gdy oddział żołnierzy ONZ przeszedł z powrotem przez służę i odleciał szalupą, Naomi odetchnęła głęboko z ulgą i zaczęła sobie masować policzki.

– Gdybym musiała uśmiechać się jeszcze przez sekundę, pękłaby mi twarz.

Holden chwycił Amosa za rękaw.

– Co. To. Do. Kurwy. Nędzy – powiedział przez zaciśnięte zęby – miało znaczyć?

– Co? – zainteresowała się Naomi.

– Kiedy cię nie było, Amos robił wszystko, co w jego mocy, żeby rozwścieczyć marines. Dziwię się, że go nie zastrzelili, a potem jeszcze mnie do towarzystwa.

Amos spojrział na wciąż zaciśniętą na jego rękawie dłoń Holdena, ale nie próbował się wyrwać.

– Dobry z ciebie człowiek, kapitanie, ale główniany przemytnik.

– Co? – zapytała znowu Naomi.

– Kapitan był tak nerwowy, że nawet ja zacząłem myśleć, że coś tu nie gra. Więc ściągnąłem na siebie uwagę marines do czasu twojego powrotu – wyjaśnił

Amos. – Och, i nie wolno im strzelać, jeśli ich nie dotkniesz albo nie wyciągniesz broni. Przecież służyłeś we flocie ONZ, powinieneś pamiętać zasady.

– To znaczy... – zaczął Holden.

– To znaczy – uciął mu Amos. – Jeśli porucznik zapyta ich o nas, będą mieli historyjkę o dupku inżynierze, który próbował ich zdenerwować, a nie nerwowym facecie z rzadką brodą, który cały czas próbował się schować w kącie.

– Cholera – skomentował Holden.

– Dobry z ciebie kapitan i stanę przy tobie w każdej bójce. Ale kryminalistą byłbyś fatalnym. Po prostu nie potrafisz zachowywać się inaczej niż... jak ty.

– Chcesz znowu zostać kapitanem? – zapytała Naomi. – Ta robota jest do bani.

* * *

– Wieża Ganimedes, tu *Lunatyk* z powtórnią prośbą o przydzielenie lądowiska – powiedziała Naomi. – Dostaliśmy zgodę na lądowanie od patroli ONZ, a wy trzymacie nas na niskiej orbicie już trzy godziny.

– Dupki – dodała po wyłączeniu mikrofonu.

W odpowiedzi zabrzmiał głos inny od tego, z którym od kilku godzin kontaktowali się, prosząc o zgodę na lądowanie. Ten był starszy i mniej zirytowany.

– Przepraszam, *Lunatyk*, wyznaczymy wam lądowisko najszybciej, jak się da, ale od dziesięciu godzin nieustannie mamy tu starty, a wciąż jeszcze kilkanaście statków czeka w kolejce na oderwanie się od ziemi, zanim zaczniemy pozwalać ludziom na lądowanie.

– Rozmawiamy teraz z kierownikiem? – zapytał Holden

po włączeniu mikrofonu.

– Owszem. Starszy kontroler, Sam Snelling, jeśli chcecie zapisać na potrzeby skargi. Snelling przez dwa „I”.

– Nie, nic takiego – odpowiedział Holden. – Żadnych skarg. Obserwowaliśmy te wszystkie przelatujące obok statki. Czy to transporty uchodźców? Przy tym tonażu, który przelatywał, wygląda to tak, jakby odlatywała połowa księżycy.

– Nie. Mamy kilka wywożących ludzi czarterów i komercyjnych transportowców, ale większość odlatujących jednostek to frachtowce z jedzeniem.

– Frachtowce zjedzeniem?

– Każdego dnia wysyłamy prawie sto tysięcy kilogramów żywności, a walki zatrzymały wiele z tych transportów na powierzchni. Teraz, gdy zdjęto blokadę i przepuszczają statki, lecą, żeby dostarczyć towar.

– Chwila – obruszył się Holden. – Czekam na lądowanie, wioząc pomoc humanitarną w postaci żywności dla ludzi głodujących na Ganimesesie, a wy wysyłacie sto tysięcy kilogramów jedzenia z księżycy?

– Przy tym, co się nagromadziło, to prawie pół miliona – odpowiedział Sam. – Ale ta żywność nie należy do nas. Większość jedzenia produkowanego na Ganimesesie należy do korporacji, które nie mają tu siedzib. W tych transportach siedzi mnóstwo pieniędzy. Każdy dzień ich unieruchomienia na powierzchni oznacza stratę grubej kasy.

– Ja... – zaczął Holden, ale po krótkiej chwili powiedział tylko – *Lunatyk* się rozłącza.

Holden obrócił fotel w stronę Naomi. Jej twarz była sztywna w sposób oznaczający, że jest równie wściekła

jak on.

– I czemu cię to dziwi, kapitanie? – zapytał Amos, siedzący przy konsoli technicznej i jedzący jabłko skradzione z transportu.

Godzinę później dostali zgodę na lądowanie.

* * *

Widziana z niskiej orbity i trajektorii lądowania powierzchnia Ganimedesa nie wyglądała inaczej niż zwykle. Nawet w najlepszym świetle ten księżyc Jowisza był pustynią szarych krzemowych skał i nieco mniej szarego wodnego lodu, a całą jego powierzchnię znaczyły kratery i błyskawicznie zamarzające jeziora. Wyglądał jak pobojobowisko już na długo przed tym, zanim przodkowie ludzkości pierwszy raz wypelźli na suchy ląd.

Jednak ludzie, dzięki kreatywności i przedsiębiorczości w zakresie zniszczenia, znaleźli sposób, by zostawić tu swój ślad. Holden zauważył prawie szkieletowe pozostałości niszczyciela rozciągniętego na powierzchni, na końcu długiej czarnej blizny. Fala uderzeniowa po jego upadku zniszczyła mniejsze kopuły w odległości nawet dziesięciu kilometrów. Wokół trupa krążyły małe statki ratunkowe, szukając nie tyle ocalałych, co informacji i sprzętu, który przetrwał upadek i nie można było dopuścić, by wpadł w niepowołane ręce.

Największym widocznym znakiem walk było całkowite zniszczenie jednej z olbrzymich kopuł szklarni. Kopuły rolnicze były gigantycznymi strukturami ze stali i szkła, kryjącymi w sobie całe hektary starannie nawożonej ziemi, która była pożywką dla odpowiednio zmodyfikowanych i pielęgnowanych roślin. Widok jednej

z nich pod powykręcanym metalem strąconego lustra orbitalnego był równocześnie wstrząsający i demoralizujący. To właśnie te kopuły karmiły planety zewnętrzne specjalnie przygotowanymi uprawami. To w nich prowadzono najbardziej zaawansowane badania w dziedzinach rolnictwa, same zaś lustra orbitalne były cudami techniki, dzięki którym możliwe było hodowanie roślin. Zrzucenie jednego na drugie i zostawienie obu w ruinie uderzyło Holdena jako przejaw krótkowzrocznej głupoty równie wielkiej, jak narobienie do źródła wody, by odmówić jej przeciwnikowi.

Do czasu, gdy *Lunatyk* posadził swoje trzeszczące kości do spoczynku na przydzielonym lądowisku, Holden stracił resztki cierpliwości dla ludzkiej głupoty.

I dlatego to właśnie ona go powitała.

Inspektor celny czekał już na nich, gdy wyszli przez służbę. Był bardzo chudym mężczyzną o przystojnej twarzy i jajowatej, łysej głowie. Towarzyszyło mu dwóch ludzi w mundurach ochrony, uzbrojonych w tasery.

– Witam, nazywam się Vendas. Jestem inspektorem celnym portu jedenaście, lądowiska od A14 do A22. Poproszę manifest ładunkowy.

– Manifest został wysłany do pańskiego biura przed lądowaniem – odpowiedziała, wychodząc do przodu Naomi, znowu odgrywająca rolę kapitan.– Ja nie...

Holden zauważył, że Vendas nie trzyma oficjalnego terminala inspekcji ładunku, a jego ochroniarze nie mają na sobie mundurów kapitanatu portu Ganimedesa. Zrozumiał, że mają do czynienia z kiepską próbą oszustwa. Ruszył do przodu i machnął do Naomi.

– Ja się tym zajmę, kapitanie.

– A pan to kto? – zapytał inspektor Vedas, patrząc na niego z góry na dół.

– Możesz się do mnie zwracać pan nie– kupuję– twojego– przekrętu.

Vedas się skrzywił, a jego ochroniarze podszli bliżej. Holden uśmiechnął się do nich, po czym sięgnął za pasek pod kurtką i wyciągnął duży pistolet. Trzymał go opuszczonego przy nodze, ale i tak się odsunęli. Vedas zbladł.

– Wiem, że to wymuszenie – oświadczył Holden. – Chcecie zobaczyć nasz manifest, potem powiecie nam, które pozycje zostały na nim umieszczone *przez pomyłkę*. A gdy będziemy wysyłać przez radio do waszego biura skorygowany wykaz, weźmiecie sobie najcenniejsze pozycje i sprzedacie je na miejscowym czarnym rynku żywności i leków.

– Jestem działającym oficjalnie administratorem stacji Ganimedes – zaskrzeczał Vedas. – Chce mnie pan przestraszyć swoim pistoletem? Każę pana aresztować ochronie portu i skonfiskuję cały statek, jeśli uważa pan...

– Nie, nie zamierzam pana straszyć – zapewni! Holden. – Ale mam już potąd idiotów zarabiających na ludzkim nieszczęściu i poczuję się znacznie lepiej, gdy mój duży kolega Amos pobije pana do nieprzytomności za próbę kradzieży jedzenia i leków przeznaczonych dla potrzebujących.

– To nie będzie straszenie, raczej spuszczenie pary – łagodnie wyjaśnił Amos.

Holden kiwnął głową w jego stronę.

– Jak bardzo złości cię, że ten facet chce okradać ofiary klęski, Amos?

– Bardzo mocno, kapitanie.

Holden postukał pistoletem o udo.

– Broń ma tylko dopilnować, żeby ta tutaj „ochrona portu” nie wtrącała się do czasu, aż Amos całkowicie rozładuje napięcie.

Pan Vedas, inspektor celny portu jedenaście, lądowiska od A14 do A22, odwrócił się i zaczął uciekać, jakby zależało od tego jego życie, zbiry biegły tuż za nim.

– Sprawilo ci to przyjemność – skomentowała Naomi. Miała dziwny, oceniający wyraz twarzy, a głos przynajmniej częściowo brzmiał jak oskarżenie.

Holden schował pistolet.

– Chodźmy się dowiedzieć, co się tu, u diabła, stało.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Praks

Centrum ochrony mieściło się na trzecim poziomie od powierzchni. Grube ściany i niezależne źródło zasilania wydawały się luksusami w porównaniu z surowym lodem innych miejsc na stacji, ale naprawdę stanowiły ważne sygnały. Tak jak niektóre rośliny ostrzegały o truciznach jaskrawymi liśćmi, tak centrum ochrony ogłaszało swoją odporność na próby wdarcia się do środka. Nie wystarczyło, że nie dało się przewiercić przez lód i wyciągnąć przyjaciela czy kochanka z aresztu. Wszyscy musieli *wiedzieć*, że to niemożliwe – mieć pewność na sam widok – inaczej ktoś by tego spróbował.

Przez wszystkie lata, które spędził na Ganimesesie, Praks był tam tylko raz, i to jako świadek. Jako człowiek próbujący pomóc prawu, a nie sięgający po pomoc. W zeszłym tygodniu wracał tam dwanaście razy, czekając w długiej kolejce zdesperowanych ludzi z nerwowymi tikami i zmagając się z niemal wszechpotężnym wrażeniem, że powinien być gdzieś indziej i coś robić, choć nie wiedział, co by to miało być.

– Bardzo mi przykro, doktorze Meng – powiedziała kobieta siedząca w okienku informacji publicznej, spoglądając na niego zza grubej, wzmacnianej drutem szyby. Wyglądała na zmęczoną. Właściwie nawet bardziej

niż na zmęczoną. Była w szoku. Martwa w środku. – Dzisiaj też nic.

– Czy jest tu ktoś, z kim mógłbym porozmawiać? Musi być jakiś sposób, żeby...

– Przykro mi – odpowiedziała i jej spojrzenie przeniosło się za jego plecy, na następną zdesperowaną, przestraszoną i brudną osobę, której nie będzie mogła pomóc.

Praks odszedł, zaciskając zęby w bezradnej wściekłości. W kolejce czekało się dwie godziny, a kobiety, mężczyźni i dzieci stali w niej lub siedzieli na ziemi. Niektórzy płakali. Młoda kobieta z czerwonymi oczami paliła skręta z marihuany, której zapach mocno wbijał się w woń niemytych ciał, a smugi dymu skręcały się tuż przy znaku ZAKAZ PALENIA na ścianie. Nikt nie protestował. Wszyscy mieli wyniszczony wygląd uchodźców, nawet ci urodzeni na stacji.

Od kiedy walki oficjalnie przerwano, wojska Marsa i Ziemi wycofały się na swoje umocnione pozycje. Spichlerz planet zewnętrznych zmienił się nagle w pustkowie między nimi, a zbiorowa mądrość mieszkańców stacji skupiła się na jednym zadaniu: ucieczce.

Podczas konfliktu port został zablokowany przez wojsko, ale żołnierze szybko opuścili powierzchnię na rzecz bezpieczeństwa oferowanego przez okręty, a potężnej paniki i strachu ogarniającego stację nie dało się już opanować. Nieliczne statki pasażerskie, którym pozwolono odlecieć, były nabite ludźmi próbującymi dostać się gdziekolwiek indziej. Ceny biletów rujnowały ludzi pracujących latami w jednych z najlepiej płatnych placówek badawczych poza Ziemią. Biedniejsi wymykali

się w dronach towarowych lub małych jachtach, a nawet skafandrach kosmicznych przyczepionych do zmodyfikowanych ram kontenerowych, skierowanych w stronę Europy w nadziei na ratunek. Panika skłaniała ich do podejmowania szaleńczego ryzyka, aż znajdą się gdzieś indziej lub w grobie. W okolicach posterunków ochrony, portów, porzuconych umocnień wojskowych Marsa i ONZ korytarze były pełne ludzi szukających czegoś, co mogliby uznać za jakąś formę bezpieczeństwa.

Praks chciałby być jednym z nich.

Zamiast tego jego świat skurczył się do swoistego rytmu. Budził się w swoim mieszkaniu, bo wieczorem zawsze tam wracał na wypadek, gdyby Mei się odnalazła. Jadł to, co zdołał znaleźć. Od dwóch dni nie miał już nic w lodówce, ale kilka ozdobnych roślin w parkach było jadalnych. Zresztą tak naprawdę nie był głodny.

Potem sprawdzał ciała.

Przez pierwszy tydzień szpital wyświetlał listę znalezionych zabitych, aby pomóc w ich identyfikacji. Później musiał już chodzić oglądać ciała. Szukał dziecka, więc mógł zignorować zdecydowaną większość trupów, ale widziane ciała i tak go prześladowała w snach. Dwa razy znalazł trupy okaleczone w takim stopniu, że mogły należeć do Mei, ale pierwsze miało charakterystyczne znamię na karku, a u drugiego paznokcie u nóg miały niewłaściwy kształt. Te martwe dziewczynki były tragediami innych rodzin.

Gdy tylko upewnił się, że Mei nie było na liście nieżywych, ruszał na polowanie. Pierwszej nocy jej nieobecności wyciągnął swój terminal ręczny i przygotował listę. Dysponujący oficjalną władzą ludzie do

kontaktu: ochrona, jej lekarze, walczące armie. Osoby do kontaktu mogące mieć jakieś informacje: inni rodzice z przedszkola, rodzice z medycznej grupy wsparcia, jej matka. Ulubione miejsca do sprawdzenia: dom najlepszej przyjaciółki, ulubione parki, cukiernia, w której zawsze prosiła o sorbet cytrynowy. Miejsca, gdzie ktoś mógłby kupić porwane dziecko na seks: lista barów i burdeli z kopii wykazu lokali dostępnego w katalogu stacji. Aktualna lista musiała być w systemie, ale ten wciąż był zablokowany. Każdego dnia zaznaczał na liście tyle pozycji, ile tylko mógł, a gdy dochodził do końca, zaczynał od początku.

Czynności z listy stały się jego planem dnia. Ochrona – co drugi dzień, na zmianę z dowolną osobą, która chciała z nim rozmawiać w siłach marsjańskich lub ONZ. Parki – rano, po sprawdzeniu trupów. Rodzina najlepszej przyjaciółki Mei zdołała wylecieć z księżyca, więc tu nie miał czego sprawdzać. Cukiernia spłonęła podczas zamieszek.

Najtrudniejsze okazało się znalezienie jej lekarzy. Doktor Astrigan, jej pediatra, emitowała pełne przejęcia odgłosy i obiecała, że skontaktuje się z nim, jeśli tylko czegoś się dowie, a potem, gdy odwiedził ją ponownie trzy dni później, w ogóle nie pamiętała, że z nim rozmawiała. Chirurg, który pomógł w usunięciu ropni wzdłuż jej kręgosłupa po pierwszym rozpoznaniu choroby, w ogóle jej nie widział. Doktor Strickland z grupy wsparcia i leczenia podtrzymującego zaginął. Pielęgniarka Abuakar zginęła.

Pozostałe rodziny z grupy zmagaly się z własnymi tragediami. Mei nie była jedynym zaginionym dzieckiem.

Katoa Merton. Gabby Solyuz. Sandro Ventisiete. Na twarzach innych rodziców widział jawny strach i desperację, które dręczyły go wgłębi umysłu. Te odwiedziny były trudniejsze od sprawdzania ciał. Trudniej było zapomnieć o strachu.

Ale i tak to robił.

Basia Merton – *tatus Katoa*, jak nazywała go Mei – był barczystym mężczyzną, zawsze pachnącym miętą. Jego żona była bardzo chuda i uśmiechała się nerwowo. Mieli sześciopokojowe mieszkanie blisko kompleksu oczyszczania wody, pięć poziomów od powierzchni, urządzone w jedwabiu i bambusie. Gdy Basia otworzył drzwi, nie uśmiechnął się ani nie przywitał, tylko odwrócił się i wszedł do wnętrza, zostawiając otwarte wejście. Praks poszedł za nim.

Przy stole Basia nalał Praksovi szklankę w jakiś sposób niezepsutego mleka. Praks był tu piąty raz od czasu zaginięcia Mei.

– Czyli żadnych śladów? – powiedział Basia. Tak naprawdę to nie było pytanie.

– Nic nowego – przyznał Praks. – Przynajmniej tyle.

Z głębi domu rozległ się gniewny głos dziewczynki, któremu chwilę później zawtórował krzyk małego chłopca. Basia nie odwrócił się nawet w ich stronę.

– Też nic nie mamy. Przykro mi.

Mleko smakowało cudownie, gładkie, bogate i smaczne. Praks prawie czuł kalorie i substancje odżywcze wchłaniane przez błony w jamie ustnej. Pomyślał nagle, że technicznie rzecz biorąc, może głodować.

– Wciąż jest nadzieja – powiedział.

Basia sapnął, jakby te słowa były uderzeniem w brzuch.

Zacisnął wargi i wbił spojrzenie w stół. Dziecięce krzyki z głębi mieszkania zmieniły się w chłopięcy płacz.

– Odlatujemy – oznajmił Basia. – Mój kuzyn pracuje na Lunie dla Magellan Biotech. Wysyłają statki z pomocą, a gdy wylądują lekarstwa, będzie tam dla nas miejsce. Wszystko zostało już umówione.

Praks odstawił szklankę po mleku. Mieszkanie wokół wydało się nagle strasznie ciche, choć wiedział, że to złudzenie. Poczł dziwny ucisk w gardle, schodzący na piersi. Skóra twarzy zrobiła się woskowa. Nagle fizycznie odczuł wspomnienie chwili, gdy jego żona powiedziała mu o wniosku rozwodowym. Zdradzony. Czuł się zdradzony.

– ...potem jeszcze kilka dni – mówił Basia. Mówił cały czas, choć Praks go nie słyszał.

– Ale co z Katoa? – zdołał powiedzieć przez ściśnięte gardło. – On gdzieś tu jest.

Spojrzenie Basi na moment przeniosło się ze stołu na jego twarz, a potem uskokczyło w dal.

– Nie. Nie ma go już, bracie. Miał bagno zamiast układu odpornościowego. Dobrze o tym wiesz. Bez lekarstwa robił się bardzo chory po trzech, może czterech dniach. Muszę zadbać o pozostałą dwójkę dzieci.

Praks kiwnął głową, reagując na poziomie ciała, bez świadomości. Czuł się tak, jakby gdzieś w głębi głowy urwało mu się koło zamachowe. Faktura bambusowego stołu wydała się nienaturalnie ostra. Woń topniejącego lodu. Smak mleka kwaśniejającego na języku.

– Nie masz pewności – powiedział, starając się użyć łagodnego tonu. Nie wyszło mu najlepiej.

– Praktycznie mam.

– Ktokolwiek... ktokolwiek wziął Mei i Katoa... nic im po dzieciach, jeśli będą martwe. Oni wiedzieli. Musieli wiedzieć, że dzieci będą potrzebować lekarstw. Różną jest założenie, że zabrali je gdzieś, gdzie mogli je zdobyć.

– Nikt ich nie zabrał, bracie. Zgubiły się. Coś się stało.

– Nauczycielka Mei powiedziała...

– Nauczycielka była totalnie przerażona. Jej cały świat sprowadzał się do pilnowania, by maluchy nie pluły na siebie za mocno, a przed jej drzwiami wybuchła wojna. Kto wie, co naprawdę widziała?

– Powiedziała, że była tam mama Mei i lekarz. Powiedziała, że lekarz...

– Daj spokój, stary. Nie przydadzą się martwe? Ta stacja jest pełna martwych ludzi i nie widzę, żeby ktoś robił się *przydatny*. To wojna.

Sukinsyny zaczęły wojnę. – W jego szeroko rozstawionych oczach pojawiły się teraz łzy, a w głosie brzmiał żal. Ale ani cienia wątpliwości. – Na wojnie ludzie giną. Giną dzieci. Musisz... cholera. Musisz żyć dalej.

– Nie wiesz tego – zaprotestował Praks. – Nie wiesz, że nie żyją i do tej chwili ich nie porzuciłeś.

Basia spuścił wzrok. Wyraźnie się przy tym zaczerwienił. Pokręcił głową, a kąciki jego ust zadrżały.

– Nie możesz odlecieć. – Praks nie ustępował. – Musisz tu zostać i szukać go.

– Nie – odpowiedział Basia. – Bardzo stanowczo *nie* krzycz na mnie w moim domu.

– To nasze dzieci, nie wolno ci ich porzucać! Co z ciebie za ojciec? No wiesz, *Jezu*...

Basia nachylił się do przodu, zwisając nad stołem. Za jego plecami, na korytarzu, pojawiła się dziewczynka, już

prawie kobieta, z szeroko otwartymi oczami. Praks poczuł rosnącą pewność.

– Zostaniesz – powiedział.

Cisza trwała trzy uderzenia serca. Cztery. Pięć.

– Wszystko jest już umówione – odpowiedział Basia.

Praks go uderzył. Nie planował tego, wcale nie miał takiego zamiaru. Jego ręka wywinęła się z ramienia, dłoń zwinięta w pięść wystrzeliła z własnej woli. Kostkami uderzył w policzek Basi, odrzucając jego głowę i odchylając całe ciało. Wielki mężczyzna rzucił się na niego. Pierwszy cios wylądował tuż pod obojczykiem, odrzucając go, następny w żebra, kolejny też. Praks poczuł, jak krzesło usuwa się spod niego i zaczął upadać w niskim ciężeniu, powoli, ale nieubłagane, nie mogąc odzyskać równowagi. Zamachnął się dziko, kopnął. Poczul, że noga w coś trafia, ale nie wiedział, czy to Basia, czy stół.

Wylądował na podłodze, a stopa Basi trafiła go w splot słoneczny. Oślepiło go migoczące światło i ból. Gdzieś daleko krzyczała kobieta. Nie potrafił zrozumieć słów. A potem powoli do niego dotarły.

On nie ma racji. Też stracił dziecko. On nie ma racji.

Praks przetoczył się na brzuch i zmusił do dźwignięcia się na kolana. Na podbródku miał krew, która prawie na pewno była jego. Nikt inny tu nie krwawił. Basia stał przy stole z dłońmi zaciśniętymi w pięści, oddychał szybko przez rozdęte nozdrza. Przed nim stała jego córka, osłaniając Praksa przed rozwścieczonym ojcem. Widział tylko jej tytek, kucyk i dłonie rozłożone szeroko w uniwersalnym geście *stop*. Ocaliła mu życie.

– Lepiej stąd idź, bracie – powiedział Basia.

– Dobrze – zgodził się Praks.

Powoli podniósł się i zatoczył do drzwi, wciąż nie potrafił normalnie oddychać. Wyszedł o własnych siłach.

* * *

Tajemnica załamania się zamkniętego systemu botanicznego: *Rzecz nie w tym, co się zepsuje. Problem w kaskadzie.* Gdy pierwszy raz stracił całą uprawę *g. kenon*, zawinił grzyb, który w ogóle nie krzywdził soi. Zarodniki pochodziły prawdopodobnie z dostawy biedronek. Grzyb zadomowił się w systemie nawadniania, radośnie przejmując odżywki nieprzeznaczone dla niego, i zmienił pH wody. To osłabiło bakterie, których Praks używał do wiązania azotu – do tego stopnia, że stały się podatne na bakteriofagi, które inaczej nie miałyby szans. W systemie doszło do zaburzenia równowagi azotowej. Zanim bakterie namnożyły się do pierwotnej liczebności, soja żółkła, oklapła i nie dało się jej już uratować.

Takiej właśnie metafory używał, myśląc o Mei i jej układzie odpornościowym. Tak naprawdę problem był drobny. Zmutowany allel produkował białko, które zwijało się w lewo, zamiast w prawo. Różnica kilku par zasad. Jednak białko to katalizowało kluczowy krok ścieżki przekazywania sygnałów do limfocytów T. Mogła mieć wszystkie części układu odpornościowego w gotowości do zwalczania patogenów, ale bez podawanych dwa razy dziennie dawek sztucznego katalizatora nigdy nie doszłoby do ogłoszenia alarmu. Nazywało się to zespołem przedwczesnego starzenia układu odpornościowego Meyers– Skeltona i wstępne badania nie zdołały określić, czy występowało częściej poza studnią

grawitacyjną Ziemi z powodu nieznanego wpływu niskiego ciężenia, czy ogólnego zwiększenia częstości występowania mutacji na skutek promieniowania. To nie miało znaczenia. Niezależnie od powodów, gdy Mei miała cztery miesiące, doszło u niej do potężnego zakażenia kręgosłupowego. Gdyby byli gdziekolwiek indziej na planetach zewnętrznych, umarłaby, ale wszyscy przylatywali na Ganimedesa na czas ciąży i porodu, więc tu właśnie znajdowały się główne ośrodki badawcze. Kiedy doktor Strickland ją zobaczył, rozpoznał objawy i zatrzymał kaskadę.

Praks szedł korytarzami w stronę domu. Spuchła mu szczęka. Nie pamiętał, żeby w nią dostał, ale puchła i bolała. Przy głębszych oddechach czuł też ostry ból z lewej strony żeber, więc starał się oddychać płytko. Zatrzymał się w jednym z parków, zbierając trochę liści na kolację. Stanął przed dużą donicą z *epipremnum aureum*. Duże, mieczowate liście wyglądały nieprawidłowo. Wciąż były zielone, ale zrobiły się grubsze i nabrały złotawego odcienia. Ktoś wprowadził wodę destylowaną do układu hydroponicznego zamiast bogatej w minerały mieszanki wymaganej przez długotrwałe uprawy. Mogło to funkcjonować przez tydzień, może dwa. Potem rośliny oczyszczające powietrze zaczną wymierać, a kiedy do tego faktycznie dojdzie, kaskada posunie się zbyt daleko, by dało się ją powstrzymać. A skoro nie potrafili dostarczyć roślinom odpowiedniej wody, nie wyobrażał sobie, żeby mogli dopilnować prawidłowej pracy wszystkich mechanicznych wymienników powietrza. Ktoś musiał coś zrobić w tej sprawie.

Ktoś inny.

W mieszkaniu jego jedyna mała *g. kennon* wyciągała łodyżkę do światła. Odruchowo wcisnął palec do gleby, sprawdzając ją. Bogaty zapach zrównoważonej ziemi był jak kadzidło. Biorąc pod uwagę okoliczności, roślina radziła sobie całkiem nieźle. Zerknął na zegar na terminalu ręcznym. Wrócił do domu trzy godziny temu. Wcześniejsze ćmienie szczęki nasiliło się i przeszło w ciągle odkrywany na nowo ból.

Bez lekarstwa normalna flora układu pokarmowego Mei znacznie się nadmiernie rozrastać. Bakterie żyjące zwykle spokojnie w ustach i gardle zbuntują się przeciw niej. Po dwóch tygodniach mogła zginąć. Jednak nawet w najlepszym przypadku byłaby tak chora, że doprowadzenie jej do normalnego stanu zdrowia byłoby trudne.

Trwała wojna. Podczas wojen ginęły dzieci. Kaskada. Zakaszał i poczuł bardzo silny ból, który i tak był lepszy od myślenia. Musiał iść. Wydostać się stąd. Ganimedes wokół niego umierał. Tutaj w żaden sposób nie pomoże Mei. Zniknęła. Jego dziewczynka przepadła.

Płacz bolał jeszcze bardziej od kaszlu.

Nie tyle usnął, co stracił przytomność. Kiedy się obudził, szczękę miał napuchniętą na tyle, że klikała, gdy za szeroko otworzył usta. Żebra bolały odrobinę mniej. Usiadł na brzegu łóżka i oparł głowę na dłoniach.

Pójdzie do portu. Pójdzie do Basi, przeprosi go i poprosi, żeby mógł lecieć z nim. Opuścić układ Jowisza. Polecieć gdzieś, gdzie będzie mógł zacząć od nowa bez przeszłości. Bez nieudanego małżeństwa i zniszczonej pracy. Bez Mei.

Przebrał się w trochę mniej brudną koszulę. Przetarł pachy mokrą ściereczką. Przeczesał włosy. Zawiódł. To

wszystko nie miało sensu. Musiał się pogodzić ze stratą i żyć dalej. I może kiedyś to zrobi.

Sprawdził swój terminal. Na dzisiaj miał zaplanowane sprawdzenie ciał przy bazie Marsjan, sprawdzenie parków, rozmowę z doktor Astrigan i listę pięciu burdeli, w których jeszcze nie był, gdzie mógł zapytać o nielegalne przyjemności pedofilii i gdzie mógł mieć nadzieję, że nie zostanie przy tym wypatroszony przez jakiegoś oburzonego bandytę. Bandyci też mieli dzieci. Niektórzy może nawet je kochali. Westchnął i wstukał nowy wpis: MINERALIZAGA WODY W PARKU. Musiał znaleźć kogoś z kodami dostępu do instalacji. Może ochrona pomoże przynajmniej w tym.

I może gdzieś po drodze zdoła znaleźć Mei.

Wciąż miał nadzieję.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bobbie

Harman Dae–Jung był pancernikiem klasy *Donnager*. pół kilometra długości i ćwierć miliona ton wyporności. Wewnętrzna komora dokowa była dość duża, by pomieścić cztery okręty eskortowe klasy fregaty oraz różnorodne mniejsze promy i statki naprawcze. Obecnie dokowały tam tylko dwie jednostki: duży i prawie wytworny prom, który przywiózł wybierających się na Ziemię ambasadorów i urzędników państwowych Marsa, oraz znacznie bardziej funkcjonalny prom floty, którym Bobbie przyleciała z Ganimedesa.

Bobbie wykorzystywała pustą przestrzeń do biegania.

Kapitan *Dae–Junga* była pod presją dyplomatów, by jak najszybciej dolecieć na Ziemię, więc okręt leciał ze stałym przyśpieszeniem prawie jednego g. Choć większość marsjańskich cywilów czuła się z tym niezbyt dobrze, Bobbie to odpowiadało. Korpus bardzo często prowadził ćwiczenia przy większym ciężeniu, włącznie z długimi sesjami na wytrzymałość przy jednym g przynajmniej raz w miesiącu. Nikt nigdy nie powiedział wprost, że miało ich to przygotować na potencjalną konieczność prowadzenia walk na Ziemi. Nikt nie musiał.

Ostatnia tura na Ganimedese nie pozwalała na odbywanie ćwiczeń przy podwyższonym ciężeniu, więc

długa podróż na Ziemię stanowiła doskonałą okazję na powrót do formy. Ostatnie, czego chciała, to okazać słabość przed jej mieszkańcami.

– Rób, co chcesz, ale wiesz, ja będę lepsza – śpiewała sobie zdyszczanym falsetem, biegnąc. – W parę chwil mogę być lepszy niż ty.¹

Rzuciła okiem na zegarek. Dwie godziny. Przy obecnym leniwym tempie oznaczało to dwadzieścia kilometrów. Dociągnąć do trzydziestu? Ilu ludzi na Ziemi regularnie przebiegało trzydzieści kilometrów? Marsjańska propaganda starała się przekonać wszystkich, że połowa ludzi na Ziemi nie miała nawet pracy. Żyli z tego, co dał im rząd, i wydawali skromne kieszonkowe na narkotyki i stymulatory. Jednak prawdopodobnie *niektórzy* potrafili przebiec trzydzieści kilometrów. Mogła się założyć, że Snoopy i jego banda ziemskich marines mogli tyle przebiec, sądząc po tym, jak uciekali przed...

– Rób, co chcesz, ale wiesz, ja będę lepsza – zaśpiewała i skupiła się na dźwiękach uderzeń butów o metalowy pokład.

Nie zauważyła, jak do komory dokowej wszedł marynarz, więc gdy do niej zawołał, odwróciła się zaskoczona i potknęła się o własną stopę, zatrzymując upadek lewą ręką i w ostatniej chwili ratując się przed rozbiciem głowy. Poczuli, że coś ustępuje w nadgarstku, a prawe kolano odbiło się boleśnie od pokładu, gdy przetoczyła się, by rozproszyć energię uderzenia.

Przez chwilę leżała na plecach, ostrożnie poruszając nadgarstkiem i kolanem, by sprawdzić, czy dorobiła się

1 Tłum. Dorota Kozielska.

jakichś poważniejszych kontuzji. Oba stawy bolały, ale nie wyczuła niczego poważniejszego. Czyli żadnych złamań. Ledwie wyszła ze szpitala, a już szukała sposobów na powrót. Marynarz podbiegł i klęknął przy jej boku.

– Jezu, Gunny, nieźle wylądowałaś! – powiedział. – *Cholernie* mocno!

Dotknął jej prawego kolana, gdzie na gołej skórze już zaczynało się robić zasinienie, a potem nagle zdał sobie sprawę, co robi i gwałtownie cofnął dłoń.

– Sierzancie Draper, macie się zgłosić na spotkanie w sali G o czternastej pięćdziesiąt – powiedział nieco skrzekliwie, recytując swoją wiadomość. – Czemu nie nosicie ze sobą terminala? Mieli problem ze znalezieniem was.

Bobbie wstała, ostrożnie badając kolano, by sprawdzić, czy utrzyma jej wagę.

– Sam sobie odpowiedziałeś na pytanie, chłopcze.

* * *

Bobbie przyszła do sali konferencyjnej pięć minut przed czasem, w wyprasowanym mundurze khaki z czerwonymi akcentami. Wizerunek został nieco zniekształcony przez biały opatrunek usztywniający na nadgarstku, założony jej przez kompanijnego medyka z powodu zwknięcia. Drzwi otworzył jej marinę w pełnym pancerzu bojowym, uzbrojony w karabin szturmowy. Uśmiechnął się do niej, gdy wchodziła. To był miły uśmiech, pełen równych, białych zębów. Oczy marinę miały idealny kształt migdałów i były tak ciemne, że prawie czarne.

Odpowiedziała mu uśmiechem i zerknęła na nazwisko

na kombinezonie. Kapral Matsuke. Nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi w kambuzie lub na siłowni. Nie szkodziło znaleźć sobie przyjazne dusze.

Została wciągnięta do pokoju przez kogoś wołającego jej nazwisko.

– Sierżant Draper – powtórzył kapitan Thorsson, niecierpliwie wskazując krzesło przy długim stole konferencyjnym.

– Sir – odpowiedziała Bobbie, salutując, po czym zajęła miejsce. Zaskoczyło ją, jak nieliczne było to zebranie. Tylko Thorsson z wywiadu i dwóch cywilów, których jeszcze nie spotkała.

– Gunny, omawialiśmy pewne szczegóły waszego raportu i przydałoby nam się więcej informacji.

– Tak jest, sir – odpowiedziała Bobbie, gdy zrozumiała, że nie ma co dłużej czekać na przedstawienie jej cywilów. – Jakkolwiek mogę pomóc.

– Próbujemy lepiej odtworzyć przebieg czasowy wydarzeń prowadzących do ataku – powiedziała poważnie wyglądająca, rudowłosa kobieta w bardzo drogim kostiumie. – Czy może nam pani pokazać na mapie, gdzie była wraz ze swoją drużyną, gdy otrzymała radiowe polecenie powrotu do placówki?

Bobbie wskazała, po czym przeszła po mapie krok po kroku przez wszystkie wydarzenia tamtego dnia. Dopiero teraz, patrząc na mapę pierwszy raz, zobaczyła, jak daleko została odrzucona przez siłę uderzenia lustra orbitalnego. Wyglądało to tak, jakby tylko centymetry dzieliły ją i resztę plutonu od zmiążdżenia na pył...

– Sierżancie – powiedział Thorsson głosem zdradzającym, że powtarza to po raz kolejny.

– Przepraszam, sir. Trochę się zamyśliłam na widok tych zdjęć. To się więcej nie powtórzy.

Thorsson kiwnął głową, ale gestowi towarzyszył dziwny wyraz twarzy.

– Próbujemy precyzyjnie zlokalizować miejsce, w którym Anomalia została wprowadzona przed atakiem – wyjaśnił drugi cywil, pulchny mężczyzna z rzadkimi włosami.

Nazywali to teraz *Anomalią*. W tym, jak wypowiadali to słowo, dało się usłyszeć wielką literę. *Anomalia*, jak coś, co się po prostu zdarza. Dziwne losowe zdarzenie. Tak naprawdę wszyscy wciąż bali się nazwać tę rzecz po imieniu. Bronią.

– A więc – powiedział ten pucułowaty – na podstawie tego, jak długo miała pani kontakt radiowy, oraz z informacji dotyczących utraty łączności z innymi instalacji w okolicy, możemy jednoznacznie stwierdzić, że źródłem sygnału zagłuszającego była sama Anomalia.

– Chwileczkę – odpowiedziała Bobbie, kręcąc głową. – Co takiego? Potwór *nie mógł* zagłuszać naszych nadajników. Nie miał żadnego sprzętu. Nie nosił nawet cholernego *skafandra kosmicznego* do oddychania! Jak mógł nosić sprzęt zagłuszający?

Thorsson protekcjonalnie poklepał ją po dłoni, co strasznie rozzłościło Bobbie.

– Dane nie kłamią, sierżancie. Strefa zagłuszania radia się przemieszczała. A jej środkiem przez cały czas było... to coś. Anomalia – wyjaśnił Thorsson, po czym odwrócił się od niej, by porozmawiać z cywilami.

Bobbie cofnęła się na oparcie krzesła, czując, jak opuszcza ją energia, jakby była jedyną osobą bez pary na

sali tanecznej. Jednak skoro Thorsson jej nie odesłał, nie mogła po prostu wyjść.

– Na podstawie danych utraty sygnału radiowego możemy stwierdzić, że wprowadzono ją tutaj – rudowłosa wskazała punkt na mapie – a trasa przemieszczania się Anomalii do placówki ONZ prowadziła wzdłuż tej grani.

– Co się tam znajduje? – zapytał Thorsson, marszcząc brwi.

Pucułowaty wywołał inną mapę i przyglądał się jej przez kilka sekund.

– Wygląda jak stare tunele serwisowe instalacji kopuły wodnej. Według tych informacji nie były używane od dziesięcioleci.

– Czyli – odpowiedział Thorsson – dokładnie takie tunele, jakich można bezpiecznie użyć do potajemnego przetransportowania czegoś niebezpiecznego.

– Owszem – zgodziła się ruda. – Może próbowali to dostarczyć do placówki marsjańskiej, tylko im uciekło. Marines wzięli nogi za pas, gdy zobaczyli, że nie mają kontroli.

Bobbie roześmiała się głośno, zanim zdołała się powstrzymać.

– Macie coś do dodania, sierżant Draper? – zapytał Thorsson.

Patrzył na nią z tym swoim enigmatycznym uśmiechem, ale Bobbie rozpracowała go już na tyle, by wiedzieć, że najbardziej nie lubił owijania w bawełnę. Chciał mieć pewność, że jeśli się mówi, faktycznie ma się coś do powiedzenia. Cywile patrzyli na nią zaskoczeni, jakby była karaluchem, który nagle stanął na dwóch nogach i zaczął mówić.

Pokręciła głową.

– Wiecie, co według mojego sierżanta od musztry z czasów, gdy byłam trepem, jest drugą najniebezpieczniejszą istotą w Układzie Słonecznym, zaraz po marsjańskim marinę?

Cywile dalej się na nią gapili, ale Thorsson kiwnął głową i bezdźwięcznie wypowiedział następne słowa razem z nią.

– Marinę ONZ.

Pucułowaty i ruda wymienili spojrzenie, a potem ruda przewróciła oczami.

– Czyli nie sądzicie, żeby żołnierze ONZ uciekali przed czymś, nad czym stracili kontrolę? – zapytał Thorsson.

– Nie ma mowy, sir.

– W takim razie podzielcie się swoimi przemyśleniami.

– Ta placówka ONZ była obsadzona przez pełny pluton marines. Liczebność taka sama, jak u nas. Gdy w końcu zaczęli biec, było ich tylko sześciu. Sześciu. Walczyli prawie do ostatniego człowieka. A biegnąc w naszą stronę, nie próbowali uciekać, biegli do nas, żebyśmy pomogli im *dalej* walczyć.

Pucułowaty podniósł z podłogi skórzaną torbę i zaczął w niej grzebać. Ruda przyglądała mu się, jakby to, co robił, było znacznie ciekawsze od czegokolwiek, co mogła mieć do powiedzenia Bobbie.

– Gdyby to był jakiś tajny projekt ONZ, który ci marines mieli dostarczyć albo ochraniać, nie biegliby do nas. Raczej by zginęli niż porzucili swoją misję. My tak właśnie byśmy postąpili.

– Dziękuję – powiedział Thorsson.

– To znaczy, to nie była nawet nasza walka, a *my*

walczyliśmy do ostatniego, żeby powstrzymać to coś. Myślicie, że marines ONZ postąpiliby inaczej?

– Dziękujemy, sierżancie – powtórzył Thorsson z naciskiem. – W zasadzie się zgadzam, ale musimy brać pod uwagę wszystkie możliwości. Wasze uwagi zostały zapisane.

Pucułowaty znalazł w końcu to, czego szukał. Małe plastikowe pudełko z cukierkami. Wziął jednego, po czym wysunął pudełko w stronę rudowłosej. Powietrze wypełniła słodka woń mięty.

– Tak, dziękujemy, sierżancie – powiedział cywil z cukierkiem obijającym mu się o zęby. – Chyba możemy kontynuować, nie zajmując więcej pani czasu.

Bobbie wstała, zaszalutowała Thorssonowi i wyszła z pokoju. Jej serce biło bardzo szybko. Szczęki bolały od zaciskania zębów.

Cywilie tego nie rozumieli. Nikt nie rozumiał.

* * *

Kapitan Martens przyszedł do ładowni, gdy Bobbie właśnie skończyła rozkładać obudowę działka na prawym przedramieniu pancerza bojowego. Wyciągnęła trzylufowe działko Gatlinga z obsady i położyła na podłodze obok kilkadziesiątu innych, wyciągniętych już części. Dalej stała puszka płynu do czyszczenia broni i butelka smaru wraz z różnymi wyciorami i szczotkami używanymi do czyszczenia elementów.

Martens poczekał, aż Bobbie położy broń na macie do czyszczenia, po czym usiadł na podłodze obok niej. Zamocowała drucianą szczotkę do końca jednego z wyciorów, zanurzyła ją w środku czyszczącym i zaczęła

przepychać przez poszczególne lufy. Martens przyglądał się, jak pracuje.

Po kilku minutach zmieniła szczotkę na małą szmatkę i wytarła z luf pozostałości środka czyszczącego. Potem świeża szmatka nasączona smarem. Martens odezwał się w końcu, gdy smarowała złożony mechanizm przekładni składających się na system obrotu luf i podawania amunicji.

– Wiesz – powiedział – Thorsson od samego początku służył w wywiadzie floty. Prosto ze szkolenia oficerskiego, pierwszy w swoim roczniku w akademii i pierwsze stanowisko w dowództwie floty. Nigdy nie robił niczego *poza* wywiadem. Ostatni raz strzelał podczas sześciotygodniowego szkolenia dwadzieścia lat temu. Nigdy nie dowodził oddziałem w walce. Ani nie służył w plutonie liniowym.

– To – odpowiedziała Bobbie, odkładając smar i wstając, by z powrotem złożyć karabin – fascynująca historia. Bardzo się cieszę, że mogłam ją poznać.

– W związku z tym – kontynuował niewzruszenie Martens. – Jak bardzo musisz być pokręcona, skoro Thorsson zaczął mnie pytać, czy może nie jesteś trochę wstrząśnięta po walce?

Bobbie upuściła trzymany klucz, ale złapała go drugą ręką, zanim uderzył o pokład.

– Czy to oficjalna wizyta? Bo jeśli nie, to może wy...

– Ja, z drugiej strony? Nie jestem szpiegiem. – Martens nie dał jej dojść do głosu. – Jestem marinę. Dziesięć lat jako żołnierz, zanim zaproponowano mi stopień. Zrobiłem doktoraty z psychologii i teologii.

Bobbie zaswędziało koniec nosa, więc odruchowo się

podrapała. Nagłe uderzenie woni smaru uzmysłowiło jej, że właśnie rozmazała go sobie po całej twarzy. Martens zerknął na nią, ale nie przestał mówić. Próbowwała zagłuszyć jego słowa, składając broń najgłośniejszą, jak potrafiła.

– Ćwiczyłem musztrę, walki na małe dystanse, symulacje wojenne – mówił trochę głośniejszym głosem. – Wiesz, że byłem trepem w tym samym obozie, w którym twój ojciec był sierżantem? Starszy sierżant kompanii Draper był wielkim człowiekiem. Był dla nas jak bóg.

Bobbie gwałtownie podniosła głowę, mrużąc oczy. Coś w sposobie zachowania psychiatry sugerowało, że wiedział, jakie problemy miał jej ojciec.

– To prawda. I gdyby był tu teraz, kazałby ci mnie posłuchać.

– Pierdol się – warknęła Bobbie. Wyobraziła sobie, jak ojciec krzywi się na użycie wulgaryzmu do ukrycia strachu. – Nic nie wiesz.

– Wiem, że gdy sierżant kompanii z twoim poziomem wykształcenia i gotowości bojowej prawie daje się załatwić zwykłemu marynarzowi z mlekiem pod nosem, to coś jest cholernie nie w porządku.

Bobbie rzuciła klucz na podłogę, przewracając butelkę z olejem, który zaczął się rozlewać po macie prawie jak plama z krwi.

– Potknęłam się! Lecieliśmy z pełnym g, a ja po prostu... upadłam.

– A dzisiejsze spotkanie? Wykrzykiwanie do dwóch cywilnych analityków wywiadu o tym, jak to marines raczej by zginęli, niż się poddali?

– Nie krzyczałam – zaprotestowała Bobbie niepewna, czy

to prawda. Jej wspomnienia ze spotkania zrobiły się niewyraźne, gdy tylko wyszła z pokoju.

– Ile razy wystrzeliłaś z tego karabinu od czasu, gdy wyczyściłaś go wczoraj?

– Co? – zapytała Bobbie z nagłym atakiem mdłości.

– Zresztą, ile razy strzelałaś z niego od czasu wyczyszczenia go przedwczoraj? Albo jeszcze dzień wcześniej?

– Przestań – powiedziała Bobbie, bezradnie machając ręką na Martensa i rozglądając się za miejscem, gdzie mogłaby usiąść.

– Czy strzelałaś z tego karabinu choć raz od wejścia na pokład *Dae-Junga*? Bo mogę ci powiedzieć, że czyściłaś go codziennie, a parokrotnie zdarzyło ci się czyścić go dwa razy jednego dnia.

– Nie, ja... – zaprotestowała Bobbie, siadając w końcu głośno na skrzynce z amunicją. Nie pamiętała czyszczenia karabinu wcześniej niż przed chwilą. – Nie wiedziałam.

– To zespół stresu pourazowego, Bobbie. To nie żadna słabość ani porażka moralna. To typowe po przeżyciu czegoś strasznego. W tej chwili nie potrafisz przyswoić sobie tego, co stało się z tobą i twoimi ludźmi na Ganimedesie, a przez to zachowujesz się irracjonalnie – powiedział Martens, po czym podszedł i kucnął przed nią. Przez chwilę bała się, że spróbuje wziąć ją za rękę, bo wtedy by go uderzyła.

Nie zrobił tego.

– Wstydzisz się – powiedział – ale nie masz się czego wstydzić. Ćwiczyłaś, żeby być twardą, kompetentną, gotową na wszystko. Nauczyli się, że jeśli tylko będziesz robić swoje i pamiętać o szkoleniu, poradzisz sobie z

każdym zagrożeniem. A przede wszystkim wpoili ci, że najważniejsi ludzie na świecie to ci stojący obok ciebie na linii ognia.

Coś drgnęło na jej policzku tuż pod okiem i Bobbie potarła to miejsce tak mocno, że przed jej oczami pojawiły się gwiazdy.

– A potem natknęłaś się na coś, na co nie mogło cię przygotować szkolenie i przed czym nie potrafiłaś się obronić. Straciłaś towarzyszy i przyjaciół.

Bobbie zaczęła odpowiadać i uświadomiła sobie, że wstrzymywała oddech, więc zamiast mówić, gwałtownie odetchnęła. Martens nie przestawał mówić.

– Potrzebujemy cię, Roberta. Potrzebujemy z powrotem. Nie byłem tam, gdzie ty, ale znam mnóstwo ludzi z podobnymi doświadczeniami i wiem, jak ci pomóc. Jeśli mi pomożesz. Jeśli będziesz ze mną rozmawiać. Nie mogę tego wszystkiego zabrać. Nie mogę cię wyleczyć. Ale mogę ci pomóc.

– Nie mów do mnie Roberta – powiedziała Bobbie tak cicho, że ledwie sama się usłyszała.

Odetchnęła kilka razy, próbując oczyścić myśli i nie doprowadzić się przy tym do hiperwentylacji. Przetoczyły się przez nią zapachy ładowni. Woń gumy i metalu jej skafandra. Kwaśne, konkurujące wonie oleju do konserwacji broni i płynu hydraulicznego, starego i wżartego w metal, niezależnie od tego, ile razy chłopcy z Floty szorowali pokłady. Myśl o tysiącach marynarzy i marines przechodzących przez te same miejsca, pracujących nad swoim sprzętem i czyszczących te same pokłady, sprowadziła ją z powrotem do siebie.

Podeszła do złożonego karabinu i podniosła go z maty,

zanim dotarła do niego rosnąca kałuża oleju.

– Nie, kapitanie, rozmowa z panem nie sprawi, że poczuję się lepiej.

– W takim razie co, sierżancie?

– To coś, co zabiło moich przyjaciół i zaczęło tę wojnę... ktoś umieścił to na Ganimesesie – powiedziała i z metalicznym kliknięciem osadziła działko w osłonie. Zakręciła dłonią zestawem trzech luf, a one zawirowały z cichym sykiem wysokiej jakości łożysk. – Zamierzam się dowiedzieć, kto to zrobił. A potem go zabić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Avasarala

Raport miał więcej niż trzy strony, ale Soren faktycznie zdołał znaleźć kogoś potrafiącego przyznać się do braków wiedzy. Na Wenus działały się dziwne rzeczy, znacznie dziwniejsze niż przypuszczała. Prawie całą planetę otoczyła sieć włókien tworzących wzór sześciokątów szerokich na pięćdziesiąt kilometrów i poza tym, że wydawały się przenosić przegrzaną wodę i prąd, nikt nie wiedział, do czego służą. Ciężenie planety wzrosło o trzy procent. Nad kraterami uderzeniowymi w miejscach, gdzie na planetę spadły pozostałości Erosa, krążyły parami wiry benzenu i złożonych węglowodorów jak pływacy synchroniczni. Najlepsi naukowcy Układu Słonecznego patrzyli na dane z opuszczonymi szczękami, a nikt jak dotąd nie panikował tylko dlatego, że nie potrafili się zgodzić odnośnie do powodów paniki.

Z jednej strony metamorfoza Wenus stanowiła najpotężniejsze w dziejach narzędzie badawcze. Cokolwiek się tam działo, wszyscy mogli się przyglądać. Nie było żadnych umów o nieujawnianiu danych czy zapisów o zakazie konkurencji. Każdy z dostatecznie czułymi instrumentami mógł zaglądać przez pokrywy chmur kwasu siarkowego i obserwować, co się tam dzieje. Analizy były poufne, badania potwierdzające należały do

korporacji, ale surowe dane krążyły wokół Słońca na oczach wszystkich.

Tylko że jak dotąd przypominało to stado jaszczurek oglądających mistrzostwa świata w piłce nożnej. Delikatnie rzecz ujmując, nie byli pewni, na co patrzą.

Choć dane były jasne. Atak na Ganimesesie i zwiększenie skoku mocy na Wenus nastąpiły dokładnie w tym samym czasie. I nikt nie znał powodu.

– Cóż, to nic niewarte – skomentowała.

Avasarala wyłączyła terminal ręczny i wyjrzała za okno. Bufet wokół nich pełen był cichych dźwięków, jak w najlepszych restauracjach, tylko bez nieprzyjemnej konieczności płacenia za cokolwiek. Stoły zrobiono z prawdziwego drewna i ustawiono starannie, tak by wszystko było widać, ale nie dało się nikogo podsłuchać, chyba że słuchany tego chciał. Za oknami padało. Nawet gdyby krople deszczu nie uderzały w szyby, rozmazując niebo i miasto, wiedziałyby, że pada, bo wyczuwała zapach deszczu. Jej lunch – zimne sag aloo i coś, co rzekomo miało być kurczakiem tandori – stał na stole nietknięty. Soren siedział nieruchomo po drugiej stronie stołu z uprzejmym wyrazem twarzy, czujny jak labrador.

– Brak danych wskazujących na wystrzelenie – zauważył. – Cokolwiek to jest, tam, na Wenus, musiałyby się dostać na Ganimesesa, a nie ma ani śladu po czymś takim.

– Cokolwiek to jest, tam, na Wenus, uważa, że inercja jest opcjonalna, a grawitacja nie jest stała. Nie wiemy, jak wyglądałoby u niego wystrzelenie. Na ile wiemy, równie dobrze mogą chodzić po Jowiszu.

Chłopak kiwnął głową, przyznając jej rację.

- Na czym stoimy z Marsem?
 - Zgodzili się na spotkanie tutaj. Wysłali statki z delegacją dyplomatyczną, włącznie z ich świadkiem.
 - Tą marinę? Draper?
 - Tak jest, proszę pani. Eskortą dowodzi admirał Nguyen.
 - Zachowuje się grzecznie?
 - Jak na razie.
 - No dobrze, to co zrobimy dalej? – zapytał Avasarala.
 - W pani biurze czeka Jules– Pierre Mao.
 - Zrób mi streszczenie. Wszystko, co uznasz za ważne.
- Soren zamrugał. Przez chmury za jego plecami przebiegła błyskawica.

– Wysłałem raport...

Poczuła ukłucie irytacji w połowie wynikającej ze wstydu. Zapomniała, że informacje o nim czekają w kolejce do przeczytania. Było tam też ze trzydzieści innych dokumentów, a ona źle spała poprzedniej nocy, męczona przez sny, w których gwałtownie ginął Arjun. Miewała wdowie koszmary od czasu śmierci syna w wypadku narciarskim – jej umysł łączył jedynych dwóch mężczyzn, których kiedykolwiek kochała.

Zamierzała przeczytać informacje przed śniadaniem. Zapomniała. Jednak nie zamierzała się do tego przyznawać przed jakimś Europejczykiem tylko dlatego, że był bystry, kompetentny i robił wszystko, co kazała.

– Wiem, co jest w dokumentach. Wiem *wszystko* – powiedziała, wstając. – To pieprzony test. Pytam, co *ty* uważasz za ważne na jego temat.

Odeszła, idąc w stronę rzeźbionych dębowych drzwi w tempie, które zmusiło Sorena do gwałtownego zerwania się, by nadążyć za nią.

– Ma udziały kontrolne korporacji Mao– Kwikowski Mercantile – powiedział Soren głosem na tyle cichym, by nie usłyszał go nikt inny. – Przed zdarzeniem byli jednym z głównych dostawców Protogenu. Sprzęt medyczny, pomieszczenia antyradiacyjne, infrastruktura do monitoringu i szyfrowania. Prawie wszystko, co Protogen umieścił na Erosie lub czego użył do budowy stacji badawczej, pochodziło z magazynów Mao– Kwik i dotarło tam na jego frachtowcu.

– Aon wciąż oddycha powietrzem na wolności, bo...? – zapytała, otwierając drzwi i wychodząc na korytarz.

– Brak dowodów, że Mao– Kwik wiedział, do czego będzie służył sprzęt – wyjaśnił Soren. – Po ujawnieniu działań Protogenu Mao– Kwik była jedną z pierwszych firm, które przekazały informacje komisji śledczej. Gdyby oni – a mówiąc „oni”, mam na myśli „jego” – nie przekazali ponad terabajta poufnych wiadomości, Gutmansdottir i Kolp mogliby nigdy nie zostać skazani.

Siwowłosa mężczyzna z szerokim andyjskim nosem, idący korytarzem w przeciwną stronę, oderwał wzrok od terminala ręcznego i ukłonił się.

– Wiktorze – powiedziała. – Przykro mi z powodu Annette.

– Lekarze mówią, że wszystko będzie dobrze – powiedział Andyjczyk. – Ale powiem jej, że o nią pytałaś.

– Przekaż jej, że kazałam jej uciekać z łóżka, zanim jej mąż zacznie mieć jakieś zboczone pomysły – powiedziała, a mężczyzna się roześmiał. Potem zwróciła się znów do Sorena. – Szedł na ugodę? Współpraca za ułaskawienie?

– To była jedna z interpretacji, ale większość uznała, że to osobista zemsta za to, co stało się z jego córką.

– Była na Erosie – przypomniała sobie Avasarala.

– Ona *była* Erosem – poprawił Soren, gdy wchodzili do windy. – To ona była pierwszym źródłem zakażenia. Naukowcy uważają, że protomolekuła zbudowała się, korzystając z jej mózgu i ciała jako szablonu.

Zamknęły się drzwi windy, a kabina wiedziała już, kto jest w środku i gdzie się wybiera. Opadła gładko, a brwi Avasarali powędrowały do góry.

– Czyli kiedy zaczęli negocjować z tym czymś...

– Rozmawiali z tym, co zostało z córki Jules– Pierre'a Mao – dokończył Soren. – To znaczy, tak uważali.

Avasarala zagwizdała cicho.

– Zaliczyłem test, proszę pani? – zapytał Soren z twarzą pustą i bez emocji, poza drobnym błyskiem w oczach zdradzającym, że doskonale zdawał sobie sprawę z prawdziwego stanu rzeczy.

Uśmiechnęła się wbrew sobie.

– Nikt nie lubi mądrali – powiedziała.

Kabina zatrzymała się, otwierając drzwi.

Jules– Pierre Mao siedział przy jej biurku, emitując poczucie spokoju z delikatnym odcieniem rozbawienia. Spojrzenie Avasarali przejechało po nim, zbierając szczegóły: dobrze dopasowany jedwabny garnitur na pograniczu beżu i szarości, cofająca się linia włosów niemodyfikowana żadnymi terapiami, uderzająco niebieskie oczy, z którymi prawdopodobnie się urodził. Nosił swój wiek jak wiadomość, że walka z problemami czasu i śmiertelności jest poniżej jego godności. Dwadzieścia lat wcześniej musiał być bardzo przystojny, teraz doszła do tego godność, a jej pierwszy, zwierzęcy impuls zasugerował, że chciałyby go polubić.

– Panie Mao – przywitała się z lekkim ukłonem. – Przepraszam, że pan czekał.

– Pracowałem już z rządem – odpowiedział. Miał europejski akcent, który mógłby stopić masło. – Rozumiem ograniczenia. Co mogę dla pani zrobić, zastępczo podsekretarza?

Avasarala usiadła w swoim fotelu. Budda uśmiechał się łagodnie ze swojego miejsca przy ścianie. Deszcz spływał po oknie, a jego cień nadawał twarzy Mao prawie podświadome wrażenie płaczu. Splotła palce.

– Napije się pan herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Soren! Przynieś mi herbaty.

– Tak jest, proszę pani – odpowiedział chłopak.

– Soren.

– Proszę pani?

– Nie śpiesz się.

– Oczywiście, proszę pani.

Zamknął za sobą drzwi. Z uśmiechu Jules– Pierre'a przebijało zmęczenie.

– Należało zabrać adwokatów?

– Tych gnojków? Nie – odpowiedziała. – Skończyliśmy z sądem. Nie zamierzam otwierać żadnych zmagających prawnych. Mam do zrobienia prawdziwą pracę.

– Szanuję to – zapewnił Mao.

– Mam problem – oznajmiła Avasarala. – I nie wiem, na czym polega.

– Sądzi pani, że ja wiem?

– To możliwe. Zaliczyłam mnóstwo przesłuchań na bardzo różne tematy, a większość z nich to ćwiczenia w kryciu swojego tyłka. Gdyby na którymś kiedyś doszło do

ujawnienia prawdy, to tylko dlatego, że ktoś coś spieprzył.

Błękitne oczy lekko się zmrużyły i temperatura uśmiechu nieco spadła.

– Uważa pani, że moi dyrektorzy i ja nie byliśmy całkiem szczerzy? Wsadziłem dla was do więzienia bardzo potężnych ludzi, zastępcę podsekretarza. Spaliłem mosty.

Zza okna przetoczył się odległy grzmot. Deszcz nasilił gniewne stukanie w szybę. Avasarala złożyła ręce.

– To prawda, jednak to nie czyni z pana idioty. Wciąż są rzeczy, które mówi się pod przysięgą, i takie, które się omija. Ten pokój nie jest monitorowany, rozmawiamy nieoficjalnie. Muszę dowiedzieć się wszystkiego, co może mi pan powiedzieć o protomolekule, a co nie wyszło podczas przesłuchań.

Cisza między nimi przeciągała się. Obserwowała jego twarz i ciało, szukając oznak, ale mężczyzna był nieprzenikniony. Robił to zbyt długo i był świetny w tej grze. Zawodowiec.

– Pewne rzeczy mogą się zgubić – powiedziała. – Pamiętam, że kiedyś podczas kryzysu finansowego znaleźliśmy cały wydział audytorski, o którym nikt nie pamiętał. Tak właśnie się to załatwia: bierze się część problemu i umieszcza go gdzieś, przydziela ludzi do pracy nad nim, a potem bierze się inną część i przydziela do niej innych ludzi. Wkrótce ma się siedem, osiem, sto osobnych małych pudełek, w których praca wre, ale nikt z nikim nie rozmawia, bo byłoby to naruszeniem zasad bezpieczeństwa.

– I uważa pani...?

– Zniszczyliśmy Protogen, a pan w tym pomógł. Pytam, czy wie pan o jakichś małych pudełkach zapomnianych,

zostawionych gdzieś w kącie. I mam bardzo dużą nadzieję na odpowiedź twierdzącą.

– Czy to pytanie od sekretarza generalnego Errinwrighta?

– Nie. Ode mnie.

– Powiedziałem już wszystko, co wiem – odparł.

– Nie wierzę w to.

Jego maska na chwilę się osunęła. Trwało to mniej niż sekundę, zaledwie przesunięcie ustawienia kręgosłupa i zaciśnięcia szczęki, które błyskawicznie zniknęło. Złość. Ciekawe.

– Zabili moją córkę – powiedział cicho. – Nawet gdybym miał coś do ukrycia, nie zrobiłbym tego.

– Jak to się stało, że to właśnie pańska córka? – zapytała Avasarala. – Wybrali ją? Czy ktoś użył jej przeciwko panu?

– To był pech. Była na dalekich orbitach, próbując czegoś dowieść. Była młoda, zbuntowana i głupia. Próbowaliśmy ściągnąć ją do domu, ale... znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Coś poruszyło się w głębi umysłu Avasarali. Przeczucie. Impuls. Podała mu się.

– Czy kontaktowała się z panem od tego czasu?

– Nie rozumiem.

– Czy kontaktowała się z panem od czasu, gdy stacja Eros rozbiła się na Wenus.

Ciekawe było obserwowanie, jak udaje teraz złość. Prawie jak rzeczywiste uczucie. Nie potrafiła powiedzieć, co było w tym nieprawdziwego. Może błysk inteligencji w oczach, wrażenie, że jest tu obecny bardziej niż poprzednio. Prawdziwa wściekłość porывała ludzi, ta była tylko zagranieciem.

– Moja Julie nie żyje – powiedział teatralnie drżącym głosem. – Zginęła, gdy to kosmiczne paskudztwo rozbiło się na Wenus. Zginęła, ratując Ziemię.

Avasarala skontrowała miękko. Przyciszyła głos i przybrała zatroskany, babciny wyraz twarzy. Skoro on odgrywał zranionego mężczyznę, ona mogła udawać matkę.

– Coś przeżyło – powiedziała. – Coś przetrwało uderzenie i wszyscy o tym wiedzą. Mam powody sądzić, że to tam nie zostało. Jeśli jakaś część pana córki przetrwała przemianę, mogła próbować do pana sięgnąć. Próbować się skontaktować. Albo z matką.

– Niczego nie pragnę bardziej niż odzyskania mojej córeczki – powiedział Mao. – Ale ona przepadła.

Avasarala kiwnęła głową.

– No dobrze – powiedziała.

– Czy życzy pani sobie jeszcze czegoś?

Znowu udawany gniew. Przesunęła językiem po tylnej stronie zębów, myśląc. Coś się tu kryło, coś pod powierzchnią. Mając przed sobą Mao, nie wiedziała, na co tak naprawdę patrzy.

– Wie pan o Ganimesie? – zapytała.

– Doszło do walk.

– Może to coś więcej – stwierdziła. – To coś, co zabiło pana córkę, wciąż tam jest. Było na Ganimesie. Zamierzam się dowiedzieć, jak i dlaczego.

Odchylił się. Czy ten wstrząs był prawdziwy?

– Pomogę, jeśli zdołam – powiedział cichym głosem.

– Proszę zacząć od tego. Czy jest coś, o czym nie powiedział pan podczas przesłuchań? Partner biznesowy, o którym pan nie wspomniał. Program zapasowy lub

zaopatrywany przez pana dodatkowy personel. Nie interesuje mnie, czy to było legalne. Mogę panu zapewnić amnestię na praktycznie wszystko, ale muszę to usłyszeć teraz. W tej chwili.

– Amnestię? – zapytał, jakby żartowała.

– Tak, jeśli powie mi pan teraz.

– Gdybym to miał, dałbym pani – zapewnił. – Powiedziałem wszystko, co wiem.

– No dobrze. Przepraszam, że zajęłam pański czas. I... przykro mi, że otworzyłam stare rany. Straciłam syna. Charanpal miał piętnaście lat. Wypadek na nartach.

– Przykro mi – odpowiedział Mao.

– Jeśli dowie się pan czegoś, proszę mi dać znać – poprosiła.

– Zrobię tak – zapewnił ją, wstając.

Pozwoliła mu dość prawie do drzwi, zanim znowu się odezwała.

– Jules?

Gdy obracał się, by zerknąć przez ramię, wyglądał jak pojedyncza klatka z filmu.

– Jeśli dowiem się, że wiedziałeś o czymś i mi o tym nie powiedziałaś, nie przyjmę tego zbyt dobrze – stwierdziła.

– Nie jestem osobą, z którą chciałbyś zadzierać.

– Gdybym nie wiedział tego, gdy tu przyszedłem, teraz już wiem – potwierdził Mao. Było to równie dobre pożegnanie, jak każde inne. Zamknął za sobą drzwi.

Avasarala westchnęła i opadła na oparcie fotela. Przesunęła się, by popatrzeć na Buddę.

– Cholernie mi pomogłeś, wesoły draniu – rzuciła. Figurka, jak to figurka, nie odpowiedziała. Avasarala zgasiła światło i pozwoliła, by gabinet wypełniła szara

burza. Coś w Mao wciąż nie dawało jej spokoju.

Może to tylko wyćwiczone opanowanie wysokopoziomowego korporacyjnego negocjatora, ale miała wrażenie bycia wystawioną poza nawias. Wyłączenia. To też było ciekawe. Zastanawiała się, czy spróbuje ją skontrolować, może uderzyć ponad nią. Warto byłoby ostrzec Errinwrighta, że może się spodziewać gniewnego telefonu.

Zastanawiała się. Wiara w to, że na Wenus może być cokolwiek ludzkiego, była mocnym naciąganiem wyobraźni. Zgodnie z powszechnym rozumieniem protomolekułę zaprojektowano do przejścia prymitywnych form życia i przekształcenia ich w coś innego. Ale jeśli... *Jeśli* złożoność ludzkiego umysłu była zbyt wielka, by ulec pełnej kontroli i dziewczyna w jakimś sensie przeżyła lądowanie, *jeśli* próbowała skontaktować się z tatusiem...

Avasarala sięgnęła po ręczny terminal i otworzyła połączenie z Sorenem.

– Proszę pani?

– Gdy mówiłam, żebyś się nie śpieszył, nie sugerowałam, żebyś sobie zrobił cholerny wolny dzień. Co z moją herbatą?

– Już niosę, proszę pani. Coś mnie zatrzymało. Mam dla pani raport, który może być interesujący.

– Będzie mniej ciekawy, jeśli herbata wystygła – odpowiedziała i rozłączyła się.

Poddanie Mao jakimkolwiek prawdziwemu nadzorowi było prawdopodobnie niemożliwe. Mao-Kwikowski Mercantile musiało mieć własny sprzęt łączności, własne algorytmy szyfrowania i kilka

rywalizujących firm z budżetem nie mniejszym od ONZ, próbujących wykraść ich korporacyjne tajemnice. Jednak mogły istnieć inne sposoby na śledzenie wiadomości wysyłanych z Wenus do instalacji Mao– Kwik. Albo wiadomości wysyłanych w przeciwną stronę.

Soren przyszedł, niosąc tacę z żeliwnym czajniczkiem i ceramiczną filiżanką bez rączki. Nie skomentował mroku, tylko podszedł ostrożnie do jej biurka, postawił tacę, nalał pełną filiżankę ciemnej, dymiącej herbaty i położył na biurku obok niej swój ręczny terminal.

– Po prostu wyślij mi pieprzoną kopię– warknęła Avasarala.

– Tak jest bardziej dramatycznie, proszę pani. Przedstawienie to podstawa.

Prychnęła i ostentacyjnie podniosła filiżankę, dmuchając na jej ciemną powierzchnię, zanim spojrzała na terminal. Znacznik czasowy w prawym dolnym rogu wskazywał, że dokument wysłano z Ganimedesa siedem godzin wcześniej i dołączono do niego kod raportu. Mężczyzna na zdjęciu miał masywne kości Ziemiańszczyzny, zaniedbane ciemne włosy i swoisty rodzaj chłopięcego, przystojnego wyglądu. Avasarala zmarszczyła brwi, popijając herbatę.

– Co się stało z jego twarzą? – spytała.

– Oficer zgłaszający zasugerował, że zapewne ma to być próba charakteryzacji.

Prychnęła.

– Cóż, Bogu dzięki nie założył do tego ciemnych okularów, bo moglibyśmy go nigdy nie rozpoznać. Co, do cholery, James Holden robi na Ganimedesie?

– To statek z pomocą humanitarną. Nie *Rosynant*.

– Mamy potwierdzenie? Wiesz, że te dranie z SPZ

potrafią sfałszować kody rejestracyjne.

– Oficer zgłaszający przeprowadził kontrolę wnętrza, a po powrocie sprawdził kartotekę. Ponadto w załodze nie było zwykłego pilota Holdena, więc sądzimy, że *Rosynant* jest zaparkowany gdzieś na ciemno w zasięgu wiązki kierunkowej – powiedział Soren. Urwał na chwilę. – Wydano obowiązujący nakaz zatrzymania Holdena.

Avasarala włączyła z powrotem światło. Okna z powrotem zmieniły się w ciemne lustra, a burza została wygnana na zewnątrz.

– Powiedz mi, że nie został wykonany – poprosiła Avasarala.

– Nie został wykonany – potwierdził Soren. – Przydzielono ekipę do śledzenia jego zespołu, ale sytuacja na stacji nie ułatwia bliskiego śledzenia. Na dodatek wygląda na to, że Marsjanie jeszcze nie wiedzą o jego obecności, więc próbujemy zatrzymać to dla siebie.

– Dobrze, że ktoś tam wie, jak prowadzić działania wywiadowcze. Mamy jakieś pojęcie, co on tam robi?

– Na razie wygląda, jakby były to po prostu działania humanitarne – powiedział Soren, wzruszając ramionami. – Nie widzieliśmy, żeby spotykał się z kimś interesującym. Zadaje pytania. Prawie wdał się w strzelaninę z jakimiś zbirami skubiącymi statki z pomocą, ale tamci uciekli. Choć nie minęło jeszcze wiele czasu.

Avasarala wypila kolejny łyk herbaty. Musiała przyznać chłopakowi, potrafił zaparzyć bardzo dobrą. Albo znał kogoś, kto to umiał, co w sumie wychodziło na jedno. Skoro Holden tam był, znaczyło to, że SPZ też jest zainteresowany sytuacją na Ganimesdesie. I że nie mieli na miejscu nikogo, kto mógłby im składać raporty.

Chęć zdobycia informacji sama w sobie nie znaczyła wiele. Nawet gdyby była to tylko kwestia bandy piechociarzy zbyt skorych do naciskania spustu, Ganimedes był kluczową stacją układu Jowisza i całego Pasa. SPZ musiał chcieć swoich ludzi na miejscu. Jednak wysłanie Holdena, jedyne go ocalałego ze stacji Eros, wydawało się nieprzypadkowe.

– Nie wiedzą, co to było – powiedziała głośno.

– Proszę pani?

– Mieli powód, żeby przesznułować na miejsce kogoś z doświadczeniem z protomolekułą. Próbują się zorientować, co się tam, u diabła, dzieje. A to znaczy, że nie wiedzą. Czyli... – westchnęła. – Czyli to nie oni. A to cholerna szkoda, bo mają jedyną żywą próbkę, o której nam wiadomo.

– Co powinien robić zespół monitorujący?

– Monitorować – warknęła. – Obserwować go, sprawdzać, z kim rozmawia i co robi. Codzienne raporty, jeśli jest nudno, aktualizacje w czasie rzeczywistym, jeśli coś będzie się dziać.

– Tak jest, proszę pani. Czy mamy go aresztować?

– Zgarnijcie go i jego ludzi, jeśli spróbują opuścić Ganimedesa.

W innym wypadku nie wchodzić im w drogę i próbować nie rzucać się w oczy. Holden to idiota, ale nie jest głupi. Jeśli zauważy, że jest obserwowany, zacznie transmitować do wszystkich zdjęcia naszych ludzi na Ganimesie czy coś tym stylu. Nie wolno nie doceniać jego zdolności do spieprzenia wszystkiego.

– Coś jeszcze?

Kolejna błyskawica. Kolejny przenikliwy grzmot. Jeszcze

jedna burza spośród trylionów burz, które atakowały Ziemię od zarania dziejów, gdy coś pierwszy raz próbowało zakończyć całe życie na planecie. Coś, co teraz było na Wenus. I rozprzestrzeniało się.

– Znajdź sposób, żebym mogła przesłać wiadomość do Freda Johnsona tak, żeby nie dowiedzieli się o tym Nguyen ani Marsjanie. Może trzeba będzie prowadzić negocjacje pod stołem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Praks

– Pas kirrup es ja to – powiedział chłopak siedzący na pryczy. – Pinche *salata*, sa- sa? Kiedyś było dziesięć tysięcy.

Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Technicznie rzecz biorąc, mógłby być jego synem, tak jak Mei mogłaby być córką chłopaka. Chudy jak szczapa od dzieciństwa i życia w niskim ciężeniu, wyglądał szczupło już na starcie. A teraz na dodatek głodował.

– Jeśli chcesz, mogę ci wystawić weksel – zaproponował Praks. Chłopak się wyszczerzył i wykonał obraźliwy gest.

Praks wiedział z pracy, że mieszkańcy planet wewnętrznych uważali slang Pasiarzy za deklarację pochodzenia. Dzięki życiu na Ganimesie jako botanik żywności zorientował się też, że chodziło o podziały klasowe. Dorastał, mając nauczycieli szkolących go w pozbawionym akcentu chińskim i angielskim. Mógł rozmawiać swobodnie z kobietami i mężczyznami pochodzącymi z dowolnego miejsca układu. Na podstawie tego, jak ktoś wymawiał *alloploidność*, potrafił stwierdzić, czy dana osoba uczyła się na uniwersytecie w Pekinie czy Brazyli, albo czy dorastała w cieniu Gór Skalistych, Olympus Mons czy też na korytarzach Ceres. Sam dorastał w nieważkości, ale gwara Pasa była mu

równie obca, jak osobom prosto ze studni grawitacyjnej. Gdyby chłopak chciał mówić tak, by nie zostać zrozumianym, mógł to zrobić bez wysiłku, jednak Praks był płacącym klientem i wiedział, że rozmówca próbuje mówić zrozumiale.

Klawiatura programistyczna była dwukrotnie większa od standardowego terminala, a jej plastik wytarty od używania. Wzdłuż jednego boku powoli przesuwał się pasek postępu, z każdym ruchem wyświetlając uproszczone chińskie symbole.

Dziura była tania, blisko powierzchni księżyca. Nie więcej niż trzy metry szerokości, cztery pokoje wybite w lodzie ze słabo oświetlonego i niewiele szerszego korytarza. Stare plastikowe ściany błyszcząły i ociekały kondensacją. Byli w pokoju najdalszym od korytarza: chłopak na prycy, Praks stał przygarbiony w drzwiach.

– Nie obiecuję pełnego zapisu – powiedział chłopak. – Co będzie, sabé?

– Przyda się wszystko, co będziesz mógł zdobyć.

Chłopak kiwnął głową. Praks nie znał nawet jego imienia, nie było to coś, o co można było zapytać. Potrzebował wielu dni na znalezienie kogoś skłonnego włamać się do systemu ochrony. Długo musiał lawirować między własną ignorancją dotyczącą szarej strefy Ganimedesa a rosnącą desperacją i głodem w nawet najbardziej skorumpowanych miejscach. Miesiąc temu chłopak mógł kraść komercyjne dane i odsprzedawać je lub żądać za nie okupu od prawowitych właścicieli. Dzisiaj szukał Mei w zamian za zielone liście wystarczające na niewielką sałatkę. Na Ganimedesa dotarła wymiana płodów rolnych, najstarsza forma

handlu w dziejach ludzkości.

– Automatyczna kopia przepadła – rzucił chłopak. – Wciągnięta w serwery, zagrzebana na dnie.

– To jeśli nie możesz złamać zabezpieczeń serwerów...

– Nie muszę. Kamera ma pamięć, pamięć ma pamięć podręczną. A ta się tylko zapełnia od czasu blokady. Nikt nie ogląda.

– Żartujesz – skomentował Praks. – Dwie największe armie w układzie celują do siebie z broni i nie oglądają obrazu z kamer monitoringu?

– Obserwują siebie. Na nas nikt nie zwraca uwagi.

Pasek postępu doszedł do końca i rozległ się sygnał dźwiękowy. Chłopak wywołał listę kodów identyfikacyjnych i zaczął je przeglądać, mamrocząc coś pod nosem. Z pokoju na przedzie dało się słyszeć słaby płacz dziecka. Wydawało się głodne. Oczywiście. – Twoje dziecko?

Chłopak pokręcił głową.

– Zabezpieczenie – rzucił i dwukrotnie stuknął w kod.

Otworzyło się nowe okienko. Szeroki hol. Drzwi na wprost stopione i rozepchnięte siłą. Ślady po strzałach na ścianach i co gorsza, kałuża wody. Tam nie powinno być odsłoniętej wody. Kontrola środowiska coraz bardziej oddalała się od stanu bezpiecznej równowagi. Chłopak spojrział na Praksa.

– C'est la?

– Tak – potwierdził Praks. – To tu.

Chłopak kiwnął głową i znowu zgarbił się nad konsolą.

– Potrzebuję obrazu sprzed ataku. Zanim spadło lustro – wyjaśnił Praks.

– Dobra, szefie. Cofam. Tod a frames eon nuli delta.

Widać tylko, gdy coś się dzieje, que si?

– Dobrze. Tak może być.

Praks przesunął się do przodu i nachylił nad ramieniem chłopaka. Obraz drżał, a jedyna rzecz, która się na nim zmieniała, to powoli malejąca kałuża. Cofali się w czasie, przez dni i tygodnie, do chwili, gdy wszystko się rozpadło.

Na ekranie pojawili się sanitariusze idący do tyłu w odwróconym świetle, przynosząc ciało, które ułożyli obok drzwi. Potem ktoś je przykrył płachtą. Dwa ciała leżały nieruchomo, w końcu jedno się ruszyło, drapiąc słabo o ścianę, potem mocniej, aż w mgnieniu oka człowiek zatoczył się na nogi i zniknął.

– Powinna tu być dziewczynka. Chcę się dowiedzieć, kto wyprowadził czteroletnią dziewczynkę.

– Sa przedszkole, no? Powinni ich tam mieć setki.

– Interesuje mnie tylko jedna.

Drugi trup usiadł i wstał, trzymając się za brzuch. Na obrazie pojawił się mężczyzna z bronią w ręku, lecząc martwą przed chwilą kobietę przez wyssanie jej kuli z brzucha. Klócili się, potem uspokoili i rozeszli w spokoju. Praks zdawał sobie sprawę, że widzi wszystko w odwróconej kolejności, ale jego niedospany i wygłodzony mózg próbował zmienić obrazy w rzeczywistą historię. Ze zniszczonych drzwi tyłem wyczołgała się grupa żołnierzy, którzy przykucnęli i odbiegli pośpiesznie do tyłu. Błysk i drzwi się naprawiły, z ładunkami termitowymi wiszącymi przy nich jak owoce, aż żołnierz w marsjańskim mundurze podbiegł i schował je bezpiecznie. Po zakończeniu zbiorów żołnierze szybko się oddalili, zostawiając za sobą oparty o ścianę skuter.

A potem drzwi się otworzyły i Praks zobaczył siebie

wychodzącego ze środka. Wyglądał młodziej. Walił w drzwi, uderzając w powierzchnię seriami, po czym odskoczył niezgrabnie do skutera i zniknął, odjeżdżając tyłem.

Drzwi stały spokojnie. Bez ruchu. Wstrzymał oddech. Pojawiła się idąca tyłem kobieta niosąca na biodrze pięcioletniego chłopca, zniknęła w środku, a potem pojawiła się znowu. Praks musiał sobie przypominać, że kobieta nie zostawiała tam syna, tylko go odbierała. Dwie postacie idące tyłem z głębi korytarza.

Nie, trzy.

– Stop! To to – powiedział Praks czując, jak serce wali mu o żebra. – To ona.

Chłopak poczekał, aż wszystkie trzy postacie pojawiły się w oku kamery, przy wychodzeniu na korytarz. Dziewczynka miała nadąsaną twarz – rozpoznał jej nastrój nawet na niskiej jakości obrazie z kamery monitoringu. A trzymający ją mężczyzna...

W jego piersi ulga walczyła przez chwilę z oburzeniem, ale ulga wygrała. To był doktor Strickland. Wyszła z doktorem Stricklandem, który wiedział o jej chorobie, o lekarstwie, o wszystkich tych sprawach, których należało dopilnować, by utrzymać Mei przy życiu. Opadł na kolana z zaciśniętymi oczami i zapłakał. Skoro to on ją zabrał, to wcióż żyła. Jego córka nie umarła.

Chyba że, zabrzmiał cichy, demoniczny szept w jego myślach, Strickland też nie żył.

Kobiety nie znał. Ciemnowłosa, przypominała Praksowi rosyjską botaniczkę, z którą kiedyś pracował. Trzymała w ręce rulon papieru. Jej uśmiech mógł świadczyć o rozbawieniu lub niecierpliwości. Nie wiedział.

– Możesz ich śledzić? – zapytał. – Zobaczyć, dokąd poszli?
Chłopak popatrzył na niego, wywijając wargi.

– Za sałatę? Nie. Pudełko kurczaka w sosie atche.

– Nie mam żadnego kurczaka.

– To masz to, co dostałeś – odpowiedział chłopak, wzruszając ramionami. Jego oczy zrobiły się martwe jak kamienie.

Praks chciał go uderzyć, dusić, aż wydobędzie obrazy z umierających komputerów, jednak istniało spore prawdopodobieństwo, że chłopak ma tu gdzieś ukryty pistolet lub coś gorszego i w przeciwieństwie do Praksa wie, jak go użyć.

– Proszę – powiedział botanik.

– Zrobiłem, co chciałeś. No epressa me, si?

Poczuł wzbierające w gardle upokorzenie, ale zmusił się do przełknięcia go.

– Kurczak – powtórzył.

– Si.

Praks otworzył torbę i wyłożył na pryczę dwie garście liści, pomarańczowe papryki i dwie cebule. Chłopak zgarnął połowę i wcisnął sobie w usta, mrużąc oczy ze zwierzęcą przyjemnością.

– Zrobię, co będę mógł – powiedział Praks.

* * *

Nie mógł zrobić niczego.

Jedynie jadalne białko wciąż dostępne na stacji docierało drobnym strumyczkiem z przesyłanej pomocy humanitarnej lub chodziło na dwóch nogach. Ludzie zaczęli naśladować działania Praksa, żywiąc się roślinami z parków i upraw hydroponicznych. Niestety, większość

nie odrobiła wcześniej pracy domowej. Zrywano także rośliny niejadalne, zmniejszając wydajność systemu oczyszczania powietrza i jeszcze bardziej wytrącając z równowagi ekosystem stacji. Sytuacja stale się pogarszała i nie dało się zdobyć kurczaka ani niczego, co mogłoby go zastąpić. A nawet gdyby się dało, nie miał czasu na rozwiązanie tego problemu.

Światła w jego mieszkaniu świeciły bardzo słabo i nie chciały działać lepiej. Sadzonka soi przestała rosnąć, choć nie obumarła, co było ciekawą informacją, a przynajmniej mogło być.

Gdzieś w ciągu dnia automatyczny system przełączył się na tryb konserwacyjny, ograniczając zużycie energii. W ogólnym obrazie mógł to być dobry znak. Albo po prostu kolejna awaria sygnalizująca nadciągającą katastrofę. To nie zmieniało tego, co musiał zrobić.

Jako chłopiec wcześniej zaczął chodzić do szkół, latając z rodziną, ścigającą marzenie o pracy i dobrobycie, do pozbawionych słońca skrajów kosmosu. Nie znosił dobrze tych zmian. Bóle głowy, ataki lękowe i nieustanne, sięgające kości zmęczenie towarzyszyły mu stale przez pierwsze lata, gdy musiał wywierać wrażenie na nauczycielach, by uznali go za bystrego i obiecującego. Ojciec nie pozwolił mu odpoczywać. *Okno jest otwarte do czasu, aż się zamknie*, mawiał i zmuszał Praksa do kolejnego wysiłku, do znalezienia sposobu na myślenie, gdy ten był zbyt zmęczony lub chory, by myśleć. Nauczył się wtedy tworzyć listy, notatki, plany.

Zapisując umykające myśli, mógł zmusić się do jasnego spojrzenia, jak alpinista uparcie wychodzący ponad

chmury. Więc i teraz, w sztucznym zmierzchu, tworzył listy. Nazwiska wszystkich dzieci, które pamiętał z grupy leczenia Mei. Wiedział, że było ich dwadzieścia, choć pamiętał tylko szesnaścioro. Jego myśli odpływały. Wyświetlił na terminalu ręcznym obraz Stricklanda i tajemniczej kobiety, wpatrując się w niego. Zmieszanie, nadzieja i złość wirowały w nim, aż zgasły. Czuł się jakby usypiał, ale miał bardzo szybki puls. Próbował sobie przypomnieć, czy częstoskurcz jest objawem niedożywienia.

Na chwilę jego umysł się oczyścił i nagle zrozumiał, że nie myślał tak jasno od wielu dni. Zaczynał się załamywać. Jego osobista kaskada zaczynała go wyprzedzać i bez odpoczynku nie zdoła dłużej pociągnąć swojego śledztwa. Bez białka. Był już w połowie zombie.

Musiał zdobyć pomoc. Jego spojrzenie powędrowało na listę nazwisk dzieci. Musiał zdobyć pomoc, ale najpierw sprawdzi, tylko sprawdzi. Pójdzie do... do...

Zamknął oczy i zmarszczył czoło. Znał odpowiedź. Wiedział, że wie. Komisariat ochrony. Będzie musiał tam pójść i zapytać o każde z nich. Otworzył oczy i zapisał *komisariat ochrony* pod listą, chwytając się tej myśli. A potem *stacja pomocy ONZ. Pomoc Marsa*. Wszystkie te miejsca, które odwiedzał wielokrotnie w przeszłości, tylko teraz z nowymi pytaniami. Będzie łatwo. A potem, gdy się dowie, powinien zrobić coś jeszcze. Potrzebował dłuższej chwili, by sobie to przypomnieć, ale w końcu napisał u dołu strony.

Zdobyć pomoc.

– Wszystkie zniknęły – powiedział Praks, a jego oddech tworzył białe chmurki w chłodzie. – Wszystkie dzieci były jego pacjentami i wszystkie zniknęły. Szesnaście z szesnastu. Wie pan, jakie jest prawdopodobieństwo czegoś takiego? To nie jest przypadek.

Mężczyzna z ochrony nie golił się od wielu dni. Na jego policzku i szyi czerwieniło się długie, gniewne odmrożenie, świeże i nieleczone. Musiał dotknąć skórą nieizolowanego kawałka Ganimedesa. Miał szczęście, że skóra została na miejscu. Ubrany był w gruby płaszcz i rękawiczki, a na jego biurku zbierał się szron.

– Doceniam tę informację, proszę pana i dopilnuję, by dotarła do jednej ze stacji pomocy...

– Nie, nie rozumie pan, on je zabrał. One są chore, a on je zabrał.

– Może próbował im zapewnić bezpieczeństwo – zasugerował policjant. Jego głos był jak szara szmatka, bezwładny i zmęczony.

Był z tym pewien problem. Praks wiedział, że jest z tym problem, ale nie umiał sobie przypomnieć, na czym polegał. Policjant wyciągnął rękę i łagodnie przesunął go na bok, kiwając głową do stojącej za nim kobiety. Praks zorientował się, że wpatruje się w nią jak pijany.

– Chcę zgłosić zabójstwo – powiedziała drżącym głosem.

Policjant kiwnął głową, nie zdradzając ani śladu zaskoczenia albo niedowierzania. Praks sobie przypomniał.

– On je zabrał wcześniej – powiedział. – Zabrał, zanim doszło do ataku.

– Trzech mężczyzn włamało się do mojego mieszkania – powiedziała kobieta. – Oni... mój brat był ze mną i

próbował ich powstrzymać.

– Kiedy to się stało, proszę pani?

– Przed atakiem – odpowiedział Praks.

– Kilka godzin temu – odpowiedziała kobieta. – Czwarty poziom, niebieski sektor. Mieszkanie 1453.

– Dobrze, proszę pani. Zabiorę panią do tamtego biurka. Musi pani wypełnić zgłoszenie.

– Mój brat nie żyje. Zastrzelili go.

– Bardzo mi przykro z tego powodu, proszę pani. Musi pani wypełnić zgłoszenie, żebyśmy mogli złapać ludzi, którzy to zrobili.

Praks patrzył, jak odchodzą. Odwrócił się z powrotem do kolejki skrzywdzonych i zdesperowanych ludzi czekających na swoją kolej błagania o pomoc, sprawiedliwość, prawo. Na chwilę poczuł złość, która szybko zgasła. Potrzebował pomocy, ale tu jej nie dostanie. On i Mei byli drobnymi kamyczkami w kosmosie. Nic nie znaczyli.

Policjant wrócił, rozmawiając z wysoką, piękną kobietą o czymś strasznym. Praks nawet nie zauważył jego powrotu, nie usłyszał początku relacji kobiety. Zaczynał gubić czas. To nie był dobry znak.

Niewielka, przytomna część jego umysłu wyszeptała, że jeśli zginie, nikt nie będzie szukał Mei. Przepadnie. Szeptała, że potrzebuje jedzenia, że potrzebuje go już od wielu dni. Nie zostało mu wiele czasu.

– Muszę iść do ośrodka pomocy – powiedział na głos. Kobieta i policjant chyba go nie usłyszeli. – Mimo wszystko dziękuję.

Teraz, gdy zaczął zwracać uwagę na swój stan, Praks poczuł zdumienie i niepokój. Poruszał się, szurając

nogami, jego ręce były osłabione i mocno go bolały, choć nie pamiętał niczego, czym mógłby na ten ból zapracować. Nie dźwigał niczego ciężkiego ani nie wspinał się. Nie pamiętał też, kiedy ostatni raz wykonywał swoje niegdyś codzienne ćwiczenia. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz coś jadł. Przypomnił sobie wstrząs upadku lustra i zniszczenie jego kopuły jakby to było coś, co zdarzyło się w poprzednim życiu. Nic dziwnego, że się rozpadał.

Korytarze przy ośrodku pomocy były przeludnione, tłum przypominał upchnięte w puszcze sardynki. Nieustannie napierający na siebie kobiety i mężczyźni, z których wielu wyglądało dużo zdrowiej i silniej od niego, przez co nawet szerokie korytarze wydawały się wąskie. Im bliżej portu docierał, tym bardziej kręciło mu się w głowie. Było tu prawie ciepło od mnóstwa promieniujących ciał. Śmierdziało kwaśnoketonowym oddechem. Jego matka nazywała to oddechem świętych. Woń rozkładu białek, ciał zjadających własne mięśnie, aby przetrwać. Zastanawiał się, ile osób w tłumie wiedziało, skąd pochodzi ta woń.

Ludzie krzyczeli. Przepychali się. Tłum wokół niego poruszał się w różne strony, tak jak zapewne fale napierały na plażę.

– ...to otwórzcie drzwi i dajcie nam zajrzeć! – krzyknęła jakaś kobieta z przodu.

Och, pomyślał Praks. To zamieszki żywnościowe.

Zaczął przeciskać się w stronę brzegów, próbując się wydostać. Uciec. Przed nim ludzie krzyczeli. Za nim napierali. Rzędy diod LED na suficie jarzyły się biało i złoto. Ściany miały przemysłowo szary kolor. Wyciągnął

rękę przed siebie. Dotarł do ściany. Gdzieś pękła tama i tłum nagle popłynął do przodu, grożąc mu porwaniem i wciągnięciem w ruch przez ten zbiór ciał. Utrzymał dłoń na ścianie. Tłum się przerzedził i Praks zatoczył się do przodu. Drzwi doku towarowego stały otwarte. Obok nich Praks zobaczył znajomą twarz, ale nie potrafił jej do końca zidentyfikować. Może ktoś z laboratorium? Mężczyzna był grubokościsty i muskularny. Ziemianin. Może ktoś, kogo spotkał w trakcie swoich podróży przez rozpadającą się stację. Widział go, jak szukał jedzenia? Nie, wyglądał na zbyt dobrze odżywionego. Jego policzki nie były zapadnięte. Wyglądał, jak ktoś znajomy, a równocześnie obcy. Ktoś, kogo Praks znał i nie znał. Jak sekretarz generalny albo znany aktor.

Praks zdawał sobie sprawę, że się gapi, ale nie potrafił się powstrzymać. Znał tę twarz. *Znał*. Miała coś wspólnego z wojną.

Nagle dopadło go żywe wspomnienie. Był w swoim mieszkaniu, trzymając w ramionach Mei, próbując ją uspokoić. Miała dopiero rok, jeszcze nie umiała chodzić, a lekarze wciąż starali się opracować najlepszą mieszankę leków, by utrzymać ją przy życiu. Przez jej płacz z powodu kolki przebijały się zaniepokojone rozmowy na kanale informacyjnym. Nieustannie wyświetlana twarz.

Nazywam się James Holden, a mój statek, Canterbury, został właśnie zniszczony przez niewykrywalny okręt bojowy. We wraku innej jednostki znaleźliśmy części oznaczone numerami seryjnymi marsjańskiej floty.

To był on. To dlatego rozpoznał tę twarz i miał przy tym wrażenie, że nigdy wcześniej jej nie widział. Praks poczuł szarpnięcie gdzieś w okolicy środka piersi i zrobił krok do

przodu. Zatrzymał się. Za drzwiami doku towarowego ktoś krzyknął. Praks wyciągnął swój ręczny terminal i spojrzał na listę. Szesnaście nazwisk, szesnaścioro dzieci, które zniknęły. A u dołu strony, prostymi, wielkimi literami: *Zdobyć pomoc*.

Praks, nagle nieśmiały i niepewny, obrócił się w stronę człowieka, który rozpoczynał wojny i ratował planety.

– Zdobyć pomoc – powiedział i ruszył do przodu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Holden

Santichai i Melissa Supitayaporn byli parą osiemdziesięcioletnich misjonarzy Kościoła Panującej Ludzkości, religii odrzucającej nadnaturalizm we wszystkich postaciach, której teologia sprowadzała się do *Ludzie mogą być lepsi niż są, więc zróbmy to*. Kierowali też ośrodkiem pomocy humanitarnej z bezwzględną skutecznością urodzonych dyktatorów. Kilka minut po przybyciu Holden został zbesztany z góry na dół przez Santichaiego, drobnego człowiczka o rzadkich, siwych włosach, za jego starcie z fałszywym urzędnikiem celnym w porcie. Po kilku minutach prób wyjaśnień, które prowadziły tylko do zakrzyczenia przez misjonarza, po prostu się poddał i przeprosił.

– Nie pogarszaj naszej sytuacji – powtórzył Santichai, wyraźnie ułagodzony przeprosinami, ale wciąż trzymał się tematu. Pogroził przed nosem Holdena chudym brązowym palcem.

– Rozumiem – powiedział Holden, podnosząc ręce w geście poddania się.

Reszta jego załogi zniknęła przy pierwszym gniewnym wybuchu Santichaiego, zostawiając Holdena, by sam stawiał czoła mężczyźnie. Zauważył Naomi stojącą po drugiej stronie dużej, pustej przestrzeni magazynu

ośrodka pomocy, rozmawiała spokojnie z Melissą, być może łagodniejszą żoną Santichaiego. Holden nie słyszał żadnych krzyków, choć przy głosach kilku tuzinów ludzi i dźwiękach pracujących maszyn oraz sygnałach ostrzegawczych trzech cofających wózków widłowych Melissa mogła rzucać w Naomi granatami, a on pewnie i tak by tego nie usłyszał.

– Przepraszam, muszę... – powiedział Holden, wskazując Naomi w próbie ucieczki.

Santichai uciął mu gestem ręki, od którego zawirowały jego luźne szaty. Holden stwierdził, że nie potrafi zignorować drobnego człowieka.

– To – oświadczył Santichai, wskazując skrzynki wyładowywane z *Lunatyka* – nie wystarczy.

– Ja...

– SPZ obiecał nam dwadzieścia dwa tysiące kilogramów białka i suplementów do końca zeszłego tygodnia. Tu nie ma nawet dwunastu tysięcy kilogramów – mówił Santichai, podkreślając słowa ostrzymi dźgnięciami w biceps Holdena.

– Nie odpowiadam za...

– Czemu mieliby obiecywać nam coś, czego nie zamierzali dostarczyć? Obiecaj dwanaście tysięcy, jeśli tylko tyle masz. *Nie* obiecuj dwudziestu dwóch tysięcy, żeby potem dostarczyć dwanaście – nie przestawał, dalej dźgając.

– Zgadzam się – powiedział Holden, cofając się poza zasięg dźgania i unosząc ręce. – Całkowicie się zgadzam. Natychmiast zadzwonię do moich ludzi na Tycho i dowiem się, gdzie jest reszta obiecanych materiałów. Z pewnością zostały już wysłane.

Santichai wzruszył ramionami w kolejnej fali pomarańczy.

– Dopilnuj tego – powiedział ostro i ruszył w stronę jednego z podnośników. – Ty! Ty! Nie widzisz znaku z napisem „lekarstwa”? Czemu stawiasz tutaj skrzynie, w których nie ma leków?

Holden wykorzystał tę sytuację do ucieczki i podbiegł do Naomi i Melissy. Naomi miała w terminalu otwarty formularz i wypełniała jakieś dokumenty pod czujnym okiem Melissy.

Holden rozejrzał się po magazynie, czekając, aż Naomi skończy. *Lunatyk* był tylko jednym z prawie dwudziestu statków z pomocą humanitarną, które wylądowały w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, a olbrzymie pomieszczenie szybko wypełniało się skrzyniami dostaw. Chłodne powietrze pachniało pyłem, ozonem i gorącym olejem z podnośników widłowych, ale pod tym wszystkim kryła się nieprzyjemna woń rozkładu, jakby gnijących roślin. Zobaczył, jak Santichai biegnie przez magazyn, wykrzykując polecenia do dwóch robotników dźwigających ciężką skrzynię.

– Pani mąż to szczególny człowiek – Holden zwrócił się do Melissy.

Kobieta była wyższa i cięższa od swojego drobnego męża, ale na jej głowie rosła podobna, bezkształtna chmura rzednących, siwych włosów. Miała też jasnoniebieskie oczy, które prawie ginęły w twarzy, gdy się uśmiechała. Jak teraz.

– W całym swoim życiu nie spotkałam nikogo innego, kto bardziej przejmowałby się dobrem innych, a mniej ich uczuciami – odpowiedziała. – Ale przynajmniej dopilnuje,

by wszyscy zostali dobrze nakarmieni, zanim wyliczy im to wszystko, co zrobili źle.

– To chyba będzie wszystko – odezwała się Naomi, wciskając przycisk przesłania formularza na terminal Melissy, uroczym przestarzałym modelem, który wyciągnęła z kieszeni szaty po zabrzmieniu dźwięku powiadomienia.

– Pani Supitayaporn – powiedział Holden.

– Melissa.

– Od jak dawna jesteście z mężem na Ganimesie, Melissa?

– Prawie – powiedziała, stukając palcem o podbródek i patrząc w dal – dziesięć lat? Czy to naprawdę już tyle? Musi tak być, bo Dru właśnie urodziła dziecko, a on...

– Zastanawiam się, bo wygląda na to, że nikt poza Ganimesem wydaje się nie mieć pojęcia, jak to wszystko

– Holden machnął dookoła – się zaczęło.

– Stacja?

– Kryzys.

– No cóż, żołnierze ONZ i Marsa zaczęli do siebie strzelać, potem zaczęło dochodzić do awarii systemów...

– Tak. – Holden znowu jej przerwał. – Rozumiem. Ale *dlaczego?* Ani jednego strzału w ciągu całego roku, gdy Ziemia i Mars wspólnie obsadzali ten księżyc. Przed tą sprawą z Erosem trwała wojna, ale nie sprowadzili jej tutaj. A potem nagle wszyscy zaczynają do siebie strzelać? Co do tego doprowadziło?

Melissa przybrała zamyślony wyraz twarzy, od czego jej oczy prawie zniknęły pod masą zmarszczek.

– Nie wiem – przyznała. – Uznałam, że strzelają do siebie wszędzie, w całym układzie. Nie dochodzi tu zbyt wiele wiadomości.

– Nie – zapewnił Holden. – Walczyli tylko tutaj i tylko przez kilka dni. A potem wszystko ustało, bez żadnego wyjaśnienia.

– To dziwne – stwierdziła Melissa – ale nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. Cokolwiek się stało, nie zmienia to tego, co musimy teraz robić.

– Zapewne nie – zgodził się Holden.

Melissa uśmiechnęła się, objęła go ciepło, a potem poszła sprawdzić dokumenty kogoś innego.

Naomi chwyciła Holdena pod ramię i ruszyli w stronę wyjścia z magazynu do reszty stacji, ustępując po drodze miejsca robotnikom i urządzeniom transportującym skrzynie.

– Jak to możliwe, że odbyli tu wielką bitwę – powiedziała – ale nikt nie zna powodu?

– Wiedzą – odpowiedział Holden. – *Ktoś wie.*

* * *

Na dole stacja wyglądała znacznie gorzej niż z kosmosu. Kluczowe rośliny produkujące tlen, którymi obsadzono ściany korytarza, przybierały niezdrowy, żółty odcień. W wielu korytarzach nie było światła, a automatyczne grodzie ciśnieniowe zostały zablokowane w pozycji otwartej – gdyby jedna z części stacji nagle utraciła powietrze, wraz z nią doszłoby do dekompresji wielu przyległych sektorów. Nieliczni napotkani ludzie unikali ich spojrzenia lub patrzyli z jawną wrogością. Holden zaczął żałować, że nie nosi broni na widoku, zamiast w ukrytej kaburze pod kurtką na plecach.

– Kto jest naszym kontaktem? – zapytała Naomi cicho.

– Hm?

– Zakładam, że Fred ma tu swoich ludzi – powiedziała jeszcze ciszej, uśmiechając się i kiwając głową grupie przechodzących mężczyzn.

Wszyscy jawnie nieśli broń, choć w większości były to noże i maczugi. Przyglądali się jej uważnie, z widoczną w oczach próbą oceny. Holden wsunął rękę pod kurtkę, sięgając w stronę broni, ale mężczyźni poszli dalej, rzucając im tylko kilka spojrzeń przez ramię, zanim skręcili za róg i zniknęli z pola widzenia.

– Nie umówił nas na spotkanie z nikim? – Naomi dokończyła zwykłym głosem.

– Podał mi kilka nazwisk. Ale łączność z tym księżycem była ostatnio tak niepewna, że nie mogł...

Słowa Ploldena zostały zagłuszone przez głośny huk z innej części portu. Chwilę po wybuchu zabrzmiał ryk, który stopniowo rozwinął się w ludzkie krzyki. Nieliczni przechodnie na korytarzu zaczęli biec, niektórzy w stronę hałasu, ale większość w kierunku przeciwnym do niego.

– Czy powinniśmy... – zaczęła Naomi, patrząc na ludzi biegnących w stronę zamieszania.

– Przylecieliśmy tu, żeby się dowiedzieć, co się tu dzieje – odpowiedział Holden. – Więc chodźmy zobaczyć.

* * *

Szybko zgubili się w krętych korytarzach portu Ganimedesa, ale nie miało to większego znaczenia, jak długo szli w stronę hałasu wraz z gęstniejącą falą ludzi biegnących w tym samym kierunku. Przez chwilę obok nich biegł wysoki, masywny mężczyzna z czerwonymi włosami zebranymi żelem w kolce. W obu dłoniach trzymał po długim kawałku czarnej metalowej rury.

Wyszczерzył się do Naomi i zaoferował jej jedną z rurek, ale podziękowała gestem.

– Wyższy furwa czas – krzyknął z akcentem, którego Holden nie potrafił umiejscowić. Gdy Naomi nie przyjęła proponowanej broni, wyciągnął ją w stronę Holdena.

– Co jest? – zapytał kapitan, przyjmując rurkę.

– Ebane dhanie wysyłają żarcie, trzeba siem dorwać, nie? Ebać chujów, pasza nasza!

Facet z czerwonymi kolcami z włosów zawył i zawirował rurką w powietrzu, a potem przyśpieszył i zniknął w tłumie. Naomi roześmiała się i też zawyla, biegnąc.

– To zaraźliwe – wyjaśniła, gdy Holden posłał jej zdziwione spojrzenie.

Ostatni zakręt korytarza wyprowadził ich do kolejnego dużego magazynu, który wyglądał niemal identycznie jak ten zarządzany przez Supitayapornów, tylko że ten był wypełniony tłumem rozwścieczonych ludzi przepychających się w stronę doku towarowego. Brama doku była zamknięta, a tłum usiłowała powstrzymać mała grupa pracowników ochrony portu. W chwili przybycia Holdena ludzka gromada wciąż powstrzymywała się przed atakiem na tasery i elektryczne pałki ochrony, ale po rosnącym w powietrzu napięciu i złości wiedział, że nie potrwa to długo.

Tuż za pierwszą linią ochroniarzy stała mała grupka ludzi w ciemnych skafandrach, mieli broń odstraszącą. Trzymali strzelby i emanowali aurą ludzi czekających tylko na pozwolenie do ich użycia.

Czyli ochrona korporacyjna.

Rozglądając się po hali, Holden miał wrażenie, że wszystkie elementy układanki wskakują na swoje miejsca.

Za zamkniętą bramą doku towarowego stał jeden z nielicznych pozostałych tu frachtowców korporacyjnych, na który ładowano resztki zabieranej z Ganimedesa żywności.

A tłum był głodny.

Holden przypomniał sobie próbę ucieczki z kasyna na Erosie po zablokowaniu go przez ochronę. Przypomniał sobie gniewny tłum stojący naprzeciw ludzi z bronią. Krzyki, smród krwi i kordytu. Zanim jeszcze zorientował się, że podjął decyzję, zaczął się przepychać na czoło tłumowi. Naomi poszła za nim, mamrocząc przeprosiny w kierunku rozpychanych ludzi. Chwyliła go za łokieć i na chwilę zatrzymała.

– Czy ty chcesz zrobić coś bardzo głupiego? – zapytała.

– Chcę nie dopuścić do rozstrzelania tych ludzi za zbrodnię głodu – odpowiedział i skrzywił się z powodu własnego, obłudnego tonu.

– Tylko nie wyciągaj broni – poprosiła Naomi, puszczając go.

– Oni mają karabiny.

– Właśnie, liczba mnoga. A ty masz jeden pistolet i dlatego zostanie w kaburze albo będziesz musiał to robić całkiem sam.

To jedyny sposób, w jaki cokolwiek można coś zrobić. Samemu. Coś takiego mógłby powiedzieć detektyw Miller. I dla niego to była prawda. Co było dostatecznie poważnym argumentem, by nie postępować w ten sposób.

– Dobrze. – Holden kiwnął głową i wznowił przepychanie się na czoło.

Kiedy tam dotarł, konflikt skupił się na dwóch osobach. Siwowłosa mężczyzna z ochrony portu z białą plakietką z

nadrukowanym tekstem *Kierownik* i wysoka, chuda i ciemnoskóra kobieta, która mogłaby być matką Naomi, wrzeszczeli na siebie przy akompaniamencie pokrzykiwań ze strony pozostałych grup.

– ...to otwórz tę cholerną bramę i daj nam spojrzeć! – krzyknęła kobieta tonem sugerującym, że było to coś, co powtarzała wielokrotnie.

– Niczego nie osiągniesz, wrzeszcząc na mnie – odkrzyknął siwowłósy kierownik.

Stojący po jego bokach ochroniarze kurczowo zaciskali dłonie na pałkach elektrycznych, a korporacyjni w drugim szeregu trzymali strzelby luźno oparte w zgięciach łokci, co dla Holdena wyglądało dużo groźniej.

Kiedy Holden dopchnął się do kierownika, kobieta ucichła i zaczęła się na niego gapić.

– Kto...? – zaczęła.

Holden wspiął się na rampę załadunkową obok kierownika ochrony. Pozostali ochroniarze zaczęli machać groźnie pałkami w jego stronę, ale nikt go nie uderzył. Korporacyjne zbiry zmrużyły oczy i nieco zmieniły postawy. Holden wiedział, że ich wątpliwości co do tego, z kim mają do czynienia, nie potrważą długo, a gdy w końcu się z nimi uporają, prawdopodobnie zapozna się z bardzo bliska z jedną z elektrycznych pałek, jeśli nie od razu ze śrutem ze strzelby. Musiał działać, zanim do tego dojdzie. Wyciągnął rękę do kierownika i odezwał się głośno, tak, by słyszał go tłum.

– Cześć, jestem Walter Philips, przedstawiciel SPZ ze stacji Tycho, tutaj jako osobisty przedstawiciel pułkownika Fredericka Johnsona.

Oszołomiony kierownik uścisnął jego dłoń. Korporacyjni

goryle znowu zmienili postawę i pewnie chwycili broń.

– Panie Philips – odpowiedział kierownik. – SPZ nie ma władzy...

Holden go zignorował i zwrócił się do kobiety, która wcześniej krzyczała.

– Co tu się dzieje, proszę pani?

– Ten statek – odpowiedziała, wskazując bramę – ma na pokładzie prawie dziesięć tysięcy kilogramów fasoli i ryżu, dość, by wykarmić całą stację przez tydzień!

Z tłumu dobiegły głosy poparcia, a jego brzeg przesunął się do przodu o krok lub dwa.

– Czy to prawda? – Holden zapytał kierownika.

– Jak już mówiłem – odpowiedział mężczyzna, unosząc ręce i wykonując gest odpychania w stronę tłumu, jakby mógł ich odepchnąć siłą woli – nie wolno nam omawiać manifestów przewozowych prywatnych...

– To otwórzcie bramę i dajcie zajrzeć! – wrzasnęła znowu kobieta.

Gdy krzyczała, a tłum podchwycił jej krzyk, skandując *dajcie zajrzeć, dajcie zajrzeć* – Holden ujął kierownika ochrony za łokieć i nachylił się do jego twarzy.

– Za jakieś trzydzieści sekund ten tłum rozerwie na kawałki pana i pańskich ludzi, próbując dostać się do tego statku. Chyba powinien ich pan wpuścić, zanim dojdzie do przemocy.

– Przemocy! – Mężczyzna zaśmiał się bez śladu rozbawienia. – Tu już jest przemoc. Ten statek nie odleciał jeszcze tylko dlatego, że jeden z nich podłożył bombę i wysadził mechanizm zwalniania blokad dokowych. Jeśli spróbują zdobyć statek, my...

– Nie zdobędą go – zabrzmiał poważny głos i na

ramieniu Holdena wylądowała ciężka dłoń. Kiedy się odwrócił, zobaczył przy sobie jednego z korporacyjnych zbirów. – Ten statek należy do Mao– Kwikowski Mercantile.

Holden zrzucił z ramienia dłoń mężczyzny.

– Tuzin facetów z taserami i strzelbami ich nie zatrzyma – zauważył, wskazując na krzyczący tłum.

– Panie – zbir popatrzył na niego z góry na dół – *Philips*. Gównu mnie obchodzi, co SPZ myśli na dowolny temat, a zwłaszcza na temat moich szans na wykonanie pracy. Może po prostu spieprzaj stąd, zanim zaczniemy strzelać?

Cóż, próbował. Holden uśmiechnął się i zaczął sięgać do kabury ukrytej na plecach. Żałował, że nie ma tu z nim Amosa, ale nie widział go, od kiedy tylko zeszli ze statku. Zanim jego dłoń dotarła do pistoletu, objęły ją długie, szczupłe palce i zacisnęły się na niej mocno.

– A może tak – powiedziała Naomi, nagle przy boku Holdena. – Opuścimy sobie te wszystkie pozy i po prostu powiem wam, jak to się potoczy?

Holden i zbir odwrócili się zaskoczeni w stronę kobiety. Uniosła do góry palec w geście *chwila przerwy* i wyciągnęła swój ręczny terminal. Zadzwoiła do kogoś i aktywowała głośnik.

– Amos – powiedziała, wciąż trzymając palec w górze.

– Tak – zabrzmiała odpowiedź.

– Z portu 11, stanowisko B9 próbuje wystartować statek. Jest pełen jedzenia, które naprawdę by się tu przydało. Jeśli wystartuje, mamy w okolicy jakiś okręt SPZ dość blisko, by mógł go przechwycić?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, wreszcie Amos odezwał się z rozbawieniem.

– Dobrze wiesz, że mamy, szefowo. Do kogo właściwie to mówię?

– Wywołaj okręt i każ im uszkodzić frachtowiec. A potem niech oddział SPZ go zabezpieczy, opróżni ze wszystkiego i zniszczy.

– Załatwione – odpowiedział Amos.

Naomi zamknęła połączenie i schowała terminal do kieszeni.

– Nie wystawiaj nas na próbę, chłopcze – rzuciła do zbira twardym głosem. – Ani słowo z tego nie było pustą groźbą. Albo oddacie tym ludziom ładunek, albo zabierzemy cały statek. Twój wybór.

Zbir patrzył na nią przez chwilę, po czym machnął do swoich ludzi i odszedł. Ochrona portu oddaliła się za nimi, a Holden i Naomi musieli uskoczyć z drogi tłumu wciskającego się na rampę i do bramy załadunkowej.

– To było świetne – skomentował Holden, gdy nie groziło im już rozdeptanie.

– Zgoda na rozstrzelanie w imię sprawiedliwości może ci się wydawać bardzo heroiczna – odpowiedziała wciąż twardym głosem – ale chciałabym cię zachować żywego, więc przestań odgrywać idiotę.

– Sprytne zagranie, zagrożenie statkowi – chwalił Holden.

– Zachowywałeś się jak ten dupek Miller, więc postąpiłam tak, jak ty kiedyś. Powiedziałam coś w rodzaju rzeczy, które ty mówisz, gdy nie śpieszy ci się do wymachiwania pistoletem.

– Wcale nie zachowywałem się jak Miller – zaprotestował nieszczerze.

– Nie zachowywałeś się normalnie.

Holden wzruszył ramionami, dopiero po fakcie uświadamiając sobie, że to kolejny gest przejęty od Millera. Naomi spojrzała na naszywki kapitańskie na ramieniu jej skafandra *Lunatyka*.

– Może powinnam je zatrzymać...

Podszedł do nich niski, zaniedbany mężczyzna z siwiejącymi włosami, azjatyckimi rysami twarzy i mniej więcej tygodniowym zarostem, po czym uklonił się nerwowo. Stojąc, splatał dłonie, co według Holdena robiły tylko stare damy na antycznych filmach.

– Ty jesteś James Holden – zapytał mężczyzna po kolejnym ukłonie. – Kapitan James Holden? Z SPZ?

Holden i Naomi wymienili spojrzenia. Holden pociągnął za swoją rzadką brodę.

– Czy to w ogóle w czymś pomaga? Szczerze.

– Kapitanie Holden, nazywam się Praks, Praksidike Meng. Jestem botanikiem.

Holden uściśnął jego dłoń. – Miło mi pana poznać, Praks. Obawiam się jednak, że musimy...

– Musi mi pan pomóc – powiedział Praks.

Holden nie miał wątpliwości, że mężczyzna miał za sobą ciężkie kilka miesięcy. Ubranie zwisało z niego jakby bardzo mocno schudł, a jego twarz pokrywały żółte siniaki od całkiem niedawnego pobicia.

– Jasne, jeśli pójdzie pan do Supitayapornów w ośrodku pomocy, proszę im powiedzieć, że...

– Nie! – krzyknął Praks. – Nie potrzeba mi tego. Potrzebuję pana pomocy!

Holden posłał spojrzenie Naomi. Wzruszyła ramionami. *Twoja decyzja*.

– No dobrze – odpowiedział Holden. – W czym problem?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Avasarala

– Mały dom to wyższy poziom luksusu – powiedział jej mąż. – Mieszkanie w miejscu należącym wyłącznie do ciebie, pamiętanie prostych przyjemności pieczenia chleba i zmywania własnych naczyń. O tym właśnie zapominają twoi wysoko postawieni znajomi. Stają się przez to mniej ludzcy.

Siedział przy stole kuchennym, odchylony na oparcie krzesła z laminatu bambusowego ukształtowanego na wzór barwionego orzecha. Blizny po zabiegu usunięcia nowotworu tworzyły dwie jasne kreski na ciemnej skórze gardła, ledwie widoczne pod wylaniającym się ze skóry zarostem. Czoło miał wyższe niż kiedy za niego wyszła, włosy rzadsze. Po stole rozlewało się ciepłe słońce niedzielnego poranka.

– Bzdura – odparła. – Fakt, że udajesz, że wiesz proste życie rolnika, nie czyni z Errinwrighta, Lusa czy któregoś z pozostałych mniej ludzkim. Istnieją domy mniejsze od tego, w których żyje po sześć rodzin, a ich mieszkańcy są sto razy bliżej zwierząt niż ktokolwiek, z kim pracuję.

– Naprawdę tak myślisz?

– Oczywiście. Czemu inaczej szłabym do pracy każdego ranka? Jeśli ktoś nie wyciągnie tych na wpół dzikich

zwierząt ze slumsów, to kogo będą uczyć akademicy na uniwersytetach?

– Słuszna uwaga – przyznał Arjun.

– Mniej ludzkimi stają się przez to, że nie poświęcają czasu na pieprzoną medytację. Mały dom to nie luksus – powiedziała, po czym urwała na chwilę. – Może mały dom i dużo pieniędzy.

Arjun uśmiechnął się do niej szeroko. Zawsze miał najpiękniejszy uśmiech świata. Stwierdziła, że odpowiada mu uśmiechem, choć jakaś jej część chciała być obrażona. Na zewnątrz krzyknęły Kiki i Suri, biegnąc przez trawę prawie bez ubrań. Opiekunka pojawiła się w polu widzenia chwilę później, trzymając rękę przy boku, jakby walczyła z kolką.

– Luksusem jest duży ogród – oświadczyła Avasarala.

– To prawda.

Suri wbiegła przez ogrodowe drzwi, z ręką upačkaną ziemią i szerokim uśmiechem na twarzy. Idąc, zostawiała ślady z błota na dywanie.

– Nani! Nani! Zobacz, co znalazłam!

Avasarala przesunęła się na krzesło. Na dłoni wnuczki wiła się różowobrązowa dżdżownica, mokra jak ziemia spadająca z palców Suri. Avasarala przybrała zachwycony i zdumiony jednocześnie wyraz twarzy.

– To cudowne, Suri. Chodźmy na zewnątrz, pokażesz nani, gdzie to znalazłaś.

Ogród pachniał skoszoną trawą i świeżą glebą. Ogrodnik – szczupły mężczyzna niewiele starszy niż jej syn, gdyby żył – klęczał wgłęb, ręcznie wrywając chwasty. Suri pobiegła w jego stronę, a Avasarala ruszyła za nią nieco dostojniej. Gdy się zbliżyła, ogrodnik uklonił się jej, ale nie

mieli o czym ze sobą rozmawiać. Suri wskazywała jakieś miejsce i wymachiwała rękami, relacjonując wielką przygodę znalezienia w błocie dżdżownicy, jakby była godna uwiecznienia w legendach. Przy boku Avasarali pojawiła się Kiki i cicho ujęła ją za rękę. Kochała małą Suri, ale prywatnie – ewentualnie dzieląc się tym tylko z Arjunem – uważała Kiki za bystrzejszą ze swoich wnuczek. Dziewczynka była cicha, ale jej czarne oczy błyszczały inteligencją i potrafiła naśladować każdego, kogo usłyszała. Kiki niewiele umykało.

– Droga żono – zawołał Arjun z drzwi. – Jest tu ktoś, kto chce z tobą rozmawiać.

– Gdzie?

– Domowy telefon – wyjaśnił Arjun. – Mówi, że twój terminal nie odpowiada.

– Jest ku temu dobry powód – odchrząknęła Avasarala.

– To Gloria Tannenbaum.

Avasarala niechętnie przekazała dłoń Kiki opiekunce, pocałowała Suri w czoło i wróciła do domu.

Arjun z przepaszającym wyrazem twarzy trzymał dla niej otwarte drzwi.

– Ci dranie wcinają się w mój czas dla wnuczek – zaprotestowała.

– Cena władzy – odpowiedział Arjun z powagą, która była równocześnie pełna dostojeństwa i rozbawienia.

Avasarala odebrała połączenie na konsoli w swoim biurze. Rozległo się kliknięcie i od aktywowanych barier prywatności na chwilę zamigotało powietrze, po czym na ekranie pojawiła się szczupła twarz Glorii Tannenbaum.

– Gloria! Przepraszam. Wyłączyłam terminal przed zabawą z wnukami.

– Żaden problem – odpowiedziała kobieta z eleganckim, delikatnym uśmiechem, który był jej najlepszym przybliżeniem prawdziwych emocji. – W sumie tak jest chyba lepiej. Zawsze należy zakładać, że te łączy są monitorowane uważniej niż cywilne.

Avasarala usiadła w swoim fotelu. Skóra sapnęła cicho pod jej ciężarem.

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku między tobą a Estepanem?

– Tak – odpowiedziała Gloria.

– Bardzo dobrze. To czemu, do cholery, do mnie dzwonicz?

– Rozmawiałam z przyjacielem, którego żona stacjonuje na *Michaiłowie*. Z tego, co powiedział, wynika, że ściągają ich z patrolu. I wysyłają dalej.

Avasarala zmarszczyła brwi. *Michaiłów* był częścią małego konwoju monitorującego ruch między stacjami orbitującymi na krańcach Pasa.

– Gdzie dalej?

– Popytałam – stwierdziła Gloria. – Ganimedes.

– Nguyen?

– Tak.

– Twój przyjaciel nie umie trzymać języka za zębami – skomentowała Avasarala.

– Nigdy nie mówię mu niczego prawdziwego – zapewniła Gloria. – Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.

– Jestem twoją dłużniczką – powiedziała Avasarala.

Gloria kiwnęła głową ruchem ostrym jak u ptaka i rozłączyła się. Avasarala siedziała w ciszy przez dłuższą chwilę, przyciskając palce do warg, śledząc w myślach ciąg implikacji jak strumień płynący po kamieniach.

Nguyen wysyłał więcej statków na Ganimedesa i robił to potajemnie.

Powody dyskrecji były oczywiste. Gdyby robił to otwarcie, powstrzymałaby go. Nguyen był młody i ambitny, ale nie głupi. Wyciągał własne wnioski i w jakiś sposób wpadł na pomysł, że wysłanie większych sił do otwartej rany, jaką była stacja Ganimedes, poprawi sytuację.

– Och, Nani! – zawołała Kiki.

Z tonu jej głosu Avasarala natychmiast zorientowała się, że to jakaś psota. Wstała zza biurka i ruszyła w kierunku drzwi.

– Tu jestem, Kiki – powiedziała, wychodząc do kuchni.

Balon z wodą uderzył ją w ramię, nie pękł, ale spadł na podłogę i rozerwał się u jej stóp, zalewając wodą kamienne płytki. Avasarala podniosła wzrok z oburzeniem na twarzy. Kiki stała w drzwiach do ogrodu, równocześnie przestraszona i zachwycona.

– Czy ty właśnie nabałaganiłaś w moim domu? – zapytał Avasarala.

Dziewczynka zbladła i kiwnęła głową.

– A czy wiesz, co dzieje się z niegrzecznymi dziećmi, które bałaganią w domu nani?

– Są łaskotane?

– Są *łaskotane!* – krzyknęła Avasarala i rzuciła się w stronę wnuczki.

Oczywiście, że Kiki uciekła. Miała osiem lat. Stawy bolały ją tylko czasami od szybkiego wzrostu. I oczywiście, że w końcu dała się złapać nani i wyłaskotać, głośno przy tym krzycząc. Do czasu, gdy Ashanti z mężem przyjechali odebrać dzieci na lot do Nowogrodu, Avasarala miała na

sari plamy z trawy, a włosy sterczały jej na wszystkie strony, jak na rysunku z kreskówki, gdy bohater jest rażony piorunem.

Dwukrotnie przytuliła każde z dzieci, zanim odjechały, potajemnie podając im przy tym czekoladki, potem pocałowała córkę, kiwnęła głową zięciowi i pomachała do nich z drzwi. Za ich samochodem jechała ochrona. Każdy tak blisko z nią spokrewniony był narażony na porwanie. Po prostu kolejny fakt.

Wzięła bardzo długi prysznic i zużyła wielkie ilości prawie zbyt gorącej wody. Od kiedy była jeszcze małą dziewczynką, lubiła, by mycie przypominało wyparzanie. Jeśli jej skóra nie mrowiła i nie bolała lekko przy wycieraniu, to oznaczało, że coś zrobiła nie tak.

Arjun siedział w łóżku, czytając coś na ręcznym terminalu, miał przy tym bardzo poważną minę. Podeszła do szafy, wrzuciła mokry ręcznik do kosza i narzuciła na siebie bawełniany szlafrok.

– On uważa, że to ich dzieło – powiedziała.

– Kto co zrobił? – zapytał Arjun.

– Nguyen. Uważa, że za wszystkim stoją Marsjanie. Że dojdzie do drugiego ataku na Ganimesesie. Wie, że Marsjanie nie relokują tam swojej floty, a mimo tego wzmacnia swoje siły. Nie obchodzi go, czy to zepsuje rozmowy pokojowe, bo i tak uważa je za bzdurę. Nic do stracenia. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Owszem, słucham. Nguyen uważa, że to Mars. Gromadzi flotę do ataku. Widzisz?

– A wiesz, o czym mówię?

– Ogólnie? Nie. Ale Maxwell Asinnian– Koh opublikował

właśnie pracę na temat postliryzmu, to ściągnie na niego potężną burzę.

Avasarala się roześmiała.

– Żyjesz we własnym świecie, mój drogi.

– Owszem – zgodził się Arjun, pocierając kciukiem ekran terminala. Podniósł wzrok. – Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

– Za to cię kocham. Zostań tu. Czytaj o swoim postliryzmie.

– A co ty będziesz robić?

– To, co zawsze. Spróbuję nie dopuścić do rozpadu cywilizacji, gdy są w niej dzieci.

* * *

Kiedy była mała, mama próbowała nauczyć ją robienia na drutach. Nie wyszło jej to, ale nauczyła się przy tym kilku cennych rzeczy. Po pierwsze, motek wełny potrafił się mocno splątać, a pełne frustracji szarpanie tylko pogarsza sytuację. Mama zabrała jej zbitą włóczkę, ale zamiast naprawienia sytuacji i oddania motka, usiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze obok niej i głośno wyjaśniła, jak rozwiązać węzeł. Była łagodna, zdecydowana i cierpliwa, szukając miejsc, gdzie mogła wprowadzić do zbitka trochę luzu, aż nagle cała włóczka została uwolniona.

Na liście było dziesięć okrętów, od bardzo starego transportowca, który dawno temu powinien zostać przerobiony na żyletki, do dwóch fregat dowodzonych przez ludzi, których nazwiska znała ze słyszenia. Nie były to duże siły, ale wystarczające, by prowokować. Avasarala zaczęła delikatnie i cierpliwie rozbierać je na części.

Na pierwszy ogień poszedł transportowiec, bo z nim było najłatwiej. Od lat zjednywała sobie chłopaków z konserwacji i bezpieczeństwa. Ktoś potrzebował czterech godzin ze schematami i dziennikami na znalezienie śruby, która nie została wymieniona zgodnie z harmonogramem, a potem niecałej pół godziny na wydanie rozkazu obowiązkowego wycofania. *Wu Tsao* – lepiej uzbrojona z dwóch fregat – była dowodzona przez kapitana Goiła Ishigawę– Marksa. Przebieg jego służby był świetną lekturą. Kompetentny, lojalny i bez wyobraźni. Dzięki trzem rozmowom został awansowany na szefa komitetu nadzorczego konstrukcji, gdzie prawdopodobnie będzie nieszkodliwy. Wraz z awansem przesłano polecenie, by przy uroczystym mianowaniu na Ziemi obecny był cały personel dowódczy *Wu Tsao*. Druga fregata była trudniejsza, ale znalazła na nią sposób. A gdy tego dokonała, konwój zrobił się tak mały, że medyczny statek wsparcia miał najwyższą klasę w grupie, wyższą niż potrzebna na uzasadnienie eskorty.

Węzeł rozpadł się pod jej palcami. Trzy statki, których nie mogła oderwać, były stare i słabe. Gdyby doszło do walki, nie odegrałyby istotnej roli. A dzięki temu Marsjanie mogli się obrazić tylko, gdyby zdecydowanie szukali powodu.

Nie spodziewała się tego po nich. A jeśli się myliła, to też byłoby interesujące.

– Czy admirał Nguyen nie zorientuje się w tym wszystkim? – zapytał Errinwright. Był w pokoju hotelowym gdzieś po drugiej stronie planety. Za oknem panowała noc. Rozpiął guzik pod szyją swojej koszuli.

– Niech się orientuje – odpowiedziała Avasarala. – I co z

tym zrobi? Pójdzie się wyplakać mamie, że zabrałam mu zabawki? Jeśli nie potrafi się bawić z dorosłymi, nie powinien być pieprzonym admirałem.

Errinwright uśmiechnął się i strzelił kostkami palców. Wyglądał na zmęczonego.

– Te statki, które tam doleczą...?

– *Bernadette Koe, Arystofanes i Fjeodorowna*, sir.

– Tak, te. Co powiesz Marsjanom na ich temat?

– Nic, jeśli nie poruszą tej sprawy – odparła Avasarala. – Jeśli poruszą, mogę uznać je za nieważne. Pomniejszy statek wsparcia medycznego, transportowiec i stara kanonierka do odstraszenia piratów. Przecież nie wysyłamy tam kilku krążowników. Niech się wałą.

– Ale mam nadzieję, że powiesz to uprzejmie?

– Oczywiście, sir. Nie jestem głupia.

– A Wenus?

Odetchnęła głęboko, pozwalając, by powietrze powoli wypływało między zębami.

– To cholerny straszak – przyznała. – Codziennie dostaję raporty, ale nie wiemy, na co patrzymy. Sieć, którą to coś zbudowało wokół całej planety, została ukończona i teraz się rozpada, ale pojawiają się nowe struktury o złożonej symetrii radialnej. Tylko że nie wzdłuż osi obrotu, a w płaszczyźnie ekliptyki. Więc cokolwiek tam jest, ustawia się w odniesieniu do całego Układu Słonecznego. Z kolei analiza spektrograficzna wskazuje na podwyższony poziom tlenu lantanu i złota.

– Nie wiem, co to znaczy.

– Podobnie jak nikt inny, ale mózgowcy sądzą, że może to być zestaw bardzo wysokotemperaturowych nadprzewodników. Próbują odtworzyć struktury

krystaliczne w laboratoriach, ale natknęli się na kilka rzeczy, których nie rozumieją. Okazuje się, że to coś jest lepsze od nas w chemii fizycznej. Żadnych pieprzonych niespodzianek.

– Jakies powiązania z Ganimesem?

– Tylko to jedno – odpowiedziała Avasarala. – Poza tym nic. A przynajmniej nie bezpośrednio.

– Co to znaczy, że nie bezpośrednio?

Avasarala zmarszczyła brwi i spojrzała w bok. Budda odpowiedział spojrzeniem.

– Wie pan, że liczba samobójczych kultów religijnych podwoiła się od czasu Erosa? – zapytała. – Ja nie wiedziałam, dopóki nie dostałam raportu. W zeszłym roku prawie nie udało się przeforsować inicjatywy przebudowy ośrodka odzyskiwania wody w Kairze, bo grupa milenarystów powiedziała, że nie będzie takiej potrzeby.

Errinwright przysunął się do kamery i zmrużył oczy.

– Myślisz, że jest tu jakiś związek?

– Nie spodziewam się, żeby była to robota wysyłanych z Wenus agentów – powiedziała – ale... zastanawiałam się, co to z nami zrobiło. Z całym Układem Słonecznym. Z nimi, z nami i Pasiarzami. Nie jest zdrowo pozwolić Bogu położyć się do snu w miejscu, gdzie możemy patrzeć, jak śni. To nas cholernie przeraża. To *mnie* cholernie przeraża. Więc wszyscy odwracamy wzrok i zajmujemy się swoimi sprawami, jakby wszechświat był taki sam, jak za naszej młodości, choć wiemy, że to nieprawda. Zachowujemy się, jakbyśmy byli zdrowi na umyśle, ale...

Pokręciła głową.

– Ludzkość zawsze żyła z niewytłumaczalnym –

odpowiedział Errinwright. Jego głos był twardy. Odebrała mu spokój ducha. Cóż, sama też już go nie czuła.

– Kiedyś niewytłumaczalne nie zjadało planet – zauważyła. – Nawet jeśli to coś na Ganimesie nie wyszło bezpośrednio z Wenus, nie ma cholernej wątpliwości, że jest powiązane. *A jeśli to my to zrobiliśmy...*

– Jeśli to stworzyliśmy, to dlatego, że wpadła nam w ręce nowa technologia i ją wykorzystujemy – odparł Errinwright. – Od włócznie z krzemianym grotem przez proch do głowic jądrowych, to właśnie robimy, Chrisjen. Zostaw to mnie. Ty miej oko na Wenus i nie pozwól, żeby sytuacja z Marsem wymknęła się spod kontroli.

– Tak jest, sir – odpowiedziała.

– Wszystko będzie dobrze.

A chwilę później, patrząc na czarny ekran jeszcze przed chwilą wyświetlający jej szefa, Avasarala uznała, że może on w to wierzy. Sama nie była już tego pewna. Coś nie dawało jej spokoju, ale jeszcze nie wiedziała, co to takiego. Czało się gdzieś tam, tuż pod powierzchnią świadomości, jak drzazga w opuszcze palca. Wywołała przechwycone nagrania z placówki ONZ na Ganimesie, dokonała wymaganej kontroli bezpieczeństwa i jeszcze raz obejrzała śmierć marines.

Kiki i Suri będą dorastać w świecie, gdzie działy się takie rzeczy, gdzie Wenus zawsze była kolonią czegoś kompletnie obcego, niekomunikatywnego i nieprzejednanego. Towarzyszący temu strach będzie dla nich czymś normalnym, czymś, nad czym nie będą się zastanawiać bardziej niż nad oddychaniem. Na ekranie mężczyzna w wieku Sorena opróżnił cały magazynek karabinu szturmowego, strzelając do napastnika.

Powiększony obraz pokazywał dziesiątki uderzeń rozcinających to coś i ślady włókien tryskających z pleców. Żołnierz znowu zginął. Ten przynajmniej szybko. Zatrzymała obraz. Palcem przejechała po obrysie napastnika.

– Kim jesteś? – zwróciła się do ekranu. – Czego *chcesz*?

Coś jej umykało. Zdarzało się jej to na tyle często, że rozpoznawała to uczucie, ale to w niczym nie pomagało. Przyjdzie, gdy będzie gotowe. Do tego czasu mogła tylko drapać się tam, gdzie swędziało. Zamknęła pliki, przeczekała procedury bezpieczeństwa mające skontrolować, czy niczego nie skopiowała, po czym wylogowała się i odwróciła się do okna.

Stwierdziła, że myśli o następnym razie. Jakie informacje zdołają zebrać następnym razem. Jakie wzory zdołają wychwycić przy następnym razie. Następnym ataku, następnej rzezi. W jej umyśle nie było już żadnych wątpliwości, że to, co stało się na Ganimesesie, prędzej czy później wydarzy się ponownie. Dżiny nie wracały same do lamp, a od chwili, gdy protomolekuła została uwolniona wśród cywilnych mieszkańców Erosa, by zobaczyć, co robi, cywilizacja uległa zmianie. Zmieniała się tak szybko i znacząco, że wciąż próbowali ją dogonić.

Próbowali ją dogonić.

Coś w tym było. Coś w słowach, jak słowa prawie pamiętanej piosenki. Zazgrzytała zębami i wstała, wędrując wzdłuż okna. Nienawidziła tej części. Nienawidziła.

Otworzyły się drzwi do jej biura. Gdy odwróciła się, by spojrzeć na Sorena, cofnęła się. Avasarala zlągodziła nieco wyraz twarzy. Nie należało bez powodu straszyć biednego

króliczka. Zapewne był po prostu stażystą, który wyciągnął krótką słomkę i utknął ze starą, marudną babą. Właściwie to nawet go lubiła.

– Tak?– zapytała.

– Pomyślałem, że będzie pani chciała wiedzieć, że admirał Nguyen wysłał notę protestacyjną do pana Errinwrighta. Wtrącanie się w jego struktury dowodzenia. Nie dołączył kopii dla sekretarza generalnego.

Avasarala uśmiechnęła się. Nawet jeśli nie mogła odkryć tajemnic wszechświata, mogła przynajmniej kontrolować chłopców. A skoro nie zamierzał się odwoływać do pustogłowego, to tylko się dąsał. Nic z tego nie wyniknie.

– Dobrze wiedzieć. A Marsjanie?

– Są tutaj, proszę pani.

Westchnęła, poprawiła swoje sari i uniosła podbródek.

– W takim razie chodźmy powstrzymać wojnę – powiedziała.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Holden

Amos, który pojawił się w końcu kilka godzin po zamieszkach jedzeniowych ze skrzynką piwa, twierdząc, że poszedł na „zwiad”, niósł teraz małą skrzynkę puszkowanego jedzenia. Według etykiety zawierały „produkty spożywcze na bazie kurczaka”. Holden miał nadzieję, że haker, do którego prowadzi ich Praks, uzna ofertę za zgodną przynajmniej z duchem wymaganej płatności.

Praks prowadził ich z szaleńczą prędkością kogoś, kto ma do zrobienia ostatnią rzecz przed śmiercią i czuje, że koniec depcze mu po piętach. Holden podejrzewał, że nie jest to aż dalekie od prawdy. Drobnym botanik zdecydowanie wyglądał, jakby się wypalał.

Zabrali go na pokład *Lunatyka*, gdy zbierali potrzebne materiały, a Holden zmusił go do zjedzenia posiłku i umycia się pod prysznicem. Praks zaczął się rozbierać, gdy Holden pokazywał mu jeszcze, jak używać pokładowej ubikacji, jakby potrzeba prywatności była marnowaniem cennego czasu. Wstrząsnął nim widok wymizerowanego ciała mężczyzny. A botanik przez cały czas mówił o Mei i potrzebie odnalezienia jej. Holden uświadomił sobie, że nigdy w życiu nie pragnął niczego tak bardzo, jak ten człowiek pragnie odnalezienia swojej

córki.

Ku jego zaskoczeniu zrobiło mu się od tego smutno.

Praksa obrabowano ze wszystkiego, oskrobano do gołej skóry, zredukowano do absolutnego minimum człowieczeństwa. Została mu tylko potrzeba odnalezienia córeczki, a Holden mu tego zazdrościł.

Gdy on sam umierał uwięziony w piekle stacji Eros, odkrył, że pragnie po raz ostatni zobaczyć Naomi. Albo chociaż mieć pewność, że jest bezpieczna. To dlatego wtedy nie zginął. Oraz dzięki pomocy Millera, który miał drugi pistolet. Ten związek, nawet teraz, gdy byli z Naomi kochankami, był tylko bladym cieniem uczucia, które napędzało Praksa. Holden czuł się przy nim, jakby stracił coś ważnego, choć nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Gdy Praks się mył, Holden wszedł po drabinie na mostek, gdzie Naomi próbowała włamać się do okaleczonego systemu monitoringu Ganimedesa, wyciągnął ją z fotela i przez kilka chwil przytulał. Na sekundę zeszywniała zaskoczona, potem odprężyła się w jego objęciach.

– Cześć – wyszeptała mu do ucha. Może i był to tylko blady cień, ale miał to teraz i było to cholernie dobre.

* * *

Praks zatrzymał się na chwilę na skrzyżowaniu, stukając dłońmi o biodra, jakby sam się poganiał. Naomi została na statku, monitorując ich postępy dzięki noszonym przez nich lokalizatorom i resztkom działających jeszcze kamer monitoringu stacji.

Amos odchrząknął za plecami Holdena i odezwał się na tyle cicho, żeby Praks go nie usłyszał.

– Jeśli zgubimy tego gościa, to nie będziemy mieli wielkich szans na szybkie wydostanie się stąd.

Holden kiwnął głową. Amos miał rację.

Nawet w najlepszych czasach Ganimedes był labiryntem identycznych szarych korytarzy z okazjonalnymi jaskiniami z parkami. A w tej chwili stacja zdecydowanie nie była w dobrym stanie. Większość publicznych punktów informacyjnych była wyłączona, uszkodzona lub wprost zniszczona. Miejscowa sieć była w najlepszym razie zawodna. Z kolei miejscowi poruszali się jak padlinożercy na trupie kiedyś wielkiego księżycy, albo przestraszeni, albo groźni. Holden z Amosem otwarcie trzymali broń palną, a Amos opanował coś w rodzaj stałego ciężkiego wyrazu twarzy, od którego ludzie automatycznie umieszczali ich w kategorii „z tymi nie zadzierać”. Holden nie po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, jakiego rodzaju życie Amos prowadził przed zaciągnięciem się na pokład *Canterbury*, starego lodowcowca, na którym razem służyli.

Praks zatrzymał się nagle przed drzwiami wyglądającymi dokładnie tak, jak setka miniętych wcześniej. Były osadzone w ścianie szarego korytarza – takiego samego, jak każdy inny szary korytarz.

– To tutaj. Tu mieszka.

Zanim Holden zdążył zareagować, Praks zaczął walić pięścią w drzwi. Holden zrobił krok do tyłu i w bok, zapewniając sobie dobry widok na drzwi przed Praksem. Amos przestąpił na drugą stronę, poprawiając skrzynkę kurczaka pod pachą i zaczepiając kciuk za pasem tuż obok kabury. Rok patrolowania Pasa i sprzątania najgorszych szakali, którzy pojawili się po zniknięciu rządu,

wyćwiczyło w jego załodze automatyczne odruchy. Holden je doceniał, choć nie był pewien, czy lubił. Praca w policji zdecydowanie nie uczyniła życia Millera ani trochę lepszym.

Drzwi otworzył chudy nastolatek w koszuli. W rękę trzymał nóż.

– Co kurw... – zaczął, po czym urwał na widok Amosa i Holdena po bokach Praksa. – Och – rzucił, przyglądając się ich broni.

– Mam dla ciebie kurczaka – odpowiedział Praks, wskazując na skrzynkę niesioną przez Amosa. – Muszę zobaczyć resztę nagrań z kamer.

– Mogłabym to sama załatwić – zabrzmiały słowa Naomi w uchu Holdena – gdybym miała dość czasu.

– Problemem jest ta część z „dóść czasu” – odpowiedział Holden, subwokalizując. – Ale to zdecydowanie plan B.

Chudy nastolatek wzruszył ramionami i otworzył drzwi do końca, gestem zapraszając Praksa do wejścia. Holden poszedł za nim, a Amos wszedł ostatni.

– No dobra – rzucił młodzian. – Pokaż, sabé?

Amos postawił skrzynkę na brudnym stole i wyciągnął z niej jedną puszkę. Przytrzymał ją tak, żeby chłopak mógł się jej przyjrzeć.

– Sos? – zapytał gospodarz.

– A może zamiast tego drugą puszkę? – odpowiedział Holden, podchodząc do dzieciaka i uśmiechając się życzliwie. – To ściągnij resztę nagrań, a my sobie pójdziemy. Co ty na to?

Chłopak uniósł podbródek i odepchnął Holdena na wyciągnięcie ręki.

– Nie naciskaj mnie, macho.

– Bardzo przepraszam – odpowiedział Holden, nie przestając się uśmiechać. – A teraz ściągnij te cholerne nagrania, które obiecałeś mojemu przyjacielowi.

– Może nie – rzucił chłopak. Machnął ręką w stronę Holdena. – Adinerado, si no? Quizas możecie zapłacić więcej niż tylko kurczakiem. Może dużo więcej.

– Wyjaśnijmy to sobie – odparł Holden. – Próbujesz zrobić wymuszenie? Bo to byłoby...

Na jego ramieniu wylądowała potężna dłoń, uciszając go.

– Ja to załatwię, kapitanie – powiedział Amos, wchodząc między Holdena i chłopaka. Drugą ręką podrzucał i łapał jedną z puszek z kurczakiem.

– Temu facetowi – zaczął Amos, wskazując lewą ręką na Praksa, prawą podrzucając puszkę – porwano córeczkę. On tylko chce się dowiedzieć, gdzie ona jest. I jest gotów zapłacić za tę informację uzgodnioną wcześniej cenę.

Młodzian wzruszył ramionami i otworzył usta, by się odezwać, ale Amos przyłożył palec do warg, uciszając go.

– Teraz, gdy jesteśmy gotowi zapłacić tę cenę – kontynuował Amos przyjaznym, konwersacyjnym tonem – chcesz wymusić na nim coś więcej, bo wiesz, że jest zdesperowany. Odda wszystko, żeby odzyskać swoje dziecko. To niezła okazja, nie?

Chłopak znowu wzruszył ramionami.

– Que no...

Amos trzasnął puszką kurczaka w twarz chłopaka tak szybko, że przez chwilę Holden nie potrafił zrozumieć, czemu haker nagle leży na ziemi z krwią tryskającą z nosa. Amos opart kolano na jego piersi i przygwoździł go do ziemi. Puszka kurczaka powędrowała do góry, a potem

z ostrym trzaskiem opadła ponownie na twarz chłopaka. Zraniony zaczął skowytać, ale Amos zasłonił mu usta lewą dłonią.

– Ty gnojku – wrzasnął, już bez śladu życzliwości w głosie, wyłącznie ze zwierzęcą furią, której Holden nigdy jeszcze u niego nie słyszał. – Robisz zakładniczkę z małej dziewczynki z powodu pierdolonego *kurczaka*?

Amos trzasnął puszką w ucho hakera, które natychmiast rozkwitło czerwienią. Jego dłoń odsunęła się od ust chłopaka, a ten od razu zaczął wołać o pomoc. Amos znowu uniósł puszkę, ale Holden chwycił go za rękę i odciągnął od łkającego nastolatka.

– Wystarczy – powiedział, trzymając Amosa i mając nadzieję, że wielkolud nie użyje puszek do pobicia jego. Amos zawsze był typem faceta, który wdawał się w bójki barowe po prostu dlatego, że je lubił.

To było coś innego.

– Wystarczy – powtórzył Holden i nie puszczał, aż Amos przestał się wyrywać. – Nie pomoże nam, jeśli rozwalisz mu czaszkę.

Chłopak odpełził do tyłu, aż oparł się plecami o ścianę. Kiwnął głową na słowa Holdena i zacisnął palcami krwawiący nos.

– Zgadza się? – zapytał Amos. – Pomożesz nam?

Chłopak znowu kiwnął głową i zaczął się podnosić do pionu, wciąż opierając się o ścianę.

– Pójdę z nim – stwierdził Holden, klepiąc Amosa w ramię. – Ty może zostań tutaj i trochę odetchnij.

Zanim Amos mógł odpowiedzieć, Holden wskazał przerażonego hakera.

– Lepiej weź się do pracy.

* * *

– Tu – powiedział Praks, gdy na ekranie znowu pojawił się obraz porwania Mei. – To Mei. Ten mężczyzna to jej lekarz, doktor Strickland. Kobiety nie znam. Ale nauczycielka Mei powiedziała, że w kartotece była zapisana jako mama Mei. Ze zdjęciem i upoważnieniem do jej odbioru. A w przedszkolu mają bardzo dobre procedury bezpieczeństwa, bez tego nigdy nie wypuściliby dziecka.

– Zobacz, gdzie poszli – polecił Holden hakerowi. – Dlaczego lekarz? – zapytał Praksa.

– Mei jest... – zaczął botanik, po czym urwał i zaczął jeszcze raz. – Mei cierpi na rzadką chorobę genetyczną, która bez regularnego podawania leków wyłącza jej układ odpornościowy. Doktor Strickland o tym wie. Brakuje też szesnaściorga innych dzieci z tą samą chorobą. On może utrzymać je... może utrzymać Mei przy życiu.

– Słyszysz to, Naomi?

– Tak, jadę po śladach hakera przez zabezpieczenia. Więcej nie będziemy go potrzebować.

– Bardzo dobrze – rzucił Holden. – Bo jestem przekonany, że gdy tylko zamkniemy za sobą drzwi, mosty zostaną spalone.

– W razie czego mamy jeszcze kurczaka – skomentowała Naomi ze śmiechem.

– Amos dopilnował, żeby następna płatność chłopaka miała formę operacji plastycznej.

– Auć – rzuciła. – Wszystko z nim w porządku?

Holden wiedział, że miała na myśli Amosa.

– Tak. Ale... czy jest coś, czego o nim nie wiem, co

mogłoby utrudnić sytuację? Bo jest naprawdę...

– Aqui – powiedział haker, wskazując na ekran.

Holden zobaczył, jak doktor Strickland niesie Mei korytarzem wyglądającym na starszy, towarzyszyła mu ciemnowłosa kobieta. Doszli do drzwi przypominających bardzo stary włącz do służby powietrznej. Strickland zrobił coś z panelem obok nich i cała trójka weszła do środka.

– Dalej nie ma kamer – oświadczył haker, kuląc się przy tym tak, jakby spodziewał się kary za niedobory systemu monitoringu stacji Ganimedes.

– Dokąd to prowadzi, Naomi? – zapytał Holden, wykonując równocześnie uspokajający gest w stronę hakera, by pokazać mu, że nie ma pretensji.

– Wygląda na starą część pierwszych tuneli – powiedziała, podkreślając słowa przerwami wynikającymi z pracy na konsoli. – Oznaczony jako magazyn. Za tymi drzwiami nie powinno być nic poza lodem i kurzem.

– Możesz nas tam wprowadzić? – zapytał.

– Tak – odpowiedzieli równocześnie Naomi i Praks.

– Tam właśnie idziemy.

Gestem polecił Praksowi i hakerowi, żeby przeszli z powrotem do pomieszczeń z przodu mieszkania, i wyszedł za nimi. Amos siedział przy stole, kręcąc na nim ustawioną na kancie puszką z kurczakiem. W słabym ciężeniu księżycy puszka wyglądała, jakby mogła się kręcić w nieskończoność. Amos był zamyślony i nieobecny duchem.

– Świetnie się spisałeś – powiedział Holden do hakera patrzącego na Amosa z rysującymi się na twarzy na przemian strachem i złością. – Więc zapłacimy. Nie

zamierzamy cię oszukiwać.

Zanim chłopak zdążył odpowiedzieć, Amos zerwał się z miejsca i podniósł skrzynkę z puszkami. Potem odwrócił ją do góry dnem i wysypał wszystkie pozostałe puszki na podłogę. Kilka odtoczyło się w różne kąty małego pokoju.

– Reszty nie trzeba, dupku – warknął i rzucił pustym pudełkiem we wnękę kuchenną.

– A teraz – zaczął Holden – sobie pójdziemy.

Gdy Amos i Praks wyszli, Holden wycofał się ostrożnie, uważnie obserwując hakera, by upewnić się, że nie będzie próbował jakiejś zemsty. Mógł sobie darować – gdy tylko Amos wyszedł za drzwi, chłopak zaczął zbierać puszki z kurczakiem i ustawiać je na stole.

– Wiesz, co to znaczy, prawda? – usłyszał głos Naomi, gdy tylko wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Co? – zapytał, a potem zwrócił się do Amosa. – Wracamy na statek.

– Praks powiedział, że zniknęły wszystkie dzieci z tą samą chorobą, co Mei – wyjaśniła Naomi. – A z przedszkola zabrał ją właśnie jej lekarz.

– Czyli zapewne możemy założyć, że to on lub pracujący z nim ludzie zabrali pozostałe – zgodził się Holden.

Amos i Praks szli razem. Wielkolud wciąż miał ten nieobecny wyraz twarzy. Praks położył dłoń na jego ramieniu i Holden usłyszał jego szept:

– Dziękuję.

Amos tylko wzruszył ramionami.

– Kto mógłby chcieć tych dzieci? – zapytała Naomi.

– Dla mnie znacznie ważniejsze jest pytanie, kto wiedział, żeby je zgarnąć zaledwie parę godzin przed wybuchem walk?

– Właśnie – zgodziła się Naomi cichym głosem. – Skąd to wiedział?

– Bo to właśnie przez niego to wszystko trafił szlag – odpowiedział Holden, mówiąc na głos to, co oboje myśleli.

– Jeśli ma te wszystkie dzieci i on lub jego ludzie mogli doprowadzić do wymiany ognia między Marsem i Ziemią, żeby ukryć porwanie...

– Zaczyna sprawiać wrażenie strategii, z którą już się zetknęliśmy, prawda? Musimy się dowiedzieć, co jest po drugiej stronie tamtych drzwi.

– Jedna z dwóch rzeczy – odpowiedziała Naomi. – Albo nic, bo po porwaniu wynieśli się z tego księżyca...

– Albo – dokończył Holden – całe mnóstwo facetów z bronią.

– Właśnie.

* * *

Gdy Praks z załogą jeszcze raz oglądali nagranie, w kambuzie *Lunatyka* panowała cisza. Naomi połączyła w jedną długą pętlę wszystkie nagrania, na których widać było porwanie Mei. Obserwowali, jak lekarz niesie dziewczynkę przez różne korytarze, wiezie windą i w końcu dociera do drzwi w porzuconej części stacji. Po trzeciej pętli Holden gestem poprosił Naomi o wyłączenie filmu.

– Co wiemy? – zapytał, stukając palcami w stół.

– Dzieciak się nie boi. Nie próbuje się wyrwać – zauważył Amos.

– Zna doktora Stricklanda całe życie – przypomniał Praks. – Jest dla niej prawie jak rodzina.

– A to znaczy, że go kupili – stwierdziła Naomi. – Albo ten

plan był przygotowywany od...

– Czterech lat – uzupełnił Praks.

– Czterech lat – powtórzyła Naomi. – Co jest bardzo długim czasem na przekręt, chyba że mamy do czynienia z olbrzymią stawką.

– Czy to porwanie? Jeśli chcą okupu...

– Nie trzyma się kupy. Kilka godzin po tym, jak Mei zniknęła za tym włazem – powiedział Holden, wskazując nieruchomy obraz na ekranie – Ziemia i Mars zaczęły do siebie strzelać. Ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby porwać szesnaścioro dzieci i to ukryć.

– Gdyby Protogen nie był spalony – rzucił Amos – powiedziałbym, że to dokładnie ich rodzaj operacji.

– I ktokolwiek to jest, ma dostęp do sporych zasobów technicznych – zauważyła Naomi. Zdołali się włamać do systemu przedszkola, jeszcze zanim sieć Ganimedesa zaczęła wysiadać z powodu bitwy, i wprowadzić dane kobiety do kartoteki Mei bez żadnych śladów włamania.

– Niektóre dzieci z jej przedszkola miały bardzo bogatych i wpływowych rodziców – zauważył Praks. – Ich ochrona musiała być najwyższej klasy.

Holden wystukał obiema dłońmi końcówkę rytmu na blacie stołu.

– Co prowadzi nas z powrotem do podstawowego pytania. Co czeka na nas po drugiej stronie tamtych drzwi?

– Korporacyjne zbiry – zasugerował Amos.

– Nic – stwierdziła Naomi.

– Mei – powiedział cicho Praks. – To może być Mei.

– Musimy się nastawić na wszystkie trzy możliwości: przemoc, zbieranie śladów lub ratowanie dziecka, więc

przygotujmy jakiś plan. Naomi, chcę terminal z łączem radiowym, które będę mógł wpiąć do każdej sieci, jaką znajdziemy po drugiej stronie, żeby zapewnić ci dostęp.

– Tak jest – odpowiedziała kobieta, wstając od stołu i ruszając w kierunku stępkowej drabiny.

– Praks, musisz wymyślić jakiś sposób, żeby przekonać Mei do zaufania nam, jeśli ją znajdziemy, i podać wszelkie szczegóły dotyczące możliwych problemów, jakie jej choroba może spowodować podczas akcji ratunkowej. Jak szybko musimy tu wrócić, żeby podać jej leki? Tego typu rzeczy.

– Dobrze – zgodził się Praks, wyciągając terminal i robiąc notatki.

– Amos?

– Tak, kapitanie?

– Nam zostaje przemoc. Bierzmy sprzęt.

Uśmiech pojawił się wyłącznie w kącikach oczu Amosa.

– Zajebicie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Praks

Praks nie miał pojęcia, jak blisko był zapaści, dopóki nie zjadł. Puszgowany kurczak z jakimś pikantnym sosem, miękkimi, niekruszącymi się sucharami, stosowanymi zwykle w nieważkości, ido tego szklanka piwa. Pożarł to wszystko w okamgnieniu, nie potrafił się powstrzymać, dotarło do niego, jak bardzo zabiedzone było jego ciało.

Gdy skończył wymiotować, kobieta, która wydawała się odpowiedzialna za wszystkie drobne, praktyczne aspekty statku – wiedział, że ma na imię Naomi, ale wciąż chciał ją nazywać Cassandra, bo wyglądała jak stażystka, z którą pracował trzy lata temu i która tak właśnie miała na imię – podała mu chudy rosół białkowy, z którym jego wyniszczony żołądek mógł sobie dla odmiany poradzić. Wciągu kolejnych godzin jego umysł zaczął odżywać. Przypominało to wielokrotne budzenie się bez zasypiania pomiędzy kolejnymi przebudzeniami – siedząc na statku Holdena, obserwował zmiany w postrzeganiu, dotarło do niego, o ile wyraźniej mógł teraz myśleć i jak dobrze było wracać do siebie. A potem, kilka minut później, jakiś zestaw niedożywionych zwojów powoli wracał do działania i cały proces się powtarzał.

Przy każdym zaś kroku w stronę pełnej świadomości czuł narastające pragnienie przekroczenia drzwi, przez

które przeszedł Strickland z Mei.

– Doktor, co? – powiedział ten duży, Amos.

– Stopień zdobyłem na miejsku. Uniwersytet jest naprawdę dobry, a do tego jest sporo pieniędzy z grantów. A przynajmniej było... teraz to już chyba przepadło.

– Ja tam nigdy nie przesadzałem z formalną edukacją.

Mesa statku z pomocą humanitarną była mała i naznaczona wiekiem. Na ścianach z tkanych włókien węglowych pojawiły się pęknięcia laminowania, a blat stołu był pobrużdżony od lat albo dziesięcioleci używania. Oświetlenie miało wąski zakres widma przesunięty w stronę różowego, co w ciągu jakichś trzech dni zabiłoby wszelkie umieszczone tu rośliny. Amos miał płócienny worek pełen wyciskanych plastikowych pudełek różnej wielkości, z których każde zdawało się zawierać jakąś broń. Rozwinął na stole kawał czerwonego filcu i rozkładał na nim wielki, matowoczarny pistolet. Drobne metalowe części wyglądały jak rzeźby. Amos zanurzał bawełniany wacik w jasnoniebieskim roztworze do czyszczenia i przecierał nim delikatnie srebrny mechanizm zamocowany do czarnej metalowej rury, polerując metalowe elementy i tak lśniące jak lustro.

Praks zorientował się, że jego ręce suną w stronę rozłożonych części, pragnąc, by zebrały się razem. Żeby były już wyczyszczone, wypolerowane i złożone. Amos udawał, że tego nie zauważa, w sposób świadczący o tym, że świetnie zdaje sobie z tego sprawę.

– Nie wiem, dlaczego chcieli ją porwać – powiedział Praks. – Doktor Strickland zawsze był dla niej bardzo miły. On nigdy... to znaczy nigdy jej nie krzywdził. Nie wydaje mi się, żeby ją skrzywdził.

– Jasne, pewnie nie – zgodził się Amos. Ponownie zanurzył wacik w płynie czyszczącym i zajął się metalowym prętem owiniętym sprężyną.

– Naprawdę muszę tam iść – powiedział Praks.

Nie powiedział *każda minuta tutaj to minuta, podczas której mogą krzywdzić Mei. Ona może umierać albo być wysyłana poza księżyc*. Starał się, by jego słowa nie brzmiały jak narzekanie lub żądanie, ale i tak wyszło mu połączenie obu.

– Przygotowania to najgorsza część – rzucił Amos, jakby się z czymś zgadzał. – Człowiek chce się zabrać do rzeczy od razu, kurwa, już. Mieć to z głowy.

– Właśnie – potwierdził Praks.

– Świetnie rozumiem – zapewnił Amos. – To nic przyjemnego, ale trzeba to zrobić. Jak idzie się na akcję bez przygotowania sprzętu, to równie dobrze można wcale nie iść. A na dodatek dziewczynka jest tam już od jak dawna?

– Od początku walk. Od kiedy spadło lustro.

– Ryzyko, że dodatkowa godzina zrobi istotną różnicę, jest raczej niewielka, prawda?

– Ale...

– Tak – rzucił Amos z westchnieniem. – Wiem. To ta trudna część. Choć nie aż tak, jak czekanie na nasz powrót. To będzie jeszcze gorsze.

Amos odłożył wacik i zaczął zakładać długą, czarną sprężynę na trzpień z jasnego metalu. Praksa zapiekły oczy od oparów alkoholu z płynu do czyszczenia.

– Czekam na *was* – oświadczył Praks.

– Tak, wiem. I postaram się, żeby wszystko poszło jak najszybciej. Kapitan to świetny gość, ale czasem coś

potrafi odciągnąć jego uwagę. Dopilnuję, żeby trzymał się planu. Żaden problem.

– Nie – zaprotestował Praks. – Nie chodzi mi o to, że czekam, aż dojdziecie do tamtych drzwi. Czekam na was *w tej chwili*. Czekam, żeby pójść tam z wami.

Amos wsunął sprężynę z trzpieniem do korpusu pistoletu, kręcąc ją delikatnie palcami. Praks nawet nie zauważył, kiedy wstał.

– W ilu strzelaninach brałeś udział? – zapytał Amos. Mówił cichym i łagodnym głosem. – Bo ja zaliczyłem... cholera. To będzie dla mnie jedenasta. Może dwunasta, jeśli liczyć ten raz, gdy facet znowu wstał, jako osobną. Rzecz w tym, że jeśli chcesz, żeby twoja dziewczynka była bezpieczna, to nie chcesz, żeby znalazła się w tunelu z facetem z bronią, który nie potrafi jej obsłużyć.

Jakby dla podkreślenia tych słów, skończył składać broń. Metal trzasnął.

– Poradzę sobie – powiedział Praks, choć jego nogi zaczęły drżeć od wysiłku po wstaniu.

Amos wyciągnął pistolet w jego stronę.

– Jest gotowy do strzału? – zapytał.

– Słucham?

– Gdybyś wziął teraz ten pistolet do ręki, wycelował w bandytę i pociągnął za spust, wystrzeliłby? Właśnie patrzyłeś, jak go składam. Groźny czy bezpieczny?

Praks otworzył usta, a po chwili je zamknął. Ból za mostkiem nieco się nasilił. Amos zaczął opuszczać pistolet.

– Bezpieczny – rzucił Praks.

– Jesteś tego pewien, doktorku?

– Nie wsadziłeś do niego naboju. Jest bezpieczny.

– Jesteś *pewien*?

– Tak.

Amos zmarszczył brwi, spoglądając na broń.

– No dobra, zgadza się – przyznał. – Ale i tak nie pójdiesz.

Z wąskiego korytarza przy śluzie dobiegły głosy. Głos Jima Holdena nie brzmiał tak, jak Praks się spodziewał. Oczekiwał powagi, wręcz posepności, a zamiast tego nawet w chwilach takich jak ta, gdy w stresie skracał samogłoski, brzmiała w nim jakaś lekkość. Głos kobiety – *Naomi*, nie *Cassandry* – nie był głębszy, ale znacznie mroczniejszy.

– Takie są liczby – powiedziała.

– Są błędne – odciął się Holden, wchodząc do mesy. – Muszą być błędne. To nie ma żadnego sensu.

– Co jest, kapitanie? – zapytał Amos.

– Policja w niczym nam nie pomoże – wyjaśnił Holden. – Miejscowi mają za mało ludzi, żeby powstrzymać to miejsce przed totalną katastrofą.

– I może dlatego nie powinniśmy iść tam z bronią w gotowości – powiedziała Naomi.

– Proszę, czy możemy nie powtarzać teraz tej rozmowy?

Mocniej zacisnęła usta, a Amos znacząco spuścił wzrok na wypolerowany przed chwilą pistolet. Praks miał wrażenie, jakby trafił w środek znacznie dłuższej rozmowy.

– Facet, który najpierw chwyta za broń, a dopiero potem zadaje pytania... – powiedziała Naomi. – Kiedyś taki nie byłeś. Nie *jesteś* taki.

– Ale dzisiaj muszę taki być – odpowiedział Holden głosem, który zamknął temat.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

– Co się nie zgadza z liczbami? – zapytał Praks; Holden popatrzył na niego, nie rozumiejąc. – Mówiliście, że coś się nie zgadza z liczbami.

– Mówią, że wskaźnik śmiertelności rośnie. Ale to nie może być prawda, przecież walki trwały... ile? Jeden dzień? Półtora? Dlaczego sytuacja miałyby się teraz pogarszać?

– Nie – odpowiedział Praks. – Zgadza się. To kaskada. I będzie jeszcze gorzej.

– Co to jest kaskada? – zapytała Naomi.

Amos włożył pistolet do właściwego pudełka i wyciągnął znacznie dłuższe. Może ze strzelbą. Cały czas wyczekująco patrzył na Praksa.

– To podstawowy problem sztucznych ekosystemów. W normalnym środowisku ewolucyjnym istnieje dość różnorodności, by złagodzić skutki potencjalnego katastrofalnego zdarzenia. To natura. Katastrofy zdarzają się cały czas. Jednak tej głębi nie ma nic, co my możemy stworzyć. Jeśli jedna rzecz się zepsuje, istnieje ograniczona liczba ścieżek zastępczych, które mogą być wykorzystane. Ulegają przeciążeniu, wypadają z równowagi. Gdy zawiedzie następna, do wyboru jest jeszcze mniej ścieżek poddanych jeszcze większemu obciążeniu. To prosty system złożony. To techniczna nazwa na coś takiego. Ponieważ jest prosty, jest podatny na występowanie kaskad, a ponieważ jest złożony, trudno przewidzieć, co zawiedzie. Albo w jaki sposób. Praktycznie nie da się tego zrobić analitycznie.

Holden złożył ręce i oparł się o ścianę. Wciąż dziwne było widzieć go na żywo. Wyglądał tak samo jak na ekranach, a jednak inaczej.

– Stacja Ganimedes – odezwał się Holden – to najważniejsze źródło żywności i ośrodek rolniczy poza Ziemią i Marsem. Nie może się po prostu załamać. Nie pozwoliliby na to. Na Boga, ludzie przylatują tu rodzić dzieci.

Praks przekrzywił głowę. Jeszcze wczoraj nie byłby w stanie tego wyjaśnić. Przede wszystkim nie miałyby dość cukru we krwi, by utrzymać proces myślowy, ale też nie miałyby komu tego tłumaczyć. Dobrze było znowu móc myśleć, nawet choćby tylko po to, by być w stanie wyjaśnić, jak poważna zrobiła się sytuacja.

– Ganimedes jest martwy – oświadczył. – Tunele pewnie przetrwają, ale struktury środowiskowe i społeczne już zostały zniszczone. Nawet gdybyśmy zdołali jakoś przywrócić systemy środowiskowe, czego nie da się zrobić bez mnóstwa pracy, ilu ludzi tu teraz zostanie? Ilu powinno trafić do więzienia? Coś wypełni zwolnioną niszę, ale to nie będzie to samo, co wcześniej.

– Z powodu kaskady – skomentował Holden.

– Tak – potwierdził Praks. – To właśnie próbowałem wcześniej powiedzieć. Amosowi. To wszystko się rozpadnie. Pomoc humanitarna może trochę złagodzi upadek, ale jest już za późno. Ja jestem za późno, a ponieważ Mei jest gdzieś tam, a my nie wiemy, co się zepsuje, muszę iść z wami.

– Praks – powiedziała Cassandra. *Nie. Naomi.* Może jego mózg nie był jednak jeszcze całkiem sprawny.

– Strickland i ta kobieta, nawet jeśli myślą, że mogą jej zapewnić bezpieczeństwo, tak naprawdę nie mogą. Rozumiecie? Nawet jeśli jej nie krzywdzą, nawet jeśli tego nie robią, wszystko wokół nich się rozpadnie. Co będzie,

gdy skończy im się powietrze? Jeśli nie będą rozumieć, co się dzieje?

– Wiem, że to trudne – odpowiedział Holden. – Ale krzyczenie w niczym nie pomoże.

– Nie krzyczę. Wcale nie krzyczę. Po prostu mówię wam, że zabrali mi moje dziecko, a ja muszę iść ją odzyskać. Muszę być tam, gdy otworzycie drzwi. Nawet jeśli jej tam nie ma. Nawet jeśli zginęła, to ja pierwszy muszę ją znaleźć.

Dźwięk był ostry, profesjonalny i dziwnie piękny: magazynek wsuwany do pistoletu. Praks nie widział, jak Amos wyciąga go z pudełka, ale w dłoni wielkiego mężczyzny tkwił ciemny metal. W jego palcach wydawał się mniejszy. Na jego oczach Amos wprowadził pocisk do komory. A potem chwycił pistolet za lufę, uważając, by kierować jej wylot w ścianę, i wyciągnął przed siebie.

– Ale myślałem... – zaczął Praks. – Mówiłeś, że ja nie...

Amos wyciągnął rękę odrobinę bardziej. Gest był jednoznaczny. *Weź go*. Praks wziął broń. Była cięższa, niż się zdawało.

– Amos...? – odezwał się Holden. – Czy ty mu właśnie dałeś naładowany pistolet?

– Doktorek uważa, że musi iść, kapitanie – stwierdził Amos, wzruszając ramionami. – Więc pewnie powinien.

Praks zauważył wymianę spojrzeń między Holdenem i Naomi.

– Chyba będziemy musieli porozmawiać na temat procesu decyzyjnego, Amos – powiedziała Naomi, ostrożnie wymawiając słowa.

– Jasne – zgodził się Amos. – Jak tylko wrócimy.

* * *

Praks całymi tygodniami chodził przez stację jako miejscowy, lokals. Uchodźca, który nie ma gdzie uciekać. Przyzwyczał się do wyglądu korytarzy, przesuwających się po nim spojrzeń ludzi, którzy nie chcieli mieć nic do czynienia z jego problemami. Teraz nakarmiony i uzbrojony Praks, będąc członkiem grupy, widział stację w zupełnie innym świetle. Wciąż przesuwały się po nich ludzkie spojrzenia, ale strach był inny i walczył z głodem. Holden i Amos nie zdradzali ani śladu niedożywienia lub pustego spojrzenia będącego skutkiem obserwowania, jak wszystko wokół nich się rozpada. Naomi została na statku, z którego włamała się do miejscowej sieci monitoringu, gotowa koordynować ich działania na wypadek, gdyby się rozdzielili.

Chyba po raz pierwszy w życiu Praks czuł się jak ktoś z zewnątrz. Patrzył na swoje rodzinne miasto i widział to, co zapewne widział Holden: olbrzymie korytarze z lodowymi ścianami pomalowanymi wysoko w górze, a niżej, gdzie mogli ich dotknąć ludzie, pokrytymi grubą izolacją. Nawet bardzo krótki kontakt z lodem Ganimedesa mógł zerwać ciało z kości. Zaczynało zawodzić oświetlenie i korytarze zrobiły się ciemne. Szeroki hol, którym Praks chodził codziennie do szkoły, był teraz mrocznym pomieszczeniem wypełnionym odgłosami kapiącej wody, co świadczyło o usterce klimatyzacji. Umierały wszystkie rośliny, które jeszcze nie zginęły, a powietrze nabierało zatęchłego smaku w głębi gardła, co świadczyło o tym, że niedługo włączą się awaryjne wymienniki. Powinny się włączyć. Lepiej, żeby tak było.

Jednak Holden miał rację. Mijani w korytarzu wychudzeni, zdesperowani ludzie jeszcze niedawno byli naukowcami, technikami gleby, ekspertami wymiany gazu i pomocniczym personelem rolniczym. Jeśli stacja Ganimedes padnie, kaskada nie zakończy się na niej. Po wywiezieniu stąd ostatniego transportu Pas, układ Jowisza i setki długoterminowych baz na unikalnych orbitach wokół Słońca będą musiały znaleźć inne źródło witamin i mikroelementów dla swoich dzieci. Praks zaczął się zastanawiać, czy te bazy na dalekich planetach będą w stanie się utrzymać. Jeśli mają pełny sprzęt hydroponiczny, farmy drożdżowe i nic się nie zepsuje...

To było tylko odwracanie uwagi. Chwytał się czegokolwiek ze strachu przed tym, co mogło czekać na niego za tamtymi drzwiami. Poddał się temu.

– Hej, wy! Stać!

Głos był niski, ostry i chrapliwy, jakby struny głosowe mężczyzny zostały wyszarpięte z gardła i przeciągnięte przez błoto. Stał na środku skrzyżowania lodowych tuneli przed nimi, w za małym o dwa rozmiary pancerzu policyjnym, z trudem mieszczącym jego masę. Akcent i budowa ciała zdradzały Marsjanina.

Amos i Holden stanęli i obrócili się, patrząc wszędzie, tylko nie na stojącego przed nimi mężczyznę. Praks też się rozejrzał. Wokół nich przyczaili się inni. Nagła panika miała smak miedzi.

– Naliczyłem sześciu – skomentował Holden.

– A co z facetem w szarych spodniach? – zapytał Amos.

– Dobra, może siedmiu. Choć idzie za nami, od kiedy wyszliśmy ze statku. Może być z kimś innym.

– Mimo wszystko sześciu to więcej niż trzech – w ich

uszech zabrzmiały słowa Naomi. – Mam wam wysłać wsparcie?

– A niech mnie. Mamy wsparcie? – zapytał Amos. – Przyślesz tu Supitayaporna, żeby zagadał ich na śmierć?

– Pokonamy ich – odezwał się Praks, sięgając do pistoletu w kieszeni. – Nie możemy nikomu pozwolić...

Na jego ręce zacisnęła się duża dłoń Amosa, zatrzymując broń w kieszeni.

– Do tych się nie strzela – powiedział Amos. – Z tymi się rozmawia.

Holden postąpił w stronę Marsjanina. Swoboda, z jaką się trzymał, sprawiała, że zwieszony z ramienia karabin szturmowy wydawał się prawie nieszkodliwy. Nawet noszony przez niego drogi pancierz nie wydawał się kontrastować ze swobodnym uśmiechem.

– Cześć – przywitał się Holden. – Jakiś problem, proszę pana?

– Może tak – odpowiedział Marsjanin. – Może nie. Zależy od was.

– Wolę *nie* – rzucił Holden. – A teraz, jeśli pan wybaczy, pójdziemy sobie...

– Powoli – rzucił Marsjanin, przesuwając się do przodu. Jego twarz wyglądała jak twarz kogoś spotkanego w metrze, kto nigdy nie wywarł większego wrażenia. – Nie jesteście stąd.

– Ja jestem – odezwał się Praks. – Jestem doktor Praksidike Meng. Główny botanik projektu farmy soi RMD– Southern. A pan to kto?

– Niech kapitan się tym zajmie – zasugerował Amos.

– Ale...

– Jest w tym całkiem niezły.

– Wydaje mi się, że jesteście z misji humanitarnej – oświadczył Marsjanin. – Kawał drogi od doków. Chyba się zgubiliście. I może potrzebujecie eskorty w bezpieczne miejsce.

Holden zmienił lekko pozycję, a karabin przypadkiem przesunął się do przodu o kilka centymetrów, wcale nie prowokacyjnie.

– No nie wiem – powiedział. – Jesteśmy całkiem nieźle chronieni. Myślę, że możemy sami o siebie zadbać. Jakiego rodzaju wynagrodzenie miałeś na myśli za yyy... eskortę?

– No cóż. Jest was trzech. Powiedzmy stówę w marsjańskiej walucie. Pięćset w lokalnej.

– A może poszlibyście z nami, a ja zapewnię wam wylot z tej kuli lodu?

Marsjaninowi opadła szczęka.

– To nie jest śmieszne – powiedział, ale zgubił gdzieś maskę pewności siebie i władzy. Praks zobaczył kryjący się za nią głód i desperację.

– Idę do systemu starych tuneli – wyjaśnił Holden. – Tuż przed tym, gdy wszystko tu wzięło w łeb, ktoś uprowadził grupę dzieci i zabrał właśnie tam. Córka doktorka też jest w tej grupie. Zamierzamy ją odzyskać i uprzejmie zapytać, skąd wiedzieli, że wszystko się posypie. Możemy napotkać opór. Przydałoby mi się paru ludzi, którzy wiedzą, którą stroną karabinu się strzela.

– Naciągasz mnie – rzucił Marsjanin.

Praks kątem oka zobaczył, że trzech innych podchodzi bliżej. Chuda kobieta w tanim kombinezonie ochronnym.

– Jesteśmy z SPZ – odezwał się Amos, po czym kiwnął w stronę Holdena. – To James Holden, z *Rosynanta*.

– Kurwa mać – skomentował Marsjanin. – Faktycznie.

Jesteś Holden.

– To ta broda – skomentował kapitan.

– Nazywam się Wendell. Pracowałem dla Pinkwater Security, zanim dranie się stąd zwinęli, zostawiając nas na miejscu. Co, moim zdaniem, zerwało kontrakt. Jeśli

potrzebujesz trochę

profesjonalnego wsparcia ogniowego, nie znajdziesz nikogo lepszego od nas.

– Ilu was jest?

– Ze mną sześcioro.

Holden obejrzał się na Amosa. Praks bardziej poczuł, niż zobaczył wzruszenie ramion wielkoluda. Czyli

mężczyzna, o którym

rozmawiali, nie był związany z tą grupą.

– No dobrze – stwierdził Holden. – Próbowaliśmy rozmawiać z lokalną policją, ale nie mieli dla nas czasu. Chodźcie z nami, dajcie nam wsparcie, a damy słowo, że odleciecie z Ganimesesa.

Wendell się rozpromienił. Na jednym z siekaczy, pomalowanym na czerwono, widniał mały czarno–biały wzór.

– Cokolwiek powiesz, szefie – rzucił. A potem uniósł broń i dodał: – Zbiórka! Mamy nowy kontrakt, ludzie. Do roboty!

Wokół nich rozległy się radosne pokrzykiwania. Praks zobaczył obok siebie chudą kobietę, z szerokim uśmiechem, ścisnęła mu rękę, jakby startowała w wyborach. Zamrugał i odpowiedział uśmiechem, a Amos położył mu dłoń na ramieniu.

– Widzisz? Mówiłem. A teraz w drogę.

* * *

Korytarz był ciemniejszy, niż wydawało się na nagraniu. W lodzie powstały wąskie kanaliki na wytopioną wodę, wyglądały jak blade żyły, ale pokrywający je lód był świeży. Drzwi nie różniły się niczym od setek innych, które minęli po drodze. Praks przełknął ślinę. Bolał go brzuch. Chciał krzyknąć do Mei, wołać jej imię i usłyszeć odpowiedź.

– No dobra – zabrzmiała Naomi w jego uchu. – Wyłączyłam zamek. Możecie wchodzić, gdy będziecie gotowi.

– Nie ma to jak teraz – odpowiedział Holden. – Otwieraj. Syknęła uszczelka wokół drzwi. Właz się otworzył.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Bobbie

Minęły już trzy godziny od początku spotkania między dyplomatami z Marsa i ONZ, a jak na razie zaliczyli dopiero przedstawianie się i zaczęli odczytywać plan rozmów. Przysadzisty Ziemianin w grafitowym garniturze, który kosztował pewnie więcej niż jej pancerz bojowy, rozwodził się nad paragrafem 14, podpunktem D, pozycjami 1– 11, w których będą omawiać wpływ wcześniejszych wrogich działań na ceny towarów w świetle obowiązujących umów handlowych. Bobbie rozejrzała się wokół, zauważyła, że wszyscy pozostali przy długim dębowym stole wpatrują się z uwagą w czytającego, i stłumiła szerokie ziewnięcie.

Zajęła się próbami odgadnięcia, kim byli ci ludzie. Wszyscy na którymś etapie zostali przedstawieni z nazwiska i tytułu, ale to nie znaczyło wiele. Każdy tutaj był zastępcą sekretarza, podsekretarzem albo dyrektorem czegoś. Było nawet kilku generałów, ale Bobbie doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak działa polityka, by wiedzieć, że wojskowi byli w tym pokoju znacznie mniej ważni. Ludzie z prawdziwą władzą to ci cisi, ze skromnymi tytułami. Było tu kilka takich osób, włącznie z mężczyzną o okrągłej twarzy, który został przedstawiony jako sekretarz od czegoś tam. Obok niego siedziała czyjaś

babcia w jasnym sari, tworząc plamę żółci pośrodku ciemnego brązu, granatu i grafitu. Siedziała z enigmatycznym uśmiechem i co jakiś czas jadła pistacje. Przez kilka minut Bobbie próbowała zgadnąć, czy szefem jest facet z twarzą jak księżyc, czy babcia.

Potem zaczęła się zastanawiać nad nalaniem sobie szklanki wody z jednego z dzbanków rozstawionych w równych odstępach na stole. Nie chciało jej się pić, ale odwrócenie szklanki, nalanie do niej wody i wypicie pozwoliłoby jej zająć się czymś przez minutę, może dwie.

Zerknęła wzdłuż stołu i zauważyła, że nikt inny nie pił. Może wszyscy czekali, aż ktoś zacznie jako pierwszy.

– Zróbmy krótką przerwę – zaproponował facet w grafitowym garniturze. – Dziesięć minut, potem będziemy mogli przejść do paragrafu piętnastego agendy.

Ludzie wstali i zaczęli rozchodzić się w stronę ubikacji i palarni. Babcia zniosła swoją torebkę do kłapy recyklera i wyrzuciła do niego skorupki pistacji. Księżycogłowy wyciągnął terminal i zadzwonił do kogoś.

– Jezu – jęknęła Bobbie, trąc oczy podstawami dłoni, aż zobaczyła gwiazdy.

– Jakiś problem, sierżancie? – zapytał Thorsson, z uśmiechem odchylając się na oparcie krzesła. – Męczy was ciążenie?

– Nie – zapewniła Bobbie. – Właściwie to tak, ale głównie jestem gotowa wbić sobie rysik w oko, żeby tylko coś się działo.

Thorsson kiwnął głową i poklepał ją po dłoni, co ostatnio robił znacznie częściej. Gest nie był przez to ani trochę mniej irytujący i paternalistyczny, ale Bobbie zaczęła się martwić, że Thorsson może się zbierać do zalotów. To

byłoby bardzo nieprzyjemne.

Zabrała rękę i nachyliła się do Thorssona tak, że odwrócił się do niej i spojrzał jej w oczy.

– Dlaczego – wyszeptała – nikt nie mówi nic o tym cholernym potworze? Czy nie po to tu tra... czy nie po to tu *jesteśmy*?

– Musicie zrozumieć, jak to wszystko działa – odpowiedział oficer, odwracając się od niej i grzebiąc w swoim terminalu. – W polityce ruchy wykonuje się bardzo powoli z powodu bardzo wysokich stawek, a nikt nie chce być osobą, która wszystko zepsuje. – Odłożył terminal i mrugnął do niej. – Na szali leżą kariery.

– Kariery...

Thorsson kiwnął głową i znowu zaczął stukać w terminalu.

Kariery?

Na chwilę znowu leżała na plecach, patrząc na pełną gwiazd przestrzeń nad Ganimesem. Jej ludzie zginęli lub umierali. Radio w skafandrze nie działało, a pancierz zmienił się w trumnę. Zobaczyła twarz tego czegoś. Bez skafandra w promieniowaniu i próżni, z czerwonymi kryształkami zamarznętej krwi przy szponach. I nikt przy tym stole nie chciał o tym rozmawiać, ponieważ mogło to zagrozić ich karierom?

Do diabła z tym!

Gdy uczestnicy spotkania wrócili do sali i zajęli miejsca przy stole, Bobbie podniosła rękę. Czowała się nieco śmiesznie, jak uczeń z piątej klasy w sali pełnej dorosłych, ale nie miała pojęcia, jaka była właściwa procedura zadawania pytań. Mężczyzna odczytujący agendę posłał jej pełne irytacji spojrzenie i zignorował ją. Thorsson

sięgnął pod stołem i mocno ścisnął jej nogę.

Nie opuszczała ręki.

– Przepraszam? – odezwała się.

Ludzie przy stole posyłali jej coraz bardziej wrogie spojrzenia, po czym ostentacyjnie się odwracali. Thorsson jeszcze mocniej ścisnął jej nogę, aż miała go dość i chwyciła jego nadgarstek drugą ręką. Ścisnęła tak, że zatrzeszczały kości, a on z zaskoczonym sapnięciem gwałtownie wycofał dłoń. Obrócił się na krześle w jej stronę z szeroko otwartymi oczami i ustami zaciśniętymi w kreskę.

Kobieta w żółtym sari położyła dłoń na ramieniu osoby odczytującej agendę, a on natychmiast zamilkł. *Dobra, to ona jest szefem*, uznała Bobbie.

– Jeśli o mnie chodzi – odezwała się babcia lekko przepraszającym głosem – to chciałabym usłyszeć, co ma do powiedzenia sierżant Draper.

Pamięta moje nazwisko, pomyślała Bobbie. *Ciekawe.*

– Sierżancie? – zwróciła się do niej babcia.

Niepewna, co zrobić, Bobbie wstała.

– Zastanawiam się po prostu, dlaczego nikt nie rozmawia o potworze.

Na twarzy babci znowu pojawił się enigmatyczny uśmiezek. Nikt się nie odezwał. Cisza przypominała strzał adrenaliny do krwi Bobbie. Poczowała, że zaczynają się jej trząść nogi. Bardziej niż czegokolwiek na świecie chciała teraz usiąść, sprawić, by o niej zapomnieli i przestali się na nią patrzeć.

Zmarszczyła czoło i usztywniła kolana.

– No wiecie. – Bobbie mówiła coraz głośniejszym głosem, niezdolna się powstrzymać. – O potworze, który zabił pięćdziesięciu

żołnierzy na Ganimesesie? Przez którego wszyscy tu jesteśmy?

W sali zapanowała cisza. Thorsson patrzył na nią, jakby straciła rozum. Może tak było. Babcia poprawiła swoje żółte sari i uśmiechnęła się zachęcająco.

– To znaczy – powiedziała Bobbie, unosząc papiery – z pewnością umowy handlowe i prawa do wody oraz kto kogo będzie ruchał w drugi czwartek po przesileniu zimowym – to wszystko są *bardzo* ważne sprawy!

Urwała, żeby wciągnąć powietrze, którego pozbawiło ją ciążenie i własna tyrada. Zobaczyła to w ich oczach.

Wiedziała, że jeśli teraz przerwie, stanie się tylko nietypowym zdarzeniem, nieprawidłowością, o której szybko będzie można zapomnieć i wrócić do pracy. Zobaczyła, jak jej kariera w płomieniach rzuca się z urwiska.

Odkryła, że jej to nie obchodzi.

– Ale – nie przestawała mówić i rzuciła tekst agendy na stół, a zaskoczony mężczyzna w brązowym garniturze odskoczył, jakby sunący po blacie obiekt mógł go zarazić tym, co zepsuło Bobbie – *co z pieprzonym potworem?*

Zanim mogła powiedzieć coś więcej, ze swojego miejsca zerwał się Thorsson.

– Proszę mi na chwilę wybaczyć, panie i panowie. Sierżant Draper cierpi na zespół wstrząsu pourazowego i niestety wymaga opieki.

Chwycił ją za łokieć i wyprowadził z pokoju przy akompaniamencie narastającej fali szeptanych komentarzy. Thorsson zatrzymał się w holu przed salą konferencyjną i poczekał, aż zamkną się za nimi drzwi.

– Ty – warknął, pchając ją w stronę krzesła.

Normalnie chudy oficer wywiadu nie zdołałby jej nigdzie pchnąć, ale miała wrażenie, że z jej nóg odeszły wszystkie siły, i opadła na siedzenie.

– Ty – powtórzył. – Chodź tu natychmiast – warknął, wywoławszy kogoś w terminalu.

– Ty – powiedział po raz trzeci, wskazując na Bobbie, po czym zaczął chodzić w kółko przed nią.

Po kilku minutach do holu przed salą konferencyjną wbiegł truchtem kapitan Martens. Zatrzymał się gwałtownie na widok Bobbie skulonej na krześle i wścieklej twarzy Thorssona.

– Co... – zaczął, ale Thorsson wszedł mu w słowo.

– To *twoja* wina – powiedział do Martensa, a potem zwrócił się do Bobbie. – A wy, sierżancie, właśnie dowiedliście, że zabranie was tutaj było olbrzymim błędem. Wszelkie korzyści, które mogły wyniknąć ze sprowadzenia tu jedyne go naoczne go świadka, zostały zaprzepaszczone przez waszą... waszą *idiotyczną* tyradę.

– Ona... – Martens spróbował ponownie, ale Thorsson tylko dźgnął go palcem w pierś i powiedział:

– Mówiłeś, że potrafisz ją kontrolować.

Martens posłał Thorssonowi smutny uśmiech.

– Nigdy nic takiego nie powiedziałem. Stwierdziłem, że mogę jej pomóc, mając dość czasu.

– To już nie ma znaczenia – rzucił Thorsson, machając ręką. – Oboje wylądujecie na pierwszym statku na Marsa, gdzie będziecie mogli się tłumaczyć przed komisją dyscyplinarną. A teraz wynoście się stąd.

Odwrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do sali konferencyjnej, otwierając drzwi tylko na tyle, by przecisnąć przez szparę swoje szczupłe ciało.

Martens usiadł na krześle obok Bobbie i westchnął głęboko.

– No dobra – odezwał się. – To co jest?

– Czy ja właśnie zniszczyłam swoją karierę? – zapytała.

– Może. Jak się czujesz?

– Czuję się... – zaczęła i uświadomiła sobie, jak bardzo chce rozmawiać z Martensem, i zezłościła się z tego powodu. – Jakbym potrzebowała świeżego powietrza.

Zanim Martens zdążył zaprotestować, Bobbie wstała i ruszyła w stronę wind.

* * *

Kompleks ONZ był praktycznie miastem. Samo odnalezienie drogi do wyjścia zajęło jej prawie godzinę. Przez całą drogę niczym duch przechodziła przez chaos i energię rządu. Ludzie przemykali obok niej pośpiesznie w długich korytarzach, rozmawiając grupami lub mówiąc do ręcznych terminali. Bobbie nigdy nie była w Olimpii, gdzie znajdował się budynek marsjańskiego kongresu. Zdarzało się jej obserwować krótkie przekazy z sesji kongresu na kanałach rządowych, gdy poruszany był interesujący ją temat, ale w porównaniu z aktywnością tu, w ONZ, tamte sesje były bardzo spokojne. Ludzie pracujący w tym kompleksie budynków zarządzili trzydziestoma miliardami obywateli i setkami milionów kolonistów. W porównaniu z tymi liczbami cztery miliardy mieszkańców Marsa wydawały się zaściankiem.

Na Marsie zasadniczo powszechnie przyjęto za fakt, że Ziemia jest cywilizacją w rozkładzie. Leniwi, rozpieszczeni obywatele, żyjący z łaski rządu. Grubi, skorumpowani politycy wzbogacający się kosztem kolonii.

Rozpadająca się infrastruktura, która zużywała prawie trzydzieści procent łącznej mocy na systemy recyklingu, by nie dopuścić do utonięcia cywilizacji we własnych odchodach. Na Marsie praktycznie nie istniał problem bezrobocia. Cała populacja była pośrednio lub bezpośrednio zaangażowana do największego projektu inżynieryjnego w historii ludzkości: terraformacji planety. Nadawało to wszystkim poczucie celu, wspólnej wizji przyszłości. Zupełnie inaczej niż u Ziemiaków, którzy żyją z łaski rządu, odmierzając czas wizytami w sklepach z narkotykami lub centrach handlowych.

Przynajmniej tak głosiła propaganda. Bobbie nagle wcale nie była już taka pewna.

Wielokrotne postoje przy różnych punktach informacyjnych rozproszonych w całym kompleksie w końcu doprowadziły ją do drzwi wyjściowych. Znużony strażnik kiwnął jej głową, gdy przechodziła, i nagle znalazła się na zewnątrz.

Na zewnątrz. Bez skafandra.

Pięć sekund później dobijała się do drzwi, które – jak zorientowała się po niewczasie – służyły tylko do wyjścia, i próbowała się dostać do środka. Strażnik zlitował się nad nią i otworzył wyjście. Wbiegła do wnętrza i opadła na najbliższą kanapę, dysząc i hiperwentylując.

– Pierwszy raz? – strażnik zapytał z uśmiechem.

Bobbie nie potrafiła odpowiedzieć, ale kiwnęła głową.

– Mars czy Luna?

– Mars – powiedziała, gdy zdołała trochę opanować oddech.

– No tak, wiedziałem. Wie pani, kopuły. Ludzie mieszkający

w kopułach trochę panikują, za to Pasiarzom całkiem odbija. Tak totalnie. Musimy ich odsyłać do domu naćpanych po uszy, żeby nie krzyczeli.

– No tak – rzuciła Bobbie zadowolona z przemowy strażnika, która pozwoliła jej się opanować. – Wcale się nie dziwię.

– Przywieźli panią w nocy?

– Tak.

– Robią tak z ludźmi z innych planet. Pomaga z agorafobią.

– Owszem.

– Przytrzymam dla pani drzwi. Na wypadek, gdyby znowu chciała pani wrócić.

Założenie, że będzie chciała spróbować ponownie, sprawiło, że strażnik natychmiast zyskał sympatię Bobbie i pierwszy raz dokładniej mu się przyjrzała. Niski jak na Ziemianina, ale z piękną skórą, tak czarną, że prawie fioletową. Był niewysoki, dobrze zbudowany i miał urocze szare oczy. Uśmiechał się do niej bez cienia drwiny.

– Dziękuję. Jestem Bobbie. Bobbie Draper.

– Chuck – odpowiedział. – Proszę patrzeć na ziemię, a potem powoli podnieść wzrok do horyzontu. I cokolwiek będzie pani robić, za nic nie patrzeć prosto do góry.

– Chyba tym razem już to ogarniam, Chuck, ale dziękuję.

– Semper fi, Gunny – powiedział Chuck po szybkim rzuceniu okiem na jej mundur.

– Hurra! – Bobbie odpowiedziała z uśmiechem.

Przy drugim wyjściu na zewnątrz postąpiła zgodnie z radą Chucka i przez kilka chwil patrzyła głównie pod nogi. Pomogło jej to ograniczyć uczucie przeładowania zmysłów. Ale tylko trochę. Jej nos zaatakowały setki

zapachów. Bogaty aromat gleby i roślin, których mogłaby się spodziewać w kopule ogrodowej. Olej i rozgrzany metal z zakładu produkcyjnego. Ozon z silników elektrycznych. Wszystkie uderzyły ją równocześnie, nałożone na siebie i zmieszane z woniami zbyt egzotycznymi, by je nazwać. Do tego nieustanna kakofonia dźwięków. Ludzkie rozmowy, maszyny budowlane, samochody elektryczne, start promu orbitalnego, wszystko naraz i przez cały czas. Nic dziwnego, że razem wywołało to panikę. Przeciążeniem groziły dane tylko z dwóch zmysłów, a gdy dodać do tego rozciągające się w nieskończoność błękitne niebo...

Bobbie stała na zewnątrz z zamkniętymi oczami, oddychając powoli, aż usłyszała, że Chuck zamyka za nią drzwi. Teraz nie miała wyboru. Odwrócenie się i poproszenie mężczyzny o ponowne wpuszczenie byłoby przyznaniem się do porażki. Najwyraźniej służył w korpusie marines ONZ, a ona nie zamierzała okazać słabości przed konkurencją. Za nic.

Gdy jej uszy i nos przyzwyczyły się trochę do nieustannego ataku doznań, znowu otworzyła oczy, patrząc w dół, na beton chodnika. Powoli podnosiła wzrok, aż w polu widzenia zobaczyła horyzont. Przed nią rozciągały się długie ścieżki prowadzące przez starannie wypielegnowane trawniki. Dalej wznosił się szary mur, który musiał mieć z dziesięć metrów wysokości, z rozmieszczonymi w regularnych odstępach wieżyczkami strażniczymi. Kompleks ONZ otoczony był zaskakująco silną ochroną. Zaczęła się zastanawiać, czy zdoła się z niego wydostać.

Niepokój okazał się bezpodstawny. Gdy zbliżyła się do strzeżonej bramki prowadzącej na zewnątrz, system ochrony odpytał jej terminal o tożsamość, a ten poinformował o statusie VIP- a. Jej twarz została zeskanowana przez kamerę nad strażnicą, porównana z danymi w profilu i tożsamość została potwierdzona, gdy była jeszcze dwadzieścia metrów od bramy. Kiedy dotarła do wyjścia, strażnik zasalutował i zapytał, czy potrzebuje transportu.

– Nie, idę się tylko przejść – odpowiedziała.

Strażnik uśmiechnął się i życzył jej miłego dnia. Zaczęła iść ulicą odchodzącą od kompleksu ONZ, potem odwróciła się i zobaczyła, że jej śladem idzie dyskretnie dwóch uzbrojonych strażników. Wzruszyła ramionami i poszła dalej. Ktoś pewnie straciłby pracę, gdyby VIP- owi stała się krzywda.

Gdy tylko Bobbie znalazła się poza kompleksem ONZ, jej agorafobia osłabła. Budynki wokół niej wznosiły się jak ściany ze stali i szkła, odsuwając przyprawiające o zawroty głowy niebo na tyle daleko, że już go nie widziała. Ulicami sunęły małe samochody elektryczne, ciągnąc za sobą wysokie dźwięki i zapach ozonu.

I wszędzie byli ludzie.

Bobbie kilka razy poszła na Stadion Armstronga na Marsie obejrzeć rozgrywkę z udziałem Czerwonych Diabłów. Stadion mógł pomieścić dwadzieścia tysięcy kibiców. Ponieważ Diabły były zwykle u dołu tabeli rozgrywek, przeważnie na meczach zajętych była najwyżej połowa miejsc. Ta stosunkowo skromna liczba była największą liczbą ludzi, jaką Bobbie widziała dotąd równocześnie w jednym miejscu. Na Marsie mieszkali

miliardy ludzi, ale nie było tam wiele otwartych przestrzeni, gdzie mogliby się spotkać. Stojąc teraz na skrzyżowaniu i patrząc w głąb dwóch ulic zdających się rozciągać w nieskończoność, Bobbie była pewna, że widzi na chodnikach więcej ludzi niż zwykle przychodziło na mecze Czerwonych Diabłów. Spróbowała wyobrazić sobie, ilu ludzi znajduje się w budynkach wznoszących się na oszałamiające wysokości ze wszystkich stron wokół niej, ale nie potrafiła. Zapewne miliony ludzi tylko w samych budynkach i ulicach w zasięgu wzroku.

A jeśli marsjańska propaganda miała rację, większość zwidzianych teraz ludzi nie miała nawet pracy. Próbowала to sobie wyobrazić: brak jakiegokolwiek miejsca, gdzie powinno się być dowolnego dnia.

Ziemiańskie odkryli, że gdy ludzie nie mają nic innego do roboty, robią dzieci. Przez krótki czas w dwudziestym i dwudziestym pierwszym wieku wydawało się, że populacja może się skurczyć, zamiast dalej rosnać. W miarę jak coraz więcej kobiet zdobywało wykształcenie i podejmowało pracę, średnia rodzina się zmniejszała.

Skończyło się to po kilku dekadach potężnego ograniczenia zatrudnienia.

A przynajmniej tak ją uczyli w szkole. Tylko tu, na Ziemi, gdzie jedzenie rosło samo, powietrze było tylko produktem ubocznym przypadkowych, niepilnowanych roślin, gdzie zasoby leżały na ziemi, człowiek mógł zdecydować, że nic nie będzie robić. Ci, którzy odczuwali potrzebę pracy, tworzyli dość, by nadmiar wystarczył do wykarmienia reszty. Świat nie dzielił się już na posiadaczy i biedaków, a na energicznych i apatycznych.

Bobbie zatrzymała się przed uliczną kawiarnią i usiadła

przy stoliku.

– Mogę coś podać? – zapytała uśmiechnięta młoda dziewczyna z włosami ufarbowanymi na niebiesko.

– A co macie dobrego?

– Robimy najlepszą herbatę z mlekiem sojowym, jeśli pani lubi.

– Jasne – odpowiedziała Bobbie niepewna, czym jest herbata z mlekiem sojowym, ale osobno lubiła obie te rzeczy na tyle, by zaryzykować.

Niebieskowłosa dziewczyna odeszła i zaczęła rozmawiać z równie młodym chłopakiem szykującym herbatę za barem. Bobbie rozejrzała się wokół, zauważyła, że wszyscy pracujący w zasięgu wzroku byli mniej więcej w tym samym wieku.

– Czy mogę cię o coś zapytać? – zwróciła się do kelnerki, gdy dostała herbatę.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, zachęcając uśmiechem do konwersacji.

– Czy wszyscy, którzy tu pracują, są w tym samym wieku?

– No cóż – powiedziała dziewczyna. – Prawie tak. Trzeba gdzieś zebrać kredyt przed uniwerkiem, prawda?

– Nie jestem stąd – wyznała Bobbie. – Proszę mi to wyjaśnić.

Niebieskowłosa chyba pierwszy raz uważniej się jej przyjrzała, dostrzegając jej mundur i różne oznaczenia.

– Och, pani jest z Marsa, prawda? Chciałabym tam polecieć.

– To świetne miejsce, ale proszę mi powiedzieć, o co chodzi z tym kredytem.

– Nie mają tego na Marsie? – zapytała zdziwiona

dziewczyna. – Jest tak: jeśli chce się wstąpić na uniwersytet, trzeba mieć przynajmniej rok kredytu pracy. Żeby się upewnić, że lubi się pracę. Wie pani, żeby nie tracili miejsca w salach na ludzi, którzy potem tylko pójdą na podstawę.

– Podstawę?

– No wie pani, podstawowe utrzymanie.

– Chyba rozumiem – powiedziała Bobbie. – Podstawowe utrzymanie to pieniądze, które dostaje się, jeśli się nie pracuje?

– Żadnych pieniędzy, tylko wie pani, podstawę. Żeby mieć pieniądze, trzeba pracować.

– Dzięki – rzuciła Bobbie i napiła się herbaty, a dziewczyna odeszła do innego stolika.

Herbata była pyszna. Musiała też przyznać, że było coś w rodzaju smutnego sensu we wczesnym odsiewaniu ludzi przed zużyciem zasobów na ich edukację. Bobbie kazała terminalowi zapłacić rachunek, a ten błysnął do niej kwotą po przeliczeniu kursu wymiany. Dodała jeszcze spory napiwek dla niebieskowłosej dziewczyny, która chciała od życia więcej niż podstawowe utrzymanie.

Bobbie zaczęła się zastanawiać, czy po terraformacji Mars też stanie się taki. Czy gdy Marsjanie nie będą już musieli codziennie walczyć o wytworzenie odpowiedniej ilości zasobów na przetrwanie, też zmienią się w coś takiego? Kulturę, gdzie można było *wybrać*, czy chce się do niej dokładać? Godziny robocze i zbiorowa inteligencja piętnastu miliardów ludzi odrzucone jako dopuszczalne straty systemu. Bobbie zrobiło się smutno na samą myśl o tym. Cały ten wysiłek, by dostać się do punktu, w którym mogli żyć w taki sposób. Wysyłanie dzieci do pracy w

kawiarni, by sprawdziły, czy potrafią być aktywne. Pozwalanie im żyć przez resztę życia na *podstawie*, jeśli okaże się, że z aktywnością i chęcią do pracy im nie po drodze.

Ale jednej rzeczy była pewna: całe to bieganie i ćwiczenie marsjańskich marines przy ciężeniu jednego g było bzdurą. Nie było mowy, żeby Mars mógł kiedykolwiek pokonać Ziemię na jej terenie. Wszystkich marsjańskich żołnierzy z pełnym uzbrojeniem można było zrzucić tylko na jedno ziemskie miasto, a jego mieszkańcy poradziliby sobie z nimi wyłącznie za pomocą kamieni i patyków.

Głęboko w objęciach patosu poczuła nagle, jak spada z niej olbrzymi ciężar, z którego obecności nawet nie zdawała sobie sprawy. Thorsson i jego bzdury nie miały znaczenia. Nie liczyła się rywalizacja z Ziemią. Nie było istotne przerabianie Marsa na kolejną Ziemię, jeśli w ogóle w tę stronę to wszystko zmierzało.

Tak naprawdę liczyło się tylko odkrycie, kto umieścił to coś na Ganimesesie.

Wypiła resztę herbaty i pomyślała: *potrzebuję taksówki*.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Holden

Za drzwiami ciągnął się długi korytarz, który dla Holdena wyglądał dokładnie tak samo, jak każdy inny na Ganimesie: lodowe ściany z odporną na wilgoć izolacją termiczną, wzmocnieniami i przewodami, gumowanym chodnikiem i pełnozakresowymi diodami LED, udającymi światło słońca z błękitnego nieba na Ziemi. Mogli być gdziekolwiek.

– Jesteśmy pewni, że to właściwe miejsce, Naomi?

– To drzwi, przez które przeszła Mei na nagraniu hakera – odpowiedziała.

– Dobra – powiedział, po czym opadł na jedno kolano i gestem polecił to samo swojej improwizowanej armii. Gdy wszyscy zebrali się mniej więcej w kręgu wokół niego, odezwał się. – Nasz kontroler, Naomi, ma dane o układzie tych tuneli, ale niewiele więcej. Nie mamy pojęcia, gdzie są zbiry ani czy w ogóle wciąż tam są.

Praks zaczął protestować, ale Amos uciszył go ciężką dłonią położoną na plecach.

– Musimy więc założyć, że za naszymi plecami może się znaleźć sporo skrzyżowań. Nie podoba mi się to.

– Owszem – zgodził się Wendell, szef grupy z Pinkwater.

– Mnie też się to nie podoba.

– W tej sytuacji będziemy zostawiać kogoś na każdym

skrzyżowaniu do czasu, aż zorientujemy się, gdzie idziemy – zdecydował Holden, po czym zwrócił się do Naomi. – Podłącz ich wszystkie terminale do naszego kanału. A wy założcie słuchawki. Nie odzywamy się, chyba że zadam bezpośrednie pytanie lub komuś grozi śmierć.

– Przyjąłem – odpowiedział Wendell, a po nim reszta jego zespołu.

– Gdy będziemy już wiedzieć, jak wygląda sytuacja, w razie potrzeby ściągnę do naszej pozycji wszystkich wartowników. Jeśli nie, będą naszą drogą ucieczki, gdy trafimy na coś, to przekracza nasze możliwości.

Wszyscy pokiwali głowami.

– Doskonale. Amos na przedzie. Wendell, ty kryjesz nam tyłki. Cała reszta rozstawić się w odstępach metra – polecił Holden, a potem stuknął w napierśnik Wendella. – Jeśli zrobimy to czysto, to porozmawiam z moimi ludźmi z SPZ o przelaniu na wasze konta paru kredytów oprócz zabrania was z tego miejsca.

– Sprawiedliwie – skomentowała kobieta w tanim pancerzu i zarepetowała pistolet maszynowy.

– Dobra, idziemy. Amos, według mapy Naomi mamy pięćdziesiąt metrów do kolejnych drzwi, potem jest jakiś magazyn.

Amos kiwnął głową i przystawił do ramienia kolbę ciężkiej automatycznej strzelby z grubym magazynkiem. Z uprząży na jego marsjańskim pancerzu zwisało jeszcze kilka magazynków i całkiem sporo granatów. Gdy szedł, metal stukał o metal. Amos energicznie maszerował w głąb korytarza. Holden zerknął szybko do tyłu i ucieszył się, widząc, że ludzie z Pinkwater utrzymują odległość i

tempo. Może i wyglądali na zagłodzonych, ale znali się na swojej robocie.

– Kapitanie, tuż przed drzwiami ciśnieniowym w prawo odchodzi tunel – poinformował Amos. Zatrzymał się i opadł na kolano, kryjąc nieoczekiwany korytarz.

Nie było go na mapie. To znaczyło, że tunele wykopano już *po* aktualizacji planów stacji. Tego typu modyfikacje oznaczały, że mają jeszcze mniej danych niż sądził. To nie wróżyło dobrze.

– W porządku – rzucił Holden, wskazując kobietę z pistoletem maszynowym. – Jak masz na imię?

– Paula.

– To twoje skrzyżowanie, Paula. Spróbuj nie strzelać do nikogo, kto nie strzeli do ciebie pierwszy, ale *nie* pozwól tędy nikomu przejść – z żadnego powodu.

– Zdecydowanie potwierdzam – odpowiedziała Paula, zajmując pozycję i wpatrując się w boczny korytarz. Broń trzymała w pełnej w gotowości.

Amos odpiął z upręży granat i podał jej.

– Na wypadek, gdyby zrobiło się niemiło – wyjaśnił. Paula kiwnęła głową, opierając się plecami o ścianę. Amos znowu wyszedł na czoło i ruszył do drzwi ciśnieniowych.

– Naomi – odezwał się Holden, patrząc na mechanizm zamka drzwi. – Drzwi ciśnieniowe 223– B6. Otwórz je.

– Już się robi – potwierdziła. Po kilku sekundach Holden usłyszał przesunięcie blokad.

– Dziesięć metrów do następnego skrzyżowania na mapie – powiedział, obejrzał się na ludzi z Pinkwater i wybrał losowo starszego faceta o szorstkim wyglądzie. – To twoje skrzyżowanie, gdy tam dojdziemy.

Mężczyzna przytaknął, a Holden kiwnął do Amosa.

Mechanik prawą ręką chwycił dźwignię wjazdu, a palcami lewej zaczął odliczać w dół od pięciu. Holden zajął pozycję przed drzwiami, trzymając karabin w gotowości.

Gdy Amos doliczył do jednego, głęboko wciągnął powietrze i wpadł przez drzwi, gdy tylko Amos otworzył je szarpnięciem.

Nic.

Po prostu kolejne dziesięć metrów korytarza słabo oświetlonego nielicznymi diodami, które nie wysiadły przez dziesięciolecia nieużywania. Lata zamarzania i topnienia mikroskopijnych warstewek szronu nadały ścianom teksturę zbliżoną do pajęczych sieci. Wydawały się delikatne, ale były zmineralizowane i twarde jak kamień. Holdenowi widok skojarzył się z cementarzem.

Amos ruszył do najbliższego skrzyżowania i kolejnego wjazdu, mierząc ze strzelby w głąb korytarza. Holden poszedł za nim, mierząc z automatu w prawo, w boczny korytarz, odruchowo kryjąc każdy możliwy punkt ataku na ich pozycję. Tego typu zachowanie stało się dla niego odruchowe.

Rok pracy na stanowisku gliniarza.

Naomi mówiła, że to nie on. Opuścił ziemską flotę, nie uczestnicząc w starciach na żywo, poza polowaniem na piratów ze względnie bezpiecznego mostka okrętu bojowego. Przez lata pracował na *Canterbury* przewożącym lód z pierścieni Saturna do Pasa i przez cały ten czas nie musiał się martwić niczym groźniejszym niż bójka na pięści pomiędzy znudzonymi członkami załogi. Był rozjemcą, tym, który zawsze znajdował sposoby na złagodzenie konfliktu. Gdy wybuchały emocje, on zawsze zachowywał spokój lub znajdował sposób na obrócenie

wszystkiego w żart albo po prostu siedział i słuchał, jak ktoś wylewał z siebie nagromadzone pretensje.

Ta nowa osoba, którą stal się ostatnio, najpierw sięgała po broń, a dopiero potem rozmawiała. Może Naomi miała rację. Ile statków zniszczył w ciągu roku od Erosa? Dwanaście? Więcej? Pocieszał się myślą, że na wszystkich latali bardzo źli ludzie. Najgorszy rodzaj padlinożerców, korzystających z chaosu wojny i wycofania się floty Koalicji do rabowania i zabijania. Ludzie, którzy zabierali wszystkie drogie części z silnika, kradli zapasowe powietrze i zostawiali statki bez napędu, by się udusiły. Zniszczenie każdego z tych statków prawdopodobnie ocaliło dziesiątki niewinnych jednostek, życie setek ludzi. Z drugiej strony robienie tego pozbawiło go czegoś, czego brak czasami odczuwał.

W chwilach takich jak ta, gdy Naomi powiedziała, że to *nie on*.

Jeśli znajdą tajną bazę, do której uprowadzono Mei, istniało spore ryzyko, że będą musieli walczyć, żeby odzyskać dziecko. Holden nagle zaczął mieć nadzieję, że będzie mu to przeszkadzać, choćby dlatego, by dowieść sobie, że wciąż ma sumienie.

– Kapitanie? Wszystko w porządku?

Amos przyglądał mu się dokładnie.

– Tak – odpowiedział – po prostu potrzebuję innej roboty.

– To może nie być najlepsza chwila na zmianę kariery, kapitanie.

– Słuszna uwaga – zgodził się Holden i wskazał starszego, wybranego wcześniej mężczyznę z Pinkwater. – To twoje skrzyżowanie. Takie same instrukcje. Utrzymuj

pozycję, chyba że cię odwołam.

Facet wzruszył ramionami, kiwnął głową i zwrócił się do Amosa.

– Ja nie dostanę granatu?

– Nie – odpowiedział Amos. – Paula jest ładniejsza od ciebie.

Znowu odliczył w dół od pięciu, a Holden przeszedł przez drzwi tak samo, jak poprzednio.

Był przygotowany na kolejny identyczny, szary korytarz, ale po drugiej stronie drzwi zastał otwartą przestrzeń z kilkoma stołami i zakurzonym sprzętem rozstawionym bezładnie po całym pomieszczeniu. Wielka, częściowo rozłożona kopiarka 3D bez żywicy, kilka niedużych manipulatorów przemysłowych, skomplikowana automatyczna szafka podawcza w rodzaju tych, jakie zwykle kryły się pod blatami w laboratoriach naukowych lub ambulatoriach. Zmineralizowane pajęczyny były widoczne na ścianach, ale nie na skrzynkach ani nie na sprzęcie. W jednym z rogów stała szklana skrzynia dwa na dwa metry, a na którymś ze stołów leżał stosik pościeli lub koców. Z drugiej strony pomieszczenia zobaczył zamknięte drzwi.

– Zobacz, czy znajdziesz jakiś dostęp do sieci – Holden zwrócił się do Wendella, wskazując na porzucony sprzęt. – Jeśli dasz radę, podłącz to. – Podał mu pośpiesznie zmontowany przez Naomi mostek sieciowy.

Amos wysłał pozostałych dwóch ludzi z Pinkwater pod następny właz, do osłony, a potem wrócił do Holdena i strzelbą wskazał szklaną skrzynię.

– Zmieściłoby się tam kilkoro dzieciaków – skomentował. – Myślisz, że tam je trzymali?

– Może – powiedział Holden i podszedł, żeby się jej przyjrzeć. – Praks, mozesz... – Holden urwał, gdy zorientował się, że botanik podszedł do stołów i zatrzymał się przy stercie szmat. Na widok stojącego obok mężczyzny Holden doznał gwałtownej zmiany perspektywy i nagle sterta nie wyglądała już jak szmaty. Zdecydowanie przypominała małe ciało przykryte prześcieradłem.

Praks wpatrywał się w nie, wyciągał do niego rękę, a potem ją cofał. Cały się trząsł.

– To... to jest... – powiedział w przestrzeń, znowu wyciągając i cofając dłoń.

Holden spojrział na Amosa, a potem oczami wskazał Praksa. Wielki mechanik podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Może my tam zajrzemy, dobra?

Holden poczekał, aż Amos odprowadzi Praksa kilka kroków od stołu, a dopiero potem podszedł do niego. Gdy uniósł prześcieradło, by pod nie zajrzeć, Praks ostro wciągnął powietrze, jakby chciał krzyknąć. Holden przesunął się, żeby zasłonić Praksovi widok.

Na stole leżał mały chłopiec. Był chudy, z grzywą niesfornych czarnych włosów i miał ciemną skórę. Ubrany był w jaskrawe rzeczy: żółte spodnie i zieloną koszulkę z kreskówkowym krokodylem i stokrotkami. Na pierwszy rzut oka nie było widać, co go zabiło.

Holden usłyszał jakieś zamieszanie, a kiedy się odwrócił, zobaczył Praksa z czerwoną twarzą, usiłującego wyrwać się Amosowi i podejść do stołu. Mechanik unieruchomił go jedną ręką w czymś będącym częściowo chwytem zapaśniczym, a częściowo objęciem.

– To nie ona – powiedział Holden. – To dziecko, ale nie ona. Chłopiec. Cztery, może pięć lat.

Gdy Amos to usłyszał, puścił wyrrywającego się Praksa. Botanik podbiegł do stołu, odsłonił prześcieradło i krzyknął cicho.

– To Katoa – powiedział. – Znam go. Jego ojciec...

– To nie Mei – powtórzył Holden, kładąc dłoń na ramieniu Praksa. – Musimy szukać dalej.

Praks zrzucił jego dłoń.

– To nie ona – Holden powtórzył jeszcze raz.

– Ale Strickland tu był – odpowiedział Praks. – Był ich lekarzem. Myślałem, że jeśli będzie z nimi, one...

Holden milczał. Myślał dokładnie o tym samym. Jeśli jedno z dzieci było martwe, to samo mogło spotkać pozostałe.

– Myślałem, że chcieli je utrzymać przy życiu – powiedział Praks. – Ale pozwolili Katoa umrzeć. Dali mu umrzeć i zostawili go tu pod prześcieradłem. Tak mi przykro, Basia...

Holden chwycił Praksa za rękę i odwrócił go. Wyobrażał sobie, że tak zrobiłby policjant.

– To – powiedział z naciskiem, wskazując drobne ciało na stole – nie jest Mei. Chcesz ją odnaleźć? Jeśli tak, to musimy ruszać dalej.

Oczy Praksa wypełniły się łzami, a jego ramiona trzęsły się w cichym łkaniu, ale kiwnął głową i odszedł od stołu. Amos obserwował go uważnie, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Znikąd pojawiła się myśl: *mam nadzieję, że zabranie Praksa było dobrym pomysłem.*

Wendell gwizdnął z drugiego końca pomieszczenia i zamachał. Wskazał na urządzenie Naomi wpięte do portu

w ścianie i wystawił kciuk do góry.

– Naomi, weszłaś? – zapytał Holden, zakrywając ponownie ciało chłopca.

– Tak, weszłam – potwierdziła nieobecny tonem, wyraźnie analizując nadchodzące dane. – Ruch w tym węźle jest zaszyfrowany. Zaprzęłam do tego *Lunatyka*, ale to nie jest sprzęt tej klasy, co *Ros*. Trochę to potrwa.

– Próbuje dalej – odpowiedział Holden i zasygnalizował do Amosa. – Ale skoro w sieci jest ruch to znaczy, że ktoś tam jest.

– Jeśli chwilę poczekaś – powiedziała Naomi – może zdołam dać ci obraz z kamer monitoringu i bardziej aktualny plan pomieszczeń.

– Daj nam, co możesz, gdy tylko będziesz miała, ale nie czekamy. Amos podszedł do Holdena i stuknął w wizjer jego hełmu. Praks stał samotnie przy szklanej skrzyni, wpatrując się w nią, jakby coś w niej było. Holden spodziewał się, że Amos powie coś na ten temat, ale mechanik go zaskoczył.

– Zwróciłeś uwagę na temperaturę, kapitanie?

– Tak – potwierdził Holden. – Za każdym razem, gdy sprawdzałem, mówi „zimno jak diabli”.

– Właśnie byłem przy drzwiach – powiedział Amos. – Tam jest cieplej o pół stopnia.

Holden zastanawiał się nad tym przez chwilę, sprawdzając odczyt na własnym wyświetlaczu i stukając palcami w udo.

– Czyli w następnym pomieszczeniu jest atmosfera. Grzeją tam.

– Na to wygląda – zgodził się Amos, poprawiając chwyt na automatycznej strzelbie i kciukiem przełączając

bezpiecznik.

Holden gestem przywołał do nich pozostałych ludzi z Pinkwater.

– Wygląda na to, że znaleźliśmy zamieszkałą część tej bazy. My z Amosem wejdziemy pierwsi. Wasza trójka – Holden wskazał na ludzi z Pinkwater poza Wendellem – pójdzie za nami i będzie osłaniać flanki. Wendell, ty kryjesz nam tyłki i pilnujesz, żebyśmy mogli się szybko wydostać, jeśli zrobi się nieprzyjemnie. Praks...

Holden urwał, rozglądając się za botanikiem. Mężczyzna cicho podszedł do drzwi prowadzących do następnego pomieszczenia i wyjął z kieszeni pistolet otrzymany od Amosa. Na oczach Holdena sięgnął do zamka, otworzył drzwi i stanowczo przez nie przeszedł.

– O ja pierdolę – skomentował Amos konwersacyjnym tonem.

– Szlag – rzucił Holden. A potem krzyknął, biegnąc w stronę otwartych drzwi – Idziemy, już!

Tuż przed dotarciem do wjazdu usłyszał wypowiedane głośnym, lecz drżącym głosem słowa Praksa.

– Nie ruszać się.

Holden wpadł przez drzwi do pokoju po drugiej stronie, odsuwając się na prawo, a biegnący za nim Amos skrzyknął w lewo. Praks stał jakiś metr za drzwiami z wielkim, czarnym pistoletem trzymany w bladej, drżącej dłoni. Pomieszczenie wyglądało prawie tak samo, jak to opuszczone przed chwilą, tylko tutaj zebrała się grupka ludzi. Uzbrojonych. Holden rozejrzał się w poszukiwaniu wszystkiego, co można było wykorzystać jako osłonę. W pokoju stało w nieładzie kilka dużych, szarych skrzyń towarowych ze sprzętem naukowym w różnych stadiach

demontażu w środku. Ktoś położył na blacie ręczny terminal, z którego rozbrzmiewała muzyka taneczna. Na jednej ze skrzynek stało kilka otwartych pudełek na pizzę, w większości pustych, a brakujące kawałki wciąż tkwiły w dłoniach ludzi. Próbował ich policzyć. Czterech. Ośmiu. Równy tuzin, wszyscy rozglądali się wokół z szeroko otwartymi oczami, nie wiedząc, co robić.

Dla Holdena wyglądało to jak pokój pełen pakujących się do wyjazdu ludzi, którzy urządzili sobie krótką przerwę na lunch. Tylko że wszyscy mieli przy bokach kabury i zostawili po sobie w sąsiednim pokoju ciało małego chłopca.

– Nie! Ruszać! Się! – powtórzył Praks, tym razem z jeszcze większym naciskiem.

– Lepiej go posłuchajcie – dodał Holden, wolno przesuając lufę karabinu szturmowego przez cały pokój. Żeby jeszcze podkreślić jego słowa, Amos podszedł do najbliższego mężczyzny i walnął go w żebra kolbą automatycznej strzelby, rzucając go tym na podłogę jak worek piasku. Holden usłyszał tupanie ludzi z Pinkwater wbiegających do pokoju za jego plecami i zajmujących pozycje.

– Wendell – powiedział Holden, nie opuszczając automatu. – Pozabieraj im broń.

– Nie – zaprotestowała kobieta o kamiennej twarzy z kawałkiem pizzy w dłoni. – Raczej nie.

– Przepraszam? – powiedział Holden.

– Nie – powtórzyła kobieta, a potem ugryzła kawałek pizzy. – Jest was tylko siedmiu – wyjaśniła z pełnymi ustami. – A nas dwanaścioro tylko w tym pokoju. I będzie nas znacznie więcej po pierwszym strzale. Więc nie

zabierzecie nam broni.

Posłała Holdenowi nieprzyjemny uśmiech i ugryzła kolejny kęs pizzy. Nawet przez wszechobecną na Ganimesesie woń lodu i własny pot Holden czuł ser i pepperoni, zapach świadczący o dobrej pizzy. Nieoczekiwanie zaburczało mu w żołądku. Praks skierował pistolet w stronę kobiety, choć jego ręka drżała teraz tak mocno, że kobieta prawdopodobnie nie czuła się zbyt zagrożona.

Amos zerknął na niego z ukosa, jakby pytał *co teraz, szefie?*

W umyśle Holdena sytuacja w pokoju niemal z głośnym kliknięciem zmieniła się w problem taktyczny. Jedenastu wciąż stojących, potencjalnych przeciwników znajdowało się w trzech grupach. Żadne z nich nie miało na sobie widocznego pancerza. Amos prawie na pewno mógł się uporać z grupą czterech w lewym kącie pokoju jedną serią automatycznej strzelby. Holden był przekonany, że zdoła załatwić trzech bezpośrednio przed nim. To zostawiało czwórkę dla ludzi z Pinkwater. Lepiej nie uwzględniać w kalkulacjach Praksa.

W ułamku sekundy skończył ocenę potencjalnych ofiar i jego kciuk niemal samodzielnie przełączył karabin szturmowy na ogień ciągły.

To nie ty.

Cholera.

– Nie musimy tego robić – powiedział, zamiast nacisnąć na spust.

– Nikt nie musi dzisiaj ginąć. Szukamy małej dziewczynki. Pomóżcie nam ją odnaleźć, a spokojnie się rozejdziemy.

Holden dostrzegł, że arogancja i brawura kobiety tak naprawdę są tylko maską. Kryła się za nią troska wynikająca z oceny ofiar w jej zespole, ważona względem ryzyka prowadzenia rozmów i sprawdzenia, do czego doprowadzą. Holden posłał jej uśmiech i kiwnął głową na zachętę. *Rozmawiaj ze mną. Wszyscy tu jesteśmy rozsądnymi ludźmi.*

Tylko że to nie była prawda.

– Gdzie jest Mei? – wrzasnął Praks, dźgając w jej stronę pistoletem, jakby ten gest jakoś mógł się przenieść przez powietrze.

– Powiedz mi, gdzie jest Mei!

– Ja... – zaczęła odpowiadać, ale Praks ryknął:

– Gdzie jest moja córeczka I – i odciągnął kurek.

Holden zobaczył, niczym w zwolnionym tempie, jak jednaście rąk sięga do kabur przy pasach.

Szlag.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Praks

Na filmach i w grach, które dla Praksa były podstawą obrazu tego, jak reagowali ludzie zajmujący się przemocą, odciągnięcie kurka było nie tyle groźbą, co rodzajem znaku przestankowego. Przesłuchujący kogoś policjant mógł zacząć od gróźb i policzkowania, ale gdy odciągał kurek pistoletu, znaczyło to, że najwyższy czas, żeby zacząć taktować go poważnie. Praks nie zastanawiał się nad tym ani trochę bardziej niż nad tym, którego pisuaru użyć, gdy nie był jedynym mężczyzną w ubikacji lub jak wyjść z wagonu metra. Był to przyswojony automatycznie element podstawowej wiedzy. Krzyczało się, groziło, potem odciągało kurek, a ludzie zaczynali mówić.

– Gdzie jest moja córeczka! – wrzasnął.

Odciągnął kurek pistoletu.

Reakcja była natychmiastowa: ostre, powtarzalne grzmoty jak przy zerwaniu zaworu wysokociśnieniowego, tylko znacznie głośniejsze. Zatoczył się do tyłu i prawie upuścił pistolet. Czyżby niechący strzelił? Ale nie, jego palec nie dotknął spustu. W powietrzu rozeszła się ostra, kwaśna woń. Kobieta z pizzą zniknęła. Nie, nie zniknęła. Leżała na ziemi. Coś strasznego stało się z jej szczęką. Kiedy na nią patrzył, zniszczone usta poruszyły się, jakby próbowała coś mówić. Praks słyszał tylko wysoki pisk i

zaczął się zastanawiać, czy pękły mu bębenki w uszach. Kobieta z rozwaloną szczęką drżąc wciągnęła powietrze, a potem przestała się ruszać. Z dziwnym uczuciem oderwania zauważył, że wyciągnęła pistolet. Wciąż zaciskała na nim dłoń. Nie był pewien, kiedy to zrobiła. Urządzenie odtwarzające muzykę przełączyło się na inną piosenkę, która tylko słabo przedzierała się przez dzwonienie w uszach.

– Nie zastrzeliłem jej – powiedział. Jego głos brzmiał tak, jakby był w częściowej próżni i powietrze było zbyt rzadkie, by przenosić dźwięki. Ale oddychał. Znowu zaczął się zastanawiać, czy wystrzały rozerwały mu bębenki uszu. Rozejrzał się. Wszyscy zniknęli. Został w pokoju sam. A raczej nie, pochowali się. Dotarło do niego, że może też powinien się schować. Tylko że nikt nie strzelał, a on nie bardzo wiedział, gdzie się schować.

Głos Holdena wydawał się docierać z dużej odległości.

– Amos?

– Tak, kapitanie?

– Czy mógłbyś mu odebrać pistolet?

– Już się robi.

Amos wyłonił się zza pudeł stojących pod ścianą. Na jego marsjańskim pancerzu zobaczył długą krechę przez pierś i dwa białe kółka tuż pod żebrami. Amos pokuśtykał w jego stronę.

– Przepraszam, doktorku. Pomyliłem się, dając ci go. Może następnym razem, co?

Praks popatrzył na otwartą dłoń wielkoluda, a potem ostrożnie położył na niej pistolet.

– Wendell? – odezwał się Holden.

Praks nie był pewien, gdzie jest, ale sądząc po głosie,

gdzieś bliżej. Może po prostu zaczynał odzyskiwać słuch. Ostra woń w powietrzu zaczęła ustępować czemuś bardziej miedzianemu. Kojarzyła mu się ze skwaśniałym kompostem: ciepły, organiczny i niepokojący zapach.

– Jeden leży – poinformował Wendell.

– Ściągniemy lekarza – odpowiedział Holden.

– Byłoby miło, ale nie warto – odpowiedział Wendell. – Dokończ misję. Dostaliśmy większość, ale dwóch albo trzech uciekło. Podniosą alarm.

Jeden z żołnierzy z Pinkwater wstał. Krwawił z lewego ramienia. Kolejny leżał na podłodze, praktycznie bez głowy. Pojawił się Holden. Masował sobie prawy łokieć, a na jego hełmie pojawiła się nowa blizna przy lewej skroni.

– Co się stało? – zapytał Praks.

– Wywołałeś strzelaninę – wyjaśnił Holden. – Dobra, ruszamy do przodu, zanim zorganizują obronę.

Praks zaczął zauważać pozostałe ciała. Kobiety i mężczyźni jedzący pizzę i słuchający muzyki. Mieli pistolety, ale ludzie Holdena byli uzbrojeni w karabiny szturmowe i automatyczne strzelby, a niektórzy nosili też pancerze o wojskowym wyglądzie. Różnica w wyniku starcia była ewidentna.

– Idź przodem, Amos – polecił Holden, a wielkolud wyszedł przez drzwi w nieznane.

Praks ruszył za nim, ale dowódca grupy z Pinkwater chwycił go za łokieć.

– Może zostaniesz ze mną, profesorze – zaproponował.

– Tak. Ja... dobrze.

Po drugiej stronie drzwi specyfika pomieszczeń uległa zmianie. Wciąż ewidentnie znajdowali się w starych tunelach Ganimesesa, na ścianach nadal widzieli

pajęczyny skamieniałego szronu, oświetlenie zapewniały starego typu diody LED, a na szarych ścianach było widać, gdzie lód topił się i zamarzał ponownie podczas jakiejś usterki klimatyzacji lata lub dziesięciolecia wcześniej. Jednak przejście przez te drzwi było niczym wkroczenie z krainy umarłych do kraju żywych. Powietrze było cieplejsze i pachniało ludźmi, świeżą glebą i delikatną, ostrą wonią środka dezynfekcyjnego z fenolem. Szeroki korytarz mógł być wspólnym przejściem dowolnego z tuzina laboratoriów, w których pracował Praks. Na dalszej ścianie widać było troje zamkniętych, metalowych drzwi typu biurowego, a przed nimi szczyrzyła się otwarta roleta bramy towarowej. Amos i Holden podeszli do zamkniętych drzwi, a Amos kopał kolejno każde z nich.

Gdy otworzyły się trzecie, Holden coś krzyknął, ale jego słowa zostały zagłuszone hukami strzałów z pistoletu i grzmotem strzelby Amosa.

Dwaj żołnierze Pinkwater ruszyli do przodu, przywierając do ściany po obu stronach bramy towarowej. Praks ruszył za nimi, ale Wendell zatrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu. Mężczyzna po lewej stronie bramy wystawił na chwilę głowę i zaraz ją schował. Pocisk wyrył bruzdę w ścianie bardzo blisko niego.

– Co dla mnie masz? – zapytał Holden i przez chwilę Praks myślał, że zwraca się do niego. Oczy Holdena były bardzo twarde, a grymas niezadowolenia wydawał się wyryty na jego skórze. Potem Naomi powiedziała coś, co wywołało jego uśmiech i teraz wyglądał już tylko na zmęczonego i smutnego. – Dobra. Mamy częściowy plan poziomu. Po drugiej stronie jest duża sala. Podłogę ma

jakieś dwa metry niżej, z wyjściami na naszej dziesiątej i pierwszej. Przypomina trochę duży dół, więc jeśli urządzili tam obronę, to mamy przewagę wysokości.

– To oznacza cholernie głupie miejsce na obronę – skomentował Wendell.

Rozległy się wystrzały i w metalowej roletce bramy pojawiły się trzy małe dziury. Ludzie z drugiej strony byli nerwowi.

– A jednak dowody sugerują... – powiedział Holden.

– Chcesz z nimi rozmawiać, kapitanie? – zapytał Amos. – Czy przechodzimy od razu do oczywistości?

Pytanie znaczyło coś więcej, niż Praks zrozumiał, tyle zdołał się zorientować. Holden zaczął coś odpowiadać, zawahał się, a potem kiwnął głową w stronę bramy.

– Załatwmy to – rzucił.

Holden i Amos podbiegli do bramy z Praksem i Wendellem tuż za nimi. W sali po drugiej stronie ktoś wykrzykiwał rozkazy. Praks zdołał wyłapać słowa *towar i ewakuacja*, po których jego serce zamarło. *Ewakuacja*. Nie mogli pozwolić, by ktokolwiek uciekł, zanim znajdą Mei.

– Naliczyłem siedmiu – powiedział jeden z żołnierzy Pinkwater. – Może być więcej.

– Jakież dzieci? – zapytał Amos.

– Żadnych nie widziałem.

– Pewnie powinniśmy spojrzeć jeszcze raz – skomentował Amos i wychylił się przez drzwi. Praks wstrzymał oddech, spodziewając się, że jego głowa rozpadnie się w deszczu pocisków, ale Amos już ją cofał, gdy rozległy się pierwsze strzały.

– Z czym mamy do czynienia? – zapytał Holden.

– Więcej niż siedmiu – odpowiedział Amos. – Używają

tego jako punktu obrony, ale facet ma rację. Albo nie wiedzą, co robią, albo mają tam coś, czego nie mogą zostawić.

– Czyli albo spanikowani amatorzy, albo mają do obrony coś o kluczowym znaczeniu – podsumował Holden.

Przez otwór bramy wtoczyła się z grzechotem metalowa puszka wielkości pięści. Amos niedbale podniósł granat i wrzucił go z powrotem za drzwi. Wybuch rozjarzył pomieszczenie i był głośniejszy niż cokolwiek, co Praks dotąd słyszał. Dzwonienie w jego uszach jeszcze przybrało na sile.

– Może jedno i drugie – krzyknął Amos spokojnym tonem gdzieś z bardzo daleka.

W pomieszczeniu za bramą coś się roztrzaskało. Rozległy się krzyki. Praks wyobraził sobie techników, takich jak ci z wcześniejszego pokoju, rozrywanych odłamkami ich własnego granatu. Jeden z żołnierzy z Pinkwater wyjrzał, zaglądając w gęsty dym. Zagrzechotał karabin automatyczny i żołnierz szybko się cofnął, trzymając się za brzuch. Spomiędzy palców płynęła krew. Wendell przepchnął się obok Praksa i klęknął przy rannym towarzyszu.

– Przepraszam, sir – powiedział mężczyzna. – Zrobiłem się nieostrożny. Zostawcie mnie tutaj, będę pilnował tyłów najdłużej, jak się da.

– Kapitanie Holden – odezwał się Wendell. – Jeśli mamy coś zrobić, to lepiej zrobmy to szybko.

Krzyki dobiegające zza bramy zrobiły się głośniejsze. Ktoś ryczał nieludzko. Praks zaczął się zastanawiać, czy trzymają tam jakieś zwierzęta. To, co słyszał, przypominało ryk rannego byka. Musiał zwalczyć

pragnienie osłonięcia uszu dłońmi. Stało się coś głośnego. Holden kiwnął głową.

– Amos. Zmiękczył ich trochę i wchodzimy.

– Tak jest, kapitanie – potwierdził Amos, opuszczając strzelbę. Odpiął od uprzęży dwa granaty, wyciągnął zawleczeni z różowego plastiku, poturlał granaty przez bramę i szybko zgarnął strzelbę. Podwójny wybuch był głębszy niż pierwszy, ale nie tak głośny. Jeszcze zanim zaniknęło jego echo, Amos, Holden, Wendell i ostatni pozostały żołnierz przebiegli przez bramę, strzelając.

Praks się zawahał. Był nieuzbrojony. Wróg był tuż za progiem. Mógł zostać tutaj i zaopiekować się postrzelonym w brzuch. Ale ciągle nie opuszczał go obraz nieruchomego ciała Katoa. Martwy chłopiec leżał mniej niż sto metrów stąd. A Mei...

Praks przebiegł przez bramę z opuszczoną głową. Holden i Wendell byli po prawej, Amos i ostatni żołnierz po lewej. Wszyscy czterej przykucnęli z bronią w gotowości. Dym drażnił oczy i nos Praksa, a wymienniki powietrza protestowały jękliwie, starając się oczyścić atmosferę.

– Proszę, proszę – odezwał się Amos. – Cholernie dziwne.

Pomieszczenie urządzone na dwóch poziomach: szeroki na półtora metra pomost wokół ścian i dolny poziom dwa metry niżej. Zobaczył szerokie przejście na godzinie dziesiątej na dolnym poziomie i otwarte drzwi na pierwszej na pomoście. Jama w dole była obrazem chaosu. Ściany umazane krwią, która miejscami trysnęła aż na sufit. Na ziemi trupy. Z ciał unosiły się cienkie strużki pary.

Próbowali chować się za sprzętem. Praks rozpoznał

mikrowirówkę rozbitą tak, że głowica prawie wypadła z obudowy. Wśród zmasakrowanych zwłok błyszczały kawały grubego na trzy centymetry szkła albo lodu. Dewar – zamrażarka azotowa – przewrócił się na bok, a kontrolka alarmu wskazywała zablokowanie. Potężna matryca do elektroforezy – o masie przynajmniej dwustu kilogramów – leżała pod niemożliwym kątem, jak dziecięca zabawka odrzucona w kąt.

– Co, u diabła, macie w tych granatach? – zapytał zdumionym głosem Wendell.

Z szerokiego przejścia na godzinie dziesiątej dobiegły wrzaski i wystrzały.

– To chyba nie jest nasze dzieło – odpowiedział Holden. – Chodźmy. Szybciej.

Zeskoczyli na dolny poziom. Stały tam roztrzaskane pozostałości szklanej skrzyni podobnej do tej, którą widzieli wcześniej. Krew pod nogami sprawiała, że było bardzo ślisko. W rogu leżała ręka wciąż zaciśnięta na pistolecie. Praks odwrócił wzrok. Mei tu była. Nie mógł się rozpraszać. Nie mógł poddać się mdłościom.

Szedł dalej.

Holden i Amos prowadzili w stronę odgłosów walki. Praks potruchtał za nimi. Gdy próbował zostać z tyłu, pozwolić Wendellowi i jego towarzyszowi iść przodem, ludzie z Pinkwater delikatnie pchnęli go przed siebie. Praks zrozumiał, że pilnują tyłów. Na wypadek, gdyby ktoś zaszedł ich z tej strony. Powinien był o tym pomyśleć.

Korytarz wyszedł na duże, choć niskie pomieszczenie. Obok palet z pokrytymi pianką skrzyniami stały przemysłowe mechy załadunkowe z bursztynowymi kontrolkami gotowości. Amos i Holden szli przez salę z

wyćwiczoną sprawnością, a próbujący za nimi nadążyć Praks szybko stracił oddech. Jednak stwierdził, że przy każdym zakręcie, każdych otwartych drzwiach pragnie, by poruszali się jeszcze szybciej. Była tu, musieli ją odnaleźć. Zanim ktoś ją skrzywdzi. Zanim coś się stanie. I z każdym znalezionym ciałem coraz głębiej ogarniało go przekonanie, że coś już się stało.

Szybko sunęli do przodu. Za szybko. Gdy dotarli do końca – śluzę wysokiej na cztery metry i szerokiej przynajmniej na siedem – Praks nie mógł uwierzyć, że ktoś może za nią być. Amos pozwolił swojej automatycznej strzelbie zwisać z taśmy na ramieniu, a sam zajął się panelem sterowania. Holden zmrużył oczy, wpatrując się w sufit, jakby coś było tam napisane. Ziemia zadrżała, a ukryta baza zaczęła trzeszczeć.

– Czy to był start? – zapytał Holden. – To był start!

– Tak – potwierdził Amos. – Wygląda na to, że mają tam platformę startową. Ale monitory nie pokazują na niej niczego innego. Cokolwiek tam było, właśnie stąd odleciało.

Praks usłyszał czyjś krzyk. Dopiero po chwili zrozumiał, że krzyczy on sam. Rzucił się do zamkniętych metalowych drzwi i zaczął w nie uderzać, mając wrażenie, jakby obserwował swoje ciało ruszające się poza jego kontrolą. Ona tam była. Tam, tuż za drzwiami, na statku odlatującym z Ganimedesa. Czuł ją, jakby miała linę przywiązaną do jego serca, a każda chwila rozciągała ją trochę bardziej.

Na moment stracił przytomność. A może na trochę dłużej. Gdy się ocknął, zwisał z szerokiego ramienia Amosa, a jego pancerz wbijał mu się w brzuch. Uniósł

głowę i zobaczył, jak śluza powoli zostaje za nimi.

– Postaw mnie – powiedział.

– Nie mogę – odparł Amos. – Kapitan mówi...

Zabrzmiał grzechot karabinu szturmowego i Amos rzucił Praksa na ziemię, rozciągając się nad nim ze strzelbą w gotowości.

– Co, do kurwy, kapitanie? – zapytał Amos.

Praks zerknął akurat na czas, by zobaczyć jak żołnierz Pinkwater pada, tryskając krwią z ran na plecach. Wendell leżał na ziemi, strzelając za róg.

– Kogoś ominęliśmy – wyjaśnił Holden. – Albo wezwali kolegów.

– Nie strzelajcie do nich – poprosił Praks. – Tam może być Mei! Co, jeśli mają ją ze sobą?

– Nie mają, doktorcu – zapewnił Amos. – Zostań na ziemi.

Holden krzyczał, wylewając słowa zbyt szybko, by za nimi nadążyć.

Praks nie wiedział, czy mówi do Amosa, Wendela czy może do Naomi na statku. To mogło być każde z nich. Wszyscy. Zza rogu wyszło czterech ludzi z bronią. Mieli na sobie takie same kombinezony jak pozostali. Jeden miał długie, czarne włosy i kozią bródkę, z drugiego brzegu grupy szła kobieta o skórze koloru śmietany. Dwóch w środku mogło być braćmi – takie same, krótko ścięte, ciemne włosy, identyczne długie nosy.

Praks usłyszał dwa wystrzały strzelby. Wszyscy czworo padli. Wyglądało to jak scena z komedii. Osiem nóg podciętych równocześnie. Czworo ludzi, których Praks nigdy nie znał, nigdy nie poznał, po prostu padło. Tak nagle polegli. Wiedział, że już nigdy nie wstaną.

– Wendell? – zapytał Holden. – Raport?

– Caudel nie żyje – odpowiedział Wendell. W jego głosie nie było słycać smutku. Nie było żadnych uczuć. – Chyba złamałem sobie nadgarstek. Ktoś wie, skąd tu przyszli?

– Nie – odpowiedział Holden. – Ale przyjmijmy, że byli sami.

Wracali tą samą drogą przez długie, szerokie korytarze. Obok ciał kobiet i mężczyzn, których nie zabili, choć i tak byli martwi. Praks nie próbował już powstrzymywać łez. To nie miało sensu. Wystarczyło, że potrafił zmuszać nogi do pracy, stawiając na zmianę jedną przed drugą.

Do zakrwawionego dołu dotarli po kilku minutach, godzinie albo po tygodniu. Nie potrafił tego określić, a wszystkie te opcje wydawały się tak samo możliwe. Rozerwane ciała śmierdziały, rozlana krew stężała do konsystencji galaretki, a otwarte jelita uwalniały kolonie bakterii zwykle hodowanych w środku. Na pomoście w górze stała kobieta. Jak miała na imię? Paula. Tak.

– Czemu nie jesteś na stanowisku? – warknął na jej widok Wendell.

– Guthrie wołał o wsparcie. Powiedział, że został postrzelony w brzuch i za chwilę zemdleje. Przyniosłam mu adrenalinę i amfę.

– Dobra decyzja – zgodził się Wendell.

– Uchi i Caudel?

– Nie przeżyli.

Kobieta kiwnęła głową, ale Praks zobaczył, że mocno to odczuła. Wszyscy tutaj kogoś tracili. Jego tragedia była tylko jedną z dziesiątków. Setek. Tysięcy. Zanim kaskada skończy się rozwijać, może milionów. Gdy liczba ofiar osiąga takie wartości, przestają one cokolwiek znaczyć.

Oparł się o dewar z azotem i schował głowę w dłoniach. Był tak blisko. Tak blisko...

– Musimy znaleźć ten statek – odezwał się.

– Musimy się wycofać i przemyśleć to wszystko – odpowiedział Holden. – Przyszliśmy tu szukać zaginionego dzieciaka, a znaleźliśmy prawie spakowaną i gotową do wywiezienia tajną bazę naukową. I tajne lądowisko. Oraz trzecią stronę, która walczyła z tymi ludźmi dokładnie wtedy, kiedy i my.

– Trzecią stronę? – zapytała Paula.

Wendell wskazał na zmasakrowane szczątki.

– To nie my – powiedział.

– Nie mamy pojęcia, na co tu trafiliśmy – przyznał Holden. – I musimy się wycofać do czasu, aż się tego dowiemy.

– Nie możemy przestać – zaprotestował Praks. – Ja nie mogę. Mei jest...

– Prawdopodobnie martwa – rzucił Wendell. – Dziewczynka zapewne nie żyje. A jeśli żyje, to jest gdzieś poza Ganimesem.

– Bardzo mi przykro – powiedział Holden.

– Martwy chłopiec – przypomniał Praks. – Katoa. Jego ojciec zabrał rodzinę z Ganimesa, gdy tylko mógł. Zabrał ich w bezpieczne miejsce. Gdzieś indziej.

– Mądre posunięcie – skomentował Holden.

Praks obejrzał się na Amosa, szukając wsparcia, ale wielkolud grzebał wśród zniszczeń, ostentacyjnie nie stając po żadnej stronie.

– Chłopiec żył – powiedział Praks. – Basia mówił, że wie, że on nie żyje i spakował się, i odleciał, ale kiedy wszedł na tamten statek, jego syn był tutaj. W tym laboratorium. I

jeszcze żył. Więc nie mówcie mi, że Mei prawdopodobnie nie żyje.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Nie róbcie tego – znowu odezwał się Praks.

– Kapitanie? – zapytał Amos.

– Chwileczkę – rzucił Holden. – Praks, nie zamierzam mówić, że wiem, przez co przechodzisz, ale ja też mam ludzi, których kocham. Nie mogę ci powiedzieć, co masz robić, ale pozwól, że poproszę – *poproszę* cię – o zastanowienie się, jaka strategia będzie dla ciebie najlepsza. I dla Mei.

– Kapitanie – przypomniał się Amos. – Poważnie, powinieneś na to spojrzeć.

Amos stał przy rozbitej szklanej skrzyni. Strzelba wisiała na ramieniu, zapomniana. Holden podszedł do jego boku i podążył za spojrzeniem do zniszczonego pojemnika. Praks odepchnął się od dewara z azotem i dołączył do nich. Do fragmentu wciąż stojącej w pionie grubej szyby przywarła sieć cienkich czarnych włókien. Praks nie potrafił stwierdzić, czy to sztuczny polimer, czy substancja naturalna. Jakaś sieć. Choć miała fascynującą strukturę. Wyciągnął do niej rękę, ale Holden złapał go za nadgarstek i szarpnął do tyłu tak mocno, że zabolalo.

Gdy Holden się odezwał, mówił odmierzonym spokojnym głosem, co tylko uczyniło kryjącą się za nim panikę jeszcze bardziej przerażającą.

– *Naomi, przygotuj statek. Musimy odlecieć z tego księżyca. I to natychmiast.*

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Avasarala

– Co o tym sądzisz? – zapytał sekretarz generalny z lewego górnego rogu wyświetlacza. W prawym górnym Errinwright nachylił się centymetr do przodu, gotów interweniować, gdyby ją poniosły nerwy.

– Czytał pan raport, sir – odpowiedziała słodko Avasarala.

Sekretarz generalny machnął ręką w leniwym kręgu. Miał niewiele ponad sześćdziesiątkę i nosił swój wiek z elfim wdziękiem człowieka niedbającego o takie drobiazgi. Lata, podczas których Avasarala wspinała się ze stanowiska skarbnika funduszu pracowniczego do fotela gubernatora Okręgu Społecznego Maharshata–Karnataka–Goa, on spędził jako więzień polityczny w więzieniu o obniżonym rygorze w niedawno odtworzonych, andyjskich lasach. Powolne żarna władzy wyniosły go na sam szczyt, nadając mu status celebryty, a jego zdolność do pozorowania słuchania nadawała mu aurę powagi bez niewygodnych własnych poglądów. Gdyby podjęto próbę genetycznego stworzenia idealnego figuranta rządowego, i tak nie osiągnięto by ideału, jakim był sekretarz generalny Esteban Sorrento–Gillis.

– Raporty polityczne nigdy nie zawierają tego, co najważniejsze – odpowiedział pustogłowy. – Powiedz, co

ty o tym myślisz.

Myślę, że nie przeczytałeś pieprzonych raportów, pomyślała Avasarala. Chociaż akurat ja nie mogę rzucać kamieniem. Odchrząknęła.

– To wszystko pozorowanie, żadnych poważnych ruchów, sir – odpowiedziała Avasarala. – Gracze są na najwyższym poziomie. Michel Undawe, Carson Santiseverin, Ko Shu. Ściągnęli ze sobą dość wojskowych, by pokazać, że to nie tylko wybierani figuranci, ale jak dotąd jedyną osobą, która powiedziała coś ciekawego, była ta marine, którą sprowadzili do ozdoby. Poza tym wszyscy czekamy, aż ktoś wreszcie powie coś znaczącego.

– A co na temat – sekretarz generalny urwał i przyciszył głos – *alternatywnej hipotezy?*

– Na Wenus coś się dzieje – przyznała Avasarala. – Ale wciąż nie wiemy, co to znaczy. W ciągu ostatnich czternastu godzin na półkuli północnej doszło do potężnego wypływu żelaza. Nastąpiła też seria wybuchów wulkanicznych. Ponieważ na planecie brak jakiegokolwiek aktywności tektonicznej, zakładamy, że protomolekuła robi coś z płaszczem, ale nie wiemy co. Mózgowcy stworzyli model statystyczny, prezentujący szacunkowy wydatek energetyczny oczekiwany dla obserwowanych zmian. Model sugeruje, że ogólny poziom aktywności rósł o około trzysta procent rocznie w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy.

Sekretarz generalny z poważnym wyrazem twarzy pokiwał głową. Wyglądało to prawie tak, jakby rozumiał, co Avasarala do niego mówi. Errinwright odkaslnęła.

– Czy mamy jakieś dowody łączące aktywność na Wenus ze zdarzeniami na Ganimedesie?

– Owszem – potwierdziła Avasarala. – Nietypowy skok mocy równocześnie z atakiem na księżycu. Ale to tylko jeden punkt danych, to mógł być przypadek.

W tle z połączenia sekretarza generalnego dało się słyszeć kobiecy głos, a on kiwnął głową.

– Obawiam się, że wzywają mnie obowiązki – powiedział. – Świetnie się spisujesz, Avasarala. Naprawdę bardzo dobrze.

– Nie potrafię powiedzieć, jak wiele dla mnie znaczy pańskie uznanie, sir – odpowiedziała z uśmiechem. – Zwolniłby mnie pan.

Sekundę później sekretarz generalny wybuchnął śmiechem i pogroził jej palcem do ekranu, a po chwili zniknął i pojawiła się informacja o rozłączeniu. Errinwright odsunął się od kamery z palcami przy skroniach. Avasarala podniosła filiżankę z herbatą i napiła się z uniesionymi brwiami i spojrzeniem skierowanym do kamery, zapraszając go tym samym do skomentowania rozmowy. Herbata wciąż jeszcze była za gorąca.

– No dobrze – powiedział w końcu Errinwright. – Wygrałaś.

– Postawimy go przed sądem?

Tym razem się roześmiał. Gdziekolwiek był, za oknami rozciągał się mrok, czyli znajdował się po tej stronie planety co ona. Fakt, że dla obojga był wieczór, sprawił, że spotkanie nabrało wrażenia bliskości i intymności, co wynikało przede wszystkim z jej zmęczenia.

– Czego potrzebujesz do rozwiązania sytuacji z Wenus? – zapytał.

– Rozwiązania?

– Źle dobrane słowa – zgodził się. – Od samego początku miałaś oko na Wenus. Pilnowałaś spokoju z Marsjanami. Hamowałaś Nguyena.

– Och, zauważyłaś?

– Te rozmowy są przeciągane, a ja nie mam zamiaru tracić czasu na impas. Potrzebujemy jasnej sytuacji, i to na miesiąc temu. Możesz prosić zasoby, o jakie tylko chcesz, Chrisjen, ale wyklucz Wenus albo zdobądź nam dowód. Daję ci w tej sprawie wolną rękę.

– W końcu emerytura – skomentowała ze śmiechem. Ku jej zaskoczeniu Errinwright potraktował te słowa poważnie.

– Jeśli chcesz, ale najpierw Wenus. To najważniejsze pytanie, jakie zadał ktokolwiek z nas. Ufam ci.

– Zajmę się tym – zapewniła. Errinwright kiwnął głową i rozłączył się.

Nachyliła się do przodu nad biurkiem, przyciskając palce do warg. Coś się stało. Coś się *zmieniło*. Albo Errinwright przeczytał na temat Wenus tyle, że w końcu się nią naprawdę przejął, albo ktoś chciał ją odsunąć od negocjacji z Marsem. Ktoś z dostatecznymi wpływami, by skłonić Errinwrighta do awansowania jej. Czy Nguyen miał aż tak potężnych patronów?

Owszem, dostała to, czego chciała. W końcu sama powiedziała – i mówiła całkowicie poważnie – że nie mogła odmówić tego projektu, ale sukces miał gorzki smak. Może dopatrywała się w tym zbyt wiele. Bóg wiedział, że nie sypiała dość, a zmęczenie wzbudzało w ludziach paranoję. Sprawdziła godzinę. Dwudziesta druga. Tego wieczora nie zdąży już do Arjuna. Kolejny poranek w ponurych pokojach dla VIP-ów, picie słabej

kawy i udawanie, że interesuje ją to, co ambasador Autonomicznej Strefy Pashwiri sądzi na temat muzyki tanecznej.

Pieprzyć to, pomyślała. Muszę się napić.

* * *

Bar Dasihari Lounge obsługiwał pełny zakres złożonego organizmu, jakim była Organizacja Narodów Zjednoczonych. Przy barze do światła nachylali się młodzi asystenci i urzędniczki, śmiejąc się za głośno i udając, że są ważniejsi niż byli w rzeczywistości. Uprawiali taniec godowy tylko odrobinę bardziej szlachetny niż wystawianie tyłka przez mandryle, ale na swój sposób było to ujmujące. Była między nimi Roberta Draper, marsjańska marine, którą Avasarala widziała dziś rano przy stole obrad. Teraz Draper siedziała przy barze ze szklanką piwa, nienaturalnie małą w jej dużych dłoniach, a jej twarz wyrażała rozbawienie. Pewnie bywał tu Soren, jeśli nie teraz, to przy innych okazjach. Gdyby sytuacja potoczyła się inaczej, prawdopodobnie byłby między nimi i jej syn.

Na środku sali ustawiono stoły z wbudowanymi terminalami, które odbierały zaszyfrowane informacje z tysięcy źródeł. Osłony prywatności nawet kelnerkom nie pozwalały zajrzeć przez ramię średniej rangi administratorom wypijającym kolację przy pracy. W głębi sali ustawiono w boksach stoły z ciemnego drewna, rozpoznały ją, zanim przy nich usiadła. Gdyby ktoś nieposiadający odpowiedniego statusu podszedł zbyt blisko, na spotkanie wyszedłby mu dyskretny młody człowiek z doskonale ułożonymi włosami i przekierował

go do innego stołu, z mniej ważnymi ludźmi.

Avasarala popijała dżin z tonikiem, czekając, aż wątki wniosków ułożą się w jakiś wzór. Nguyen nie mógł mieć dość wpływów, by nastawić przeciw niej Errinwrighta. Czy Marsjanie mogli poprosić o jej usunięcie? Próbowwała sobie przypomnieć, wobec kogo była nieuprzejma i w jaki sposób, ale nie przyszedł jej go głowy żaden podejrzany. Zresztą, nawet gdyby tak było, co mogła z tym zrobić?

Cóż, skoro nie mogła oficjalnie uczestniczyć w negocjacjach z Marsjanami, mogła przynajmniej nawiązać nieoficjalne kontakty. Avasarala zaczęła chichotać, jeszcze zanim zrozumiała powód własnego śmiechu. Wzięła swoją szklankę, postukała w stół, by dać mu znać, że może przyjąć kogoś innego i ruszyła przez bar. Muzykę tworzyły ciche apreggio w supernowoczesnej skali tonowej, co wbrew sobie brzmiało kojąco. Powietrze pachniało perfumami zbyt kosztownymi, by stosować je bez wyczucia. Zauważyła, że gdy zbliżyła się do baru, ucichły rozmowy, ambitna młodzież wymieniła tylko między sobą spojrzenia. *Starucha*, wyobraziła sobie ich szept. *Co na tu robi?*

Usiadła obok Draper. Wielka kobieta obejrzała się na nią. Błysk w jej oczach świadczył o tym, że rozpoznała Avasaralę. Mogła nie wiedzieć, kim jest Avasarala, ale domyśliła się jej statusu. Czyli bystra. Spostrzegawcza. I cholera jasna, kobieta była olbrzymia. Nie tłusta, tylko po prostu... *duża*.

– Mogę pani postawić drinka, sierżancie? – zapytał Avasarala.

– Już wypiliśmy kilka za dużo – odpowiedziała zapytana. Ale po chwili dodała: – W porządku.

Avasarala uniosła brew, a barman cicho podał marinę kolejną szklanekę tego, co piła wcześniej.

– Wywarła pani dzisiaj spore wrażenie – stwierdziła Avasarala. – Owszem – zgodziła się Draper. Wydawała się tym dziwnie nieprzejęta. – Thorsson zamierza mnie odesłać. Nic tu po mnie, więc lepiej się mnie pozbyć.

– Słusznie. I tak udało się pani osiągnąć to, czego od pani chcieli. Draper spojrzała na nią z góry. Avasarala domyśliła się polinezyjskiego pochodzenia. Może samoańskiego. Gdzieś, gdzie ewolucja wyprodukowała ludzi jak góry. Zmrużyła oczy i pojawił się w nich ogień. Gniew.

– Gównno mnie to obchodzi.

– Była tam pani. Tylko tego od pani potrzebowali.

– Ale po co?

– Chcieli mnie przekonać, że ten potwór nie był ich dziełem. Jednym z ich argumentów było twierdzenie, że ich żołnierze – czyli pani – nie wiedzieli o nim. Sprowadzając panią, pokazali, że nie boją się tego zrobić. To wszystko, czego potrzebowali. Mogła pani siedzieć cały dzień z palcem w tyłku i spierać się o drobiazgi. Dla nich byłoby to równie skuteczne. Chcieli panią pokazać.

Marinę wysłuchała wszystkiego, a potem uniosła brew.

– Nie podoba mi się to – skomentowała.

– Cóż – stwierdziła Avasarala. – Thorsson to pizda, ale jeśli tylko dlatego przestanie pani pracować z politykami, nie będzie pani miała żadnych przyjaciół.

Marinę zaśmiała się cicho. Potem głośno. A potem, widząc spojrzenie Avasarali, spoważniała.

– To coś, co zabiło pani przyjaciół... – powiedziała Avasarala, patrząc marinę w oczy. – To nie było też nic

mojego.

Draper ostro wciągnęła powietrze. Wyglądało to tak, jakby Avasarala dotknęła rany. Co miało sens, bo właśnie to zrobiła. Draper przez chwilę ruszała szczęką.

– To nie było też nasze.

– No cóż. Przynajmniej tyle sobie wyjaśniliśmy.

– Ale to w niczym pani nie pomoże. Oni nic nie zrobią, nie będą o niczym rozmawiać. To ich nie obchodzi. Wie pani co? Nie obchodzi ich, co się tam stało, jak długo wszyscy mogą chronić swoje kariery i dopilnować, żeby równowaga władzy nie przesunęła się w niewłaściwą stronę. Nikogo nie *obchodzi*, czym było to coś ani skąd się tam wzięło.

Bar wokół nich nie ucichł, ale napięcie rozmów spadło. Taniec godowy był teraz dopiero drugą najciekawszą rzeczą w sali.

– Mnie obchodzi – powiedziała cicho Avasarala. – Prawdę mówiąc, właśnie udzielono mi bardzo dużo swobody, żebym mogła się dowiedzieć, czym było to coś.

Co nie było do końca prawdą. Otrzymała olbrzymi budżet w celu potwierdzenia lub wykluczenia udziału Wenus. Co w sumie nie było odległe i umożliwiło jej uzyskanie tego, czego chciała.

– Naprawdę? – zapytała Draper. – To co pani zrobi?

– Po pierwsze zatrudnię ciebie. Potrzebuję łącznika z marsjańskimi wojskowymi. To powinnaś być ty. Poradzisz sobie?

Teraz nikt już nie rozmawiał, sala równie dobrze mogła być pusta. Jedynymi dźwiękami były cicha muzyka i śmiech Draper. Obok nich przeszedł starszy mężczyzna pachnący wodą kolońską z goździkami i cynamonem,

przyciągnął go rozgrywający się tu cichy spektakl.

– Jestem marsjańską marinę – przypomniała Draper. – Marsjanka. Pani jest z ONZ. Ziemia. Nie jesteśmy nawet obywatelkami tej samej planety. Nie może mnie pani zatrudnić.

– Nazywam się Chrisjen Avasarala. Popytaj o mnie.

Przez chwilę obie milczały.

– Jestem Bobbie – powiedziała w końcu Draper.

– Milo cię poznać, Bobbie. Pracuj dla mnie.

– Mogę się nad tym zastanowić?

– Oczywiście – zapewniła Avasarala i poleciła swojemu terminalowi przesłać Bobbie swój prywatny numer. – Pod warunkiem, że kiedy skończysz, przyjdiesz dla mnie pracować.

* * *

W apartamentach dla VIP-ów Avasarala włączyła rodzaj muzyki, której o tej porze mógł słuchać Arjun. Jeśli jeszcze nie spał. Stłumiła chęć zadzwonienia do niego. Było już bardzo późno, a ona była na tyle pijana, że mogła się rozkleić. Nie chciała przyzwyczajając się do wypłakiwania się do terminala na temat tego, jak bardzo kocha swojego męża. Zdjęła sari i wzięła długi, gorący prysznic. Niechętnie pijała alkohol. Zwykle nie podobało się jej, jak stępiał umysł. Tego wieczora wydawał się ją rozluźnić, zapewnił mózgowi odrobinę dodatkowego dystansu pozwalającego dostrzec powiązania.

Draper zapewniała jej połączenie z Marsem, nawet jeśli nie z codziennym mozolnym przebiegiem negocjacji. Co było dobrym początkiem. Będą też inne powiązania. Fostera w obsłudze danych można było kupić. Będzie

musiała kierować przez niego więcej pracy. Zbudować związek. Nie mogła przecież wmaszerować do jego biura i zażądać stania się jego najlepszą przyjaciółką tylko dlatego, że kierował obsługą szyfrowania dla Nguyena. Najpierw kilka niezobowiązujących przysmaków. Potem haczyk. Kogo jeszcze mogła...

Jej ręczny terminal wyemitował sygnał priorytetowego alarmu. Wyłączyła wodę i chwyciła szlafrok, przed odebraniem połączenia owinęła się nim ciasno i zawiązała podwójnie pasek. Dawno przekroczyła wiek, w którym mogła błysnąć komuś piersią przez ręczny terminal, niezależnie od tego, jak była pijana. Połączenie przyszło od kogoś w priorytetowym monitoringu. Na ekranie zobaczyła mężczyznę w średnim wieku z niepasującymi mu bokobrodami.

– Ameer! Ty stary draniu. Czym tak podpadłeś, że zmusili cię do pracy o tej porze?

– Przeniosłem się do Atlanty, panienko – odpowiedział analityk z szerokim uśmiechem. Był jedynym człowiekiem mówiącym do niej *panienko*. Nie rozmawiała z nim od trzech lat. – Właśnie wróciłem z lunchu i zauważyłem nieplanowany raport oznakowany dla ciebie. Do natychmiastowego przekazania. Próbowałem połączyć się z twoim asystentem, ale nie odpowiedział.

– Jest młody, wciąż jeszcze czasem sypia. Taka słabość. Poczekaj, ustawię zabezpieczenia.

Chwila przyjaznych pogaduszek minęła. Avasarala nachyliła się i dwukrotnie stuknęła ekran ręcznego terminala, włączając dodatkowe szyfrowanie. Czerwona ikonka zmieniła kolor na zielony.

– Mów.

– To z Ganimedesa, panienko. Kazałaś monitorować Jamesa Holdena.

– Tak?

– Jest w ruchu. Najwyraźniej spotkał się z miejscowym naukowcem, Mengiem.

– Kim jest ten Meng?

Ameer w Atlancie gładko wywołał inny plik.

– Botanikiem. Wyemigrował na Ganimedesa z rodziną, gdy był jeszcze dzieckiem. Tam się uczył. Specjalizuje się w niskociśnieniowych odmianach soi, wymagających słabego światła. Rozwiedziony, jedno dziecko. Brak znanych powiązań z SPZ lub jakkolwiek partią polityczną.

– Mów dalej.

– Holden, Meng i Burton opuścili statek. Są uzbrojeni i weszli w kontakt z małą grupą ludzi z prywatnej ochrony. Pinkwater.

– Ilu?

– Miejscowy analityk nie podał tej informacji, panienko. Mały oddział. Mam przesłać zapytanie?

– Jakie mamy opóźnienie?

Spojrzenie brązowych oczu Ameera przeskoczyło na moment w bok.

– Czterdzieści jeden minut, osiem sekund.

– Poczekaj z pytaniem. Jeśli będę miała jeszcze jakieś, będzie można je wysłać razem.

– Miejscowy analityk zgłosił, że Holden negocjował z ochroniarzami: albo były to zmiany kontraktu w ostatniej chwili, albo to spotkanie było improwizowane. Wygląda na to, że doszli do jakiegoś porozumienia. Cała grupa skierowała się do kompleksu nieużywanych korytarzy i

dokonała siłowego wejścia.

– Do czego?

– Nieużywanych korytarzy, panienko.

– Co to ma, kurwa, znaczyć? Jaki duży kompleks? Gdzie są?

– Mam przesłać zapytanie?

– Powinieneś polecieć na Ganimedesa i skopać jaja tego niewydarzonego pseudoanalityka. Dodaj żądanie szczegółowych informacji.

– Tak, panienko – potwierdził Ameer z delikatnym uśmiechem. A potem nagle spoważniał. – Chwila, mam aktualizację.

Czyli SPZ miał coś na Ganimesie. Może coś, co tam umieścili, może coś znaleźli. W każdym razie tajemnicze drzwi czyniły sytuację odrobinę ciekawszą. Podczas gdy Ameer czytał i przetwarzał aktualizację, Avasarala drapała się po wierzchu dłoni i spróbowała na nowo ocenić sytuację. Sądziła, że Holden był tam tylko obserwatorem. Zbierał dane. Co mogło być błędem. Jeśli poleciał na spotkanie z tym Praksidikem Mengiem, kompletnie niewyróżniającym się botanikiem, SPZ mógł już wiedzieć całkiem sporo o potworze Bobbie Draper. Dodać do tego fakt, że szef Holdena dysponował jedyną znaną próbką protomolekuły – i obraz sytuacji na Ganimesie zaczynał się rysować w innym świetle.

Choć były w nim dziury. Jeśli SPZ bawił się z protomolekułą, nic więcej na to nie wskazywało, a profil psychologiczny Freda Johnsona nie pasował do ataków terrorystycznych. Johnson był typem starej szkoły, a napaść potwora była zdecydowanie czymś nowym.

– Doszło do strzelaniny, panienko. Holden i jego ludzie

trafili na zbrojny opór. Ustanowili stanowiska obronne. Miejscowy analityk nie może się zbliżyć.

– Opór? Te tunele rzekomo miały być nieużywane. Do kogo oni tam, kurwa, strzelają?

– Mam przesłać zapytanie?

– Niech to *szlag*!

Czterdzieści minut świetlnych stąd działo się coś ważnego, a ona siedziała tu, w cudzej sypialni, próbując coś zrozumieć przez przystawianie ucha do ściany. Frustracja wpływała na nią fizycznie. Przypominała bycie miażdżonym.

Czterdzieści minut w jedną stronę. Czterdzieści minut z powrotem. Cokolwiek powiedziała, jakikolwiek wyda rozkaz, o wyniku dowie się za półtorej godziny, podczas gdy sytuacja ewidentnie dynamicznie się rozwijała.

– Aresztujcie go – poleciła. – Holdena, Burtona. Ich kumpeli z Pinkwater. I tego tajemniczego botanika. Zamknijcie wszystkich. Już.

Ameer w Atlancie znieruchomiał.

– Jeśli walczą, panienko...

– To wyślij psy, niech ich rozdziela i aresztują. Skończyło się monitorowanie. Zrób to.

– Tak, panienko.

– Skontaktuj się ze mną, gdy rozkaz zostanie wykonany.

– Tak, panienko.

Przyglądała się twarzy Ameera, gdy wpisywał rozkaz, potwierdzał go i wysyłał. Praktycznie mogła sobie wyobrazić ekran, ruchy jego palców. W duchu go popędzała, chciała, by jej polecenia leciały szybciej od prędkości światła i wszystko zostało wykonane.

– Rozkaz wysłany. Skontaktuję się z tobą, gdy tylko

dostanę wiadomość od miejscowego analityka.

– Będę czekać. Jeśli nie odbiorę, próbuj ponownie, aż się obudzę.

Rozłączyła się i wyprostowała. Jej mózg zachowywał się w tym momencie jak rój pszczół. James Holden znowu zmienił reguły gry. Chłopak miał do tego talent, ale to samo w sobie robiło z niego znaną zmienną. Z drugiej strony ten Meng był całkowitą niewiadomą. Mógł być tajnym agentem, ochotnikiem lub faszerowaną owcą podstawioną SPZ na przynętę. Pomyślała o zgaszeniu światła i próbie spania, ale uznała, że nic z tego nie wyjdzie.

Zamiast tego połączyła się z bazą danych wywiadu ONZ. Minie przynajmniej półtorej godziny, zanim usłyszy coś nowego, mogła w tym czasie spróbować się dowiedzieć, kim jest Praksidike Meng i dlaczego ma znaczenie w tej grze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Holden

– Naomi, przygotuj statek. Musimy odlecieć z tego księżyca. *I to natychmiast.*

Wszędzie wokół Holdena rozciągały się czarne włókna, ciemna pajęczyna z nim w samym środku. Znowu był na Erosie. Widział tysiące ciał zmienionych w coś innego. Myślał, że udało mu się uciec, ale Eros ciągle wracał. Wydostali się z niego z Millerem, ale on i tak dopadł detektywa.

Teraz wracał po niego.

– O co chodzi, Jim? – zapytała Naomi z oddali z głośnika skafandra. – Jim?

– Przygotuj statek!

– To ten syf – wyjaśnił Amos. Mówił do Naomi. – Jak na Erosie. – Jezu, oni... – zdołał wydyszeć Holden, zanim strach wezbrał w nim do tego stopnia, że odebrał mu mowę. Jego serce waliło o żebra, jakby chciało się wyrwać, i musiał sprawdzić poziom tlenu na wyświetlaczu. Miał wrażenie, że w pomieszczeniu nie ma dość powietrza.

Wydawało mu się, że kątem oka widzi, jak coś sunie po ścianie, coś jak oderwana od ciała dłoń, ciągnąc za sobą smugę brązowego śluzu. Gdy się gwałtownie odwrócił i wycelował w nią z karabinu, ręka okazała się tylko plamą

na odbarwionym kawałku lodu.

Amos ruszył ku niemu z troską rysującą się na szerokiej twarzy. Holden odesłał go machnięciem ręki, a potem oparł kolbę karabinu na ziemi i przysiadł na pobliskiej skrzyni, by złapać oddech.

– Pewnie powinniśmy się stąd zbierać – odezwał się Wendell. Razem z Paulą pomagał mężczyźnie postrzelonemu w brzuch.

Ranny miał trudności z oddychaniem. Z lewej strony jego nosa utworzył się mały, czerwony pęcherzyk krwi, rosnąc i malejąc wraz z każdym jego chrapliwym oddechem.

– Jim? – W jego uchu zabrzmiał łagodny głos Naomi. – Jim, widziałam to przez kamerę skafandra Amosa i wiem, co to znaczy. Przygotowuję statek. Ten zaszyfrowany ruch w sieci lokalnej – jego natężenie bardzo zmalało. Chyba wszyscy stamtąd uciekli.

– Wszyscy uciekli – powtórzył Holden.

Pozostałości zespołu Pinkwater patrzyły na niego z niepokojem zmieniającym się powoli w strach, ulegli jego przerażeniu, choć nie mieli pojęcia, co znaczyły te czarne włókna. Chcieli, żeby coś zrobił, a on wiedział co, tylko nie do końca potrafił o tym pomyśleć. Czarna pajęczyna wypełniła jego głowę błyskami obrazów przemykających zbyt szybko, by miały jakiś sens, jak nagranie wideo odtwarzane ze zbyt dużą prędkością: Julie Mao pod prysznicem z otaczającymi ją czarnymi włóknami i z koszmarnie zniekształconym ciałem; trupy rozrzucone po podłodze w komorze radiacyjnej; zakażeni ludzie przypominający zombie, wytaczający się z pociągów na Erosie, rzygający brązowym śluzem na wszystkich wokół,

wydający wyrok śmierci nawet najmniejszą kroplą tej mazi; obrazy nagrań tego, czym stał się Eros – tors składający się z klatki piersiowej i jednej ręki, pełznący przez stworzony przez protomolekułę krajobraz w tajemniczej misji.

– Kapitanie – odezwał się Amos, a potem podszedł i dotknął jego ramienia. Holden otrząsnął się, prawie się przy tym przewracając.

Przełknął wzbierającą w gardle ślinę o kwaśnym smaku.

– Dobra. Jestem. Idziemy. Naomi. Wywołaj Aleksa. Potrzebujemy *Rosa*.

– A co z blok... – zaczęła Naomi po dłuższej chwili milczenia.

– Kurwa już, Naomi! – wrzasnął Holden. – Kurwa, już! Natychmiast wywołaj Aleksa.

Nie odpowiedziała, ale postrzelony w brzuch mężczyzna wydał z siebie ostatni chrapliwy dech i opadł, prawie ciągnąc za sobą na podłogę rannego Wendella.

– Musimy iść – zwrócił się Holden do Wendella, mając na myśli *nie możemy mu pomóc. Jeśli zostaniemy, zginiemy wszyscy*.

Wendell kiwnął głową, ale opadł na jedno kolano i zaczął ściągać lekki pancerz rannego, nie rozumiał. Amos wyciągnął ze swojej uprząży apteczkę i przyklęknął obok Wendella, by zająć się rannym, obserwowała go poblada Paula.

– Musimy iść – powtórzy) Holden, miał ochotę chwycić Amosa i potrząsać nim, aż zrozumie. – Amos, przestań, musimy natychmiast iść. Eros...

– Kapitanie – przerwa) mu Amos – z całym należnym szacunkiem, to nie Eros. – Wyciągnął z apteczki

strzykawkę i podał zastrzyk leżącemu. – Nie ma komór radiacyjnych, żadnych rzygających zombie. Tylko rozbita skrzynia, mnóstwo trupów i te czarne włókna. Nie wiemy, co to kurwa jest, ale to nie Eros. Nie zostawimy tu tego faceta.

Drobna, racjonalna część umysłu Holdena wiedziała, że Amos ma rację. I co więcej, osoba, którą chciał być Elolden, wierzyła, że nadal nie mógł brać pod uwagę zostawienia bez pomocy nawet całkiem obcego człowieka, a co dopiero kogoś, kto oberwał, pomagając mu. Zmusił się do trzech płytkich oddechów. Praks klęczał przy Amosie, trzymając apteczkę.

– Naomi – powiedział, chcąc ją przeprosić za to, że na nią nakrzyczał.

– Aleks jest w drodze – odpowiedziała głosem napiętym, ale bez oskarżeń. – Zajmie mu to kilka godzin. Przedarcie się przez blokadę nie będzie łatwe, ale uważa, że ma sposób. Gdzie ma wylądować?

Holden odpowiedział, jeszcze zanim zdał sobie sprawę, że podjął decyzję.

– Powiedz mu, żeby zajął lądowisko *Lunatyka*. Statek oddamy komuś innemu. Wyjdź nam na spotkanie w służbie, gdy tam dotrzemy.

Wyciągnął magnetyczny klucz do *Lunatyka* z kieszeni uprząży i rzucił go Wendellowi.

– Z tym wejdiesz na statek, który przejmiecie. Uznaj go za wynagrodzenie za wasze usługi.

Wendell kiwnął głową i schował klucz, po czym wrócił do swojego rannego. Wyglądało na to, że leżący mężczyzna oddycha.

– Można go nieść? – zapytał Holden Amosa dumny z

tęgo, jak spokojnie znowu brzmiał jego głos. Próbował nie myśleć o fakcie, że jeszcze minutę temu był gotów zostawić go na pewną śmierć.

– Nie mamy wyboru, kapitanie.

– To niech go ktoś podniesie – polecił Holden. – Nie, nie ty, Amos. Musisz znowu iść na szpicy.

– Ja go wezmę – stwierdził Wendell. – Z tą ręką i tak nie dam rady teraz strzelać.

– Praks. Pomóż mu – poprosił Holden. – Wynosimy się stąd w diabły.

Wracając, szli przez bazę tak szybko, jak szybko mogli się przemieszczać ranni. Mijali trupy kobiet i mężczyzn, których pozabijali i co gorsza – tych, których nie tknęli. Obok drobnego, nieruchomego ciała Katoa. Spojrzenie Praksa powędrowało w stronę ciała, ale Holden chwycił go za rękę i pchnął w stronę włazu.

– To nie Mei – przypomniał. – Jeśli nas spowolnisz, to cię zostawię.

Groźba sprawiła, że poczuł się jak dupek, gdy tylko ją wypowiedział, ale nie poszła na marne. Odnalezienie zaginionej córki naukowca przestało być priorytetem w chwili, gdy znaleźli czarne włókna. I jeśli miał być w stosunku do siebie szczery, zostawienie naukowca oznaczało, że nie będą z nim, gdy odnajdzie swoją córkę zmienioną przez protomolekułę w potwora, z brązowym śluzem wyciekającym ze wszystkich otworów ciała i czarnymi włóknami wypełzającymi z oczu i ust.

Oslaniający ich wyjście starszy mężczyzna z Pinkwater z własnej inicjatywy podbiegł, by pomóc przy rannym. Praks bez słowa oddał mu postrzelonego, a potem zajął miejsce za Paulą kontrolującą korytarze przed nimi,

trzymał w gotowości pistolet maszynowy.

Korytarze, które w tę stronę wydawały się nudne, teraz nabrały złowieszczego wyglądu. Zamrożone wzory kojarzące się wcześniej Holdenowi z pajęczymi sieciami teraz wydawały się żyłami czegoś żywego. Ich pulsowanie musiało być spowodowane adrenaliną, przez którą jego oczy nie umiały patrzeć spokojnie.

Osiem remów docierających na powierzchnię Ganimedesa z Jowisza. Nawet z magnetosferą, osiem remów dziennie. Jak szybko będzie tu rosła protomolekuła, nieustannie zasilana przez Jowisza? Gdy protomolekuła rozwinęła się tam, Eros stał się czymś przerażająco potężnym. Czymś, co potrafiło osiągać niewiarygodne przyśpieszenie bez śladu inercji. Czymś, co według raportów mogło zmienić chemiczny skład atmosfery i samej planety Wenus. A to wszystko z zaledwie nieco ponad milionem ludzkich gospodarzy i tysiącem trylionów ton masy skalnej na starcie.

Na Ganimedesie było dziesięć razy tyle ludzi, a jego masa była o rzędy wielkości większa od Erosa. Co starożytna broń obcych mogła osiągnąć, mając tyle materii do dyspozycji?

Amos otworzył ostatni właz tajnej bazy i cała ekipa wyszła na bardziej uczęszczane tunele Ganimedesa. Holden nie zobaczył nikogo, kto zachowywał się jak zarażony. Przez korytarze nie człapały żadne bezmyślne zombie, na ścianach i podłodze nie było brązowej mazi pełnej obcego wirusa, który szukał gospodarza. Żadne wynajęte przez Protogen zbiry nie zaganiały ludzi do stref śmierci.

Protogenu już nie ma.

Jakaś nieświadomiona dotąd zadra z głębi umysłu przepchnęła się na wierzch. Protogenu już nie ma. Holden pomógł go zniszczyć. Był w sali, w której zginął twórca eksperymentu z Erosa. Marsjańska flota zmieniła Febe w chmurę gazu wciągana w potężną studnię grawitacyjną Saturna. Eros rozbił się w kwaśnej i koszmarnie gorącej atmosferze Wenus, gdzie nie mogły polecieć żadne ludzkie statki. Elolden osobiście zabrał Protogenowi jedyną istniejącą próbkę protomolekuły.

W takim razie, kto sprowadził protomolekułę na Ganimedesa?

Oddał próbkę Fredowi Johnsonowi jako argument przetargowy do wykorzystania w rozmowach pokojowych. Sojusz Planet Zewnętrznych wytargował sporo ustępstw w chaosie, który nastąpił po krótkiej wojnie planet wewnętrznych. Ale nie wszystko, czego chciał, czego dowodem były choćby floty planet wewnętrznych na orbicie wokół Ganimedesa.

Fred miał jedyną pozostałą w Układzie Słonecznym próbkę protomolekuły. Bo Holden mu ją dal.

– To Fred – powiedział bezwiednie na głos.

– Co Fred? – zapytała Naomi.

– To. To, co się tu dzieje. On to zrobił.

– Nie – zaprzeczyła Naomi.

– Testował tu jakąś supertajną broń, żeby przegnać planety wewnętrzne. Ale to jego dzieło.

– Nie – zaprzeczyła znowu Naomi. – Nie wiemy tego.

W korytarzu pojawił się dym, a mdląca woń palących się włosów i smażonego ciała zdławiła odpowiedź Holdena. Amos uniósł rękę, by zatrzymać grupę, a ludzie z Pinkwater zajęli pozycje obronne. Amos ruszył do

skrzyżowania korytarza i na chwilę wyjrzał za zakręt w lewo.

– Stało się tu coś złego – powiedział w końcu. – Mam tu kilka trupów i większą grupę zadowolonych.

– Uzbrojeni? – zapytał Holden.

– Zdecydowanie.

Holden, który próbowałby wynegocjować przejście, ten, którego lubiła i chciała odzyskać Naomi, prawie się nie opierał, gdy polecił:

– Zrób nam przejście.

Amos wychylił się za róg i wystrzelił długą serię z automatycznej strzelby.

– Ruszać – rzucił, gdy ucichły echa wystrzałów.

Żołnierze Pinkwater podnieśli rannego i pobiegli korytarzem przez pozostałości bitwy, a Praks truchtał blisko za nimi z opuszczoną głową, machając rękami. Holden też pobiegł, zerkając na trupy palone na środku szerokiego korytarza. Stos musiał być jakimś przesłaniem, bo sytuacja nie była jeszcze taka zła, żeby się wzajemnie zjadali. Prawda?

Wokół ognia leżało kilka trupów, krwawiąc na nierówną metalową podłogę. Holden nie potrafił stwierdzić, czy to dzieło Amosa. Stary Holden by o to zapytał, nowy tego nie zrobił.

– Naomi – odezwał się, pragnąc usłyszeć jej głos.

– Jestem.

– Widzimy tu kłopoty.

– Czy to... – Usłyszał lęk w jej głosie.

– Nie, to nie protomolekuła. Ale miejscowi mogą być dostatecznym utrudnieniem. Zamknij grodzie – polecił Holden, nie zastanawiając się nad słowami. – Rozgrzej

reaktor. Jeśli coś się z nami stanie, odleć i spotkaj się z Alekssem. Nie wracajcie na Tycho.

– Jim – odpowiedziała – ja...

– Nie wracajcie na Tycho. To robota Freda. Nie wracaj do niego.

– Nie – odpowiedziała. Jej nowa mantra.

– Jeśli nie wrócimy tam za pół godziny, odleć. To rozkaz, pierwsza.

Holden powiedział sobie, że przynajmniej ona się wydostanie.

Niezależnie od tego, co stanie się na Ganimesesie, przynajmniej Naomi ujdzie z tego zżyciem. Przed oczami przemknął mu obraz Julie z koszmarów, martwej pod prysznicem, ale z twarzą Naomi. Nie spodziewał się okrzyku żalu, który mu się przy tym wyrwał. Amos odwrócił się, by na niego spojrzeć, ale Holden bez słowa machnął ręką.

To dzieło Freda.

A skoro Freda, to także Holdena.

Spędził ostatni rok, odgrywając zbira na usługach polityka Freda. Polował na statki i niszczył je w imię wielkiego eksperymentu, jakim był rząd SPZ. Zmienił człowieka, jakim był, w tego, którym stał się teraz, ponieważ jakaś jego część wierzyła w marzenie Freda o wolnych i niepodległych planetach zewnętrznych.

A w tym czasie Fred potajemnie planował... to.

Holden pomyślał o tych wszystkich sprawach odłożonych, by pomóc Fredowi tworzyć nowy porządek w Układzie Słonecznym. Nigdy nie zabrał Naomi na spotkanie z rodziną na Ziemi. Nie, żeby sama Naomi mogła kiedykolwiek tam polecieć. Ale mógł ściągnąć

rodzinę na spotkanie na Lunie. Ojciec Tom na pewno by się opierał, nienawidził podróży, ale Holden nie wątpił, że w końcu zdołałby ich ściągnąć, wyjaśniając im wcześniej, jak ważna stała się dla niego Naomi.

Spotkanie z Praksem, zetknięcie się z jego potrzebą odnalezienia córki uświadomiło Holdenowi, jak bardzo pragnie się przekonać, jakie to uczucie. Doświadczyć tego rodzaju głodu obecności innej istoty ludzkiej. Pokazać rodzicom kolejne pokolenie ludzi. Dowieść im, że cały wysiłek i energia, które w niego zainwestowali, w końcu się zwróciły. Że przekazuje to dalej. Niemal bardziej niż czegokolwiek dotąd pragnął zobaczyć wyraz ich twarzy, gdy pokaże im dziecko. Jego dziecko. Jego i Naomi.

Fred go tego pozbawił, najpierw marnując jego czas na policyjne misje SPZ, a teraz swoją zdradą. Holden przysiągł sobie, że jeśli zdoła wydostać się z Ganimedesa, Fred mu za to zapłaci.

Amos znowu zatrzymał grupę, a Holden zauważył, że w międzyczasie wrócili do portu. Otrząsnął się z zamyślenia. Nie pamiętał, jak się tu dostali.

– Wygląda czysto – zgłosił Amos.

– Naomi – zwrócił się do niej Holden – jak wygląda sytuacja wokół statku?

– Tu też wydaje się czysto – odparła. – Ale Aleks martw...

Jej głos został ucięty przez elektroniczny pisk.

– Naomi? Naomi! – krzyknął Holden, ale nie było odpowiedzi. – Biegiem, pędzimy do statku – rzucił do Amosa.

Amos i ekipa z Pinkwater ruszyli w stronę doków najszybciej, jak umieli, biorąc pod uwagę odniesione rany i dźwigając rannego, nieprzytomnego kolegę. Holden

został na tyłach, w biegu przystawiając do ramienia karabin szturmowy i przełączając bezpiecznik.

Biegli przez kręte korytarze portu z Amosem na czele odsuwającym wszystkich z drogi, krzycząc i grożąc użyciem dzierżonej broni. Stara kobieta w hidżabie umknęła przed nimi jak liść niesiony wiatrem przed burzą. I tak była już martwa. Jeśli wypuszczono tu protomolekułę, wszyscy mijani przez Holdena ludzie już nie żyli. Tak jak Santichai i Melissa Supitayaporn wraz ze wszystkimi mieszkańcami Ganimedesa, których przybyli ratować. Buntownicy i mordercy, będący normalnymi obywatelami stacji, zanim zawali! się ich społeczny ekosystem. Jeśli była tu protomolekuła, wszyscy byli już praktycznie martwi.

Więc czemu do tego nie doszło?

Holden odsunął od siebie tę myśl. Później – jeśli będzie jakies później – będzie mógł się nad tym zastanowić. Ktoś krzyknął na Amosa, a ten w odpowiedzi wystrzelił w sufit. Jeśli ochrona portu istniała jeszcze poza sępami próbującymi wymusić własną dolę z każdego przybywającego transportu, nie próbowała ich zatrzymywać.

Kiedy dotarli do zewnętrznej śluzy *Lunatyka*, zastali ją zamkniętą.

– Jesteś tam, Naomi? – zapytał Holden, grzebiąc w kieszeniach za kartą do drzwi. Nie odpowiedziała, a on potrzebował chwili, by przypomnieć sobie, że oddał swoją kartę Wendellowi. – Wendell, otwórz nam drzwi.

Szef grupy Pinkwater nie odpowiedział.

– Wendell... – zaczął powtarzać Holden, ale urwał, gdy zobaczył, że mężczyzna z szeroko otwartymi oczami

wpatruje się w coś za jego plecami. Holden odwrócił się i zobaczył pięciu ludzi – samych Ziemiaków – w szarych pancerzach bez żadnych oznaczeń. Wszyscy celowali do nich z wielkokalibrowej broni.

Nie, pomyślał Holden i przeciągnął przez nich serią ze swojego automatu. Trzech z pięciu padło, tryskając czerwienią z pancerzy. Nowy Holden zatriumfował, stary siedział cicho. Nie miało znaczenia, kim byli ci ludzie. Ochrona stacji, wojsko planet wewnętrznych czy po prostu resztki najemników ze zniszczonej tajnej bazy, zabije wszystkich, zanim pozwoli uniemożliwić sobie wywiezienie załogi z zakażonego księżycy.

Nie zobaczył, kto strzelił w niego, wywracając go na ziemię. W jednej chwili stał, opróżniając magazynek karabinu szturmowego w ludzi w szarych pancerzach, a w następnej uderzenie młota trafiło go w prawe udo i powaliło na ziemię. Upadając, zobaczył dwóch pozostałych opancerzonych na szaro żołnierzy, którzy ginęli w grzmocie strzałów automatycznej strzelby Amosa.

Holden przeturlał się na bok, by sprawdzić, czy ktoś jeszcze jest ranny, i zobaczył, że pięciu z tej strony było tylko połową wrogiej drużyny. Ludzie z Pinkwater podnosili ręce i upuszczali broń na widok kolejnych pięciu szarych żołnierzy na korytarzu z drugiej strony.

Amos ich nie zobaczył. Wyrzucił ze strzelby pusty magazynek i wyciągał nowy z uprząży, gdy jeden z najemników przystawił mu do tyłu głowy wielkokalibrową broń i pociągnął za spust. Hełm Amosa odleciał, a on sam został rzucony twarzą na nierówny metal podłogi, uderzając w niego z mokrym plaśnięciem.

W miejscu uderzenia rozprysła się krew.

Holden próbował wcisnąć nowy magazynek do swojego automatu, ale jego ręce nie chciały współpracować i zanim zdążył przeładować, jeden z żołnierzy podbiegł i kopnięciem pozbawił go broni.

Holden miał jeszcze czas zobaczyć, jak wciąż stojący członkowie zespołu Pinkwater znikają w czarnych workach, a potem kolejny trafił na jego głowę, pogrążając go w ciemności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Bobbie

Delegacji marsjańskiej przydzielono na wyłączny użytek kompleks biur w budynku ONZ. Meble wykonano z prawdziwego drewna, a na ścianach wisiały oryginalne obrazy, nie reprodukcje. Dywan pachniał nowością. Bobbie pomyślała, że albo wszyscy w kampusie ONZ żyją jak królowie, albo popisywali się, żeby zrobić wrażenie na Marsjanach.

Thorsson zadzwonił do niej kilka godzin po tym, jak opuściła bar, w którym spotkała Avasaralę, i zażądał, żeby spotkała się z nim następnego dnia. Teraz czekała w lobby tymczasowego kompleksu biurowego, siedząc na fotelu w stylu bergère z tapicerką z zielonego welwetu i ramą z wiśniowego drewna, który na Marsie kosztowałby ją dwuletnią pensję. Na ekranie leciały wiadomości z wyciszonym dźwiękiem. Robiło to z programu trudny do zrozumienia i chwilami makabryczny pokaz obrazów: dwie gadające głowy siedzące przy biurku w niebieskim pokoju, pożar dużego budynku, kobieta idąca długim, białym korytarzem, gestykulująca z ożywieniem, okręt bojowy ONZ zaparkowany przy stacji orbitalnej z ciężkimi uszkodzeniami burty, mężczyzna o czerwonej twarzy mówiący prosto do kamery na tle flagi, której Bobbie nie rozpoznała.

To wszystko miało jakieś znaczenie i równocześnie nic nie znaczyło. Kilka godzin wcześniej wywołałoby to jej frustrację. Odczuwałaby potrzebę odnalezienia pilota i włączenia dźwięku, aby wzbogacić o kontekst rzucane w nią informacje.

Teraz pozwalała się opływać obrazom jak wodzie kanału obok skały.

Przez lobby przeszedł pośpiesznie, stukając w terminal, młody człowiek, którego widziała kilka razy na *Dae-Jungu*, ale nigdy z nim nie rozmawiała.

- Czeka na panią - rzucił w pół drogi przez pomieszczenie.

Bobbie potrzebowała chwili, by zrozumieć, że młodzieniec mówi do niej. Najwyraźniej jej akcje spadły tak nisko, że nie zasługiwała już na przekazywanie informacji twarzą w twarz. Kolejne dane bez znaczenia. Jeszcze więcej przepływającej wody. Ze stęknięciem podniosła się z fotela. Jej wielogodzinny spacer przy jednym g z poprzedniego dnia zmęczył ją bardziej, niż się spodziewała.

Była nieco zaskoczona faktem, że biuro Thorssona okazało się jednym z najmniejszych w kompleksie. Oznaczało to, że nie dba o nieoficjalny status, o którym świadczyła wielkość biura, albo faktycznie był najmniej ważnym członkiem delegacji, który jeszcze zasługiwał na prywatną przestrzeń roboczą. Nie czuła potrzeby odkrycia, która z tych opcji jest prawdziwa. Thorsson nie zareagował na jej wejście, siedział z głową nad biurkowym terminalem. Bobbie nie przejmowała się byciem ignorowaną ani lekcją, którą jej próbował przekazać. Wielkość biura znaczyła, że Thorsson nie miał

krzesła dla gości, a ból nóg był dostatecznie rozpraszający.

– Mogłem poprzednio zareagować nieco za ostro – odezwał się w końcu.

– Ooo... – rzuciła Bobbie, myśląc o tym, gdzie mogłaby znaleźć więcej herbaty z mlekiem sojowym.

Thorsson spojrział na nią. Na jego twarzy pojawiły się zmumifikowane resztki jego wersji ciepłego uśmiechu.

– Wyjaśnijmy sobie coś. Nie ma wątpliwości, że swoim wybuchem zaszкодziliście naszej wiarygodności. Jednak, jak zauważył Martens, to w dużej mierze moja wina, wynikająca z tego, że nie do końca rozumiałem zakres waszej traumy.

– Aha – stwierdziła Bobbie.

Na ścianie za Thorssonem wisiało oprawione w ramki zdjęcie miasta z wysoką metalową strukturą w centrum kadru. Wyglądała jak archaiczna wieża startowa rakiety. U dołu widniał napis PARYŻ.

– W związku z tym, zamiast wysłać was do domu, zatrzymam was tutaj jako członka personelu. Zyskacie okazję naprawienia wyrządzonych szkód.

– Po co – spytała Bobbie, pierwszy raz od wejścia patrząc Thorssonowi w oczy – tu jestem?

Ślad uśmiechu na twarzy Thorssona zniknął, zastąpił go równie delikatnym zmarszczeniem brwi.

– Przepraszam?

– Po co tu jestem? – powtórzyła, nie myśląc już o komisji dyscyplinarnej.

Zastanawiała się, jak trudno będzie jej zdobyć przydział na Ganimedesa, jeśli Thorsson nie wyśle jej z powrotem na Marsa. Jeśli tego nie zrobi, czy będzie jej wolno złożyć rezygnację? Po prostu opuścić korpus i kupić własny

bilet? Myśl o zaprzestaniu bycia marinę wywołała w niej smutek. Pierwsze naprawdę silne uczucie, jakiego zaznała od dłuższego czasu.

– Po co wy... – zaczął Thorsson, ale Bobbie mu przerwała.

– Ewidentnie nie po to, żebym mówiła na temat potwora. Szczerze mówiąc, jeśli jestem tu tylko eksponatem, to chyba wolałabym wrócić do domu. Mogłabym się zająć pewnymi sprawami...

– Wy– Thorsson mówił coraz bardziej napiętym głosem– jesteście tu, żeby robić dokładnie to, co wam każe i dokładnie wtedy, kiedy powiem. Rozumiecie, żołnierzu?

– Jasne – rzuciła Bobbie, czując opływającą ją wodę. Była kamieniem. W ogóle jej to nie ruszało. – Muszę już iść.

Odwróciła się i wyszła, nie dając Thorssonowi szansy na powiedzenie ostatniego słowa. Idąc przez biuro w stronę wyjścia, zobaczyła w małej kuchni Martensa, który akurat sypał do kubka z kawą mleko w proszku. Zobaczył ją w tej samej chwili.

– Bobbie – powiedział na powitanie. W ciągu ostatnich kilku dni zrobił się dużo bardziej przyjacielski. Zwykle potraktowałaby to jak przygotowanie gruntu do bardziej romantycznego lub seksualnego związku, ale w przypadku Martensa była przekonana, że to po prostu kolejne narzędzie w jego zestawie „jak naprawiać uszkodzonych marines”.

– Kapitanie – odpowiedziała.

Zatrzymała się. Czowała, jak wyjście ciągnie ją swego rodzaju psychicznym ciężeniem, ale Martens jak dotąd zawsze okazywał jej tylko życzliwość. Miała też dziwne przeczucie, że nigdy więcej nie zobaczy nikogo z tych ludzi. Wyciągnęła do niego rękę, a on ją uścisnął.

– Odchodzę. Nie będzie pan już musiał tracić na mnie czasu.

Poczęstował ją swoim smutnym uśmiechem.

– Pomimo tego, że nie mam wrażenia, że cokolwiek osiągnąłem, wcale nie uważam, że straciłem czas. Pożegnamy się jako przyjaciele?

– Ja... – musiała urwać i przełknąć nagłą grudę w gardle.

– Mam nadzieję, że nie zepsułam panu kariery czy coś takiego.

– Tym się nie martwię – odpowiedział do jej pleców. Już wychodziła. Nie odwróciła się.

Na korytarzu Bobbie wyciągnęła terminal i zadzwoniła pod numer otrzymany od Avasarali. Została od razu przekierowana do skrzynki głosowej.

– Dobra – powiedziała – wezmę tę robotę.

* * *

Pierwszy dzień nowej pracy miał w sobie coś nieskrępowanego i przerażającego. Przy każdym nowym zadaniu Bobbie zawsze miała niepokojące uczucie, że sytuacja ją przerasta, że nie będzie wiedziała, jak wykonać jakiegokolwiek zadanie, które jej przydzielono, że ubierze się w niewłaściwie lub powie coś nieodpowiedniego albo że nowi współpracownicy jej nie polubią. Jednak niezależnie od tego, jak silne było to wrażenie, górowało nad nim przekonanie, że z nową pracą otrzymywała szansę wykreowania się na nowo w wybrany przez siebie sposób, że – przynajmniej na chwilę – miała niczym nieograniczone możliwości.

Tego uczucia nie stłumiło nawet oczekiwanie na to, aż Avasarala ją zauważy.

Stojąc w biurze Avasarali, Bobbie nabierała coraz silniejszego przekonania, że marsjańskie biura urządzono specjalnie, by imponować. Zastępczyni sekretarza była na tyle ważna, by jednym telefonem doprowadzić do przeniesienia Bobbie spod dowództwa Thorssona na stanowisko łącznika z ONZ, a jednak w jej biurze leżał tani dywan nieprzyjemnie pachnący starym dymem tytoniowym, a biurko było stare i porysowane. Żadnych foteli z wiśniowego drewna. Jedyne, co w gabinecie wyglądało na zadbane, to świeże kwiaty w wazonie i kapliczka z Buddą.

Avasarala wyglądała na zupełnie wyczerpaną. Pod oczami widniały ciemne półkola, których nie miała podczas ich pierwszego oficjalnego spotkania i które nie były widoczne w słabym świetle baru, kiedy Avasarala złożyła swoją propozycję. Siedząc za biurkiem w niebieskim sari, wydawała się bardzo drobna, jak dziecko udające dorosłego. Złudzenie psuły tylko siwe włosy i kurze łapki w zewnętrznych kącikach oczu. Bobbie wyobraziła ją sobie nagle jako marudną lalkę, narzekającą, gdy dzieci ruszały jej rękami i nogami, zmuszając ją do chodzenia na przyjęcia z pluszowymi zwierzętami. Na tę myśl policzki rozboleły ją od powstrzymanego uśmiechu.

Avasarala stuknęła w terminal na biurku i sapnęła z irytacją. *Nie dostaniesz więcej herbaty, lalko- babciu, wypitaś już dość*, pomyślała Bobbie i stłumiła śmiech.

- Soren, znowu przeniosłeś moje pieprzone pliki. Niczego nie mogę tu teraz znaleźć.

Sztywny młody człowiek, który wprowadził Bobbie do biura, a potem praktycznie stopił się z tłem, odchrząknął.

Bobbie prawie podskoczyła. Stał bliżej niej, niż przypuszczała.

– Prosiła mnie pani o przeniesienie kilku...

– Tak, tak – przerwała mu Avasarala, mocniej stukając w ekran terminala, jakby urządzenie od tego lepiej rozumiało, czego od niego chce. Coś w tej scenie skojarzyło się Bobbie z ludźmi, którzy zaczynają mówić głośniej, rozmawiając z osobami nieznanymi ich języka.

– Dobra, tu są – rzuciła Avasarala z irytacją. – Czemu umieściłeś je...

Stuknęła w ekran jeszcze kilka razy i terminal Bobbie wyemitował sygnał dźwiękowy.

– To – powiedziała – raport i moje wszystkie notatki na temat sytuacji na Ganimesie. Przeczytaj je. Dzisiaj. Może później będę miała aktualizację, gdy skończę uprzejmie pytania.

Bobbie wyciągnęła swój terminal i szybko przewinęła otrzymane właśnie dokumenty. Miały setki stron. Jej pierwszą myślą było *czy ona naprawdę chce, żebym przeczytała to wszystko dzisiaj?* A drugą: *czy ona naprawdę przekazała mi właśnie wszystko, co wie?* W świetle tego sposób, w jaki ostatnio postępował z nią jej rząd, wydał się jeszcze gorszy.

– Nie zajmie ci to dużo czasu – kontynuowała jej nowa szefowa. – Tam prawie nic nie ma. Mnóstwo chłamu wciskanego przez przepłacanych konsultantów uważających, że mogą ukryć swoją niewiedzę za potokiem słów.

Bobbie przytaknęła, choć wrażenie znalezienia się w przerastającej ją sytuacji zaczęło w jej głowie zwycięzać z podnieceniem związanym z nowymi możliwościami.

– Proszę pani, czy sierżant Draper została dopuszczona do... – zaczął Soren.

– Tak. Właśnie ją dopuściłam. Bobbie? Udzielam ci dostępu do ściśle tajnych dokumentów – przegadała go Avasarala. – Przestań się mnie czepiać, Soren. Skończyła mi się herbata.

Bobbie z wysiłkiem powstrzymała się przed odwróceniem się i popatrzeniem na Sorena. Sytuacja była dostatecznie nieprzyjemna bez podkreślania faktu, że został właśnie poniżony przed kobietą z innej planety, która pracowała tu dokładnie od siedemnastu minut.

– Tak jest, proszę pani – odpowiedział Soren. – Ale zastanawiałem się, czy nie powinna pani poinformować służb bezpieczeństwa o pani decyzji dotyczącej udzielenia sierżant dostępu. Oni lubią wiedzieć takie rzeczy.

– Bła, bła, bła bła – zareagowała Avasarala. – Tylko tyle usłyszałam.

– Tak jest, proszę pani – zgodził się Soren.

Bobbie w końcu obejrzała się na niego. Soren był besztany przed nowym członkiem zespołu, który technicznie rzecz biorąc, był też wrogiem. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, wyglądał jakby zaspokajał zachcianki babci z demencją. Avasarala niecierpliwie cmoknęła.

– Nie wyraziłam się jasno? Straciłam zdolność mówienia?

– Nie, proszę pani – zapewnił Soren.

– Bobbie? Rozumiesz, co mówię?

– Ta... tak jest, sir.

– To dobrze. W takim razie wynoście się z mojego biura i róbcie, co do was należy. Bobbie czyta. Soren robi herbatę.

Bobbie odwróciła się, by wyjść, i zauważyła, że Soren przygląda się jej z twarzą bez wyrazu. Co, na swój sposób, było bardziej denerwujące niż w przypadku uzasadnionej złości.

Kiedy obok niego przechodziła, Avasarala znowu się odezwała. – Soren, poczekaj. Zabierz to do Fostera w obsłudze danych. – Podała chłopakowi coś, co wyglądało jak przenośna pamięć. – Dopilnuj, żeby go złapać, zanim wyjdzie dzisiaj z pracy.

– Oczywiście. – Soren kiwnął głową, uśmiechnął się i wziął od niej mały opłatek.

Kiedy oboje wyszli z biura Avasarali i Soren zamknął za nimi drzwi, Bobbie odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się do niego.

– Rety, to było niezręczne. Przepraszam za... – zaczęła, ale urwała, gdy Soren uniósł rękę, lekko odrzucając jej troskę.

– Nic takiego – powiedział. – Właściwie to dzisiaj ma całkiem dobry humor.

Gdy stała i patrzyła na niego z niedowierzaniem, Soren odwrócił się i rzucił nośnik pamięci na biurko, gdzie wsunął się pod folię paczki częściowo zjedzonych ciastek. Usiadł i założył słuchawki, a potem zaczął przewijać listę numerów telefonów na biurkowym terminalu. Jeśli zauważył jej obecność, nie dał tego po sobie poznać.

– Wiesz – odezwała się w końcu Bobbie – mam tylko trochę tekstu do przeczytania, więc jeśli jesteś zajęty, mogę zanieść ten nośnik z danymi do faceta w obsłudze. To znaczy, jeśli jesteś zajęty innymi sprawami.

Soren w końcu popatrzył na nią pytająco.

– Czemu miałybyś to robić?

– No cóż – Bobbie spojrzała na godzinę wyświetlaną na terminalu – jest już prawie osiemnasta miejscowego czasu i nie wiem, kiedy zwykle kończycie pracę, więc pomyślałam...

– Nie martw się. Rzecz w tym, że moja praca polega na tym, żeby ona – wskazał głową zamknięte drzwi – była spokojna i zadowolona. U niej wszystko ma najwyższy priorytet. I przez to nic, rozumiesz? Zrobię to, gdy będzie trzeba, a do tego czasu suka może czekać, jeśli lepiej się od tego poczuje.

Bobbie poczuła zimny dreszcz zaskoczenia. Nie, nie zaskoczenia. Szoku.

– Czy ty właśnie nazwałeś ją suką?

– A jak ją inaczej nazwać, co? – odpowiedział Soren z rozbrajającym uśmiechem. Czy może drwiącym? Czy to wszystko było dla niego żartem? Avasarala, Bobbie i potwór na Ganimesesie?

Zawładnęła nią wizja wyrwania z fotela tego pełnego samozadowolenia asystenta i złożenia go na pół. Jej dłonie ścisnęły się bezwiednie.

– Odniosłam wrażenie, że pani sekretarz uważała to za dość ważne – odpowiedziała zamiast tego.

Soren znowu odwrócił się w jej stronę.

– Nie martw się tym, Bobbie. Poważnie. Wiem, jak wykonywać swoją pracę.

Stała bez ruchu przez dłuższą chwilę.

– W porządku – powiedziała w końcu.

* * *

Bobbie została wyrwana z głębokiego snu przez bardzo głośną muzykę. Usiadła gwałtownie na nieznanym łóżku

w prawie całkowicie ciemnym pokoju. Jedyne źródłem światła było delikatne perłowe pulsowanie jej ręcznego terminala po drugiej stronie pomieszczenia. Muzyka nagle przestała być bezsensowną kakofonią i zmieniła się w melodię wybraną przez nią na sygnał dla połączeń telefonicznych podczas snu. Ktoś dzwonił. Przekląła dzwoniącego w trzech językach i spróbowała przeczołgać się przez łóżko do terminala.

Niespodziewanie pojawił się brzeg łóżka i upadła twarzą w stronę podłogi, z rozspanym ciałem niepotrafiącym automatycznie skorygować ruchu na większe ciężenie Ziemi. Zdołała uniknąć rozbicia sobie głowy kosztem dwóch wybitych palców prawej dłoni.

Klnąc jeszcze głośniej, podczołgała się przez podłogę do wciąż głośniego terminala. Gdy w końcu go chwyciła, otworzyła połączenie i odezwała się do mikrofonu.

– Jeśli ktoś nie zginął, to niedługo *zginie*.

– *Bobbie* – odezwała się osoba z drugiej strony.

Potrzebowała chwili, by rozpoznać głos. *Soren*. Zerknęła na godzinę wyświetlaną na terminalu i przekonała się, że jest 4:11.

Zaczęła się zastanawiać, czy dzwoni do niej po pijaku z amatorami, czy z przeprosinami. Z pewnością nie byłyby to najdziwniejsza rzecz, jaka przydarzyła się jej w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Do *Bobbie* dotarło w końcu, że mężczyzna wciąż mówi, więc przystawiła głośniczek do ucha.

– ...oczekuje cię jak najszybciej, więc *zejdź tu* – powiedział *Soren*.

– Czy możesz powtórzyć?

Zaczął mówić powoli, jak do ograniczonego dziecka.

– Szefowa chce, żebyś przyszła do biura, dobra?

Bobbie znowu zerknęła na godzinę.

– W tej chwili?

– Nie – odpowiedział Soren. – Jutro o zwykłej porze. Kazała mi tylko zadzwonić o czwartej w nocy, żeby się upewnić, że przyjdiesz.

Uderzenie złości pomogło jej się obudzić. Bobbie przestała zaciskać zęby na tyle, by odpowiedzieć.

– Powiedz jej, że zaraz przyjdę.

Doczołgała się do ściany, a potem namacała na niej panel, który rozjarzył się pod jej dotykiem. Drugie dotknięcie zapaliło światło. Avasarala przydzieliła jej mały, umeblowany apartament niedaleko biura. Nie był wiele większy od taniego mieszkania do wynajęcia na Ceres. Jeden duży pokój pełniący funkcję salonu i sypialni, mała łazienka z prysznicem i ubikacją oraz jeszcze mniejsze pomieszczenie udające kuchnię. Torba, z której wyjęła zaledwie kilka rzeczy, leżała w rogu. Czytała przydzielone jej dokumenty do pierwszej w nocy i potem nie zwracała sobie głowy niczym poza umyciem zębów i zwaleniem się do opuszczanego spod sufitu łóżka.

Stojąc w pokoju i próbując się obudzić, Bobbie doznała chwili totalnego olśnienia. Jakby nagle zerwano jej z oczu ciemne okulary, o których nie miała nawet pojęcia, i postawiono w oślepiającym świetle. Właśnie wyszła z łóżka po trzech godzinach snu, by spotkać się z jedną z najpotężniejszych kobiet w Układzie Słonecznym, a przejmowała się tylko tym, że nie uporządkowała swojego mieszkania i że tak naprawdę chciała pobić na śmierć współpracownika jego ozdobnym zestawem długopisów. A przy okazji była zawodową marinę, która przyjęła pracę

dla największego wroga jej rządu, ponieważ ktoś w wywiadzie floty był dla niej niemiły. Do tego wszystkiego chciała wrócić na Ganimedesa i zabić kogoś, choć nie miała najmniejszego pojęcia, kto to właściwie jest.

Nagły i krystalicznie czysty przeblysk zrozumienia, jak bardzo jej życie oderwało się od zwykłego toru, trwał tylko kilka sekund, a potem wróciła mgła niewyspania, zostawiając jej tylko nieprzyjemne uczucie, że zapomniała zrobić coś ważnego.

Ubrała się we wczorajszy mundur, przepłukała usta i wyszła.

* * *

Skromne biuro Avasarali było pełne ludzi. Bobbie rozpoznała przynajmniej trzech cywilów z jej pierwszego spotkania tu, na Ziemi. Jednym z nich był facet o księżycowej twarzy, który, jak się później dowiedziała, nazywał się Sadavir Errinwright, był szefem Avasarali i prawdopodobnie drugim najpotężniejszym człowiekiem na Ziemi. Kiedy weszła, Avasarala była pogrążona w rozmowie z nim i nie zauważyła jej.

Bobbie dostrzegła małą grupkę ludzi w mundurach wojskowych i ruszyła w ich stronę, ale po chwili zauważyła, że to sami admirałowie i generałowie, więc zmieniła kurs. Wylądowała koło Sorena, jedynej osoby w pokoju stojącej w pojedynkę. Nawet na nią nie spojrział, ale coś w sposobie, w jaki stał, zdawało się emanować jego zwykłym urokiem, silnym i nieszczerym. Bobbie pomyślała nagle, że Soren mógł być typem człowieka, którego po pijaku wzięłaby do łóżka, ale nigdy nie zaufałaby, że obroni ją w walce. Po chwili namysłu

uznała, że nigdy jeszcze nie była dość pijana.

– Draper! – zawołała głośno Avasarala, gdy w końcu zauważyła jej przyjście.

– Tak jest, proszę pani – odpowiedziała Bobbie, robiąc przy tym krok do przodu, a wszyscy w pokoju obejrzel się na nią.

– Jesteś moim łącznikiem – stwierdziła Avasarala z tak wyraźnymi workami pod oczami, że wyglądały bardziej na objaw choroby niż zmęczenia. – Więc, cholera, łącz. Zadzwoń do swoich ludzi.

– Co się stało?

– Sytuacja na Ganimesesie zmieniła się w gównoburzę większą od wszystkich gównoburz – odpowiedziała. – Mamy wojnę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Praks

Praks ukląkł z rękami związanymi za plecami. Bolały go ramiona. Bolało go utrzymywanie głowy w pionie i bolało jej opuszczenie. Amos leżał twarzą na podłodze. Praks myślał, że mechanik nie żyje, aż do chwili, gdy dostrzegł plastikowe kajdanki unieruchamiające jego ręce za plecami. Niezabijający pocisk, którym porywacze wystrzelili w tył jego głowy, zostawił po sobie olbrzymi, sinoczarny guz. Większość pozostałych – Holden, niektórzy najemnicy Pinkwater, a nawet Naomi – tkwili w pozycjach takich jak on sam, ale nie wszyscy.

Cztery lata temu na stacji pojawiła się plaga ciem. Doszło do uszkodzenia terrarium i pod całą kopułą rozpanoszyły się długie na dwa centymetry, szarobrązowe wieczernice. Zbudowano pułapkę cieplną: kilka kropli zsyntetyzowanych feromonów na odpornych na temperaturę włóknach pod dużymi lampami pełnozakresowymi. Ćmy podlatywały za blisko i zabijał je żar. Smród spalanych ciał na wiele dni zepsuł powietrze, a tamta woń była identyczna, jak kauteryzującego narzędzia chirurgicznego, którego porywacze używali właśnie przy rannym mężczyźnie z Pinkwater. Z plastikowego biurowego stołu, na którym go położyli, uniosła się smużka białego dymu.

– Ja tylko... – wymamrował niewyraźnie oszołomiony lekami mężczyzna. – Idźcie dalej, skończcie beze mnie. Będę tu...

– Kolejne krwawiące – odezwała się jedna z kobiet wśród porywaczy. Miała wyraźne rysy twarzy, pieprzyk pod lewym okiem i czerwone od krwi rękawiczki.– Tutaj.

– Dobra. Mam je – odpowiedział mężczyzna z przyrządem, wsadzając metalową końcówkę z powrotem do otwartej rany na brzuchu.

Rozległ się ostry dźwięk wyładowania elektrycznego i z rany wzbił się kolejny obłoczek białego dymu.

Amos przeturlał się nagle, odsłaniając rozbity nos i twarz zalaną krwią.

– Mogem sieb bylic, kabitanie – powiedział głosem zniekształconym przez zmasakrowany nos – ale ci gobcie nie wyglądają na ochronę stacji.

Pomieszczenie, w którym Praksowi zdjęto z głowy kaptur, nie wydawało się mieć nic wspólnego ze zwykłą atmosferą pokojów policyjnych. Wyglądało jak stare biuro, w rodzaju zajmowanych przez inspektora BHP lub urzędnika zajmującego się transportem wczasach przed rozpoczęciem kaskady: długie biurko z wbudowanym terminalem, kilka lamp w suficie, martwa roślina – *sansevieria trifasciata* – z długimi, zielonobrazowymi liśćmi zmieniającymi się w ciemny śluz. Strażnicy, żołnierze czy kimkolwiek byli ludzie w szarych pancerzach, byli bardzo metodyczni i sprawni. Więźniów zebrano pod jedną ścianą, związano im nogi i ręce, a potem zabrano ręczne terminale, broń i rzeczy osobiste, usypując z nich stosik pod przeciwną ścianą. Rzeczy pilnowało dwóch ludzi. Pancerze zdjęte z Holden'a i

Amosa zrzucano na stertę na podłodze obok ich broni. Potem dwójka, którą Praks uznał za sanitariuszy, zajęła się opatrywaniem ran, zaczynając od najciężej rannego. Jak dotąd nie mieli jeszcze czasu zająć się nikim innym.

– Jakiś pomysł, z kim mamy tu do czynienia? – zapytał cicho Wendell.

– Nie SPZ – skomentował Holden.

– To faktycznie ogranicza liczną grupę podejrzanych – odpowiedział sarkastycznie kapitan z Pinkwater. – Czy nie powinienes mi powiedzieć o kimś, kogo szczególnie wkurzyłeś?

Holden przybrał urażony wyraz twarzy, po czym wykonał ruch najbardziej zbliżony do wzruszenia ramion, jaki udało mu się osiągnąć w tej sytuacji.

– To dość długa lista – przyznał.

– Kolejne krwawienie – odezwała się kobieta.

– Widzę – potwierdził mężczyzna z narzędziem. Wyładowanie, dym, woń płonącego ciała.

– Bez obrazy, kapitanie Holden – odezwał się Wendell – ale zaczynam żałować, że nie zastrzeliłem pana, gdy miałem okazję.

– Nie obraziłem się – odpowiedział Holden, kiwając głową.

Do pokoju wróciło czterech żołnierzy, wszyscy o masywnym wyglądzie Ziemiaków. Jeden z nich – ciemnoskóry, z siwymi włosami i aurą dowódcy – bardzo energicznie subwokalizował. Jego spojrzenie przejechało po więźniach, widział ich, lecz nie rejestrował. Jakby byli skrzynkami. Kiedy jego spojrzenie zatrzymało się na Praksie, kiwnął głową, ale nie do niego.

– Są stabilni? – rzucił w kierunku zespołu medycznego.

– Gdybym miała wybór – odpowiedziała kobieta – tego bym nie ruszała.

– A gdybyś nie miała?

– Chyba przeżyje. Ograniczać wysokie ciążenie do minimum do czasu, aż trafi do porządnego ambulatorium.

– Przepraszam – odezwał się Holden. – Czy ktoś byłby uprzejmy powiedzieć mi, co się tu, u diabła, dzieje?

Równie dobrze mógłby się zwracać do ścian.

– Mamy dziesięć minut – oświadczył ciemnoskóry mężczyzna.

– Statek transportowy?

– Jeszcze nie. Bezpieczna placówka.

– Bosko – skomentowała kwaśno kobieta.

– Bo jeśli chcecie nas wypytywać – nie ustępował Holden – powinniśmy zacząć od zabrania wszystkich z Ganimedesa. Jeśli chcesz, żeby twoi ludzie zostali ludźmi, musimy uciekać. To laboratorium, w którym byliśmy, miało protomolekułę.

– Mają być przenoszeni dwójkami – polecił ciemnoskóry.

– Tak jest, sir – odpowiedziała kobieta.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – krzyknął Holden. – Na tej stacji uwolniono protomolekułę.

– Nie słuchają nas, Jim – powiedziała Naomi.

– Ferguson. Mot – powiedział ciemnoskóry dowódca. – Raport.

W pokoju panowała cisza, gdy ktoś zdawał raport przez radio.

– Zginęła moja córka – odezwał się Praks. – Ten statek zabrał moją córkę.

Jego też nie słuchali. Nie spodziewał się, że będą. Nikt go nie słuchał, oprócz Holdena i jego załogi. Ciemnoskóry

mężczyzna nachylił się do przodu z wyrazem skupienia na twarzy. Praks poczuł, że zaczynają mu się jeżyć włosy na karku. Przecucie.

– Powtórz to – polecił ciemnoskóry. A po chwili: – *My strzelamy? Jacy my?*

Ktoś odpowiedział. Zespół medyczny i strażnicy pilnujący broni też skupili wzrok na dowódcy. Mieli pokerowe twarze.

– Zrozumiano. Zespół alfa, nowe rozkazy. Idźcie do portu i zabezpieczcie statek transportowy. Udzielam zgody na użycie siły. Powtarzam: udzielam zgody na użycie siły. Sierżancie Czernew, porozcinajcie więźniom nogi.

Jeden z żołnierzy pilnujących broni wyraźnie się obruszył.

– Wszystkim, sir?

– Wszystkim. I będziemy potrzebować noszy dla tego rannego.

– Co się dzieje, sir? – zapytał sierżant głosem świadczącym o niepewności i strachu.

– Dzieje się to, że wydałem wam rozkaz – odpowiedział ciemnoskóry, szybko idąc w stronę drzwi. – A teraz *wykonać*.

Praks poczuł cięcie noża jak ostre drżenie przy kostkach. Nie zdawał sobie sprawy, że utracił czucie w stopach do chwili, gdy nagły powrót krążenia i ostre mrowienie wywołały tak ostry ból, że do oczu napłynęły mu łzy. Stanie bolało. W oddali coś zagrzmiało, jak upuszczony z dużej wysokości pusty kontener transportowy. Sierżant rozciął więzy nóg Amosa i przesunął się do Naomi. Przy ich broni stał tylko jeden strażnik. Zespół medyczny zaklejał właśnie brzuch postrzelonego mężczyzny żelem o

słodkim zapachu. Sierżant się schylił.

Wymiana spojrzeń między Holdenem i Amosem była jedynym ostrzeżeniem dla Praksa.

Holden ruszył w stronę drzwi tak swobodnie, jak człowiek kierujący się do ubikacji.

– Hej! – krzyknął żołnierz pilnujący broni, unosząc karabin wielkości ręki.

Holden obejrzał się niewinnie, ściągając na siebie wszystkie spojrzenia, podczas gdy Amos za nim walnął kolanem w głowę sierżanta. Praks krzyknął zaskoczony, a broń obróciła się w jego stronę. Próbował podnieść ręce, ale wciąż miał je związane za plecami. Wendell zrobił krok do przodu, oparł się stopą o biodro sanitariuszki i wepchnął ją na linię ognia strażnika.

Naomi klęczała na szyi sierżanta, który zrobił się czerwony z braku powietrza. Holden kopnął w kolano mężczyznę z elektronarzędziem chirurgicznym w tej samej chwili, gdy Amos rzucił się na żołnierza z karabinem. Przyrząd do kauteryzacji upadł na podłogę, skwiercząc z dźwiękiem przypominającym stukanie palcem o szkło. Paula miała w rękach nóż sierżanta, cofając się w stronę jednego z towarzyszy i gorączkowo piłując plastikowy zacisk wokół jego nadgarstków. Żołnierz z karabinem uderzył łokciem Amosa, gwałtownie wyduszając z niego powietrze. Holden rzucił się na męską połowę zespołu medycznego, unieruchamiając kolanami ręce mężczyzny. Amos zrobił coś, czego Praks nie zobaczył, a jego przeciwnik stęknął i zgiął się w pół.

Paula uporała się z więzami w chwili, gdy sanitariuszka chwyciła karabin. Uwolniony mężczyzna wyciągnął pistolet z kabury powalonego sierżanta i wychylił się do

przodu, przyciskając lufę do skroni sanitariuszki, która o ćwierć sekundy za późno uniosła swoją broń.

Wszyscy znieruchomieli. Sanitariuszka się uśmiechnęła.

– Szach– mat– powiedziała i opuściła karabin.

Wszystko trwało najwyżej dziesięć sekund.

Naomi przejęła nóż i szybkim, metodycznym ruchem porozcinała więzy na nadgarstkach, a Holden szedł za nią, wyłączając radia szarych, nieoznakowanych pancerzy i wiążąc ręce i nogi pokonanych. Idealne odwrócenie wcześniejszej sytuacji. Rozcierający palce Praks doznał absurdałnej wizji ciemnoskórego mężczyzny, który po powrocie do pokoju zaczęłby wydawać mu rozkazy. Rozbrzmiał kolejny grzmot upuszczenia z wysoka olbrzymiego, rezonującego kontenera.

– Zapewniam was, że bardzo doceniam, jak zajęliście się moimi ludźmi – odezwał się Wendell do pary składającej się na zespół medyczny.

Kobieta zasugerowała coś obscenicznego i nieprzyjemnego, ale uśmiechała się przy tym.

– Wendell – rzucił Holden, grzebiąc w stercie ich rzeczy, a następnie rzucając klucz w kierunku dowódcy grupy byłych najemników Pinkwater. – *Lunatyk* nadal jest wasz, ale jak najszybciej musicie się na niego dostać i wynosić się stąd w cholerę.

– Nie musisz mnie przekonywać – odpowiedział Wendell. – Weźcie te nosze. Nie zostawimy go tu, a musimy się zbierać, zanim przyjdą posiłki.

– Tak jest, sir – rzuciła Paula.

Wendell odwrócił się do Holdena.

– Spotkanie pana było ciekawym doświadczeniem, kapitanie. Nie róbmy tego więcej.

Holden kiwnął głową, ale nie przerwał zakładania pancerza, by uścisnąć mu dłoń. Amos też założył na siebie pancerz, a potem rozprowadził z powrotem skonfiskowaną broń i rzeczy. Holden sprawdził magazynek swojego karabinu i wyszedł przez te same drzwi, co ciemnoskóry mężczyzna. Amos i Naomi szli tuż za nim. Praks pobiegł za nimi. Rozległ się kolejny wybuch, tym razem nie tak odległy. Praks miał wrażenie, że poczuł drżenie lodu pod nogami, ale to mogła być tylko jego wyobraźnia.

– Co... co się dzieje?

– Protomolekuła się uwolniła – odpowiedział Holden, rzucając Naomi ręczny terminal. – infekcja zaczyna się rozprzestrzeniać.

– Nie sodze, żeby to sieb działo, kapitanie – zaprotestował Amos. Z grymasem chwycił nos prawą ręką i szarpnięciem odciągnął go od twarzy. Kiedy puścił, nos wyglądał prawie normalnie. Wydmuchał z obu nozdrzy krwawe gluty, a potem odetchnął głęboko. – Tak lepiej.

– Aleks? – Naomi odezwała się do terminala. – Aleks, powiedz mi, że wciąż mamy połączenie. Mów do mnie.

Jej głos brzmiał niepewnie.

Następna eksplozja, tym razem głośniejsza niż wszystkie, jakie Praks dotąd słyszał. Tym razem nie miał wątpliwości co do wstrząsów, rzuciły go na podłogę. Powietrze pachniało czymś dziwnym, jakby przegrzanym metalem. Światła stacji zamigotały i zgasły, a w ich miejsce rozjarzyły się bladobłękitne diody ewakuacyjne. Rozbrzmiewał sygnał niskociśnieniowego klaksonu alarmowego, zaprojektowanego do roznoszenia dźwięku nawet przez rzadkie powietrze. Kiedy Holden się odezwał,

jego głos brzmiał prawie kontemplacyjnie.

– A może po prostu bombardują stację.

* * *

Stacja Ganimesdes była jednym z pierwszych trwałych ludzkich osiedli na planetach zewnętrznych. Zbudowano ją z myślą o długotrwałym zamieszkiwaniu, co obejmowało nie tylko jej architekturę, lecz także plany dalszej ekspansji ludzkości w mroczne rejony zewnętrzne Układu Słonecznego. Możliwość katastrofy wbudowano w jej DNA od samego początku. Była najbezpieczniejszym miejscem systemu Jowisza. Sama jej nazwa budziła kiedyś automatyczne skojarzenia nowo narodzonych dzieci i kopuł pełnych upraw. Jednak miesiące, które upłynęły od upadku luster, zmieniły ten stan rzeczy.

Grodzie ciśnieniowe, przewidziane do ograniczenia utraty atmosfery, zostały otwarte na siłę i zablokowane, gdy wysiadły układy hydrauliczne. Zapasy awaryjne zostały zużyte i nikt ich nie uzupełnił. Skradziono i sprzedano wszystkie wartościowe elementy, które można było zamienić na żywność lub bilet poza stację. Infrastruktura społeczna Ganimesdesa pogrążała się już w powolnym, nieubłaganym upadku. Takiej sytuacji nie uwzględniała nawet najczarniejsze scenariusze.

Praks stał w zwieńczonej łukowatym sklepieniem przestrzeni komunalnej, gdzie umówił się na pierwszą randkę z Nikolą. Jedli razem w małej *dulcerii*, pijąc kawę i flirtując. Wciąż pamiętał kształt jej twarzy i emocje, które nim owładnęły, gdy ujęła jego dłoń. Lód w miejscu *dulcerii* był teraz popękany chaos. Zbiegało się tu kilkanaście korytarzy i przez wszystkie pędzili ludzie,

próbując dostać się do portu albo dość głęboko pod powierzchnię księżycy, by łód zapewnił im osłonę, bądź w inne miejsca, które uznawali za bezpieczne.

Jedyny dom, jaki w życiu poznał, rozpadał się właśnie wokół niego. W ciągu następnych kilku godzin zginęły tysiące ludzi. Praks to wiedział i jakaś jego część czuła przerażenie, ale Mei była na tamtym statku, więc jej nie groził ten los. Wciąż musiał ją uratować, tylko nie przed tym. Więc dało się wytrzymać.

– Aleks mówi, że jest tam gorąco – powiedziała Naomi, gdy ich czwórka szła szybko przez ruiny. – Bardzo gorąco. Nie da rady dostać się do portu.

– Jest jeszcze jedno lądowisko – przypomniał Praks. – Moglibyśmy tam pójść.

– Dobra myśl – pochwalił Holden. – Podaj Aleksowi współrzędne bazy naukowej.

– Tak jest, sir – odpowiedziała Naomi równocześnie z Amosem, który uniósł rękę jak dziecko w szkole i zapytał.

– Tej z protomolekułą?

– To jedyne tajne lądowisko, jakie mamy w okolicy – odpowiedział Holden.

– No dobra, w porządku.

Gdy Holden odwrócił się do Praksa, jego twarz aż zszarzała od wysiłku i strachu.

– Dobra, Praks. Jesteś tutejszy. Nasze pancerze chronią przed próżnią, ale potrzebujemy skafandrów dla ciebie i Naomi. Czeka nas droga przez piekło i nie cała wiedzie przez tunele z atmosferą, a nie mam czasu na pomyłki na skrzyżowaniach ani szukanie czegoś dwa razy. Idziesz przodem. Poradzisz sobie?

– Tak – potwierdził Praks.

Znalezienie awaryjnych skafandrów próżniowych było łatwe. Były na tyle powszechne, że praktycznie nie miały żadnej wartości handlowej i rozmieszczono je w jaskrawo pomalowanych stanowiskach awaryjnych. Wszystkie zasoby w głównych salach i korytarzach zostały już opróżnione, ale nie miał problemu ze skrętem w wąski korytarz boczny, prowadzący do nieco mniej popularnego kompleksu, gdzie Praks zabierał Mei na łyżwy. Skafandry były jaskrawe, pomarańczowo– zielone, by ratownicy widzieli je z daleka. Tym razem lepszy byłby kamuflaż. Maski śmierdziały plastikiem, a stawy zrobiono przez wszyście w materiał metalowych pierścieni. Grzejniki skafandrów wyglądały na zaniedbane i istniało ryzyko, że przy dłuższym używaniu zapalą się. Nastąpił kolejny wybuch, a po nim jeszcze dwa, każdy bliższy niż poprzedni.

– Atomówki– skomentowała Naomi.

– Może pociski z dział Gaussa – odparł Holden. Równie dobrze mogliby mówić o pogodzie.

Praks wzruszył ramionami.

– Wszystko jedno, każde bezpośrednie trafienie korytarza oznacza przegrzaną parę – powiedział, zapinając ostatnie zamknięcie na boku i sprawdzając tanią, zieloną diodę LED, która informowała o przepływie tlenu. System grzewczy zamigotał na żółto, ale po chwili wrócił do zielonego stanu. – Ty i Amos możecie przeżyć, jeśli wasze pancerze są dobre, ale ja z Naomi raczej nie będziemy mieli szans.

– Świetnie – rzucił Holden.

– Straciłam *Rosa* – poinformowała Naomi. – Nie, straciłam całą łączność. Była przekierowywana przez

Lunatyka. Musieli wystartować.

Albo ich zniszczono. Ta myśl odmalowała się na wszystkich twarzach, ale nikt tego nie powiedział.

– Tędy – rzucił Praks. – Znam tunel serwisowy, którego używałem w czasach licealnych. Możemy obejść kompleks marmurowych łuków.

– Cokolwiek powiesz, chłopie – odpowiedział Amos. Znowu krwawił z nosa. W słabym niebieskim świetle wewnątrz hełmu krew wygładała na czarną.

To był jego ostatni marsz. Niezależnie do tego, co się zdarzy, Praks już nigdy tu nie wróci, bo *tu* przestanie istnieć. Szybki marsz korytarzem serwisowym, do którego Jaimie Loomis i Tanna Ibtrahmin– Sook zabrały go na prochy, był jego ostatnim pożegnaniem z tym miejscem. Obszerny amfiteatr z niskim sufitem pod starym ośrodkiem przetwarzania wody, gdzie odbywał pierwszy staż, był zniszczony, zalewany wodą z pękniętego zbiornika. Nie powinna zbyt szybko dotrzeć do korytarzy, ale za kilka dni woda dostanie się i do nich. Z drugiej strony za kilka dni to nie będzie miało znaczenia.

Wszystko jarzyło się w świetle awaryjnych diod LED albo nikło w mroku. Na ziemi pojawiła się lodowa breja, będąca wynikiem nieudanych prób skompensowania warunków przez system ogrzewania. Dwa razy ich droga okazała się zablokowana, raz przez wciąż sprawną groź ciśnieniową, raz przez zwał lodu. Prawie nikogo nie spotkali. Prawie wszyscy inni uciekali do portu, podczas gdy Praks prowadził ich teraz prawie dokładnie w przeciwną stronę.

Kolejny długi, zakrzywiony korytarz, potem w górę rampy konstrukcyjnej, przez pusty tunel i...

Błękitne stalowe drzwi na ich drodze nie były zablokowane, ale działały w trybie bezpieczeństwa. Według kontrolki po ich drugiej stronie panowała próżnia. Najwyraźniej przebiła się tam jedna z bożych pięści walących w Ganimedesa. Praks zatrzymał się i przywołał w myślach trójwymiarową mapę układu stacji. Jeśli tajna baza była *tam*, a oni są *tutaj*, to...

– Nie dotrzemy tam – powiedział.

Pozostali przez chwilę milczeli.

– To nie jest dobra odpowiedź – stwierdził w końcu Holden. – Znajdź inną drogę.

Praks odetchnął głęboko. Jeśli się cofną, mogli zejść poziom niżej, ruszyć na zachód i dostać się do korytarza od dołu, tylko że wybuch na tyle silny, by przebić się tutaj, prawie na pewno naruszył też tunel poziom niżej. Jeśli pójdą dalej do starej stacji metra, może znajdą korytarz serwisowy – nie wiedział o takim w tej okolicy, ale może był – a ten mógłby ich zaprowadzić we właściwym kierunku. Kolejne trzy wybuchy trzęsące lodem. Ściana obok niego pękła z dźwiękiem przypominającym uderzenie kijem bejsbolowym w piłkę.

– Praks, chłopie – odezwał się Amos – im szybciej, tym lepiej.

Mieli skafandry próżniowe, więc jeśli otworzą drzwi, próżnia ich nie zabije. Ale będzie tam gruz blokujący drogę. Każde uderzenie dość silne, by przebić się tu z powierzchni, musiało...

Musiało...

– Nie dostaniemy się tam... tunelami stacji – powiedział w końcu. – Ale możemy wyjść na górę. Wyjść na powierzchnię i pójść tamtędy.

– A jak to zrobimy? – zapytał Holden.

Znalezienie drogi wyjścia, która nie była zamknięta, zajęło dwadzieścia minut, ale Praksowi się to udało. Droga mieszcząca ledwie trzech ludzi obok siebie, była korytarzem automatycznych urządzeń serwisujących kopuły od zewnątrz. Urządzenie zostało już dawno rozebrane na części, ale to nie miało znaczenia. Śluza wciąż działała dzięki akumulatorom. Naomi z Praksem wprowadzili jej instrukcje, zamknęli wewnętrzne drzwi i po ich zablokowaniu otworzyli zewnętrzne. Przez chwilę popychało ich uciekające powietrze, ale nacisk szybko ustał. Praks wyszedł na powierzchnię Ganimedesa.

Kiedyś widział nagrania zorzy polarnej z Ziemi, ale nigdy nie sądził, że zobaczy coś podobnego w czerni własnego nieba. A jednak nie tylko tuż nad sobą, ale w krechach od horyzontu po horyzont świeciły pasy zieleni, błękitu i złota – dipole, resztki statków i promieniujący gaz stygnącej plazmy. Jaskrawe kwiaty silników plazmowych. Kilka kilometrów dalej pocisk z działa elektromagnetycznego uderzył w powierzchnię księżyca, a wstrząs sejsmiczny powalił ich na ziemię. Praks leżał przez chwilę bez ruchu, patrząc na gejzer wystrzeliwujący w mrok, a potem opadający powoli jako śnieg. Widok był piękny. Racjonalna, naukowa część jego umysłu próbowała wyliczyć przekaz energii do księżyca uderzanego przez rozpędzony elektromagnetycznie kawałek wolframu. Coś na poziomie małej atomówki bez całego niepotrzebnego promieniowania. Zaczął rozważać, czy pocisk zatrzymałby się przed dotarciem do żelazowonikłowego rdzenia Ganimedesa.

– Dobra. – W tanim głośniczku radia skafandra Praksa

zabrział głos Holdena. Niskie tony były zniekształcone i Holden brzmiał jak postać z kreskówki. – W którą stronę?

– Nie wiem – odpowiedział Praks, podnosząc się na kolana. Wskazał w stronę horyzontu. – Gdzieś tam.

– Potrzeba mi dokładniejszego kierunku – odparł Holden.

– Nigdy jeszcze nie byłem na powierzchni – wyjaśnił Praks. – W kopułach, jasne. Ale tak po prostu *na zewnątrz*? Znaczący wiem, że jesteśmy blisko, ale nie wiem, jak tam dotrzeć.

– W porządku – stwierdził Holden. Gdzieś wysoko w próżni nad jego głową wybuchło coś potężnego. Wyglądało to jak rozbłysk komiksowej żarówki nad głową postaci z pomysłem. – Damy sobie radę. Jakoś to rozwiążemy. Amos, idź na to wzgórze i sprawdź, czy coś stamtąd zobaczysz. Praks, Naomi, ruszajcie w tę stronę.

– Chyba nie musimy tego robić – odpowiedziała Naomi.

– Dlaczego nie?

Naomi podniosła rękę, wskazując za Holdena i Praksa.

– Bo jestem całkiem pewna, że to *Ros* tam ląduje – odpowiedziała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Holden

Tajne lądowisko znajdowało się w zagłębieniu niewielkiego krateru. Gdy Holden przekroczył jego krawędź i zobaczył w dole *Rosynanta*, dopiero nagłe i oszałamiające rozładowanie napięcia uświadomiło mu, jak bardzo był przerażony przez ostatnich kilka godzin. *Ros* był ich domem i niezależnie od tego, jak bardzo racjonalny umysł podsuwał myśl, że nadal groziło im wielkie zagrożenie, dom oznaczał bezpieczeństwo. Zatrzymał się na chwilę dla złapania oddechu, a scena w dole została rozświetlona silnym blaskiem, jakby ktoś robił zdjęcie z potężną lampą błyskową. Holden spojrział w górę na czas, by zobaczyć chmurę gasnącego gazu na orbicie.

W kosmosie nad ich głowami wciąż ginęli ludzie.

– Rety – skomentował Praks. – Jest większy, niż się spodziewałem.

– To korweta – wyjaśnił Amos z wyraźną dumą w głosie.

– Okręt eskortowy klasy fregaty.

– Nie wiem, co to wszystko znaczy – wyznał Praks. – Wygląda jak duże dłuto postawione na odwróconej filiżance do kawy.

– To dysza... – zaczął tłumaczyć Amos.

– Dość – wciął się Holden. – Do służy.

Amos, skulony, poprowadził ich, zjeżdżając na podeszwach po lodowych ścianach krateru i używając rąk do zachowania równowagi. Praks pojechał za nim, choć raz nie potrzebował pomocy. Naomi pojechała trzecia, z refleksem i wyczuciem równowagi wypracowanym przez całe życie ze zmiennym ciężeniem. Udało jej się wyglądać wdzięcznie.

Holden pojechał ostatni, pogodzony z myślą, że wywróci się i zjedzie na dół na tyłku, a potem był miło zaskoczony, gdy udało mu się tego uniknąć.

Gdy pędzili susami przez płaskie dno krateru w stronę statku, otworzyły się drzwi śluzy, ukazując Aleksa w marsjańskim pancerzu z karabinem szturmowym. Gdy tylko znaleźli się dość blisko statku, by przebić się sygnałami przez orbitalne zagłuszanie, Holden odezwał się do towarzysza.

– Aleks! Dobrze cię znowu widzieć.

– Cześć, kapitanie – odpowiedział Aleks, nie próbując wcale ukrywać ulgi w głosie. – Nie byłem pewien, jak gorąca będzie sytuacja. Ktoś was ściga?

Amos wskoczył na rampę i chwycił Aleksa w niedźwiedzi uścisk, który zwałił go z nóg.

– Dobrze być w cholernym domu, stary! – rzucił.

Praks i Naomi weszli za nim, Naomi klepnęła Aleksa w ramię, przechodząc obok.

– Świetnie się spisaleś. Dziękuję.

Holden zatrzymał się na rampie, by ostatni raz spojrzeć w górę. Niebo pełne było błysków i jasnych smug wywołanych rozgrywającą się nad ich głowami bitwą. Nagle doznał żywego wspomnienia z czasów, gdy jako chłopiec przyglądał się potężnej burzy pełnej błyskawic

nad farmą w Montanie.

– Lądowanie byto trochę nerwowe – skomentował Aleks, patrząc na niego.

Holden objął go ramieniem.

– Dzięki, że przyleciałeś.

Gdy tylko słuza zakończyła cykl i załoga zdjęła skafandry i pancerze, Holden przedstawił ich gościom.

– Aleks, to Praks Meng. Praks, to najlepszy pilot w Układzie Słonecznym, Aleks Kamal.

Praks uścisnął rękę Aleksa.

– Dziękuję za pomoc w znalezieniu Mei.

Aleks pytająco zmarszczył brwi w stronę Holdena, ale krótki przeczący ruch głowy powstrzymał go przed pytaniami.

– Miło mi pana poznać, Praks.

– Aleks – powiedział Holden – rozgrzej silniki do startu, ale nie ruszaj, dopóki nie zajmę miejsca w fotelu drugiego pilota.

– Potwierdzam – rzucił Aleks i ruszył w stronę dziobu statku.

– Wszystko jest na boku – skomentował Praks, rozglądając się po magazynku tuż za wewnętrznymi drzwiami słuzy.

– Ros nie spędza za dużo czasu na brzuchu, jak teraz – odpowiedziała Naomi, biorąc go za rękę i prowadząc do załogowej drabiny, która teraz wyglądała bardziej jak szyny na podłodze. – W tej chwili stoimy na ścianie, a ściana z prawej normalnie jest podłogą.

– Dorastałeś w niskim ciężeniu i nie spędziłeś za wiele czasu na statkach – odezwał się Amos. – Rety, stary, następna część będzie dla ciebie ciężka.

– Naomi – zwrócił się do niej Holden. – Idź na mostek i przypnij się. Amos, zabierz Praksa na pokład załogowy, a potem idź do maszynowni i przygotuj *Rosa* na ostrą jazdę.

Zanim odeszli, Holden położył dłoń na ramieniu Praksa.

– Ten start i lot będą szybkie i wyboiste. Jeśli nie ćwiczyłeś do lotów w wysokim ciężeniu, będzie ci pewnie bardzo ciężko.

– Nie martwcie się o mnie – odpowiedział Praks z wyrazem twarzy, który pewnie miał oznaczać odwagę.

– Wiem, że jesteś twardy, inaczej nie przeżyłbyś ostatnich kilku tygodni. W tej chwili niczego nie musisz nam udowadniać. Amos zabierze cię na podkład załogowy, znajdź sobie pokój bez imienia na drzwiach, to będzie twoja kajuta. Połóż się w pryczy przeciążeniowej i zapnij pasy, a potem naciśnij jasnozielony przycisk na panelu po lewej. Prycza poda ci prochy, które cię uspią i nie dopuszczą do pęknięcia naczyń krwionośnych, gdybyśmy musieli ostro przyśpieszać.

– Moja kajuta? – Praks powtórzył z dziwną nutą w głosie.

– Gdy tylko wydostaniemy się z tego dołka, znajdziemy ci jakieś ubrania i przybory toaletowe. Będziesz mógł je tam trzymać.

– Moja kajuta – powtórzył Praks.

– Owszem – potwierdził Holden. – Twoja kajuta. – Widział, jak Praks walczy z gulą w gardle i uświadomił sobie, jak wiele mogła znaczyć ta prosta oferta komfortu i bezpieczeństwa dla kogoś, kto przeszedł przez ostatnie tygodnie tyle, co ten drobny botanik.

W oczach mężczyzny błyszczały łzy.

– Chodź, znajdziemy ci miejsce – powiedział Amos, prowadząc Praksa w stronę pokładu załogowego.

Holden skierował się w przeciwną stronę, obok mostka, gdzie Naomi siedziała już przypięta w fotelu przed jedną ze stacji roboczych kokpitu. Wspiął się na fotel drugiego pilota i zapiął pasy bezpieczeństwa.

– Pięć minut – ogłosił przez okrętowy interkom.

– No to – odezwał się Aleks, przeciągając ostatnią samogłoskę przy przestawianiu przełączników w ramach listy kontrolnej przed startem – szukamy teraz kogoś o imieniu Mei?

– To córka Praksa.

– Tym się teraz zajmujemy? Wygląda, jakby cel naszej misji uległ drobnej zmianie.

Holden kiwnął głową. Odnajdywanie zaginionych córek nie było elementem ich zadania. Tym zajmował się Miller. Nie potrafił też do końca wyjaśnić odczuwanej pewności, że ta zaginiona dziewczynka tkwiła w samym centrum wszystkiego, co działo się na Ganimesdesie.

– Myślę, że ta zaginiona dziewczynka tkwi w samym centrum wszystkiego, co działo się na Ganimesdesie – powiedział głośno, wzruszając ramionami.

– Dobra – zgodził się Aleks, a potem dwa razy nacisnął coś na jednym z paneli i zmarszczył brwi. – Mamy czerwoną kontrolkę. Brak szczelności w śluzie towarowej. Pewnie dostałem jakimś odłamkiem przy lądowaniu. Tam w górze jest dość gorąco.

– Teraz nie będziemy tego naprawiać – zdecydował Holden. – Większość czasu i tak trzymamy ładownię w próżni. Jeśli wewnętrzny wąż ładowni pokazuje szczelność, po prostu wyłącz alarm i startujemy.

– Potwierdzam – odpowiedział Aleks i wcisnął przycisk ominięcia alarmu.

– Jedna minuta – ostrzegł Holden przez interkom i zwrócił się do Aleksa. – Jestem ciekaw.

– Czego?

– Jak udało ci się przemknąć przez tę gównoburzę na orbicie i czy dasz radę zrobić to jeszcze raz w drugą stronę?

Aleks się roześmiał.

– Prosta kwestia dopilnowania, by na radarach wszystkich stron nigdy nie wyglądać na zagrożenie większe niż drugie w kolejności. Oraz, oczywiście, niepozostawanie na miejscu, gdy już zdecydują się do ciebie dobrać.

– Dam ci podwyżkę – oznajmił Holden, a potem zaczął odliczać dziesięć sekund do startu.

Przy „jeden” *Ros* uniósł się z Ganimedesa na czterech słupach przegrzanej pary.

– Obróć nas na pełny ciąg najszybciej, jak będziesz mógł – polecił Holden przez wibracje startu.

– Tak blisko?

– Pod nami nie ma nic istotnego – odpowiedział Holden, myśląc o pozostałościach czarnych włókien widzianych w ukrytej bazie. – Stop to.

– W porządku – zgodził się Aleks. – No to wbijamy ostrogi – dodał, gdy tylko statek skończył się ustawiać dziobem w górę.

Holden na chwilę stracił przytomność, nawet pomimo koktajlu w żyłach. Gdy oprzytomniał, *Ros* skręcał dziko na wszystkie strony. Kokpit rozbrzmiewał dźwiękami licznych alarmów.

– Hejże, skarbie – komentował pod nosem Aleks. – Spokojnie, wielkoludzie.

– Naomi – odezwał się Holden, patrząc na mnóstwo czerwonych symboli na ekranie zagrożeń i próbując je odszyfrować, pomimo braków krwi w mózgu. – Kto do nas strzela?

– Wszyscy. – Brzmienie jej głosu odzwierciedlało jego oszołomienie.

– Właśnie – powiedział Aleks głosem, któremu napięcie nadało poważniejsze niż zwykle brzmienie. – Ona nie żartuje.

Chmara symboli zagrożeń powoli zaczynała nabierać sensu i Holden zrozumiał, że mieli rację. Wyglądało na to, że połowa statków planet wewnętrznych po tej stronie Ganimedesa wystrzeliła w nich przynajmniej po jednym pocisku.

Wstukał kod przestawiający całe uzbrojenie na swobodny ogień i przekazał Amosowi sterowanie rufowymi działkami obrony punktowej.

– Osłaniaj nam tyłki, Amos.

Aleks robił, co mógł, żeby nie złapał ich żaden z nadlatujących pocisków, ale w gruncie rzeczy była to przegrana sprawa. Nic z mięsem w środku nie mogło uciec przed metalem i krzemem.

– Gdzie lecim... – zaczął Holden i urwał, by wycelować w rakietę, która zawędrowała w zasięg ostrzału przedniej sterburtowej baterii działek.

Działko wystrzeliło w nią długą serię. Pocisk był dostatecznie inteligentny, by wykonać ostry unik, ale jego nagła zmiana kursu zapewniła im kilka dodatkowych sekund.

– Kalisto jest po naszej stronie Jowisza – powiedział Aleks, mając na myśli drugi co do wielkości po

Ganimedesie księżyc. – Wejdziemy w jego cień.

Holden sprawdził wektory statków, które do nich wystrzeliły. Jeśli któryś z nich ich ścigał, ruch Aleksa da im tylko kilka minut, ale wyglądało na to, że tego nie robią. Z kilkunastu jednostek, które posłały im pociski, ponad połowa była w większym lub mniejszym stopniu uszkodzona, a pozostałe były zbyt zajęte strzelaniem do siebie nawzajem.

– Wygląda na to, że przez chwilę byliśmy dla wszystkich zagrożeniem numer jeden – skomentował Holden. – Ale już spadliśmy w rankingu.

– Tak, przepraszam, kapitanie. Nie jestem pewien, dlaczego tak się stało.

– Nie twoja wina – rzucił Holden.

Ros zadygotał, a Amos wykrzyknął radośnie w okrętowym interkomie.

– Nie będziesz próbował nam obmacywać tyłka!

Z panelu zagrożeń zniknęły dwa z bliższych pocisków.

– Dobra robota, Amos – pochwalił Holden, sprawdzając zaktualizowane czasy do uderzeń. Zauważył, że zyskali kolejne pół minuty.

– Cholera, kapitanie, Ros sam odwała całą robotę – rzucił Amos. – Ja tylko zachęcam go, by wyrażał swoją osobowość.

– Zanurkujemy za osłonę Kalisto. Przydałoby mi się odwrócenie uwagi – zwrócił się Aleks do Holdena.

– Dobra, Naomi, jeszcze jakieś dziesięć sekund – powiedział Holden. – Potem wal w nie wszystkim, co masz. Trzeba będzie je na chwilę oślepić.

– Przyjęłam – odpowiedziała Naomi.

Holden zobaczył, jak przygotowuje potężny pakiet

zagłuszania laserowego i radiowego.

Rosynant znów się szarpnęła i nagle większość ekranu przed Holdenem wypełnił Kalisto. Aleks pędził w jego stronę z samobójczą prędkością, w ostatniej chwili odwracając statek i włączając ostry ciąg, by rzucić ich na niską trajektorię do manewru z asystą grawitacyjną.

– Trzy... dwa... jeden... już – powiedział, rzucając *Rosa rufą* w stronę Kalisto i przemykając tak nisko nad powierzchnią, że Holden miał wrażenie, jakby mógł wystawić rękę przez śluzę i zebrać trochę śniegu.

W tej samej chwili czujniki ścigających ich rakiet zaatakował pakiet zagłuszający Naomi, oślepiając je do czasu, aż ich procesory uporały się z szumem.

Zanim zdołały ponownie namierzyć *Rosynanta*, korweta została rzucona na drugą stronę Kalisto przez grawitację i silnik, mknąc z dużą prędkością nowym wektorem. Dwie rakiety próbowały wykręcić i ścigać ich, ale reszta odleciała w losowe kierunki lub rozbiła się o powierzchnię księżyca. Gdy goniące ich rakiety wróciły na kurs pościgowy, *Ros* zdołał zyskać olbrzymią przewagę i mógł nieśpiesznie je zestrzelić.

– Udało nam się – oświadczył Aleks.

Holden uznał niedowierzanie w jego głosie za lekko niepokojące. Naprawdę było tak blisko?

– Nigdy w to nie wątpiłem – powiedział tylko. – Zabierz nas na Tycho. Z pół g. Będę w mojej kajucie.

* * *

Gdy skończyli, Naomi przesunęła się na swoją stronę wspólnej koi. Czarne loki przylepiły się jej do czoła. Wciąż dyszała. On też.

– To było... energiczne – skomentowała.

Holden kiwnął głową, ale nie miał dość sił, by odpowiedzieć. Kiedy zszedł po drabinie z kokpitu, Naomi już na niego czekała, bez pasów fotela. Chwyciła go i pocałowała tak mocno, że pękła mu warga. Nawet tego nie zauważył. Dotarli do kajuty, ledwie powstrzymując się od wcześniejszego zderzenia z siebie ubrań. To, co działo się później, nie było dla Holdena do końca jasne, choć bolały go nogi i warga.

Naomi przetoczyła się przez niego i wstała z koi.

– Muszę do ubikacji – powiedziała, zakładając szlafrok i podchodząc do drzwi. Holden tylko kiwnął głową, wciąż nie do końca potrafił się odezwać.

Przesunął się na środek łóżka, rozciągając ręce i nogi. Prawdę mówiąc, kajut *Rosynanta* nie zaprojektowano dla dwóch osób, a już na pewno nie dotyczyło to prycz przeciążeniowych pełniących też funkcję łóżek, jednak w ciągu ostatniego roku spędzał coraz więcej nocy, śpiąc w kajucie Naomi, aż w końcu stała się *ich* kajutą i już nie sypiał nigdzie indziej. Nie mogli dzielić koi podczas manewrów z wysokim przeciążeniem, ale jak na razie nigdy nie spali, gdy statek wymagał wykonywania gwałtownych zmian kursu. Ten trend prawdopodobnie mógł się utrzymać.

Holden zaczął zapadać w drzemkę, gdy włąz w końcu się otworzył i Naomi wróciła. Rzuciła mu na brzuch zimny, mokry ręcznik.

– Hej, orzeźwiający – rzucił Holden, zrywając się.

– Był gorący, gdy wychodziłam z nim z łazienki.

– Zabrzmiało bardzo dwuznacznie – skomentował Holden, wycierając się.

Naomi uśmiechnęła się szeroko, a potem usiadła na brzegu koi i szturchnęła go w żebra.

– Wciąż ci seks na myśli? Myślałam, że całkiem się z niego wypompowałeś.

– Otarcie się o śmierć cudownie wpływa na libido.

Wciąż owinięta szlafrokiem Naomi weszła głębiej na koję.

– Wiesz – powiedziała – to był mój pomysł. I jestem wielką zwolenniczką afirmacji życia przez seks.

– Dlaczego mam wrażenie, że gdzieś na końcu tego zdania brakuje „ale”?

– Ale...

– No właśnie.

– Musimy o czymś porozmawiać. A to chyba właściwa chwila.

Holden obrócił się na bok twarzą do niej i dźwignął się na łokciu.

Naomi odgarnęła gruby kosmyk włosów, który zasłaniał część jej twarzy.

– Co zrobiłem? – zapytał.

– Niezupełnie chodzi o coś, co zrobiłeś – odpowiedziała. – Bardziej o to, co teraz będziemy robić.

Holden położył dłoń na jej ramieniu, ale czekał, by dokończyła. Miękka tkanina szlafroka przykleiła się do wilgotnej skóry pod spodem.

– Martwię się – wyznała – że lecimy na Tycho zrobić coś bardzo głupiego.

– Naomi, nie było cię tam, nie widziałas...

– Widziałam, Jim, przez kamerę na skafandrze Amosa. Wiem, co to jest. I wiem, jak bardzo cię to przeraża. Mnie też, i to cholernie.

– Nie – odpowiedział Holden zaskoczony gniewem we własnym głosie. – Nie rozumiesz. Nie było cię na Erosie, gdy to się wy dostało, nigdy...

– Hej, byłam tam. Może nie podczas najgorszego, nie tak jak ty – przypomniała Naomi wciąż spokojnym głosem. – Ale pomagałam wnosić to, co zostało z ciebie i Millera do ambulatorium. I patrzyłam, jak tam umierasz. Nie możemy po prostu oskarżyć Freda o...

– W tej chwili – i mam na myśli *właśnie teraz* – Ganimedes może się przemieniać.

– Nie...

– *Tak*. Owszem, może. Mogliśmy zostawić za sobą kilka milionów martwych ludzi, którzy jeszcze nie wiedzą, że są trupami. Melissa i Santichai? Pamiętasz ich. Pomyśl sobie teraz o nich, obdartych do elementów, które protomolekuła uzna za chwilowo najbardziej przydatne. Pomyśl o nich jako o *częściach*. Bo jeśli to świństwo szaleje na Ganimesesie, to właśnie tym się stali.

– Jim. – Tym razem w głosie Naomi zabrzmiało ostrzeżenie. – o tym właśnie mówię. Nasilenie uczuć nie jest *dowodem*. Zamierzasz oskarżyć człowieka, który przez ostatni rok był twoim przyjacielem i pracodawcą, o wymordowanie całego księżycyca pełnego ludzi. To nie pasuje do Freda, jakiego znamy. I jesteś mu winien coś więcej.

Holden dźwignął się do pozycji siedzącej, czuł, jak jakaś jego część chce się odsunąć od Naomi, ta część, która była na nią zła za spieranie się z nim.

– To *ja* dałem Fredowi ostatnią próbkę. *Dałem mu ją*, a on przysiągł, patrząc mi prosto w oczy, że nigdy jej nie użyje. Ale nie to widziałem tam na dole. Nazywasz go

moim przyjacielem, ale Fred zawsze robił wyłącznie to, co było dla niego korzystne. Nawet pomaganie nam byto tylko kolejnym ruchem w jego rozgrywce politycznej.

– Eksperymenty na porwanych dzieciach? – zapytała Naomi. – Cały księżyc – jedno z najważniejszych miejsc w planetach zewnętrznych – zagrożony i może całkowicie zniszczony? Czy to ma dla ciebie jakiś sens? Czy to naprawdę pasuje do Freda Johnsona?

– SPZ chce Ganimedesa jeszcze bardziej niż planety wewnętrzne – odciął się Holden, przyznając się w końcu do tego, czego bał się, od kiedy znaleźli czarne włókna. – A oni mu go nie chcieli dać.

– Przestań – rzuciła Naomi.

– Może próbuje ich przepędzić albo sprzedał im to w zamian za księżyc. To przynajmniej wyjaśniłoby intensywny ruch planet wewnętrznych, który widzieliśmy...

– Nie. Przestań – poprosiła. – Nie chcę tu siedzieć i słuchać, jak sam się do tego przekonujesz.

Holden zaczął coś mówić, ale Naomi przesunęła się przed niego i łagodnie zasłoniła mu usta dłonią.

– Nie podoba mi się ten nowy Jim Holden, w którego się zmieniasz. Facet, który woli sięgnąć po broń, zamiast rozmawiać? Wiem, że rola policjanta SPZ to główniana robota, i wiem, że musieliśmy robić sporo paskudnych rzeczy w imię ochrony Pasa. Ale to wciąż byłeś ty. Wciąż widziałam cię kryjącego się pod powierzchnią i czekającego, by wrócić.

– Naomi – powiedział, odsuwając jej dłoń od swojej twarzy.

– Ten facet, który nie może się doczekać, by odstawić *W*

samo południe na korytarzach Tycho, to wcale nie jest Jim Holden. Nie poznaję tego człowieka – oświadczyła, a potem zmarszczyła brwi. – Nie, to nieprawda. Poznaję go. Ale nazywał się Miller.

Dla Holden najstraszniejszy był jej spokój. Ani na chwilę nie podniosła głosu, nie brzmiała jak osoba zdenerwowana. Zamiast złości był tylko nieskończenie gorszy, pełen rezygnacji smutek.

– Jeśli tym się teraz stałeś, będziesz musiał mnie gdzieś wysadzić. Nie mogę dłużej tego znosić – oświadczyła. – Odpadam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Avasarala

Avasarala stała w oknie, wpatrując się w poranną mgielkę. W oddali startował transportowiec. Sunął na smudze gazów odrzutowych, które wyglądały jak kolumna z białej chmury i zniknęły szybko. Bolały ją ręce. Wiedziała, że niektóre z docierających do jej oczu fotonów pochodziły z wybuchów odległych o wiele minut świetlnych. Stacja Ganimedes, kiedyś najbezpieczniejsze miejsce bez atmosfery, potem strefa wojny, teraz pustkowia. Nie potrafiła wyłowić światła jej zniszczenia, tak samo jak nie mogła wybrać jednej cząsteczki soli z oceanu, ale wiedziała, że tam jest – i ten fakt był jak kamień w żołądku.

– Mogę prosić o potwierdzenie – zaoferował Soren. – Nguyen powinien złożyć raport z przebiegu zdarzeń w ciągu osiemnastu godzin. Gdy tylko będziemy go mieć...

– Będziemy wiedzieć, co napisał – warknęła Avasarala. – Już mogę ci to powiedzieć. Siły marsjańskie przybrały zagrażającą nam pozycję i był zmuszony zareagować agresją. Bla, bla, kurwa, bla. *Skąd wziął statki?*

– Jest admirałem – przypomniał Soren. – Myślałem, że przychodzą ze stanowiskiem.

Odwróciła się. Chłopak wyglądał na zmęczonego. Był na nogach od bardzo wczesnych godzin. Jak wszyscy. Miał

zaczerwienione oczy i bladą, lepka od potu skórę.

– Sama rozebrałam jego grupę dowodzenia – powiedziała. – Rozdzielałam ją tak długo, aż dałoby się ją utopić w wannie. A teraz jest tam, mając dość siły ognia, by zaatakować marsjańską flotę?

– Najwyraźniej – potwierdził Soren.

Stłumiła chęć splunięcia. W końcu dotarł do niej grzmot startującego wcześniej transportowca, stłumiony przez odległość i szyby. Światło już przepadło. Dla jej niedospanego mózgu było to świetną analogią prowadzenia polityki w układzie Jowisza lub w Pasie. Coś się działo – było widać, jak się dzieje – ale słyszała o tym dopiero po fakcie. A wtedy było już za późno.

Popełniła błąd. Nguyen był zwolennikiem wojny, typem dorosłego chłopca, który nadal uważał, że każdy problem da się rozwiązać przez wystrzelenie dostatecznej liczby pocisków. Tylko że jak dotąd wszystko, co robił, było subtelne jak uderzenie rurką w kolano. A teraz za jej plecami zmontował grupę uderzeniową. I zdołał ją odsunąć od negocjacji z Marsem.

A to znaczyło, że to nie jego dzieło. Nguyen miał patrona albo jakąś klikę. Nie uważała go za poważnego gracza, więc ktokolwiek nim kierował, zdołał ją zaskoczyć. Walczyła z cieniami, czego nie znosiła.

– Więcej światła – powiedziała.

– Przepraszam?

– Dowiedz się, jak zdobył te statki – poleciła. – Zrób to, zanim pójdziesz spać. Chcę pełnego rozliczenia. Skąd wzięły się statki na uzupełnienie, kto wydał im rozkazy, jakie miały uzasadnienie. Wszystko.

– Czy chciałyby pani także kucyka, proszę pani?

– Jasne, że tak, kurwa – warknęła i oparła się o biurko. – Dobrze się spisujesz, któregoś dnia może dostaniesz prawdziwą pracę.

– Nie mogę się doczekać, proszę pani.

– Ona wciąż tu jest?

– Przy biurku – potwierdził Soren. – Mam ją przysłać?

– I to już.

Kiedy Bobbie weszła do pokoju z arkuszem taniego papieru w dłoni, Avasaralę znowu uderzyło, jak bardzo nie pasuje tu ta Marsjanka. Nie chodziło tylko o akcent czy różnicę w budowie ciała, świadczącą o dzieciństwie spędzonym w niższym, marsjańskim ciężeniu. W świecie wypełnionym polityką bardzo wyróżniała się aura fizycznej sprawności kobiety. Wyglądała, jakby została wyrwana z łóżka w środku nocy, jak wszyscy, tylko że u niej wcale nie wyglądało to źle. Ten szczegół mógł być przydatny, może nie, ale warto było go zapamiętać.

– Co dla mnie masz? – zapytała Avasarala.

Marsjanka zmarszczyła czoło.

– Udało mi się dotrzeć do kilku ludzi w dowództwie. Choć większość nie ma pojęcia, kim jestem. Pewnie spędziłam przynajmniej tyle samo czasu, wyjaśniając im, że pracuję dla pani, co rozmawiając o Ganimesesie.

– To lekcja. Marsjańscy biurokraci to głupi, skorumpowani ludzie. Co powiedzieli?

– Szczegółowo?

– W skrócie.

– Zaczęliście do nas strzelać.

Avasarala odchyliła się na oparcie fotela. Bolały ją plecy, bolały ją kolana, a splot żalu i wściekłości utrzymujący się zawsze tuż poniżej serca palił dziś mocniej niż zwykle.

– Oczywiście – zgodziła się. – Delegacja pokojowa?

– Już odleciała – powiedziała Bobbie. – Jutro zamierzają wydać oświadczenie, jak to ONZ negocjował w złej wierze. Wciąż spierają się co do sformułowań.

– Co ich powstrzymuje?

Bobbie pokręciła głową. Nie rozumiała.

– O jakie słowa walczą i która strona chce których słów?

– zażądała Avasarala.

– Nie wiem. Czy to istotne?

Oczywiście, że to istotne. Różnicę między *ONZ prowadzi negocjacje w złej wierze* a *ONZ prowadziło negocjacje w złej wierze* można było zmierzyć setkami ofiar. Tysiącami. Avasarala spróbowała stłumić niecierpliwość. Nie było to łatwe.

– No dobrze – powiedziała. – Zobaczmy, czy możesz mi dać coś jeszcze.

Bobbie wyciągnęła przed siebie kartkę. Avasarala ją wzięła.

– Co to, u diabła, jest?

– Moja rezygnacja. Pomyślałam, że będzie pani chciała mieć to w dokumentacji. Jesteśmy teraz w stanie wojny, więc wróć. Dostanę nowy przydział.

– Kto cię odwołał?

– Jeszcze nikt – przyznała Bobbie. – Ale...

– Czy mogłabyś usiąść? Rozmawiając z tobą, mam wrażenie, jakbym siedziała na dnie pieprzonej studni.

Marinę usiadła. Avasarala odetchnęła głęboko.

– Chcesz mnie zabić? – zapytała Avasarala.

Bobbie zamruwała, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, Avasarala uniosła rękę, domagając się ciszy.

– Jestem jedną z najpotężniejszych osób w ONZ.

Prowadzimy wojnę. To czy chcesz mnie zabić?

– Ja... chyba tak?

– Nie chcesz. Chcesz się dowiedzieć, kto zabił twoich ludzi, i chcesz, żeby politycy przestali smarować koła krwią marines. I niespodzianka! Kto by pomyślał? Ja też tego chcę.

– Ale jestem żołnierzem w czynnej służbie Marsa – przypomniała Bobbie. – Jeśli tu zostanę, pracując dla pani, dopuszczę się zdrady. – Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że nie była to skarga ani oskarżenie.

– Nie zostałeś odwołana – przypomniała Avasarala. – Inie zostaniesz. Zasady kontaktów dyplomatycznych w czasie wojny są niemal identyczne dla was, jak dla nas, a to ponad dziesięć tysięcy stron drobnym druczkiem. Jeśli w tej chwili dostaniesz rozkazy, mogę wysłać tyle zapytań i żądań uściśleń, że zdołasz umrzeć ze starości na tym krześle, czekając ze mną na odpowiedź. Jeśli po prostu chcesz zabić kogoś w imię Marsa, nie trafi ci się lepszy cel niż ja. Jeśli chcesz przerwać tę kretyńską wojnę i dowiedzieć się, kto tak naprawdę za nią stoi, wracaj za biurko i dowiedz się, kto chce jakich sformułowań.

Bobbie milczała przez dłuższą chwilę.

– Miała pani na myśli figurę retoryczną – odezwała się w końcu – ale zabicie pani miałoby pewien sens. A ja mogę to zrobić.

Avasarala poczuła dreszcz wędrujący wzdłuż kręgosłupa, ale nie pozwoliła, by dotarł do jej twarzy.

– Spróbuję ci tego nie przypominać w przyszłości. A teraz wracaj do pracy.

– Tak jest, sir – odpowiedziała Bobbie i wymaszerowała z gabinetu.

Avasarala odetchnęła, mocno wydymając policzki. Zachęciła marsjańską marinę do zabicia jej w jej własnym biurze. Potrzebowała cholery drzemki. Zadzwoił jej terminal. Właśnie dotarł priorytetowy, nieplanowany raport z czerwonym nagłówkiem przełamującym jej zwykle ustawienia. Dotknęła go, szykując się na kolejne wiadomości z Ganimedesa.

Ten dotyczył Wenus.

* * *

Jeszcze siedem godzin wcześniej *Arboghost* był niszczycielem trzeciej generacji, zbudowano go w stocznjach Bush trzynaście lat temu, a potem przerobiono na wojskową jednostkę badawczą. Przez ostatnie osiem miesięcy krążył po orbicie wokół Wenus. To właśnie z niego pochodziła większość otrzymywanych przez Avasaralę danych z aktywnych skanów.

Oglądane przez nią zdarzenie zostało zarejestrowane przez dwie lunarne stacje teleskopowe rejestrujące podgląd szerokokresowy (akurat były skierowane we właściwą stronę) i jakiś tuzin obserwatorów optycznych na pokładach statków. Zebrane zestawy danych doskonale się zgadzały.

– Odtwórz to jeszcze raz – poleciła Avasarala.

Michael– Jon de Uturbe był technikiem polowym, gdy spotkała go po raz pierwszy trzydzieści lat temu. Teraz był faktycznym kierownikiem komitetu do badań specjalnych, a ożenił się ze współlokatorką Avasarali z uniwersytetu. Przez te lata część jego włosów wypadła, reszta posiwiała, a ciemna skóra zaczęła zwisać nieco z kości, ale nie zmienił używanej przez cały czas taniej

wody kolońskiej.

Zawsze był bardzo nieśmiały, prawie aspołecznym człowiekiem. Wiedziała, że nie może od niego wymagać zbyt wiele, jeśli chce utrzymać ten kontakt. Jego małe, zagracone biuro mieściło się zaledwie kilkaset metrów od jej gabinetu, a w ciągu ostatnich dziesięciu lat spotkała go pięć razy, zawsze gdy potrzebowała szybko zrozumieć coś złożonego i mało znanego.

Dwukrotnie stuknął w swój terminal, a obraz na wyświetlaczu zresetował się. *Arboghost* znowu był cały, unosząc się w fałszywych kolorach nad mgłą wenusjańskich chmur. Znacznik czasu zaczął się przesuwać do przodu, sekunda po sekundzie.

– Przeprowadź mnie przez to – poprosiła.

– Cóż. Zacznijmy od skoku. Jest dokładnie taki, jak zarejestrowaliśmy, gdy ostatnim razem Ganimedesa zaczął trafiać szlag.

– Cudownie. Mamy już dwa punkty danych.

– To nastąpiło przed walką – zauważył. – Może z godzinę wcześniej, niewiele krócej.

Podczas strzelaniny Holdena, zanim zdążyła go aresztować. Ale jak Wenus mogła zareagować na rajd Holdena na Ganimedesie? Czy potwory Bobbie też brały w tym udział?

– Potem sygnał radiowy. Dokładnie – zatrzymał odtwarzanie – tutaj. Potężne przemiatanie w siatce trzy na siedem sekund. Szukało, ale wiedziało, gdzie szukać. Pewnie przez te wszystkie aktywne skany. To przyciągnęło uwagę.

– W porządku.

Wznowił odtwarzanie. Rozdzielczość nieco spadła, a on

sapnął z satysfakcją.

– To było ciekawe – skomentował, jakby reszta nie była.
– Jakiegoś typu impuls radiacyjny. Zakłócił działanie wszystkich teleskopów poza zakresem widzialnym wyłącznie na Lunie. Choć trwał tylko jedną dziesiątą sekundy. Emisja mikrofalowa po nim była dość standardowym skanem aktywnymi czujnikami.

Wydajesz się rozczarowany, pomyślała Avasarala, ale nie powiedziała tego, powstrzymana lękiem i przewidywaniem tego, co nastąpi potem.

Arboghost z 572 członkami załogi rozpadł się jak chmura. Płyty poszycia oderwały się w równych, uporządkowanych rzędach. Rozsunęły się wsporniki strukturalne i pokłady. Oderwały się maszynownie, odsuwając się na bok. Na obrazie przed nią cała załoga została wystawiona na działanie próżni. W chwili, na którą właśnie patrzyła, wszyscy umierali, ale jeszcze nie byli martwi. Fakt, że przypominało to oglądanie animacji planu konstrukcyjnego – tu kwatery załogi, część inżynieryjna tutaj, tak umieścimy osady silników – czynił to wszystko jeszcze bardziej upiornym.

– Teraz robi się szczególnie ciekawie – powiedział Michael– Jon, zatrzymując odtwarzanie. – Co się dzieje, gdy powiększymy obraz.

Nie pokazuj mi ich, chciała powiedzieć Avasarala. *Nie chcę patrzeć, jak umierają*.

Jednak obraz przeniósł się, a w jego centrum nie znalazła się ludzka istota, a splot skomplikowanych przewodów. Przesuwał powoli, klatka po klatce, a obraz zrobił się nieostry.

– Czy to ablacja? – zapytała.

– Co? Nie, nie. Zobacz, podejźmy jeszcze bliżej.

Obraz znów się zmienił. Zamglenie było iluzją wywołaną chmarą małych kawałków metalu: nitów, śrub, nakrętek, podkładek, uszczelek. Zmrużyła oczy. Chmura nie była też losowa. Każdy element utrzymywał się w szeregu z częściami przed nim i za nim, jak metalowe opiłki pod wpływem magnesu.

– *Arboghost* nie został rozerwany – powiedział. – Rozmontowano go. Wygląda na to, że było tam około piętnastu osobnych fal, z których każda rozbierała kolejny poziom mechanizmów. Rozebrały to wszystko na części, aż do śrub.

Avasarala odetchnęła głęboko, potem jeszcze raz i znowu, aż dźwięk wciąganego powietrza przestał brzmieć niepewnie, a strach i respekt osłabły na tyle, że mogła je odsunąć w głąb umysłu.

– Co robi coś takiego? – zapytała w końcu. To miało być pytanie retoryczne. Oczywiście, że nie było na nie odpowiedzi. Żadna znana ludzkości siła nie potrafiła dokonać czegoś takiego. Ale on nie zrozumiał.

– Studenci – odpowiedział promiennie. – Mój egzamin z projektowania przemysłowego wyglądał tak samo. Dali nam maszyny i musieliśmy je rozebrać, żeby odkryć, co i jak robią. Dodatkowe punkty przyznawano za usprawnienie działania. – Po chwili dodał trochę bardziej melancholijnie. – Oczywiście, musieliśmy je potem złożyć z powrotem.

Na ekranie zniknęły sztywność i porządek unoszących się w próżni metalowych elementów, a nity, wsporniki, ceramiczne płyty i maleńkie zaciski zaczęły dryfować, wprowadzone w chaotyczny ruch przez zanik siły, która

je utrzymywała. Siedemdziesiąt sekund od pierwszego impulsu do końca. Nieco ponad minutę, a w odpowiedzi nie oddano ani jednego strzału. Nie było nawet wiadomo, w co strzelać.

– Załoga?

– Rozmontowało na części ich skafandry. Opuściło sobie rozbieranie ciał. Może zinterpretowało je jako jednostki logiczne albo na temat ludzkiej anatomii wie już wszystko, czego potrzebuje.

– Kto to widział?

Michael– Jon zamrugał, potem wzruszył ramionami i znowu zamrugał.

– *To* czy jakąś tego wersję? Tylko my mamy strumienie wysokiej rozdzielczości, ale to Wenus. Zobaczył to każdy, kto patrzył. To przecież nie jest zamknięte laboratorium.

Zamknęła oczy, przyciskając dwoma palcami nasadę nosa, jakby walczyła z bólem głowy, próbując równocześnie utrzymać na miejscu maskę. Lepiej sprawiać wrażenie cierpiącej. Lepiej wydawać się zniecierpliwioną. Lęk trząśł nią jak w ataku padaczkowym, jak coś, co działo się komuś innemu. W oczach zebrały się łzy, ale zagryzła wargę, aż ustąpiły. Wywołała w ręcznym terminalu lokalizator osób. Nguyen był wykluczony, nawet gdyby znajdował się w zasięgu rozmowy. Nettleford leciał z tuzinem statków w stronę stacji Ceres i nie była go do końca pewna. Souther.

– Możesz wysłać tę wersję do admirała Southera?

– Och, nie. Nie zostało dopuszczone do ujawniania.

Avasarala popatrzyła na niego z kamienną twarzą.

– Dopuszczasz to do ujawnienia?

– Dopuszczam do ujawnienia admirałowi Southerowi.

Proszę, wyślij to natychmiast.

Michale– Jon szybko kiwnął głową, wystukał coś na ekranie małymi palcami. Avasarala wysłała do Southera prostą wiadomość ze swojego terminala. OBEJRZYJ I ZADZWONŃ. Kiedy wstała, zaboląły ją nogi.

– Dobrze było znów cię zobaczyć – powiedział Michael–Jon, nie patrząc na nią. – Powinniśmy się kiedyś umówić na kolację.

– Racja – zgodziła się Avasarala i wyszła.

W łazience było zimno. Avasarala stała przy umywalce, opierając dłonie o granit. Nie była przyzwyczajona do odczuwania strachu lub respektu. Całe jej życie kręciło się wokół kontroli, przekonywania, zastraszania i drażnienia się ze wszystkimi, którzy tego potrzebowali, do czasu, aż świat podążał w stronę, której oczekiwała. Wciąż dręczyły ją nieliczne przypadki, gdy wszechświat ją pokonał: trzęsienie ziemi w Bengalu, gdy była dziewczynką, burza w Egipcie, która na cztery dni uwięziła ich z Arjunem w hotelowym pokoju przy mizernych zapasach żywności, śmierć jej syna. Każde z tych zdarzeń sprawiało, że nieustanne udawanie pewności siebie i dumy zwracało się przeciw niej i pozostawiało ją na całe tygodnie zwiniętą w łóżku, z nocami pełnymi koszmarów i palcami drętwymi jak szpony.

To było jeszcze gorsze. Wcześniej mogła się pocieszać, że wszechświat nie miał świadomości. Że wszystkie te straszne rzeczy były jedynie przypadkowymi zbiegami okoliczności i bezmyślnych sił. Zniszczenie *Arboghasta* było czymś innym. Było świadome i nieludzkie. Miała wrażenie, że zobaczyła twarz Boga i nie znalazła na niej współczucia.

Z drzeniem wyciągnęła ręczny terminal. Arjun odebrał prawie natychmiast. Po zaciśniętych szczękach i łagodnym wyrazie oczu zorientowała się, że zobaczył jakąś wersję tego zdarzenia. A jego myśli nie krążyły wokół losu ludzkości, tylko wokół niej. Spróbowała się uśmiechnąć, ale to przekroczyło jej możliwości. Po policzkach spłynęły łzy. Arjun westchnął łagodnie i spuścił wzrok.

– Bardzo cię kocham – wyznała Avasarala. – Twoje istnienie pomaga mi znosić rzeczy nie do zniesienia.

Arjun uśmiechnął się szeroko. Dobrze wyglądał ze zmarszczkami. Teraz, na starość, zrobił się przystojniejszy, jakby komicznie poważny chłopak o okrągłej twarzy, który zakradał się pod jej okno czytać jej w nocy poezję, tylko czekał, by stać się tym mężczyzną, którym był dzisiaj.

– Kocham cię, zawsze cię kochałem, a jeśli odrodzimy się w nowym życiu, wtedy też będę cię kochał.

Avasarala jeszcze raz pociągnęła nosem, wytarła oczy wierzchem dłoni i kiwnęła głową.

– No dobrze – powiedziała.

– Wracasz do pracy?

– Wracam do pracy. Mogę być późno w domu.

– Będę czekać. Możesz mnie obudzić.

Przez chwilę oboje milczeli, potem się rozłączyła. Admirał Souther nie zadzwonił. Errinwright nie zadzwonił. Umysł Avasarali rzucał się na wszystkie strony jak terier atakujący transporter opancerzony. Wstała, zmuszając się do przestawienia jednej nogi przed drugą. Prosty fizyczny akt chodzenia wydawał się oczyszczać jej głowę. Na korytarzu stały małe wózki elektryczne, gotowe

zawieźć ją do biura, ale je zignorowała i kiedy dotarła do swojego gabinetu, była już prawie spokojna.

Bobbie siedziała przygarbiona przy biurku, a jej rozmiary sprawiały, że meble wyglądały jak ściągnięte ze szkoły podstawowej. Sorena nie było, co jej odpowiadało. Nie miał wojskowego przeszkolenia.

– Siedzisz w okopie i atakuje cię olbrzymi przeciwnik... – zaczęła Avasarala, siadając na brzegu biurka Sorena. – Powiedzmy, że jesteś na księżycu, a ktoś rzucił w ciebie kometą. Olbrzymie zagrożenie, rozumiesz?

Bobbie popatrzyła na nią i przez moment wyraźnie nie rozumiała, czego od niej oczekują, ale po chwili wzruszyła ramionami.

– No dobrze – powiedziała.

– To dlaczego wybierasz tę chwilę na walkę z sąsiadami? Jesteś po prostu przerażona i musisz to odreagować? Myślisz, że dranie obok odpowiadają za tę skałę? Czy po prostu jesteś głupia?

– Mówimy o Wenus i walce w układzie Jowisza – sprecyzowała Bobbie.

– Owszem, to cholernie przejrzysta metafora – przyznała Avasarala. – To dlaczego to robisz?

Bobbie odchyliła się na oparcie krzesła, które niebezpiecznie pod nią zatrzeszczało. Zmrużyła oczy, na chwilę otworzyła usta, zamknęła je, zmarszczyła brwi i zaczęła od początku.

– Umacniam swoją pozycję – powiedziała w końcu. – Jeśli zużyję zasoby na zatrzymanie komety, to gdy tylko pozbędę się tego zagrożenia, przegram. Ten drugi złapie mnie bez spodni. Bum. Jeśli najpierw skopię mu tyłek, to wygram, gdy będzie po wszystkim.

- Ale jeśli będziecie współpracować...
- Wtedy trzeba zaufać temu drugiemu – zauważyła Bobbie, kręcąc głową.
- Milion ton lodu leci, żeby zabić was oboje. Dlaczego, do cholery, nie mogłabyś mu zaufać?
- To zależy. Czy to Ziemianin? – zapytała Bobbie. – Mamy w układzie dwie duże potęgi wojskowe plus cokolwiek mogą zebrać Pasiarze. To trzy strony z długą historią. Kiedy faktycznie zdarzy się to, co szykuje się na Wenus, ktoś chce mieć w ręku wszystkie karty.
- A jeśli obie strony – Ziemia i Mars – doszły do tego samego wniosku, zużyjemy całą energię na szykowanie się do wojny po kolejnej.
- Właśnie – potwierdziła Bobbie. – I owszem, tak właśnie wszyscy przegramy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Praks

Praks siedział w swojej kajucie. Wiedział, że jest całkiem spora jak na miejsce do spania na statku kosmicznym. Nawet przestronna. Choć właściwie była mniejsza od jego sypialni na Ganimesedzie. Siedział na żelowym materacu przyciskany ciążeniem przyśpieszenia, przez co jego ręce i nogi wydawały się cięższe, niż były w rzeczywistości. Zastanawiał się, czy wrażenie nagłego wzrostu ciężaru – w szczególności zmiany przyśpieszenia podczas podróży kosmicznych – aktywowały jakieś ewolucyjne mechanizmy zmęczenia. Wrażenie wciskania w łóżko było tak bardzo podobne do przenikającego kości zmęczenia, że łatwo było uznać, że sen pomoże, że przespanie poprawi sytuację.

– Twoja córka prawdopodobnie nie żyje – powiedział na głos. Poczekał na reakcję swojego ciała. – Mei pewnie nie żyje.

Tym razem nie zaczął łkać, co było postępem.

Ganimesedes był półtora dnia za nim i już zrobił się za mały, by wyłowić go gołym okiem. Jowisz był bladym dyskiem wielkości paznokcia na małym palcu i odbijał światło Słońca będącego zaledwie bardzo jasną gwiazdą. Wiedział, że spada w stronę Słońca, kierując się z układu Jowisza w kierunku Pasa. Za tydzień Słońce zrobi się

dwukrotnie większe niż teraz, ale i tak będzie nieznaczące. Wydawało się, że w kontekście olbrzymiej przestrzeni, odległości i szybkości tak bardzo wykraczających poza ludzkie doświadczenia, nic nie powinno mieć znaczenia. Powinien przyjąć do wiadomości, że nie było go, gdy Bóg tworzył góry, niezależnie od tego, czy chodziło o te na Ziemi, na Ganimesie czy jeszcze gdzieś dalej w mroku. Znajdował się w małym pudełku z metalu i ceramiki, zmieniając materię w energię, by przenieść kilkoro naczelną przez próżnię większą od milionów oceanów. Czy w porównaniu z czymś takim cokolwiek mogło mieć znaczenie?

– Twoja córka prawdopodobnie nie żyje – powtórzył, i tym razem słowa utknęły mu w gardle, dławiąc go.

Pomyślał, że chodziło o coś w nagle odzyskanym poczuciu bezpieczeństwa. Na Ganimesie strach go otumaniał. Strach, niedożywienie, rutyna i możliwość ruszania się, kiedy tylko zechciał, robienia czegoś nawet, jeśli było to kompletnie bezużyteczne. Iść po raz kolejny sprawdzić listy zidentyfikowanych ofiar, stanąć w kolejce, potruchtać korytarzami i sprawdzić, ile nowych dziur po kulach w nich znajdzie.

Na *Rosynancie* musiał zwolnić. Zatrzymać się. Nie mógł tu robić niczego poza czekaniem przez cały długi lot na stację Tycho. Nie miał się czym zająć. Nie było stacji – nawet uszkodzonej i umierającej – po której mógłby krążyć. Była tylko przydzielona mu kajuta, ręczny terminal i kilka za dużych kombinezonów. Małe pudełko przyborów toaletowych. To wszystko, co mu zostało. Oraz dość jedzenia i czystej wody, by jego mózg mógł znowu

pracować.

Każda mijająca godzina sprawiała, że był trochę bardziej obudzony. Dopiero gdy poczuł się lepiej, zrozumiał, jak bardzo znęcał się nad swoim ciałem i umysłem. Za każdym razem, gdy uświadamiał sobie ten fakt, pojmował, że wraca do normy, ale niedługo potem odkrywał, że to nie wszystko, że jest jeszcze więcej.

Badał więc siebie, obmacując ranę w samym centrum swojego świata jak przyciska się czubek języka do dziury po zębie.

– Twoja córka – powiedział przez łzy – prawdopodobnie nie żyje. Ale jeśli żyje, musisz ją znaleźć.

Tak było lepiej, a jeśli nie lepiej, to przynajmniej słusznie. Nachylił się do przodu, składając ręce i opierając na nich głowę. Ostrożnie przywołał obraz leżącego na stole trupa Katoi. Kiedy jego umysł się obruszył, próbując myśleć o czymś innym – czymkolwiek – zwalczył go i w miejscu chłopca umieścił Mei. Cichą, pustą, martwą. Żal wezbrał z miejsca gdzieś tuż nad żołądkiem, a on obserwował go, jak coś poza własnym ciałem.

Podczas studiów zajmował się zbieraniem danych na potrzeby badania *pinus contorta*. Ze wszystkich odmian sosen wyniesionych w kosmos sosna wydmowa okazała się najlepiej radzić sobie w niskim ciśnieniu. Jego zadanie polegało na zbieraniu opadłych szyszek i spalaniu ich dla nasion. Rosnące dziko sosny wydmowe nie kiełkowały bez ognia – zawarta w szyszkach żywica zwiększała temperaturę płomienia, choć znaczyło to śmierć rodzicielskiej rośliny. Żeby było lepiej, musiało się zrobić gorzej. Aby przeżyć, roślina musiała rzucić się we własną śmierć.

Rozumiał to.

– Mei nie żyje – powiedział. – Straciłeś ją.

Nie musiał czekać, by poczuć ból na tę myśl. To nigdy nie przestanie boleć. Jednak nie mógł pozwolić, by ból go pokonał. Miał wrażenie, że wyrządza sobie trwałą duchową krzywdę, ale taką przyjął strategię. Zresztą miał wrażenie, że zaczyna działać.

Zadzwoił jego ręczny terminal. Minęły dwie godziny. Praks wytarł łzy wierzchem dłoni, odetchnął głęboko i wstał. Uznał, że dwie godziny dwa razy dziennie na ogniu wystarczą, by zahartować go na to nowe środowisko o mniejszej swobodzie i większej liczbie kalorii. Dość, by podtrzymać funkcjonowanie. Umył twarz we wspólnej łazience i ruszył do kambuza.

Pilot – miał na imię Aleks – stał przy ekspresie do kawy i mówił coś do komunikatora na ścianie. Jego skóra była ciemniejsza niż skóra Praksa, a w rzednących czarnych włosach pojawiały się pierwsze białe pasma. Mówił z dziwnym akcentem występującym u części Marsjan.

– Widzę osiem procent i spada.

Urządzenie na ścianie powiedziało coś radośnie obscenicznego. Amos.

– Mówię ci, że pękła obudowa – powiedział Aleks.

– Sprawdziłem ją dwa razy – odparł Amos.

Pilot wyciągnął z ekspresu kubek z nadrukowanym słowem *Tachi*.

– Do trzech razy sztuka.

– No dobra. Poczekaj.

Pilot wypił duży łyk z kubka, a potem kiwnął głową Praksowi, którego właśnie zauważył. Praks uśmiechnął się niepewnie.

– Lepiej się czujesz? – zapytał Aleks.

– Tak. Chyba – powiedział Praks. – Właściwie to nie wiem.

Aleks usiadł na jednym ze stołów. Pomieszczenie sprawiało wrażenie wojskowego – same miękkie krawędzie i krzywizny minimalizujące obrażenia w razie nagłego manewru. Szafki zjedzeniem były blokowane wyłączonym interfejsem biometrycznym. Miały zabezpieczenia, ale nieużywano ich. Nazwę *ROSYNANT* namalowano na ścianie literami szerokości dłoni, a ktoś dorzucił do tego namalowane od sztancy żółte narcyzy. Wyglądało to równocześnie bardzo nie na miejscu i bardzo odpowiednio.

Właściwie, jak się nad tym zastanowił, to pasowało to do większości tego, co widział na statku. Na przykład do załogi.

– Rozgościłeś się? Czegoś ci potrzeba?

– Jest dobrze – odpowiedział Praks, kiwając głową. – Dziękuję.

– Nieźle nas przegrzmocili przy wylocie. Mam za sobą kilka paskudnych kawałków nieba, ale ten był wyjątkowy.

Praks przytaknął i wyjął z dozownika pakiet zjedzeniem. Zawierał teksturowaną pastę, słodką i bogatą w pszenicę i miód, z posmakiem pieczonych rodzynek. Usiadł, zanim pomyślał, czy powinien to robić, a pilot chyba uznał to za zaproszenie do ciągnięcia rozmowy.

– Jak długo mieszkałeś na Ganimesie?

– Większość życia – przyznał Praks. – Moja rodzina przyleciała tam, gdy mama była w ciąży. Pracowali na Ziemi i Lunie, oszczędzając na wylot do planet zewnętrznych. Wcześniej krótko pracowali na Kalisto.

– Pasiarze?

– Niezupełnie. Słyszeli, że za Pasem są lepsze kontrakty. Mieli ten wzniosły pomysł „lepszej przyszłości dla rodziny”. Właściwie to było marzenie ojca.

Aleks napił się kawy.

– I co, Praksidike, nazwali cię na cześć księżycy?

– Owszem – potwierdził Praks. – Trochę było im wstyd, kiedy się dowiedzieli, że to żeńskie imię. Ale mnie to nigdy nie przeszkadzało. Moja żona – była żona – uważała, że to urocze. Właściwie pewnie dlatego w ogóle zwróciła na mnie uwagę. Trzeba czegoś, żeby się jakoś wyróżnić, a na Ganimesie nie da się rzucić kamieniem tak, żeby nie trafić w pięciu doktorów botaniki. A przynajmniej tak było do niedawna.

Przerwa była na tyle długa, że Praks zorientował się, co nadchodzi i mógł się na to przygotować.

– Słyszałem, że twoja córka zaginęła – powiedział Aleks.

– Przykro mi z tego powodu.

– Prawdopodobnie nie żyje – powiedział Praks tak, jak ćwiczył.

– To miało coś wspólnego z laboratorium, które tam znaleźliście, prawda?

– Tak sądzę. Musiało. Zabrali ją tuż przed pierwszym incydentem, razem z kilkorgiem innych dzieci z jej grupy.

– Z jej grupy?

– Ma chorobę układu odpornościowego. Zespół przedwczesnego starzenia układu odpornościowego Meyers– Skeltona. Od urodzenia.

– Moja siostra miała zespół łamliwych kości. Ciężki – wyznał Aleks. – Czy to dlatego ją porwano?

– Tak przypuszczam. Czemu inaczej mieliby porywać

takie dziecko?

– Niewolnicza praca albo seks – zasugerował cicho Aleks.

– Ale nie bardzo rozumiem, czemu wybierać do tego chore dzieci. To prawda, że widzieliście tam protomolekułę?

– Najwyraźniej – odparł Praks.

Bańka zjedzeniem stygła mu w dłoni. Wiedział, że powinien więcej jeść – chciał tego, jedzenie było smaczne – ale w głębi jego umysłu obracały się jakieś trybiki. Myślał już o tym wszystkim wcześniej, ale wtedy nie miał czystej głowy i był niedożywiony. Teraz, w tej cywilizowanej trumnie mknącej przez próżnię, zaczynały odżywać wszystkie wcześniejsze myśli, wymieniając między sobą informacje. Specjalnie wybrali dzieci z grupy Mei. Takie z niesprawnym układem odpornościowym. I pracowali z protomolekułą.

– Kapitan był na Erosie – odezwał się Aleks.

– Kiedy to się stało, musiało to być dla niego dużą stratą – skomentował Praks tylko po to, żeby coś powiedzieć.

– Nie, nie chodziło mi o to, że tam mieszkał. Był na stacji, kiedy to się stało. Wszyscy byliśmy, ale on najdłużej. Widział, jak to wszystko się zaczyna, widział pierwszych zakażonych. Widział TO.

– Naprawdę?

– To go trochę zmieniło. Latam z nim, od kiedy objaliśmy się tylko na tym starym lodowcowcu kursującym z Saturna do Pasa. Podejrzewam, że mnie wtedy nie lubił. Teraz jesteśmy rodziną. To była piekielna jazda.

Praks pociągnął sporą porcję z bańki zjedzeniem. Po wystygnięciu pasta mniej smakowała pszenicą, bardziej miodem i rodzynkami. Nie była już tak dobra.

Przypomniał sobie strach na twarzy Holdena, gdy znaleźli czarne włókna, i brzmienie ledwie kontrolowanej paniki w jego głosie. Teraz zaczynał to rozumieć.

Jakby wezwany tą myślą w drzwiach pojawił się Holden, trzymał pod pachą kształtowaną aluminiową skrzynkę z płytkami elektromagnesów, rozmieszczonymi wzdłuż podstawy. Osobista szafka zaprojektowana do pozostania na miejscu nawet przy wysokim ciężeniu. Praks już je widywał, ale sam nigdy takiej nie potrzebował. Aż do teraz ciężenie było dla niego stałą.

– Kapitanie. – Aleks przywita! go niedbałym salutem. – Wszystko w porządku?

– Przenoszę tylko trochę rzeczy do mojej kabiny – odparł Holden. Napięcie w jego głosie było nie do ukrycia.

Praks doznał nagłego wrażenia wdarcia się w coś prywatnego, ale ani Aleks, ani Holden nie powiedzieli nic więcej. Holden poszedł dalej w głąb korytarza. Kiedy znalazł się poza zasięgiem słuchu, Aleks westchnął.

– Jakież problemy? – zapytał Praks.

– Tak. Ale nie martw się, nie chodzi o ciebie. Zanosilo się na to już od jakiegoś czasu.

– Przykro mi – rzucił Praks.

– To się musiało stać. Lepiej, żeby było już po wszystkim – skomentował Aleks, ale w jego głosie slychać było wyraźny żal.

Praks poczuł, że lubi pilota. Zabrzączał terminal ścienny i rozległ się głos Amosa.

– Ile masz teraz?

Aleks przysunął sobie terminal blisko na wyginanym wysięgniku, a potem zaczął stukać w niego palcami ręki niezajętej trzymaniem kubka z kawą. Terminal zamigota),

w czasie rzeczywistym zmieniając zestawy danych w wykresy i tabele.

– Dziesięć procent – powiedział Aleks. – Nie, dwanaście. Rośnie. Co znalazłeś?

– Pękniętą obudowę – przyznał Amos. – I tak, jesteś cholernie sprytny. Co jeszcze masz?

Aleks stuknął w terminal, a na korytarzu znowu pojawił się Holden, już bez skrzynki.

– Czujniki na bakburcie oberwały. Wygląda na to, że wypaliło kilka odprowadzeń – odpowiedział Aleks.

– Dobra – rzucił Amos. – No to wymienimy tych drani.

– A może zrobimy coś, co nie wymaga pełzania po zewnętrznym kadłubie podczas lotu z ciągiem? – odezwał się Holden.

– Poradzę sobie, kapitanie – zaprotestował Amos. Oburzenie w jego głosie było słyszalne nawet przez mały głośniczek ścienny.

Holden pokręcił głową.

– Jedno pośliżnięcie i odrzut z dyszy usmaży cię na atomy. Zostawmy to dla techników na Tycho. Co jeszcze masz, Aleks?

– Wyciek pamięci w systemie nawigacyjnym. Prawdopodobnie spalona sieć, która się błędnie odtworzyła – powiedział pilot. – I ładownia wciąż jest w próżni. A anteny radiowe nie działają bez żadnego widocznego powodu. Nie rozmawiają z ręcznymi terminalami. Plus jedna z konsol medycznych rzuca kodami błędów, więc lepiej nie chorujcie.

Holden podszedł do ekspresu do kawy i wystukał zamówienie, mówiąc przez ramię. Na jego kubku też było napisane *Tachi*. Do Praksa nagle dotarło, że tak jest na

wszystkich. Zaczął się zastanawiać, kim lub czym jest Tachi.

– Czy ładownia wymaga wyjścia w przestrzeń?

– Nie wiem – przyznał Aleks. – Przyjrę się.

Holden wyciągnął z ekspresu swój kubek z kawą, westchnął cicho i pogłaskał płyty ze szczotkowanego metalu jak kota. Praks odchrząknął, ulegając impulsowi.

– Przepraszam – odezwał się. – Kapitanie Holden? Zastanawiałem się, czy jeśli uda się naprawić radio albo jest dostępna wiązka kierunkowa, może mógłbym w jakiś sposób dostać trochę czasu ze sprzętem łączności?

– Chwilowo próbujemy zachować ciszę radiową – odpowiedział Holden. – Co chcesz wysłać?

– Chciałbym trochę poszperać – powiedział Praks. – Dane, które zebraliśmy na Ganimesie z porwania Mei. Jest tam zdjęcie kobiety, która z nimi była. I gdybym mógł się dowiedzieć, co się stało z doktorem Stricklandem... Od kiedy zniknęła, nie miałem dostępu do żadnego działającego systemu. Nawet dostęp do publicznych baz danych i sieci byłby jakimś punktem wyjścia.

– Masz do wyboru to albo siedzieć i nic nie robić do czasu powrotu na Tycho – skomentował Holden. – Dobra. Poproszę Naomi, żeby założyła ci konto w sieci *Rosa*. Nie wiem, czy znajdziesz coś w plikach SPZ, ale możesz równie dobrze je przeszukać.

– Naprawdę?

– Jasne – potwierdził Holden. – Mają dość przyzwoitą bazę danych rozpoznawania twarzy. To wewnątrz ich bezpiecznej strefy, więc może będziesz musiał poprosić kogoś z nas o przesłanie prośby.

– A czy to będzie w porządku? Nie chcę, żebyście mieli

przeze mnie jakieś problemy z SPZ.

Uśmiech Holdena był ciepły i radosny.

– Naprawdę, o to nie musisz się martwić. Co tam mamy, Aleks?

– Wygląda na to, że drzwi się nie zamykają, co już wiemy. Mogliśmy oberwać, mogło wywalić w nich dziurę. Przywróciłem obraz wideo... chwila...

Holden przesunął się, by zajrzeć Aleksowi przez ramię. Praks wcisnął do ust kolejną porcję pasty i uległ ciekawości. W jednym z rogów ekranu znajdował się obraz ładowni nie większy od dłoni Praksa. Większość jej zawartości umieszczono na elektromagnetycznych paletach zamocowanych do płyt blisko szerokich drzwi, ale niektóre skrzynie się oderwały, przyciśnięte przez ciężenie do podłogi. Nadawało to pomieszczeniu nierealny, Escherowski wygląd. Aleks zmienił wielkość obrazu, powiększając drzwi ładowni. W jednym z rogów gruby kawał metalu został wygięty do wewnątrz, błyszcząc jasnym metalem w miejscach, gdzie pękły zewnętrzne powłoki. Przez dziurę widać było gwiazdy.

– No cóż, przynajmniej od razu widać problem – skomentował Aleks.

– Co je trafiło? – zapytał Holden.

– Nie wiem, kapitanie – przyznał Aleks. – Nie widzę żadnych śladów osmalenia, ale pocisk z Gaussa nie wygiąłby metalu w taki sposób, po prostu zrobiłby dziurę. Zresztą nie doszło do przebicia kadłuba, więc cokolwiek to było, nie wybiło dziury po drugiej stronie.

Pilot znowu powiększył obraz, uważnie przyglądając się brzegom wygięcia. Faktycznie nie było żadnych śladów osmalenia, ale przy brzegach drzwi i pokładu dostrzegli

cienkie, czarne smugi. Praks zmarszczył brwi. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zamknął je z powrotem.

Holden powiedział to, co Praksowi przyszło do głowy.

– Aleks? Czy to odcisk ręki?

– Tak wygląda, kapitanie, ale...

– Przesuń kamerę. Pokaż pokład.

Były małe. Minimalne. Łatwo było je przeoczyć na niewielkim obrazie. Ale były. Odcisk ręki rozmazany czymś ciemnym, co według Praksa prawdopodobnie było kiedyś czerwone. Charakterystyczny odcisk pięciu bosych palców stóp. Długa smuga czerni.

Pilot podążył kamerą za śladami.

– Ta ładownia jest w próżni, prawda? – zapytał Holden.

– Od półtorej doby, sir – potwierdził Aleks.

Wcześniejsza swobodna atmosfera ulotniła się w jednej chwili. Teraz byli poważni.

– Przesuń w prawo – powiedział Holden.

– Tak jest, sir.

– Dobra, zatrzymaj. Co to jest?

Ciało zwinęło się w kulkę, z wyjątkiem dłoni przyciśniętych do ściany. Leżało całkowicie nieruchomo, jakby lecieli z wysokim przyśpieszeniem i było przez to dociskane do pokładu, miażdżone własnym ciężarem. Ciało było czarne jak antracyt i czerwone jak krew. Praks nie potrafił stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta.

– Mamy pasażera na gapę, Aleks?

– Na pewno nie ma go w manifeście, sir.

– I czy ten koleś dostał się do mojego statku, odginając gołymi rękami metalowe płyty?

– Wygląda na możliwe, sir.

– Amos? Naomi?

– Też na to patrzę. – Głos Naomi dobiegł z terminala chwilę przed cichym gwizdem Amosa.

Praks wrócił myślami do dziwnych odgłosów przemocy w laboratorium, ciał strażników, z którymi nie walczyli, rozbitego szkła i czarnych włókien. Patrzył na eksperyment, który zerwał się ze smyczy w laboratorium. Uciekł na zimną, martwą powierzchnię Ganimedesa i czekał tam na szansę ucieczki. Praks poczuł rozchodzącą się po rękach gęsią skórę.

– No dobrze – rzucił Holden. – Ale to jest martwe, prawda?

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała Naomi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Bobbie

Ręczny terminal Bobbie zaczął odtwarzać pobudkę o czwartej trzydzieści lokalnego czasu, porze nazywanej przez jej towarzyszy „mroczną trzydzieści” w czasach, gdy była marinę i miała towarzyszy do narzekań. Zostawiła terminal w salonie obok rozkładanej kanapy, której używała jako łóżka, głośność ustawiła na taki poziom, że gdyby leżała obok, dzwoniłoby jej w uszach. Ale Bobbie wstała już o czwartej. W maleńkiej łazience dźwięk był tylko irytujący, odbijając się w ciasnym apartamencie jak radio z głębokiej studni. Echa stanowiły dźwiękowe przypomnienie, że wciąż nie ma wielu mebli ani niczego na ścianach.

Co nie miało znaczenia, nie przyjmowała tu żadnych gości.

Sygnał pobudki był paskudnym dowcipem, który Bobbie zafundowała sama na sobie. Marsjańskie wojsko powstało setki lat po tym, jak trąbki i bębny przestały być użytecznym sposobem przekazywania informacji do żołnierzy. Marsjanie nie odczuwali typowej dla wojskowych ONZ nostalgii za takimi rzeczami. Bobbie pierwszy raz usłyszała dźwięki wojskowej pobudki na trąbce, gdy oglądała film o historii wojskowości. Z radością zauważyła, że niezależnie od tego, jak irytujący

był jej marsjański odpowiednik – seria atonalnych sygnałów elektronicznych – nigdy nie będzie grał na nerwach tak, jak sygnał, który wyrywał ze snu Ziemi.

Teraz jednak Bobbie nie była już marsjańską marinę.

– Nie jestem zdrajczynią – powiedziała do swojego odbicia w lustrze. Bobbie z lustra nie wyglądała na przekonaną.

Po trzecim powtórzeniu sygnału trąbki jej terminal wyemitował pojedynczy dźwięk i zapadł w ponurą ciszę. Od pół godziny trzymała w ręku szczoteczkę do zębów i pasta zaczęła sztywnieć na wierzchu.

Zanurzyła ją w ciepłej wodzie, by z powrotem ją zmiękczyć i zaczęła szorować zęby.

– Nie jestem zdrajczynią – powiedziała do siebie niewyraźnie przez szczoteczkę. – Nie.

Nawet stojąc w łazience mieszkania zapewnionego przez ONZ, myjąc zęby pastą ONZ i płucząc je w umywalce wodą dostarczaną przez ONZ. Przynajmniej jak długo trzymała dobrą marsjańską szczoteczkę i szorowała zęby, aż zaczęły krwawić.

– Nie – powtórzyła jeszcze raz, wyzywając Bobbie z lustra do protestu.

Schowała szczoteczkę z powrotem do małej kosmetyczki, zaniósła ją do salonu i włożyła do torby. Chowała do niej wszystkie swoje rzeczy. Jeśli ojczyzna wezwie ją do domu, będzie musiała ruszać szybko. A zrobi to. Dostanie na terminal priorytetowe powiadomienie, z migającą dookoła czerwono- szarą obwódką sztabu dowództwa generalnego FMRK. Powiedzą jej, że musi natychmiast wrócić do swojej jednostki. Że wciąż jest jedną z nich.

Że zostając tutaj, nie stała się zdrajczynią.

Poprawiła mundur, schowała cichy terminal do kieszeni i sprawdziła włosy w lustrze przy drzwiach. Ściągnęła je w kucyk tak mocno, że prawie zrobiła tym sobie lifting skóry na twarzy, ale ani jeden włoszek się nie zbuntował.

– Nie jestem zdrażczynią – powiedziała do lustra. Bobbie z lustra w salonie wydawała się bardziej otwarta na ten pomysł niż ta z lustra w łazience. – Tak jest – rzuciła i wychodząc, zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Wskoczyła na jeden z elektrycznych wózków dostępnych wszędzie w kompleksie ONZ i dotarła do biura za trzy piąta, zastając tam już Sorena. Niezależnie od tego, o której przychodziła, Soren zawsze był pierwszy. Albo spał przy biurku, albo ją szpiegował, żeby sprawdzić, na którą nastawiała sobie budzik każdego ranka.

– Bobbie – powiedział na przywitanie z uśmiechem, który nawet nie udawał szczerego.

Bobbie nie potrafiła się zmusić do odpowiedzi, więc tylko kiwnęła mu głową i opadła na krzesło. Jedno spojrzenie na ciemne okna w gabinecie Avasarali wystarczyło, żeby stwierdzić, że staruszki jeszcze nie ma. Bobbie wywołała na ekranie biurka listę rzeczy do zrobienia.

– Kazała mi dodać mnóstwo ludzi – odezwał się Soren, mając na myśli listę osób, do których Bobbie miała dzwonić jako łącznik z marsjańską armią. – Naprawdę chce dostać wczesną wersję marsjańskiego oświadczenia w sprawie Ganimedesa. To twój główny priorytet na dzisiaj, dobra?

– Dlaczego? – zapytała Bobbie. – Samo oświadczenie zostało opublikowane wczoraj. Oboje je czytaliśmy.

– Bobbie. – Soren powiedział to z westchnieniem jasno

dającym do zrozumienia, że ma już dość tłumaczenia jej prostych spraw i z uśmiechem przeczącym tej tezie. – Tak rozgrywa się tę grę. Mars publikuje oświadczenie potępiające nasze działania. Zwracamy się do nieoficjalnych kontaktów i znajdujemy jego wczesną wersję. Jeśli jest ostrzejsza niż opublikowana, to ktoś w korpusie dyplomatycznym argumentował za złagodzeniem tonu oświadczenia, a to znaczy, że próbują uniknąć eskalacji. Jeśli wczesna wersja była bardziej stonowana, to świadomie eskalują, żeby sprowokować reakcję.

– Ale skoro wiedzą, że zdobędziecie kopie wczesnych wersji, to wszystko jest bez sensu. Mogą po prostu dopilnować, żebyście dostali przecieki, które zapewnią wrażenie, jakie chcą wywrzeć.

– Widzisz? Zaczynasz łapać – skomentował Soren. – To, co przeciwnik chce, żebyś ty myślała, to dane przydatne do odkrycia, co oni myślą. Więc zdobądź tę wczesną wersję, dobrze? I zrób to przed końcem dnia.

Ale nikt nie chce już ze mną rozmawiać, bo uważają mnie za marsjańską maskotkę ONZ i choć nie jestem zdrajczynią, całkiem możliwe, że wszyscy mnie za nią uważają.

– Dobrze.

Bobbie wywołała zaktualizowaną listę i wystukała pierwszą prośbę o połączenie.

* * *

– Bobbie! – krzyknęła Avasarala z za biurka.

Istniało całe mnóstwo elektronicznych sposobów na ściągnięcie uwagi marine, ale prawie nigdy nie widziała,

żeby Avasarala ich używała. Zdjęła słuchawkę z ucha i wstała. Uśmiezek Sorena był prawie wyobrażony, jego twarz wcale się nie zmieniała.

– Proszę pani? – odpowiedziała Bobbie, robiąc krok do gabinetu Avasarali. – Ryczała pani?

– Nikt nie lubi dupków – rzuciła Avasarala, nie podnosząc głowy znad terminala. – Gdzie moja pierwsza wersja oświadczenia? Już prawie pora lunchu.

Bobbie wyprostowała się trochę bardziej i złożyła ręce za plecami.

– Sir, z przykrością informuję, że nie byłam w stanie znaleźć nikogo, kto byłby skłonny przekazać mi wczesną wersję oświadczenia.

– Czy ty stoisz na baczność? – zapytała Avasarala, podnosząc na nią wzrok. – Jezu. Nie zamierzam cię postawić przed plutonem egzekucyjnym. Próbowalaś wszystkich na liście?

– Tak, ja... – Bobbie urwała na chwilę i odetchnęła głęboko, po czym weszła kilka kroków głębiej do gabinetu.

– Nikt nie chce ze mną rozmawiać – przyznała cicho.

Starsza kobieta uniosła śnieżnobiałą brew.

– Ciekawe.

– Tak? – zapytała Bobbie.

Avasarala posłała jej ciepły, szczery uśmiech, a potem do dwóch małych filiżanek nalała herbatę z czarnego żeliwnego czajniczka.

– Usiądź – zaprosiła, wskazując krzesło przed biurkiem. Kiedy Bobbie nie skorzystała z zaproszenia, użyła ostrzejszego tonu. – Poważnie, siadaj, do cholery. Po pięciu minutach rozmowy z tobą przez godzinę nie mogę znowu odchylić głowy do góry.

Bobbie usiadła i po chwili wahania wzięła jedną z filiżanek. Nie była wiele większa od kieliszka do wódki, a herbata w środku była bardzo ciemna i pachniała nieprzyjemnie. Wypiła mały łyżeczek, parząc sobie język.

– To lapsang souchong – wyjaśniła Avasarala. – Mąż mi ją kupuje. Co o niej myślisz?

– Śmierdzi jak nogi włóczęgi – wyznała Bobbie.

– Święta prawda, ale Arjun ją uwielbia i wcale nie jest zła, jak się do niej przyzwyczaić.

Bobbie kiwnęła głową i wypiła kolejny łyżeczek, ale nie odpowiedziała.

– No dobrze – stwierdziła Avasarala. – Jesteś Marsjanką, która poczuła się urażona i została skuszona do przejścia na drugą stronę przez potężną staruszkę oferującą mnóstwo błyskotek. Jesteś najgorszym typem zdrajcy, bo ostatecznie wszystko, co ci się przydarzyło od przylotu na Ziemię, było wynikiem twojego dąsania się.

– Ja...

– Zamknij japę, moja droga, teraz mówią dorośli.

Bobbie umilkła i napiła się okropnej herbaty.

– Ale – Avasarala kontynuowała z wciąż uroczym uśmiechem na pobrużdżonej zmarszczkami twarzy – gdybym była po drugiej stronie, wiesz, komu wysyłałabym przecieki z dezinformacją?

– Mnie – odpowiedziała Bobbie.

– Tobie. Ponieważ desperacko pragniesz dowieść swojej wartości nowej szefowej, mogą ci podsuwać w oczywisty sposób fałszywe informacje, nie przejmując się, czy na dłuższą metę spieprzą ci wszystko. Gdybym była w marsjańskim kontrwywiadzie, już wciągnęłabym na służbę kogoś z twoich najbliższych przyjaciół z domu i

używała go do przesyłania ci całej góry fałszywych informacji.

Wszyscy moi najbliżsi przyjaciele nie żyją, pomyślała Bobbie.

– Ale nikt...

– ...z domu z tobą nie rozmawia. Co oznacza dwie rzeczy. Wciąż próbują zrozumieć, co chcę osiągnąć, trzymając cię tutaj, i nie przygotowali żadnej kampanii dezinformacyjnej, bo tak samo jak my, nie wiedzą, co się dzieje. W takim razie ktoś skontaktuje się z tobą w przyszłym tygodniu lub coś koło tego. Poproszą o przekazanie informacji z mojego biura, ale zrobią to w taki sposób, że przy okazji dostaniesz całe mnóstwo fałszywych wiadomości. Jeśli będziesz dla nich lojalnym szpiegiem, to świetnie, jeśli nie i powiesz mi, o co cię prosili, też doskonale. Może będą mieli szczęście i zrobisz obie te rzeczy.

Bobbie odstawiła filiżankę na biurko. Zaciśnęła pięści.

– To dlatego – powiedziała – nikt nie lubi polityków.

– Skąd. Nienawidzą nas, bo mamy władzę. Bobbie, twój umysł nie działa w ten sposób i bardzo to szanuję. Nie mam czasu, żeby ci wszystko wyjaśniać – stwierdziła Avasarala, a potem uśmiech zniknął tak szybko, że miała wrażenie, że nigdy go nie było. – Przyjmijmy więc, że wiem, co robię, a kiedy proszę cię o zrobienie czegoś niemożliwego, to dlatego, że nawet twoja porażka w jakiś sposób pomoże naszej sprawie.

– *Naszej sprawie?*

– Jesteśmy w tej samej drużynie. W drużynie nie-przegrajmy– wszyscy– razem. To my, prawda?

– Tak – potwierdziła Bobbie, zerkając na Buddę w

kapliczce. Uśmiechnął się do niej łagodnie. *Po prostu część drużyny*, zdawała się mówić jego okrągła twarz. – Tak, zgadza się.

– To won z powrotem do roboty i zacznij od nowa wydzwaniać do wszystkich po kolei. Tym razem zapisuj szczegółowo, kto odmówił ci pomocy i jakimi dokładnie słowami. Dobra?

– Tak jest, proszę pani.

– Dobrze. – Tym razem Avasarala znów się uśmiechnęła.

– To wynoś się z mojego biura.

* * *

Może prawdą było powiedzenie, że lekceważenie rodzi się z poufałości, ale Bobbie nie lubiła Sorena od samego początku. Siedzenie obok niego przez kilka dni wzniosło tę antypatię na zupełnie nowy poziom. Gdy jej nie ignorował, zachowywał się protekcjonalnie. Zbyt głośno rozmawiał przez telefon, nawet gdy ona też próbowała prowadzić rozmowę. Czasami siadał na jej biurku, rozmawiając z gośćmi. Używał za dużo wody kolońskiej.

Ale najgorsze było to, że cały dzień jadł ciasteczka.

Co było imponujące, biorąc pod uwagę jego bardzo szczupłą sylwetkę, a Bobbie nie była osobą, która przejmowała się zwyczajami żywieniowymi innych ludzi. Jednak jego ulubiony rodzaj ciasteczek wydawany był przez automat w kafeterii w opakowaniu foliowym trzeszczącym za każdym razem, gdy do niego sięgał. Z początku było to tylko irytujące, ale po kilku dniach nieustannego trzeszczenia, chrupania i mlaskania miała tego dość. Zamknęła ostatnie bezsensowne połączenie i odwróciła się, wbijając w niego ciężki wzrok. Zignorował

ją, stukając w terminal biurkowy.

– Soren – odezwała się, chcąc go poprosić o wysypanie ciastek na talerzyk lub serwetkę, żeby nie musiała już słuchać doprowadzającego ją do szału trzeszczenia.

Jednak zanim powiedziała coś oprócz jego imienia, wyciągnął palec, żeby ją uciszyć i wskazał na słuchawkę w uchu.

– Nie – powiedział – to nie jest dobry...

Bobbie nie była pewna, czy mówi do niej, czy do kogoś przez telefon, więc wstała i podeszła do jego biurka, siadając na jego brzegu. Posłał jej wściekłe spojrzenie, ale tylko się uśmiechnęła i powiedziała bezdźwięcznie samymi ustami:

– Poczekam. – Brzeg biurka zatrzeszczał nieco pod jej ciężarem.

Odwrócił się do niej plecami.

– Rozumiem – powiedział. – Ale to nie jest dobra chwila na rozmowy... rozumiem. Prawdopodobnie mogę... tak, rozumiem. Foster nie... Tak. Owszem, rozumiem. Przyjdę.

Odwrócił się z powrotem i stuknął w biurko, zamykając połączenie.

– Co?

– Nie znoszę twoich ciastek. Ciągły szelest opakowania doprowadza mnie do szaleństwa.

– Ciastek? – zapytał Soren z wyrazem zdumienia na twarzy.

Bobbie pomyślała, że to mogło być pierwsze szczere uczucie, jakie u niego zobaczyła.

– Tak, czy możesz dać je na... – zaczęła Bobbie, ale zanim dokończyła, Soren chwycił paczkę i wrzucił ją do kosza na śmieci obok biurka.

– Zadowolona?

– Cóż...

– Nie mam teraz dla was czasu, sierżancie.

– Dobra – odpowiedziała Bobbie i wróciła do biurka.

Soren zachowywał się tak, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, więc Bobbie nie zadzwoniła do kolejnej osoby na liście. Czekala, żeby się odezwał. Chyba popełniła błąd w sprawie ciastek, w sumie to nie było nic takiego. Gdyby to ona była poddawana tak wielkiej, nieustannej presji, pewnie też by tego nie zauważyła. Kiedy Soren wreszcie się odezwie, przeprosi go za agresywne postawienie sprawy i zaproponuje mu kupienie nowej paczki. Jednak zamiast się odzywać, wstał.

– Soren, ja... – zaczęła mówić, ale mężczyzna ją zignorował i otworzył szufladę biurka.

Wyciągnął z niej mały kawałek czarnego plastiku. Prawdopodobnie dlatego, że usłyszała z jego ust nazwisko Foster, Bobbie rozpoznała w nim przenośną pamięć, którą Avasarala dała mu kilka dni temu. Foster był pracownikiem przetwarzania danych, więc przyjęła, że w końcu zajął się tym zleceniem, co przynajmniej pozwoliłoby mu na kilka minut wyjść z biura.

Aż do chwili, gdy po wyjściu skręcił i ruszył do wind.

Bobbie była już wielokrotnie wysyłana jako goniec do działu przetwarzania danych i wiedziała, że ich biuro mieści się na tym samym piętrze, w stronę przeciwną do wind.

– No proszę.

Była zmęczona. Było jej prawie niedobrze z poczucia winy i wcale nie była taka pewna, czego to uczucie dotyczy. I tak nie lubiła Sorena. Przeczucie, które przyszło

jej do głowy, było prawie na pewno wynikiem paranoi i skrzywionego obrazu świata.

Mimo wszystko wstała i poszła za nim.

– To naprawdę głupie – powiedziała pod nosem, uśmiechając się i kiwając głową przechodzącemu obok gońcowi. Miała ponad dwa metry wzrostu na planecie karzełków. Nie mogła wtopić się w tłum.

Soren wszedł do windy. Bobbie stanęła przed drzwiami i czekała. Przez aluminiowo–ceramiczne drzwi usłyszała, jak Soren prosi kogoś o naciśnięcie jedyńki. Czyli zjeżdżał aż na poziom ziemi. Wcisnęła przycisk jazdy w dół i zjechała na parter następną windą.

Oczywiście, kiedy wysiadła, nigdzie go nie było widać.

Olbrzymia Marsjanka biegnąca przez hol budynku ONZ przyciągnęłaby trochę uwagi, więc odrzuciła ten pomysł. O brzegi jej umysłu uderzyła fala niepewności, poczucia porażki i desperacji.

Zapomnij, że to budynek biurowy. Zapomnij, że nie ma tu uzbrojonych wrogów ani drużyny wsparcia za plecami. *Zapomnij o tym i przyjrzyj się logice sytuacji na miejscu. Myśl taktycznie. Bądź inteligentna.*

– Muszę być inteligentna – powiedziała.

– Co? – odezwała się niska kobieta, która właśnie podeszła i nacisnęła przycisk wywołania windy.

– Muszę być inteligentna – powtórzyła do niej Bobbie. – Nie mogę ganiać wkoło jak idiotka. *Nawet robiąc coś szalonego i głupiego.*

– Ach... rozumiem – odpowiedziała kobieta w czerwonym i jeszcze kilka razy nerwowo nacisnęła przycisk windy.

Obok przycisków przywoływania windy zobaczyła mały

terminal. *Jeśli nie możesz znaleźć celu, ogranicz jego swobodę. Niech on przyjdzie do ciebie. Racja.* Bobbie wcisnęła przycisk połączenia z recepcją holu. Automatyczny system z bardzo realistycznym i nieokreślonym płciowo głosem zapytał, w czym może jej pomóc.

– Proszę wezwać Sorena Cottwalda do recepcji holu – poprosiła Bobbie.

Komputer z drugiej strony podziękował jej za skorzystanie z automatycznego systemu ONZ i się rozłączył.

Soren mógł nie mieć włączonego terminala albo mógł go ustawić na tryb ignorowania wezwań. Mógł je też zignorować z własnego wyboru. Znalazła kanapę, z której widziała recepcję i przesunęła fikusa, by się nim zasłonić.

Dwie minuty później Soren podszedł szybkim krokiem do recepcji z włosami w większym nieładzie niż zwykle. Musiał być już na zewnątrz, gdy odebrał wywołanie. Zaczął rozmawiać z jedną z recepcjonistek, człowiekiem. Bobbie przeszła przez hol do małego kiosku z kawą i przekąskami, starając się ukryć najlepiej, jak mogła. Po chwili stukania w terminal recepcjonistka wskazała na konsolę obok wind. Soren zmarszczył brwi i zrobił kilka kroków w tamtą stronę, potem rozejrzył się nerwowo i skierował do wyjścia z budynku.

Bobbie poszła za nim.

Gdy znalazła się na zewnątrz, jej wzrost stał się równocześnie atutem i utrudnieniem. Ponieważ była o półtorej głowy wyższa od wszystkich wokół, mogła bez problemu trzymać się daleko za Sorenem pośpiesznie idącym chodnikiem. Bez problemu widziała czubek jego

głowy z odległości połowy przecznicy. Z drugiej strony, gdyby się obejrzał, nie mógł nie zauważyć jej twarzy sterczącej dobre trzydzieści centymetrów powyżej tłumu.

Ale się nie odwrócił. Właściwie wydawał się bardzo śpieszyć, niecierpliwie przepychając się przez grupki ludzi na chodnikach wokół kampusu ONZ. Nie rozglądał się ani nie stanął przy żadnej odbijającej powierzchni, by sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Był nerwowy, zgłaszając się na wezwanie, ale teraz bardzo zdecydowanie się nie przejmował.

Ignorował wszelkie potencjalne zagrożenia. Bobbie poczuła, jak jej napięte mięśnie się rozluźniają, podobnie jak stawy, a jej przeczucie nabiera ciała.

Po pokonaniu trzech przecznic skręcił i wszedł do baru.

Bobbie zatrzymała się o pół przecznicy od niego i zastanowiła. Przednie okna knajpy o wyszukanej nazwie *Pete* wykonano z przyciemnionego szkła. Gdyby ktoś chciał się ukryć i sprawdzić, czy nie jest śledzony, było to idealne miejsce. Może zmyślał.

A może nie.

Bobbie podeszła do frontowych drzwi. Złapanie na śledzeniu go nie niosło żadnych konsekwencji. Soren i tak już jej nienawidził. Najbardziej podejrzaną etycznie rzeczą, jaką robiła, było wcześniejsze wyjście z pracy, żeby wstąpić do pobliskiego baru. Kto miał na nią donieść? Soren? Facet, który wszedł równie wcześnie i wszedł do tej samej knajpy?

Jeśli tam siedział i nie robił nic poza piciem wczesnego piwa, po prostu podejdzie do niego, przeprosi za sprawę z ciastkami i postawi mu drugą kolejkę.

Pchnęła drzwi i weszła do środka.

Potrzebowała chwili, by jej wzrok przyzwyczajony do jasnego światła na zewnątrz dostosował się do nieco ciemnego baru. Zobaczyła długi bambusowy blat baru obsadzony przez jednego barmana, kilka stolików z podobną liczbą klientów i ani śladu Sorena. Pachniało piwem i przypalonym popcornem. Goście przy stolikach obrzucili ją spojrzeniami, a potem wrócili do swoich drinków i przyciszonych rozmów.

Czy Soren wymknął się tyłem i zgubił ją? Nie sądziła, żeby ją zauważył, ale też nie przeszła szkolenia ze śledzenia ludzi. Właśnie miała zapytać barmana, czy widział faceta przebiegającego przez lokal i gdzie mógł pójść, gdy zobaczyła w głębi baru znak STOŁY BILARDOWE ze strzałką skierowaną w lewo.

Przeszła w głąb baru, skręciła w lewo i znalazła mniejszą salę z czterema stołami bilardowymi i dwoma mężczyznami. Jednym z nich był Soren.

Obaj obejrzel się na nią, gdy wyszła zza rogu.

– Cześć – rzuciła.

Soren się do niej uśmiechał, ale zawsze to robił. Dla niego uśmiech był maskowaniem ochronnym. Kamuflażem. Drugi mężczyzna był duży, sprawny i miał na sobie przesadnie swobodny strój, którym za bardzo starał się dopasować do podejrzanej knajpy bilardowej, a który bardzo gryzł się z jego wojskową fryzurą i sztywną sylwetką. Bobbie odniosła przelotne wrażenie, że już go gdzieś widziała, ale w innych okolicznościach. Spróbowała go sobie wyobrazić w mundurze.

– Bobbie – odezwał się Soren, rzucając szybkie spojrzenie na swojego towarzysza. – Grasz? – Chwycił kij bilardowy leżący na jednym ze stołów i zaczął kredować

końcówkę.

Bobbie nie zwróciła mu uwagi na fakt, że na żadnym stole nie było kul, a znak za Sorenem głosił KULE DO WYNAJĘCIA NA ŻĄDANIE.

Jego towarzysz się nie odezwał, tylko wsunął coś do kieszeni. Bobbie zauważyła w jego palcach błysk czarnego plastiku.

Uśmiechnęła się. Już wiedziała, gdzie wcześniej widziała jego twarz.

– Nie – odpowiedziała Sorenowi. – To nie jest popularna rozrywka tam, skąd pochodzę.

– To pewnie przez stoły – odpowiedział. Jego uśmiech zrobił się trochę bardziej szczery i dużo chłodniejszy. Zdmuchnął pył z czubka kija i zrobił krok w bok, przesuając się w jej lewą stronę. – Za ciężkie dla wczesnych statków kolonizacyjnych.

– Pewnie masz rację – zgodziła się Bobbie, cofając się, aż drzwi chroniły jej boki.

– Czy mamy jakiś problem? – odezwał się towarzysz Sorena, patrząc na Bobbie.

– Niech pan mi powie – powiedziała marinę, zanim zdążył to zrobić Soren. – Był pan na tym nocnym spotkaniu w biurze Avasarali, gdy znowu zaczęli strzelać na Ganimesesie. Sztab Nguyena, prawda? Młodszy taki czy inny.

– Kopiesz sobie grób, Bobbie – powiedział Soren, luźno trzymając kij w prawej ręce.

– Wiem też – mówiła dalej Bobbie – że Soren przekazał panu coś, co miał zanieść kilka dni temu komuś z przetwarzania danych. Założę się, że tam pan nie pracuje, prawda?

Sługus Nguyena zrobił groźny krok w jej stronę, a Soren znowu przesunął się w lewo.

Bobbie wybuchnęła śmiechem.

– Poważnie – zwróciła się do Sorena. – Przestań onanizować ten kij albo idź z nim do łazienki.

Soren spuścił wzrok na trzymany w rękach kij, jakby zaskoczony jego widokiem, a potem go puścił.

– A pan – tym razem odezwała się do sługusa. – Jeśli spróbuje pan przejść przez te drzwi, to dosłownie będzie to dla mnie najlepsza chwila tego miesiąca. – Nie ruszając stopami, przesunęła środek ciężkości do przodu i lekko napięła rękę.

Sługus przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy. Wyszczrzyła się do niego.

– No chodź – powiedziała. – Jeśli będziesz mnie tak wabił, jeszcze się zakocham.

Sługus uniósł rękę. Było to coś w pół drogi między pozycją bojową a gestem poddania się.

– To twój problem – powiedział lekko, zwracając twarz w stronę Sorena, lecz nie odrywając wzroku od Bobbie. – Załatw to. – Cofnął się ostrożnie o dwa kroki, a potem odwrócił się i przeszedł przez pokój, wychodząc korytarzem, którego Bobbie nie widziała ze swojego miejsca. Chwilę później usłyszała trzaśnięcie drzwiami.

– Cholera – rzuciła. – Założę się, że zarobiłabym u staruszki więcej punktów, gdybym odzyskała nośnik pamięci.

Soren zaczął się przesuwac w stronę drugiego wyjścia. Bobbie pokonała dzielącą ich przestrzeń jak kot, chwytając go za przód koszuli i przyciągając tak, że ich nosy prawie się zetknęły. Po raz pierwszy od bardzo

dawna czuła się żywa i wolna.

– Co zamierzasz zrobić – powiedział z wymuszonym krzywym uśmiechem – pobić mnie?

– Skąd – odpowiedziała Bobbie z przesadnym akcentem z doliny Marinera. – Doniosę na ciebie, chłopcze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Holden

Holden przyglądał się, jak potwór drży skulony przy ścianie ładowni. Na monitorze wyglądał na małego, wykończonego i ziarnistego. Skupił się na oddychaniu. *Długie powolne oddechy, wciągnij powietrze do płuc aż do samego dna. Długi, powolny wydech. Przerwa. Powtórzyć. Nie stracić opanowania przed załogą.*

– Cóż – odezwał się Aleks po minucie. – Znaleźliśmy problem. Próbował zażartować. *Zażartował.* Normalnie Holden roześmiałby się z jego przesadnego akcentu i komicznej wręcz oczywistości zamiarów. Aleks potrafił być zabawny w bardzo skromny, cierpki sposób.

Jednak w tej chwili Holden musiał zacisnąć ręce, żeby go nie udusić.

– Idę na górę. – Amos odezwał się równocześnie z Naomi, która powiedziała: – Schodzę.

– Aleks – powiedział Holden z udawanym spokojem, którego nie czuł. – Jaki jest stan śluzy ładowni?

– Szczelna, kapitanie – odpowiedział Aleks po dwóch stuknięciach w terminal. – Żadnych strat.

Co było dobrym znakiem, ponieważ choć bardzo bał się protomolekuły, to wiedział, że ta nie stosuje magii. Miała masę i zajmowała jakąś przestrzeń. Jeśli nawet cząsteczki tlenu nie mogły się przedostać przez uszczelki śluzy, był

prawie pewien, że wirus nie zdoła dostać się do środka. Ale...

– Aleks, podkreć poziom O2 – polecił. – Daj najbogatszą mieszanę, jak się da – bez wysadzania statku.

Protomolekuła była beztlenowa. Jeśli coś z niej przedostało się do środka, chciał jej zapewnić maksymalnie wrogie otoczenie.

– I idź do kokpitu – dodał. – Zamknij się tam. Jeśli ten syf jest gdzieś luzem na statku, musisz trzymać palec na obejściu blokad reaktora.

Aleks zmarszczył brwi i podrapał się za uchem.

– Wydaje się to trochę przesadne...

Holden mocno chwycił go za ramiona. Aleks szeroko otworzył oczy i uniósł ręce w odruchowym geście poddania się. Stojący za nim botanik zamrugał zmieszany i przejęty. Takie zachowanie nie wzbudzało spokoju i zaufania. W innych okolicznościach Holden mógłby się tym przejąć.

– Aleks – powiedział, nie potrafiąc powstrzymać drżenia, nawet gdy ścisnął ramiona pilota. – Czy mogę liczyć na to, że wysadzisz ten statek w cholerę, jeśli ten syf się tu dostanie? Bo jeśli nie, to możesz się uważać za zwolnionego ze służby i natychmiast osadzonego w kajucie.

Aleks zaskoczył go, bo nie zareagował gniewem, tylko spokojnie położył dłonie na jego przedramionach. Twarz miał poważną, ale spojrzenie łagodne.

– Zamknąć się w kokpicie i przygotować do wysadzenia statku. Tak jest, sir – powiedział. – Jakie hasło do rezygnacji?

– Bezpośredni rozkaz wydany przeze mnie lub Naomi –

odpowiedział Holden, oddychając z ulgą. Nie musiał dodawać: *jeśli to coś się tu dostanie i nas zabije, lepiej będzie, jeśli zginiesz ze statkiem*. Puścił ramiona Aleksa, a pilot zrobił krok do tyłu z wyraźną troską na twarzy. – Teraz, Aleks – powiedział Holden, czując, że zagrażająca mu panika może wydostać się spod kontroli, jeśli pozwoli na okazanie komuś współczucia. – Idź tam teraz.

Aleks kiwnął głową, przez chwilę wyglądał, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, a potem odwrócił się na pięcie i wszedł po drabinie do kokpitu. Chwilę później po tej samej drabinie zeszła Naomi, a Amos dotarł na górę niedługo po niej.

Naomi odezwała się pierwsza.

– Jaki mamy plan? – Byli ze sobą blisko dostatecznie długo, by Holden rozpoznał w jej głosie ledwie ukrywany strach.

Odetchnął głęboko dwa razy.

– Pójdziemy z Amosem zobaczyć, czy damy radę wyrzucić to przez drzwi ładowni. Otwórz je dla nas.

– Załatwione – rzuciła i ruszyła po drabinie do centrum dowodzenia.

Amos przyglądał mu się uważnie.

– No dobra, kapitanie, to jak „wyrzucimy to” przez drzwi?

– Cóż – odpowiedział Holden. – Myślałem o rozstrzelaniu tego na kawałki, a potem użyciu miotacza ognia na wszelkich pozostałych resztkach. Lepiej się ubrać.

Amos kiwnął głową.

– Szlag. Mam wrażenie, jakbym dopiero to z siebie ściągnął.

* * *

Holden nie miał klaustrofobii.

Nie mógł jej mieć nikt, kto decydował się zarabiać na życie lotami kosmicznymi. Nawet gdy komuś udawało się cudem prześliznąć przez testy psychologiczne i symulacje, jedna podróż zwykle wystarczała do oddzielenia ludzi, którzy potrafili sobie poradzić z długimi okresami w ciasnych przestrzeniach, od takich, którym odbijało i trzeba ich było usypiać na podróż powrotną.

Jako podporucznik Holden spędzał wiele dni w statkach zwiadowczych tak małych, że dosłownie nie dało się w nich schylić, żeby podrapać się po stopach. Pełzał między zewnętrznymi i wewnętrznymi pancerzami okrętów. Raz został przykuty do pryczy przeciążeniowej na dwadzieścia jeden dni podczas błyskawicznej podróży z Luni na Saturna. Nigdy nie miał koszmarów, w których coś go miażdżyło lub grzebano go żywcem.

A jednak po raz pierwszy od piętnastu lat niemal nieustannych podróży kosmicznych statek wydawał się za mały. Nie tylko ciasny, ale strasznie ściśnięty. Czuł się uwięziony, jak zwierzę w pułapce.

Niecałe dwanaście metrów od miejsca, w którym stał, w jego ładowni siedziało coś, co było zakażone protomolekułą. I nie było miejsca, gdzie mógłby przed tym uciec.

Założenie pancernego skafandra nie pomogło zniwelować uczucia osaczenia.

Pierwsze, co się zakładało, to strój nazywany przez trepów kondomem na ciało. Był to gruby, czarny kombinezon wykonany z wielu warstwa kevlaru, gumy, żeluzel reagującego na uderzenia i sieci czujników

śledzących ewentualne obrażenia i czynności życiowe. Na to zakładało się trochę luźniejszy skafander próżniowy z własnymi warstwami samouszczelniającego żelu do natychmiastowego zamykania rozdarć lub dziur po pociskach. Na to wszystko: różne elementy przypinanego pancerza zdolnego odbijać pociski z karabinów lub odparowującego wierzchnie warstwy, by rozproszyć energię lasera.

Holden czuł się, jakby owijał się we własny całun pogrzebowy.

Jednak mimo wszystkich warstw i masy, pancerz nie był tak groźny tak, jak pancerz wspomagany, noszony przez marsjańskich marines. Chłopcy z floty nazywali je chodzącymi trumnami. Nazwa wzięła się stąd, że jeśli było cokolwiek dość potężnego, by przebić pancerz – to spowodowałoby to natychmiastową śmierć marinę w środku, więc nie było powodu go otwierać. Po prostu całość wrzucało się do grobu. Oczywiście, była to przesada, ale pomyśl, by wejść do ładowni w czymś, co nie mogłoby się nawet poruszyć bez zasilania, byłby prawdziwie przerażający. Co by zrobił, gdyby padło zasilanie?

Oczywiście, miły zestaw pancerza zwiększającego siłę mógłby się przydać przy próbie wyrzucenia potwora ze statku.

– Odwrotnie – zauważył Amos, wskazując na biodra Holdena.

– Cholera – rzucił Holden. Amos miał rację. Tak głęboko pogrążył się w myślach, że źle założył element pancerza. – Przepraszam, trochę trudno mi się skupić.

– Przerażony jak cholera – potwierdził Amos, kiwając

głową.

– Cóż, nie powiedziałbym...

– Nie mówiłem o tobie – uciął mu Amos. – Ja. Jestem przerażony jak cholera pomysłem wejścia do ładowni, gdzie siedzi to coś. A ja nie obserwowałem z bliska, jak Eros zmienia się w gluta. Rozumiem. Jestem z tobą, Jim.

Po raz pierwszy, odkąd się znali, Amos zwrócił się do niego po imieniu. Holden kiwnął głową, a potem zajął się korygowaniem swojego pancerza.

– Owszem – przyznał. – Właśnie nawrzeszczałem na Aleksa, bo nie bał się dostatecznie.

Amos skończył zakładać pancerz i wyciągał z szafki swoją ulubioną strzelbę automatyczną.

– Serio?

– Tak. Zazartowałem sobie, a ja byłem przerażony jak cholera, więc na niego wrzasnąłem i zagroziłem zwolnieniem.

– Możesz to zrobić? – zapytał Amos. – To nasz jedyny pilot.

– Nie, Amos. Nie mogę wyrzucić Aleksa ze statku ani trochę bardziej niż ciebie albo Naomi. Nie jesteśmy nawet szkieletową załogą. Tworzymy to, co dostajesz, gdy nie masz nawet podstaw.

– Martwisz się, że Naomi odejdzie? – rzucił Amos. Utrzymywał lekki ton głosu, ale jego słowa uderzyły z siłą młota. Holden poczuł, że uchodzi z niego całe powietrze i przez chwilę musiał się skupić na oddychaniu.

– Nie – odpowiedział w końcu. – To znaczy tak, oczywiście, że się martwię. Ale nie to mnie w tej chwili przeraża.

Holden podniósł swój karabin automatyczny, popatrzył

na niego, odłożył z powrotem i wyciągnął z szafki ciężki pistolet bezodrzutowy. Wystrzeliwane przez niego rakiety nie nadawały strzelającemu pędu, rzucając nim po całej ładowni, gdyby zaczął strzelać w nieważkości.

– Widziałem, jak giniesz – powiedział, nie patrząc na Amosa.

– Co?

– Widziałem, jak giniesz. Kiedy zgarnęła nas ta ekipa porywaczy, kimkolwiek do cholery byli. Widziałem, jak jeden z nich strzelił ci w tył głowy, a ty padłeś twarzą na podłogę. Wszędzie było pełno krwi.

– Tak, aleja...

– Wiem, że pocisk nie był zabójczy. Wiem, że chcieli nas żywcem. Wiem, że krew pochodziła z nosa rozbitego, gdy walnąłeś głową o podłogę. *Teraz* to wiem. Wtedy wiedziałem tylko, że właśnie strzelono ci w tył głowy i zginąłeś.

Amos wsunął magazynek do strzelby i wprowadził pocisk do komory, ale poza tym nie wydał żadnego dźwięku.

– Wszystko to jest naprawdę bardzo delikatne – powiedział Holden, machając ręką na Amosa i statek. – Ta mała rodzina, którą się staliśmy. Wystarczy, że coś spieprzymy i utracimy coś nie do odtworzenia.

Amos zmarszczył brwi.

– Mówisz o Naomi, tak?

– Nie! To znaczy, tak. Ale nie. Kiedy myślałem, że zginąłeś, to mnie prawie rozwaliło. A w tej chwili muszę się skupić na wyrzuceniu tego czegoś ze statku, choć mogę myśleć tylko o tym, by nie stracić nikogo z załogi.

Amos kiwnął głową, przewiesił strzelbę przez ramię i

usiadł na ławce obok szafki.

– Łapię. To co chcesz zrobić?

– Chcę – powiedział Holden, wsuwając magazynek do pistoletu – wyrzucić to kurewstwo z mojego statku. Ale obiecaj mi, proszę, że przy tym nie zginiesz. To by mi bardzo pomogło.

– Kapitanie – odpowiedział Amos z uśmiechem. – Cokolwiek mnie zabije, najpierw wybije wszystkich innych. Urodziłem się do bycia ostatnim ocalałym. Możesz na to liczyć.

Ani panika, ani strach nie opuściły Holdena, siedziały mu na piersiach tak samo, jak wcześniej, ale teraz przynajmniej nie czuł się z nimi tak samotnie.

– To chodźmy się pozbyć tego pasażera na gapę.

* * *

Oczekiwanie wewnątrz śluzy ładowni ciągnęło się w nieskończoność: zamknęły się wewnętrzne drzwi, pompy odciągnęły powietrze, a potem otworzyły się drzwi zewnętrzne. Czekając, Holden kilka razy sięgał po pistolet. Amos stał w zrelaksowanej pozie z olbrzymią strzelbą trzymaną luźno w rękach. Plusem czekania – jeśli w ogóle był jakiś plus – był fakt, że przy ładowni w próżni śluza mogła hałasować do woli, nie ostrzegając stwora o ich obecności.

Gdy przestały do niego docierać dźwięki z zewnątrz, Holden słyszał już tylko własny oddech. Obok drzwi śluzy zapaliła się żółta kontrolka ostrzegająca o braku atmosfery po drugiej stronie.

– Aleks – odezwał się Holden po podłączeniu kabla do terminala w śluzie. Na całym statku wciąż nie działały

radia. – Za chwilę wejdziemy. Wyłącz silniki.

– Potwierdzam – odpowiedział Aleks i ciężenie zniknęło.

Holden uderzył o siebie piętami, włączając magnesy butów.

Ładownia *Rosynanta* była ciasna. Wysoka i wąska, zajmowała sterburtowy bok statku, wciśnięta w wolną przestrzeń między kadłubem zewnętrznym a maszynownią. Od bakburty tę samą przestrzeń zajmował okrętowy zbiornik z wodą. *Ros* był jednostką bojową, wszelkie przewożone towary mogły być jedynie uzupełnieniem.

Wadą tego rozwiązania był fakt, że przy locie z ciągiem ładownia zmieniała się w studnię z drzwiami towarowymi na dnie. Umieszczone w niej różnorodne skrzynie zaczepiono do mocowań na ścianach, a w niektórych przypadkach zamocowano uchwyty elektromagnetycznymi. Przy ciężeniu grożącym wysłaniem ich siedem metrów w dół wprost na drzwi ładowni skuteczna walka byłaby tu niemożliwa.

W nieważkości ładownia stała się długim korytarzem z mnóstwem osłon.

Holden pierwszy wszedł do pomieszczenia, idąc wzdłuż ściany na magnetycznych butach, i ukrył się za dużą metalową skrzynią pełną dodatkowych pocisków do działek obrony punktowej okrętu. Aleks ruszył za nim, zajmując pozycję za inną skrzynią, dwa metry dalej.

Potwór pod nimi wydawał się spać, leżąc nieruchomo przy ścianie oddzielającej ładownię od maszynowni.

– Dobra, Naomi, otwórz drzwi – polecił Holden. Poruszył ciągnący się za nim przewód, żeby odczepić go od rogu skrzyni i dać sobie trochę luzu.

– Otwieram drzwi – odpowiedziała głosem brzmiącym cienko i niewyraźnie w jego hełmie. Drzwi towarowe u dołu pomieszczenia rozsunęły się w ciszy, odsłaniając kilka metrów kwadratowych czerni pełnej gwiazd. Potwór nie zauważył ich otwarcia lub nie przejął się tym.

– One czasem hibernują, prawda? – odezwał się Amos, a kabel ciągnący się od jego skafandra do śluzy wyglądał jak zaawansowana technicznie pępowina. – Jak Julie, gdy zaraziła się tym syfem. Hibernowała w tym pokoju hotelowym na Erosie przez kilka tygodni.

– Może – odpowiedział Holden. – Jak chcesz do tego podejść? Uważam, że powinniśmy zejść tam na dół, chwycić to coś i wyrzucić przez drzwi, ale mam silne opory przed dotykaniem tego.

– Tak, wolałbym nie zabierać tego ze sobą na skafandrach – zgodził się Amos.

Holdena dopadło nagle wspomnienie powrotu do domu po zabawie na zewnątrz i ściąganie ubrania w przedsionku, zanim mama Tamara pozwoliła mu wejść do środka. To byłoby prawie to samo, tylko temperatura była zdecydowanie niższa.

– Zaczynam żałować, że nie mamy naprawdę długiego kija – skomentował Holden, rozglądając się po różnych obiektach umieszczonych w ładowni w poszukiwaniu czegoś, co spełniłoby jego potrzeby.

– ...kapitanie? – odezwał się Amos. – To na nas patrzy.

Holden odwrócił się i zobaczył, że Amos ma rację. Stwór nie ruszył niczym poza głową, ale zdecydowanie na nich patrzył oczami upiornie rozświetlonymi od środka na niebiesko.

– No dobrze – powiedział Holden. – Czyli nie hibernuje.

– Wiesz, jeśli zdołam oderwać to od ściany strzałem lub dwoma, a Aleks włączy silnik, to może po prostu wylecieć przez drzwi z tyłu i wpaść w wydech z dyszy. To powinno załatwić sprawę.

– Zastanówmy się nad... – powiedział Holden, ale zanim dokończył myśl, ładownia kilka razy rozbłysła ogniem z lufy strzelby Amosa.

Potwór został wielokrotnie trafiony i strącony w wirujący kłębek unoszący się w stronę drzwi.

– Aleks, włącz... – zaczął Amos.

Potwór zerwał się do działania. Wyciągnął jedną z długich rąk do ściany, przy czym wydawało się, że kończyła się przy tym wydłuża, i szarpnął na tyle mocno, że wygiął metalowe płyty. Gest rzucił go ku górze ładowni tak szybko, że kiedy uderzył w skrzynię osłaniającą Holdena, puściły jej magnetyczne zaczepy. Rzucony w tył Holden miał wrażenie, że ładownia zawirowała. Skrzynia leciała tuż za nim z tą samą prędkością. Kapitan uderzył o ścianę ułamek sekundy przed skrzynią, a magnetyczna paleta przywarła do nowej ściany, blokując pod sobą jego nogę.

Coś w jego kolanie zgięło się niewłaściwie i ból na chwilę pokrył świat czerwienią.

Amos zaczął strzelać do potwora z małej odległości, ale ten niedbale uderzył go z backhandu, rzucając w służę ładowni tak mocno, że wygiął wewnętrzne drzwi. Zewnętrzna grodzień zatrzaskała się natychmiast po wykryciu niebezpieczeństwa. Holden próbował wyrwać nogę, ale ugrzęzła pod skrzynią, a przy elektromagnesach zdolnych utrzymać ćwierć tony przy ciężeniu dziesięciu g, nie miał szans jej uwolnić. Panel sterowania skrzyni

umożliwiający wyłączenie magnesów świecił pomarańczową kontrolką blokady dziesięć centymetrów poza zasięgiem jego palców.

Potwór odwrócił się w jego stronę. Jego niebieskie oczy były za duże w stosunku do głowy, nadawały mu dziwny, dziecięcy wygląd. Stwór wyciągnął ku niemu wielką rękę.

Holden zaczął do niego strzelać do momentu, aż opróżnił magazynek.

Miniaturowe, samodzielne rakiety wystrzeliwane z pistoletu bezodrzutowego, uderzając w stwora, eksplodowały w maleńkich rozbłyskach światła i dymu, a każdy odpychał go odrobinę dalej i odrywał duże kawałki jego torsu. Czarne włókna tryskały przez pomieszczenie jak kreskowe rysunki rozprysków krwi. Uderzenie ostatniej rakiety oderwało potwora od ściany i pchnęło go w stronę otwartych drzwi.

Czarnoczerwone ciało zawiroowało w stronę bezkresu gwiazd i ciemności i Holden pozwolił sobie na nadzieję. Jednak niecały metr od drzwi stwór wyciągnął jedną z długich rąk i chwycił brzeg skrzyni. Holden widział, ile siły miały te ręce, i nie miał wątpliwości, że nie straci uchwytu.

– Kapitanie! – Amos krzyczał mu do ucha. – Holden, jesteś tam jeszcze?

– Jestem, Amos. Mam lekki problem.

Kiedy mówił, potwór podciągnął się do skrzyni, i usiadł na niej bez ruchu. Koszmarny gargulec nagle zmieniony w kamień.

– Wcisnę obejście blokady i przyjdę po ciebie – powiedział Amos. – Wewnętrzne drzwi są spieprzone, więc stracimy trochę powietrza, ale nie za wiele...

– Dobra, ale zrób to szybko – odpowiedział Holden. – Przygniotło mnie, musisz wyłączyć magnesy tej skrzyni.

Po chwili otworzyły się drzwi śluzy, wyrzucając obłoczek atmosfery. Amos zaczął wchodzić do ładowni, gdy potwór wybił się ze skrzyni, na której siedział, przytrzymał się jedną ręką ściany, a drugą chwycił ciężki plastikowy pojemnik i rzucił nim w mechanika. Pocisk o centymetry minął głowę Amosa i uderzył w ścianę tak mocno, że Holden poczuł wibracje przez skafander. Potężny mechanik cofnął się, klnąc, i drzwi śluzy znowu się zamknęły.

– Przepraszam – rzucił po chwili. – Spanikowałem. Otworzę to...

– Nie! – wrzasnął Holden. – Przestań otwierać te cholerne drzwi.

Teraz jestem uwięziony za dwiema pieprzonymi skrzyniami. Jeszcze jedna taka akcja i drzwi odetną mi kabel, a naprawdę nie chcę tu utknąć bez łączności.

Po zamknięciu drzwi śluzy potwór wrócił do ściany obok maszynowni i ponownie zwinął się w kłębek. Tkanka w ranach zadanych strzałami Holdena pulsowała miękko.

– Widzę go, kapitanie – powiedział Aleks. – Myślę, że jeśli wcisnę manetkę, zdołam go wyrzucić przez te drzwi.

– Nie! – Naomi i Amos zaprotestowali niemal równocześnie.

– Nie – powtórzyła Naomi. – Zobacz, gdzie Holden jest przyciśnięty tymi skrzyniami. Jeśli dasz duży ciąg, to połamie mu wszystkie kości, nawet jeśli w jakiś sposób też nie zostanie wyrzucony przez te drzwi.

– Właśnie, ma rację – potwierdził Amos. – To zabije kapitana. Nie ma mowy.

Holden przez chwilę słuchał, jak jego załoga spiera się na temat sposobów utrzymania go przy życiu, i obserwował stwora moszczącego się przy ścianie, jakby szykował się do snu.

– Cóż – odezwał się Holden, włączając się do ich rozmowy. – Wysokie ciśnienie prawie na pewno połamałoby mnie teraz na kawałki, ale to wcale nie musi go wykluczać.

Nowy głos, który rozbrzmiał na kanale, wydawał się dochodzić z innego świata. Holden w pierwszej chwili nie rozpoznał głosu botanika.

– Hm – powiedział Praks. – To ciekawe.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Praks

Wszyscy oglądali śmierć Erosa. Stację zaprojektowano do zbierania i przekazywania danych naukowych, więc każda zmiana, śmierć i metamorfoza zostały zarejestrowane, nagrane i przesłane do systemu. Choć rządy Marsa i Ziemi próbowały zablokować te dane, wyciekały wielokrotnie w ciągu kolejnych tygodni i miesięcy. To, jak ludzie je oglądali, zależało bardziej od tego, kim byli, niż od samych nagrań. Dla niektórych były to wiadomości, dla innych dowody. Dla znacznie większej liczby ludzi niż Praks chciałby wierzyć, była to makabryczna rozrywka – wysokobudżetowy film z prawdziwą śmiercią.

Praks też je oglądał, podobnie jak wszyscy w jego zespole. Dla niego była to zagadka. Pragnienie zastosowania logiki konwencjonalnej biologii do efektów działania protomolekuły było przemożne i – przeważnie – bezowocne. Poszczególne elementy były zwodnicze – spiralne krzywizny tak podobne do skorup łodzików, sygnatury cieplne zainfekowanych ciał zmieniające wzory prawie w sposób zgodny z niektórymi gorączkami krwotocznymi. Ale nic z tego się nie składało.

Z pewnością ktoś gdzieś dostał pieniądze z grantu na badanie tego, co tam zaszło, ale praca Praksa nie chciała

czekać. Wrócił do swojej soi. Życie toczyło się dalej. Nie stało się to jego obsesją, po prostu powszechnie znaną zagadką, którą będzie musiał rozwiązać ktoś inny.

Praks wisiał swobodnie w nieważkości przy nieużywanym stanowisku w centrum dowodzenia i oglądał obraz z kamery. Stwór sięgnął do kapitana Holdena, a ten strzelał do niego i strzelał, i strzelał. Praks obserwował włókna tryskające z pleców stwora. To z pewnością było znajome, stanowiło jeden z bardziej charakterystycznych elementów nagrań z Erosa.

Potwór zaczął wirować. Morfologicznie nie różnił się zbyt od człowieka: jedna głowa, dwie ręce, dwie nogi. Żadnych autonomicznych struktur, żadnych rąk czy klatek piersiowych wykorzystanych do innych celów.

Naomi przy stanowisku dowodzenia gwałtownie wciągnęła powietrze. Dziwne było usłyszeć ten dźwięk w dzielonym powietrzu, a nie na kanale łączności. Zdawało się to aktem intymności, który wzbudził w nim lekki dyskomfort, ale było tam też coś ważnego. Jego umysł zachowywał się dziwnie, jakby był osłonięty warstwą waty. Rozpoznał to wrażenie. Myślał o czymś, tylko jeszcze nie wiedział, co to takiego.

– Przygniotło mnie – powiedział Holden. – Musisz wyłączyć magnesy tej skrzyni.

Stwór znalazł się na drugim końcu ładowni. Kiedy Amos wszedł do środka, stwór zaczepił się jedną ręką, drugą rzucając w Amosa dużym pojemnikiem. Nawet na kiepskiej jakości obrazie Praks zobaczył pracę potężnych, powiększonych do absurdalnych rozmiarów mięśni czworobocznych i naramiennych. A jednak nie uległy przemieszczeniu. Czyli protomolekuła działała w ramach

ograniczeń. Czymkolwiek był ten stwór, protomolekuła nie robiła tego, co próbki z Erosa. Istota w ładowni niewątpliwie była produktem tej samej technologii, ale wykorzystanej do innych zastosowań. Wyściółka z waty jakby się przerzedzała.

– Nie! Przestań otwierać te cholerne drzwi. Teraz jestem uwięziony za dwiema pieprzonymi skrzyniami.

Stwór wrócił do ściany obok miejsca, gdzie pierwotnie go zobaczyli. Zwinął się tam z wyraźnie pulsującymi ranami. Ale nie *usiadł*. Przy wyłączonych silnikach nie było nawet śladu ciężenia, które by go tam przyciągało. Jeśli nie było mu tam wygodnie, to musiał istnieć inny powód.

– Nie! – rzuciła głośno Naomi. Dłonie zaciskała na uchwytych przy konsoli sterowania, a jej twarz zszarzała.

– Nie. Zobacz, gdzie Holden jest przyciśnięty tymi skrzyniami. Jeśli dasz duże przyspieszenie, to połamię mu wszystkie kości, nawet jeśli w jakiś sposób też nie zostanie wyrzucony przez te drzwi.

– Właśnie, ma rację – potwierdził Amos. Jego głos świadczył o zmęczeniu. Może tak wyrażał smutek. – To zabije kapitana. Nie ma mowy.

– Cóż. Wysokie ciężenie prawie na pewno połamałoby mnie teraz na kawałki, ale to wcale nie musi go wykluczać.

Stworzenie poruszyło się przy ścianie. Ruch nie był duży, ale zauważalny. Praks powiększył obraz najbardziej, jak się dało. Jedna z potężnych dłoni – ze szponami, ale wciąż z czterema palcami i kciukiem – przytrzymała się, a druga rozrywała ścianę. Zewnętrzna warstwa była zrobiona z tkaniny i izolacji i zeszła w przypominających

gumę pasach. Gdy została zerwana, potwór zaatakował wzmocnioną stal pod spodem. W próżni wokół niego unosiły się małe kawałki metalu, które błyskały w świetle jak małe gwiazdy. Dlaczego to robił? Jeśli chciał zniszczyć statek, istniało mnóstwo lepszych sposobów. A może próbował przebić się przez ścianę, próbując dotrzeć do czegoś, podążając za jakimś sygnałem...

Warstwa waty zniknęła nagle, odsłaniając obraz bladego, nowego korzonka wyłaniającego się z ziarna. Poczul, że się uśmiecha.

– *Hm, to ciekawe.*

– Co takiego, doktorku? – zapytał Amos.

Praks zrozumiał, że musiał to powiedzieć na głos.

– Yyy... – Próbował zebrać słowa, które mogłyby przekazać obraz. – To próbuje się przemieszczać po gradiencie promieniowania. To znaczy... ta wersja protomolekuły, która szalała na Erosie, żywiła się promieniowaniem, więc pewnie ma sens, żeby ta też...

– Ta? – zapytał Aleks. – Jaka ta?

– Ta wersja. Znaczy, ta w oczywisty sposób została zmodyfikowana do tłumienia większości zmian, prawie nie zmodyfikowała ciała gospodarza. Musieli jej wprowadzić jakieś ograniczenia, ale wydaje się, że nadal potrzebuje źródła promieniowania.

– Dlaczego, doktorku? – zapytał Amos. Próbował być cierpliwy. – Dlaczego myślisz, że potrzebuje promieniowania?

– Och – rzucił Praks. – Bo wyłączyliśmy silnik, czyli reaktor pracuje na jałowych obrotach, więc teraz próbuje się przebić do rdzenia.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Aleks rzucił coś

obelżywego.

– Dobra – odezwał się Holden. – Nie mamy wyboru. Aleks, musisz wyrzucić to coś, zanim przebiję się przez ścianę. Nie mamy czasu wymyślać nowego planu.

– Kapitanie – zaprotestował Aleks. – Jim...

– Wejść tam sekundę po jego zniknięciu – powiedział Amos. – Jeśli cię tam nie będzie, to służba z tobą była zaszczytem, kapitanie.

Praks zamachał rękami jakby ten gest mógł przyciągnąć ich uwagę, ale tylko zaczął powoli wirować na pokładzie dowodzenia.

– Czekajcie! Nie! To *jest* nowy plan – powiedział. – To się przemieszcza po gradiencie promieniowania. Jak korzeń kierujący się do wody.

Naomi odwróciła się do niego. Wydawała się kręcić, a mózg Praksa przestawił się na interpretację, że jest pod nim, oddalając się po spirali. Zamknął oczy.

– Będziesz musiał nam to dokładniej wyjaśnić – powiedział Holden. – I to szybko. Jak możemy to kontrolować?

– Zmienić gradient – wyjaśnił Praks. – Ile czasu potrzeba na zrobienie pojemnika z jakimiś nieosłoniętymi radioizotopami?

– To zależy, doktoru – rzucił Amos. – Ile potrzebujemy?

– Tylko trochę więcej niż przenika w tej chwili z reaktora – odpowiedział Praks.

– Przynęta – rzuciła Naomi, chwytając go i przyciągając do uchwytu. – Chcesz zrobić coś, co będzie wyglądało na lepsze jedzenie i wyciągnąć go tym za drzwi.

– Właśnie to powiedziałem. Prawda? – zapytał Praks.

– Niezupełnie – przyznała Naomi.

Stwór na ekranie powoli zwiększał chmurę skrawków metalu. Praks nie był pewien, bo rozdzielczość obrazu nie była dostateczna, ale miał wrażenie, że w trakcie skrobania zmienia się kształt ręki stwora. Zastanawiał się, w jakim stopniu ograniczenia nałożone na ekspresję protomolekuły uwzględniły uszkodzenia i leczenie. Procesy regeneracji były świetną okazją do porażki systemów ograniczających. W końcu nowotwór był zwykłym powielaniem się komórki poza kontrolą. Jeśli raz zacznie się zmieniać, może już nie przestać.

– Mimo wszystko – powiedział Praks – sądzę, że powinniśmy się pośpieszyć.

* * *

Plan był prosty. Amos wejdzie do ładowni i uwolni kapitana, jak tylko za stworem zamkną się drzwi. Pozostająca w centrum dowodzenia Naomi zamknie je natychmiast po wyjściu stwora za radioaktywną przynętą. Z kolei Aleks włączy silniki, gdy tylko da się to zrobić bez zabijania kapitana. Sama zaś przynęta – półkilogramowy cylinder z cienką ołowianą osłoną, by nie przyciągnęła stwora zbyt szybko – zostanie wyniesiony przez główną służbę powietrzną i rzucony w próżnię przez jedyne pozostałego członka załogi.

Praks unosił się w służbie z przynętą w grubej rękawicy skafandra. Jego myśli wypełniały żal i niepewność.

– Może byłoby lepiej, gdyby zajął się tym Amos – powiedział. – Jeszcze nigdy dotąd nie robiłem niczego w próżni.

– Przykro mi, doktoru, ale mam dziewięćdziesiąt kilo kapitana do wciągnięcia – odpowiedział Amos.

– Nie moglibyśmy tego zautomatyzować? Podajnik z laboratorium...

– Praks – powiedziała Naomi, a choć zrobiła to łagodnie, jej głos niósł ze sobą wagę tysiąca *zabieraj tam swój tyłek*.

Praks po raz kolejny sprawdził uszczelki skafandra. Wszystko świeciło na zielono. Skafander był znacznie lepszy od tego, w którym opuścił Ganimedesa. Odległość między śluzą załogową blisko dziobu statku a drzwiami ładowni przy rufie wynosiła dwadzieścia pięć metrów. Nie będzie musiał nawet przejść całej drogi. Sprawdził linkę z łączem kablowym, żeby się upewnić, że jest pewnie zamocowana w śluzie.

To byto kolejne ciekawe pytanie: czy efekt zakłócania nadajników radiowych był naturalnym skutkiem działania potwora? Praks spróbował sobie wyobrazić, jak coś takiego mogło być generowane biologicznie. Czy efekt ustanie, gdy potwór opuści statek? Kiedy zostanie spalony przez dyszę wylotową?

– Praks – odezwała się Naomi. – Teraz jest dobra chwila.

– No dobrze – odparł. – Wychodzę.

Otworzyły się zewnętrzne drzwi śluzy. W pierwszym odruchu chciał się odepchnąć w czerń tak, jak zrobiłby to w dużym pokoju. Jego drugim pomysłem było maszerowanie na czworaka, na stopach i kolanach, tak by w maksymalnym możliwym stopniu przywierać do powłoki statku. Chwycił przynętę w dłoń i użył pierścieni przy palcach stóp do wysunięcia się ze śluzy.

Czerń wokół była wszechobecna. *Rosynant* był tratwą z metalu i farby na bezkresnym oceanie. Na czymś większym od oceanu. Gwiazdy otaczały go ze wszystkich stron, nawet ta najbliższa była odległa o setki lat lotu, a za

nimi rozciągało się ich jeszcze więcej. Wrażenie znajdowania się na drobnym asteroidzie lub księżycu i oglądania zbyt szerokiego nieba przełączyło się nagle i Praks znalazł się na szczycie wszechświata, patrząc w nieskończoną otchłań. Coś jak złudzenie optyczne przeskakujące między wazą a dwoma twarzami, potem jeszcze raz i jeszcze raz, z prędkością percepcji. Praks wyszczerzył się w uśmiechu i rozłożył szeroko ręce do pustki, choć równocześnie poczuł pierwsze oznaki wzbierających mdłości. Czytał opisy euforii próżniowej, ale to uczucie różniło się od jego wyobrażeń. Był okiem Boga, spijając światło nieskończonych gwiazd, a równocześnie pyłkiem na pyłku, przypiętym magnetycznymi butami do powłoki statku niemożliwie potężniejszego niż on sam, a równocześnie nieistotnego w obliczu otchłani. Głośniczki skafandra zatrzeszczały promieniowaniem tła z narodzin wszechświata, a w szumie szeptały upiorne głosy.

– ...doktoru? – odezwał się Amos. – Masz tam jakiś problem?

Praks rozejrzał się, spodziewając się zobaczyć obok mechanika.

Zobaczył tylko mlecznobiały wszechświat gwiazd. Było ich tak wiele, że zdawało się, iż powinny wszystko oświetlać. A jednak *Rosynant* był ciemny poza światłami reflektorów i ledwie widoczną białą mgiełką przy rufie, gdzie unosiły się pozostałości atmosfery wyrzuconej z ładowni.

– Nie – odpowiedział Praks. – Żadnego problemu.

Spróbował zrobić krok do przodu, ale skafander nie drgnął. Pociągnął nogę, próbując oderwać ją od pancerza.

Jego stopa uniosła się o pół centymetra i utknęła. Poczul atak paniki. Coś się zepsuło w magnetycznych butach. W ten sposób nigdy nie dotrze do drzwi ładowni, a potwór przekopie się do maszynowni i samego reaktora.

– Yyy, jednak mam problem – przyznał. – Nie mogę ruszyć nogami.

– Jak masz ustawioną kontrolę ruchu? – zapytała Naomi.

– Ach, racja – powiedział Praks, przedstawiając ustawienia magnesów stosownie do swojej siły. – Już w porządku. Teraz dobrze.

Jeszcze nigdy nie chodził w magnetycznych butach i doznanie było dziwne. Przez większość kroku jego noga wydawała się swobodna i prawie niekontrolowana, a potem, gdy zbliżał ją z powrotem do kadłuba, następował moment, punkt krytyczny, gdy magnesy z dużą siłą przyciągały ją do metalu. Posuwał się, unosząc się i dając się przyciągać, krok po kroku. Nie widział drzwi ładowni, ale wiedział, gdzie są. Z miejsca, w którym się znajdował, były z lewej strony od dyszy silnika. Ale z prawej strony statku. *Nie, na sterburcie. Na statkach nazywają to sterburtą.*

Wiedział, że tuż za czarnym, metalowym brzegiem znaczącym krawędź statku stwór przekopywał się przez ściany, rozrywając szponami statek w drodze do jego serca. Jeśli domyśli się, co się dzieje – jeśli był zdolny do choćby podstawowego rozumowania – mógł wyskoczyć na niego z drzwi ładowni. Próżnia mu nie szkodziła. Praks wyobraził sobie siebie próbującego uciekać w niezgrabnych magnetycznych butach, gdy stwór rozrywał go na części, a potem z drzeniem odetchnął głęboko i uniosł przynętę.

– Dobra – powiedział. – Jestem na pozycji.

– Nie ma to jak teraz – odpowiedział Holden głosem napiętym od bólu, ale próbował zachować lekki ton.

– Jasne – zgodził się Praks.

Aktywował mały zegar, przywarł bliżej do kadłuba statku i napinając wszystkie mięśnie, rzucił mały cylinder w pustkę. Obiekt odleciał, przez chwilę błyskając w świetle z wnętrza ładowni, a potem zniknął. Praksa opanowała mdląca pewność, że zapomniał wykonać jakiś krok i ołowiana osłona nie zejdzie z pojemnika tak, jak powinna.

– Przemieszcza się – powiedział Holden. – Poczuj to. Wychodzi na zewnątrz.

I nagle go zobaczył: długie, czarne palce wylaniające się ze statku, czarne ciało wyciągające się na pancierz jednostki jakby stwór rodził się w otchłań. Jego oczy świeciły na niebiesko. Praks słyszał jedynie swój spanikowany oddech. Jak zwierzę na antycznych ziemskich sawannach odczuwał pierwotne pragnienie zamarcia w ciszy i bezruchu, choć w próżni stwór nie usłyszałby go, nawet gdyby Praks wrzeszczał.

Potwór przesunął się, zamknął upiorne oczy, ponownie je otworzył, zamknął i skoczył. Jego przelot można było śledzić gaśnięciem gwiazd.

– Skoczył – powiedział Praks, zszokowany spokojem swojego głosu. – Oderwał się od statku. Zamknijcie drzwi ładowni.

– Potwierdzam – rzuciła Naomi. – Zamykam drzwi.

– Wchodzę, kapitanie – odezwał się Amos.

– Właśnie mdleję, Amos – odpowiedział Holden, ale w jego głosie brzmiało tyle rozbawienia, że Praks był

pewien, że żartuje.

W ciemności zgasła gwiazda, potem zabłysła ponownie. Kolejna. Praks śledził trajektorię. Następna przesłonięta gwiazda.

– Włączam reaktor – poinformował Aleks. – Dajcie znać, gdy wszyscy będziecie bezpieczni, dobra?

Praks patrzył i czekał. Gwiazda świeciła. Czy nie powinna zgasnąć, jak wcześniejsze? Czyżby źle ocenił? Czy może potwór zawracał? Czy mógł manewrować w próżni, czy mógł zauważyć włączanie reaktora przez Aleksa?

Praks zawrócił do głównej śluzy.

Rosynant wydawał się niczym, wykałaczką unoszącą się w oceanie gwiazd, a jednak teraz odległość do wejścia zrobiła się bardzo duża. Praks przestawił jedną nogę, potem drugą i spróbował biec, w żadnej chwili nie odrywając obu stóp od podłoża. Magnetyczne buty nie pozwoliłyby mu oderwać obu stóp naraz – noga z tyłu była unieruchomiona do czasu zaczepienia tej z przodu. Śwędziały go plecy i musiał stłumić pragnienie odwrócenia się. Nic tam nie było, a jeśli nawet, patrzenie nie pomoże. Kabel jego łącza przewodowego zwinął się z prostej kreski w pętle sunące wraz z nim. Ściągnął je, żeby wyprostować przewód.

Słaby zielonożółty blask otwartej śluzy wzywał go jak coś ze snu. Usłyszał, że cicho skamle, ale dźwięk zgubił się w wybuchu przekleństw Holdena.

– Co się tam dzieje? – rzuciła ostro Naomi.

– Kapitan nie jest w szczytowej formie – odpowiedział Amos. – Chyba sobie coś skręcił.

– Mam wrażenie, że w moim kolanie ktoś się urodził –

wyjaśnił Holden. – Wszystko będzie dobrze.

– Możemy odpalać? – zapytał Aleks.

– Jeszcze nie – odparła Naomi. – Drzwi ładowni są zamknięte, na ile się da przed wizytą w stoczni, ale przednia śluza jest jeszcze otwarta.

– Za chwilę wejdę – powiedział Praks, myśląc, *nie zostawiajcie mnie tutaj. Nie zostawiajcie mnie z tą rzeczą.*

– No dobra – rzucił Aleks. – Powiedzcie mi, kiedy będę mógł nas stąd zabrać w diabły.

W głębi statku Amos wydał cichy dźwięk. Praks dotarł do śluzy i wciągnął się do niej z gwałtownością, od której zatrzeszczały stawy jego skafandra. Szarpnął kabel łączności, żeby wciągnąć go do końca ze sobą i rzucił się na ścianę, uderzając w przyciski do chwili zamknięcia zewnętrznych drzwi i rozpoczęcia napełniania śluzy atmosferą. W słabym świetle śluzy Praks obrócił się powoli we wszystkich trzech osiach. Zewnętrzne drzwi pozostały zamknięte. Nic ich nie rozerwało, nie wpełzły tu za nim żadne niebieskie oczy.

Uderzył łagodnie o ścianę, gdy odległy dźwięk pomp powietrza oznajmił obecność atmosfery.

– Jestem w środku – oznajmił. – Jestem w śluzie.

– Czy kapitan jest stabilny? – zapytała Naomi.

– A zdarza mu się to czasem? – Amos odpowiedział pytaniem.

– Nic mi nie jest, boli mnie tylko kolano. Zabierz nas stąd.

– Amos? – Naomi nie ustępowała. – Widzę, że wciąż jesteś w ładowni. Jakiś problem?

– Może być – przyznał mechanik. – Nasz gość coś po sobie zostawił.

– Nie dotykaj tego! – głos Holden'a był ostry jak tarka. – Weźmiemy palnik i spalimy to na atomy.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – zaprotestował Amos. – Widywałem już te rzeczy i nie najlepiej reagują na palniki.

Praks zmienił pozycję do oczekiwanego pionu, regulując magnesy w butach tak, by lekko przytrzymały go w pozycji stojącej. Drzwi śluzy wewnętrznej zasygnalizowały, że może już bezpiecznie zdjąć skafander i wrócić do statku. Zignorował sygnał i włączył jeden z paneli ściennych, przełączając ekran na obraz ładowni. Holden unosił się blisko śluzy towarowej, a Amos trzymał się drabiny ściennej i oglądał coś małego i lśniącego, przylegającego do ściany.

– Co to jest, Amos? – zapytała Naomi.

– Musiałbym zebrać z tego trochę glutów – odparł Amos – ale wygląda to jak dość standardowy ładunek zapalający. Nie jest duży, ale wystarczy, żeby odparować ze dwa metry kwadratowe.

Przez chwilę panowała cisza. Praks zwolnił uszczelkę hełmu, uniósł go i głęboko wciągnął do płuc powietrze statku. Przełączył obraz na zewnętrzną kamerę. Potwór dryfował obok statku, nagle znowu widoczny w słabym świetle docierającym z ładowni, powoli znikając z widoku. Owinął się wokół radioaktywnej przynęty.

– Bomba – powiedział Holden. – Chcesz mi powiedzieć, że to coś zostawiło po sobie *bombę*?

– I do tego cholernie dziwną. Przynajmniej moim zdaniem – dodał Amos.

– Amos, chodź ze mną do śluzy towarowej – polecił Holden. – Aleks, co nam zostało do zrobienia przed

spaleniem potwora? Praks wrócił do środka?

– Jesteście w służbie? – Aleks odpowiedział pytaniem.

– Już tak. Zrób to.

– Nie musisz mi tego powtarzać – rzucił Aleks. –

Przygotować się na przyspieszenie.

Kaskada biochemiczna wynikająca z euforii, paniki i odzyskania poczucia bezpieczeństwa wydłużyła czas reakcji Praksa, więc kiedy włączył się silnik, nie do końca przygotował się na powrót ciężkości. Padł pod ścianę, uderzając głową o wewnętrzne drzwi śluzy. Nie przejął się tym. Czuł się cudownie. Zdołał wywabić potwora ze statku. W tej chwili właśnie płonął w świetlistym ogniu *Rosynanta*.

A potem gniewny bóg kopnął w bok okrętu i posłał go w pustkę. Praks został oderwany od podłogi, bo łagodnie ustawione magnesy nie wystarczyły, by utrzymać go w miejscu. Zewnętrzne drzwi śluzy rzuciły się w jego stronę i świat pogrążył się w czerni.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Avasarala

Nastąpił kolejny skok aktywności. Trzeci. Tylko że tym razem wydawało się, że nie ma żadnej szansy na udział potwora Bobbie. Więc może... może to przypadek. Co otwierało kolejne pytanie. Jeśli ta rzecz nie pochodziła z Wenus, to skąd?

Jednak świat uparł się, by odwracać jej uwagę.

– Nie jest tym, za kogo ją uważaliśmy, proszę pani – powiedział Soren. – Ja też dałem się nabrać na tę zagubioną Marsjankę. Jest dobra.

Avasarala odchyliła się na oparcie fotela. Raport wywiadu na jej ekranie pokazywał kobietę, którą nazywała Robertą Draper, w cywilnym ubraniu. Wyglądała w nim na jeszcze większą. Według podpisu nazywała się Amanda Telele i była niezależną agentką marsjańskiego wywiadu.

– Wciąż to analizuję – stwierdził Soren. – Wygląda na to, że naprawdę istniała Roberta Draper, ale zginęła na Ganimesie z innymi marines.

Avasarala gestem odsunęła słowa i przewinęła raport. Rejestry wysyłanych tajnymi kanałami zaszyfrowanych wiadomości między rzekomą Bobbie a znanym agentem marsjańskim na Lunie zaczynały się w dniu, kiedy Avasarala ją zatrudniła. Avasarala czekała na strach w

piersi, na poczucie zdrady. Nie nadeszły. Nieustannie zaglądała do kolejnych części raportu, wchłaniając nowe informacje i czekając na reakcję jej ciała. Wciąż nic się nie działo.

– Czemu się tym zająłeś? – zapytała.

– Przeczucie – odparł Soren. – Chodziło o sposób, w jaki się zachowywała, gdy nie było pani w pobliżu. Była trochę za bardzo... chyba gładka. To mi nie pasowało. Więc wykazałem się inicjatywą. Powiedziałem, że to z pani polecenia.

– Żeby nie wyglądała na tak cholerną idiotkę, która zaprasza do biura wrogą agentkę?

– Wydawało się to właściwym rozwiązaniem – potwierdził Soren. – Jeśli myśli pani o sposobie wynagrodzenia wiernej służby, to przyjmuję premie i awanse.

– Nie wątpię – rzuciła.

Czekał, nachylając się lekko do przodu na palcach stóp. Czekał, aż wyda rozkaz aresztowania Bobbie i poddania jej pełnemu przesłuchaniu wywiadowczemu. Jeśli chodzi o eufemizmy, „pełne przesłuchanie wywiadowcze” było jednym z najbardziej obscenicznych, ale prowadzili wojnę z Marsem, a cenna agentka wywiadu umieszczona w samym sercu ONZ musiała znać cenne fakty.

W takim razie dlaczego, pomyślała Avasarala, wcale na to nie reaguję?

Sięgnęła do ekranu, znieruchomiała i cofnęła rękę, marszcząc brwi.

– Proszę pani? – zapytał Soren.

To była drobna rzecz, najmniej spodziewana. Soren zagryzł wewnątrz dolnej wargi. Drobny gest, prawie

niewidoczny. Jak coś, co zdradza ludzi przy pokerowym stole. I na jego widok Avasarala natychmiast zrozumiała.

Nie kryło się za tym żadne myślenie, uzasadnianie, żadne zmagania ani wątpliwości. Po prostu wiedziała, jasno, jak coś oczywistego, znanego od zawsze, to było kompletne i perfekcyjne. Soren był nerwowy, bo oglądany przez nią raport nie wytrzyma uważnej analizy.

A nie wytrzyma, bo jest sfałszowany.

Sfałszowany, ponieważ Soren pracował dla kogoś innego, kto chciał kontrolować informacje dostające się na biurko Avasarali. Nguyen odtworzył swoją flotę bez jej wiedzy, ponieważ to Soren nadzorował wymianę danych. Ktoś wiedział, że będzie trzeba ją kontrolować. Prowadzić. To było coś przygotowanego na długo przed eksplozją gówna na Ganimesedzie. Potwór na Ganimesedzie został przewidziany.

Czyli to Errinwright.

Pozwolił jej zażądać rozmów pokojowych, pozwolił jej sądzić, że osłabiła pozycję Nguyena, pozwolił jej przyjąć Bobbie do personelu. A to wszystko, żeby nie wzbudzać jej podejrzeń.

To nie był skrawek Wenus, który wyrwał się spod kontroli, tylko projekt wojskowy. Broń, której Ziemia chciała, by złamać rywali, zanim projekt obcych na Wenus ukończy to, co tam robi. Ktoś – prawdopodobnie Mao– Kwikowski – zachował próbkę protomolekuły w jakimś osobnym, wydzielonym laboratorium, zmienił w broń i rozpoczął licytację.

Atak na Ganimesedzie był z jednej strony testem broni, z drugiej niszczącym atakiem na źródło żywności planet zewnętrznych. SPZ nie został zaproszony do aukcji.

Nguyen poleciał do systemu Jowisza odebrać towar, a James Holden i jego botanik wdepnęli w jakąś część tego wszystkiego. Mars w końcu doszedł do wniosku, że przegrał licytację.

Avasarala zaczęła się zastanawiać, ile Errinwright dał Julesowi–Pierre'owi Mao, by przelicytować Marsa. Musiało chodzić o dużo więcej niż tylko pieniądze.

Ziemia miała właśnie dostać swoją pierwszą broń na bazie protomolekuły, a Errinwright trzymał ją poza obiegiem, bo cokolwiek zamierzał z nią zrobić, jej by się to nie spodobało. A była jedną z nielicznych osób w Układzie Słonecznym, które mogły go powstrzymać.

Zastanawiała się, czy nadal jest to prawdą.

– Dziękuję, Soren – powiedziała. – Doceniam twoje wysiłki. Wiemy, gdzie teraz jest?

– Szuka pani – odpowiedział Soren z uśmiechem samozadowolenia na wargach. – Może mieć wrażenie, że pani śpi. Jest dość późno.

– Sen? Atak, niejasno pamiętam, że jest coś takiego – rzuciła Avasarala. – Dobrze. Będę musiała porozmawiać z Errinwrightem.

– Chce pani, żebym kazał ją aresztować?

– Nie, nie chcę.

Rozczarowanie było ledwie widoczne.

– Jak *mamy* teraz postępować? – zapytał Soren.

– Porozmawiam z Errinwrightem – stwierdziła. – Możesz mi przynieść herbatę?

– Tak jest, proszę pani – powiedział i wyszedł, prawie całą drogę się kłaniając.

Avasarala odchyliła się na fotelu. Czowała spokój ducha. Jej ciało było wyśrodkowane i bez ruchu, jakby ukończyła

właśnie wyjątkowo długą i skuteczną sesję medytacji. Wysłała żądanie połączenia i zaczęła czekać, by sprawdzić, ile czasu Errinwright lub jego asystent będzie potrzebował na odpowiedź. Jej żądanie połączenia natychmiast zostało oznaczone PRIORYTETOWE, OCZEKUJE. Errinwright pojawił się na ekranie trzy minuty później. Mówił ze swojego ręcznego terminala, a obraz skakał wraz z podskokami i skrętami samochodu, którym jechał. Gdziekolwiek był, panowała tam noc.

– Chrisjen! – rzucił na powitanie. – Coś się stało?

– Nic szczególnego – odpowiedziała Avasarala, w duchu przeklinając połączenie. Chciała widzieć jego twarz. Chciała widzieć, jak kłamie jej w oczy. – Soren przyniósł mi coś ciekawego. Wywiad uważa, że moja marsjańska łączniczka jest szpiegiem.

– Naprawdę? – zapytał Errinwright. – To przykre. Aresztujesz ją?

– Raczej nie – stwierdziła Avasarala. – Chyba raczej zacznę kontrolować jej łączność. Lepszy znany wróg. Chyba się zgodzisz?

Przerwa była ledwie zauważalna.

– Świetny pomysł. Zrób tak.

– Dziękuję, sir.

– Ale skoro już cię tu mam, muszę o coś zapytać. Masz teraz coś, co koniecznie wymaga twojej obecności w biurze, czy możesz pracować na statku?

Uśmiechnęła się. A więc jest następny ruch.

– O czym myślisz?

Samochód Errinwrighta wjechał na kawałek gładziej nawierzchni i jego twarz zrobiła się wyraźniejsza. Miał na sobie ciemny garnitur i koszulę ze stójką, bez krawata.

Wyglądał jak kapłan.

– Ganimedes. Musimy pokazać, że bardzo poważnie traktujemy tamtejszą sytuację. Sekretarz generalny chce, żeby fizycznie udał się ktoś wyższy rangą. Złożyć raport w sprawie sytuacji humanitarnej. Ponieważ ty się tym żywo interesowałaś, uznał, że będziesz właściwą do tego osobą. A ja uznałem, że to da ci też szansę, żeby uważnie przyjrzeć się pierwszemu atakowi.

– Mamy wojnę – przypomniała Avasarala. – Nie sądzę, żeby flota chciała oddać statek, by przewieźć tam moje stare kości. Zresztą, nadzoruję przecież badania w sprawie Wenus, prawda? Wolna ręka i tak dalej.

Errinwright uśmiechnął się dokładnie tak, jakby robił to szczerze.

– Wszystkim się zająłem. Jules– Pierre Mao leci swoim jachtem z Luny na Ganimedesa, żeby nadzorować akcję humanitarną prowadzoną przez jego firmę. Zaoferował ci koję. Warunki będziesz miała znacznie lepsze niż w biurze. I pewnie większą przepustowość pasma. Będziesz mogła stamtąd monitorować Wenus.

– Mao– Kwik jest teraz częścią rządu? Nie wiedziałam – rzuciła.

– Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie. Mao– Kwikowi zależy na zadbaniu o tych ludzi tak samo, jak wszystkim innym.

Otworzyły się drzwi gabinetu Avasarali i pojawiła się w nich Roberta Draper. Wyglądała okropnie. Jej skóra miała szarawy odcień jak u kogoś, kto od dawna nie spał. Mocno zaciskała szczęki. Avasarala kiwnęła głową w stronę krzesła.

– Zajmuję bardzo dużo pasma – powiedziała.

– To nie będzie problem. Dostaniesz priorytet na wszystkie kanały łączności.

Marsjanka usiadła przed biurkiem, zdecydowanie poza polem widzenia kamery. Bobbie oparła dłonie na udach z łokciami przy bokach, jak zapaśniczka szykująca się do wkroczenia na arenę. Avasarala zmusiła się, by na nią nie zerkać.

– Mogę się nad tym zastanowić?

– Chrisjen – odpowiedział Errinwright, unosząc bliżej ręczny terminal, przez co jego okrągła twarz wypełniła ekran. – Powiedziałem sekretarzowi generalnemu, że to może nie wyjść.

Podróż do układu Jowisza nawet najlepszym jachtem jest bardzo trudna. Jeśli masz zbyt wiele do zrobienia na miejscu albo nie odpowiada ci pomysł tej podróży, po prostu powiedz nie, a wyślę kogoś innego. Zwyczajnie nie będzie tak dobry jak ty.

– A kto jest? – rzuciła niedbale Avasarala. Gotowała się w niej furia. – Dobrze. Przekonałeś mnie. Kiedy wylatuję?

– Jacht ma wylecieć za cztery dni. Przykro mi z powodu krótkiego czasu, ale dopiero godzinę temu dostałem potwierdzenie.

– Szczęśliwy traf.

– Gdybym był religijny, uznałbym, że to coś znaczy. Prześlę szczegóły Sorenowi.

– Lepiej prosto do mnie – powiedziała Avasarala. – Soren i bez tego będzie miał mnóstwo roboty.

– Jak wolisz – odpowiedział.

Jej szef potajemnie wywołał wojnę. Pracował z tymi samymi korporacjami, które wypuściły dzina z butelki na Febe, poświęciły Erosa i zagroziły całej ludzkości. Był

przestraszonym, małym chłopcem w drogim garniturze, wszczynającym bójkę, którą spodziewał się wygrać, bo przerażało go prawdziwe zagrożenie. Uśmiechnęła się do niego. Przez niego i Nguyena zginęło już mnóstwo dobrych ludzi. Na Ganimesedzie ginęły dzieci. Pasiarze nie będą mieli skąd brać kalorii. Niektórzy umrą z głodu.

Okrągłe policzki Errinwrighta odrobinę się zapadły, tylko o milimetr. Nieznacznie nastroszył brwi. Wiedział, że ona wie. Oczywiście, że tak, gracze na ich poziomie nie mogli się oszukać. Wygrywali pomimo tego, że ich przeciwnicy doskonale wiedzieli, co się dzieje. Tak jak on wygrywał z nią w tej chwili.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. – Mam wrażenie, że to nasza pierwsza od dziesięciu lat rozmowa, podczas której nie powiedziałaś nic wulgarnego.

Avasarala wyszczerzyła się do ekranu, wyciągając czubki palców, jakby mogła go pogłaskać.

– Pizda – powiedziała wyraźnie.

Kiedy ekran zgasł, na chwilę schowała twarz w dłoniach, mocno wydychając powietrze i wciągając je z powrotem, próbowała się skupić. Kiedy się wyprostowała, Bobbie na nią patrzyła.

– Dobry wieczór – powiedziała Avasarala.

– Próbowałam panią znaleźć – stwierdziła Bobbie. – Moje połączenia były blokowane.

Avasarala sapnęła.

– Musimy o czymś porozmawiać. O kimś. Chodzi mi o Sorena – wyznała Bobbie. – Pamięta pani te dane, którymi miał się zająć kilka dni temu? Przekazał je komuś innemu. Nie wiem, kto to jest, ale to wojskowy. Tego jestem pewna.

Czyli to go wystraszyło, pomyślała Avasarala. Został

złapany z ręką w słoiku z ciastkami. Biedny dureń nie docenił jej marinej.

– Dobrze – odpowiedziała.

– Rozumiem, że nie ma pani żadnego powodu, by mi zaufać – mówiła dalej Bobbie – ale... no dobrze. Czemu się pani śmieje?

Avasarala wstała i przeciągnęła się, aż przyjemnie zaboląły ją barki.

– W tej chwili jesteś dosłownie jedyną osobą z mojego personelu, której mogę zaufać. Pamiętasz, jak mówiłam, że to coś na Ganimesie to nie my? Wtedy nie było, ale teraz już tak. Kupiliśmy to i zakładam, że planujemy tego użyć przeciw wam.

Bobbie wstała. Jej wcześniej szara twarz zrobiła się teraz kredowo biała.

– Muszę powiedzieć moim przełożonym – wydusiła zdławionym głosem.

– Nie, nie musisz. Oni wiedzą. Inie możesz tego dowieść ani trochę bardziej niż ja. Jeśli im teraz powiesz, a oni to ogłoszą, my wszystkiemu zaprzeczymy i bla bla bla. Większy problem polega na tym, że wrócisz ze mną na Ganimesa. Zostałam wysłana.

Wszystko opowiedziała. Fałszywy raport wywiadu Sorena, wynikające z niego wnioski, zdrada Errinwrighta i misja na Ganimesa na pokładzie jachtu Mao– Kwik.

– Nie może pani tego zrobić – obruszyła się Bobbie.

– To strasznie upierdliwe – zgodziła się Avasarala. – Będą monitorować moje połączenia, ale pewnie robią to samo i tutaj. I możesz być pewna, że skoro wysyłają mnie na Ganimesa, zupełnie nic nie będzie się tam działo. Wsadzą mnie do skrzynki, aż będzie za późno, żebym

mogła cokolwiek zrobić. A przynajmniej taki mają zamiar. Jeszcze nie rezygnuję z pieprzonej gry.

– Nie może pani wsiąść na ten statek – powiedziała Bobbie. – To pułapka.

– Oczywiście, że to pułapka – zgodziła się Avasarala, machając ręką. – Ale taka, do której muszę wejść. Odmówić prośbie sekretarza generalnego? Jeśli to się rozniesie, wszyscy zaczną sądzić, że planuję przejść na emeryturę. A nikt nie wspiera gracza, który za rok nie będzie miał żadnej władzy. Gramy długofalowo, a to oznacza silny wygląd przez cały czas. Errinwright to wie. To dlatego tak to rozegrał.

Na zewnątrz wystartował kolejny prom. Avasarala słyszała grzmot silników, poczuła nacisk ciągu i fałszywego ciężenia. Minęło trzydzieści lat, od kiedy ostatnio opuściła studnię grawitacyjną Ziemi. To nie będzie przyjemne.

– Jeśli wsiądzie pani na ten statek, zabiją panią – oświadczyła Bobbie, zmieniając każde słowo w osobne zdanie.

– Nie tak rozgrywa się tę grę – odpowiedziała Avasarala.

– Co zro... Znowu otworzyły się drzwi. Soren z tacą w rękach. Stał na nim

żeliwny czajniczek z jedną emaliowaną filiżanką bez uszka. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a potem zobaczył Bobbie. Tak łatwo było zapomnieć jak jest wielka, dopóki mężczyzna wzrostu Sorena w widoczny sposób się przed nią nie skulił.

– Moja herbata! Doskonale. Napijesz się też, Bobbie?

– Nie.

– W porządku. No, postaw to, Soren. Nie będę jej pić przy

tobie. Dobrze. I nalej mi filiżankę.

Avasarala patrzyła, jak chłopak odwraca się plecami do marinej. Musiała przyznać, że nie trzęsły mu się ręce. Avasarala siedziała w milczeniu, czekając, aż poda jej filiżankę, jakby był szczeniakiem uczącym się aportować. Kiedy to zrobił, podmuchała na powierzchnię napoju, rozdmuchując cieką zaslonę pary. Soren bardzo starannie nie patrzył na Bobbie.

– Życzy sobie pani jeszcze czegoś?

Avasarala się uśmiechnęła. Ilu ludzi zabił ten chłopak przez to, że ją okłamał? Nigdy nie będzie miała pewności, tak jak on. Najlepsze, co mogła zrobić, to dopilnować, by nie zabił *nikogo więcej*.

– Soren – odezwała się. – Będą wiedzieć, że to ty.

Tego było za wiele. Obejrzał się przez ramię, a potem znowu spojrział na nią, prawie zielony ze strachu.

– O kim pani mówi? – zapytał, próbując swojego wdzięku.

– O nich. Jeśli liczyłeś na to, że pomogą ci w karierze, to musisz zrozumieć, że nic z tego nie będzie. Ludzie, dla których pracujesz – kiedy się zorientują, że popełniłeś błąd, będziesz dla nich bezwartościowy. Nie tolerują porażek.

– Ja...

– Ja też nie. Nie zostawiaj na biurku żadnych rzeczy osobistych.

Obserwowała to w jego oczach. Przyszłość, którą sobie zaplanował i nad którą pracował, która go definiowała, nagle przepadła.

Zastąpiło ją życie na podstawowym utrzymaniu. To nie wystarczało. To nadal nie wystarczało. Jednak to była

jedyna sprawiedliwość, jaką mogła wymierzyć bez przygotowania.

Kiedy zamknęły się drzwi, Bobbie odchrząknęła.

– Co się z nim stanie? – zapytała.

Avasarala napiła się herbaty. Dobra, świeża zielona herbata, idealnie zaparzona, bogata, słodka i ani trochę gorzka.

– A kogo to obchodzi? – rzuciła. – Jacht Mao– Kwik wylatuje za cztery dni. To mało czasu, a żadna z nas nie będzie mogła nawet zrobić kupy bez wiedzy drugiej strony. Dam ci listę ludzi, z którymi przed wylotem muszę zjeść lunch, wypić kawę albo drinka. Twoim zadaniem będzie umówienie tych spotkań.

– Jestem teraz pani sekretarką? – zapytała najeżona Bobbie.

– Ty i mój mąż do jedyni żyjący ludzie, co do których wiem, że nie próbują mnie powstrzymać – odpowiedziała Avasarala. – Tak nisko w tej chwili upadłam. Muszę to zrobić, a nie mam nikogo innego, na kim mogę polegać. Więc tak, jesteś moją sekretarką. I ochroną. Oraz psychiatrą. Wszystkim naraz. Ty.

Bobbie spuściła głowę i wypuściła powietrze przez rozszerzone nozdrza. Mocno zacisnęła wargi i jeden raz pokręciła głową – w lewo, w prawo, z powrotem do środka.

– Masz przesrane – oznajmiła.

Avasarala wypila kolejny łyk herbaty. Powinna się czuć porażona. Powinna się zalewać łzami. Została odcięta od władzy, oszukana. Jules– Pierre Mao siedział przy tym biurku, niecały metr od niej, i śmiał się z niej w głos. Tak jak Errinwright, Nguyen i kto tam jeszcze był w tej ich

klice. Wywiedli ją w pole. Siedziała sobie tutaj, pociągając za sznurki, wymieniając przysługi i myśląc, że robi coś realnego. Całe miesiące – może lata – nie zauważyła, że jest odsuwana.

Zrobili z niej idiotkę. Powinna się czuć zawstydzona. Zamiast tego czuła ożywienie. To była jej gra, a jeśli pierwszą połowę skończyła na tyłach, to znaczyło tylko, że spodziewali się jej przegranej. Nie było nic lepszego od bycia niedocenianą.

– Masz broń?

Bobbie prawie się roześmiała.

– Nie podoba im się pomysł marsjańskich żołnierzy chodzących po budynkach ONZ z bronią. Muszę jeść lunch tępym łyżkowidelcem. Jesteśmy w stanie wojny.

– Dobra, w porządku. Kiedy znajdziemy się na jachcie, będziesz odpowiadać za bezpieczeństwo. Będzie ci potrzebna broń. Zdobę coś dla ciebie.

– Może pani? Choć szczerze mówiąc, wolałabym raczej mój skafander.

– Skafander? Jaki skafander?

– Kiedy tu przyleciałam, miałam ze sobą indywidualnie dopasowany pancerz wspomagany. Skopiowali z niego nagranie potwora i powiedzieli, że przekażą go wam, żebyście mogli potwierdzić, że oryginalne nagranie nie zostało sfalszowane.

Avasarala popatrzyła na Bobbie i napiła się herbaty. Michael– Jon będzie wiedział, gdzie trafił pancerz. Zadzwoń do niego rano i dopilnuje, żeby został dostarczony na pokład jachtu Mao– Kwik z przyklejoną na boku niewinną naklejką, na przykład GARDEROBA.

Prawdopodobnie sądząc, że konieczne jest dalsze

przekonywanie, Bobbie mówiła dalej.

– Poważnie. Da mi pani karabin, będę żołnierzem. Ale jeśli zdobędzie mi pani ten skafander, zmienię się w superbohatera.

– Jeśli wciąż go mamy, dostaniesz go.

– To w porządku – powiedziała Bobbie i uśmiechnęła się.

Po raz pierwszy, od kiedy się poznały, Avasarala poczuła przed nią strach.

Niech Bóg ma w opiece tego, kto zmusi ją do założenia tego pancerza.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Holden

Po włączeniu silnika przez Aleksa wróciło ciężenie i Holden opadł na pokład śluzy ładowni przy łagodnym pół g. Teraz, gdy potwór był poza statkiem, nie musieli już lecieć szybko. Wystarczyło oddalić się trochę od niego, a potem wymierzyć rozgrzaną do temperatury gwiazdy plazmą z dyszy, co rozbije go na cząstki mniejsze od atomów. Nawet protomolekuła nie mogła przetrwać rozbicia na jony. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Planował, że gdy dotknie pokładu, włączy ścienny monitor i przełączy na obraz z rufowych kamer. Chciał patrzeć, jak to coś jest spalane, ale gdy tylko wróciła waga, jego kolano przypomniało o swoim istnieniu potwornym bólem. Krzyknął i upadł na podłogę. Amos przysunął się do niego, a potem wyłączył magnesy butów i schylił się, żeby uklęknąć.

– Wszystko w porządku, kapitanie? – zapytał.

– Tak. Jak na gościa, który kompletnie rozwalił sobie kolano. – Jasne. Urazy stawów są znacznie mniej bolesne w nieważkości, nie?

Holden miał odpowiedzieć, gdy w bok statku uderzył olbrzymi młot. Kadłub zadźwięczał jak gong. Silnik *Rosa* wyłączył się niemal natychmiast i statek zaczął wirować. Amos został oderwany od Holdena i rzucony przez śluzę,

uderzył przy tym ojej zewnętrzne drzwi. Sam Holden przesunął się po pokładzie i wylądował wyprostowany przy ścianie z kolanem bolącym tak bardzo, że prawie stracił przytomność.

Szczęką wdusił przycisk w hełmie, a pancerz posłusznie wstrzyknął mu porcję amfetamin i środków przeciwbólowych. Po kilku sekundach kolano wciąż go bolało, ale ból zrobił się odległy i łatwy do zignorowania. Oddaliła się groźba tunelowego widzenia i śluza zrobiła się bardzo jasna. Jego serce przyspieszyło.

– Aleks – odezwał się, znając odpowiedź, jeszcze zanim zadał pytanie – co to było?

– Gdy tylko spaliliśmy naszego pasażera, wybuchła bomba w ładowni – odpowiedział pilot. – Mamy tam poważne uszkodzenia, włącznie z zewnętrznym kadłubem i maszynownią. Reaktor aktywował awaryjne wyłączenie, a ładownia przy wybuchu zadziałała jak drugi silnik i wprowadziła nas w obroty. Nie mam kontroli nad statkiem.

Amos jęknął i zaczął ruszać kończynami.

– Paskudnie.

– Musimy zatrzymać wirowanie – skomentował Holden.

– Czego potrzebujesz, żeby aktywować silniki korekcyjne?

– Holden – wtrąciła się Naomi – Praks chyba jest ranny w służbie. Nie rusza się tam.

– Umiera?

Wahanie trwało bardzo długą sekundę.

– Jego skafander tak nie uważa.

– To najpierw statek – zdecydował Holden. – Później pierwsza pomoc. Aleks, odzyskałiliśmy radia i wróciło oświetlenie, czyli skończyło się zagłuszanie, a baterie

wciąż działają. Czemu nie możesz odpalić silników?

– Wygląda... wysiadły główne i pomocnicze pompy. Brak ciśnienia wody.

– Potwierdzam – odezwała się Naomi po sekundzie. – Główne nie były w rejonie wybuchu, więc jeśli są zniszczone, to w maszynowni musi być niezły pasztet. Zapasowe są pokład wyżej, nie powinny być fizycznie uszkodzone, ale tuż przed wyłączeniem reaktora był duży skok mocy. Mógł je spalić albo po prostu wywalić bezpiecznik.

– Dobra, zajmiemy się tym. Amos – powiedział Holden, przesuając się do mechanika leżącego na podłodze słuzy. – Jesteś tu?

Amos odpowiedział jednoręcznym gestem potwierdzenia Pasiarzy, a potem jęknął.

– Tylko trochę mnie ogłuszyło, to wszystko.

– Musisz wstać, wielkoludzie – stwierdził Holden, dźwigając się, żeby wstać.

W nieznacznym dążeniu obrotowym statku jego noga sprawiała wrażenie ciężkiej, gorącej i sztywnej jak biała. Bez wstrzykniętych prochów stanie na niej pewnie skończyłoby się krzykiem z bólu. Zamiast tego podciągnął Amosa do pionu, naciskając na nią jeszcze mocniej.

Później za to zapłacę, pomyślał. Ale amfetamina sprawiła, że to później wydało się bardzo odległe.

– Co? – zapytał Amos, niewyraźnie wymawiając to słowo.

Prawdopodobnie doznał wstrząśnienia mózgu, ale Holden mógł mu zapewnić pomoc medyczną dopiero, gdy odzyskają kontrolę nad statkiem.

– Musimy się dostać do zapasowej pompy wody – wyjaśnił Holden, zmuszając się, by mówić powoli pomimo

narkotyku. – Jak się tam najszybciej dostać?

– Przez warsztat – odpowiedział Amos, a potem zamknął oczy i wyglądał, jakby usnął na stojąco.

– Naomi – odezwał się Holden. – Czy możesz stamtąd kontrolować skafander Amosa?

– Tak.

– Wstrzyknij mu amfę. Nie mogę go tu za sobą ciągnąć, a jest mi potrzebny.

– Dobrze – potwierdziła.

Kilka sekund później Amos otworzył oczy.

– Szlag – rzucił. – Czy ja usnąłem? – Wciąż mówił niewyraźnie, ale tym razem ze swoistym rodzajem szalonej energii.

– Musimy dojść do wjazdu ściennego w warsztacie. Zabierz wszystko, co może być potrzebne do uruchomienia pompy. Mogliśmy wywalić bezpiecznik albo spalić jakieś kable. Spotkamy się na miejscu.

– Dobra – potwierdził Amos, po czym, korzystając z pierścieni zamocowanych w śluzie, podciągnął się do drzwi. Chwilę później drzwi zostały otwarte, a on zaczął się oddalać.

Obroty statku ściągały Holdena do punktu gdzieś w pół drogi między pokładem a sterburtową ścianą. Żadna z drabin i pierścieni osadzonych na statku do korzystania przy niskim ciężeniu ciągu nie była ustawiona we właściwą stronę. Przy czterech sprawnych kończynach nie byłby to problem, ale manewrowanie z jedną nogą stało się w tych warunkach znacznie trudniejsze.

Oczywiście, gdy tylko minie środek obrotu statku, wszystko ulegnie odwróceniu.

Na moment jego perspektywa się zmieniła. Bezlitosny

Coriolis zaatakował drobne kosteczki w uszach i nagle Holden siedział w wirującej metalowej beczce zagubionej w nieskończonej nieważkości. A potem pod nią, tuż przed zmiążdżeniem. Zalał go pot atakujący chwilę przed mdłościami, gdy jego mózg przeskakiwał przez scenariusze, które mogły wyjaśnić odczuwane obroty. Znowu użył szczęki do aktywacji przycisku i wstrzyknął sobie do krwi potężną dawkę środków przeciw mdłościom.

Nie dając sobie więcej czasu do namysłu, Holden chwycił pierścienie i podciągnął się do wewnętrznych drzwi śluzy. Zobaczył Amosa wypełniającego plastikowe wiadro narzędziami i wyposażeniem wyciąganym z szuflad i szafek.

– Naomi – odezwał się Holden. – Idę zajrzeć do maszynowni. Zostały nam tam jakieś kamery?

Wyemitowała coś w rodzaju znieśmaczonego prychnięcia, które zinterpretował jako zaprzeczenie.

– Mam spięcia systemów na całym statku. Albo zostały zniszczone, albo ten obwód nie ma zasilania.

Holden przeciągnął się do pokładowej grodzi oddzielającej warsztat od maszynowni. Kontrolka stanu na włączniku błyskała gniewną czerwienią.

– Cholera, tego się bałem.

– Co? – zapytała Naomi.

– Nie masz też odczytów środowiskowych, co?

– Nie z maszynowni. Wszystko padło.

– No cóż – odpowiedział Holden i westchnął. – Właz uważa, że po drugiej stronie nie ma atmosfery. Ten ładunek zapalający wywalił dziurę w ścianie i maszynownia jest w próżni.

– O! – rzucił Aleks. – Ładownia też.

– I mamy zniszczone drzwi ładowni – dodała Naomi. – Oraz jej służbę.

– Oraz pieprzonego aniołka na choince – prychnął z niesmakiem Amos. – Zatrzymajmy wirowanie tego cholernego statku, to wyjdę na zewnątrz i to obejrzę.

– Amos ma rację – poparł go Holden, rezygnując z wjazdu i podnosząc się na nogi. Powędrował chwiejnie po znajdującej się pod ostrym kątem ścianie do panelu dostępowego, gdzie Amos czekał z wiadrem w ręku. – Najpierw to, co najważniejsze.

– Właściwie, Naomi, odciągnij powietrze także z warsztatu – powiedział Holden, czekając, aż Amos odkręci śruby mocujące panel. – Żadnego powietrza poniżej czwartego pokładu. Wyłącz zabezpieczenia, żebyśmy mogli otworzyć grodz do maszynowni, jeśli będzie trzeba.

Amos odkręcił ostatnią śrubę i ściągnął panel ze ściany. Mieli przed sobą ciasną, ciemną przestrzeń pełną splotów rur i kabli.

– A! I jeszcze jedno – dodał Holden. – Możesz przygotować sygnał SOS na wypadek, gdyby nie udało nam się tego naprawić.

– Jasne, bo tu wszędzie jest mnóstwo ludzi, którzy bardzo chętnie przyjdą nam teraz z pomocą – skomentował Amos.

Mechanik wsunął się do wąskiego przejścia między kadłubami i zniknął z widoku. Holden udał się za nim. Dwa metry za panelem rozciągał się masywny i skomplikowany mechanizm pompy doprowadzającej wodę pod ciśnieniem do silników manewrowych. Amos zatrzymał się przy nim i zaczął demontować części.

Holden czekał obok niego, a ciasnota nie pozwalała mu zobaczyć, co robi wielki mechanik.

– Jak to wygląda? – zapytał po kilku minutach słuchania cichych przekleństw pracującego Amosa.

– Tutaj wygląda dobrze – odpowiedział zapytany. – Na wszelki wypadek i tak wymienię bezpiecznik. Ale nie sądzę, żeby problemem była pompa.

Szlag.

Holden wycofał się do panelu technicznego i przeczytał się po stromej krzywiźnie ściany z powrotem do wjazdu maszynowni. Teraz, gdy atmosfery nie było po obu stronach, gniewna czerwona kontrolka została zastąpiona ponurą żółtą.

– Naomi – odezwał się Holden. – Muszę się dostać do maszynowni, zobaczyć, co tam się stało. Wyłączyłaś zabezpieczenia?

– Tak, tylko nie mam tam żadnych czujników. Pomieszczenie może być napromieniowane...

– Ale masz czujniki w warsztacie, prawda? Daj mi znać, jeśli po otwarciu wjazdu dostaniesz ostrzeżenia o promieniowaniu. Natychmiast go zamknę.

– Jim – powiedziała Naomi, gubiąc trochę sztywnego tonu, który krył się w jej głosie za każdym razem, gdy rozmawiała z nim przez ostatni dzień. – Ile razy możesz dać się napromieniować, zanim cię to w końcu dopadnie?

– Przynajmniej jeszcze raz?

– Powiem *Rosowi*, żeby przygotował łóżko w szpitalu okrętowym – odpowiedziała, nie do końca żartobliwie.

– Weź jedno z tych, które nie rzucają błędami.

Nie dając sobie czasu do namysłu, Holden wcisnął przycisk otwarcia grodzi. Kiedy się otwierała, wstrzymał

oddech, spodziewając się zobaczyć po drugiej stronie chaos i zniszczenie, a po nim usłyszeć alarm promieniowania ze skafandra.

Zamiast tego, poza małą dziurą w ścianie najbliższego miejsca wybuchu, wszystko wyglądało w porządku.

Przecisnął się przez otwór i zawisł chwilę na rękach, oglądając pomieszczenie. Potężny reaktor fuzyjny, zajmujący środek przedziału, wyglądał na nienaruszony. Ściana ze sterburty była pokracznie wydęta, z wypaloną dziurą w samym środku, jakby powstał tam miniaturowy wulkan. Holden zadrzał na myśl o ilości energii, która musiała zostać uwolniona, żeby w taki sposób odkształcić opancerzoną i odporną na promieniowanie ścianę oraz jak blisko byli wybicia dziury w reaktorze. Ilu dzu! brakowało od paskudnego uszkodzenia ściany do pełnego przebicia reaktora?

– Boże, było blisko – skomentował na głos.

– Wymieniłem wszystkie części, które przysły mi do głowy – poinformował Amos. – Problem jest gdzieś indziej.

Holden puścił się brzegu włazu i opadł pół metra na zakrzywioną ścianę poniżej, a potem zjechał na pokład. Jedynym widocznym uszkodzeniem był kawałek wybitej powłoki, przywierający do ściany dokładnie po drugiej stronie reaktora. Holden nie miał pojęcia, w jaki sposób odłamek mógł dostać się w to miejsce bez przebicia reaktora, albo odbicia się kolejno od dwóch pozostałych ścian. Ponieważ pierwsza ewentualność zniszczyłaby statek, musiało dojść do tej drugiej, niezależnie od jej nieprawdopodobieństwa.

– Naprawdę bardzo blisko – powiedział, dotykając

poszarpanego kawałka metalu. – Wbił się na dobre piętnaście centymetrów w ścianę. Dostatecznie, by naruszyć przynajmniej osłonę reaktora. A może gorzej.

– Przechwytyuję twoją kamerę – poinformowała Naomi. Chwilę później zagwizdała. – Bez jaj. Za ścianami tutaj jest mnóstwo kabli, nie da się zrobić takiej dziury bez zepsucia czegoś.

Holden spróbował ręcznie wyciągnąć ze ściany wbity element, ale bezskutecznie.

– Amos, przynieś jakieś obcęgi i mnóstwo kabli.

– Czyli nie trzeba sygnału awaryjnego – skomentowała Naomi.

– Nie. Ale gdyby ktoś mógł skierować kamerę na rufę i upewnić mnie, że za te wszystkie zniszczenia przynajmniej zabiliśmy to cholerstwo, byłbym bardzo wdzięczny.

– Widziałem, jak płonie – zapewnił Aleks. – Teraz jest już tylko gazem.

* * *

Holden położył się na jednym z łóżek w szpitalu okrętowym, pozwalając, by statek zajął się jego nogą. Manipulator ostrożnie obmacywał kolano, które spuchło do rozmiarów melona, a skóra na nim była napięta jak na bębnie. Jednak łóżko pilnowało też właściwego poziomu środków przeciwbólowych, więc okazjonalne dotknięcia i ukłucia odbierał tylko jako nacisk, bez żadnego bólu.

Panel obok głowy polecił zachować bezruch, a potem dwa manipulatory chwyciły jego nogę, podczas gdy trzeci wprowadził do kolana cienką jak igła, elastyczną rurkę i zaczął robić jakiś artroskopowy zabieg. Poczul coś w

rodzaju szarpania.

Na sąsiednim łóżku leżał Praks. Głowę miał obandażowaną w miejscu, gdzie trzycentymetrowy płat skóry przyklejono z powrotem do czaszki. Zamknął oczy. Amos, który okazał się nie mieć wstrząśnienia, a jedynie kolejny paskudny guz na głowie, był na dole i dokonywał prowizorycznych napraw wszystkiego, co zepsuła bomba potwora, włącznie z tymczasowym załataniem dziury w ścianie maszynowni. Drzwi do ładowni nie zdołają naprawić do czasu zadokowania na Tycho. Aleks prowadził ich tam z łagodną jedną czwartą g, żeby ułatwić pracę.

Holdenowi nie przeszkadzało opóźnienie. Prawdę mówiąc, wcale mu się nie śpieszyło z powrotem na Tycho, do konfrontacji z Fredem w sprawie tego, co widział. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej dystansował się od wcześniejszej ślepej paniki i dochodził do wniosku, że Naomi miała rację. Udział Freda w tym wszystkim nie miał żadnego sensu.

Ale nie miał pewności. A musiał ją mieć.

Praks wymamrotał coś i dotknął głowy. Zaczął ściągać bandaż.

– Ja bym tego nie ruszał – odezwał się Holden.

Praks kiwnął głową i z powrotem zamknął oczy. Spał albo próbował usnąć. Automatyczny lekarz wyciągnął rurkę z nogi Holdena, spryskał nogę środkiem dezynfekującym i zaczął ciasno owijać bandażem. Holden poczekał, aż konsola medyczna skończy zajmować się jego kolanem, a potem obrócił się na bok na łóżku i spróbował wstać. Noga nie chciała go utrzymać nawet przy ćwierci standardowego ciężenia. Podskakując na jednej nodze,

dotarł do szafki i wyciągnął kulę inwalidzką.

Kiedy mijał łóżko botanika, Praks chwycił go za rękę. Miał zdumiewająco mocny chwyt.

– Czy to zginęło?

– Tak – potwierdził Holden, klepiąc go po rękę. – Dorwaliśmy to. Dzięki.

Praks nie odpowiedział, obrócił się tylko na bok i zatrząsł. Holden potrzebował chwili, by zrozumieć, że Praks łąka. Wyszedł, nie mówiąc nic więcej. Co mógł powiedzieć?

Wjechał windą drabinową do góry, planował udać się na mostek i przeczytać szczegółowe raporty zniszczeń skompilowane przez Naomi i *Rosa*. Zatrzymał się, gdy dotarł na pokład załogowy i usłyszał rozmowę. Nie wyłapał słów, ale rozpoznał głos Naomi i ton, którego używała, prowadząc intymne rozmowy.

Głosy dochodziły z kambuza. Czując się trochę jak podsłuchiwaniec, Holden podszedł bliżej do wjazdu, aż mógł słyszeć poszczególne słowa.

– To coś więcej – mówiła Naomi.

Holden prawie wszedł do środka, ale powstrzymało go coś w jej głosie. Miał okropne wrażenie, że mówi o nim. O nich. O tym, czemu chciała odejść.

– Czemu musi być coś więcej? – zapytała druga osoba. Amos.

– Na Ganimesesie prawie pobijeś człowieka na śmierć konserwą z kurczakiem – odpowiedziała Naomi.

– Robienie zakładniczki z dziewczynki z powodu jedzenia? Pieprzyć go. Gdyby tu był, przywaliłbym mu jeszcze raz.

– Ufasz mi, Amos? – zapytała Naomi. W jej głosie

pobrzmiewał smutek. Coś więcej. Strach.

– Bardziej niż komukolwiek innemu – potwierdził Amos.

– Jestem śmiertelnie przerażona. Jim pędzi, żeby zrobić na Tycho coś strasznie głupiego. Facet, którego wieziemy ze sobą, wydaje się być na samym skraju załamania nerwowego.

– Cóż, on...

– I ty. – Nie dała mu dojść do słowa. – Polegam na tobie. Wiem, że zawsze będziesz mnie chronił, niezależnie od wszystkiego. Tylko może nie teraz, bo Amos, którego znam, nie bije prawie na śmierć chuderławego dzieciaka, niezależnie od tego, ile ten żąda konserw. Mam wrażenie, że wszyscy się zatracają. Muszę zrozumieć, bo jestem naprawdę bardzo, bardzo przestraszona.

Holden poczuł potrzebę wejścia do środka, chwycenia jej ręki, przytulenia jej. Żądała tego potrzeba w jej głosie, ale się powstrzymał. Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Usłyszał szuranie, a potem dźwięk metalu uderzającego w szkło. Ktoś mieszał cukier w kawie. Dźwięki były tak wyraźne, że prawie to widział.

– Wiesz, Baltimore – odezwał się Amos głosem tak zrelaksowanym, jakby mówił o pogodzie. – To nie jest miłe miasto. Słyszałaś kiedyś o zaduszaniu? Handlu zaduszaniem? Zaduszaniu dziwek?

– Nie. To jakieś prochy?

– Nie – zaprzeczył Amos ze śmiechem. – Nie, zaduszanie dziwki polega na tym, że wystawiasz ją na ulicę, aż zajdzie, sprzedajesz ją klientom, którzy lecą na dziewczyny w ciąży, a potem wysyłasz z powrotem na ulicę, jak tylko wyciśnie dzieciaka. Przy obowiązujących ograniczeniach na rozmnażanie walenie babek w ciąży

jest popularnym zboczeniem.

– Zaduszanie?

– No wiesz, słyszałaś o „zaduszaniu szczeniaków”? Nigdy nie słyszałaś, żeby tak to nazywano?

– Dobra – zgodziła się Naomi, próbując ukryć niesmak.

– Te dzieciaki są nielegalne, ale nie znikają tak po prostu, nie od razu – kontynuował Amos. – One też się przydają.

Holden poczuł, jak coś się w nim spina. Nigdy o czymś takim nie słyszał. Gdy chwilę później odezwała się Naomi, przerażenie w jej głosie było ewidentne.

– Jezu.

– Jezus nie ma z tym nic wspólnego – odpowiedział Amos. – Żadnego Jezusa w handlu zaduszaniem. Ale niektóre dzieciaki lądują w gangach alfonsów, inne na ulicach...

– A niektórym zdarza się trafić na statek kosmiczny i nigdy nie wrócić? – zapytała Naomi cichym głosem.

– Może – rzucił Amos głosem bezbarwnym i równie spokojnym jak zwykle. – Może niektóre. Ale większość po prostu... znika, w końcu. Jest zużywana. Większość.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Holden usłyszał odgłosy picia kawy.

– Amos – odezwała się głosem pełnym emocji. – Ja nigdy...

– Więc chciałbym znaleźć tę małą dziewczynkę, zanim ktoś ją wykorzysta, a potem zniknie. Chciałbym to dla niej zrobić – powiedział Amos. Na chwilę ścisnęło mu się gardło, ale odkaslnął głośno. – Dla jej taty.

Holden pomyślał, że to już koniec i zaczął się wycofywać, gdy usłyszał, jak Amos dodaje znowu spokojnym głosem.

– A potem zabiję tego, kto ją porwał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Bobbie

Zanim zgodziła się pracować dla Avasarali w ONZ, Bobbie nigdy nawet nie słyszała o Mao- Kwikowski Mercantile, a jeśli już, to nie zapamiętała tej nazwy. Nie wiedziała nawet, że frachtowce Mao- Kwik dostarczały całemu Układowi Słonecznemu towary, z których korzystała na co dzień: ubrania, żywność czy meble. Gdy zapoznała się z przekazanymi jej przez Avasaralę dokumentami, zdumiał ją rozmiar i zasięg firmy. Setki statków, kilkadziesiąt stacji, miliony pracowników. Jules- Pierre Mao miał duże posiadłości na każdej nadającej się do zamieszkania planecie i każdym księżycu w Układzie Słonecznym.

Jego osiemnastoletnia córka miała nawet własny statek wyścigowy. A to była ta, której *nie* lubił.

Gdy Bobbie spróbowała sobie wyobrazić bycie tak bogatą, że mogłaby mieć statek kosmiczny tylko do udziału w wyścigach, wyobraźnia ją zawiodła. Fakt, że ta sama dziewczyna uciekła i została buntowniczką z SPZ, prawdopodobnie wiele mówił o związku między bogactwem a zadowoleniem z życia, ale Bobbie nie było łatwo wdawać się w rozważania filozoficzne.

Dorastała w typowej marsjańskiej klasie średniej. Jej ojciec odsłużył dwadzieścia lat jako podoficer marynę, a

po opuszczeniu korpusu podjął pracę jako konsultant w prywatnej firmie ochroniarskiej. Rodzina Bobbie zawsze miała miły, ciepły dom. Wraz z dwoma starszymi braćmi chodziła do prywatnej szkoły podstawowej, a obaj jej bracia poszli na uniwersytet bez konieczności brania pożyczek. Dorastając, nigdy nie uważała się za biedną.

Aż do teraz.

Posiadanie własnego jachtu wyścigowego nie było nawet bogactwem. To było jak inny gatunek, ostentacyjna konsumpcja na poziomie starożytnych ziemskich królów, jak piramida faraona z silnikiem raketowym. Bobbie uważała, że to najbardziej nedorzeczny objaw marnotrawstwa, o jakim kiedykolwiek słyszała.

A potem wyszła z promu po krótkim locie do prywatnej stacji Julesa– Pierre'a Mao na orbicie ziemskiej.

Jules nie parkował swoich statków na publicznej stacji. Nie korzystał nawet z korporacyjnej stacji Mao– Kwik. Znalazła się na w pełni sprawnej stacji kosmicznej na orbicie wokół Ziemi przeznaczonej wyłącznie do obsługi jego prywatnych statków kosmicznych, na dodatek stacja świeciła jak pawie pióra. Był to poziom ekstrawagancji, który nigdy nawet nie przyszedł jej do głowy.

Uznała też, że to czyniło z Mao bardzo niebezpiecznego przeciwnika. Wszystko, co robił, było rozgłaszaniem wolności od zakazów. Był człowiekiem bez żadnych ograniczeń. Zabicie ważnego polityka w rządzie ONZ mogło być niekorzystne dla interesów, mogło być kosztowne, ale nigdy nie będzie zagrożeniem dla kogoś posiadającego takie bogactwo i taką władzę.

Avasarala tego nie dostrzegala.

– Nie znoszę ciężenia odśrodkowego – skomentowała

Avasarala, popijając gorącą herbatę.

Miały być na stacji tylko trzy godziny, na czas przeniesienia ładunku z promu do jachtu Mao, ale przydzielono im apartament z czterema sypialniami, każda z własnym prysznicem i wielkim, wspólnym salonem. Na olbrzymim ekranie udającym okno wisiał półksiężyc Ziemi, z kontynentami przesłoniętymi przez chmury. Miały prywatną kuchnię obsadzoną przez trzy osoby, których jak dotąd największym wyzwaniem było przygotowanie herbaty dla zastępczyni podsekretarza. Bobbie zastanawiała się nad zamówieniem dużego posiłku, żeby tylko dać im jakieś zajęcie.

– Nie wierzę, że mamy właśnie wejść do statku należącego do tego człowieka. Czy słyszała pani o tym, żeby ktokolwiek tak bogaty poszedł do więzienia? Albo choćby stanął przed sądem? Ten facet pewnie mógłby tu wejść i zastrzelić panią, transmitując to wszystko na żywo, a i tak nikt by mu nic nie zrobił.

Avasarala się roześmiała. Bobbie stłumiła atak złości. Tak naprawdę to tylko strach szukał sposobu na ujawnienie się.

– To nie ta gra – odpowiedziała Avasarala. – Nikt nie zostanie zastrzelony. Ludzi odsuwa się na margines. To jest gorsze.

– Wcale nie. Widziałam, jak strzelają do ludzi. Widziałam, jak od kul giną moi przyjaciele. Kiedy mówi pani „to nie ta gra”, ma pani na myśli ludzi takich, jak pani. Nie takich, jak ja.

Avasarala spoważniała.

– Tak, to właśnie miałam na myśli – przyznała staruszka.
– Na poziomie, na którym gramy, obowiązują inne zasady.

To jak gra w go, chodzi o wywieranie wpływu. Kontrolowanie planszy bez jej zajmowania.

– Poker też jest grą – odpowiedziała Bobbie. – Jednak czasem stawki robią się bardzo wysokie i któryś z graczy uznaje, że łatwiej jest zabić tego drugiego i odejść z pieniędzmi. Takie rzeczy dzieją się cały czas.

Avasarala kiwnęła głową, nie odpowiadając od razu, wyraźnie myśląc nad tym, co powiedziała Bobbie. Marinę poczuła, jak jej wcześniejszą złość zastępuje fala szacunku do marudnej i aroganckiej starszej damy.

– Dobrze – zgodziła się Avasarala, odstawiając filiżankę i kładąc dłonie na podołku. – Rozumiem, co mówisz, sierzancie. Wydaje mi się to mało prawdopodobne, ale cieszę się, że jesteś tu i to mówisz.

Ale nie traktujesz tego poważnie, miała ochotę wykrzyknąć Bobbie. Zamiast tego poprosiła stojącego w pobliżu służącego o kanapkę z grzybami i cebulą. Kiedy ją jadła, Avasarala popijała herbatę, skubała ciasteczko i prowadziła niezobowiązującą rozmowę o wojnie i swoich wnukach. Bobbie pilnowała, by emitować odgłosy sugerujące przejęcie wojną i zachwyty nad dziećmi, ale potrafiła tylko myśleć o taktycznym koszmarze, jakim będzie obrona Avasarali na statku kontrolowanym przez przeciwnika.

Jej skafander złożono w dużej skrzyni opisanej STROJE WIECZOROWE, ładowano ją właśnie do jachtu Mao. Bobbie miała ochotę się wymknąć i go założyć. Nie zauważyła, gdy Avasarala przestała mówić i milczała przez kilka minut.

– Bobbie – rzuciła Avasarala, nie do końca marszcząc czoło. – Czy moje historie o ukochanych wnukach cię

nudzą?

– Tak – potwierdziła Bobbie. – Bardzo.

* * *

Bobbie uważała stację Mao za najbardziej niedorzeczny pokaz ostentacyjnego bogactwa, jaki kiedykolwiek widziała – aż do chwili, gdy weszły na pokład jachtu.

Choć stacja była ekstrawagancka, przynajmniej pełniła jakąś funkcję. Była prywatnym garażem orbitalnym Julesa Mao, gdzie mógł przechowywać i serwisować swoją flotę prywatnych statków kosmicznych. Pod całym blichтром kryła się działająca stacja kosmiczna z mechanikami i personelem pomocniczym wykonującym prawdziwą pracę.

Jacht – *Guanshiyin* – był wielkości standardowego frachtowca, którym w Pasie przewożono między asteroidami dwieście osób, ale zawierał tylko tuzin kabin. Ładownia była ledwie tak duża, by pomieścić zapasy potrzebne na długą podróż. Jacht nie był szczególnie szybki i prawdę mówiąc, wedle wszystkich rozsądnych kryteriów był żalosną porażką, nie statkiem kosmicznym.

Jednak wcale nie miał być użyteczny.

Guanshiyin miał być wygodny. Ekstrawagancko wygodny.

Urządzono go jak wysokiej klasy hotel. Dywan pod stopami był miękki i puszysty, a w świetle błyskały prawdziwe kryształowe żyrandole. Wszystkie miejsca, które powinny mieć ostre krawędzie, zostały zaokrąglone. Złagodzone. Ściany pokryto surowym bambusem i naturalnymi włóknami. Pierwszą myślą Bobbie było, jak trudno byłoby to wyczyścić, a drugą, że ta trudność była zamierzona.

Każdy apartament zajmował prawie cały pokład statku. W każdym umieszczono prywatną łazienkę, pokój gier i salon z pełnym barem. W salonie znajdował się olbrzymi ekran prezentujący widok na zewnątrz. Ekran nie mógł być większej rozdzielczości, nawet gdyby zamiast niego wstawiono prawdziwą szybę. Obok baru umieszczono windę kuchenną i interkom, dzięki którym o dowolnej porze dnia i nocy można było otrzymać posiłki przygotowane przez mistrzów kuchni Cordon Bleu.

Dywan był tak gruby, że prawdopodobnie nie zadziałałyby na nim magnetyczne buty. Co nie miało znaczenia, bo taki statek nie miał prawa się zepsuć, nigdy nie musiał wyłączać silników podczas lotu. Ludzie latający na *Guanshiyin* prawdopodobnie nigdy w życiu nie zakładali skafandra próżniowego.

Wszystkie krany w jej łazience były pokryte złotem.

Bobbie i Avasarala siedziały w salonie z szefem zespołu ochrony ONZ, miło wyglądającym, siwowłosym mężczyzną kurdyjskiego pochodzenia. Miał na imię Cotyar. Kiedy Bobbie spotkała go po raz pierwszy, zmartwiła się. Wyglądał jak przyjazny nauczyciel, a nie żołnierz, ale potem zobaczyła, jak przeszedł przez pokoje Avasarali z wyćwiczoną sprawnością, omawiając plan ochrony i wydając polecenia swoim ludziom, i jej niepokój osłabł.

– No dobrze, wrażenia? – zapytała Avasarala, zamykając oczy i odchylając się na oparcie pluszowego fotela.

– To pomieszczenie nie jest bezpieczne – oznajmił Cotyar z akcentem brzmiącym egzotycznie dla uszu Bobbie. – Nie powinniśmy tu omawiać wrażliwych tematów. Na te potrzeby zabezpieczyliśmy pani sypialnię.

– To pułapka – odezwała się Bobbie.

– Nie skończyliśmy jeszcze z tymi bzdurami? – rzuciła Avasarala, a potem posłała Bobbie gniewne spojrzenie.

– Ona ma rację – zgodził się cicho Cotyar, wyraźnie niezadowolony z omawiania takich tematów w niezabezpieczonym pokoju. – Naliczyłem już na tym statku czternastu członków załogi, a oceniam, że to poniżej jednej trzeciej jego pełnej obsady. Mam sześć osób do pani ochrony...

– Siedem – wtrąciła się Bobbie, unosząc rękę.

– Jak pani uważa – kontynuował Cotyar ze skinięciem. – Siedem. Nie kontrolujemy żadnych systemów statku. Zabójstwo byłoby tak proste, jak zamknięcie pokładu, na którym się pani znajduje, i odpompowanie powietrza.

– Widzi pani? – powiedziała Bobbie, wskazując Cotyara.

Avasarala machnęła ręką, jakby odganiała muchy.

– Jak wygląda łączność?

– Solidnie – przyznał Cotyar. – Skonfigurowaliśmy sieć prywatną i dostałem zapasowy nadajnik kierunkowy i zestaw radiowy do pani wyłącznego użytku. Przepustowość jest dość duża, choć opóźnienia sygnału zaczną być coraz bardziej zauważalne w miarę, jak będziemy się oddalać od Ziemi.

– Dobrze. – Avasarala uśmiechnęła się po raz pierwszy od wejścia na pokład statku. Przestała wyglądać na zmęczoną już jakiś czas temu, przechodząc w stan, w który zmienia się zmęczenie, gdy staje się stylem życia.

– Żadne z tych łączy nie jest bezpieczne – zwrócił uwagę Cotyar. – Możemy zabezpieczyć naszą prywatną sieć wewnętrzną, ale jeśli będą monitorować połączenia wychodzące i przychodzące przez naszą antenę, nie

będzie sposobu na wykrycie tego. Nie mamy dostępu do sprzętu statku.

– I właśnie – odpowiedziała Avasarala – dokładnie to jest powodem, dla którego tu trafiłam. Zapakować mnie, wysłać w długą podróż i czytać wszystkie moje pieprzone listy.

– Będziemy mieć szczęście, jeśli zrobią tylko tyle – skomentowała Bobbie. Obserwacja Avasarali przypomniła jej, jak bardzo sama jest zmęczona. Poczuła, że zaczyna przysypiać.

Avasarala skończyła coś mówić, a Cotyar kiwnął głową i potwierdził.

– Zgadzasz się? – zapytała, zwracając się do Bobbie.

– Yyy... – odpowiedziała marine, bezskutecznie próbując odtworzyć rozmowę w głowie. – Ja...

– Praktycznie spadasz z pieprzonego krzesła. Kiedy ostatnim razem przespałaś pełną noc?

– Pewnie wtedy, kiedy i pani – przyznała Bobbie. *Ostatni raz, gdy wszyscy członkowie mojej drużyny żyli, a pani nie próbowała nie dopuścić do pożaru w całym Układzie Słonecznym.* Czekala na ostry komentarz, następną uwagę dotyczącą niemożności wykonywania pracy w sytuacji takiego zmęczenia. Takiej słabości.

– W porządku – powiedziała zamiast tego Avasarala. Bobbie poczuła kolejną falę sympatii. – Mao urządza dziś wieczorem uroczystą kolację, by przywitać nas na pokładzie. Chcę, żebyście poszli ze mną. Cotyar będzie ochroniarzem, więc zostanie w głębi sali i będzie groźnie wyglądał.

Bobbie roześmiała się, zanim zdołała się powstrzymać. Cotyar uśmiechnął się i mrugnął do niej.

– A ty – mówiła dalej Avasarala – będziesz moją sekretarką, więc będziesz rozmawiać z ludźmi. Spróbuj zorientować się w nastrojach załogi i wyczuć statek. Dobrze?

– Potwierdzam.

– Zauważyłam też – dodała Avasarala tonem stosowanym, gdy zamierzała poprosić o coś nieprzyjemnego – że pierwszy oficer gapił się na ciebie, gdy witano nas w służbie.

Bobbie kiwnęła głową. Ona też to zauważyła. Niektórzy mężczyźni mieli fetysz dużych kobiet, a Bobbie odniosła jeżące włosy wrażenie, że może należeć do tej grupy. Zwykle mieli kompleksy spowodowane nierozwiązanymi problemami z matką, więc starała się ich unikać.

– Jest szansa, że mogłabyś z nim porozmawiać podczas kolacji? – dokończyła Avasarala.

Bobbie roześmiała się, myślała, że pozostali też to zrobią, ale nawet Cotyar patrzył na nią tak, jakby Avasarala poprosiła ją o coś bardzo rozsądnego.

– ...nie – odpowiedziała Bobbie.

– Powiedziałaś nie?

– Tak, nie. Cholera, nie. Pieprzone nie. *Nein und abermals nein. Nyet. La. Siei* – wyliczyła Bobbie, urywając, gdy skończyły się jej języki. – I teraz jestem trochę zła.

– Nie proszę cię, żebyś się z nim przespała.

– To dobrze, bo nie używam seksu jako broni – odparła Bobbie. – Używam broni jako broni.

* * *

– Chrisjen! – przywitał ją Jules Mao, ujmując dłoń Avasarali i potrząsając nią.

Władca imperium Mao– Kwik był od niej znacznie wyższy. Miał ten rodzaj przystojnej twarzy, która wzbudzała w Bobbie automatyczną sympatię, i widać było, że w żaden sposób nie leczy typowo męskiego łysienia, co świadczyło o tym, że wcale oto nie dba.

Decyzja, by nie wykorzystywać bogactwa do rozwiązania tak łatwo dającego się skorygować problemu, jakim były rzednące włosy, roztaczała wokół niego aureę człowieka, który kontroluje wszystko. Miał na sobie luźny sweter i bawełniane spodnie, które razem wyglądały na nim jak dopasowany garnitur. Kiedy Avasarala przedstawiła mu Bobbie, uśmiechnął się i kiwnął głową, ledwie zerkając w jej stronę.

– Twój personel się rozgościł? – zapytał, dając Avasarali do zrozumienia, że obecność Bobbie przypomniła mu o podwładnych.

Bobbie zacisnęła zęby, ale nie zmieniła wyrazu twarzy.

– Tak – odpowiedziała Avasarala z uśmiechem, który wyglądał na absolutnie szczery. – Warunki są fantastyczne, a twoja załoga jest cudowna.

– Doskonale – odpowiedział Jules, kładąc sobie dłoń Avasarali na przedramieniu i prowadząc ją do wielkiego stołu.

Ze wszystkich stron byli otoczeni ludźmi w białych marynarkach z czarnymi muszkami. Jeden z nich podskoczył i wysunął krzesło. Jules umieścił na nim Avasaralę.

– Szef Marco obiecał na dzisiaj coś specjalnego.

– A co powie pan na szczere odpowiedzi? Będą dzisiaj w menu? – zapytała Bobbie, gdy kelner wysuwał dla niej krzesło.

Jules siadł na swoim miejscu u szczytu stołu.

– Odpowiedzi?

– Wygraliście – powiedziała Bobbie, ignorując ustawioną przed nią przez kelnera gorącą zupę. Mao posolił swoje danie i zaczął jeść, jakby prowadzili właśnie niezobowiązującą pogawędkę. – Zastępczyni podsekretarza jest na statku. Teraz już nie ma powodu, żeby wciskać nam kit. Co się dzieje?

– Pomoc humanitarna – odpowiedział.

– *Bzdura* – warknęła Bobbie. Zerknęła na Avasaralę, ale starsza kobieta tylko się uśmiechała. – Nie powiesz mi, że możesz poświęcić kilka miesięcy na przelot na Jowisza tylko po to, żeby nadzorować rozdawanie ryżu i pudełek z sokiem. I nie zdołałbyś upchnąć na tym statku tyle towaru, żeby podać Ganimesowi choćby lunch, więc o pomocy długofalowej nawet nie wspomnę.

Mao wyprostował się na krześle, a białe marynarki pośpiesznie zabrały zupę. Talerz Bobbie również został zabrany, choć nawet go nie tknęła.

– Roberta – zaczął Mao.

– Nie mów do mnie Roberta.

– *Sierzancie*, powinniście pytać swoich przełożonych w biurze zagranicznym ONZ, nie mnie.

– Z przyjemnością, ale podobno zadawanie pytań jest niezgodne z zasadami tej gry.

Jego uśmiech był ciepły, pogardliwy i pusty.

– Udostępniłem swój statek, by zapewnić pani podsekretarz jak najwygodniejszy lot do miejsca jej nowego zadania. I choć jeszcze ich nie spotkaliście, na tym statku znajdują się ludzie, których fachowość będzie nieocenioną pomocą dla mieszkańców Ganimesa, gdy

już tam dotrzecie.

Bobbie obcowała z Avasaralą dostatecznie długo, by zobaczyć grę prowadzoną przed jej oczami. Mao się z niej śmiał. Wiedział, że to bzdury, i wiedział, że ona też o tym wie. Jednak jak długo pozostawał spokojny i udzielał rozsądnych odpowiedzi, nikt nie mógł go sprawdzić. Był zbyt potężny, by nazwać go kłamcą prosto w oczy.

– Jesteś kłamcą i... – zaczęła, a potem coś do niej dotarło.
– Chwileczkę, gdy wy dotrzecie? Ty nie lecisz?

– Obawiam się, że nie – odpowiedział Mao z uśmiechem, podczas gdy mężczyzna w białej marynarce stawiał przed nim kolejny talerz.

Na tym leżała chyba cała ryba, z głową i otwartymi oczami. Bobbie obejrzała się na swoją szefową, która ze zmarszczonymi brwiami spoglądała na Mao.

– Powiedziano mi, że będziesz osobiście nadzorował te działania humanitarne – powiedziała podsekretarz.

– Taki miałem zamiar, jednak, niestety, inne sprawy pozbawiły mnie tej możliwości. Gdy tylko skończymy tę doskonałą kolację, odleczę promem z powrotem na stację. Ten statek i jego załoga są do pani dyspozycji do czasu, aż pani ważna praca na Ganimesie zostanie zakończona.

Avasarala tylko patrzyła na Mao. Bobbie pierwszy raz widziała ją w stanie, gdy nie mogła wydusić z siebie słowa.

Służący przyniósł Bobbie rybę, a jej pluszowe więzienie leciało z leniwą jedną czwartą g w stronę Jowisza.

* * *

W drodze windą do ich apartamentu Avasarala nie odezwała się ani słowem. W salonie zatrzymała się tylko

po to, by wziąć butelkę ginu z barku i pokiwała palcem Bobbie. Marinę poszła za nią do sypialni, mając tuż za sobą Cotyara.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Cotyar użył ręcznego terminala do przeskanowania pokoju w poszukiwaniu pluskiew. Kiedy skończył, Avasarala wreszcie się odezwała.

– Bobbie, zacznij obmyślać plan przejęcia statku albo zabrania nas z niego.

– Mam lepszy pomysł – odpowiedziała Bobbie. – Zabierzmy prom, na którym teraz odlatuje Mao. Jest w zasięgu lotu do stacji, inaczej by go nie brał.

Ku jej zaskoczeniu Cotyar kiwnął głową.

– Zgadzam się z sierżant. Jeśli planujemy uciekać, przejęcie promu będzie łatwiejsze, łatwiej też będzie go utrzymać, biorąc pod uwagę wrogą nam załogę.

Avasarala usiadła na łóżku z długim wydechem, który zmienił się w westchnienie.

– Jeszcze nie mogę odlecieć. To nie działa w ten sposób.

– Pieprzona gra! – krzyknęła Bobbie.

– Tak – warknęła Avasarala. – *Tak*, pieprzona gra. Otrzymałam polecenie od przełożonego, żeby odbyć tę podróż. Jeśli teraz ucieknę, wypadnę. Będą uprzejmi, nazwą to nagłą chorobą lub wyczerpaniem, ale wymówka będzie też powodem, dla którego nie mogę dłużej wykonywać swojej pracy. Będę bezpieczna i bezradna. Jak długo udaję, że robię to, co mi kazali, mogę dalej pracować. Wciąż jestem zastępczynią podsekretarza obecnego rządu. Wciąż mam koneksje. Wpływy. Jeśli ucieknę, stracę je. A jeśli je stracę, to skurwiele równie dobrze mogą mnie zastrzelić.

– Ale – powiedziała Bobbie.

– Ale – powtórzyła Avasarala. – Jeśli dalej będę skuteczna, znajdą sposób, żeby mnie odciąć. Niewyjaśniona usterka nadajnika, cokolwiek. Żeby tylko utrzymać mnie poza siecią. Kiedy do tego dojdzie, zażądam od kapitana zmiany kursu do najbliższej stacji w celu dokonania napraw. Jeśli mam rację, nie zrobi tego.

– Ach – stwierdziła Bobbie.

– Och – powiedział Cotyar chwilę później.

– Tak – powiedziała Avasarala. – Kiedy do tego dojdzie, ogłoszę to nielegalnym porwaniem, a wy przejmiecie dla mnie ten statek.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Praks

Z każdym mijającym dniem pytanie: *co dalej?* nabierało coraz wyraźniejszych kształtów. Wrażenie wcale nie było takie odmienne od tych pierwszych, okropnych dni na Ganimesie, gdy tworzył listy, które organizowały mu dzień. Tylko że teraz nie szukał wyłącznie Mei. Szukał Stricklanda. Albo tajemniczej kobiety na nagraniu. Lub tego, kto wybudował tajne laboratorium. W tym sensie jego sytuacja była o wiele lepsza niż poprzednio.

Z drugiej strony, szukał na Ganimesie, a teraz obszar poszukiwań powiększył się, obejmując... wszystko.

Czas opóźnienia łączności do Ziemi – a właściwie do Luny, ponieważ firma Persis– Strokes Security Consultants miała siedzibę na orbicie, a nie w studni grawitacyjnej planety – wynosił nieco ponad dwadzieścia minut. Praktycznie uniemożliwiało to normalną rozmowę, więc ich wymiany sprowadzały się do tego, że kobieta o ostrej twarzy na ekranie prowadziła serię prezentacji promocyjnych, z których każda była coraz bardziej dopasowana do tego, co Praks chciał usłyszeć.

– Jesteśmy w dobrych stosunkach z Pinkwater w zakresie wymiany danych wywiadowczych, a to obecnie firma ochroniarska o najszerzej obecności fizycznej i operacyjnej na planetach zewnętrznych – mówiła. –

Mamy też kontrakty na współpracę z Al Abbiq i Star Helix. Dzięki nim możemy podjąć natychmiastowe działania, bezpośrednio lub przez partnerów, dosłownie na każdej stacji lub planecie w układzie.

Praks kiwnął głową. Dokładnie tego potrzebował. Kogoś z oczami wszędzie, z kontaktami w każdym miejscu. Kogoś, kto mógł pomóc.

– Dołączam informacje – dodała kobieta. – Będziemy wymagać opłaty wstępnej, ale nie obciążymy pańskich kont za nic więcej do czasu, aż uzgodnimy zakres śledztwa, za które jest pan skłonny przyjąć odpowiedzialność. Gdy to ustalimy, wyślę panu szczegółową ofertę z wykazem pozycji i będziemy mogli podjąć decyzję dotyczącą zakresu prac, który najbardziej będzie panu odpowiadał.

– Dziękuję – powiedział Praks. Wywołał dokument, podpisał go i odesłał. Zanim dotrze do Luny, będzie mknął dwadzieścia minut z prędkością światła. Dwadzieścia minut z powrotem. To był jakiś początek. Przynajmniej dobrze się z tym czuł.

Statek był cichy w sposób kojarzący się z oczekiwaniem, choć Praks nie wiedział – na co. Na dotarcie na stację Tycho, ale nie był pewien, co poza tym. Opuszczając kaję, przeszedł przez pusty kambuz i w górę drabiną, w stronę mostka, a potem do stanowiska pilota. Małe pomieszczenie było ciemne, większość światła dochodziła z paneli sterowania i zestawu ekranów wysokiej rozdzielczości, oferujących 270 stopni gwiazd, odległego Słońca i zbliżającej się masy stacji Tycho, oazy w wielkiej pustce.

– Cześć, doktorku – przywitał go Aleks z fotela pilota. –

Przyszedłeś podziwiać widoki?

– Jeśli... to znaczy, jeśli nie przeszkadzam.

– Nie ma problemu. Od kiedy mamy *Rosa*, nie latałem z drugim pilotem. Przypnij się tam. Tylko jeśli coś będzie się działo, niczego nie dotykaj.

– Nie będę – obiecał Praks, siadając w pryczy przeciążeniowej.

Z początku stacja wydawała się rosnąć bardzo powoli. Dwa pierścienie obracające się w przeciwne strony były niewiele większe od kciuka Praksa, a znajdująca się w środku kulka kojarzyła się z gumą do żucia. Potem, gdy się zbliżyli, nieostry wzór na brzegu kuli konstrukcyjnej zaczął się rozwijać w potężne manipulatory i rusztowania sięgające do dziwnie aerodynamicznej konstrukcji. Budowany statek był wciąż w połowie bez pokrycia, z ceramicznymi i stalowymi belkami wspornikowymi otwartymi na próżnię jak odsłonięte kości. Wszędzie wokół niego migotały drobne świetliki: spawacze i zestawy uszczelniające aktywowane zbyt daleko, by zobaczyć coś poza światłem.

– To coś jest budowane do lotów w atmosferze?

– Nie. Choć trochę tak wygląda. To *Chesapeake*. A przynajmniej będzie. Budują go na długotrwałe wysokie przeciążenia. Chyba mówili coś o utrzymywaniu drania przy czymś rzędu osiem g przez kilka miesięcy.

– Gdzie to ma lecieć? – zapytał Praks, dokonując w głowie zgrubnych obliczeń. – To wyjdzie poza orbitę... czegokolwiek.

– Tak, polecą dość głęboko. Wysyłają go za *Nauvo*.

– Za tym statkiem pokoleniowym, który miał wbić *Erosa* w Słońce?

– Dokładnie. Wyłączyli mu silniki, gdy plan wziął w łeb, ale od tego czasu ciągle leci. Nie był ukończony, więc nie mogą go zawrócić na zdalnym sterowaniu. Zamiast tego budują statek przechwytyjący. I mam nadzieję, że im się uda, *Nauvoo* to kawał dobrej roboty. Oczywiście, jeśli uda im się go odzyskać, to nic nie powstrzyma mormonów od postawienia Tycho przed sądem dla odszkodowania wielkiego jak Układ Słoneczny, jeśli tylko wymyślą na to sposób.

– To takie trudne?

– SPZ nie uznaje jurysdykcji sądów Ziemi ani Marsa i to oni kierują tymi działającymi w Pasie, a to w praktyce oznacza zwycięstwo w sądzie, który nie ma żadnego znaczenia, lub przegraną w takim, który ma.

– O... – podsumował Praks.

Stacja Tycho na ekranie robiła się większa i nabierała szczegółów. Praks nie potrafił stwierdzić, który detal spowodował zmianę percepcji, ale między jednym uderzeniem serca a drugim zrozumiał, jak wielki jest znajdujący się przed nim obiekt, i gwałtownie wciągnął powietrze. Kula konstrukcyjna musiała mieć pół kilometra średnicy, jak dwie pełne kopuły uprawne połączone dolnymi brzegami. Wielka przemysłowa kula powoli rosła, aż wypełniła ekrany, a blask gwiazd ustąpił blaskowi światel naprowadzających i szklanej kopuły obserwacyjnej. Zamiast czerni widział teraz stalowo-ceramiczne płyty i rusztowania. Dostrzegł olbrzymie silniki, które mogły przemieścić całą stację jak miasto na niebie w dowolne miejsce Układu Słonecznego. Były tam złożone połączenia obrotowe, które przypominały zawieszania przegubowe prycz przeciążeniowych

zrobionych przez olbrzymów, mogły one zmienić konfigurację całej stacji, gdy ciężenie ciągu zastępowało obroty.

To wszystko zapierało dech w piersiach. Elegancja i funkcjonalność rozciągającej się przed nim struktury, piękna, prosta i efektywna jak liść albo układ korzeniowy. Zachwytem napawał go widok czegoś tak bardzo przypominającego dzieła ewolucji, lecz zaprojektowanego przez ludzkie umysły. Było to szczytowe osiągnięcie kreatywności, urzeczywistniona niemożliwość.

– To piękne dzieło – skomentował.

– Owszem – zgodził się Aleks. A po chwili odezwał się na kanale okrętowym. – Dolecieliśmy. Wszyscy mają się przysiąć do dokowania. Przechodzę na ręczne.

Praks prawie uniósł się z fotela.

– Mam iść do swojej kajuty?

– Tu jest równie dobrze, jak w każdym innym miejscu. Po prostu zapnij pasy na wypadek, gdybyśmy w coś uderzyli – odpowiedział Aleks. Chwilę później zmienił głos, mówiąc wyraźniej, bardziej uciętymi słowami. – Kontrola Tycho, tu *Rosynant*. Mamy pozwolenie na dokowanie?

Praks usłyszał cichy głos odpowiadający Aleksowi.

– Potwierdzam – odpowiedział Aleks. – Wchodzimy.

W dramatach i filmach akcji, które Praks oglądał na Ganimesie, pilotowanie statku zawsze wyglądało na coś wymagającego sporej sprawności. Spoceni ludzie napierający na dźwignie sterowania. Obserwując Aleksa, stwierdził, że rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Owszem, Aleks używał dwóch dźwistików, ale stosował drobne, spokojne ruchy. Dotknięcie i ciężenie pod

Praksem uległo zmianie, a jego fotel przesunął się o kilka centymetrów. Potem kolejne dotknięcie i nowa zmiana. Obraz na ekranie zaczął wyświetlać tunel przez próżnię, obrysowany niebieskimi i złotymi ramkami, przesuwany się w prawo i do góry, kończący się przy boku wirującego pierścienia.

– Czemu w ogóle sterujesz? – zapytał Praks, patrząc na olbrzymie ilości danych wyświetlanych przed Alekssem. – Czy statek nie mógłby użyć tych danych do automatycznego dokowania?

– Czemu steruję? – powtórzył Aleks ze śmiechem. – Bo to świetna zabawa, doktorku. Bo to zabawa.

Długie niebieskawe światła okien kopuły obserwacyjnej Tycho zrobiły się tak wyraźne, że Praks zobaczył siedzących za oknami ludzi. Prawie zapomniał, że ekrany kokpitu nie są oknami, tak silna była ochota pomachania i zobaczenia, jak ktoś odpowiada machaniem.

Ze słuchawek Aleksa zabrzmiał głos Holdena i choć nie potrafił rozróżnić słów, ton był jednoznaczny.

– Wszystko w porządku, kapitanie – odpowiedział mu Aleks. – Jeszcze dziesięć minut.

Prycza przeciążeniowa przesunęła się na bok, a szeroka płaszczyzna stacji skręciła w dół, gdy Aleks wyrównał obroty. Wygenerowanie nawet jednej trzeciej ziemskiego ciężenia na tak szerokim pierścieniu musiało powodować potężne siły działające na strukturę wewnętrzną, ale pod rękami Aleksa statek bardzo łagodnie dryfował równoległe do stacji. Zanim Praks się ożenił, widział kiedyś przedstawienie taneczne oparte na tradycjach neotaoistycznych. Przez pierwszą godzinę było to strasznie nudne, ale potem drobne ruchy rąk, nóg i torsu

przesuwającego się razem z nimi, zginanego i odchylanego, zrobiły się fascynujące. *Rosynant* wsunął się na miejsce obok wysuniętego rękawa cumowniczego z takim samym wdziękiem, jaki Praks widział w tamtym tańcu, ale ze świadomością, że zamiast skóry i mięśni tutaj poruszały się tony stali i aktywnych reaktorów fuzyjnych.

Statek osiadł na stanowisku cumowniczym po ostatniej drobnej korekcie, ostatnim przesunięciu prycz na przegubach. Końcowe wyrównanie obrotu prawie nie różniło się od drobnych korekt stosowanych przez Aleksa przy podlatywaniu. Rozległ się głośny brzęk, gdy statek został chwycony przez zaciski dokowe stacji.

– Kontrola Tycho – odezwał się Aleks. – *Rosynant* potwierdza dokowanie. Mamy szczelność na śluzie. Mam odczyt chwytu klamer. Możesz potwierdzić?

Minęła chwila, potem cichy głos.

– Dziękuję, Tycho – odpowiedział Aleks. – Dobrze być tu z powrotem.

Ciążenie statku uległo lekkiej zmianie. Nie było efektem ciągu silnika tworzącego złudzenie wagi, tylko efektem obrotu pierścienia, do którego przywarli. Po wstaniu Praks miał wrażenie, że przechyla się lekko na bok i musiał zwalczyć chęć skompensowania tego przez odchylenie się w przeciwną stronę.

W kambuzie zastał Holdena, stał przy ekspresie do kawy i nalewał sobie czarny, gorący napój, którego strumień delikatnie skręcał. Efekt Coriolisa, podpowiedziała mu słabo pamiętana lekcja ze szkoły. Amos i Naomi przyszli razem. Zebrali się wszyscy i Praks uznał, że to właściwa chwila na podziękowanie im za to, co dla niego zrobili. Dla Mei, która pewnie nie żyła. Powstrzymał go jednak

widoczny ból rysujący się na twarzy Holdena.

Naomi stała przed nim z torbą przerzuconą przez ramię.

– Schodzisz – powiedział Holden.

– Tak. – Mówiła lekkim tonem, ale z głosu emanowało głębsze znaczenie, jak dźwięki harmoniczne. Praks zamrugął.

– No dobrze – rzucił Holden.

Przez kilka sekund nikt się nie ruszał, a potem Naomi podeszła i lekko pocałowała Holdena w policzek. Kapitan wyciągnął ręce, żeby ją objąć, ale ona już się odsunęła i szybko wyszła przez wąski korytarz, jak osoba, która musi znaleźć się gdzieś indziej. Holden wziął kubek z kawą. Amos i Aleks wymienili spojrzenia.

– ... kapitanie? – zapytał Aleks. W porównaniu z głosem człowieka, który właśnie doprowadził zasilany fuzją jądrową statek do wirującego metalowego pierścienia pośrodku przestrzeni międzyplanetarnej, jego głos brzmiał niepewnie i był pełen troski. – Czy my szukamy nowego pierwszego?

– Nikogo nie szukamy do czasu, aż tak powiem – odpowiedział Holden. A potem, cichszym głosem dodał: – Ale, na Boga, mam nadzieję, że nie.

– Ta jest – zgodził się Aleks. – Ja też.

Cała czwórka stała przez długą, niezręczną chwilę. Pierwszy odezwał się Amos.

– Wiesz, kapitanie – stwierdził – miejsce, które sobie zaklepałem, ma dwie koję. Jeśli chcesz wolną pryczę, jest twoja.

– Nie – odparł Holden. Nie patrzył na nich. Mówiąc, wyciągnął rękę i oparł się dłonią o ścianę. – Zostanę na *Rosie*. Tu mi będzie dobrze.

– Jesteś pewien? – zapytał Amos i znowu Praks miał wrażenie, że to pytanie znaczy coś więcej, niż mu się zdaje.

– *Ja nigdzie nie idę* – oświadczył Holden.

– No dobrze.

Praks odchrząknął, a Amos ujął go za łokieć.

– A co z tobą? – zapytał. – Masz już jakieś miejsce?

To pytanie kompletnie wytrąciło go z równowagi, przerywając mu przygotowaną mowę, która miała się zacząć od słów *chciałem wam powiedzieć, jak bardzo jestem...*

– Ja... yyy... nie, ale...

– No to w porządku. Weź swoje rzeczy, możesz iść ze mną.

– Nooo, dobrze. Dziękuję. Ale najpierw chciałem wam powiedzieć...

Amos położył mu ciężką dłoń na ramieniu.

– Może później – rzucił. – Na razie może po prostu pójdziesz ze mną?

Holden oparł się o ścianę. Miał mocno zaciśnięte szczęki, jak człowiek, który ma krzyczeć, wymiotować lub płakać. Patrzył gdzieś na statek, ale go nie widział. Praks wypełnił żal jakby patrzył w lustro.

– Tak – zgodził się. – Dobra.

* * *

Mieszkanie Amosa okazało się jeszcze mniejsze od kajuty na *Rosynancie*: dwie maleńkie sypialnie, salonik mniejszy niż połowa kambuza i łazienka ze składaną umywalką i ubikacją w kabine prysznicowej. Pomieszczenia byłyby klaustrofobiczne, gdyby Amos

faktycznie tam był, jednak zaraz po dopilnowaniu, by Praks się rozgościł, Amos wziął szybki prysznic i wyszedł na szerokie, luksusowo urządzone korytarze stacji. Wszędzie było mnóstwo roślin, ale wyglądało na to, że większość pełni tylko funkcję dekoracyjną. Krzywizna pokładu była tak nieznaczna, że Praks prawie mógł sobie wyobrazić, że wrócił na jakąś nieznaną sobie część Ganimedesa, że jego mieszkanie jest w zasięgu jazdy metrem. Że będzie tam na niego czekać Mei. Praks zamknął zewnętrzne drzwi, wyciągnął swój ręczny terminal i podłączył się do sieci lokalnej.

Wciąż nie dostał odpowiedzi od Persis– Strokes, ale zapewne było na to jeszcze za wcześnie. Na razie problemem były pieniądze. Jeśli miał to opłacić, nie zdoła tego zrobić sam.

A to oznaczało konieczność skontaktowania się z Nicolą.

Praks ustawił terminal, kierując kamerę na siebie. Na ekranie wyglądał na chudego, wyniszczonego. Tygodnie głodówki bardzo go wysuszyły, a czas spędzony na *Rosynancie* nie wystarczył, by w pełni odbudować ciało. Może nigdy go już nie odzyska. Zapadnięte policzki na ekranie mogły być jego nowym wizerunkiem. Nic nie szkodzi. Zaczął nagranie.

– Cześć, Niki – powiedział. – Chciałem ci przekazać, że jestem bezpieczny. Dotarłem na stację Tycho, ale nadal nie znalazłem Mei. Chcę wynająć firmę detektywistyczną, przekazałem im wszystko, co wiem. Powiedzieli, że prawdopodobnie będą mogli pomóc, ale to kosztuje. To może być bardzo drogie. A ona może już nie żyć.

Praks potrzebował chwili, na opanowanie oddechu.

– Ona może już nie żyć – powtórzył. – Ale muszę

spróbować. Wiem, że nie jesteś teraz w najlepszej sytuacji finansowej. Wiem, że musisz myśleć o nowym mężu, ale jeśli masz cokolwiek, co możesz przekazać... nie dla mnie. Niczego od ciebie nie chcę. Tylko Mei. Dla niej. Jeśli możesz jej coś dać, to ostatnia szansa.

Znowu urwał, nie mogąc się zdecydować, czy zakończyć *dziękuję*, czy *choć tak, do cholery, możesz zrobić*. Po chwili po prostu zatrzymał nagranie i je wysłał.

Przy ich obecnych pozycjach względnych opóźnienie między Ceres a Tycho wynosiło piętnaście minut. Zresztą nie wiedział, według jakiego miejscowego planu pracuje Nicola. Mógł wysłać jej wiadomość w środku nocy albo podczas kolacji. Może nie będzie miała mu nic do powiedzenia.

To nie miało znaczenia. Musiał spróbować. Mógł iść spać tylko ze świadomością, że zrobił wszystko, co było w jego mocy.

Nagrał i wysłał wiadomość do swojej mamy, dawnego kolegi z czasów studiów, pracującego teraz na Neptunie, i do promotora pracy doktorskiej. Za każdym razem opowiedzenie historii przychodziło trochę łatwiej. Szczegóły zaczynały się składać, tworząc ciąg logiczny. Do nich nie mówił nic o protomolekule, bo to w najlepszym razie by ich przestraszyło, a w najgorszym uznaliby, że oszalał.

Po wysłaniu ostatniej wiadomości usiadł w ciszy. Była jeszcze jedna rzecz, którą sądził, że musi zrobić teraz, po uzyskaniu dostępu do łączności. Wcale nie miał na to ochoty.

Zaczął nagrywać.

– Basia – powiedział. – Tu Praksidike. Chciałem ci

powiedzieć, że wiem, że Katoa nie żyje. Widziałem jego ciało. On nie... nie wyglądał, jakby cierpiał. I pomyślałem, że gdybym był na twoim miejscu, ta niepewność... niepewność byłaby gorsza. Przykro mi. Ja po prostu...

Wyłączył nagranie, wysłał je i położył się na małym łóżku. Spodziewał się, że będzie twarde i niewygodne, ale materac objął go równie życzliwie, jak żel pryczy przeciążeniowej i Praks łatwo zapadł w sen, budząc się kilka godzin później, jakby ktoś przestawił mu przełącznik w głowie. Amosa nadal nie było, choć na stacji minęła północ. Nadal nie dostał wiadomości od Persis-Strokes, więc nagrał uprzejme zapytanie – tylko w celu upewnienia się, że informacje nie przepadły gdzieś po drodze – a potem je obejrzał i skasował. Wziął długi prysznic, dwukrotnie myjąc włosy, ogolił się i nagrał nowe zapytanie, tym razem nie wyglądał już tak bardzo jak szaleniec.

Dziesięć minut po jego wysłaniu zabrzmiał sygnał nowej wiadomości. Na zdrowy rozum wiedział, że to nie może być odpowiedź, przy opóźnieniu czasowym jego wiadomość nie dotarła jeszcze na Lunę. Wywołał wiadomość. Pochodziła od Nicoli. Jej twarz w kształcie serca wyglądała na starszą, niż zapamiętał. Na jej skroniach pojawiły się delikatne ślady siwizny, ale kiedy na ustach pojawił się ten smutny, lekki uśmiezek, znowu miał dwadzieścia lat i siedział naprzeciw niej w parku pośród dudniącej muzyki bhagra i laserów malujących obrazy na lodowej kopule w górze. Przypomniało mu się, jak to było ją kochać.

– Dostałam twoją wiadomość – powiedziała. – Ja... tak mi przykro, Praksidike. Żałuję, że nie mogę zrobić nic więcej.

Sytuacja na Ceres nie wygląda najlepiej. Porozmawiam z Tabanem, zarabia więcej ode mnie i jeśli zrozumie, co się stało, może też będzie chciał pomóc. Dla mnie.

– Uważaj na siebie, staruszk. Wyglądasz na zmęczonego.

Na ekranie matka Mei nachyliła się do przodu i zatrzymała nagranie. Ikona poinformowała o autoryzacji przelewu na osiemdziesiąt reali FusionTek. Praks sprawdził kurs wymiany, przeliczając walutę firmy na dolary ONZ. To była prawie cała tygodniowa pensja. Za mało. Zdecydowanie za mało. Mimo wszystko, było to dla niej poświęceniem.

Znowu wywołał wiadomość, zatrzymując ją w przerwie między słowami. Nicola patrzyła na niego z terminala z ustami rozchyłonymi na tyle, że widział między nimi jej blade zęby. Spojrzenie miała smutne i radosne. Bardzo długo sądził, że ten pozór pełnej skrępowania radości jest odbiciem jej duszy, a nie tylko przypadkowym złożeniem cech anatomicznych. Mylił się.

Kiedy tak siedział, pochłonięty wspomnieniami i wyobraźnią, przyszła nowa wiadomość. Z Luny. Persis–Strokes. Czując równocześnie niepokój i nadzieję, otworzył dołączony do niej arkusz. Jego serce prawie stanęło na widok pierwszego zestawu liczb.

Mei może być gdzieś tam. Może wciąż żyć. Na pewno Strickland i jego ludzie gdzieś tam byli, można było ich odszukać. Złapać. Można było domagać się sprawiedliwości.

Tylko nie było go na nią stać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Holden

Holden siedział na wysuwanym krzesełku w maszynowni *Rosynanta*, dokonując przeglądu uszkodzeń i robiąc notatki dla ekip naprawczych Tycho. Wszyscy inni poszli. *Niektórzy bardziej niż inni*, pomyślał.

WYMIENIĆ STERBURTOWĄ ŚCIANĘ MASZYNOWNI.

POWAŻNE USZKODZENIA BAKBURTOWEGO ZŁĄCZA KABLOWEGO, MOŻLIWA KONIECZNOŚĆ WYMIANY CAŁEJ SKRZYNKI.

Dwa wiersze tekstu oznaczające setki roboczogodzin i setki tysięcy dolarów w częściach. Był to również skutek otarcia się o włos o ognistą anihilację statku i załogi. Opisanie tego wszystkiego w dwóch zdaniach było prawie jak świętokradztwo. Dodał przypis do typów części cywilnych, które Tycho mogło mieć na stanie, a którymi można było zastąpić elementy marsjańskiego okrętu.

Za jego plecami monitor ścienny wyświetlał wiadomości z Ceres. Holden włączył je, żeby zająć czymś umysł podczas grzebania w statku i robienia notatek.

Co, oczywiście, nie miało większego sensu. Sam, inżynier Tycho, która zwykle przewodziła naprawom, nie potrzebowała jego pomocy. Nie potrzebowała jego listy części. Była pod każdym względem lepiej wykwalifikowana do tego, czym się teraz zajmował, ale

gdy tylko przekaże jej to zadanie, nie będzie miał żadnego powodu, żeby zostawać na statku. Będzie musiał dokonać konfrontacji z Fredem w sprawie protomolekuły na Ganimesie.

A przy okazji może też z Naomi.

Jeśli jego wczesne podejrzenia były słuszne i Fred faktycznie próbował użyć protomolekuły jako waluty, albo jeszcze gorzej – jak broni, Holden go zabije. Był tego pewien jak własnego nazwiska i ta myśl go przerażała. Fakt, że byłoby to najcięższą zbrodnią i prawie na pewno zostałby spalony na miejscu, był dla niego znacznie mniej istotny od tego, że byłby to ostateczny dowód na słuszność opuszczenia go przez Naomi. Bo zmienił się w człowieka, którego się obawiała. Kolejnego detektywa Millera, wymierzającego sprawiedliwość według własnego uznania za pomocą broni. Jednak za każdym razem, gdy wyobrażał sobie tę scenę: wyznanie winy przez Freda i jego błaganie o łaskę, Holden nie potrafił sobie wyobrazić, że nie zabije go za to, co zrobił. Pamiętał, że kiedyś był człowiekiem dokonującym innych wyborów, ale nie potrafił sobie przypomnieć, *jak* to było nim być.

Jeśli się mylił i Fred nie miał nic wspólnego z tragedią na Ganimesie, to Naomi od początku miała rację, a on po prostu był zbyt uparty, by to dostrzec. Może będzie w stanie przeprosić ją z dostateczną pokorą, by ją odzyskać. Głupota była zwykle lżejszą zbrodnią od samodzielnego wymierzania sprawiedliwości.

Ale jeśli Fred *nie był* osobą bawiącą się w Boga z obcym superwirusem, stawiało to ludzkość w dużo, dużo gorszej sytuacji. Nieprzyjemnie było myśleć, że prawda gorsza dla ludzkości była też taką, która byłaby lepsza dla niego.

Czysto zdroworozsądkowo wiedział, że nie zawahałby się poświęcić własnego szczęścia, by uratować wszystkich innych, ale to nie tłumilo cichego głosu z tyłu głowy, sugerującego *pieprzyć wszystko inne, chcę odzyskać moją dziewczynę*.

Z głębin podświadomości wypłynęła jakaś myśl i dodał do listy potrzebnego wyposażenia pozycję WIĘCEJ FILTRÓW DO KAWY.

Panel ścienny za jego plecami zadzwonił ostrzeżeniem na pół sekundy wcześniej, zanim jego ręczny terminal zabrzęczał z informacją o obecności człowieka przed służą, proszącego o zgodę na wejście. Dotknął ekranu, żeby przełączyć na obraz z kamery w zewnętrznej służbie, i zobaczył czekających w korytarzu Sam i Aleksa. Sam była uroczym, bardzo drobnym rudzielcem w za dużym, szarym kombinezonie, który pamiętał. Trzymała skrzynkę z narzędziami i śmiała się. Aleks powiedział coś jeszcze, a ona roześmiała się jeszcze bardziej, prawie upuszczając narzędzia. Przy wyłączonym dźwięku był to niemy film.

– Wejdźcie – powiedział po wciśnięciu przycisku interkomu. Kolejnym dotknięciem otworzył im zewnętrzne drzwi służby. Sam zamachała do kamery i weszła do środka.

Kilka minut później z hukiem otworzyła się grodz ciśnieniowa do maszynowni i na dół zjechała winda drabinowa. Zeszli z niej Sam z Alekssem, a Sam z głośnym trzaskiem upuściła skrzynkę na metalową podłogę.

– Co jest? – zapytała, obejmując Holdena na powitanie. – Znowu pozwoliłeś podziurawić kulami mojego chłopaka?

– *Twojego* chłopaka? – obruszył się Aleks.

– Nie tym razem – odpowiedział Holden, wskazując

uszkodzone ściany maszynowni. – W ładowni doszło do wybuchu bomby, wypaliła nam tu dziurę i wrzuciła odłamek do skrzynki zasilania tam.

Sam zagwizdała.

– Albo ten odłamek wybrał się objazdem, albo wasz reaktor wie, jak robić uniki.

– Jak myślisz, ile to potrwa?

– Ścianka to prosta sprawa – odpowiedziała, wprowadzając coś do swojego terminala, a potem stukając nim o przednie zęby. – Możemy wprowadzić zamiennik w jednym kawałku przez ładownię, co zdecydowanie ułatwi sprawę. Naprawa skrzynki z zasilaniem potrwa dłużej, ale nie dramatycznie długo. Powiedzmy cztery dni, jeśli moja ekipa od razu się za to weźmie.

– No cóż – odpowiedział Holden, krzywiąc się jak człowiek zmuszony do przyznania się do złych uczynków.

– Mamy też uszkodzone drzwi do ładowni, które trzeba będzie naprawić albo wymienić. I tak jakby trochę uszkodzoną służę ładowni.

– No to jeszcze kilka dni – stwierdziła Sam, a potem uklękła i zaczęła wyciągać narzędzia ze skrzynki. – Mogę zrobić trochę pomiarów?

– Proszę bardzo. – Holden machnął w stronę ściany.

– Dużo oglądasz wiadomości? – zapytała Sam, wskazując na gadające głowy na monitorze. – Ganimedes ma przerabane, prawda?

– Owszem – przyznał Aleks. – Dość gruntownie.

– Ale jak na razie to tylko Ganimedes – dodał Holden. – A to coś znaczy, choć jeszcze nie wiem co.

– Naomi na razie mieszka u mnie – powiedziała Sam, jakby rozmawiali cały dzień. Holden poczuł, że jego twarz

nieruchomieje i próbował z tym walczyć, zmuszając się do uśmiechu.

– Ooo. Fajnie.

– Nie chce o tym rozmawiać, ale jeśli dowiem się, że zrobiłeś jej coś paskudnego, użyję tego na twoim fiucie – oświadczyła, unosząc klucz dynamometryczny. Aleks roześmiał się nerwowo, a potem ucichł z wyraźnym dyskomfortem.

– Dziękuję za ostrzeżenie – odpowiedział Holden. – Co u niej?

– Cicho – odpowiedziała Sam. – Dobra, mam, czego mi trzeba.

Pędzę, zagonię ekipę z produkcji do wycięcia łąty na tę ścianę. Do zobaczenia, chłopaki.

– Cześć, Sam – rzucił Aleks, patrząc, jak odjeżdża winda, aż zamknęła się za nią grodz. – Jestem na to dwadzieścia lat za stary i coś mi mówi, że mam niewłaściwą płęć, ale bardzo ją lubię.

– Wymieniacie się z Amosem zauroczeniem nią? – zapytał Holden. – Czy mam się martwić, że będziecie się przez nią pojedynkować o świcie?

– Moja miłość jest czysta – odpowiedział Aleks z szerokim uśmiechem. – Nie zepsuję jej przez próbę zrobienia z nią czegoś.

– Czyli to coś w rodzaju uczucia, o którym piszą poeci.

– No dobrze – powiedział Aleks, opierając się o ścianę i oglądając swoje paznokcie. – Porozmawiajmy o sytuacji z pierwszym oficerem.

– Lepiej nie.

– Lepiej tak – rzucił Aleks i zrobił krok do przodu, składając ręce na piersi jak ktoś, kto nie zamierza się

poddawać. – Już od ponad roku latam tą łajbą solo. Udaje się tylko dlatego, że Naomi jest genialnym oficerem operacyjnym i zapewnia mnóstwo luzu. Jeśli ją stracimy, przestaniemy latać. To pewnik.

Holden schował używany terminal do kieszeni i oparł się o osłonę reaktora.

– Wiem. *Wiem*. Nigdy nie sądziłem, że faktycznie to zrobi.

– Że odejdzie? – zapytał Aleks.

– Właśnie.

– Nigdy nie rozmawialiśmy o pieniądzach – zauważył Aleks. – Nie dostajemy pensji.

– Pensji? – Holden zmarszczył czoło, patrząc na Aleksa i wybijając palcami szybki rytm na reaktorze za plecami. Odpowiadał echem jak metalowy grobowiec. – Każdy grosz od Freda, który nie idzie na pokrycie kosztów obsługi tego statku, trafia na założone przeze mnie konto. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, dwadzieścia pięć procent wszystkiego tam należy do ciebie.

Aleks pokręcił głową i zamachał rękami.

– Nie, nie zrozum mnie źle. Nie potrzebuję pieniędzy i nie uważam, że nas okradasz. Po prostu zwracam uwagę, że nigdy nie rozmawialiśmy o pieniądzach.

– I co z tego?

– To znaczy, że nie jesteśmy zwykłą załogą. Nie pracujemy na statku dla pieniędzy albo dlatego, że zaciągnął nas rząd. Jesteśmy tu, bo tego chcemy. To wszystko, co na nas masz. Wierzmy w sprawę i chcemy być częścią tego, co robisz. Ale gdy tylko stracimy tę wiarę, równie dobrze moglibyśmy przyjąć zwykłe, płatne prace.

– Ale Naomi... – zaczął Holden.

– Była twoją *dziewczyną* – dokończył Aleks ze śmiechem.
– Do cholery, Jim, *przyjrzałeś się jej*? Może mieć innego chłopaka. Właściwie nie miałbym nic przeciwko...

– Dobra, rozumiem. Słyszę. Spieprzyłem i to moja wina. Zdaję sobie z tego sprawę. Ze wszystkiego. Muszę iść spotkać się z Fredem i zacząć się zastanawiać, jak zebrać to wszystko z powrotem do kupy.

– Chyba że Fred faktycznie to *zrobił*.

– Właśnie. Chyba że.

* * *

– Zastanawiałem się, kiedy się w końcu pokażesz – powiedział Fred Johnson, gdy Holden przeszedł przez drzwi jego biura.

Fred wyglądał równocześnie lepiej i gorzej niż kiedy Holden spotkał go pierwszy raz rok temu. Wyglądał lepiej, ponieważ Sojusz Planet Zewnętrznych, pseudorząd, którego Fred był tytularnym przywódcą, nie był już organizacją terrorystyczną, a faktycznym rządem, który mógł sadzać swoich przedstawicieli do rozmów dyplomatycznych z planetami wewnętrznymi. Sam Fred przyjął rolę administratora z zapalem, którego nie mógł czuć, gdy przewodził partyzantce. W widoczny sposób wpłynęło to na jego rozluźnienie i krzywy uśmieszek, który stał się jego domyślnym wyrazem twarzy.

Wyglądał gorzej, bo ostatni rok rządzenia (i związanych z nim obciążeń) w widoczny sposób go postarzył. Włosy zrobiły się rzadsze i jaśniejsze, a na szyi było widać stare mięśnie i luźną skórę. Pod oczami miał już trwałe worki. Na skórze koloru kawy nie było widać zmarszczek, ale zrobiła się szarawa.

Jednak uśmiech, którym przywitał Holdena, był szczery. Wyszedł zza biurka, by uścisnąć mu dłoń i doprowadzić do fotela.

– Czytałem twój raport dotyczący Ganimedesa – powiedział Fred. – Opowiedz mi o tym. Wrażenia z pobytu na miejscu.

– Fred – odezwał się Holden. – Jest coś jeszcze.

Fred kiwnął głową, wrócił na swoje miejsce za biurkiem i usiadł.

– Mów.

Holden zaczął odpowiadać, ale umilkł. Fred przyglądał mu się, wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, ale spojrzenie zrobiło się ostrzejsze, bardziej skupione. Holden poczuł nagły i irracjonalny strach, że Fred wiedział już o wszystkim, co miał mu do powiedzenia.

Prawdę mówiąc, Holden zawsze obawiał się Freda. Mężczyzna miał w sobie jakiś dualizm, który nie dawał mu spokoju. Fred skontaktował się z załogą *Rosynanta* dokładnie wtedy, gdy najbardziej potrzebowali pomocy. Stał się ich patronem, ich bezpieczną przystanią w morzu niezliczonych wrogów, których zebrali w ciągu ostatniego roku, a jednak Holden nie potrafił zapomnieć, że to wciąż pułkownik Frederick Lucius Johnson, Rzeźnik stacji Anderson. Człowiek, który spędził ostatnią dekadę, pomagając organizować Sojusz Planet Zewnętrznych – i kierować organizacją, która w drodze do swoich celów nie wahała się posuwać do zabójstw i aktów terroru. Prawie na pewno osobiście wydał rozkaz dokonania części z tych mordów i było całkiem możliwe, że Fred jako przywódca SPZ zabił więcej ludzi niż Fred jako pułkownik marines Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Czy naprawdę zawahałby się przed użyciem protomolekuły do realizacji swoich celów?

Może. Może to byłoby za dużo. Był też przyjacielem i zasługiwał na prawo obrony.

– Fred, ja... – zaczął Holden, potem urwał.

Fred znowu kiwnął głową, przestał się uśmiechać i zmarszczył czoło.

– Nie spodoba mi się to. – Bardziej oznajmił niż zapytał.

Holden chwycił poręczę fotela i dźwignął się na nogi. Ruch był gwałtowniejszy niż zamierzał i w niskim ciężeniu stacji, równym trzem dziesiątym ziemskiego ciężenia, przez chwilę unosił się w powietrzu. Fred zaśmiał się cicho, a potem z powrotem zmarszczył czoło i uśmiechnął się.

To załatwiło sprawę. Uśmiech i śmiech złamały obawę i zmieniły ją w gniew. Gdy Holden z powrotem stanął na podłodze, nachylił się i gwałtownie oparł się dłońmi o biurko Freda.

– Ty – warknął – nie będziesz się śmiał. Przynajmniej do czasu, aż się upewnię, że to nie była twoja wina. Jeśli możesz zrobić to, o co cię podejrzewam, i wciąż się śmiać, zastrzelę cię tu i teraz.

Uśmiech Freda nie zniknął, ale zmieniło się coś w jego oczach. Nie przywykł do gróźb, ale nie było to też dla niego nic nowego.

– O co mnie podejrzewasz – powiedział Fred, nie zmieniając tego w pytanie, po prostu powtarzając.

– To protomolekuła, Fred. To właśnie dzieje się na Ganimesesie. Laboratorium, w którym robiono eksperymenty na dzieciach i to czarne paskudztwo oraz potwór, który prawie zniszczył mój statek. Takie są moje

pieprzone *wrażenia z pobytu na miejscu*. Ktoś bawił się wirusem, który mógł się wyrwać na wolność, a planety wewnętrzne strzelają do siebie na orbicie wokół niego.

– Myślisz, że ja to zrobiłem – powiedział Fred. Znowu było to stwierdzenie faktu.

– *Rzuciliśmy to gównem na Wenus* – wrzasnął Holden. – *Dałem ci jedyną próbkę*. I nagle na Ganimesie, w spichlerzu twojego przyszłego imperium, jedynym miejscu, którego nie chciały oddać floty planet wewnętrznych, dochodzi do czegoś takiego?

Fred pozwolił ciszy odpowiadać przez jedno uderzenie serca.

– Pytasz mnie, czy używam protomolekuły do przegnania wojsk planet wewnętrznych z Ganimesa i wzmocnienia kontroli nad planetami zewnętrznymi?

Cichy ton Freda uświadomił Holdenowi, jak głośno mówił i zmusił się do wykonania kilku głębokich oddechów.

– Tak – potwierdził, gdy jego puls trochę zwolnił. – W zasadzie dokładnie o to.

– Ty – oznajmił Fred z szerokim uśmiechem, który nie sięgał do jego oczu – nie masz prawa zadawać takich pytań.

– Co?

– Gdybyś zapomniał, jesteś pracownikiem tej organizacji.

– Fred wstał, rozciągając się na pełną wysokość dobrych dwunastu centymetrów powyżej Holdena. Jego uśmiech się nie zmienił, ale ciało przesunęło się i jakby się powiększyło. Nagle wydał się bardzo duży.

Holden cofnął się o krok, zanim zdołał się powstrzymać.

– Ja – kontynuował Fred – nie jestem ci winien nic poza

warunkami ostatniej umowy. Czy tobie kompletnie odbiło, chłopcze? Wparować tutaj? Krzycheć na mnie? *Żądać* odpowiedzi?

– Nikt inny nie mógł... – zaczął Holden, ale Fred go zignorował.

– Dałeś mi jedyną próbkę, o której wiemy. Ty jednak zakładasz, że jeśli o czymś nie wiesz, to nie istnieje. Już od ponad roku wytrzymuję te twoje bzdury – powiedział Fred. – Ten cały twój pomysł, że wszechświat jest ci winien odpowiedzi. Święte oburzenie, którym wymachujesz jak maczugą na wszystkich wokół. Ale ja *nie* muszę tego słuchać. Wiesz dlaczego?

Holden pokręcił głową, bojąc się, że jeśli coś powie, może to zrobić zduszonym głosem.

– Dlatego – oznajmił Fred – że *jestem* twoim cholernym szefem. Ja kieruję tą budą. Byłeś dość użyteczny i może będzie tak jeszcze w przyszłości, ale mam w tej chwili na głowie dość problemów i bez wywoływania tu przez ciebie kolejnej kruczaty moim kosztem.

– A więc – powiedział Holden, przeciągając drugie słowo.

– A więc zwalniam cię. To był twój ostatni kontrakt u mnie. Skończę naprawiać *Rosa* i zapłacę ci, bo nie łamię umów, ale chyba zbudowaliśmy wreszcie dość statków, żeby utrzymywać na niebie porządek bez twojej pomocy, a zresztą, nawet gdyby tak nie było, to mam cię dość.

– Fred – powiedział Holden.

– A teraz wynoś się z mojego biura, zanim postanowię zabrać też *Rosa*. Ma już w sobie więcej części Tycho niż oryginalnych. Chyba mógłbym dobrze uzasadnić prawo własności do tego statku.

Holden wycofał się do drzwi, zastanawiając się, jak

poważna jest ta groźba. Fred przyglądał mu się, ale nie drgnął.

– To nie byłem ja – powiedział, gdy Holden dotarł do drzwi.

Ich spojrzenia spotkały się na długą, znaczącą chwilę.

– To nie byłem ja – powtórzył Fred.

– Dobrze – odpowiedział Holden i wycofał się przez drzwi.

Kiedy drzwi się zamknęły, odcinając widok Freda, Holden odetchnął głęboko i oparł się bezwładnie o ścianę korytarza. Fred miał rację co do jednego: zdecydowanie zbyt długo tłumaczył się swoim strachem. *Święte oburzenie, którym wymachujesz jak maczugę na wszystkich wokół.* Widział, jak ludzkość prawie ginie w wyniku własnej głupoty. Wstrząsnęło to nim do głębi. Od czasu Erosa jechał na strachu i adrenalinie.

Ale to nie było wytłumaczenie. Już nie.

Zaczął wyciągać terminal, żeby zadzwonić do Naomi, gdy nagle dotarło to do niego jak włączenie światła. *Zostałem wyrzucony.*

Przez ponad rok pracował na wyłącznym kontrakcie dla Freda, stacja Tycho stała się ich portem macierzystym. Sam spędziła niemal tyle samo czasu, naprawiając i dostrajając *Rosa*, co Amos. To wszystko przepadło. Będą musieli teraz sami szukać sobie pracy, znaleźć własne porty, płacić za naprawy. Koniec z patronem trzymającym go za rączkę. Po raz pierwszy od bardzo dawna Holden stał się prawdziwie niezależnym kapitanem. Musiał zarobić na życie przez utrzymanie statku na chodzie i wyżywienie załogi. Stała się na chwilę, sprawdzając, jakie to uczucie. Było świetnie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Praks

Amos wyprostował się na krześle. Jego potężna masa sprawiała, że pokój wydawał się mniejszy, a woń alkoholu i przetrawionego dymu były od niego jak żar od ognia. Wyraz jego twarzy nie mógł być łagodniejszy.

– Nie wiem, co robić – wyznał Praks. – Po prostu nie wiem, co robić. To wszystko moja wina. Nicola była po prostu... taka zagubiona i zła. Każdego dnia budziłem się, patrzyłem na nią i widziałem, jak bardzo czuje się uwięziona. I wiedziałem, że Mei będzie z tym dorastać. Próbując skłonić mamusię, żeby ją kochała, podczas gdy Niki chciała tylko być gdzieś indziej. I myślałem, że tak będzie lepiej. Kiedy zaczęła mówić o odejściu, byłem już na to gotowy, wiesz? A kiedy Mei... kiedy musiałem o tym powiedzieć Mei...

Praks opuścił głowę na dłonie, kiwając się powoli do przodu i do tyłu.

– Będziesz znowu rzygał, doktorku?

– Nie, nic mi nie jest. Gdybym był lepszym ojcem, ona wciąż by tu była.

– Mówimy o byłej żonie czy o dzieciaku?

– Nicola mnie nie obchodzi. Gdybym był tam dla Mei. Gdybym poszedł do niej, gdy tylko dostałem ostrzeżenie. Gdybym nie czekał w kopule. I po co? Dla roślin? I tak są

już martwe. Miałem jedną, ale ją też straciłem. Nie mogłem uratować nawet jednej. Ale mogłem tam dotrzeć. Odnaleźć ją. Gdybym...

– Wiesz, że zabrali ją, zanim gówno trafiło w wentylator, prawda?

Praks pokręcił głową. Nie zamierzał dać się wytłumaczyć faktom.

– A teraz to. Miałem szansę. Wydostałem się. Mam trochę pieniędzy. I okazałem się głupi. To była jej ostatnia szansa, a ja okazałem się za głupi.

– No cóż. Jesteś w tym nowy, doktorku.

– Powinna była mieć lepszego tatę. Zasługuje na lepszego tatę. Była taką dobrą... była taką dobrą dziewczynką.

Amos pierwszy raz go dotknął. Wielka dłoń ujęła jego ramię, obejmując je od obojczyka do mostka, odginając kręgosłup Praksa, aż się wyprostował. Amos miał mocno przekrwione oczy, prawie bardziej czerwone niż białe. Jego oddech był gorący i ostry, jak u doskonałego wyobrażenia naprutego marynarza po powrocie do portu. Jednak głos miał trzeźwy i spokojny.

– Ma dobrego tatę, doktorku. Ona cię obchodzi, a to dużo więcej niż mogliby jej dać inni.

Praks przełknął ślinę. Był zmęczony. Zmęczyło go bycie silnym, pełnym nadziei, zdeterminowanym i przygotowanym na najgorsze. Nie chciał już być sobą. Nie chciał być nikim. Dłoń Amosa była jak kłamra dokowa dla statków i uniemożliwiła mu odpłynięcie w mrok. Chciał tylko, żeby go puścić.

– Ona nie przepadła – powiedział Praks. To była dobra wymówka. Wytłumaczenie. – Zabrali mi ją i nie wiem, kim są, nie mogę jej odzyskać i nie rozumiem.

– To jeszcze nie koniec.

Praks przytaknął, nie dlatego, że poczuł się od tego lepiej, ale ponieważ w tej chwili wiedział, że powinien się zachowywać, jakby mu to pomogło.

– Nigdy jej nie znajdę.

– Mylisz się.

Zabrzmiał dzwonek i drzwi się odsunęły. Do środka wszedł Holden. W pierwszej chwili Praks nie potrafił stwierdzić, co jest w nim innego, ale to, że coś się stało... coś się zmieniło... było ewidentne. Twarz była ta sama, niezmienione ubranie. Praksa dopadło nagle wspomnienie wykładu o metamorfozie.

– Hej – odezwał się Holden. – Wszystko w porządku?

– Trochę ciężko – skomentował Amos. Praks zauważył na jego twarzy odbicie własnego zdziwienia. Obaj zauważyli zmianę, choć żaden z nich nie wiedział, na czym polega. – Zerznąłeś kogoś, kapitanie, czy coś?

– Nie – odparł Holden.

– To znaczy, dobrze by ci to zrobiło – dodał Amos. – Tylko nie tak sobie wyobrażałem...

– Nikogo nie zerznąłem – zapewnił Holden z wahaniem. Uśmiech, który pojawił się po tych słowach, był prawie promienny. – Wylali mnie.

– Tylko ciebie czy wylali nas wszystkich?

– Wszystkich.

– Hm – sapnął Amos. Przez chwilę siedział nieruchomo, a potem wzruszył ramionami. – W porządku.

– Muszę porozmawiać z Naomi, ale nie odbiera połączeń ode mnie. Myślisz, że mógłbyś ją odszukać?

Amosa skrzywił się, jakby wgryzł się w cytrynę.

– Nie zamierzam się z nią kłócić – zapewnił Holden. – Po

prostu nie zostawiliśmy tego wszystkiego w odpowiednim stanie. I to moja wina, więc muszę to naprawić.

– Wiem, że wybierała się do tego baru, o którym Sam powiedziała nam ostatnim razem. Blauwe Blome. Ale zrobisz z siebie idiotę, więc to nie ja ci to powiedziałem.

– Żaden problem – zgodził się Holden. – Dzięki.

Kapitan odwrócił się do wyjścia, ale zatrzymał się w drzwiach. Wyglądał jak ktoś, kto nie do końca obudził się ze snu.

– Co jest ciężko? – zapytał. – Powiedziałeś, że trochę ciężko.

– Doktorek próbował wynająć firmę ochroniarską z Luny do wysłедzenia dzieciaka. Nie wyszło i trochę mocno to przeżywa.

Holden zmarszczył brwi. Praks poczuł, że się czerwieni.

– Myślałem, że to *my* szukamy dzieciaka – stwierdził Holden. Brzmiał na szczerze zmieszanego.

– Doktorek nie był tego pewien.

– Och – rzucił Holden. Odwrócił się do Praksa. – Znajdziemy twoje dziecko. Nie musisz wynajmować nikogo innego.

– Nie mogę wam zapłacić – wyznał Praks. – Wszystkie moje konta były w systemie Ganimedesa i nawet jeśli tam są, nie mogę uzyskać do nich dostępu. Mam tylko to, co ludzie mi dali. Pewnie mógłbym zebrać coś koło tysiąca dolarów ONZ. Czy to wystarczy?

– Nie – odpowiedział Holden. – To nie wystarczy nawet na tydzień powietrza, nie mówiąc o wodzie. Zajmiemy się tym.

Holden przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał czegoś, co tylko on słyszał.

– Rozmawiałem już z moją byłą żoną – dodał Praks. – I rodzicami. Nikt inny nie przychodzi mi do głowy.

– A co powiesz na wszystkich? – zapytał Holden.

* * *

– Jestem James Holden – na olbrzymim ekranie przed konsolą pilota *Rosynanta* kapitan rozpoczynał swoją przemowę – i chcę was poprosić o pomoc. Cztery miesiące temu, kilka godzin przed pierwszym atakiem na Ganimesie, z przedszkola porwano małą dziewczynkę cierpiącą na groźną dla życia chorobę genetyczną. W chaosie, który...

Aleks zatrzymał odtwarzanie. Praks spróbował się wyprostować na fotelu, ale osadzony na przegubach fotel drugiego pilota tylko się przesunął i dalej leżał.

– Nie wiem – rzucił Aleks z fotela pilota. – To zielone tło nadaje mu niewyraźny odcień, nie sądzisz?

Praks zmrużył lekko oczy, zastanowił się i kiwnął głową.

– Ten kolor mu nie pasuje – przyznał. – Może gdyby był ciemniejszy.

– Spróbuję. – Pilot zaczął stukać w ekran. – Normalnie takie rzeczy robi Naomi, pakiety łączności to nie jest moja pierwsza miłość. Ale damy radę. Co powiesz na to?

– Lepiej – skomentował Praks.

– Jestem James Holden i chcę was poprosić o pomoc. Cztery miesiące temu...

Rola Holdena w prezentacji obejmowała niecałą minutę, którą nagrał, mówiąc do kamery ręcznego terminala Amosa. Później Amos z Praksem spędzili godzinę, próbując przygotować resztę. To Aleks zasugerował użycie lepszego sprzętu na pokładzie *Rosynanta*. Gdy już

wszystko przygotowali, zebranie informacji zrobiło się bardzo łatwe. Jako szablonu użył skróconej wersji, którą opowiedział Nicoli i swoim rodzicom. Aleks pomógł mu nagrać resztę – opis choroby Mei, nagranie Stricklanda i tajemniczej kobiety zabierających ją z przedszkola, dane z tajnego laboratorium, włącznie z obrazami włókien protomolekuły, zdjęcia Mei bawiącej się w parkach, krótkie nagranie z jej drugich urodzin, gdy podczas przyjęcia rozmasała sobie na czole lukier z tortu.

Praks dziwnie się czuł, patrząc na siebie na zarejestrowanym materiale. Widział mnóstwo swoich nagrań, ale mężczyzna na ekranie był chudszy, niż się spodziewał. Starszy. Głos miał wyższy od tego, który słyszał we własnych uszach, na dodatek pewniejszy. Praksidike Meng, który miał właśnie przemówić do całej ludzkości, był innym człowiekiem od niego, ale stanowił niezłe przybliżenie. A jeśli to mogło pomóc Mei, to tym bardziej. Jeśli dzięki temu ją odzyska, może być każdym.

Aleks przesunął palcami po suwakach na ekranie, zmieniając kolejność elementów prezentacji, łącząc zdjęcia Mei z przemową Holdena. Założyli konto w pasiarskim banku spółdzielczym oferującym różnorodne opcje dla krótkoterminowych akcji non profit, dzięki czemu darowizny mogły być przyjmowane automatycznie. Praks oglądał i bardzo pragnął zaoferować jakiś komentarz albo przejąć sterowanie, ale nie było nic więcej do zrobienia.

– No dobra – rzucił Aleks. – Ładniej tego nie zrobię.

– Dobrze – odpowiedział Praks. – To co robimy teraz?

Aleks obejrzał się na niego. Wydawał się zmęczony, ale równocześnie podniecony.

– Naciśniemy „wyślij”.

– Ale proces weryfikacji...

– Nie ma żadnego procesu weryfikacji, doktoru. To nie jest projekt rządowy, szlag, nawet nie firmowy. Po prostu lecimy szybko i próbujemy nie wsadzić tyłków w ogień z dyszy.

– Och – wydobył z siebie Praks. – Naprawdę?

– Jeśli pokręcisz się dość długo przy kapitanie, to się do tego przyzwyczaisz. Choć możesz to odłożyć na jeden dzień i jeszcze to przemyśleć.

Praks uniósł się na łokciu.

– Co przemyśleć?

– Wysłanie tego. Jeśli to zadziała tak, jak sądzimy, ściągniesz na siebie mnóstwo uwagi. Może będzie to właśnie tym, na co masz nadzieję, może czymś zupełnie innym. Mówię tylko, że rozbitego jajka już się nie złoży.

Praks zastanawiał się przez kilka sekund. Ekran się świecił.

– To Mei – powiedział.

– No to jedziemy – rzucił Aleks i przeniósł sterowanie łącznością na konsolę drugiego pilota. – Zechcesz uczynić honory?

– Gdzie to trafi? To znaczy, gdzie to wysyłamy?

– Zwykła emisja szerokozakresowa – wyjaśnił Aleks. – Prawdopodobnie zostanie wychwycona przez niektóre kanały informacyjne w Pasie. Ale to kapitan, więc ludzie to obejrzą i prześlą dalej w sieci. A...

– A?

– Nie daliśmy tam naszego pasażera na gapę, ale te włókna w szklanej skrzyni? W zasadzie informujemy ludzi, że protomolekuła wciąż istnieje. To trochę podkreśli

siłę sygnału.

– Myślisz, że to pomoże?

– Kiedy pierwszy raz zrobiliśmy coś takiego, wywołaliśmy wojnę – odpowiedział Aleks. – „Pomoc” może być trochę za mocnym słowem, ale to zdecydowanie namiesza.

Praks wzruszył ramionami i wcisnął guzik wysyłania.

– Torpedo los – skomentował Aleks z uśmiechem.

* * *

Praks spał na stacji, kołyszany przez szum wymienników powietrza. Amosa znowu nie było, zostawił tylko wiadomość, żeby na niego nie czekać. Pewnie tylko jego wyobraźnia sprawiała, że ciężenie odśrodkowe wydawało się nieco inne. Przy średnicy pierścienia stacji Tycho efekt Coriolisa nie powinien być nieprzyjemnie zauważalny, a już na pewno nie w bezruchu, w ciemnej sypialni. A jednak nie potrafi! zaznać spokoju. Nie potrafi! zapomnieć, że jest obracany i to inercja dociska go do cienkiego materaca, podczas gdy jego ciało próbuje odlecieć w pustkę. Przez większą część pobytu na *Rosynancie* potrafił oszukać swój umysł i przekonać go do myślenia, że ma pod sobą bezpieczną masę księżyca. Uzna! w końcu, że problem nie wynika ze sposobu generowania przyspieszenia, a z tego, co się za nim kryło.

W miarę jak jego umysł powoli się uspokaja!, z częściami odrywającymi się jak w meteorze uderzającym w atmosferę, poczuł nagłą falę wdzięczności. Jej część skierowana była do Holdena, część do Amosa. Do całej załogi *Rosynanta*. W półśnie znowu znalazł się na Ganimesesie. Głodował, idąc lodowymi korytarzami z

przekonaniem, że gdzieś w pobliżu jedna z jego sadzonek soi została zakażona protomolekułą i śledzi go, pragnąc się na nim zemścić. Z typowym brakiem logiki snów był też na Tycho, szukając pracy, ale wszyscy, którym wręczał swoje CV, kręcili głowami i mówili, że brakuje mu jakiegoś stopnia lub dokumentów, których nie rozpoznawał ani nie rozumiał. Potrafił to znieść tylko dzięki głębszej świadomości, wypływającej gdzieś z samego dna jestestwa, że nic z tego nie jest prawdziwe. Że tak naprawdę śpi, a kiedy się obudzi, będzie w jakimś bezpiecznym miejscu.

Faktycznie obudził go w końcu zapach wołowiny. Oczywiście miał zaklejone, jakby płakał we śnie łzami zostawiającymi po sobie osad soli. Z łazienki dobiegały odgłosy używanego prysznicza. Praks wciągnął na siebie kombinezon, znowu zastanawiając się, dlaczego na plecach ma wydrukowany wyraz TACHI.

Na stole czekało śniadanie: stek z jajkami, tortille i czarna kawa. Prawdziwe jedzenie, które kosztowało kogoś małą fortunę. Stały tam dwa talerze, więc Praks wybrał jeden i zaczął jeść. Pewnie kosztowało to jedną dziesiątą pieniędzy, które dostał od Nicoli, ale smakowało cudownie. Spod prysznicza wyłonił się Amos z ręcznikiem owiniętym wokół bioder. Z prawej strony brzucha miał olbrzymią białą bliznę, która odciągała w bok jego pępek, a serce zakrywał niemal fotograficzny tatuaż młodej kobiety z pofalowanymi włosami i oczami o kształcie migdałów. Praks miał wrażenie, że pod wytatuowaną twarzą dostrzega jakiś wyraz, ale nie chciał się gapić.

– Cześć, doktorku – rzucił Amos. – Lepiej wyglądasz.

– Trochę odpocząłem – przyznał Praks, a Amos poszedł

do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Praks odezwał się znowu podniesionym głosem. – Chciałem ci podziękować. Wczoraj wieczorem miałem doła. A niezależnie od tego, czy ty i reszta możecie faktycznie odnaleźć Mei, czy nie...

– Czemu nie moglibyśmy jej odnaleźć? – zapytał Amos głosem stłumionym przez drzwi. – Nie tracisz chyba dla mnie poważania, doktorku?

– Nie – zapewnił Praks. – Absolutnie. Chcę tylko powiedzieć, że to, co oferujecie z kapitanem, jest... wielkie...

Amos wyłonił się z sypialni z szerokim uśmiechem. Kombinezon ukrył blizny i tatuaże, jakby nigdy ich tam nie było.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, po prostu cię podpuszczam. Jak smakuje stek? Człowiek się zastanawia, gdzie tu trzymają krowy, nie?

– Och nie, to mięso ze zbiorników. Widać po tym, jak rosną włókienka mięśniowe. Widzisz, jak układają się te części tutaj? W sumie dzięki temu łatwiej uzyskać marmurkowy przekrój niż przy wycinaniu z krowy.

– Serio? – skomentował siedzący naprzeciw niego Amos. – Nie wiedziałam.

– Nieważkość sprawia też, że ryby robią się bardziej pożywne – skomentował Praks z ustami pełnymi jajka. – Zwiększa produkcję oleju. Nikt nie wie, dlaczego, ale jest kilka bardzo ciekawych badań na ten temat. Według nich nie chodzi o samo obniżone ciśnienie, a raczej o ciągły wymuszony przepływ wody, żeby zwierzęta nie przestały się ruszać, bo mogłyby wygenerować bańkę wody bez tlenu i się udusić.

Amos oderwał kawałek tortilli i zanurzył ją w żółtku.

– Tak wyglądały rozmowy przy jedzeniu w twojej rodzinie, co?

Praks zamrugął.

– Przeważnie, tak. Dlaczego pytasz? A ty o czym rozmawiasz?

Amos zachichotał. Wydawał się mieć bardzo dobry nastrój.

Ramiona trzymał rozluźnione i zmieniło się coś w ustawieniu jego szczęki. Praks przypomniał sobie odbytą wczoraj wieczorem rozmowę z kapitanem.

– Kochałeś się z kimś, prawda?

– O tak – potwierdził Amos. – Ale nie to jest najlepsze.

– Nie?

– To było cholernie dobre, ale nie ma nic lepszego na świecie niż zdobycie pracy dzień po wywaleniu z roboty.

Praks poczuł intensywne zmieszanie. Amos wyciągnął terminal z kieszeni, stuknął w niego dwukrotnie i przesunął po stole. Na ekranie zobaczył czerwoną obwódkę zabezpieczeń i nazwę banku spółdzielczego, z którym Aleks pracował poprzedniego wieczora. Szeroko otworzył oczy na widok stanu konta.

– Czy... czy to...?

– To wystarczy, żeby zapewnić działanie *Rosa* przez miesiąc, a dostaliśmy to w siedem godzin. Właśnie wynająłeś sobie zespół, doktoru.

– Nie wiem... poważnie?

– Nie tylko to. Zobacz na przychodzące wiadomości. Kapitan zrobił kiedyś duże wrażenie, ale twoja mała? Całe to gówno, które dzieje się na Ganimesie... Ona właśnie stała się twarzą tej historii.

Praks wyciągnął swój terminal. Skrzynka powiązana z prezentacją zawierała ponad pięćset wiadomości wideo i tysiące tekstowych. Zaczął je przeglądać. Nieznani mu mężczyźni i kobiety – niektórzy ze łzami w oczach – oferowali mu modlitwy, gniew i wsparcie. Pasiarz z wielką grzywą szaroczarnych włosów jazgotał w gwarze tak ciężkiej, że Praks prawie jej nie rozumiał. Na ile mógł się zorientować, oferował, że kogoś dla niego zabije.

Pół godziny później jedzenie Praksa zrobiło się całkiem zimne. Kobieta z Ceres powiedziała mu, że straciła córkę po rozwodzie i że wysłała mu kwotę, którą normalnie wydaje przez miesiąc na tytoń. Grupa inżynierów z Luny zebrała do czapki i wysłała kwotę, która równałaby się jego miesięcznym zarobkom, gdyby wciąż był botanikiem. Stary Marsjanin ze skórą koloru czekolady i śnieżnobiałymi włosami patrzył poważnie do kamery po drugiej stronie Układu Słonecznego i mówił, że jest z Praksem.

Kiedy wskoczyła następna wiadomość, wyglądała tak jak wcześniejsze. Mężczyzna na obrazie był starszy – miał osiemdziesiąt, może dziewięćdziesiąt lat – z resztkami siwych włosów z tyłu czaszki i wyrazistą twarzą. W wyrazie jego twarzy było coś, co przyciągnęło uwagę Praksa. Wahanie.

– Doktorze Meng – odezwał się mężczyzna. Miał trochę niewyraźny akcent, który kojarzył się Paksowi z nagraniami jego dziadka. – Bardzo współczuję panu, słysząc o wszystkim, co przeszedł pan z rodziną. Co pan przechodzi. – Mężczyzna oblizał wargi. – To nagranie z kamery monitoringu w pańskiej prezentacji... Sądzę, że znam tego człowieka, ale on nie nazywa się Strickland...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Holden

Według katalogu stacji Blauwe Blome było znane z dwóch rzeczy: drinka zwanego „niebieska paskuda” i dużej liczby stołów do golgo. Przewodnik ostrzegwał potencjalnych gości, że stacja zezwala na serwowanie tylko dwóch niebieskich paskud jednemu klientowi ze względu na dość morderczą mieszankę etanolu, kofeiny i metylofenidatu. Oraz, jak domyślał się Holden, jakiegoś niebieskiego barwnika spożywczego.

Kiedy szedł przez korytarze części wypoczynkowej Tycho, przewodnik zaczął mu wyjaśniać zasady gry w golgo. Po kilku minutach totalnego niezrozumienia – *mówi się, że gole są „pożyczane”, gdy obrona odbije atak* – wyłączył go. Istniała bardzo niewielka szansa na to, że będzie tam w coś grał. Z kolei drink, który usuwał ograniczenia i zostawiał człowieka nakręconym i pełnym energii, nie był mu teraz potrzebny.

Prawdę mówiąc, Holden chyba nigdy w życiu nie czuł się lepiej.

W ciągu ostatniego roku zepsuł mnóstwo rzeczy. Odsunął od siebie załogę. W zamian za bezpieczeństwo stanął po stronie, z którą chyba nie do końca się zgadzał. Możliwe, że zniszczył jedyny zdrowy związek, jaki mu się trafił w życiu. Strach napędzał go do stania się kimś

innym, kimś, kto radził sobie ze strachem, zmieniając go w przemoc. Kimś, kogo Naomi nie kochała, kogo nie szanowała załoga, kto sam się niezbyt lubił.

Teraz strach zniknął. To znaczy, owszem, wciąż istniał, przypominając o sobie za każdym razem, gdy pomyślał o Ganimesesie i o tym, co mogło tam teraz szaleć i rosnać, jednak po raz pierwszy od bardzo dawna był go świadom i nie krył się przed nim. Pozwolił sobie się bać. A to sprawiło olbrzymią różnicę.

Holden usłyszał Blauwe Blome kilka sekund przed tym, zanim zobaczył bar. Zaczęło się od ledwie słyszalnego, rytmicznego dudnienia, które stopniowo nasilało się, wzmocnione dodatkowo przez elektroniczne zawodzenie i kobiecy głos śpiewający coś w mieszance hindi i rosyjskiego. Kiedy dotarł do głównych drzwi klubu, piosenkarkę zastąpiło dwóch mężczyzn śpiewających na zmianę w sposób kojarzący się z kłótnią. Zawodzenie zmieniło się w gniewne gitary, ale basowy rytm został ten sam.

Wnętrze klubu boleśnie atakowało wszystkie zmysły. Na środku sali rozciągała się duża przestrzeń do tańca, na której kilkadziesiąt ciał kąpało się w nieustannie zmieniającym się, kolorowym oświetleniu, błyskającym w rytmie muzyki. Głośna na korytarzu muzyka – w środku zrobiła się ogłuszająca. Pod jedną ze ścian ustawiono długi chromowany bar, za którym kilku barmanów gorączkowo szykowało napoje.

Znak GOLGO na tylnej ścianie uzupełniono o strzałkę kierującą w głąb długiego korytarza. Holden poszedł we wskazanym kierunku. Muzyka słabła z każdym krokiem, kiedy więc w końcu dotarł do sali ze stołami, znowu była

tylko stłumionym dudnieniem.

Naomi stała przy jednym ze stołów z Sam i grupą innych Pasiarzy. Włosy związała czerwoną gumką na tyle szeroką, by można ją było ozdobić. Przebrała się w szare dopasowane spodnie, które widział na niej pierwszy raz, i żółtą bluzkę, dzięki której jej karmelowa skóra wydawała się ciemniejsza. Holden musiał się na chwilę zatrzymać. Uśmiechała się do kogoś, kto nie był nim, i nagle ścisnęło mu się serce.

Kiedy podchodził, Sam rzuciła na stół małą metalową kulkę. Grupa po drugiej stronie zareagowała nagłymi, gwałtownymi ruchami. Ze swojego miejsca nie widział dokładnie, co się tam dzieje, ale opuszczone ramiona i niemrawe przekleństwa dobiegające po chwili od strony drugiej grupy sugerowały, że Sam zrobiła coś niezbyt korzystnego dla nich.

Kobieta odwróciła się i uniosła rękę w geście zwycięstwa. Wszyscy w grupie po jej stronie stołu, włącznie z Naomi, kolejno klepali ją w dłoń. Sam zobaczyła go i powiedziała coś, czego nie usłyszał. Naomi odwróciła się i poczęstowała go taksującym spojrzeniem, które go zatrzymało. Nie uśmiechnęła się ani nie zmarszczyła brwi. Uniósł dłonie w geście, który – jak miał nadzieję – oznaczał *nie przyszedłem się kłócić*. Przez chwilę stali naprzeciw siebie w głośnej sali.

Jezu, pomyślał, jak mogłem do tego dopuścić.

Naomi kiwnęła w jego stronę głową i wskazała stół wrogu sali. Usiadł i zamówił sobie drinka. Nie jednego z zabójców wątroby, z których słynął bar, po prostu tanią whisky z Pasa. Przyzwyczał się, jeśli nie lubić, to przynajmniej tolerować lekki pleśniowy posmak, który po

sobie zostawiała. Naomi pożegnała się ze swoim zespołem na kilka minut i podeszła. Nie był to niedbały krok, ale też nie szła jak ktoś udający się na bardzo niechciane spotkanie.

– Mogę ci coś zamówić? – zapytał Holden, gdy usiadła.

– Jasne, wezmę grapefruitowe martini.

Gdy Holden wystukiwał zamówienie na stole, przyglądała mu się z tajemniczym półuśmiechem, który zmienił mu trzewia w płyn.

– Dobra – rzekł, autoryzując terminal do otwarcia rachunku i zapłacenia za drinki. – Zaraz przyjdzie paskudne martini.

– Paskudne? – spytała Naomi ze śmiechem.

– Ciężki przypadek szkorbutu to jedyny powód, jaki przychodzi mi do głowy, aby wypić coś z sokiem grapefruitowym.

Znowu się roześmiała, rozplatając przynajmniej jeden z węzłów w trzewiach Holdena i przez chwilę siedzieli w przyjaznej ciszy, czekając na napoje. Wypiła mały łyeczek i cmoknęła z zadowolenia.

– Dobra – powiedziała po chwili. – Wal.

Holden pociągnął znacznie dłuższy łyk, prawie wypijając jednym haustem małą szklaneczkę whisky i próbując przekonać samego siebie, że ciepło rozlewające się po brzuchu doda mu odwagi. *Nie czuję się dobrze z tym, jak zostawiliśmy sprawy między nami i pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać. Może wyjaśnić to sobie razem.* Odchrząknął.

– Wszystko spieprzyłem – powiedział. – Źle traktowałem przyjaciół. Gorzej niż źle. Miałeś absolutną rację, robiąc tak jak postąpiłaś. Nie słyszałem, co do mnie przez cały

ten czas mówiłaś, ale miałaś rację.

Naomi znowu napiła się swojego martini, a potem swobodnym ruchem sięgnęła do góry i ściągnęła plastikową opaskę, która utrzymywała masy jej czarnych loków z tyłu głowy. Włosy spadły burzą wokół jej twarzy, co kojarzyło się Holdenowi z bluszczem na kamiennych ścianach. Zrozumiał, że od kiedy ją zna, Naomi zawsze rozpuszczała włosy w sytuacjach napięcia emocjonalnego. Kryła się za nimi, może nie dosłownie, a dlatego, że byty jej najbardziej widoczną cechą. Lśniące, czarne loki w naturalny sposób przyciągały spojrzenie. Sposób na odwracanie uwagi. Nagle stała się dzięki temu bardzo ludzka, równie wrażliwa i zagubiona co on. Holden poczuł falę sympatii do niej, co musiało się odmalować się na jego twarzy, bo popatrzyła na niego, a potem się zaczerwieniła.

– Co to jest, Jim? Przepraszam? Przyznanie, że miałam rację, że zmieniałeś się we własną, spieprzoną wersję Millera?

– Przynajmniej tyle. Z nadzieją na otwarcie dialogu do pojednania, jeśli będę miał szczęście.

– Cieszę się – powiedziała Naomi. – Cieszę się, że do tego doszedłeś. Ale mówiłam to od miesięcy, a ty...

– Poczekaj – poprosił Holden. Czuł, jak się od niego odsuwa, nie pozwalała sobie wierzyć. Jedyne, co mógł jej jeszcze oferować, to całkowita szczerość. – Nie słyszałem cię. Bo byłem przerażony i byłem tchórzem.

– Strach nie czyni cię tchórzem.

– Nie – zgodził się. – Oczywiście, że nie. Ale już odmowa stanięcia z nim twarzą w twarz – jak najbardziej. Nieprzyznanie się do własnych uczuć. Niepozwolenie,

żebyście ty, Amos i Aleks mi pomogli. To było tchórzostwo. I może mnie to kosztować utratę ciebie i lojalności załogi, a to wszystko, co mnie obchodzi. Strach zmusił mnie do trzymania się złej pracy dużo dłużej niż powinienem, ponieważ tak było bezpiecznie.

Mała grupka graczy golgo zaczęła dryfować w ich stronę i Holden poczuł wdzięczność, widząc, że Naomi oddała ich gestem. To znaczyło, że dalej chciała rozmawiać. To był jakiś początek.

– Powiedz mi – powiedziała. – Dokąd chcesz dojść z tego miejsca?

– Nie mam pojęcia – wyznał Holden z uśmiechem. – I to najlepsze uczucie, jakiego doznałem od wieków. Tylko niezależnie od tego, co się teraz stanie, potrzebuję też ciebie.

Kiedy zaczęła protestować, Holden szybko uniósł rękę, by ją powstrzymać i wyjaśnić.

– Nie, nie chciałem tego powiedzieć w ten sposób. Bardzo chciałbym cię odzyskać, ale całkowicie zgadzam się z myślą, że może to potrwać albo nigdy się nie wydarzyć. Chciałem powiedzieć, że *Ros* cię potrzebuje. Potrzebuje cię załoga.

– Nie chcę go opuszczać – wyznała Naomi z nieśmiałym uśmiechem.

– To twój dom – zapewni! Holden. – Zawsze nim będzie, jak długo zechcesz. I będzie to prawdą niezależnie od tego, co będzie się działo między nami.

Naomi zaczęła owijać wokół palca gruby kosmyk włosów i dopiła swojego drinka. Holden wskazał na menu stołu, ale zaprzeczyła gestem dłoni.

– To dlatego, że wreszcie skonfrontowałeś się z Fredem,

prawda?

– Częściowo tak – potwierdził. – Stałem w jego biurze przerażony i uświadomiłem sobie, że od bardzo dawna ciągle się boję. Z nim też spieprzyłem. Częściowo to pewnie jego wina, on głęboko wierzy w swoją sprawę, a z takimi ludźmi lepiej nie chodzić do łóżka. Ale w większości to moje dzieło.

– Zrezygnowałeś z pracy?

– Wyrzucił mnie, ale chyba sam też bym zrezygnował.

– Czyli – powiedziała Naomi. – Pozbawiłeś nas płatnej pracy i patrona. Chyba powinno mi pochlebiać, że w tej sytuacji próbujesz pogodzić się ze mną.

– Ty – oświadczył Holden – jesteś jedynym, co naprawdę chciałbym naprawić.

– Wiesz, co teraz będzie, prawda?

– Wrócisz na statek?

Naomi odbita komentarz uśmiechem.

– Teraz będziemy sami płacić za naprawy. Jeśli wystrzelimy torpedę, będziemy musieli znaleźć kogoś, kto sprzeda nam nową. Będziemy płacić za wodę, powietrze, opłaty dokowe, jedzenie i lekarstwa dla naszego bardzo kosztownego, automatycznego szpitala okrętowego. Masz na to jakiś plan?

– Nie! – rzucił Holden. – Ale muszę przyznać, że z jakiegoś powodu świetnie się z tym czuję.

– A kiedy skończy się euforia?

– Zrobię plan.

Jej uśmiech zrobił się zamyślony i pociągnęła za kosmyk włosów.

– Nie jestem jeszcze gotowa wrócić na statek – powiedziała i sięgnęła przez stół, ujmując jego dłoń. – Ale

do czasu, kiedy skończą naprawiać *Rosa*, będą potrzebowała swojej kabiny.

– Natychmiast zabiorę stamtąd resztę swoich rzeczy.

– Jim – powiedziała i ścisnęła jego dłoń, a potem puściła.

– Kocham cię i jeszcze nie jest z nami dobrze. Ale to dobry początek.

I owszem, pomyślał Holden, naprawdę tak jest.

* * *

Obudził się w swojej starej kabinie na *Rosynancie* i czuł się lepiej niż zdarzało mu się to od miesięcy. Wstał z koi i ruszył nago przez pusty statek do łazienki. Stał przez godzinę pod prysznicem, oblewając się wodą, za którą musiał teraz płacić, ogrzewaną prądem, za który dok wystawi mu rachunek od zużytych kilowatogodzin. Wrócił na койę ze schnącą skórą, różową od prawie wrzącej wody.

Zrobił sobie i zjadł duże śniadanie, popijając je pięcioma kubkami kawy i nadrabiając lekturę raportów technicznych z napraw *Rosa*, aż nabrał przekonania, że rozumie wszystko, co zostało zrobione. Holden przełączył się na lekturę napisanego przez satyryka felietonu dotyczącego stanu relacji między Marsem a Ziemią, gdy jego terminal zabrzęczał. Odebrał połączenie od Amosa.

– Cześć, kapitanie – rzucił mechanik, a jego twarz wypełniła mały ekran. – Schodzisz dzisiaj na stację czy mamy przyjść spotkać się z tobą na *Rosie*?

– Spotkajmy się tutaj – odpowiedział Holden. – Sam z zespołem będą dzisiaj pracować, a chciałbym mieć oko na postępy.

– To do zobaczenia za kilka minut – rzucił Amos i się

rozłączył.

Holden spróbował doczytać, felieton, ale nie potrafił się skupić i kilka razy musiał przeczytać ten sam akapit. W końcu się poddał i przez chwilę sprzątał w kambuzie, potem ustawił ekspres na świeży dzbanek dla Amosa i ekipy.

Urządzenie bulgotało przyjemnie do siebie jak zadowolony niemowlak, gdy otworzył się właz pokładowy i po drabinie załogowej wspięli się Amos z Praksem.

– Kapitanie – rzucił Amos, głośno opadając na krzesło. Praks wszedł za nim do kambuza, ale nie usiadł. Holden wyciągnął kubki i nalał do nich kawy, a potem postawił je na stole.

– Jakie wieści? – zapytał.

Amos odpowiedział, szczerząc się od ucha do ucha, i przesunął swój terminal przez stół do Holdena. Na ekranie wyświetlone były dane konta funduszu Praksa „Na ratowanie Mei”. Na koncie było ponad pół miliona dolarów ONZ.

Holden zagwizdał i opadł na krzesło.

– Wyszczierzony Jezu, Amos. Miałem nadzieję, że może... ale tego się nie spodziewałem.

– Właśnie, a rano było niecałe trzysta tysięcy. Wzrosło o dwieście tysięcy w ciągu ostatnich trzech godzin. Wygląda na to, że każdy, kto śledzi w wiadomościach sytuację na Ganimesie, uczynił zmalej Mei wizerunek tej tragedii.

– Czy to wystarczy? – wtrącił się Praks z niepokojem w głosie.

– O tak – zapewnił Holden ze śmiechem. – To dużo więcej niż trzeba. To zdecydowanie pokryje naszą misję ratunkową.

– Mamy też trop – dodał Amos i urwał dramatycznie, popijając kawę.

– W sprawie Mei?

– Tak – potwierdził Amos, dodając cukru do kubka. – Praks, prześlij mu tę wiadomość.

Holden oglądał nagranie trzy razy, za każdym razem uśmiechając się coraz szerzej.

– To nagranie z kamery monitoringu w pańskiej prezentacji. Sądzę, że znam tego człowieka – powiedział starszy dżentelmen na ekranie. – Ale nie nazywa się Strickland. Kiedy pracowałem z nim na uniwersytecie górniczo– technicznym Ceres, nazywał się Merrian. Carlos Merrian.

– To – oświadczył Holden po ostatnim odtworzeniu – jest coś, co mój stary kumpel detektyw Miller nazwałby *tropem*.

– Co teraz, szefie? – zapytał Amos.

– Chyba muszę zadzwonić.

– W porządku. Zejdziemy ci z głowy z doktorkiem i będziemy patrzeć, jak przybywa pieniądze.

Wyszli razem, a Holden poczekał, aż zamknął się za nimi pokładowy właz, po czym wysłał prośbę o połączenie z uniwersytetem górniczo– technicznym Ceres. Przy bieżących położeniach względnych asteroidów opóźnienie komunikacji wynosiło około piętnastu minut, więc usiadł wygodnie i zaczął grać na terminalu w prostą układankę, przy której mógł dalej myśleć i planować. Wiedza o tym, kim był Strickland, zanim przybrał takie nazwisko, mogła pozwolić im prześledzić jego karierę. Gdzieś po drodze facet przestał być Carlosem pracującym na uczelni technicznej i stał się niejakim Stricklandem porywającym

małe dzieci. Poznanie powodu mogło być dobrym punktem wyjścia do odkrycia, gdzie może być teraz.

Odpowiedź otrzymał prawie czterdzieści minut po wysłaniu prośby. Był lekko zaskoczony, widząc na ekranie starszego mężczyznę z wiadomości wideo. Nie spodziewał się go odszukać przy pierwszej próbie.

– Witam – powiedział mężczyzna. – Jestem doktor Moynahan. Spodziewałem się wiadomości od pana. Zakładam, że chce pan zdobyć więcej informacji na temat doktora Merriana. Żeby nie rozwodzić się nadmiernie, pracowaliśmy razem w laboratorium biologicznym tego uniwersytetu. On zajmował się systemami ograniczającymi rozwój układów biologicznych i nigdy nie był dobry w rozgrywkach uniwersyteckich. Pracując tu, nie zjednał sobie żadnych sojuszników, kiedy więc wkroczył w etyczną szarą strefę, z radością został zwolniony. Nie znam szczegółów tej sprawy, nie byłem szefem jego wydziału. Proszę dać znać, jeśli potrzeba panu czegoś więcej.

Holden odtworzył wiadomość dwa razy, robiąc notatki i przeklinając piętnaście minut opóźnienia. Kiedy był gotów, wysłał odpowiedź.

– Bardzo dziękuję za pomoc, doktorze Moynahan. Bardzo ją doceniamy. Czy nie wie pan może, co stało się z nim po zwolnieniu z pracy na uniwersytecie? Czy zatrudnił się na innej uczelni, przyjął pracę w korporacji? Cokolwiek?

Wcisnął przycisk wysłania i znowu czekał. Próbował się zająć grą, ale go zirytowała i wyłączył ją. Zamiast tego otworzył publiczny kanał rozrywkowy Tycho i oglądał kreskówkę dla dzieci, dość szaloną i głośną, by go

rozproszyć.

Kiedy terminal zabrzączał przychodzącą wiadomością, Holden prawie zrzucił go ze stołu, sięgając gwałtownie do przycisku otwierającego nagranie.

– Właściwie – powiedział doktor Moynahan, drapiąc się chwilę po siwych zaczątkach zarostu – nie został postawiony przed komisję bioetyczną. Dzień wcześniej złożył wypowiedzenie. Narobił sporo szumu, idąc przez laboratorium i wykrzykując, że nie będziemy mogli go już popychać. Że ma stanowisko w ważnej korporacji ze wszystkimi funduszami i zasobami, jakich potrzebuje. Nazwał nas zacofanymi urzędasami tonącymi w bagnie drobnych ograniczeń etycznych. Niestety, nie pamiętam nazwy firmy, dla której miał pracować.

Holden wcisnął zatrzymanie i poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa. *Tonącymi w bagnie drobnych ograniczeń etycznych.* Nie potrzebował Moynahana, żeby wiedzieć, jaka firma zatrudniłaby kogoś takiego. Niemal dokładnie takie same słowa usłyszał z ust Antona Dresdena, architekta projektu Eros, tego, który zabił półtora miliona ludzi w ramach wielkiego eksperymentu biologicznego.

Carlos Merrian poszedł pracować dla Protogenu i zniknął. Wrócił jako Strickland, porywacz małych dzieci.

A zdaniem Holdena, również ich morderca.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Avasarala

Na ekranie młody człowiek roześmiał się, tak jak zrobił to dwadzieścia pięć sekund wcześniej na Ziemi. Był to poziom opóźnienia, którego Avasarala najbardziej nie znosiła. Zbyt duże, by prowadzić coś choć trochę przypominającego normalną rozmowę, ale nie dostatecznie duże, by ją uniemożliwić. Wszystko, co robiła, trwało zbyt długo, każde odczytanie reakcji i niuansów było zepsute przez próbę odczytania, co dokładnie w jej wcześniejszych słowach i wyrazie twarzy je wywołało.

– Tylko pani – powiedział – może zmienić kolejną wojnę Ziemi z Marsem w prywatną wycieczkę, a potem jeszcze się na nią denerwować. Wszyscy w moim biurze oddaliby po lewym jaju za możliwość polecenia z panią.

– Następnym razem zbiorę kolekcję, ale...

– Jeśli zaś chodzi o dokładne rozliczenie sprzętu wojskowego – powiedział dwadzieścia pięć sekund temu – mamy raporty, ale nie są tak dokładne, jakbym chciał. Z pani powodu kazałem kilku stażystom stworzyć dokładniejsze parametry wyszukiwania. Odniosłem wrażenie, że budżet naukowy to zaledwie około jednej dziesiątej z pieniędzy, które faktycznie trafiają na badania. Z pani upoważnieniem mam prawo się temu

przyjrzeć, ale goście z floty są niezli w maskowaniu informacji. Chyba uzna pani... – Wyraz jego twarzy uległ zmianie. – Kolekcję?

– Nieważne. Co mówiłeś?

Odczekała pięćdziesiąt sekund, przeklinając każdą z osobna.

– Nie wiem, czy będziemy wstanie uzyskać jednoznaczną odpowiedź – powiedział młody człowiek. – Może się nam poszczęści, ale jeśli to coś, co chcą ukryć, to pewnie tego nie znajdziemy.

Zwłaszcza jeśli wiedzą, że tego szukacie oraz czego kazałam wam szukać, pomyślała Avasarala. Nawet jeśli przepływ pieniędzy między Mao–Kwikowski, Nguyenem i Errinwrightem był widoczny w finansach, kiedy sojusznicy Avasarali zaczną szukać, wszystko będzie już ukryte. Mogła tylko napierać na maksymalnej liczbie frontów w nadziei, że coś spieprzą. Kolejne trzy dni żądań informacji i zapytań, a będzie mogła poprosić o analizę ruchu. Nie potrafiła stwierdzić dokładnie, ile informacji ukrywają, ale jeśli uda jej się odkryć, jakie typy i kategorie danych przed nią chowają, to przynajmniej coś jej to powie.

Coś, choć niewiele.

– Zrób, co możesz – odpowiedziała. – Będę tu sobie odpoczywać w luksusie pośrodku niczego. Zgłoś się z tym do mnie.

Nie czekała pięćdziesiąt sekund na rundę uprzejmych pożegnań. Życie było za krótkie na takie bzdety.

Jej prywatna kwatera na *Guanshiyin* była cudowna. Łóżko i kanapa pasowały do grubego dywanu w odcieniach złota i zieleni, które powinny się gryźć, a

jednak ze sobą harmonizowały. Światło było doskonałym przybliżeniem słonecznego blasku późnego poranka, a wymienniki powietrza emitowały delikatny aromat przekopanej ziemi i świeżo ściętej trawy. Tylko niskie ciśnienie psuło złudzenie odpoczynku w jakimś prywatnym klubie gdzieś w zielonym pasie południowej Azji. Niskie ciśnienie i to cholerne opóźnienie.

Nie znosiła niskiego ciśnienia. Nawet jeśli przyśpieszenie było idealnie równe i jacht nie musiał skręcać, żeby uniknąć jakichś śmieci, jej trzewia były przyzwyczajone do działającego na nie pełnego g. Od kiedy weszła na pokład, miała nieustanne problemy z trawieniem i ciągłe duszności.

Zadzwoił jej system. Nowy raport z Wenus. Otworzyła go. Prowadzono wstępną analizę wraku *Arboghasta*. Stwierdzono pewien poziom jonizacji metalu, rzekomo spójny z czyjąś teorią dotyczącą sposobu funkcjonowania protomolekuły. Był to pierwszy przypadek potwierdzenia przewidywań, pierwszy drobny przyczółek na drodze do zrozumienia tego, co działo się na Wenus. Podano dokładne czasy trzech wzrostów emisji energii. Załączono analizę spektralną górnych warstw atmosfery Wenus, wykazującą wyższy od spodziewanego poziom azotu. Avasarala poczuła, że łzawią jej oczy. Tak naprawdę jej to nie obchodziło, choć powinno. To wszystko było ważne. Prawdopodobnie ważniejsze od wszystkich innych wydarzeń. Jednak podobnie jak Errinwright, Nguyen i wszyscy inni ugrzęzła w mniejszych, ludzkich zmaganiach dotyczących wojny, wpływów i plemiennych podziałów między Ziemią a Marsem. Oraz planetami zewnętrznymi, gdyby traktować je poważnie.

Szlag, na tym etapie bardziej martwiła się o Bobbie i Cotyara niż o Wenus. Cotyar był dobrym człowiekiem, a jego dezaprobata sprawiła, że czuła się bezbronna i zła. Z kolei Bobbie wyglądała, jakby miała się załamać. W sumie – czemu nie? Oglądała, jak wokół niej giną przyjaciele, została wyrwana ze swojego środowiska, a teraz pracowała dla odwiecznego wroga. Marinę była twarda na bardzo wiele sposobów, a posiadanie w zespole kogoś bez żadnych powiązań lub zobowiązań wobec kogokolwiek na Ziemi było bardzo cenne. Zwłaszcza po pieprzonym Sorenie.

Odchyliła się na oparcie fotela zirytowana tym, jak inne było to uczucie przy tak zmniejszonej wadze. Soren wciąż ją bolał. Nie sama zdrada, była elementem ryzyka zawodowego i gdyby obrażała się na coś takiego, powinna zrezygnować z pracy. Prawdziwym problemem było to, że jej nie zauważyła. Pozwoliła sobie na ślepy punkt, a Errinwright wiedział, jak go wykorzystać. Jak ją wyprowadzić w pole. Nienawidziła przegrywać. Co więcej, bolało ją, że jej porażka oznacza więcej wojny, przemocy, śmierci dzieci.

Taka właśnie była cena porażki. Więcej martwych dzieci. A więc nie mogła już przegrać.

Praktycznie zobaczyła Arjuna z łagodnym smutkiem w oczach. *Nie jesteś za to wszystko odpowiedzialna*, powiedziałby.

– Wszyscy są za to odpowiedzialni, do cholery – powiedziała na głos. – Ale tylko ja traktuję to poważnie.

Uśmiechnęła się. Niech monitory i szpiedzy Mao spróbują się w tym doszukać sensu. Wyobraziła sobie, jak przeszukują jej pokój w poszukiwaniu jakiegoś nadajnika,

próbując odkryć, z kim rozmawia. A może po prostu uznają, że staruszce odbija.

Niech się zastanawiają.

Zamknęła raport w sprawie Wenus. Kiedy rozmyślała, przyszła kolejna wiadomość, w nagłówku widniał temat, na którego aktualizację czekała. Kiedy przeczytała podsumowanie wywiadu, uniosła brwi ze zdziwienia.

* * *

– Jestem James Holden i chcę was poprosić o pomoc...

Avasarala przyglądała się Bobbie patrzącej na ekran. Marinę wyglądała równocześnie na wyczerpaną i przepelnioną energią. Oczy miała nie tyle przekrwione, co bardzo suche. Jak łożyska bez smarowania. Gdyby potrzebowała przykładu do zademonstrowania różnicy między osobą śpiącą a zmęczoną, marinę doskonale by się do tego nadawała.

– Czyli wydostali się – skomentowała Bobbie.

– On, jego botanik i cała cholerna załoga – potwierdziła Avasarala. – Teraz mamy jeszcze opowieść o tym, co takiego robili na Ganimesesie, że twoi chłopcy podniecili się na tyle, żeby zacząć do siebie strzelać.

Bobbie na nią spojrzała.

– Myśli pani, że to prawda?

– Czym jest prawda? – zapytała Avasarala. – Myślę, że Holden ma długą historię paplania do całego kosmosu wszystkiego, co wie albo uważa, że wie. Prawda czy nie, on w to wierzy.

– Ata część o protomolekule? Przecież on właśnie powiedział wszystkim, że na Ganimesesie uwolniono protomolekulę.

– Owszem.

– Ludzie muszą jakoś na to zareagować, prawda?

Avasarala przełączyła na podsumowanie wywiadu, potem na kanały z zamieszkami na Ganimesdesie. Chudzi, wystraszeni ludzie, wyczerpani tragedią i wojną, napędzani paniką. Widać było, że postawione naprzeciw nich siły bezpieczeństwa próbowały być łagodne. To nie byli bandyci korzystający z okazji do użycia siły, tylko sanitariusze próbujący powstrzymać osłabionych i umierających przed zrobieniem sobie krzywdy, balansowali przy tym pomiędzy konieczną przemocą a brakiem skuteczności.

– Jak na razie pięćdziesiąt ofiar – skomentowała Avasarala. – Przynajmniej według wstępnych szacunków. To miejsce jest teraz tak popieprzone, że mogli i bez tego wszystkiego umrzeć z powodu chorób i niedożywienia, jednak umarli w ten sposób.

– Chodziłam do tej restauracji – powiedziała Bobbie.

Avasarala zmarszczyła brwi, próbując doszukać się w tych słowach jakiejś metafory. Bobbie pokazywała na ekran.

– Ta, przed którą właśnie walczą. Jadłam tam zaraz po przylocie. Mieli dobre kiełbaski.

– Przykro mi – rzuciła Avasarala, ale marinę tylko pokręciła głową.

– Czyli wyszło szydło z worka.

– Może – mruknęła Avasarala. – A może nie.

– James Holden powiedział właśnie całemu układowi, że na Ganimesdesie jest protomolekuła. W którym wszechświecie jest to *może nie*?

Avasarala wywołała główny kanał wiadomości,

sprawdziła znaczniki i wyświetliła program z ekspertami, którzy ją interesowali. Dane buforowały się przez kilka sekund, a ona uniosła palec, prosząc o cierpliwość.

– ...całkowicie nieodpowiedzialne – powiedział ponury mężczyzna w fartuchu laboratoryjnym i czapce kufi. Pogarda w jego głosie mogła zdzierać farbę ze ścian.

Obok niego pojawiła się dziennikarka. Miała może dwadzieścia lat, krótko ścięte włosy i prosty, ciemny kostium mówiący, że jest poważną profesjonalistką.

– Czyli twierdzi pan, że protomolekuła *nie ma* w tym udziału?

– Nie ma. Obrazy przesłane przez Jamesa Holdena i jego grupkę nie mają nic wspólnego z protomolekułą. Taka sieć tworzy się przy wycieku środka wiążącego. Takie rzeczy dzieją się cały czas.

– Czyli nie ma żadnego powodu do paniki?

– Alicjo. – Ekspert skierował swoją pogardę na prowadzącą rozmowę. – W ciągu kilku dni od zarażenia Eros zmienił się w żywy koszmar, a od czasu rozpoczęcia działań wojennych na Ganimesie nie było żadnego znaku infekcji. Ani jednego przypadku.

– Ale Holden ma ze sobą naukowca. Botanika, doktora Praksidike'a Menga, którego córka...

– Nie znam tego Menga, ale grzebanie w soi nie robi z niego eksperta od protomolekuły w ani trochę większym stopniu niż neurochirurga. Oczywiście, jest mi bardzo przykro z powodu jego zaginionej córki, ale nie. Gdyby na Ganimesie była protomolekuła, wiedzielibyśmy o tym już dawno temu. Ta panika jest *całkowicie* bezpodstawna.

– On może tak całymi godzinami – skomentowała Avasarala, wyłączając ekran. – I mamy tuziny jemu

podobnych. Mars będzie robił dokładnie to samo, wysyłając wiadomości z przeczeniami.

– Imponujące – rzuciła Bobbie, odsuwając się od biurka.

– To uspokaja ludzi, a to w tej chwili najważniejsze. Holden uważa się za bohatera, te wszystkie gadki o władzy przekazywanej w ręce ludzi, o dostępie do informacji, i tak dalej... ale tak naprawdę to cholerny idiota.

– Jest na własnym statku.

Avasarala złożyła ręce.

– Co to ma do rzeczy?

– Jest na własnym statku, a my nie.

– Więc wszyscy jesteśmy pieprzonymi idiotami – warknęła Avasarala. – Dobrze.

Bobbie wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Odwróciła się, zanim dotarła do ściany, wyraźnie była przyzwyczajona do krążenia po mniejszych pomieszczeniach.

– Co mam zrobić w tej sprawie? – zapytała Bobbie.

– Nic – odparła Avasarala. – Co, u diabła, mogłabyś zrobić? Utknęłaś tu ze mną. Ja przecież nic nie mogę, a mam przyjaciół na szczytach władzy. Ty nie masz *nic*. Chciałam po prostu porozmawiać z kimś, przy kim nie muszę czekać dwie minuty, zanim mi przerwie.

Posunęła się za daleko. Twarz Bobbie złagodniała, zrobiła się odległa i nieobecna. Zamykała się. Avasarala usiadła na brzegu łóżka.

– To nie było uczciwe – przyznała.

– Jeśli tak pani mówi.

– Tak, kurwa, mówię.

Marinę przekrzywiła głowę.

– Czy to przeprosiny?

– Najbliżej tego, co mogę ci teraz zaoferować w ramach przeprosin.

Coś przestawilo się w umyśle Avasarali. Nie dotyczyło to Wenus, Jamesa Holdena i jego apelu w sprawie *biednej, zaginionej dziewczynki*, nie dotyczyło nawet Errinwrighta. Miało to coś wspólnego z Bobbie, jej krążeniem i bezsennością. W końcu zrozumiała i zaśmiała się. Bobbie złożyła ręce na piersi, zadając pytanie bezruchem.

– To nie jest śmieszne – powiedziała Avasarala.

– Spróbujmy.

– Przypominasz mi moją córkę.

– Tak?

Wkurzyła Bobbie i teraz będzie musiała się wytłumaczyć. Wymienniki powietrza szumiały do siebie. Coś w głębi trzewi statku zajęczało, jakby byli na starożytnym żaglowcu z drewna.

– Mój syn zginął w wieku piętnastu lat – wyjaśniła Avasarala. – Wypadek na nartach. Mówiłam ci? Był na zboczu, po którym zjeżdżał wcześniej dwadzieścia albo trzydzieści razy, znał je, ale coś się stało i wjechał w drzewo. Oszacowali, że w chwili uderzenia pędził z prędkością jakichś sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Niektórzy przeżywają takie uderzenie, ale on nie.

Na chwilę znów się tam znalazła, w domu z lekarzem przekazującym jej wiadomość na ekranie. Wciąż czuła zapach kadzidła, które palił wtedy Arjun. Nadal słyszała krople deszczu, uderzające w szybę jak palce. To było jej najgorsze wspomnienie, a przy tym tak idealnie wyraźne. Odetchnęła głęboko i drżąco.

– Wciążu następnym sześciu miesięcy sześć razy prawie się rozwodziłam. Arjun był święty, ale nawet święci mają

granice. Kłóciliśmy się o wszystko i o nic. Oboje obwinialiśmy się o nieuratowanie Charanpala i mieliśmy sobie za złe, gdy to drugie próbowało przejąć część odpowiedzialności. Oczywiście, najbardziej cierpiała na tym moja córka. Którejś nocy wyszliśmy oboje z jakiejś okazji. Wróciliśmy do domu, kłócąc się. Ashanti była w kuchni i zmywała naczynia. Myła je ręcznie, szorowała szmatką i takim okropnym ściernym środkiem czyszczącym. Jej palce krwawiły, ale wyglądała, jakby tego nie zauważyła, wiesz? Próbowałam ją powstrzymać, odciągnąć ją, ale zaczęła krzyczeć i nie cichła, aż pozwoliłam jej wrócić do mycia naczyń. Byłam tak zła, że nie widziałam, że znenawidziłam moją córkę. Przez chwilę jej nienawidziłam.

– I w jaki sposób ja ją pani przypominam?

Avasarala machnęła ręką na pokój, na łóżko z pościelą z prawdziwego lnu, ozdobny papier na ścianach i aromatyzowane powietrze.

– Nie potrafisz iść na kompromis. Nie chcesz zobaczyć rzeczy takimi, jakimi mówię ci, że są, a kiedy próbuję cię zmuszać, odsuwasz się.

– Czy tego właśnie pani chce? – zapytała Bobbie. Jej głos wchodził na wyższy poziom energii. To był gniew, ale przynajmniej sprowadził ją do chwili obecnej. – Chce pani, żebym zgadzała się na wszystko, co pani powie, a jeśli nie, będzie mnie pani za to nienawidzić?

– Oczywiście, że chcę, żebyś mi wytykała wszystkie bzdury. Za to właśnie ci płacę. Nienawidzić będę cię tylko przez chwilę – powiedziała Avasarala. – Bardzo kocham moją córkę.

– Nie wątpię, proszę pani. Ale nie jestem nią.

Avasarala westchnęła.

– Nie poprosiłam cię tu i nie pokazałam tego wszystkiego, bo byłam zmęczona opóźnieniem czasowym. Martwię się. Pieprzyć, jestem *przeżrana*.

– Z jakiego powodu?

– Chcesz listę?

Bobbie uśmiechnęła się, a Avasarala poczuła, że też to robi.

– Przeraza mnie, że zostałam już wyoutowana – wyznała. – Boję się, że nie będę mogła powstrzymać jastrzębi i ich kliki przed użyciem nowych, pięknych zabawek. Oraz... boję się, że mogę się mylić. Co się stanie, Bobbie? Co się stanie, jeśli to coś na Wenus wystawi głowę i zastanie nas podzielonych i popieprzonych, i nieskutecznych tak jak teraz?

– Nie wiem.

Zadzwonił terminal Avasarali. Zerknęła na nową wiadomość. List od admirała Southera. Avasarala wysłała mu całkiem niewinny liścik na temat wspólnego lunchu po powrocie na Ziemię, a potem zakodowała go jako ściśle tajny, korzystając z prywatnego klucza. Złamanie go musiało zająć jej kontrolerom przynajmniej kilka godzin. Otworzyła wiadomość, która okazała się czystym tekstem.

Z PRZYJEMNOŚCIĄ.

ORZEŁ ŁĄDUJE O PÓŁNOCY W ZOO DLA DZIECI
NIELEGALNY W RZYMIE.

Avasarala się roześmiała. Tym razem był to śmiech czystej przyjemności. Bobbie stanęła nad jej ramieniem, a Avasarala obróciła ekran, żeby wielka marinę mogła go odczytać.

– Co to znaczy?

Avasarala gestem przyciągnęła ją do siebie tak, że jej usta prawie dotykały ucha Bobbie. Z tej odległości wielka kobieta pachniała czystym potem i środkiem zmiękcającym o zapachu ogórka, stosowanym we wszystkich pokojach gościnnych Mao.

– Nic – wyszeptała Avasarala. – Poszedł za moim przykładem, ale powyrywają sobie włosy, próbując to rozszyfrować.

Bobbie wstała. Malujący się na jej twarzy wyraz niedowierzania mówił wszystko.

– I rząd naprawdę działa w ten sposób, prawda?

– Witamy w domu wariatów – odpowiedziała Avasarala.

– Chyba pójde się upić.

– A ja wrócę do pracy.

Bobbie zatrzymała się w drzwiach. Przy ich rozmiarach nawet ona wydawała się mniejsza. Drzwi na statku kosmicznym, przy których Roberta Draper wydawała się mała. Ten jacht nie miał w sobie niczego, co nie byłoby obsceniczne.

– Co się z nią stało?

– Z kim?

– Z pani córką.

Avasarala zamknęła terminal.

– Arjun śpiewał jej, aż przestała. Trwało to jakieś trzy godziny. Siedział na blacie i przeszedł przez wszystkie piosenki i kołysanki, które śpiewaliśmy im, gdy byli mali. W końcu Ashanti pozwoliła się zaprowadzić do swojego pokoju i położyć do łóżka.

– Jego pani też nienawidziła, prawda? Za to, że potrafił pomóc, gdy pani się to nie udało.

– Szybko się uczysz, sierżancie.

Bobbie oblizała wargi.

– Chcę kogoś skrzywdzić – wyznała. – I boję się, że jeśli to nie będą oni, zrobię krzywdę sobie.

– Wszyscy rozpaczamy na swój sposób – skomentowała Avasarala. – Nigdy nie zabijesz dość ludzi, żeby powstrzymać swój pluton od śmierci. Tak jak ja nie mogę uratować dość ludzi, by jednym z nich był Charanpal.

Bobbie wazyła jej słowa przez dłuższą chwilę. Avasarala prawie słyszała zgrzyty przekładni w głowie marine, obracających te idee na różne strony. Soren był idiotą, niedoceniając tej kobiety, ale z drugiej strony był idiotą na wiele sposobów. Kiedy Bobbie w końcu się odezwała, mówiła lekkim, konwersacyjnym tonem, jakby jej słowa nie miały wielkiego znaczenia.

– Z drugiej strony, nic nie szkodzi spróbować.

– To właśnie robimy – zgodziła się Avasarala.

Marinę uprzejmie kiwnęła głową. Przez chwilę Avasarala miała wrażenie, że zasalutuje, ale zamiast tego ruszyła w stronę barku w dużym salonie apartamentu. Umieszczono tam fontannę ze strumyczkami wody, ściekającymi po udających brąz rzeźbach koni i nagich kobiet. Jeśli coś takiego nie wzbudzało w człowieku chęci napicia się, to znaczy, że był abstynentem.

Avasarala znowu włączyła odtwarzanie nagrania.

– Tu James Holden...

Wyłączyła.

– Przynajmniej zgolileś tę cholerną brodę – skomentowała w powietrze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Praks

Praks pamiętał swoje pierwsze objawienie. A przynajmniej to, które pamiętał jako pierwsze. Przy braku innych dowodów uznał, że nie ma co kombinować. Był w szkole, miał siedemnaście lat i uczestniczył właśnie w zajęciach laboratoryjnych z inżynierii genetycznej. Siedząc pośród stalowych stołów i mikrowirówek, usiłował zrozumieć, dlaczego jego wyniki są tak bardzo nieprawidłowe. Sprawdził swoje obliczenia, przeczytał wszystkie notatki laboratoryjne. Błąd był poważniejszy niż można go było wyjaśnić niedbałym przygotowaniem, a przecież wcale nie pracował niedbale.

A potem zauważył nagle, że jeden z odczynników był chiralny, i zrozumiał, co się stało. Nie zrobił niczego złego, po prostu przyjął, że odczynnik pochodził z naturalnego źródła, a nie został zsyntetyzowany od zera. Zamiast zawierać jednorodne cząsteczki lewoskrętne, stanowił mieszaninę form chiralnych, z których połowa była nieaktywna. Kiedy to zrozumiał, wyszczerzył się od ucha do ucha.

Owszem, wynik był porażką, ale zrozumiał jej źródło, a to stało się zwycięstwem. Jedyne, czego żałował, to że dostrzeżenie tej oczywistości zajęło mu aż tyle czasu.

Prawie nie spał przez cztery dni, które minęły od emisji

komunikatu. Zamiast tego czytał wszystkie komentarze i wiadomości nadpływające z darowiznami i na niektóre odpowiadał, zadając pytania nieznanym sobie ludziom z całego Układu Słonecznego. Napływająca do niego życzliwość i hojność były oszałamiające. Przez dwa dni nie spał w ogóle, napędzany euforią uczucia skuteczności. Kiedy w końcu zasnął, śnił o Mei.

A gdy przyszła odpowiedź, żałował tylko, że nie znalazł jej wcześniej.

– Biorąc pod uwagę, ile mieli czasu, mogli ją zabrać gdziekolwiek, doktoru – powiedział Amos. – To znaczy, nie wstrzymuj oddechu ani nic.

– Mogli – zgodził się Praks. – Mogli zabrać ją gdziekolwiek, gdzie będzie zapas jej leków. Ale nie to jest czynnikiem ograniczającym. Prawdziwe pytanie, to skąd pochodzą.

Praks zwołał zebranie, nie mając dobrego pomysłu, gdzie je przeprowadzić. Załoga *Rosa* była mała, ale mieszkanie Amosa jeszcze mniejsze. Rozważył wykorzystanie kambuza statku, ale wciąż kręcili się tam technicy kończący naprawy, a Praks chciał prywatności. W końcu sprawdził wciąż nadchodzący strumień darowizn z emisji Holdena i pobrał dość, by wynająć pokój w jednym z klubów stacji.

Teraz siedzieli w wynajętym pomieszczeniu. Na zewnątrz, na zajmującym całą ścianę i udającym okno ekranie, wielkie manipulatory przesuwwały się nieznacznie, odpalały się silniki manewrowe i błyskały różne światła we wzorach złożonych jak język. Kolejna sprawa, o której Praks nigdy nie myślał przed przybyciem tutaj: manipulatory stacji musiały odpalać silniki

manewrowe, żeby ich ruchy nie zmieniły położenia stacji, na której były osadzone. Wszystko i wszędzie było tańcem drobnych ruchów i wywoływanych przez nie fal.

Wewnątrz salki między stołami i fotelami z żelcem przeciwprzeciążeniowym rozbrzmiewała cicha, liryczna muzyka z głębokim, łagodnym głosem piosenkarki.

– Skąd? – zapytał Aleks. – Myślałem, że z Ganimedesa.

– Laboratorium na Ganimedesie nie miało właściwego wyposażenia, by zajmować się poważnymi badaniami – odparł Praks. – Zresztą urządzili wszystko tak, żeby Ganimedes zmienił się w strefę wojny, co nie byłoby dobrym pomysłem, gdyby właśnie tam prowadzili zasadnicze prace. To było laboratorium połowę.

– Unikam załatwiania się tam, gdzie mieszkam – skomentował Amos.

– Mieszkasz na statku kosmicznym – rzucił Holden.

– Ale nie sram w kambuzie!

– Słuszna uwaga.

– W każdym razie – kontynuował Praks – możemy bezpiecznie założyć, że główne badania prowadzą w lepiej chronionej bazie. A ona musi znajdować się gdzieś w układzie Jowisza. W pobliżu.

– Znowu się zgubiłem – przyznał Holden. – Dlaczego musi być blisko?

– Czas transportu. Mei może lecieć gdziekolwiek, jeśli będzie miała solidny zapas leków, ale ona jest bezpieczniejsza od tych... rzeczy.

Holden podniósł rękę jak uczeń zadający pytanie.

– Dobra, może źle słyszałem, ale czy ty właśnie powiedziałaś, że to coś, co siłą wdarło się na mój statek, rzuciło we mnie półtonową paletą i prawie wydrapało

sobie drogę do rdzenia reaktora, jest delikatniejsze od czteroletniej dziewczynki bez układu odpornościowego?

Praks przytaknęła. Przeszła przez niego fala przerażenia i żalu. Nie miała już czterech lat, miesiąc temu miała urodziny, a jego przy niej nie było. Teraz miała pięć lat. Jednak przerażenie i żal były już jego starymi towarzyszami. Odsunął od siebie tę myśl.

– Powiem to jaśniej – stwierdził. – Ciało Mei nie walczy ze swoim stanem. Jeśli się nad tym zastanowić, właśnie na tym polega jej choroba. W zdrowych ciałach dzieje się mnóstwo procesów, które nie zachodzą u niej. A teraz przyjrzyjmy się jednej z tych rzeczy, jednemu ze stworów. Takiemu, jak ten na statku.

– Ten drań był dość aktywny – rzucił Amos.

– Nie – zaprzeczy! Praks. – To znaczy tak, ale nie. Chodzi mi o aktywność na poziomie biochemicznym. Jeśli ten Strickland, Merrian, czy jak mu tam, wykorzystuje protomolekułę do przekształcenia ludzkiego ciała, to biorą jeden złożony system i nakładają na niego drugi. Wiemy, że to niestabilne.

– Dobrze – zgodziła się Naomi. Siedziała obok Amosa, po drugiej stronie stołu niż Holden. – *Skąd* to wiemy?

Praks zmarszczył brwi. Kiedy szykował się do tej prezentacji, nie spodziewał się tylu pytań. Rzeczy, które wydawały mu się oczywiste od samego początku, nie były takie dla innych. Dlatego właśnie nie zdecydował się na uczenie. Patrząc na ich twarze, zobaczył tylko puste niezrozumienie.

– No dobrze – powiedział. – Zacznijmy od góry. Na Ganimesie było coś, co rozpoczęło wojnę. Było też tajne laboratorium obsadzone ludźmi, którzy przynajmniej

wiedzieli o ataku, zanim do niego doszło.

– Zgadza się – potwierdził Aleks.

– Dobrze – kontynuował Praks. – W laboratorium widzieliśmy ślady protomolekuły, martwego chłopca i grupę ludzi, którzy szykowali się do wylotu. A kiedy tam dotarliśmy, musieliśmy walczyć tylko na początku. Później coś innego szło przed nami i wszystkich zabijało.

– Hej! – rzucił Amos. – Myślisz, że to ten sam skurwieli, który dostał się na *Rosa*?

Praks nie wypowiedział cisnącego mu się na usta słowa *oczywiście*.

– Prawdopodobnie – powiedział zamiast tego. – Wydaje się też prawdopodobne, że pierwotny atak przeprowadziła jeszcze jedna taka istota.

– Czyli mamy dwie na wolności? – zapytała Naomi, choć widział, że dostrzegła wiążący się z tym problem.

– Nie, bo wiedzieli, że coś takiego się stanie. Drugi uwolnił się, gdy Amos odrzucił do nich ten granat, ten pierwszy został uwolniony celowo. Ale to nie ma znaczenia. Liczy się to, że używają protomolekuły do przekształcania ludzkich ciał i nie są w stanie idealnie tego kontrolować. Nałożone przez nich programowanie zawodzi.

Praks przytaknął, jakby robiąc to, mógł ich zmusić do nadążenia za jego rozumowaniem. Holden pokręcił głową, znieruchomiał, a potem przytaknął.

– Bomba – powiedział.

– Bomba – zgodził się Praks. – Nawet nie wiedząc, że to drugie się uwolni, wyposażyli je w potężny ładunek wybuchowy.

– A! – wykrzyknął Aleks. – Rozumiem! Myślisz, że

wiedzieli, że w końcu urwie im się ze smyczy, więc wsadzili mu bombę właśnie na taki wypadek.

W głębi kosmosu na kadłubie budowanego statku aktywowała się bateria spawalnicza, a jej ostry blask rzucił nagle światło na twarz pilota.

– Tak – potwierdził Praks. – Ale mogła to być też zapasowa broń lub ładunek, który to coś miało dostarczyć. Osobiście uważam, że to zabezpieczenie. To najbardziej prawdopodobne, choć istnieją inne możliwości.

– Dobrze, ale zostawiło to za sobą – zauważył Aleks.

– Mając dość czasu, to coś *odrzucało* bombę – wyjaśnił Praks. – Rozumiecie? Postanowiło zmienić swoją konfigurację, żeby pozbyć się ładunku. Nie umieściło go tam, żeby zniszczyć *Rosa*, choć mogło. Nie dostarczyło go do zadanego celu. Po prostu zdecydowało się go wywalić.

– A wiedziało, że może to zrobić...

– Jest dostatecznie inteligentne, żeby rozpoznać zagrożenie – powiedział Praks. – Jeszcze nie znam mechanizmu, to może być proces poznawczy lub sieciowy albo jakiś rodzaj zmodyfikowanej odpowiedzi odpornościowej.

– Dobra, Praks. Czyli jeśli protomolekuła może w końcu pokonać nałożone na nią ograniczenia i uwolnić się, co nam to mówi? – zapytała Naomi.

O to chodziło, pomyślał Praks i zajął się informacjami, które od początku zamierzał przekazać.

– Oznacza to, że gdziekolwiek jest to laboratorium – miejsce, w którym nie uwolnili tych stworów – musi być dostatecznie blisko Ganimedesa, żeby dotrzeć tam, zanim stwór uwolni się ze smyczy. Nie wiem, ile potrzeba na to czasu, ale założę się, że oni też nie wiedzą. Więc im bliżej,

tym lepiej.

– Księżyc Jowisza z tajną bazą – powiedział Holden.

– Nie da się ukryć bazy w układzie Jowisza – skomentował Aleks. – Za dużo tam ruchu. Ktoś musiałby coś zobaczyć. Cholera, tam właśnie prowadzono większość badań astronomicznych do czasu dotarcia do Urana. Jeśli postawisz tam coś blisko, to obserwatoria się wkurzą, bo będziesz im paskudził zdjęcia, nie?

Naomi stuknęła palcami w blat stołu, wydając przy tym dźwięki podobne do kropli kondensacji skapujących do metalowych przewodów.

– Oczywiście wyborem jest Europa – skomentowała.

– To Io – odpowiedział Praks z niecierpliwością w głosie.

– Użyłem części pieniędzy do zdobycia deklaracji celnych na aryloaminy i nitroareny, które stosuje się w badaniach nad mutacjami. – Urwał. – Mogłem to zrobić, prawda? Wydać pieniądze?

– Po to właśnie są – zapewnił go Holden.

– No dobrze, więc środki mutagenne, które zaczynają działać dopiero po aktywacji, są bardzo ściśle kontrolowane, bo można ich używać w pracach nad bronią biologiczną, ale są też potrzebne, jeśli chce się pracować nad tego typu systemami kaskad biologicznych i układów ograniczających. Większość dostaw trafiała na Ganimedesa, ale był też stały strumień na Europę. Tylko że kiedy mu się przyjrzałem, nie mogłem znaleźć odbiorcy końcowego. A to dlatego, że jakieś dwie godziny po wylądowaniu wysyłali je dalej z Europy.

– W stronę Io – rzucił Elolden.

– Nie podano lokalizacji, ale ich pojemniki transportowe muszą być zgodne z ziemskimi i marsjańskimi przepisami

dotyczącymi bezpieczeństwa. Są bardzo drogie. A pojemniki transportowe z dostaw na Europę były zwracane do producenta za kredyt na transportowcach lecących na Io.

Praks odetchnął głęboko. Uczucie przypominało wyrywanie zęba, ale miał wrażenie, że przekazał wszystkie punkty, do których udało mu się zebrać dowody, nawet jeśli nie całkowicie jednoznaczne, to bardzo znaczące.

– Dobra – powiedział Amos, maksymalnie rozciągając słowo. – Czyli bandyci prawdopodobnie siedzą na Io?

– Tak – potwierdził Praks.

– Cholera, doktorku. Mogłeś to po prostu powiedzieć.

* * *

Ciążenie ciągu było równe pełnemu ziemskiemu, ale bez subtelnego efektu Coriolisa jak na stacji Tycho. Praks siedział na swojej koi pochylony nad terminalem. Podczas lotu na Tycho były takie chwile, gdy jego uwagę odwracały tylko zagłodzenie i zranione serce.

Fizycznie nic się nie zmieniło, ściany wciąż były bliskie i ciasne. Wymiennik powietrza wciąż szumiał i klikał. Tylko że teraz Praks nie czuł się już izolowany, miał wrażenie, że jest w samym środku olbrzymiej sieci ludzi pragnących tego samego, co on.

PANIE MENG, WIDZIAŁEM RAPORT NA PANA TEMAT I PRZESYŁAM PANU WYRAZY WSPÓŁCZUCIA I MODLITWĘ. PRZYKRO MI, ŻE NIE MOGĘ WYSŁAĆ PIENIĘDZY, BO JESTEM NA PODSTAWOWYM UTRZYMANIU, ALE DOŁĄCZYŁEM RAPORT DO GAZETKI MOJEGO KOŚCIOŁA. MAM NADZIEJĘ, ŻE ZNAJDZIE PAN SWOJĄ CÓRKĘ CAŁĄ I

ZDROWĄ.

Praks przygotował szablon listu do odpowiadania na wszystkie życzenia i zastanawiał się nad stworzeniem filtra do automatycznego wykrywania takich wiadomości i wysyłania przygotowanej odpowiedzi. Powstrzymywała go niepewność dotycząca definiowania warunków, a nie chciał, żeby ktokolwiek odniósł wrażenie, że jego emocje uznawane są za oczywiste. W końcu nie miał żadnych obowiązków na *Rosynancie*.

PISZE, PONIEWAŻ MOGĘ MIEĆ INFORMACJE, KTÓRE POMOGĄ PANU W ODZYSKANIU CÓRKI. OD BARDZO WCZESNEJ MŁODOŚCI MIAŁAM W SNACH BARDZO POTĘŻNE WIZJE PRZYSZŁOŚCI, A TRZY DNI TEMU ZOBACZYŁAM ARTYKUŁ JAMESA HOLDENA O PANU I CÓRCIE, A POTEM ZOBACZYŁAM JĄ WE ŚNIE. BYŁA NA LUNIE, W BARDZO MAŁYM POKOJU BEZ ŚWIATEŁ I BYŁA BARDZO PRZERAŻONA. PRÓBOWAŁAM JĄ USPOKOIĆ, ALE TERAZ JESTEM PEWNA, ŻE ODNAJDZIE JĄ PAN NA LUNIE LUB NA JEJ ORBICIE.

Oczywiście, Praks nie odpowiadał na *wszystko*.

Lot na Io nie będzie dłuższy niż w stronę Tycho. A właściwie będzie krótszy, bo tym razem raczej nie będą musieli zmagać się z chaosem kierowanego przez protomolekułę rozbitka podkładającego bombę w ładowni. Gdy Praks zbyt długo się nad tym zastanawiał, zaczynały go swędzieć dłonie. Wiedział, gdzie ona jest... a przynajmniej, gdzie była. Każda godzina przybliżała go do niej, a każda wiadomość docierająca na jego konto dawała mu trochę więcej siły. Potrzebował jeszcze kogoś, kto mógł wiedzieć, gdzie przebywa Carlos Merrian i co tam robi.

Było parę osób, z którymi nawiązywał rozmowy, głównie wysyłane w obie strony wiadomości wideo. Rozmawiał z pracownikiem ochrony ze stacji Ceres, który przeprowadził dla niego część kontroli deklaracji celnych i wydawał się bardzo życzliwym człowiekiem. Wymienił kilka wiadomości z kobietą zajmującą się poradnictwem psychologicznym z Marsa, zanim zaczął odnosić nieprzyjemne wrażenie, że z nim flirtuje. Wielka grupa dzieci szkolnych – przynajmniej setka – wysłała mu nagranie piosenki śpiewanej w mieszance hiszpańskiego i francuskiego dla uczczenia Mei i w nadziei jej odzyskania.

Na zdrowy rozum wiedział, że nic się nie zmieniło. Wciąż istniało spore ryzyko, że Mei nie żyje, a przynajmniej że nigdy więcej jej nie zobaczy, ale świadomość istnienia tylu ludzi nieustannie zapewniających go, że wszystko będzie dobrze, że mają nadzieję, że będzie dobrze, że trzymają za niego kciuki – sprawiała, że rozpacz nie była już tak oczywista. Prawdopodobnie było to coś w rodzaju efektu wzmocnienia grupowego, zjawiska częstego u niektórych gatunków roślin uprawnych: chora lub cierpiąca roślina przeniesiona do uprawy zdrowych członków gatunku dzięki ich bliskości poprawiała swój stan, nawet jeśli ich gleba i woda były jej dostarczane osobno. Owszem, efekt był mediowany chemicznie, ale ludzie byli stworzeniami społecznymi i kobieta uśmiechająca się do niego z ekranu, z oczami zdającymi się spoglądać w jego oczy, mówiąca rzeczy, w które chciał wierzyć, była bodźcem, którego prawie nie sposób było odrzucić.

Wiedział, że to samolubne, ale było to też uzależniające. Przestał zwracać uwagę na przychodzące darowizny, gdy

upewnił się, że pieniędzy jest dość, by zapewnić lot statku na Io. Holden przekazał mu raport z wydatków i szczegółowe rozliczenie kosztów, ale Praks nie sądził, żeby Holden miał go oszukać, więc ledwie zerknął na cokolwiek poza łączną sumą na dole. Gdy tylko zebrał wystarczająco dużo pieniędzy, przestał się o nie martwić.

Większość jego czasu i uwagi pochłaniały komentarze.

Usłyszał Aleksa i Amosa w kambuzie, rozmawiali spokojnymi głosami. Skojarzyło mu się to z życiem w akademiku podczas studiów. Świadomość innych głosów, obecności innych ludzi i komfort wynikający ze znajomych dźwięków. Nie różniło się to tak bardzo od czytania komentarzy.

STRACIŁAM SYNA CZTERY LATA TEMU, A I TAK NIE MOGĘ SOBIE WYOBRAZIĆ, PRZEZ CO PAN TERAZ PRZECHODZI. ŻAŁUJĘ, ŻE NIE MOGĘ ZROBIĆ NIC WIĘCEJ.

Ograniczył listę do kilkudziesięciu pozycji. Było późne popołudnie arbitralnie przyjętego czasu statku, ale zaczął się robić bardzo śpiący. Rozważał przez chwilę odłożenie wiadomości na „po drzemce”, ale zdecydował przeczytać je bez odpowiadania na każdy z osobna. Aleks się roześmiał. Amos do niego dołączył.

Praks otworzył piątą wiadomość.

JESTEŚ CHORYM SKURWYSYNEM I JEŚLI KIEDYŚ CIĘ ZOBACZĘ, TO PRZYSIĘGAM, ŻE OSOBIŚCIE CIĘ ZABIJĘ. LUDZI TAKICH JAK TY POWINNO SIĘ GWAŁCIĆ NA ŚMIERĆ, ŻEBY WIEDZIELI, JAKIE TO UCZUCIE.

Praks spróbował opanować oddech. Nagły ból ciała przypominał uczucie po uderzeniu w splot słoneczny. Usunął wiadomość. Przyszła kolejna, a potem jeszcze trzy. Potem kilkanaście następnych. Z narastającym strachem

Praks otworzył jedną z nich.

MAM NADZIEJĘ, ŻE ZGINIESZ.

– Nie rozumiem – powiedział do terminala. Jad był nagły, napływał szerokim strumieniem i był zupełnie niewytłumaczalny. Przynajmniej do momentu, aż otworzył jeden z listów z odnośnikiem do publicznego kanału wiadomości. Praks poprosił o kanał i pięć minut później jego ekran zrobił się czarny, na chwilę wyświetlił niebieskie logo jednego z dużych ziemskich serwisów wiadomości i tytuł kanału: *Surowe wieści*.

Kiedy logo zgasło, popatrzyła na niego Nicola. Praks sięgnął do przycisków, przez chwilę sądził, że w jakiś sposób wywołał prywatną wiadomość, choć w głębi duszy wiedział, że to nie prawda. Nicola oblizwała wargi, odwróciła wzrok, a potem z powrotem spojrzała do kamery. Wyglądała na zmęczoną. Wyczerpaną.

– Nazywam się Nicola Mulko. Kiedyś byłam żoną Praksidike'a Menga, człowieka, który rozesłał prośbę o pomoc w odnalezieniu mojej córki... mojej córki Mei.

Po jej policzku spłynęła łza, a ona jej nie starła.

– Czego nie wiecie – czego nikt nie wie – to fakt, że Praksidike Meng jest potworem w ludzkiej skórze. Próbowalam odzyskać Mei, od kiedy tylko od niego uciekłam. Myślałam, że znęca się tylko nade mną. Nie sądziłam, że ją skrzywdzi. Ale kiedy już opuściłam Ganimedesa, dotarły do mnie wiadomości od przyjaciół stamtąd, że...

– Nicola – powiedział Praks. – Nie. Nie rób tego.

– Praksidike Meng jest gwałtownym i groźnym człowiekiem – powiedziała Nicola. – Jako matka Mei wierzę, że po moim odejściu była przez niego dręczona

emocjonalnie, fizycznie i seksualnie. A jej rzekome zniknięcie podczas niepokojów na Ganimedesie ma tylko ukryć fakt, że w końcu ją zabił.

Teraz już po policzkach Nicoli całkiem otwarcie spływały łzy, ale jej głos i spojrzenie były równie martwe, jak zeszłotygodniowej ryby.

– Nie obwiniam nikogo poza sobą – powiedziała. – Nie powinnam była odchodzić, nie mogąc zabrać ze sobą też mojej córeczki...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Avasarala

– Nie obwiniam nikogo poza sobą – powiedziała płacząca kobieta, a Avasarala zatrzymała nagranie, siadając wygodniej w fotelu.

Jej serce biło szybciej niż zwykle i czuła myśli przemykające pod lodową pokrywą świadomości. Miała wrażenie, że gdyby ktoś przystawił ucho do jej czaszki, usłyszałby szmer mózgu.

Bobbie siedziała na łóżku, na którym wydawała się mała, co było sporym osiągnięciem. Przysiadła, podwijając jedną nogę pod siebie, i rozkładała na złotozielonej kapie talię prawdziwych kart w równy wzór pasjansa. Teraz jednak zapomniała o kartach. Spojrzenie Marsjanki było utkwione w niej, a Avasarala poczuła, jak na jej ustach powoli rysuje się uśmiech.

– Niech mnie zerzną – rzuciła. – Boją się go.

– Kto się kogo boi?

– Errinwright wykonał ruch przeciwko Holdenowi i temu draniowi Mengowi, kimkolwiek jest. Zmusili go do podjęcia działań. *Mnie* się to nie udało.

– Nie sądzi pani, że botanik wykorzystywał swoje dziecko?

– Mógł, ale to – stuknęła w znieruchomiałą, zalaną łzami twarz byłej żony botanika – to kampania oczerniająca.

Założę się o tygodniówkę, że jadłam lunch z kobietą, która to zorganizowała.

Sceptyczne spojrzenie Bobbie sprawiło tylko, że Avasarala uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– To – powiedziała – pierwsza uczciwie dobra rzecz, jaka zdarzyła się, od kiedy trafiliśmy na ten latający burdel. Muszę się zabrać do pracy. Szlag, ależ chciałabym być teraz w biurze.

– Chce pani herbaty?

– Ginu – odpowiedziała, włączając kamerę terminala. – Będziemy świętować.

W okienku podglądu wyglądała na mniejszą, niż się czuła. Pokoje zaprojektowano tak, by ściągały na siebie uwagę niezależnie od kąta, pod jakim się ustawiała, jakby została uwięziona na pocztówce. Każdy, kto leciał na pokładzie jachtu, mógł się przechwalać, nie mówiąc ani słowa, ale w słabym ciężeniu jej włosy sterczały na głowie, jakby dopiero co wstała z łóżka. Co gorsza, wyglądała na wyczerpaną emocjonalnie i osłabioną fizycznie.

Ukryj to, pomyślała. Znajdź maskę.

Odetchnęła głęboko, zrobiła wulgarny gest do kamery i włączyła nagrywanie.

– Admirale Souther – zaczęła. – Bardzo dziękuję za ostatnią wiadomość. Zwrócił moją uwagę fakt, który może pana zainteresować. Wygląda na to, że ktoś poczuł nagłą niechęć do Jamesa Holdena. Gdybym – zamiast latać po całym pieprzonym Układzie Słonecznym – była z flotą, zgarnęłabym go na kawę, żeby o tym porozmawiać, ale ponieważ to niemożliwe, otworzę dla pana część moich prywatnych plików. Interesowałam się Holdenem. Proszę

spojrzeć na to, co mam, i powiedzieć mi, czy widzi pan tam to samo, co ja.

Wysiała wiadomość. Następną sensowną rzeczą byłoby skontaktowanie się z Errinwrightem. Gdyby sytuacja była taka, jak oboje udawali, powinna aktywnie angażować go i informować o wszystkim. Przez dłuższą chwilę rozważała trzymanie się pozorów, udawanie. Z prawej strony pojawiła się Bobbie, postawiła na stole z cichym stukiem szklaneczkę ginu. Avasarala podniosła ją i wypila mały łyżeczek. Gin robiony na specjalne zamówienie dla Mao był doskonały, nawet bez limonki.

Nie. Pieprzyć Errinwrighta. Wywołała książkę adresową i zaczęła przeglądać wpisy, aż znalazła to, czego szukała, i wcisnęła przycisk nagrywania.

– Pani Corlinowski, właśnie obejrzałam nagranie, na którym Praksidike Meng jest oskarżany o molestowanie swojej uroczej pięcioletniej córeczki. Od kiedy dział kontaktów z mediami ONZ zamienił się w pieprzony sąd rozwodowy? Jeśli rozniesie się, że maczaliśmy w tym palce, będę chciała wiedzieć, czyją rezygnację mam pokazać prasie, bo chwilowo sędzę, że pani. Proszę pozdrowić Richarda i oddzwonić, zanim wywalę pani niekompetentną dupę na bruk – z czystej złośliwości.

Zakończyła nagranie i wysłała je.

– To ona do przygotowała? – zapytała Bobbie.

– Możliwe – przyznała Avasarala, znowu popijając gin. Był zbyt dobry, jeśli nie będzie uważać, wypije go bardzo dużo. – Jeśli nie, dowie się, kto za tym stał, i poda mi go na srebrnej tacy. Emma Corlinowski jest tchórzem, za to właśnie ją lubię.

W ciągu następnej godziny wysłała jeszcze kilkanaście

wiadomości, w każdej odgrywając trochę inną postać. Zaczęła śledztwo w sprawie odpowiedzialności w związku z byłą żoną Menga i tym, czy ONZ można było zaskarżyć o zniesławienie. Postawiła wstań alarmu koordynatora działań pomocowych na Ganimesesie, domagając się wszystkiego, co mógł zebrać na temat Mei Meng i stanu jej poszukiwań. Wysłała żądanie zidentyfikowania lekarza i kobiety z nagrania Holdena, nadając mu wysoki priorytet, a potem posłała dwudziestominutową wiadomość do starego kolegi z baz danych, zawierającą osadzoną w środku skromną prośbę o te same dane.

Errinwright zmienił reguły gry. Gdyby miała swobodę, nie byłaby powstrzymana, ale w tej sytuacji musiała zakładać, że każdy jej ruch zostanie zarejestrowany i zneutralizowany niemal natychmiast po wykonaniu go. Jednak sojusznicy Errinwrighta byli tylko ludźmi i jeśli będzie wysyłać ciągły strumień prośb i żądań, elaboratów i kadzenia, coś mogą przeoczyć. Albo ktoś w wiadomościach zauważy zwiększenie aktywności i przyjrzy się temu. Albo chociaż, jeśli jej wysiłki pójdą na marne, to może przynajmniej zepsują sen Errinwrightowi.

Tylko tyle mogła zrobić. To nie wystarczało. Długie lata praktyki w uprawianiu złożonego tańca polityki i władzy wyrobiły w niej oczekiwania i odruchy, które nie mogły tu zadziałać. Opóźnienie łączności doprowadzało ją do szału, wyżywała się więc na osobie, do której akurat nagrywała wiadomość. Czuła się jak światowej klasy muzyk, któremu przed pełną widownią wręczono fujarkę.

Nawet nie zauważyła, kiedy wypila cały gin. W którymś momencie przystawiła szklaneczkę do ust, stwierdziła, że jest pusta i dopiero wtedy dotarło do niej, że to nie

pierwszy raz. Minęło pięć godzin. Na prawie pięćdziesiąt wysłanych wiadomości dostała tylko trzy odpowiedzi. To było coś więcej niż opóźnienie, ktoś ewidentnie kontrolował zniszczenia.

Nie zdawała sobie sprawy, że jest głodna, do chwili, gdy Cotyar przyszedł z talerzem z aromatycznym jagnięcym curry i arbuzem. Żołądek Avasarali obudził się z rykiem i wyłączyła terminal.

– Właśnie ocaliłeś mi życie – powiedziała do niego, wskazując na biurko.

– To był pomysł sierżant Draper – wyznał. – Po tym, jak trzeci raz zignorowała pani jej pytanie.

– Nie pamiętam nic takiego – stwierdziła, przesuwając talerz przed siebie. – Nie mają tu służby? Czemu ty przynosisz mi jedzenie?

– Mają, proszę pani, ale ja ich tu nie wpuszczam.

– Wydaje się to trochę przesadne. Zrobiłeś się nerwowo?

– Jeśli tak pani mówi.

Jadła za szybko. Bolały ją plecy, a lewa noga mrowiła od zbyt długiego siedzenia w jednej pozycji. Jako młoda kobieta nigdy nie musiała zmagać się z takimi rzeczami. Z drugiej strony nie potrafiła też objechać z góry na dół każdego poważniejszego gracza w ONZ i zostać wzięta na poważnie. Czas zabrał jej siłę, w zamian dając władzę. Uczciwa wymiana.

Nie mogła się doczekać, żeby skończyć posiłek. Włączyła terminal, przełykając ostatnie kawałki. Cztery czekające wiadomości. Souther, niech Bóg błogosławi jego zaschnięte serce. Jedna od kogoś w dziale prawnym, nie rozpoznała nazwiska, i kolejna od kogoś znajomego.

Jedna od Michaela– Jona, prawdopodobnie w sprawie

Wenus. Otworzyła list od Southera.

Na jej ekranie pojawił się admirał i musiała się z wysiłkiem powstrzymać przed przywitaniem go. To tylko nagranie, nie prawdziwa rozmowa. Nienawidziła tego.

– Chrisjen – powiedział na przywitanie admirał. – Będziesz musiała uważać z informacjami, które mi wysyłasz. Arjun może się zrobić zazdrosny. Nie wiedziałem o udziale naszego znajomego Jima w wywołaniu najnowszej wrzawy.

Nasz znajomy Jim. Nie chciał wymawiać nazwiska Holdena. Interesujące. Spodziewał się jakiegoś filtra wyłapującego jego nazwisko. Spróbowała zgadnąć, czy jego zdaniem filtr będzie stosowany do wiadomości wysyłanych przez niego, czy odbieranych przez nią. Jeśli Errinwright miał choć pół mózgu – a tyle miał – musiał obserwować ruch w obie strony. Czy też martwił się czymś innym? Ilu graczy siedziało przy tym stole? Nie miała dość danych, ale sam ten fakt był przynajmniej ciekawy.

– Widzę, gdzie mogą cię zaprowadzić obecne troski – powiedział Souther. – Zadałem trochę pytań, ale wiesz, jak to działa. Może dowiem się czegoś za minutę, może dopiero za rok. Ale nie walcz samotnie. Wszędzie dookoła dzieje się tyle, że naprawdę chętnie porozmawiałbym z tobą przy tym lunchu. Wszyscy czekamy na następne spotkanie.

Avasarala pomyślała, że to oczywiste kłamstwo. Mimo wszystko miło było je od niego usłyszeć. Przeciągnęła widelcem po dnie talerza, zbierając na srebro cienką warstewkę sosu.

Pierwsza wiadomość została wysłana przez jakiegoś

młodzieńca z brazylijskim akcentem. Wyjaśniał, że ONZ nie miała nic wspólnego z nagraniem opublikowanym przez Nicolę Mulko, a w związku z tym nie mogła być za nie odpowiedzialna. Drugą wysłał szef chłopaka, przeprasząc za niego i obiecując starannie przygotowany raport do końca dnia, co było dużo rozsądniejszą odpowiedzią. Inteligentni ludzie wciąż się jej bali, a ta myśl była bardziej odżywcza od jagnięciny.

Kiedy sięgała do ekranu, statek przesunął się pod nią, z ciężeniem ciągnącym lekko w bok. Oparła dłoń o biurko, a curry i pozostałości ginu zaprotestowały we wnętrzościach.

– Spodziewaliśmy się tego? – krzyknęła.

– Tak, proszę pani – odkrzyknął Cotyar z sąsiedniego pokoju. – Planowana korekta kursu.

– W pieprzonym biurze nigdy nie dzieją się takie rzeczy – skomentowała, a na jej ekranie pojawił się Michael– Jon.

Wyglądał na lekko zmieszanego, ale może to po prostu kąt, pod jakim ustawił się do kamery. Zrobiło się jej niedobrze z niepokojem.

Przez chwilę przed jej oczami znowu unosił się rozbierany na części *Arboghost*. Bezwiednie wstrzymała nagranie. Coś w głębi jej umysłu chciało się odwrócić. Nie wiedzieć.

Nietrudno było zrozumieć, czemu Errinwright, Nguyen i ich klika miałyby odwrócić się plecami do Wenus i obcego chaosu, z którego wyłaniał się coraz większy porządek. Ona też czuła ten atawistyczny strach czający się w głębi umysłu. O ile łatwiej było zająć się starymi gierkami, starymi wzorami, historią wojen i konfliktów, oszustw i śmierci. Pomimo związanego z tym horroru, było to coś

znanego. Oswojonego.

Jako dziewczynka oglądała film o człowieku, który zobaczył twarz Boga. Przez pierwszą godzinę filmu śledziła ponure życie kogoś na podstawowym utrzymaniu, mieszkającego na wybrzeżu południowej Afryki. Kiedy zobaczył Boga, film zmienił się w dziesięć minut wycia tego człowieka, a potem godzinę powolnego powrotu do wcześniejszego życia idioty, które wiódł na początku. Wtedy Avasarala go nienawidziła, choć teraz zaczynała rozumieć. Odwrócenie się plecami było czymś naturalnym. Nawet jeśli było głupie, prowadziło do autodestrukcji i było puste, to jednak było naturalne.

Wojna. Rzeź. Śmierć. Cała przemoc, w której pogrążył się Errinwright i jego koledzy – była prawie pewna, że to sami mężczyźni – była atrakcyjna, bo znajoma. A oni się bali.

Cóż, ona też.

– Mięczaki – rzuciła i wznowiła odtwarzanie.

– Wenus potrafi myśleć – oświadczył Michael– Jon zamiast wszelkich form powitania. – Zatrudniłem zespół analityków sygnału do przetworzenia danych, które zebraliśmy z sieci prądów wodnych i elektrycznych, i znaleźliśmy model. Korelacja wynosi tylko około sześćdziesiąt procent, ale to zdecydowanie więcej niż przypadek. Oczywiście, ma odmienną anatomię, ale jej struktura funkcjonalna najbardziej przypomina głowonogi rozwiązujące problemy myślenia przestrzennego. Oczywiście, wciąż pozostaje kwestia dziury w wyjaśnieniu i nie potrafię z tym pomóc, ale na podstawie tego, co obserwujemy, jestem dość przekonany, że mamy do czynienia z myśleniem. To coś faktycznie

myśli, jak aktywacja neuronów.

Popatrzył do kamery, jakby spodziewa) się jej odpowiedzi, a potem przybrał lekko rozczarowany wyraz twarzy, gdy jej nie dostał.

– Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć – powiedział i zakończył nagranie.

Zanim zdążyła ułożyć odpowiedź, dostała nową wiadomość od Southera. Otworzyła ją z wdzięcznością i ulgą, której sama się lekko wstydiła.

– Chrisjen – oznajmił. – Mamy problem. Powinnaś sprawdzić przydziały sił na Ganimesie i dać mi znać, czy widzimy to samo.

Avasarala zmarszczyła brwi. Opóźnienie wynosiło teraz ponad dwadzieścia osiem minut. Przygotowała standardowe żądanie, wysłała je i wstała. Bolały ją mięśnie pleców. Przeszła do wspólnego salonu w apartamencie. Bobbie, Cotyar i trzech mężczyzn siedzieli w kręgu, trzymając w rękach karty. Poker. Avasarala podeszła do nich sztywno, by ograniczyć ból. Coś w niskim ciężeniu sprawiało, że bolały ją stawy. Usiadła przy boku Bobbie.

– Przy następnym rozdaniu też gram – powiedziała.

* * *

Rozkaz został wydany przez Nguyena i na pierwszy rzut oka nie miał najmniejszego sensu. Sześć niszczycieli ONZ zostało zdjętych z patrolowania Ganimesa i wysłanych z dużym ciężarem na kurs, który wydawał się prowadzić donikąd. Początkowe raporty pokazały, że po zauważalnym okresie zastanawiania się, co się do cholery dzieje, Marsjanie wysłali podobną grupę jednostek tym

samym kursem.

Nguyen coś szykował, a ona nie miała zielonego pojęcia, co to mogło być. Jednak Souther jej to wysłał i sądził, że coś zobaczy.

Potrzebowała godziny, żeby to znaleźć. *Rosynant* Holdena wyleciał ze stacji Tycho z umiarkowanym przyspieszeniem w stronę układu Jowisza. Może zgłosił plan lotu w SPZ, ale nie poinformował Ziemi ani Marsa, a to znaczyło, że Nguyen też go obserwuje.

Nie tylko się bali, zamierzali go zabić.

Avasarala dłuższą chwilę siedziała w milczeniu, zanim wstała i wróciła do gry. Cotyar i Bobbie byli pod koniec rundy z wysoką stawką, którą był pięciocentymetrowy stos czekoladek używanych zamiast żetonów.

– Panie Cotyar – odezwała się Avasarala. – Sierżant Draper. Proszę ze mną.

Karty zniknęły, jakby ich nigdy nie było. Mężczyźni oglądali się na siebie nerwowo, gdy wracała do sypialni. Starannie zamknęła za nimi drzwi. Nawet nie kliknęły.

– Zamierzam zrobić coś, co może nacisnąć na spust – poinformowała ich. – Jeśli to zrobię, złożoność naszej sytuacji może ulec zmianie.

Cotyar i Bobbie wymienili spojrzenia.

– Chciałabym wyciągnąć parę rzeczy z magazynku – powiedziała Bobbie.

– Poinformuję ludzi – dodał Cotyar.

– Dziesięć minut.

Opóźnienie między *Guanshiyin* a *Rosynantem* było wciąż zbyt duże na rozmowę, ale czas przesyłania wiadomości był zdecydowanie krótszy niż tych na Ziemię. Poczucie znalezienia się tak daleko od domu lekko zakręciło jej w

głowie. Cotyar wszedł do pokoju i kiwnął głową. Avasarala włączyła terminal i zażądała połączenia wiązką kierunkową. Wprowadziła kod transpondera *Rosynanta*. Niecałą minutę później otrzymała odmowę połączenia. Uśmiechnęła się pod nosem i otworzyła kanał na mostek.

– Mówi zastępczyni podsekretarza, Avasarala – powiedziała, jakby na pokładzie znajdował się ktoś jeszcze. – Co się, do cholery, dzieje z wiązką kierunkową?

– Bardzo przepraszam, pani sekretarz – odpowiedział młody człowiek z jasnoniebieskimi oczami i krótkimi włosami blond. – Ten kanał łączności jest obecnie niedostępny.

– Dlaczego, kurwa, jest niedostępny?

– Nie jest dostępny, proszę pani.

– Dobrze. Nie chciałam tego robić radiowo, ale mogę nadawać szerokokresowo, skoro muszę.

– Obawiam się, że to także nie będzie możliwe – odparł młodzieniec.

Avasarala głęboko wciągnęła powietrze i wypuściła je przez zęby.

– Daj mi kapitana – zażądała.

Chwilę później obraz na ekranie się zmienił. Kapitan był mężczyzną o szczupłej twarzy z brązowymi oczami jak u setera irlandzkiego. Kształt usta i zaciśnięte wargi powiedziały jej to, czego się spodziewała, przynajmniej w zarysie. Przez chwilę tylko patrzyła w kamerę. Była to sztuczka, której nauczyła się jeszcze na początku kariery. Patrzenie w obraz na ekranie dawało drugiej stronie wrażenie, że jest widziana, ale patrzenie w drobny punkcik soczewki wywoływało uczucie spojżenia w oczy.

– Kapitanie. Mam wiadomość o wysokim priorytecie,

która musi zostać wysłana.

– Bardzo mi przykro. Mamy problemy techniczne ze sprzętem łączności.

– Macie system zapasowy? Prom, który można aktywować? Cokolwiek?

– W tej chwili nie.

– Pan kłamie – oświadczyła. A kiedy nie odpowiedział: – Oficjalnie domagam się włączenia nadajnika awaryjnego tego jachtu i zmiany kursu w stronę najbliższego miejsca, które może udzielić pomocy.

– Nie będę mógł tego zrobić, proszę pani. Jeśli okaże pani cierpliwość, bezpiecznie i w jednym kawałku dowieziemy panią na Ganimedesa. Z pewnością będzie można tam dokonać wszelkich napraw.

Avasarala nachyliła się bliżej terminala.

– Mogę tam przyjść i porozmawiamy twarzą w twarz – powiedziała. – Kapitanie. Zna pan prawo równie dobrze, jak ja. Proszę włączyć nadajnik i przekazać mi dostęp do łączności.

– Jest pani gościem Julesa- Pierre'a Mao i oczywiście szanuję to, ale to pan Mao jest właścicielem tej jednostki i odpowiadam przed nim.

– Czyli odmawia pan.

– Bardzo mi przykro.

– Popelniasz błąd, dupku – warknęła Avasarala i zamknęła połączenie.

Do pokoju weszła Bobbie. Twarz miała rozpromienioną i emanowała głodem, jak pies wyścigowy szarpiący za smycz. Ciężenie nieco się zmieniło. Korekta, nie zmiana kursu.

– Jak poszło? – zapytała Bobbie.

- Deklaruję, że ten pojazd narusza prawa i normy –
oznajmiła Avasarala. – Cotyar, zaświadczysz.
- Jak sobie pani życzy.
- No dobrze. Bobbie. Daj mi kontrolę nad tym
pieprzonym statkiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Bobbie

– Co jeszcze mamy zrobić? – zapytał Cotyar.

Dwóch jego ludzi przenosiło do sypialni Avasarali dużą skrzynię opisaną jako STROJE WIECZOROWE. Używali dużego wózka do przenoszenia mebli i sapali przy tym z wysiłku. Nawet w łagodnym ciężeniu jednej czwartej g ciężaru pancierz Bobbie ważył ponad sto kilogramów.

– Jesteśmy pewni, że ten pokój nie jest monitorowany? – zapytała Bobbie. – To zadziała dużo lepiej, jeśli nie będą wiedzieć, czego się spodziewać.

Cotyar wzruszył ramionami.

– Nie ma tu żadnych działających urządzeń podsłuchowych, które mógłbym wykryć.

– No dobrze – stwierdziła Bobbie i postukała kostkami w skrzynkę z włókna szklanego. – Otwórzcie.

Cotyar dotknął czegoś na swoim ręcznym terminalu i zamki skrzyni otworzyły się z głośnym kliknięciem. Bobbie szarpnęła do góry odblokowaną pokrywę i oparła ją o ścianę. Wewnątrz skrzyni, zawieszony na elastycznych taśmach, wisiał jej skafander.

Cotyar zagwizdał.

– Goliat III. Nie mogę uwierzyć, że pozwolili ci go zatrzymać.

Bobbie wyjęła hełm i położyła go na łóżko, a potem

zaczęła wyciągać poszczególne elementy i rozkładać je na podłodze.

– Przekazali go waszym technikom do sprawdzenia nagrania wideo zapisanego w skafandrze. Avasarala odnalazła go w jakimś magazynie, gdzie zbierał kurz. Wyglądało na to, że nikt się nie zainteresował, gdy go zabrała.

Wyciągnęła prawe przedramię skafandra. Nie spodziewała się, że zdobędzie jej amunicję kalibru 2 mm, używaną przez zintegrowane działko, ale zdziwiła się, widząc, że broń została całkowicie wymontowana z obudowy. Oczywiście, usunięcie broni przed przekazaniem kombinezonu cywilom miało sens, ale i tak ją to zirytowało.

– Cholera – rzuciła. – Wygląda na to, że nie będę do nikogo strzelać.

– Czy gdybyś to zrobiła – odezwał się Cotyar z uśmiechem – to czy pociski zwolniłyby choć trochę, przechodząc przez oba kadłuby statku i wypuszczając całe powietrze?

– Nie – potwierdziła Bobbie, kładąc na podłodze ostatni element stroju, a potem wyciągając narzędzia potrzebne do ponownego zmontowania go. – Ale to może być punkt na moją korzyść. Działko w tym czymś zaprojektowano do przestrzeliwania innych ludzi w podobnych pancerzach. Cokolwiek, co zdoła przebić mój pancerz, zrobi też dziurę w statku. A to znaczy...

– ...że nikt z ochrony tej jednostki nie będzie miał broni zdolnej naruszyć twój pancerz – dokończył Cotyar. – Dokładnie. Ilu moich ludzi ma z tobą iść?

– Żaden – odpowiedziała Bobbie, mocując do tyłu

pancerza świeżą baterię dostarczoną przez techników Avasarali i wyświetlając na panelu miłą kontrolkę „całkowicie naładowana”. – Kiedy tam wejde, oczywistą reakcją będzie przejęcie podsekretarz jako zakładniczki. Waszym zadaniem będzie nie dopuścić do tego.

Cotyiar znów się uśmiechnął, choć bez śladu humoru.

– Słusznie.

* * *

Złożenie i przygotowanie kombinezonu do działania zajęło Bobbie prawie trzy godziny. Powinno zająć tylko dwie, ale wybaczyła sobie dodatkowy czas, kiedy przypomniała sobie, że wyszła z wprawy. Im bardziej zbliżała się ku końcowi, tym bardziej ścisnęła ją w żołądku. Część z tego było naturalnym napięciem pojawiającym się przed walką i czas spędzony w marines nauczył ją, jak je wykorzystać. Pozwolić stresowi zmusić się do trzykrotnego sprawdzenia wszystkich elementów. Gdy walka się rozpocznie, będzie już za późno.

Jednak gdzieś w głębi duszy Bobbie wiedziała, że jej wnętrzności skręcała nie tylko nadchodząca przemoc. Nie potrafiła zapomnieć, co stało się ostatnim razem, gdy miała na sobie ten pancerz. Czerwony lakier marsjańskiego kamuflażu był pobrużdżony i zdarty po wybuchu potwora i sunięciu z dużą prędkością po lodzie Ganimedesa. Drobny wyciek płynu hydraulicznego na kolanie przypomniał o szeregowym Hillmanie. Hilly, jej przyjaciel. Przecieranie wizjera hełmu przywołało wspomnienie o ostatniej rozmowie z porucznikiem Givensem, jej dowódcą, tuż przed tym, jak potwór rozerwał go na części.

Kiedy skafander był gotowy i leżał na podłodze, otwarty i czekający na jej wejście do środka, poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Po raz pierwszy jego wnętrze wydało się małe. Jak grób.

– Nie – powiedziała do siebie.

– Nie? – zapytał siedzący obok na podłodze Cotyar, trzymał narzędzia, których mogła jeszcze potrzebować. Podczas całej procedury składania był tak cichy, że prawie zapomniała o jego obecności.

– Nie boję się założenia tego – oświadczyła.

– Ach – rzucił Cotyar, kiwając głową, a potem schował narzędzia do skrzynki. – Cokolwiek powiesz.

Bobbie wstała i wyciągnęła ze skrzyni czarny, jednoczęściowy strój noszony pod pancerzem. Bez chwili zastanowienia rozebrała się do majtek i naciągnęła na siebie ciasno opinający materiał. Wyciągała z pancerza kable i łączyła je z różnorodnymi czujnikami wplecionymi w kombinezon, gdy zauważyła, że Cotyar odwrócił się do niej plecami, a jego zwykle jasnobrązowy kark zrobił się intensywnie czerwony.

– Och – powiedziała. – Przepraszam. Rozbierałam się i zakładałam to w obecności członków drużyny tyle razy, że nawet się nad tym już nie zastanawiam.

– Nie ma powodu przeproszać – odpowiedział Cotyar, nie odwracając się. – Po prostu mnie zaskoczyłaś.

Zaryzykował rzut oka przez ramię, a kiedy zobaczył, że jest całkowicie zasłonięta kombinezonem, odwrócił się i zaczął jej pomagać w podpinaniu pancerza.

– Jesteś – powiedział, po czym urwał na moment. – Urocza.

Tym razem to ona się zaczerwieniła.

– Nie jesteś żonaty? – spytała z uśmiechem, zadowolona z odwrócenia uwagi. Proste oznaki człowieczeństwa w postaci dyskomfortu wywołanego przez sygnały seksualne sprawiły, że potwór w jej głowie nagle się oddalił.

– Owszem – potwierdził Cotyar, podłączając ostatni kabel do czujnika u podstawy kręgosłupa. – Zdecydowanie. Ale nie jestem ślepy.

– Dziękuję – powiedziała Bobbie i przyjaźnie klepnęła go w ramię. Po kilku minutach zmagania z ciasnymi miejscami usiadła w otwartej części piersiowej skafandra i zaczęła się wsuwać, aż jej nogi i ręce całkiem się ukryły. – Zapnij mnie.

Cotyar zamknął pancerz piersiowy tak, jak mu pokazała, a potem założył jej hełm i zablokował go. Wewnątrz skafandra obudził się wyświetlacz przezierny, wyświetlając procedurę rozruchu. Otoczył ją cichy, prawie niesłyszalny szum. Włączyła zestawy mikrosilników i pomp napędzających jej wspomaganie mięśni i usiadła.

Cotyar patrzył na nią z pytaniem na twarzy.

– Tak, wszystko wygląda dobrze – powiedziała Bobbie po włączeniu zewnętrznego głośnika. – Wszystkie kontrolki zielone.

Wstała bez wysiłku i poczuła przepelniające jej kończyny, znajome wrażenie ledwie kontrolowanej mocy. Wiedziała, że jeśli mocno odbije się stopami, uderzy w sufit dość mocno, by go uszkodzić. Gwałtowny ruch ręki mógł rzucić wielkim łóżkiem przez cały pokój lub roztrzaskać kręgosłup Cotyara. Musiała się poruszać ze świadomą delikatnością, nabytą podczas długiego treningu.

Cotyar sięgnął pod marynarkę i wyciągnął zgrabny czarny pistolet. Bobbie wiedziała, że zespół ochrony naładował je plastikowymi pociskami, które nie były w stanie wybić dziur w poszyciu statku. Takich samych pocisków musiał używać personel ochrony Mao. Wyciągnął rękę z bronią w jej stronę, ale spojrzał na grubość jej opancerzonych palców i znacznie mniejszy otwór w osłonie spustu, a potem przeprasząco wzruszył ramionami.

– Nie potrzebuję go – powiedziała. Jej głos brzmiał ostro, metalicznie, nieludzko.

Cotyar znów się uśmiechnął.

– Cokolwiek powiesz.

* * *

Bobbie wcisnęła przycisk przywołania stępkowej windy, a potem przeszła się przez hol, żeby ciało z powrotem przyzwyczało się do pancerza. Zachodziło nanosekundowe opóźnienie między próbą ruchu kończyny a reakcją pancerza, przez co chodzenie w nim nabierało delikatnie sennego wrażenia, jakby akt chęci poruszenia kończynami i ich faktyczne poruszenie były osobnymi zdarzeniami. Niezliczone godziny szkoleń i stosowania wspomaganego skafandra prawie pokonały to uczucie, gdy Bobbie nosiła pancerz, ale zawsze potrzebowała kilku minut poruszania się w nim, żeby odzyskać właściwe odruchy.

Avasarala wyszła do holu z pokoju używanego jako centrum łączności i usiadła przy barze. Nalała sobie szklaneczkę ginu, a potem wcisnęła do niej kawałek limonki. Starsza dama ostatnio sporo piła, ale Bobbie nie

czuła się upoważniona do zwracania jej uwagi. Może dzięki temu lepiej spała.

Kiedy winda nie przyjechała po kilku minutach, podeszła do panelu i jeszcze kilka razy wcisnęła przycisk przywołania. Na małym wyświetlaczu pojawił się komunikat USTERKA.

– Szlag – Bobbie rzuciła pod nosem. – Naprawdę nas porywają.

Zostawiła włączone zewnętrzne głośniki i ostry głos ze skafandra odbił się echem po pokoju.

– Pamiętaj, co mówiłam – rzuciła Avasarala, nie podnosząc wzroku znad szklaneczki.

– Co takiego? – zapytała Bobbie, nie zwracając na nią większej uwagi.

Wspięła się niezgrabnie po załogowej drabinie do włazu pokładowego nad głową i wcisnęła przycisk. Właz się rozsunął, a to znaczyło, że wszyscy wciąż udają, że to nie jest porwanie. Windę można było wyjaśnić awarią, ale dużo trudniej byłoby wytłumaczyć to, że podsekretarz jest odcięta od reszty statku. Może uznali, że siedemdziesięcioparoletnia kobieta nie będzie chciała się wspinać po statkowych drabinach, więc wystarczy wyłączyć windę. Mogli mieć rację. Avasarala zdecydowanie nie wyglądała, jakby była gotowa na siedemdziesięciometrową wspinaczkę, nawet w niskim ciężeniu.

– Nikt z tych ludzi nie był na Ganimesie – przypomniała Avasarala.

– Dobrze – odpowiedziała Bobbie do pozornie bezsensownej uwagi.

– Nie zdołasz zabić ich tyłu, by ożywić swój pluton –

dokończyła Avasarala, wypła jednym haustem resztę ginu i odepchnęła się od baru, wracając do sypialni.

Bobbie nie odpowiedziała. Weszła już na następny poziom i pozwoliła zamknąć się za sobą włazowi.

Jej pancerz zaprojektowano z myślą o dokładnie tego typu misjach. Pierwsze skafandry zwiadowcze klasy Goliat zbudowano dla oddziałów abordażowych marinę w starciach między statkami, a to znaczyło, że zaprojektowano je do maksymalnej manewrowości w ciasnych przestrzeniach. Niezależnie od tego, jak dobry był pancerz, nie nadawał się do niczego, jeśli noszący go żołnierz nie mógł się wspinać po drabinach, przeciskać przez włazy przeznaczone dla zwykłych ludzi i poruszać się swobodnie w nieważkości.

Bobbie wspięła się po drabinie do następnego włazu pokładowego i wcisnęła przycisk. Konsola odpowiedziała czerwoną kontrolką ostrzegawczą. Kilka chwil przyglądania się panelowi wyjaśniło powód: winda została zaparkowana tuż nad włazem, a potem unieruchomiona, co tworzyło barykadę. Czyli wiedzieli, że coś się dzieje.

Bobbie rozejrzała się po pomieszczeniu, w którym się znalazła – kolejnym salonie, prawie identycznym jak ten, który właśnie opuściła – aż odszukała najbardziej prawdopodobne miejsce z ukrytymi kamerami. Pomachała do nich. *To mnie nie zatrzyma, panowie.*

Zeszła z drabiny i weszła do luksusowej łazienki. Urządzono ją z typową dla statku ekstrawagancją, ale po kilku minutach macania odnalazła dobrze ukryty ścienny właz serwisowy. Był zamknięty. Bobbie wyrwała go ze ściany.

Po drugiej stronie zobaczyła płataninę rur i wąski korytarz, w którym ledwie mógł się zmieścić jej pancierz. Weszła do środka i przesuwając się wzdłuż rur, pokonała dwa pokłady w pionie, potem kopniakiem wywaliła włącz serwisowy kolejnego pomieszczenia i wyszła.

Trafiła do pomocniczego kambuza, z rzędami kuchenek i palników pod jedną ze ścian, kilkoma lodówkami i wielkim blatem, a wszystko było zrobione z lśniącej stali.

Skafander ostrzegł ją, że ktoś w nią celuje i zmienił tryb wyświetlacza tak, że normalnie niewidoczne wiązki podczerwonych laserów celowniczych stały się delikatnymi czerwonymi liniami. W jej pierś skierowano pół tuzina laserów, wszystkie emitowane z niedużych czarnych karabinków trzymany przez personel ochrony Mao–Kwik na drugim końcu kambuza.

Bobbie wyprostowała się. Musiała przyznać, że jej przeciwnicy się nie cofnęli. Jej komputer przeszukał bazę danych i poinformował ją, że wrogowie uzbrojeni są w pistolety automatyczne kalibru 5 mm ze standardowymi magazynkami na trzysta naboń i szybkostrzelności dziesięciu pocisków na sekundę. O ile nie używali wybuchowych pocisków przeciwpancernych, co było mało prawdopodobne z kadłubem statku tuż za nią, skafander ocenił poziom zagrożenia na niski.

Bobbie upewniła się, że jej głośniki zewnętrzne są nadal włączone.

– Dobra, chłopaki, poro...

Otworzyli ogień.

Przez jedną długą sekundę w kambuzie panował totalny chaos. Wysokoenergetyczne plastikowe pociski odbijały się od jej pancierza, odbijały się od ścian i latały po całym

pomieszczeniu. Rozrywały pojemniki z suchym jedzeniem, zrzucały patelnie i garnki z magnetycznych zaczepów i wzbijały w powietrze mniejsze przybory kuchenne, wzniecając zamieć plastiku i stali. Jeden z pocisków odbił się wyjątkowo pechowo i trafił któregoś z ochroniarzy w sam środek nosa, wybijając dziurę w gfowie i powalając go na podłogę z niemal komicznym wyrazem zaskoczenia na twarzy.

Zanim minęła druga sekunda, Bobbie ruszyła, rzucając się przez stalowy blat na środku kambuza i wbijając w pięciu pozostałych strażników z rozłożonymi rękami, jak gracz rugby powalający przeciwników. Zostali rzućeni na ścianę z głuchym dźwiękiem uderzenia, a potem bez ruchu zsunęli się na podłogę. Jej skafander zaczął wyświetlać dla niej ich oznaki czynności życiowych, ale wyłączyła je, nawet na nie nie spoglądając. Nie chciała wiedzieć. Jeden z mężczyzn poruszył się i zaczął unosić broń. Bobbie pchnęła go ostrożnie, a on poleciał przez kambuz i wylądował bezładnie pod przeciwną ścianą. Tym razem się nie poruszył.

Rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając kamer. Żadnej nie zauważyła, ale miała nadzieję, że jakaś tu jest. Jeśli to zobaczyli, może nie będą jej więcej atakować.

Przy drabinie osiowej odkryła, że zablokowali windę przez unieruchomienie otwartego włazu łomem. Podstawowe protokoły bezpieczeństwa statku nie pozwoliłyby windzie zjechać na kolejny pokład bez zamknięcia pokładu wyżej. Bobbie wyrwała łom i rzuciła nim przez pokój, a potem wcisnęła przycisk przywołania. Winda przyjechała wzdłuż kanału drabiny na jej poziom i stanęła. Weszła do niej i wcisnęła przycisk, który miał ją

zabrać na mostek, osiem pokładów wyżej. Jeszcze osiem grodzi ciśnieniowych, osiem możliwych zasadzek.

Ścisnęła dłonie w pięści, aż jej kostki rozciągnęły się boleśnie wewnątrz rękawic. *Dawajcie.*

Po pokonaniu trzech poziomów winda znowu stanęła, a panel poinformował ją, że dokonano obejścia ustawień grodzi między obecnym poziomem a mostkiem – i wszystkie otwarto. Byli gotowi zaryzykować, że dziura w statku pozbawi jednostkę połowy powietrza, byle tylko nie dopuścić jej do mostka. W sumie miło było być zagrożeniem większym niż nagła dekompresja.

Zeszła z windy na pokład, który wydawał się mieścić kwatery załogi, choć musiał zostać ewakuowany. Nikogo nie widziała. Szybkie obejście wykazało dwanaście kajut załogowych i dwie łazienki. W tych nie było połączonych kranów. Żadnego otwartego baru ani całodobowych posiłków na życzenie. Przyjrzenie się z bliska tym dość spartańskim warunkom życia zwykłych członków załogi *Cuanshiyin* przypomniało jej ostatnie słowa Avasarali. To tylko marynarze. Nikt z nich nie zasługiwał na śmierć z powodu tego, co stało się na Ganimesesie.

Bobbie poczuła, że cieszy się z braku karabinu.

Znalazła kolejny wąż dostępowy w łazience i wyrwała go ze ściany, jednak ku jej zaskoczeniu korytarz serwisowy kończył się zaledwie półtora metra nad jej głową. Coś w strukturze statku odcięło jej dostęp. Ponieważ nigdy nie widziała *Guanshiyin* z zewnątrz, nie miała pojęcia, co to może być. Musiała jednak dostać się pięć poziomów wyżej i nie zamierzała pozwolić, by takie drobiazgi ją powstrzymały.

Po dziesięciu minutach poszukiwań odnalazła wąż

serwisowy, który prowadził na zewnętrzny kadłub. Wyrwała dwa wewnętrzne włazy na dwóch pokładach, więc jeśli otworzy ten, tamte pokłady stracą powietrze. Korytarz centralnej drabiny na poziomie Avasarali był hermetyczny, więc jej ludziom nic nie będzie. Zresztą całym powodem zrobienia tego manewru był zamknięty właz na górne poziomy, gdzie chyba zebrała się większość załogi.

Pomyślała o sześciu ludziach w kambuzie na dole i poczuła ukłucie bólu. Jasne, strzelali pierwsi, ale jeśli których z nich jeszcze żył, nie chciała doprowadzić do tego, by się udusili.

Okazało się, że to nie był problem. Właz prowadził do małej śluzi, mniej więcej rozmiarów szafy. Po minucie ukończyła cykl wymiany powietrza i wyszła na zewnętrzny kadłub statku.

Potrójny kadłub. Oczywiście. Władca imperium Mao-Kwik nie zamierzał powierzać swej kosztownej skóry niczemu, co nie było najbezpieczniejszym możliwym dziełem ludzkich rąk. Ostentacyjny wystrój wnętrza sięgał także zewnętrznego kadłuba. O ile większość okrętów wojskowych była pomalowana na czarno, przez co trudno było je wykryć optycznie w kosmosie, to jednostki cywilne zwykle pozostawiano bez powłoki farby lub malowano je na barwy korporacyjne.

Na kadłubie *Guanshiyin* umieszczono mural w jaskrawych kolorach. Bobbie była zbyt blisko, by go zobaczyć w całości, ale pod stopami miała coś, co chyba było trawą i kopytami wielkiego konia. Mao umieścił na kadłubie swojego statku malowidło z końmi i trawą. W miejscu, gdzie prawie nikt nie mógł go zobaczyć.

Bobbie upewniła się, że magnesy jej butów są ustawione na moc wystarczającą do poradzenia sobie z jedną czwartą g przyśpieszenia statku i zaczęła maszerować po kadłubie. Szybko dotarła do miejsca, gdzie zaczynała się martwa przestrzeń między kadłubami i przekonała się, że zawiera pusty dok promu. Gdyby tylko Avasarala pozwoliła jej to zrobić, *zanim* Mao odleciał tym promem.

Potrójny kadłub, pomyślała Bobbie. Maksymalna redundancja.

Kierując się przeczuciem, obesła kadłub na drugą stronę. Rzeczywiście, znalazła tam drugi dok promowy. Tylko że zobaczyła w nim jednostkę, która nie była standardowym promem bliskiego zasięgu. Była długa i elegancka, z osłoną silnika dwukrotnie większą niż w normalnych statkach tej wielkości. Na dziobie statku czerwonymi literami dumnie wypisano nazwę *Finwal*.

Ścigacz regatowy.

Bobbie przeszła z powrotem do pustego doku i weszła do statku przez znajdującą się tam śluzę. Ku jej zaskoczeniu zadziałały wojskowe kody obejścia blokady, wysłane przez jej skafander do zamka. Śluza prowadziła na pokład tuż pod mostkiem, używany do przechowywania wyposażenia dla promów i ich konserwacji. Centralną część pokładu zajmował duży warsztat, a na jego środku stał kapitan statku *Guanshiyin* z oficerami. Nie zobaczyła żadnych ochroniarzy ani broni.

Kapitan postukał palcem w ucho w odwiecznym geście *słyszysz mnie?* Bobbie najpierw przytaknęła ruchem pięści, a potem znowu włączyła zewnętrzne głośniki.

– Tak.

– Nie jesteśmy żołnierzami – powiedział kapitan. – Nie

możemy się obronić przed wojskowym sprzętem. Ale nie zamierzam ci oddać tej jednostki, nie znając twoich zamiarów. Mój pierwszy oficer jest na pokładzie wyżej, przygotowany do zniszczenia statku, jeśli nie dojdziemy do porozumienia.

Bobbie uśmiechnęła się do niego, choć nie wiedziała, czy zobaczy to przez hełm.

– Dokonaliście nielegalnego zatrzymania wysokiego rangą członka rządu ONZ. Działając jako członek zespołu jej ochrony, przyszedłem żądać natychmiastowego dostarczenia jej do wybranego przez nią portu, z największą możliwą prędkością. – Wzruszyła rękami na sposób Pasiarzy. – Albo możecie się wysadzić. Choć wydaje mi się to nieco przesadną reakcją na konieczność oddania podsekretarz łączności radiowej.

Kapitan kiwnął głową i wyraźnie się rozluźnił. Cokolwiek teraz się stanie, było oczywiste, że nie miał wyboru. A pozbawienie go wyboru oczyszczało go też z odpowiedzialności.

– Wykonujemy rozkazy. Zapisze to pani w dzienniku po przejęciu dowodzenia.

– Dopilnuję, by podsekretarz o tym wiedziała.

Kapitan ponownie kiwnął głową.

– W takim razie statek jest pani.

Bobbie otworzyła połączenie radiowe z Cotyarem.

– Wygraliśmy. Daj mi jej wysokość, dobrze?

– Na dole jest sześciu rannych ludzi z ochrony – zwróciła się do kapitana, czekając na Avasaralę. – Wyślijcie im pomoc medyczną.

– Bobbie? – W radiu zabrzmiał głos Avasarali.

– Statek należy do pani.

– Świetnie. Powiedz kapitanowi, że musimy lecieć z maksymalną możliwą prędkością na przechwycenie Holdena. Musimy się do niego dostać przed Nguyenem.

– To jacht wycieczkowy, zbudowano go do komfortowego latania z małym przyspieszeniem. Założę się, że w razie potrzeby wyciągnie pełne g przyspieszenia, ale nie sądzę, żeby dał radę wiele więcej.

– Admirał Nguyen zamierza zabić wszystkich, którzy mogą rzeczywiście wiedzieć, co się, do cholery, dzieje. – Avasarala prawie nie krzyczała. – Nie mamy czasu na obijanie się, jakbyśmy mieli poderwać chłopaków na godziny!

– Hm – rzuciła Bobbie. A po chwili powiedziała: – Jeśli to wyścig, to wiem, gdzie znaleźć ścigacz...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Holden

Holden nalał sobie kubek kawy z dzbanka w kambuzie, wypełniając pomieszczenie jej silnym aromatem. Niemal fizycznie czuł na plecach spojrzenia członków załogi. Wezwał ich tu, a kiedy zebrali się i zajęli miejsca, odwrócił się do nich plecami i zaczął robić kawę. *Przeciągam, bo zapomniałem, jak chciałem to powiedzieć.* Wsypał trochę cukru do kawy, choć zawsze pił gorzką, po prostu dlatego, że mieszanie dało mu kilka dodatkowych sekund.

– No dobrze. Kim jesteście? – powiedział w końcu, mieszając.

Po jego pytaniu dalej panowała cisza, więc odwrócił się i oparł się o szafkę, trzymając niepotrzebny kubek kawy i dalej mieszając.

– Poważnie. Kim jesteście? To pytanie ciągle do mnie wraca.

– Yyy – odezwał się Amos, poprawiając się na krześle. – Mam na imię Amos, kapitanie. Dobrze się czujesz?

Nikt inny się nie odezwał. Aleks wpatrywał się w stół przed sobą. Gdy schylił głowę, przez rzednące włosy w ostrym białym świetle kambuza przeświecała jego ciemna czaszka. Praks siedział na blacie obok zlewu i patrzył na swoje dłonie. Napinał je co jakiś czas, jakby próbował

odkryć, do czego służą.

Tylko Naomi patrzyła w jego stronę. Włosy zebrała w gruby kucyk, a jej ciemne migdałowe oczy patrzyły prosto na niego. Było to dość niepokojące.

– Ostatnio odkryłem coś na swój temat – kontynuował Holden, nie pozwalając spojrzeniu Naomi wytrącić się z równowagi. – Traktowałem was tak, jakbyście byli mi coś winni. A to nieprawda. To z kolei znaczy, że byłem dla was niesprawiedliwy.

– Nie – zaprzeczył Aleks, nie podnosząc wzroku.

– Tak – powiedział Holden i urwał, aż Aleks na niego popatrzył. – Tak. Dla ciebie może bardziej niż dla pozostałych. Ponieważ byłem śmiertelnie przerażony, a tchórz zawsze szuka łatwego celu. A ty jesteś chyba najmiłym człowiekiem, jakiego znam, Aleks, więc źle cię traktowałem, bo mogło mi to ujść na sucho. I mam nadzieję, że mi to wybaczysz, bo naprawdę paskudnie się z tym czuję.

– Jasne, wybaczam ci, kapitanie – Aleks powiedział z ciepłym uśmiechem i swoim ciężkim akcentem.

– Spróbuję na to zasłużyć – zapewnił Holden, czując niepokój z powodu tego, jak łatwo uzyskał tę odpowiedź. – Ale Aleks powiedział mi niedawno coś, nad czym dużo myślałem. Przypomniał mi, że żadne z was nie jest pracownikiem. Nie jesteśmy na *Canterbury*, nie pracujemy już dla Pur'n'Kleen. I nie jestem właścicielem tego statku ani trochę bardziej niż każde z was. Przyjęliśmy kontrakty od SPZ w zamian za kieszonkowe i pokrycie wydatków statku, ale nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co robić z nadmiarem.

– Otworzyłeś to konto – przypomniał Aleks.

– Tak, mamy konto bankowe, na którym leżą wszystkie dodatkowe pieniądze. Kiedy ostatnio sprawdzałem, było tam prawie osiemdziesiąt kawałków. Powiedziałem, że będziemy je trzymać na wydatki związane ze statkiem, ale kim jestem, żeby podejmować tę decyzję za was wszystkich? To nie są *moje* pieniądze, tylko *nasze*. To myje zarobiliśmy.

– Ale ty jesteś kapitanem – powiedział Amos, a potem wskazał na dzbanek z kawą.

– Jestem? – zapytał Holden, nalewając mu porcję. – Byłem pierwszym oficerem na *Canterbury*. Miało sens, żebym został kapitanem po tym, jak zniszczono *Canta*.

Podał kubek Amosowi i usiadł przy stole z resztą załogi.

– Ale już od bardzo dawna nie jesteśmy tymi ludźmi. Teraz jesteśmy czterema osobami, które tak naprawdę nie pracują dla nikogo...

Słyszając to, Praks odchrząknęła, a Holden kiwnął głową w przeprosinach.

– Powiedzmy, że dla nikogo długoterminowo. Nie ma żadnej korporacji ani rządu, który dałby mi władzę nad tą załogą. Jesteśmy po prostu czwórką ludzi posiadających statek, który Mars prawdopodobnie spróbuje odzyskać przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– To legalny odzysk – rzucił Aleks prawie automatycznie.

– I mam nadzieję, że Mars da się przekonać, gdy im to wyjaśnisz – odpowiedział Holden. – Ale to nie zmienia mojego pytania. Kim jesteśmy?

Naomi kiwnęła mu pięścią.

– Widzę, do czego zmierzasz. Mnóstwo takich rzeczy zostawiliśmy niedopowiedzianych, bo od czasu *Canterbury* cały czas jechaliśmy na pełnych obrotach.

– A teraz – dokończył Holden – jest świetna okazja, żeby się nad tym zastanowić. Mamy kontrakt na odszukanie córeczki Praksa i on płaci, więc stać nas na obsługę statku. Ale kiedy znajdziemy Mei, skąd zdobędziemy następne zlecenie? Czy będziemy szukać *następnego* zlecenia? Może sprzedamy *Rosa* ludziom z SPZ i pójdziemy na emeryturę na Tytanie? Chyba powinniśmy wiedzieć te rzeczy.

Nikt się nie odezwał. Praks zszedł z blatu i zaczął grzebać po szafkach. Po jakiejś minucie wyciągnął opakowanie podpisane BUDYŃ CZEKOLADOWY i zapytał:

– Mogę to zrobić?

Naomi się roześmiała.

– Proszę bardzo, doktorku – rzucił Aleks.

Praks wyciągnął miskę i zaczął w niej mieszać składniki. O dziwo, fakt, że botanik skupił się na czymś innym, dał załodze poczucie intymności. Osoba z zewnątrz robiła coś innego, dzięki czemu mogli rozmawiać ze sobą. Holden zaczął się zastanawiać, czy Praks wie, co robi, i czy zrobił to świadomie.

– No dobrze, kapitanie – odezwał się Amos po dopiciu kawy. – Zwołałeś to spotkanie, więc pewnie masz jakieś pomysły?

– Owszem – potwierdził Holden po chwili namysłu. – Tak jakby.

Naomi dotknęła jego ramienia i uśmiechnęła się.

– Słuchamy.

– Powinniśmy się pobrać – powiedział i mrugnął do Naomi. – Zalegalizować to wszystko.

– Chwila – rzuciła. Na jej twarzy pojawiło się większe przerażenie, niż Holden się spodziewał.

– Nie, nie, to żart – zapewnił. – Ale nie do końca.

Widzicie, myślałem o moich rodzicach. Na początku zawiązali swoją wspólnotę z powodu farmy. Byli grupą przyjaciół, chcieli kupić ziemię w Montanie, więc zebrali grupę dostatecznie dużą, by było ich na nią stać. Nie chodziło o seks. Ojciec Tom i ojciec Caesar byli już partnerami seksualnymi w monogamicznym związku, a matka Tamara była singielką. Ojcowie Joseph i Anton oraz matki Elisa i Sophie tworzyli poligamiczną jednostkę społeczną. A ojciec Dimitri dołączył miesiąc później, gdy zaczął się spotykać z Tamarą. Utworzyli formalny związek w celu wspólnego objęcia nieruchomości. Nie byłoby ich na nią stać, gdyby wszyscy płacili podatki za osobne dzieci, więc spółdzili mnie grupowo.

– Ziemia – skomentował Aleks – to cholernie dziwne miejsce.

– Ośmioro rodziców do jednego dziecka nie zdarza się zbyt często – odpowiedział Amos.

– Ale przy obecnym podatku od dzieci ma to sporo ekonomicznego sensu – skontrował Holden. – Więc nie jest też takie wyjątkowe.

– A co z ludźmi robiącymi dzieci bez opłacania podatku? – zapytał Aleks.

– To trudniejsze niż by się zdawało – zapewnił Holden. – Chyba że nigdy nie chodzisz do lekarza lub korzystasz tylko z czarnego rynku.

Amos z Naomi wymienili szybkie spojrzenie, a Holden udał, że tego nie dostrzegł.

– No dobrze – mówił dalej. – Zapomnijcie o dzieciach. Tak naprawdę chodzi mi o osobowość prawną. Skoro trzymamy się razem, zróbmy to oficjalnie. Możemy złożyć papiery spółki w jednej z niezależnych stacji planet

zewnątrznych, na przykład na Ceres albo Europie, i stać się współwłaścicielami tego przedsięwzięcia.

– A co – zapytała Naomi – robi nasza mała firma?

– Właśnie – rzucił triumfalnie Holden.

– Yy... – odezwał się znowu Amos.

– Nie no, dokładnie oto pytałem – kontynuował Holden. – Kim jesteśmy? Co chcemy robić? Bo kiedy skończy się nasz bieżący kontrakt z Praksem, nasze konto bankowe będzie zawierało przyzwoitą sumę, będziemy właścicielami zaawansowanego okrętu bojowego i będziemy mogli robić, na co tylko będziemy mieć ochotę.

– Jezu, kapitanie – rzucił Amos. – Prawie dostałem wzwodu.

– No nie? – odpowiedział Holden ze śmiechem.

Praks przestał mieszać składniki w misce i wstawił ją do lodówki. Odwrócił się i popatrzył na nich ostrożnie jak osoba bojąca się, że zostanie poproszona o wyjście, jeśli ktoś ją zauważy. Holden podszedł do niego i objął go ramieniem.

– Nasz przyjaciel Praks nie może być jedynym człowiekiem, który może potrzebować wynajęcia statku takiego jak nasz, prawda?

– Jesteśmy szybsi i groźniejsi od praktycznie każdej jednostki cywilnej – zgodził się Aleks.

– A kiedy znajdziemy Mei, zyskamy taki rozgłos, jaki tylko może się nam zamarzyć – dodał Holden. – Czy można zdobyć lepszą reklamę?

– Przyznaj się, kapitanie – powiedział Amos. – Po prostu lubisz być sławny.

– Jeśli to da nam pracę, to czemu nie.

– Dużo bardziej prawdopodobne jest, że skończymy

spłukani, bez powietrza, dryfując martwi przez kosmos – odezwała się Naomi.

– Zawsze istnieje taka możliwość – przyznał Holden. – Ale czy nie chciałabyś dla odmiany sama sobie szefować? Jeśli okaże się, że nie wyrabiamy na własny rachunek, zawsze możemy sprzedać statek za wielki wór pieniędzy i rozejść się. Mamy plan awaryjny.

– Tak – rzucił Amos. – Cholera, tak. Zróbmy to. Jak się zaczyna?

– Cóż – stwierdził Holden. – To kolejna nowość. Sądzę, że powinniśmy głosować. Nikt z nas nie jest właścicielem tego statku, więc uważam, że od tej pory takie decyzje powinny być poddawane pod głosowanie.

– Kto za tym, żeby zawiązać firmę będącą właścicielem statku, ręka do góry – ogłosił Amos.

Ku radości Holdena wszyscy unieśli ręce. Nawet Praks zaczął unosić swoją, ale uświadomił sobie, co robi i zaraz ją opuścił.

– Znajdę nam radcę prawnego na Ceres i zajmę się papierami – powiedział Holden. – Ale to prowadzi do następnej sprawy. Firma może być właścicielem statku, ale spółka nie może być zarejestrowanym kapitanem. Musimy głosować nad tym, kto dostanie ten tytuł.

Amos wybuchnął śmiechem.

– Daj sobie siana. Podnieść rękę, jeśli kapitanem ma *nie* być Holden.

Nikt się nie ruszył.

– Widzisz? – rzucił Amos.

Holden zaczął mówić, ale urwał, gdy coś dziwnego stało się z jego gardłem i poczuł coś za mostkiem.

– Słuchaj – powiedział Amos z ciepłym wyrazem twarzy.

– Ty po prostu jesteś tym gościem.

Naomi przytaknęła i uśmiechnęła się do Holdena, co tylko nasiliło przyjemny ból w piersi.

– Jestem inżynierem – powiedziała. – Na tym statku nie ma programu, którego nie zmodyfikowałam lub przepisałam od zera i teraz pewnie mogłabym go rozebrać na części i złożyć z powrotem, ale nie potrafię blefować w kartach. I nigdy nie będę osobą, która patrzy na szefów połączonych sztabów planet wewnętrznych i mówi „wynoście się”.

– Potwierdzam – rzucił Aleks. – A ja tylko chcę latać moją dzieciną. To wszystko i nic więcej. Jeśli będę mógł to robić, będę szczęśliwy.

Holden znowu zaczął coś mówić, ale ku jego zaskoczeniu i wstydu, gdy tylko otworzył usta, w jego oczach pojawiły się łzy. Uratował go Amos.

– Jestem tylko mechanikiem – rzucił. – Przystawiam narzędzia i przeważnie czekam na Naomi, żeby mi powiedziała, kiedy i gdzie. Nie mam ochoty kierować niczym większym od warsztatu. Ty masz gadane. Widziałem, jak stawiasz się Fredowi Johnsonowi, kapitanom floty ONZ, kowbojom SPZ i naćpanym kosmicznym piratom. Dupą gadasz lepiej niż większość ludzi na trzeźwo gębą.

– Dziękuję – wydusił w końcu z siebie Holden. – Kocham was. Wiecie o tym, prawda?

– A na dodatek – odezwał się znowu Amos – nikt na tym statku nie będzie się bardziej starał zasłonić mnie przed pociskiem niż ty. Podoba mi się takie zachowanie u kapitana.

– Dzięki – powiedział Holden jeszcze raz.

– No to chyba ustalone – skomentował Aleks, wstając i ruszając w stronę drabiny. – Lepiej pójde sprawdzić, czy nie lecimy na jakąś skałę czy coś takiego.

Holden przyglądał się, jak odchodzi i bardzo podniosło go na duchu, gdy zobaczył, że zaraz po wyjściu z kambuza przetarł oczy. Można było sobie pozwolić na łyzy, gdy innym wokół też pociły się oczy.

Praks niezdarnie klepnął go w ramię i powiedział:

– Przyjdź do kambuza za godzinę. Budyń będzie gotowy.
– A potem odszedł do swojej kajuty. Zamykając drzwi, już czytał wiadomości na swoim ręcznym terminalu.

– No dobra – rzucił Amos. – Co teraz?

– Amos – powiedziała Naomi, wstając i przechodząc przed Holdenem. – Przejmij, proszę, ode mnie na jakiś czas mostek.

– Potwierdzam – odpowiedział Amos z uśmiechem słyszalnym tylko w jego głosie. Wspiął się po drabinie i zniknął z widoku wraz z głośnym hukiem zamykającego się za nim wjazdu.

– Cześć – powiedział Holden. – Dobrze zrobiłem?

Przytaknęła.

– Czuję, jakbym cię odzyskała. Martwiłam się, że już nigdy cię nie zobaczę.

– Gdybyś mnie nie wyszarpnęła z dziury, którą sobie kopalem, żadne z nas by nie zobaczyło.

Naomi przesunęła się do przodu, by go pocałować, a on objął ją i mocno przycisnął.

– Nie za szybko? – zapytał, gdy przerwali, by nabrać powietrza.

– Zamknij się – rzuciła i znów go pocałowała.

Nie przerywając pocałunku, odsunęła się od niego i

zaczęła rozpinąć suwak jego kombinezonu. Jednego z tych niedorzecznych marsjańskich kombinezonów wojskowych z TACHI wyszytym na plecach. Teraz, gdy założą własną firmę, będą potrzebować czegoś lepszego. Kombinezony były bardzo wygodne wżyciu na statku przy zmieniającym się ciśnieniu i częściach mechanicznych pokrytych smarem, ale przydałoby się coś dopasowanego rozmiarem, w ich własnych barwach. Z nazwą ROSYNANT na plecach.

Dłoń Naomi dostała się pod kombinezon i koszulkę, a jego opuściły wszelkie myśli związane ze strojami.

– Moja koją czy twoja? – zapytał.

– Masz swoją koję?

Już nie.

* * *

Kochanie się z Naomi byto zawsze inne niż z kimkolwiek wcześniej. Część z tego wiązało się z fizycznością, była jedyną Pasiarką, z jaką kiedykolwiek poszedł do łóżka, a to znaczyło, że fizycznie była na pewne sposoby inna. Jednak dla niego nie to było najistotniejsze. Różnica z Naomi polegała na tym, że zanim zaczęli ze sobą sypiać, przez pięć lat byli przyjaciółmi.

Nie było to najlepszym świadectwem jego charakteru i krzywił się, gdy teraz o tym pomyślał, ale zawsze był dość płytki w zakresie seksu. Wybierał potencjalne partnerki seksualne w kilka minut od poznania nowej kobiety, a ponieważ był przystojny i czarujący, zwykle dostawał te, którymi się zainteresował. Zawsze szybko pozwalał sobie mylić zauroczenie z prawdziwym uczuciem. Jednym z jego najboleśniejszych wspomnień był dzień, kiedy Naomi

nazwała sprawy po imieniu. Ujawniła jego gierkę rozgrywaną za każdym razem, gdy wmawiał sobie, że naprawdę kocha kobiety, z którymi sypia, żeby nie mieć wrażenia, że je wykorzystuje.

Choć rzeczywiście tak robi). Fakt, że kobiety też go wykorzystywały, wcale nie poprawiał sytuacji.

Ponieważ Naomi była tak odmienna fizycznie od ideału, jaki wytworzyło w nim dorastanie na Ziemi, przy pierwszym spotkaniu nie zobaczył w niej potencjalnej partnerki seksualnej, a dzięki temu poznał ją jako osobę bez żadnego seksualnego bagażu, który zwykle ze sobą dźwigał. Był bardzo zaskoczony, kiedy uczucia przerosły przyjaźń.

I w jakiś sposób zmieniło to wszystko, co dotyczyło seksu. Ruchy mogły być te same, ale pragnienie dowiedzenia uczucia – zamiast wykazania swojej sprawności – całkowicie zmieniało ich znaczenie. Po ich pierwszym razie leżał w łóżku całymi godzinami, czuł się tak, jakby przez lata robił to źle i dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

Znowu miał podobne uczucie.

Naomi spała na boku obok niego z ręką zarzuconą na jego pierś i biodrami przyciśniętymi do jego uda, brzuchem do bioder i z piersiami przy żebrach. Nigdy nie zaznał czegoś takiego z nikim wcześniej, a tak właśnie powinno być. Poczucie całkowitej swobody i satysfakcji. Mógł sobie wyobrazić przyszłość, w której nie potrafił dowieść tego, że się zmienił i w której nigdy by do niego nie wróciła.

Widział lata i dziesięciolecia partnerek seksualnych, zawsze w bezskutecznych próbach odtworzenia tego

uczucia, bo oczywiście tak naprawdę nie chodziło tu o seks.

Od myślenia o tym ścisnęło go w żołądku.

Naomi mówiła przez sen. Jej usta szeptały coś tajemniczego do jego szyi i nagle łaskotanie obudziło go dostatecznie, by uświadomił sobie, że zapadł w sen. Przytulił jej głowę do swojej piersi i pocałował jej czubek, a potem obrócił się na bok i pozwolił sobie odpłynąć.

Zabrzączał monitor ścienny nad łóżkiem.

– Kto tam? – zapytał, nagle zmęczony jak nigdy dotąd. Ledwie przed sekundą zamknął oczy i wiedział, że teraz już nie będzie w stanie ich otworzyć.

– Ja, kapitanie – poinformował Aleks.

Holden chciał na niego wrzeszczeć, ale nie miał na to siły.

– Dobra.

– Musisz to zobaczyć – powiedział Aleks, ale coś w jego głosie obudziło Holdena.

Usiadł, odsuwając rękę Naomi. Powiedziała coś niewyraźnego, ale się nie obudziła.

– Dobra – powtórzył i włączył monitor.

Popatrzyła na niego siwowłosa starsza kobieta z dziwnymi rysami twarzy. Jego rozespany umysł potrzebował chwili na zrozumienie, że nie jest zniekształcona, tylko rozgniatana przez silne przyspieszenie. Odezwała się głosem zmienionym przez duże ciśnienie działające na gardło.

– Nazywam się Chrisjen Avasarala. Jestem asystentką podsekretarza obecnego rządu ONZ. Admirał ONZ wysłał z układu Jowisza sześć niszczycieli klasy Munroe w celu zniszczenia pańskiego statku. Proszę prześledzić kod tego

transpondera i spotkać się ze mną albo zginie pan wraz ze wszystkimi na pokładzie. To nie jest żaden pieprzony żart.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Praks

Ciąg wgniatał go w pryczę przeciążeniową. To było tylko cztery g, ale nawet zwykle pełne ziemskie ciążenie w jego przypadku wymagało prawie pełnego koktajlu leków. Żył w miejscu, które uczyniło go słabym. Oczywiście, wiedział o tym, ale głównie w kontekście ksylemu i łyka. Przyjmował zwykle suplementy medyczne wymagane w niskim ciążeniu do nasilania wzrostu kości. Ćwiczył zgodnie z zaleceniami. Zwykle. Jednak wgłębi duszy zawsze uważał to za idiotyzm. Był botanikiem. Miał przeżyć całe życie i umrzeć w znajomych tunelach i ich przyjaznym, niskim ciążeniu, poniżej jednej piątej ziemskiego. Jednej piątej ciążenia Ziemi, której nie miał powodu odwiedzać. Jeszcze mniej miał powodów podejrzewać, że kiedykolwiek będzie musiał znosić lot z wysokim ciążeniem, a jednak leżał właśnie w żelu i czuł się jak na dnie oceanu. Widział niewyraźnie i musiał walczyć o każdy wdech. Kiedy jego kolano nadmiernie się rozciągnęło, chciał krzyknąć, ale nie potrafił wciągnąć dość powietrza.

Pozostali radzili sobie lepiej, byli przyzwyczajeni do takich rzeczy. Wiedzieli, że przeżyją. Jego mózg nie był tego wcale pewien. Igły wbiły się w ciało na udzie, wstrzykując mu kolejną mieszankę hormonów i środków

na porażenie. Z miejsc wkłucia rozeszło się zimno jak dotyk lodu, a na jego umysł spłynęło paradoksalne poczucie spokoju i lęku równocześnie. Na tym etapie leki były jak chodzenie po ostrzu noża, wymagały zrównoważenia między utrzymaniem elastyczności naczyń krwionośnych na tyle, by nie pękły, a wzmocnieniem ich, by się nie zapadły. Jego umysł uciekł, przygnieciony ciężeniem, zostawiając po sobie coś oderwanego i wyrachowanego. Tak jakby zostały mu tylko funkcje wykonawcze, bez poczucia samoświadomości. To, co zajęło miejsce jego umysłu, wiedziało wszystko to, co on, pamiętało jego wspomnienia, ale nie było nim.

W tym dziwnym stanie świadomości zaczął dokonywać inwentaryzacji. Czy byłoby w porządku, gdyby teraz zginął? Czy chciał żyć, a jeśli tak, to na jakich warunkach? Rozważał utratę córki, jakby była fizycznym obiektem. Strata miała barwę różowej, rozgniecionej muszelki, zamiast wcześniejszego, krwawego strupa. Czerwieni pępowiny gotowej na oderwanie. Pamiętał Mei, jej wygląd. Radość jej śmiechu. Teraz już taka nie była. Jeśli w ogóle żyła. Choć pewnie zginęła.

Uśmiechnął się w przygniecionym ciężeniem umyśle. Oczywiście, jego usta nie mogły zareagować. Mylił się. Cały czas się mylił. Siedzenie w samotności i powtarzanie sobie, że Mei nie żyje. Sądził, że się uodparnia, wzmacnia. Przygotowuje na najgorsze. To wcale nie było prawdą. Mówił to i próbował w to wierzyć, bo sądził, że znajdzie w tym ukojenie.

Jeśli nie żyła, nikt jej nie torturował. Jeśli nie żyła, nie bała się. Jeśli nie żyła, to tylko on cierpiał, wyłącznie on

sam, a ona była bezpieczna. Bez satysfakcji lub bólu stwierdził, że takie myślenie było patologiczne. Jednak zabrano mu całe życie i jego, i córki, przeżył prawie zagłodzenie przy szalejącym na Ganimesedzie efekcie kaskadowym, jadł to, co udało mu się tam zdobyć, strzelano do niego, spotkał na wpół obcą maszynę do zabijania i był teraz znany w całym Układzie Słonecznym jako sadysta i pedofil. Nie miał powodu zostać przy zdrowych zmysłach. To mu w niczym nie mogło pomóc.

A na dodatek *naprawdę* bolało go kolano.

Gdzieś daleko, bardzo daleko stąd, w miejscu ze światłem i powietrzem, coś zabrzączało trzy razy i góra stoczyła się z jego mostka. Powrót do samego siebie był jak wynurzenie się z dna basenu.

– Dobra, załoga – zabrzmiał głos Aleksa w interkomie. – Robimy przerwę na kolację. Możecie poświęcić kilka minut na wypełnienie z kręgosłupów i spotkamy się w kambuzie. Mamy tylko pięćdziesiąt minut, więc korzystajcie, póki możecie.

Praks głęboko wciągnął powietrze, wypuścił je przez zęby, a potem usiadł. Całe ciało wydawało się poobijane. Według ręcznego terminala ciężenie wynosiło tylko jedną trzecią g, ale miał wrażenie, że to równocześnie więcej i mniej. Przerzucił nogi przez brzeg pryczy, a kolano wyemitowało mokre, zgrzytliwe pyknięcie. Stuknął w terminal.

– Yyy, nie jestem pewien, czy mogę chodzić – powiedział.
– Moje kolano.

– Trzymaj się, doktorcu. – Z głośnika dobiegł głos Amosa.
– Przyjdę na nie spojrzeć. W tej chwili jestem najlepszym przybliżeniem sanitariusza, chyba że chcesz się oddać w

objęcia szpitala.

– Tylko nie próbuj go zespawać – skomentował Holden. – To nie zadziała.

Zamknął połączenie. Czekając, Praks sprawdził przychodzące wiadomości. Lista była za długa, by zmieścić się na ekranie, ale było tak ciągle, od kiedy wyemitowali jego prośbę o pomoc. Zmieniły się tylko nagłówki wiadomości.

GWAŁCICIELE DZIECI POWINNI BYĆ TORTUROWANI NA ŚMIERĆ

NIE SŁUCHAJ NIENAWISTNIKÓW

WIERZĘ CI

MÓJ OJCIEC ZROBIŁ MI TO SAMO

ZWRÓĆ SIĘ DO JEZUSA, ZANIM BĘDZIE ZA PÓŹNO

Nie otwierał ich. Sprawdził kanały informacyjne pod kątem nazwiska swojego i Mei i znalazł siedem tysięcy aktywnych programów z tymi słowami kluczowymi. Nicola miała tylko pięćdziesiąt.

Był taki czas, gdy kochał Nicolę, a przynajmniej tak uważał. Pragnął seksu z nią tak bardzo, jak niczego wcześniej w całym życiu. Mówił sobie, że to były dobre czasy. Wspólnie spędzone noce. Mei była owocem ciała Nicoli. Trudno było uwierzyć, że coś tak cennego i ważnego w jego życiu było też częścią kobiety, której – sądząc po dowodach – tak naprawdę wcale nie znał. Nawet jako ojciec jej dziecka nie znał kobiety, która mogła nagrać coś takiego.

Otworzył funkcję nagrywania terminala, wymierzył kamerę w siebie i oblizał wargi.

– Nicola...

Dwadzieścia sekund później zatrzymał rejestrację i

skasował nagranie. Nie miał nic do powiedzenia. *Kim jesteś i za kogo mnie uważasz?* było najbliżej tego, co chciałby powiedzieć, ale nie interesowały go odpowiedzi na te pytania.

Wrócił do wiadomości, filtrując po nazwiskach ludzi, którzy pomogli mu w szukaniu. Od poprzedniego razu nie przyszło nic nowego.

– Cześć, doktorku – rzucił Amos, wchodząc do małego pomieszczenia.

– Przepraszam – powiedział Praks, odkładając terminal do schowka przy pryczy przeciążeniowej. – Po prostu podczas ostatniego lotu z wysokim przyśpieszeniem...

Wskazał swoje kolano. Było opuchnięte, choć nie aż tak, jak się spodziewał. Sądził, że będzie dwukrotnie większe, ale leki przeciwzapalne wstrzyknięte mu wcześniej przez pryczę spełniały swoją rolę. Amos kiwnął głową, oparł dłoń na mostku Praksa i dość łagodnie pchnął go z powrotem na żel.

– Mnie czasem wyskakują palce u nóg – powiedział. – Drobne stawy, ale wystarczy ustawić palce pod złym kątem, a przy takim ciągu boli jak cholera. Spróbuj się nie spinać, doktorku. – Amos przyklęknął na jedno kolano, obmacując staw. – Nie jest źle. Zaraz to nastawimy, dobra?

Mechanik objął jedną dłońią kostkę Praksa, drugą zaparł się o ramię pryczy i pociągnął powoli, ale z dużą siłą. Kolano wybuchło bólem. Poczuł, jak coś w środku przeskakuje i doznał mdlącego uczucia przesuwających się ścięgien.

– Gotowe – rzucił Amos. – Kiedy znów włączymy wysoki ciąg, dopilnuj, żeby dobrze ułożyć nogę. Jeśli znowu je teraz nadwyręzysz, wywali ci rzepkę, wiesz?

– Jasne – potwierdził Praks i zaczął się podnosić.

– Cholernie mi przykro, doktorcu – powiedział Amos, znowu kładąc mu rękę na piersi i pchając z powrotem na łóżko. – Znaczy rozumiem, że masz fatalny dzień i w ogóle, ale wiesz, jak to jest.

Praks zmarszczył brwi. Wszystkie mięśnie jego twarzy wydawały się poobijane.

– O co chodzi?

– Wszystkie te bzdury, które opowiadają o tobie i małej... To tylko bzdury, prawda?

– Oczywiście – odparł Praks.

– Bo wiesz, czasem coś może się zdarzyć, nawet jeśli wcale się tego nie chciało. Może miałeś ciężki dzień i straciłeś panowanie nad sobą? Albo, cholera, upiłeś się. Wiesz, niektóre z tych rzeczy, które robiłem pod wpływem... Nawet nie wiedziałem, dopóki nie wytrzeźwiałem. – Amos się uśmiechnął. – Mówię tylko, że jeśli w tym wszystkim jest ziarenko prawdy, coś, co zostało przesadzone, byłoby lepiej, gdybyśmy wiedzieli, nie?

– Nigdy nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy, o których mówiła.

– Mnie możesz powiedzieć, doktorcu. Ja rozumiem. Czasami faceci robią różne rzeczy, to nie znaczy, że są źli.

Praks odepchnął dłoń Amosa i podniósł się do pozycji siedzącej. Kolano już tak nie bolało.

– Nieprawda – odpowiedział. – To znaczy, że są źli.

Amos wyraźnie się rozluźnił, a jego uśmiech zmienił się w niezrozumiały dla Praksa sposób.

– W porządku, doktorcu. Jak już mówiłem, bardzo mi przykro, ale musiałem zapytać.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział Praks, wstając. Przez chwilę miał wrażenie, że kolano ustąpi, ale wytrzymało. Zrobił ostrożny krok, potem następny. Będzie działać. Odwrócił się, by ruszyć do kambuza, ale rozmowa jeszcze nie dobiegła końca. – Gdybym to zrobił. Gdybym zrobił coś z tych rzeczy, czy naprawdę nie miałbyś nic przeciwko temu?

– Och, kurwa, nie! Skręciłbym ci kark i wyrzucił przez służę – zapewnił Amos, klepiąc go w ramię.

– Aha. – Praks poczuł ulgę. – Dziękuję.

– Zawsze do usług.

Kiedy razem dotarli do kambuza, pozostała trójka już tam była, ale pomieszczenie i tak wydawało się zapełnione tylko do połowy. Nawet mniej. Naomi i Aleks siedzieli po przeciwnych stronach stołu i żadne z nich nie wyglądało tak źle, jak czuł się Praks. Holden odwrócił się od ściany z miskami w dłoniach. Brązowa maź w środku pachniała ciepłem, ziemią i gotowanymi liśćmi. Gdy tylko woń dotarła do jego nosa, poczuł potworny głód.

– Zupa z soczewicy? – zapytał Holden, gdy Praks i Amos siadali po obu stronach Aleksa.

– Byłoby cudownie – odpowiedział Praks.

– Ja wezmę tubkę gluta – odpowiedział Amos. – Po soczewicy mam wzdęcia, a nie sądzę, żeby pęknięcie jelita przy następnym przyśpieszeniu było zabawne.

Holden postawił przed Praksem świeżo podgrzaną miskę, a Amosowi podał białą tubkę z czarnym plastikowym smoczkiem, a potem usiadł koło Naomi. Nie dotykali się, ale nie dało się nie zauważyć przepływających między nimi fluidów. Zastanawiał się, czy Mei kiedykolwiek chciała, żeby pogodził się z Nicolą.

Teraz było to już niemożliwe.

– Dobra, Aleks – odezwał się Holden. – Jak wygląda sytuacja?

– Tak samo jak wcześniej – odparł zapytany. – Sześć niszczycieli leci w naszą stronę pełnym ciągiem. Za nimi druga taka sama grupa, a ścigacz regatowy oddala się od nas w przeciwnym kierunku.

– Chwila – obudził się Praks. – W przeciwnym kierunku?

– Dopasowali się do naszego kursu. Zrobili już zwrot i teraz nabierają prędkości, żeby do nas dołączyć.

Praks zamknął oczy, wyobrażając sobie wektory.

– Czyli jesteśmy prawie na miejscu, tak? – zapytał.

– Prawie – potwierdził Aleks. – Osiemnaście do dwudziestu godzin.

– Jak się to wszystko rozegra? Czy statki Ziemi nas dogonią?

– Dogonią nas jak cholera – potwierdził Aleks – ale najpierw spotkamy się z tym ścigaczem. Oni złapią nas za jakieś cztery dni.

Praks nabrał łyżkę zupy, smakowała tak dobrze, jak pachniała. Wśród soczewicy pływały ciemnozielone liście, a on rozłożył jeden łyżką, próbując go zidentyfikować. Może szpinak. Brzeg łodyżki nie wyglądał do końca właściwie, ale w końcu był gotowany...

– Na ile jesteśmy pewni, że to nie pułapka? – zapytał Amos.

– Nie jesteśmy – przyznał Holden. – Ale nie bardzo widzę, jak miałyby to działać.

– Gdyby chcieli nas zgarnąć, zamiast zabić – zasugerowała Naomi. – Mówimy tu o otwarciu śluzy dla kogoś na bardzo wysokim szczeblu ziemskiego rządu.

– Czyli ona jest tym, za kogo się podaje? – zapytał Praks.

– Na to wygląda – potwierdził Holden.

Aleks podniósł rękę.

– Cóż, jeśli mam do wyboru rozmawiać z jakąś drobną staruszką z ONZ albo zostać rozstrzelanym przez sześć niszczycieli, to chyba wolę wyciągnąć ciasteczka i herbatę, nie?

– Zresztą teraz jest już trochę za późno na inny plan – dodała Naomi. – Choć bardzo nie podoba mi się myśl o Ziemiance ratującej mnie przed Ziemiانami.

– Struktury nigdy nie są monolityczne – skomentował Praks. – Zmienność genetyczna Pasiarzy, Marsjan czy Ziemiان w ramach tych grup jest większa niż między nimi. Ewolucja przewiduje podziały w ramach struktur grupowych i sojusze ze strukturami zewnętrznymi. To samo widać u paproci.

– Paproci? – zapytała Naomi.

– Paprocie mogą być bardzo agresywne – zapewnił Praks.

Przerwał im cichy dźwięk: trzy coraz wyższe nuty przypominające delikatnie uderzone dzwoneczki.

– Dobra, kończcie jedzenie – rzucił Aleks. – To ostrzeżenie, że zostało nam piętnaście minut.

Amos wydobył z siebie potężny dźwięk ssania i tuba wyraźnie skurczyła się w jego dłoni. Praks odłożył łyżkę i uniósł miskę z zupą do ust, nie chcąc stracić ani kropli. Holden zrobił to samo, a potem zaczął zbierać brudne naczynia.

– Jeśli ktoś potrzebuje do kibla, to w tej chwili – rzucił. – Porozmawiamy znowu za...

– Osiem godzin – uzupełnił Aleks.

– Osiem godzin – powtórzył Holden.

Praks poczuł ucisk w piersi. Kolejna porcja miazdzącego przyspieszenia. Kolejne godziny z igłami pryczy podtrzymującymi jego zawodzący metabolizm. Zapowiadało się koszmarne. Wstał z za stołu, kiwnął wszystkim głową i wrócił na swoją pryczę. Z kolaniem było dużo lepiej i miał nadzieję, że będzie tak, gdy znowu wstanie. Zabrzmiało ostrzeżenie o dziesięciu minutach. Położył się na pryczy, próbując idealnie ułożyć ciało i zaczął czekać. I czekać.

Obrócił się na bok i chwycił terminal. Siedem nowych wiadomości. Dwie wspierające, trzy nienawistne, jedna zaadresowana do niewłaściwej osoby i jeszcze jedno zestawienie finansowe z banku. Nie zawracał sobie głowy czytaniem ich.

Włączył kamerę.

– Nicola – zaczął. – Nie wiem, co ci powiedzieli, nie wiem, czy naprawdę myślisz te rzeczy, które powiedziałaś. Ale wiem, że nigdy nie wyrządziłem ci krzywdy w złości, nawet na koniec. A jeśli naprawdę się mnie bałaś, to nie wiem dlaczego. Mei to jedyne, co kocham nad życie. Prędzej bym zginął niż pozwolił komuś ją skrzywdzić. A teraz połowa Układu Słonecznego myśli, że ją krzywdziłem...

Zatrzymał nagranie i zaczął od nowa.

– Nicola. Szczerze nie sądziłem, że zostało między nami jeszcze coś do zdradzenia.

Urwał. Zabrzmiało ostrzeżenie o pięciu minutach. Przeczesał palcami włosy. Bolał go każdy mieszek włosowy. Zaczął się zastanawiać, czy nie dlatego Amos golił się na łyso. Było tyle aspektów latania na statku,

które nie przysły mu do głowy, zanim się na jednym z nich nie znalazł.

– Nicola...

Skasował wszystkie nagrania i zalogował się do interfejsu banku z kontem kwesty, znalazł formularz szyfrowanego żądania wysłania upoważnienia transferu natychmiast po tym, jak światło dostarczy go do komputerów banku. Szybko wypełnił dokument. Zabrzmiało ostrzeżenie o dwóch minutach, głośniejsze i bardziej uporczywe. Mając trzydzieści sekund do przyśpieszenia, odesłał pieniądze. Nie miał już nic do powiedzenia.

Odłożył terminal na miejsce i ułożył się na pryczy. Komputer zaczął odliczać od dwudziestu, a potem znowu przygniotła go góra.

* * *

– Jak kolano? – zapytał Amos.

– Całkiem nieźle – przyznał Praks. – Zdziwiłem się, bo sądziłem, że uszkodzenia będą poważniejsze.

– Tym razem go nie rozciągnąłeś – wyjaśnił Amos. – Ja też nie miałem problemów z palcami.

Przez statek przetoczył się dźwięk jak uderzenie dzwonu i pod Praksem przesunął się pokład. Stojący z prawej Holden przełożył karabin do lewej ręki, a potem sięgnął do panelu łączności.

– Aleks?

– Tak, było trochę ostro. Przepraszam, ale... chwila. Tak, kapitanie. Mamy szczelne połączenie. I pukają.

Holden wziął karabin z powrotem do prawej ręki. Amos również trzymał broń w gotowości. Naomi stała obok

nich, trzymając tylko terminal połączony z mostkiem statku. Gdyby coś poszło nie tak, możliwość kontrolowania jednostki mogła być bardziej przydatna od broni. Wszyscy mieli na sobie marsjańskie wojskowe pancerze, które zdobyli wraz ze statkiem. Obie jednostki leciały z przyspieszeniem jednej trzeciej g. Ziemskie niszczyciele wciąż pędziły w ich stronę.

– Po obecności broni zgaduję, że spodziewasz się pułapki, kapitanie? – zapytał Amos.

– Nie ma nic złego w gwardii honorowej – odparł Holden.

Praks podniósł rękę.

– Ty nigdy więcej nie dostaniesz broni do ręki – oświadczył Holden. – Bez urazy.

– Nie, ja tylko... wydawało mi się, że gwardia honorowa jest zazwyczaj po tej samej stronie, co chronieni ludzie?

– Może trochę naciągamy definicję – przyznała Naomi. W jej głosie krył się lekki ślad napięcia.

– To tylko stara polityk – skomentował Holden. – Aten ścigacz pomieści najwyżej dwie osoby. Mamy przewagę liczebną. Zresztą, gdyby zrobiło się nieprzyjemnie, Aleks ogląda wszystko z fotela pilota. Oglądasz, prawda?

– O tak – potwierdził Aleks.

– Więc w razie jakichkolwiek niespodzianek Naomi może nas rozłączyć, a Aleks szybko stąd zabrać.

– Ale to nie pomoże z niszczycielami – zauważył Praks.

Naomi położyła dłoń na jego ramieniu i lekko ścisnęła.

– Nie jestem pewna, czy pomagasz, Praks.

Zewnętrzne drzwi śluzy otworzyły się z odległym szumem. Kontrolki przełączyły się z czerwonych na zielone.

- Hej! – krzyknął Aleks.
- Jakiś problem? – rzucił Holden.
- Nie, tylko...

Otworzyły się wewnętrzne drzwi i do pomieszczenia weszła największa osoba, jaką Praks widział w swoim życiu, ubrana w jakiegoś rodzaju pancerz zwiększający siłę. Gdyby nie przejrzysty wizjer hełmu, pomyślałby, że to dwumetrowy, dwunożny robot. Przez wizjer zobaczył rysy kobiety: duże, ciemne oczy i skórę koloru kawy z mlekiem. Jej spojrzenie przejechało po nich z namacalną groźbą przemocy. Stojący obok niego Amos podświadomie cofnął się o krok.

– Ty jesteś kapitanem – powiedziała kobieta, a głośniki kombinezonu nadały jej głosowi sztuczne, wzmocnione brzmienie. To nie brzmiało jak pytanie.

– Jestem – potwierdził Holden. – Muszę przyznać, że na ekranie wyglądałaś trochę inaczej.

Żart nie wywarł wrażenia i olbrzymka weszła głębiej do pomieszczenia.

– Chcesz do mnie z tego strzelać? – zapytała, wskazując olbrzymią pięścią na karabin Holdena.

– Zadziałałoby?

– Raczej nie – odparła kobieta. Przy akompaniamencie jęków silników pancerza zrobiła kolejny mały kroczek do przodu.

Holden i Amos zrobili po takim samym kroku do tyłu.

– W takim razie uznaj to za gwardię honorową – zaproponował Holden.

– Czuję się uhonorowana. Możecie je teraz odłożyć?

– Jasne.

Dwie minuty później, gdy broń została schowana,

olbrzymia kobieta, która nadal się nie przedstawiła, dotknęła podbródkiem czegoś wewnątrz hełmu i się odezwała.

– W porządku. Może pani wejść.

Śluzka znowu się aktywowała, przechodząc z czerwieni w zieleń przy akompaniamencie szumu otwieranych drzwi. Kobieta, która weszła tym razem, była drobniejsza od każdego z nich. Jej siwe włosy sterczały na wszystkie strony, a pomarańczowe sari, w które była ubrana, dziwnie zwisało w niskim ciśnieniu.

– Podsekretarz Avasarala – odezwał się Holden. – Witamy na pokładzie. Jeśli mogę w czymś...

– Ty jesteś Naomi Nagata – odezwała się zasuszonego staruszka.

Holden wymienił spojrzenia z Naomi, która wzruszyła ramionami.

– Owszem.

– Jak do cholery utrzymujesz włosy w takim porządku? Ja wyglądam, jakby mi jeż wyruchał czaszkę.

– Eee...

– Wygląd to istotny element tego, co utrzyma was wszystkich przy życiu. Nie mamy czasu na opierdzielenie się. Nagata, zrób coś, żebyś wyglądała ładnie i młodo. Holden...

– Jestem inżynierem, nie cholerną fryzjerką – zaprotestowała Naomi z irytacją w głosie.

– Proszę pani – odezwał się Holden – to mój statek i moja załoga. Połowa z nas nie jest nawet obywatelami Ziemi i nie będziemy przyjmować pani rozkazów.

– No dobrze. Panno Nagata, jeśli mamy zapobiec zmianie tego statku w kulę gorącego gazu, musimy opublikować

oświadczenie dla prasy, a nie jestem do tego przygotowana. Czy byłaby mi pani uprzejma pomóc?

– Dobrze – zgodziła się Naomi.

– Dziękuję. Kapitanie? Ogól się, do cholery.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Avasarala

Po *Guanshiyin* – statek Holdena, *Rosynant*, wydawał się zimny, groźny i utylitarny. Żadnych puszystych dywanów i tapet, tylko pokryta tkaniną pianka do złagodzenia kątów w miejscach, gdzie żołnierze mogli zostać rzućni gwałtownymi manewrami statku. Zamiast cynamonem i miodem powietrze pachniało plastikiem i ciepłem typowym dla wojskowych wymienników powietrza. Nie było też żadnego wielkiego biurka, łóżka gotowego na układanie pasjansa i żadnych prywatnych przestrzeni poza gabinetem kapitańskim wielkości kabiny w publicznej ubikacji.

Większość nagrań zrobili w ładowni, stawiając kamery tak, by na obrazie nie było widać żadnej amunicji ani broni. Ktoś znający marsjańskie jednostki mógł się zorientować, gdzie są, ale dla wszystkich innych była to otwarta przestrzeń ze skrzyniami ładunkowymi w tle. Naomi Nagata pomogła zmontować nagranie – była zaskakująco dobra w roli edytora – a kiedy stało się jasne, że żaden z mężczyzn nie potrafi nagrać profesjonalnie brzmiącego komentarza, zrobiła i to.

Załoga zebrała się w ambulatorium, gdzie mechanik Amos Bourton przełączył ekrany na wyświetlanie obrazu z jej ręcznego terminala. Teraz siedział ze skrzyżowanymi

nogami na jednym z łóżek dla pacjentów, uśmiechając się łagodnie. Gdyby Avasarala nie czytała akt wywiadu, dotyczących załogi Holdena, nigdy nie domyśliłaby się, do czego zdolny jest ten człowiek.

Pozostali ustawili się z grubsza w półkolu. Bobbie siedziała obok Aleksa Kamala, podświadomie trzymając się blisko rodaka. Praksidike Meng stał w głębi pomieszczenia. Avasarala nie potrafiła stwierdzić, czy to jej obecność wywołuje jego onieśmienie, czy zawsze taki był.

– No dobrze – potwierdziła. – Ostatnia szansa na uwagi.

– Chciałbym mieć popcorn – skomentował Amos, a skaner medyczny błysnął kontrolką, wyświetlił kod nadawania, a potem wielkie białe litery:

DO NATYCHMIASTOWEGO ROZPOWSZECHNIANIA.

Na ekranie pojawili się Avasarala i Holden. Mówiła z rękami przed sobą, jakby podkreślała swoje słowa. Holden wyglądał poważnie i nachylał się w jej stronę. Głos Naomi brzmiał spokojnie, mocno i profesjonalnie.

– W zaskakującym rozwoju sytuacji zastępczyni podsekretarza rządu, Sadavira Errinwrighta, spotkała się dzisiaj z przedstawicielem SPZ, Jamesem Holdenem, i reprezentantką floty marsjańskiej w celu omówienia kwestii związanych z potencjalnie przełomowymi odkryciami, dotyczącymi niszczycielskiego ataku na Ganimesie.

Obraz przeskoczył na Avasaralę. Nachylała się do przodu, by rozciągnąć szyję i ukryć luźną skórę pod podbródkiem. Długie lata praktyki nadały jej naturalny wygląd, choć prawie słyszała śmiech Arjuna. U dołu ekranu pojawił się podpis z jej nazwiskiem i tytułem.

– Spodziewam się polecieć z kapitanem Holdenem do układu Jowisza – powiedziała Avasarala. – Organizacja Narodów Zjednoczonych Ziemi jest zdecydowanie przekonana, że najlepszym sposobem na przywrócenie równowagi i pokoju w układzie jest wielostronne śledztwo w tej sprawie.

Na ekranie pojawił się Holden i Avasarala siedząca w kambuzie z botanikiem. Tym razem mówił drobny naukowiec, a ona i Holden udawali, że go słuchają. Znowu głos lektorki.

– Zapytana o oskarżenia kierowane pod adresem Praksidike'a Menga, którego poszukiwania córki stały się ludzką twarzą tragedii na Ganimesesie, ziemską delegacja wyraziła się jednoznacznie.

Najazd na poważną twarz Avasarali. Kręciła delikatnie głową w ledwie widocznym zaprzeczeniu.

– Nicola Mulko jest w tym wszystkim postacią tragiczną i osobiście potępiam nieodpowiedzialność kanałów wiadomości, które pozwalają sobie prezentować oświadczenia osób umysłowo chorych, jakby owe były faktem. To, że porzuciła męża i dziecko, nie podlega dyskusji, a jej zmagania z problemami psychologicznymi zasługują na bardziej godne i prywatne medium.

– Czyli obwinia pani media?– zapytała Nagata zza kamery.

– Zdecydowanie – odpowiedziała Avasarala, a na ekranie pojawiło się zdjęcie malucha z roześmianymi czarnymi oczami i ciemnymi warkoczykami. – Pokładamy całkowitą wiarę w miłość doktora Menga do jego córki Mei i w jego poświęcenie. Z przyjemnością dołączamy do wysiłków mających na celu sprowadzenie dziecka do domu.

Koniec nagrania.

– No dobrze – powiedziała Avasarala. – Jakies komentarze?

– Właściwie to już nie pracuję dla SPZ – zauważył Holden.

– Aja nie jestem upoważniona do reprezentowania marsjańskiej floty – dodała Bobbie. – Nawet nie jestem pewna, czy powinnam z panią pracować.

– Dziękuję. Jakies istotne komentarze? – Avasarala zmodyfikowała pytanie.

Przez chwilę panowała cisza.

– Mnie się podobało – skomentował Praksidike Meng.

* * *

Był jeden punkt, który sprawiał, że *Rosynant* był nieskończenie lepszy od *Guanshiyin*, i był to ten jedyny, który ją obchodził. Wiązka kierunkowa należała do niej. Opóźnienie było coraz gorsze z każdą godziną, z którą oddalała się od Ziemi, ale świadomość, że wysyłane przez nią wiadomości nie muszą być zgłaszane Nguyenowi i Errinwrightowi – dała jej wrażenie swobodnego oddychania. Nie mogła kontrolować tego, co działo się z nimi po dotarciu na Ziemię, ale to zawsze było prawdą. To był element gry. Admirał Souther wyglądał na zmęczonego, ale o twarzy oglądanej na tak małym ekranie trudno było powiedzieć coś więcej.

– Kopnęłaś w ul, Chrisjen – powiedział. – Wygląda to tak, jakbyś zrobiła z siebie żywą tarczę dla bandy ludzi, którzy nawet dla nas nie pracują. I domyślałam się, że taki miałaś plan. Zrobiłem to, o co prosiłaś. I faktycznie, Nguyen spotykał się z Julesem– Pierre'em Mao. Pierwszy raz zaraz

po jego przesłuchaniu w sprawie Protogenu. I owszem, Errinwright o nich wiedział, ale to niewiele znaczy. Też spotykałem się z Mao, to wąż, ale jeśli przestaniemy się zadawać z ludźmi jego pokroju, wielu nam nie zostanie. Kampania oszczerstw skierowana przeciwko twojemu naukowcowi wyszła z biura sekretarza, co, muszę przyznać, wywołało u wielu z nas w siłach zbrojnych wyraźną nerwowość. Wygląda na to, że doszło do podziałów w strukturach władzy i zaczynają się pojawiać wątpliwości, czyich rozkazów powinniśmy słuchać. Jeśli do tego dojdzie, twój przyjaciel Errinwright wciąż ma wyższą pozycję. Jeśli on albo sekretarz generalny przyjdą do mnie z bezpośrednim rozkazem, będę potrzebował cholernie dobrego powodu, by sądzić, że jest nielegalny. I chociaż wszystko śmierdzi jak skunks, to jeszcze takiego powodu nie mam. Wiesz, co chcę powiedzieć.

Nagranie się skończyło. Avasarala przycisnęła palce do ust. Rozumiała. Nie podobało jej się to, ale rozumiała. Podniosła się z fotela. Stawy wciąż bolały ją z powodu gonitwy za *Rosynantem*, a to, jak statek czasem przesuwiał się pod nią w korektach kursu, zmieniając ciężenie o stopień lub dwa, wzbudzało w niej mdłości. Dotarła aż tutaj.

Korytarz prowadzący do kambuza był krótki, ale skręcał tuż przed wejściem. Głosy niosły się na tyle dobrze, że Avasarala szła cicho. Niski głos Marsjanina należał do pilota, a tembr głosu i sposób wymawiania samogłosek przez Bobbie były bardzo charakterystyczne.

– ...która mówi kapitanowi, gdzie ma stanąć i jak wyglądać. Amos kilka razy wyglądał jakby chciał ją wyrzucić przez śluzę.

– Mógłby spróbować – odpowiedziała Bobbie.

– A ty dla niej pracujesz?

– Właściwie to już nie wiem, dla kogo, u diabła, pracuję. Chyba nadal dostaję pensję z Marsa, ale wszystkie moje wydatki są pokrywane z budżetu jej biura. W zasadzie gram to wszystko ze słuchu.

– Wydaje się trudne.

– Jestem marinę – odpowiedziała Bobbie, a Avasarala przystanęła. Ton głosu był niewłaściwy. Brzmiał w nim spokój, prawie rozluźnienie. Niemal satysfakcja. Interesujące.

– Czy ktokolwiek w ogóle ją lubi? – zapytał pilot.

– Nie – odparła Bobbie, prawie jeszcze zanim pytanie zostało zadane do końca. – Cholera, nie, a jej się to podoba. To, jak się zachowała z Holdenem, wchodząc na jego statek i pomiatając nim, jakby to ona była jego szefem – zawsze taka jest. Sekretarz generalny? Prosto w oczy nazywa go pustogłowym.

– A dlaczego tak przeklina?

– To część jej uroku – odpowiedziała Bobbie.

Pilot zaśmiał się i rozległy się odgłosy picia czegoś.

– Może źle zrozumiałem zasady polityki – wyznał. A chwilę później zapytał: – Lubisz ją?

– Tak.

– Mogę wiedzieć, dlaczego?

– Obchodzi nas to samo – wyjaśniła Bobbie, a zamyślenie w jej głosie sprawiło, że Avasarala poczuła się niekomfortowo, podsłuchując.

Odchrząknęła i weszła do kambuza.

– Gdzie jest Holden? – zapytała.

– Pewnie śpi – stwierdził pilot. – W statkowym cyklu

dobowym jest druga nad ranem.

– Ach – skomentowała Avasarala.

Dla niej było wczesne popołudnie. To będzie stanowić pewien problem. Wszystko w jej życiu zdawało się chwilowo związane z opóźnieniem, kolejne czekanie na dotarcie wiadomości przez olbrzymi bezmiar próżni. Ale przynajmniej mogła się przygotować.

– Będę chciała odbyć spotkanie ze wszystkimi na pokładzie, gdy tylko wstaną – powiedziała. – Bobbie, będziesz znowu potrzebowała swojego stroju wieczorowego.

Bobbie potrzebowała tylko kilku sekund na zrozumienie.

– Pokaże im pani potwora – stwierdziła.

– A potem będziemy tu siedzieć i rozmawiać, aż dowiemy się, co oni, tu na statku, wiedzą. Czarne charaktery martwią się nimi na tyle, że były gotowe wysłać swoich chłopców, żeby ich zabili – potwierdziła.

– A właśnie, w tej sprawie – odezwał się pilot. – Te niszczyciele wyraźnie zwolniły, ale na razie nie wyglądają, jakby miały zawracać.

– To nie ma znaczenia – rzuciła Avasarala. – Wszyscy już wiedzą, że jestem na tym statku. Nikt nie będzie do niego strzelał.

Załoga zebrała się ponownie w porze lokalnego poranka, który był wczesnym wieczorem dla Avasarali. Zamiast ściągać do kambuza cały pancierz wspomagany, Avasarala skopiowała zapisane w nim nagranie i przekazała Naomi. Członkowie załogi byli wyraźnie wypoczęci – poza pilotem, który został na nogach zdecydowanie za długo, rozmawiając z Bobbie, i botanikiem, który wyglądał, jakby był trwale wyczerpany.

– Nie powinnam tego nikomu pokazywać – oznajmiła Avasarala, patrząc znacząco na Holdena. – Ale w tej chwili, na tym statku, sądzę, że wszyscy powinniśmy wyłożyć karty na stół. I jestem gotowa zrobić to pierwsza. To jest atak na Ganimesesie. Coś, co tak naprawdę zaczęło cały ten bałagan. Naomi?

Inżynier włączyła odtwarzanie, a Bobbie odwróciła się i wbiła wzrok w ścianę. Avasarala też nie oglądała, skupiła uwagę na twarzach pozostałych. Studiowała ich, gdy obserwowali rozgrywającą się na ekranie krwawą masakrę, i dowiedziała się trochę więcej o ludziach, z którymi miała do czynienia. Mechanik, Amos, oglądał ze spokojną rezerwą profesjonalnego zabójcy. Żadnych niespodzianek. Holden, Naomi i Aleks z początku byli przerażeni, a Aleks i Naomi zapadli w coś w rodzaju szoku. W oczach pilota pojawiły się łzy. Z drugiej strony, Holden się zjeżył. Wysunął ramiona do przodu, a w jego oczach i kącikach ust pojawiło się coś, co można było zinterpretować tylko jako wściekłość. Bardzo interesujące. Zwrócona plecami do ekranu Bobbie zaczęła otwarcie płakać, a na jej twarzy rysował się wyraz melancholii. Pogrzeb. Praksidike – wszyscy inni zwracali się do niego Praks – był jedynym, który wydawał się prawie szczęśliwy. Kiedy na koniec nagrania potwór wybuchł, Praks klasnął i krzyknął z satysfakcją.

– Zgadza się – powiedział. – Miałeś rację, Aleks. Widziałeś, jak zaczęły mu rosnać nowe kończyny? Katastrofalny krach ograniczeń. To *był* mechanizm zabezpieczający.

– No dobrze – odezwał się Avasarala. – Może powie pan to jeszcze raz, tylko jaśniej. Co było mechanizmem

zabezpieczającym?

– Druga postać protomolekuły wydzieliła ładunek wybuchowy ze swojego ciała, zanim eksplodował. Widzi pani, te... stwory – ci żołnierze protomolekuły czy cokolwiek to jest – zrywają swoje programowanie i sądzą, że Merrian zdaje sobie z tego sprawę. Nie znaleźli sposobu na powstrzymanie tego, ponieważ ograniczenia zawiodły.

– Kim jest Merrian i co ona ma wspólnego z czymkolwiek? – zapytała Avasarala.

– Chciałaś więcej rzeczowników, babciu – rzucił Amos.

– Może wyjaśnię od postaw – wtrącił się Holden i zrelacjonował atak ukrytej na statku bestii, uszkodzenie drzwi ładowni, plan Praksa wywabienia go ze statku i rozbitcie stwora na atomy plazmą z dyszy silnika.

Avasarala pokazała im posiadane dane dotyczące skoków aktywności energetycznej na Wenus, a Praks rzucił się na nie, przeglądając je i opowiadając o sposobie odkrycia tajnej bazy na Io, gdzie powoływano do życia te stwory. Avasarali zaczęło się od tego kręcić w głowie.

– I tam zabrali pańskie dziecko – powiedziała Avasarala.

– Wszystkie tam zabrali – potwierdził Praks.

– Czemu mieliby to zrobić?

– Bo nie mają układów odpornościowych – wyjaśnił Praks. – Dzięki temu łatwiej jest je przekształcać protomolekułą. W ich ciałach jest mniej układów fizjologicznych walczących z nowymi ograniczeniami komórkowymi, a dzięki temu żołnierze pewnie mogą działać znacznie dłużej.

– Jezu, doktoru – rzucił Amos. – Chcą zmienić Mei w jedną z tych paskudnych rzeczy?

– Prawdopodobnie – przyznał Praks, marszcząc czoło. –

Dopiero teraz to zrozumiałem.

– Ale czemu w ogóle to robić? – zapytał Holden. – To nie ma żadnego sensu.

– Żeby sprzedać je wojsku jako broń pierwszego uderzenia – wyjaśniła Avasarala. – Żeby skonsolidować władzę, zanim... cóż, przed pieprzoną apokalipsą.

– Poproszę o wyjaśnienie – odezwał się Aleks, unosząc rękę. – Czeka nas apokalipsa? Czy nie powinniśmy czegoś o niej wiedzieć?

– Wenus – rzuciła Avasarala.

– Och. Ta apokalipsa – powiedział Aleks, opuszczając rękę. – Racja.

– Żołnierze, którzy mogą podróżować bez statków – odezwała się Naomi. – Można ich wystrzelić, puszczając przez chwilę z dużą prędkością, a potem wyłączyć silniki i lecieć balistycznie. Nie dałoby się ich wykryć.

– Ale to nie *zadziała* – stwierdził Praks z naciskiem. – Pamiętacie? Wyrywają się z ograniczeń. A ponieważ dzielą się informacjami, będzie ich coraz trudniej opanować każdym nowym programowaniem.

W pokoju zapadła cisza. Praks wyglądał na zmieszanego.

– One mogą *dzielić się informacjami*? – zapytała Avasarala.

– Jasne – stwierdził Praks. – Proszę spojrzeć na te skoki mocy.

Pierwszy nastąpił, gdy to coś walczyło z Bobbie i pozostałymi marines na Ganimesie. Drugi pojawił się, gdy ten drugi urwał się w laboratorium. A trzeci, gdy zabiliśmy go *Rosynantem*. Za każdym razem, gdy jeden z nich był atakowany, Wenus reagowała. Są połączeni siecią. Zakładam, że mogą się wymieniać wszystkimi

kluczowymi informacjami. Na przykład sposobami na wyrwanie się ograniczeniom.

– Jeśli użyją ich przeciw ludziom – wtrącił się Holden – nie będzie żadnego sposobu na ich powstrzymanie. Pozbędą się bomb i będą walczyć dalej. Bitwy bez końca.

– Hm. Nie – zaprzeczył Praks. – Nie w tym problem. To znowu kaskada. Gdy tylko protomolekuła zyska trochę swobody, będzie miała więcej narzędzi na obejście ograniczeń, co da jej więcej narzędzi na obejście ograniczeń i tak dalej. Oryginalny program lub coś na jego podobieństwo w końcu zastąpi nowy program. Powrócą do pierwotnego zadania.

Bobbie nachyliła się do przodu z głową skrzyżowaną kilka stopni w prawo. Mówiła cicho, ale w jej głosie brzmiała groźba przemocy głośniejsza od wrzasku.

– Czyli jeśli wypuści się te rzeczy na Marsie, z początku będą żołnierzami jak ten pierwszy, a potem zaczną pozbywać się bomb jak ten wasz. I zmienią Marsa w Erosa?

– W zasadzie w coś gorszego – uściślił Praks. – Każde ze średniej wielkości marsjańskich miast ma o rząd wielkości więcej mieszkańców niż cały Eros.

W kambuzie zapadła cisza. Na monitorze kamera skafandra Bobbie skierowała się na niebo pełne gwiazd, na którym okręty strzelały do siebie na orbicie.

– Muszę wysłać trochę wiadomości – powiedziała Avasarala.

* * *

– Te stworzone przez ciebie na wpół ludzkie istoty nie będą twoimi sługami, nie zdołasz ich kontrolować –

powiedziała Avasarala. – Jules– Pierre Mao wcisnął ci kit. Wiem, dlaczego trzymałeś mnie od tego z daleka i sędzę, że jesteś cholernym idiotą, ale odłóżmy to na bok. W tej chwili to nie ma znaczenia, po prostu nie naciskaj tego pieprzonego spustu. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie rób tego. Będziesz osobiście odpowiedzialny za największą porażkę w historii ludzkości, a siedzę na statku z pieprzonym Jimem cholernym Holdenem, więc poprzeczka nie wisi wysoko.

Pełne nagranie trwało prawie pół godziny. Dołączyła film z kamer monitoringu *Rosynanta*, dotyczący starcia z pasażerem na gapę. Piętnastominutowy wykład Praksa trzeba było wyciąć, gdy dotarł do części o jego córce zmienianej w protomolekularnego żołnierza, kiedy ogarnął go niekontrolowany płacz. Avasarala zrobiła, co mogła, żeby go streścić, ale wcale nie była pewna, czy wszystko dobrze zrozumiała. Przez chwilę rozważała zaangażowanie do tego Jona– Michaela, ale zdecydowała się tego nie robić. Lepiej zostawić wszystko w rodzinie.

Wysłała wiadomość. Znała Errinwrighta i wiedziała, że nie odpowie jej od razu. Poświęci godzinę albo dwie na ocenę, zważenie jej słów, a potem dołoży trochę czasu, żeby się martwiła, zanim w końcu odpowie.

Miała nadzieję, że zachowa się rozsądnie. Musiał.

Potrzebowała snu. Czuła, jak zmęczenie wgryza się w jej umysł i spowalnia ją, ale gdy się kładła, odpoczynek zdawał się równie odległy jak dom. Jak Arjun. Pomyślała o nagraniu wiadomości do niego, ale to tylko nasiliłoby jej uczucie izolacji. Po godzinie wstała z pryczy i ruszyła korytarzami statku. Jej ciało twierdziło, że jest północ albo później, a aktywność na pokładzie – muzyka dobiegająca z

warsztatu, głośna rozmowa między Holdenem a Aleksem na temat konserwacji systemów elektronicznych, a nawet samotnie siedzący w kambuzie Praks, najwyraźniej pielęgnujący pudełko hydroponicznych sadzonek – miała w sobie coś surrealistycznego.

Zaczęła się zastanawiać nad wysłaniem kolejnej wiadomości do Southera. Opóźnienie w łączności z nim było znacznie mniejsze, a tak bardzo pragnęła odpowiedzi, że była gotowa na wszystko. Kiedy odpowiedź wreszcie nadeszła, nie miała formy wiadomości.

– Kapitanie – odezwał się Aleks w okrętowym interkomie. – Powinieneś przyjść na mostek i spojrzeć na to.

Coś w jego głosie powiedziało Avasarali, że sprawa nie dotyczy konserwacji. Znalazła windę na mostek w chwili, gdy Holden ruszył już do góry, i wspięła się po drabinie, zamiast czekać. Nie tylko ona zjawiała się na wezwanie. Bobbie siedziała w wolnym fotelu z oczami utkwionym w ten sam ekran co Holden. Przesuwały się po nim migające dane taktyczne, a kilkanaście jaskrawoczerwonych kropek obrazowało zmiany. Nie rozumiała większości z tego, co widzi, ale ogólne znaczenie było oczywiste. Niszczyciele ruszyły.

– No dobra – odezwał się Holden. – Co widzimy?

– Wszystkie ziemskie niszczyciele lecą pełnym ciągiem. Sześć g – wyjaśnił Aleks.

– Lecą na Io?

– Cholera, nie.

Tak wyglądała odpowiedź Errinwrighta. Żadnych wiadomości. Żadnych negocjacji. Nawet uznania, że

poprosiła go o powstrzymanie się. Okręty. Rozpacz trwała tylko chwilę. Potem pojawił się gniew.

– Bobbie?

– Tak.

– Ta część, kiedy mówiłaś mi, że nie rozumiem grożącego mi niebezpieczeństwa?

– A pani powiedziała, że nie tak rozgrywa się tę grę.

– Ta część.

– Pamiętam. Co z nią?

– Jeśli miałaś ochotę powiedzieć „a nie mówiłam”, to teraz jest dobry moment.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Holden

Pierwszym przydziałem Holdena zaraz po ukończeniu szkoły oficerskiej był miesiąc w laboratorium walki elektronicznej Diamond Head na Oahu. W tym czasie przekonał się, że nie ma ochoty zostawać oficerem wywiadu, bardzo nie lubi poi, za to bardzo podobają mu się polinezyjskie kobiety. Był wtedy zdecydowanie zbyt zajęty, żeby się za którąś aktywnie uganiać, ale z przyjemnością spędzał nieliczne wolne chwile na plaży, przyglądając się im. Od tamtej pory miał słabość do kobiet o wybujałych kształtach, z długimi czarnymi włosami.

Marsjańska marinę była jak jedna z tych uroczych dziewcząt z plaży, kobietą, do której ktoś zastosował oprogramowanie do edycji i powiększył ją do 150 procent normalnej wielkości. Proporcje, czarne włosy, ciemne oczy, wszystko było takie samo. Tylko dużo większe. Jej widok powodował zwarcie w jego obwodach. Jaszczurka na dnie jego mózgu nieustannie miotła się między *seksu!* a *uciekać!* Co gorsza, ona o tym wiedziała. Wydawało się, że oceniła go w chwilę po spotkaniu i uznała, że wart jest jedynie zmęczonego uśmiešku.

– Mam to omówić jeszcze raz? – zapytała z wyzywającym uśmiechem.

Siedzieli razem w kambuzie, gdzie przekazywała mu

marsjańskie dane wywiadowcze na temat najlepszego sposobu walki z lekkimi niszczycielami klasy Munroe.

Nie! – chciał krzyknąć. *Słyszałem. Nie jestem zboczeńcem. Mam uroczą dziewczynę, której całkowicie się poświęcam, więc przestań mnie traktować jak napalonego nastolatka, który próbuje zajrzeć ci pod sukienkę!*

Ale potem znowu na nią spojrzął i prymitywna część jego mózgu znowu zaczęła się miotać między pociągiem a strachem, więc jego ośrodki mowy miały problem z działaniem. Znowu.

– Nie – odpowiedział, patrząc na elegancko zebraną listę punktów, które przekazała do jego terminala. – Sądzę, że te informacje są bardzo... informacyjne.

Kątem oka zobaczył, że uśmiezek przybiera na sile i z większą uwagą skupił się na liście.

– Dobra – stwierdziła Bobbie. – Pójdę się zdrzemnąć. Za pozwoleniem, oczywiście. Kapitanie.

– Udzielam pozwolenia – odpowiedział Holden. – Oczywiście. Idź. Śpij.

Podniosła się z krzesła, nie dotykając rękami poręczy. Dorastała w marsjańskim ciężeniu i przy jednym g musiała ważyć przynajmniej sto kilo. Popisywała się. Udał, że to ignoruje, a ona wyszła z kambuza.

– Wyjątkowa jest, prawda? – skomentowała Avasarala, wchodząc do kambuza i opadając na właśnie zwolnione krzesło.

Holden spojrzął na nią i zobaczył inny rodzaj uśmiešku. Ten jednoznacznie zdradzał, że staruszka przejrzała go na wylot, aż do jaszczurki wgłębi głowy. Jednak ona nie była olbrzymią Polinezyjką, więc mógł wyładować na niej swoją frustrację.

– Tak, urocza jest – przyznał. – Ale i tak zginiemy.

– Co?

– Kiedy te niszczyciele nas dogonią, a to nieuniknione, zginiemy. Nie wystrzelili w nas jeszcze torped tylko dlatego, że wiedzą, że nasza sieć obrony punktowej może zniszczyć wszystko, co zostanie wystrzelone z tej odległości.

Avasarala odchyliła się na oparcie krzesła, wzdychając przy tym ciężko, a uśmieszek zmienił się w zmęczony, ale szczyry uśmiech.

– Pewnie nie ma szansy na to, żebyś znalazł staruszce filiżankę herbaty, co?

Holden pokręcił głową.

– Przykro mi. Nikt tu nie pija herbaty, za to mamy mnóstwo kawy, jeśli ma pani ochotę.

– Właściwie jestem dość zmęczona, by ją wypić. Dużo śmietanki, dużo cukru.

– A co pani powie – odpowiedział Holden, wyciągając kubek – na dużo cukru i dużo proszku podpisanego „zabielacz”?

– Brzmi paskudnie. Biorę.

Holden usiadł i pchnął w jej stronę przez stół kubek posłodzonej i „zabielonej” kawy. Złapała go i, krzywiąc się, wypila kilka długich łyków.

– Wyjaśnij – poleciła po kolejnym łyku – wszystko, co właśnie powiedziałaś.

– Te niszczyciele nas rozwalą – powtórzył Holden. – Sierżant mówi, że odmawia pani przyjęcia do wiadomości, że okręty ONZ będą do pani strzelać, ale ja się z nią zgadzam. To naiwność.

– No dobrze, ale co to jest „sieć obrony punktowej”?

Holden próbował nie marszczyć brwi. Spodziewał się po tej kobiecie różnych rzeczy, ale nie ignorancji.

– Działka obrony punktowej. Jeśli te niszczyciele wystrzelą w nas torpedy z dużej odległości, komputer obrony punktowej nie będzie miał problemu z zestrzeleniem ich. Będą więc czekać, aż znajdą się dostatecznie blisko, żeby przełamać obronę. Oceniam, że zaczną za jakieś trzy dni.

– Rozumiem – stwierdziła Avasarala. – I jaki masz plan?

Holden wybuchnął śmiechem bez śladu humoru.

– Plan? Mój plan to zginąć w kuli plazmy. Nie ma mowy, żeby pojedyncza korweta, czyli my, zdołała skutecznie pokonać sześć lekkich niszczycieli. Nie jesteśmy nawet w tej samej klasie wagowej co oni, ale przeciw jednemu może udałby się nam szczęśliwy strzał. Przeciw sześciu? Żadnych szans. Zginiemy.

– Czytałam twoje akta – powiedziała Avasarala. – Starłeś się z korwetą ONZ podczas incydentu Erosa.

– Tak, z jedną korwetą. Byliśmy równorzędnymi przeciwnikami, a i tak zdołałem ich przekonać do wycofania się, grożąc nieuzbrojonemu statkowi naukowemu, który eskortowali. Ta sytuacja w niczym nie przypomina tamtej.

– W takim razie, co niesławny James Holden zrobi w ostatniej walce?

Przez chwilę milczał.

– Będziemy śpiewać – odpowiedział. – Wiemy, co się dzieje, mamy już wszystkie elementy. Mao– Kwik, protomolekularne potwory, miejsce, w które zabierają dzieci... wszystko. Złożymy te dane w jeden plik i rozgłosimy go całemu wszechświatowi. Nadal będą mogli

nas zabić, jeśli będą chcieli, ale to będzie tylko bezsensowny akt zemsty. Przynajmniej to im w niczym nie pomoże.

– Nie – stwierdziła Avasarala.

– ...nie? Może zapomniała pani, na którym statku się znajduje.

– Przepraszam, czy wyglądało na to, że obchodzi mnie, że to twój statek? Jeśli tak, to po prostu byłam uprzejma – powiedziała Avasarala, posyłając mu obracające w popiół spojrzenie. – Nie spieprzysz całego Układu Słonecznego tylko dlatego, że to twoja ulubiona sztuczka. Mamy grubszą rybę to złapania.

– A jaki ma pani pomysł? – zapytał Holden, gdy skończył liczyć do dziesięciu.

– Wyślij to do tych dwóch admirałów ONZ – powiedziała, po czym wystukała coś na terminalu. Jego urządzenie zabrzęczało powiadomieniem odebrania pliku. – Southera i Leniki. Głównie do Southera. Nie lubię Lenikiego i nie był na bieżąco w tej sprawie, ale jest niezłym uzupełnieniem.

– Chce pani, żebym moim ostatnim czynem, zanim dam się zabić admirałowi ONZ, było wysłanie wszystkich posiadanych przeze mnie kluczowych informacji innemu admirałowi ONZ.

Avasarala odchyliła się na oparcie krzesła i pomasowała skronie czubkami palców. Holden czekał.

– Jestem zmęczona – stwierdziła po kilku chwilach. – I tęsknię do męża. Niemożność objęcia go czuję jak ból w rękach. Wiesz, jakie to uczucie?

– Doskonale znam ten ból.

– Chcę, żebyś zrozumiał, że siedzę tu w tej chwili,

próbując się pogodzić z myślą, że już nigdy więcej go nie zobaczą. Ani moich wnuków. Ani córki. Moi lekarze twierdzili, że mogłabym przeżyć jeszcze jakieś trzydzieści lat. Dość czasu, by przyglądać się, jak dorastają wnuki, może nawet zobaczyć prawnuka albo dwa. Jednak zamiast tego zostanę zabita przez miękkiego fiutka i skomlącego skurwysyna w rodzaju admirała Nguyena.

Czuł masę tych zbliżających się do nich sześciu niszczycieli przepelnionych żądzą mordy. Przypominało to przystawiony do pleców pistolet. Miał ochotę potrząsnąć staruszką i powiedzieć jej, żeby się pośpieszyła.

Uśmiechnęła się do niego.

– Moim ostatnim aktem w tym wszechświecie nie będzie zepsucie wszystkiego, co zrobiłam do tej pory.

Holden z dużym wysiłkiem spróbował opanować frustrację. Wstał i otworzył lodówkę.

– Hej, jest jeszcze trochę budyniu. Chce pani?

– Czytałam twój profil psychologiczny. Wiem o tym twoim naiwnym przekonaniu, że „wszyscy powinni wszystko wiedzieć”. Ale ile z ostatniej wojny byto *twoją* winą, z twoimi cholernymi niekończącymi się pirackimi emisjami? Co?

– Ani odrobina – oświadczył Holden. – Zdesperowani ludzie z psychozą po zdemaskowaniu dopuszczają się desperacko psychotycznych czynów. Odmawiam chronienia ich przed zdemaskowaniem ze strachu przed ich reakcją. Kiedy tak się postępuje, zdesperowani psychotycy lądują na szczytach władzy.

Roześmiała się. Dźwięk był zaskakująco ciepły.

– Każdy, kto rozumie, co się dzieje, jest przynajmniej

zdesperowany, a prawdopodobnie psychotyczny na dokładkę. Przynajmniej psychoza dysocjacyjna. Może wyjaśnię inaczej – stwierdziła Avasarala. – Powiesz wszystkim i owszem, wywołasz reakcję. I może, za parę tygodni, miesięcy lub lat, wszystko zostanie wyjaśnione i naprostowane. Ale jeśli powiesz *właściwym* ludziom, możemy to naprostować teraz.

Amos wszedł do kambuza razem z Praksem. Trzymał wielki termos i ruszył prosto w stronę ekspresu do kawy. Praks poszedł za nim i wziął sobie kubek.

– Może nawet uratujemy tę małą dziewczynkę – dodała Avasarala z lekko zmrużonymi oczami.

– Mei? – Praks zareagował natychmiast, odstawiając kubek i się odwracając.

To było wredne, pomyślał Holden. *Nawet jak na polityka*.

– Tak, Mei – potwierdziła Avasarala. – Oto tu właśnie chodzi, prawda, Jim? Nie o jakąś osobistą krucjatę, tylko o uratowanie małej dziewczynki przed bardzo złymi ludźmi?

– Wyjaśnij, w jaki sposób... – zaczął Holden, ale Avasarala nie dała sobie przerwać.

– ONZ to nie jest jeden człowiek ani nawet jedna korporacja. To tysiąc małych, samolubnych frakcji, które nieustannie się zwalczają. Ich strona dorwała się do steru, ale to chwilowe. Takie rzeczy zawsze są tymczasowe. Znam ludzi, którzy mogą działać przeciwko Nguyenowi i jego grupie. Mogą mu odciąć wsparcie, pozbawić go statków, a nawet odwołać i postawić przed sądem wojennym, jeśli będzie na to dość czasu, ale nie będą mogli tego zrobić w trakcie wojny z Marssem. A jeśli rzucisz w eter wszystko, co wiesz, Mars nie będzie miał

czasu na czekanie i dochodzenie do podtekstów, nie będą mieli innego wyboru jak uderzyć uprzedzająco przeciw flocie Nguyen, Io i temu, co zostało z Ganimesesa. Wszystkiemu.

– Io? – zapytał Praks. – Ale Mei...

– W związku z tym chcesz, żebym przekazał wszystkie informacje twojej politycznej klicie na Ziemi, choć podstawową przyczyną tego problemu są kliki polityczne na Ziemi.

– Tak – potwierdziła Avasarala. – A ja jestem jej jedyną nadzieją. Musisz mi zaufać.

– Nie ufam. Ani odrobinę. Uważam, że stanowi pani część problemu. Sądzę, że dla pani to tylko manewry polityczne i gierki o władzę. Chce pani *wygrać*. Więc nie, zdecydowanie ani trochę pani nie ufam.

– ...hej, kapitanie? – odezwał się Amos, powoli zakręcając termos. – Nie zapominasz o czymś?

– O czym, Amos? O czym zapominam?

– Wydawało mi się, że teraz głosujemy nad takimi sprawami?

* * *

– Nie dąsaj się – powiedziała Naomi. Leżała na pryczy przeciążeniowej przed głównym panelem operacyjnym na mostku.

Holden zajął miejsce po drugiej stronie, przy panelu łączności. Właśnie wysłał plik danych Avasarali do dwóch admirałów ONZ.

Palce swędziały go od chęci puszczenia tego wszystkiego w emisję szerokozakresową, ale omówili tę sprawę z załogą i to ona wygrała głosowanie. A gdy zaproponował

to rozwiązanie, głosowanie wydawało się takim dobrym pomysłem. Po przegranej nie był już tego taki pewien. Przynajmniej wszyscy zginą za dwa dni, więc prawdopodobnie więcej się to nie powtórzy.

– Jeśli zginiemy, a admirałowie Avasarali niczego nie zrobią z wysłanymi przez nas danymi, to wszystko będzie na nic.

– Myślisz, że to ukryją? – zapytała Naomi.

– Nie wiem, i na tym polega problem. Nie wiem, co zrobią. Spotkaliśmy tę polityk z ONZ dwa dni temu, a ona już kieruje moim statkiem.

– To wyślij to jeszcze komuś – zasugerowała Naomi. – Komuś, komu ufasz, że zachowa to dla siebie, ale będzie mógł ujawnić sprawę, jeśli goście z ONZ okażą się pracować dla niewłaściwej strony.

– To nie jest zły pomysł.

– Może Fred?

– Nie. – Flolden się roześmiał. – Dla Freda byłby to kapitał polityczny, wykorzystałby go do targowania się. To musi być ktoś, kto niczego nie zyska ani nie straci przez wykorzystanie tego. Muszę się nad tym zastanowić.

Naomi wstała, podeszła do jego fotela i usiadła mu na kolanach.

– A my i tak niedługo zginieemy. To wcale niczego nie ułatwia.

Nie wszyscy.

– Naomi, zbierz załogę, marinę i Avasaralę też. Pewnie w kambuzie. Chcę ogłosić jeszcze jedną rzecz. Spotkamy się tam za dziesięć minut.

Pocałowała go delikatnie w nos.

– Dobrze. Będziemy tam.

Kiedy schodząc po drabinie, opuściła mostek, Holden otworzył sejf dowódcy wachty. Wewnątrz leżał zestaw bardzo przeterminowanych książek szyfrowych, podręcznik prawa floty marsjańskiej i pistolet z dwoma magazynkami pocisków żelowych. Wyciągnął broń, załadował ją i zapiął sobie na biodrach pas z kaburą.

Następnie wrócił do stanowiska łączności i wysłał pakiet danych Avasarali wiązką kierunkową, która przekieruje je z Ceres na Marsa, potem na Lunę i Ziemię, korzystając po drodze z publicznych routerów. Mało prawdopodobne, żeby pakiet wzbudził zainteresowanie.

– Cześć, mam – powiedział do kamery po uruchomieniu rejestracji. – Przyjrzyj się załączonym danym. Pokaż je rodzinie. Nie mam pojęcia, skąd będziecie wiedzieć, że nadeszła właściwa chwila na użycie ich, ale kiedy przyjdzie ten moment, zróbcie z nimi to, co uznacie za słuszne. Ufam wam i kocham was.

Zanim mógł powiedzieć coś jeszcze albo lepiej to wszystko przemyśleć, wcisnął przycisk wysyłania i wyłączył panel.

Wezwał windę, ponieważ jazda nią trwała dłużej niż zejście po drabinie, a on potrzebował czasu do przemyślenia, jak dokładnie rozegrać następne dziesięć minut. Kiedy dotarł na pokład załogowy, wciąż nie wszystko zaplanował, ale i tak wyprostował plecy i wmaszerował do kambuza.

Amos, Aleks i Naomi siedzieli po jednej stronie stołu, naprzeciw niego. Praks jak zwykle przysiadł na blacie, a Bobbie i Avasarala siedziały bokiem po obu stronach stołu tak, że obie go widziały. W tej sytuacji marinę znalazła się niecałe dwa metry od niego, bez żadnego sprzętu na

drodze. Co, w zależności od przebiegu sytuacji, mogło stanowić problem.

Oparł dłoń na rękojeści pistoletu na biodrze, by się upewnić, że wszyscy go zauważyli.

– Mamy mniej więcej dwa dni, zanim jednostki floty ONZ dotrą na tyle blisko, by pokonać naszą obronę salwą torped i zniszczyć ten statek.

Aleks kiwnął głową, ale nikt się nie odezwał.

– Ale mamy też zacumowany do kadłuba ścigacz, którym przyleciała tu Avasarala. Pomieści dwie osoby. Wsadzimy na niego dwójkę i wyślemy w drogę. A potem zawrócimy i ruszymy prosto na okręty ONZ, żeby dać ścigaczowi więcej czasu. Kto wie, może nawet zabierzemy jednego z sobą. Zarobimy na kilku służących po drugiej stronie.

– Absolutnie – rzucił Amos.

– Mogę się z tym zgodzić – powiedziała Avasarala. – Kto będzie miał to szczęście? I jak powstrzymamy okręty ONZ przed zniszczeniem go zaraz po tym statku?

– Praks i Naomi – odpowiedział natychmiast Holden, zanim zdążył się odezwać ktoś jeszcze. – Na statku odlecą Praks i Naomi.

– Dobra – powiedział Amos, kiwając głową.

– Dlaczego? – równocześnie zapytały Naomi i Avasarala.

– Praks, bo to on jest twarzą tego wszystkiego. To on to wszystko wykombinował. Oraz dlatego, że kiedy ktoś wreszcie uratuje jego córeczkę, miło byłoby, gdyby trafiła do tatusia – powiedział Holden. A potem, stukając palcami w rękojeść pistoletu: – A Naomi, bo ja tak, do cholery, powiedziałem. Jakies pytania?

– Nie – zgodził się Aleks. – Dla mnie może być.

Holden uważnie przyglądał się marinę. Gdyby ktoś

próbował mu odebrać pistolet, to właśnie ona. A pracowała dla Avasarali. Jeśli staruszka uzna, że chce miejsca na pokładzie odlatującego *Finwala*, to marinę spróbuje tego dopilnować. Jednak ku jego zaskoczeniu nie zerwała się, tylko podniosła rękę.

– Sierzancie? – zapytał Holden.

– Dwa z tych sześciu marsjańskich okrętów lecących za chłopakami z ONZ to szybkie krążowniki klasy Raptor. Sądzę, że mogłyby dogonić *Finwala*, gdyby naprawdę tego chciały.

– A będą chciały? – zapytał Holden. – Odniosłem wrażenie, że mieli tylko mieć oko na statki ONZ i nic więcej.

– No cóż, pewnie nie, ale... – Umilkła w połowie zdania z nieobecny wyrazem twarzy.

– To taki mamy plan – oświadczył Holden. – Praks, Naomi, zbierzcie wszystko, co będzie wam potrzebne, i zanieście na *Finwala*.

A pozostałych prosiłbym o poczekanie tutaj, kiedy oni będą się tym zajmować.

– Chwileczkę... – zaprotestowała Naomi gniewnym głosem.

Jednak zanim Holden zdążył zareagować, znowu odezwała się Bobbie.

– Hej, wiecie co? Mam pomysł.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Bobbie

Wszystkim coś umykało. Jakby coś stuknęło jej gdzieś w głębi umysłu, prosząc o wpuszczenie. Bobbie zaczęła analizować sytuację. Jasne, ten fiut Nguyen bardzo jednoznacznie sugerował, że chce zniszczyć *Rosynanta*, nie przejmując się obecnością na pokładzie ważnego polityka ONZ. Avasarala podjęła ryzyko, sądząc, że jej obecność zmusi statki ONZ do wycofania się i wyglądało na to, że jednak przegra. W ich stronę leciało sześć niszczycieli ONZ.

Ale *za nimi* było kolejnych sześć.

Włącznie z- jak właśnie powiedziała Holdenowi – dwoma szybkimi krążownikami klasy *Raptor*. Najnowocześniejszy sprzęt marsjański, bez problemu mogący sobie poradzić z niszczycielem ONZ. Oprócz dwóch krążowników były tam jeszcze cztery marsjańskie niszczyciele. Mogły być lepsze od swoich odpowiedników ONZ lub nie, ale z dwoma krążownikami w grupie bojowej miały zdecydowaną przewagę tonażu i siły ognia. Leciały za okrętami ONZ dopilnować, by te nie zrobiły czegoś, co doprowadziłoby do eskalacji działań wojennych.

Na przykład zabicia jedynej polityk ONZ, która nie dąży za wszelką cenę do wojny z Marsem.

– Hej, wiecie co? – Bobbie odezwała się, zanim zorientowała się, że ma taki zamiar. – Mam pomysł...

W kambuzie zrobiło się cicho.

Bobbie dopadło nagle nieprzyjemne wspomnienie odezwania się w sali konferencyjnej ONZ i zepsucia sobie tym kariery wojskowej. Kapitan Holden, ten śliczny facecik trochę za bardzo przekonany o swoim znaczeniu, gapił się na nią z niezbyt przychylnym wyrazem twarzy. Wyglądał jak ktoś bardzo zły, kto zgubił wątek w połowie tyrady. Patrzyła na nią nawet Avasarala. Choć znając lepiej mimikę starszej damy, nie dopatrzyła się w niej złości, znalazła tylko ciekawość.

– No wiecie – powiedziała Bobbie i odchrząknęła. – Za okrętami ONZ leci sześć jednostek marsjańskich. O większej sile ognia. Obie floty są w stanie wysokiej gotowości bojowej.

Nikt się nie ruszył ani się nie odezwał. Avasarala wyraziła swoją ciekawość, marszcząc brwi.

– A więc – kontynuowała Bobbie – może będą skłonni nas wesprzeć.

Bruzdy na czole Avasarali zrobiły się głębsze.

– Dlaczego – odezwała się – Marsjan miałyby obchodzić chronienie mnie przed zabiciem przez moją własną cholerną flotę?

– A czy szkodziłoby zapytać?

– Nie – odpowiedział Holden. – Sądzę, że nie. Czy pozostali też się zgadzają, że nie zaszkodziłoby zapytać?

– Kto miałby się z nimi skontaktować? – zapytała Avasarala. – Ty? Zdrajczynie?

Odczuła jej słowa jak uderzenie w brzuch, ale Bobbie zrozumiała, co chce osiągnąć staruszka. Uderzała w nią

najgorszą możliwą odpowiedzią Marsjan, próbując ocenić jej reakcję.

– Tak, otworzę drzwi – stwierdziła Bobbie. – Ale to pani będzie musiała ich przekonać.

– Dobrze – odpowiedziała Avasarala po bardzo długiej minucie milczenia.

* * *

– Powtórz to, *Rosynant* – polecił marsjański dowódca.

Połączenie było tak wyraźne, jakby stali w tym samym pokoju.

Problemem nie była bynajmniej jakość dźwięku.

Avasarala odezwała się powoli, bardzo starannie, wymawiając wszystkie słowa.

– Mówi zastępczyni podsekretarza Organizacji Narodów Zjednoczonych Ziemi, Chrisjen Avasarala – powtórzyła. – Jestem w drodze na misję pokojową w układzie Jowisza, ale zostanę niedługo zaatakowana przez zbuntowane elementy floty ONZ. Kurwa, uratuj mnie! A w nagrodę przekonam mój rząd, żeby nie zeszklił waszej planety.

– Będę musiał przekazać to wyżej w strukturze dowodzenia – odpowiedział dowódca. Nie korzystali z łączności wideo, ale uśmiech w jego głosie był bardzo wyraźny.

– Niech pan dzwoni, do kogo tylko musi – stwierdziła Avasarala. – Tylko podejmijcie decyzję, zanim te pizdy zaczną do mnie strzelać, dobrze?

– Zrobię, co w mojej mocy, proszę pani.

Ta chuda – Naomi – zamknęła połączenie i obróciła się w stronę Bobbie.

– Jeszcze raz, dlaczego mieliby nam pomóc?

– Mars nie chce wojny – odpowiedziała Bobbie z nadzieją, że nie mija się z prawdą. – Jeśli dowiedzą się, że głos rozsądku ONZ znajduje się na statku, który ma właśnie zostać zniszczony przez zbuntowanych zwolenników wojny po stronie ONZ, interwencja będzie uzasadniona.

– Brzmi to trochę tak, jakbyś sama to wszystko wymyśliła – skomentowała Naomi.

– Dodatkowo – wtrąciła się Avasarala – udzieliłam im właśnie pozwolenia na strzelanie do jednostek ONZ bez reperkusji politycznych.

– Nawet jeśli pomogą – odezwał się Holden – nie ma mowy, żeby całkowicie uniemożliwili okrętom ONZ oddanie strzałów w naszą stronę. Będziemy potrzebowali planu starcia.

– Dopiero co połataliśmy tę łajbę – skomentował Amos.

– Nadal sądzę, że powinniśmy wsadzić Praksa i Naomi na *Finwala* – stwierdził Holden.

– Zaczynam sądzić, że to kiepski pomysł – odpowiedziała Avasarala. Wypiła łyk kawy i skrzywiła się. Staruszcze wyraźnie brakowało jej pięciu filiżanek herbaty dziennie.

– Wyjaśnij – poprosił Holden.

– Jeśli Marsjanie zdecydują się stanąć po naszej stronie, to zmieni cały krajobraz dla tych okrętów ONZ. Jeśli dobrze rozumiem sytuację, to nie zdołają pokonać wszystkich siedmiu statków.

– Owszem – potwierdził Holden.

– Przez to będą bardzo zainteresowani, żeby w książkach do historii nie nazywano ich zbuntowanym elementem. Jeśli klika Nguyena przegra, wszyscy w jego grupie w najlepszym razie staną przed sądem wojennym. A

najlepszym sposobem, by do tego nie dopuścić, jest dopilnowanie, żebym ja – niezależnie od tego, kto wygra – nie przeżyła tej walki.

– A to znaczy, że będą strzelać do *Rosa* – odezwała się Naomi. – Nie do ścigacza.

– Oczywiście, że nie – stwierdziła Avasarala ze śmiechem. – Bo oczywiście, że będę na ścigaczu. Sądzicie, że choć na sekundę uwierzą, że będziecie próbować desperacko chronić uciekający statek, na którego pokładzie mnie *nie ma*? Założę się, że *Finwal* nie ma tej obrony punktowej, o której mówiliście. Prawda?

Ku zaskoczeniu Bobbie Holden przytakiwał słowom Avasarali. Jak dotąd miała go za zadufanego w sobie facecika, któremu podobały się tylko jego własne pomysły.

– Tak – rzucił Holden. – Ma pani całkowitą rację. Rzucają wszystko na próbującego uciekać *Finwala*, który nie ma niczego do obrony.

– A to znaczy, że wszyscy przeżyjemy albo zginiemy, tu na tym statku – z westchnieniem stwierdziła Naomi. – Jak zwykle.

– A więc, jeszcze raz – odezwał się Holden. – Potrzebujemy planu starcia.

– Macie dość małą załogę – zauważyła Bobbie, gdy rozmowa zeszła na tematy bliskie jej doświadczeniu. – Gdzie wszyscy zwykle siedzą?

– Oficer operacyjny – powiedział Holden, wskazując Naomi. – Zajmuje się też walką elektroniczną i środkami maskującymi. I jest w tym świetna jak na kogoś, kto nie robił tego, zanim zdobyliśmy ten statek. Mechanik... – Holden wskazał Amosa.

– Pilnuję maszyn – uciął mu Amos. – Robię, co mogę,

żeby statek nie rozpadł się, jeśli są w nim dziury.

– Ja zwykle siedzę przy bojowej konsoli operacyjnej – dokończył Holden.

– Kto jest działanowym? – zapytała Bobbie.

– Ja. – Aleks wskazał na siebie.

– Zajmujesz się pilotażem *oraz* namierzaniem celów? – rzuciła Bobbie. – Jestem pod wrażeniem.

Ciemna skóra Aleksa zrobiła się jeszcze trochę ciemniejsza. Jego teksański akcent z doliny Marinera z irytującego zrobił się uroczy. A rumieniec był słodki.

– Och, nie. Zasadniczo wskazywaniem celów zajmuje się kapitan z konsoli bojowej. Ale to ja pilnuję kontroli ognia.

– No to jasne – stwierdziła Bobbie, obracając się do Holdena. – Daj mi uzbrojenie.

– Bez urazy, sierżancie... – zaczął Holden.

– Gunny – poprawiła go Bobbie.

– Gunny – zgodził się Holden, przytakując. – Ale czy masz kwalifikacje do obsługi sterowania ogniem na okręcie?

Bobbie postanowiła się nie obrazić i tylko się do niego wyszczerzyła w uśmiechu.

– Widziałam panczerze i broń, którą mieliście w służbie. Znaleźliście w ładowni MPS, prawda?

– MPS? – zapytała Avasarala.

– Mobilny pakiet szturmowy. Sprzęt szturmowy marines. Nie jest tak dobry, jak panczerze oddziałów rozpoznania, ale to pełny zestaw dla sześciu piechociarzy.

– Owszem – potwierdził Holden. – Stamtąd mamy sprzęt.

– To dlatego, że to wielozadaniowy okręt bojowy. Jednym z jego możliwych zastosowań jest torpedowiec, innym dowożenie grupy abordażowej. Sierżant kompanii, Gunny, to stopień o bardzo specyficznym znaczeniu.

– Owszem – potwierdził Aleks. – Specjalista od wyposażenia.

– Wymaga się ode mnie dobrej znajomości wszystkich systemów uzbrojenia, których mój pluton lub kompania może potrzebować podczas typowej akcji. Włącznie z systemami uzbrojenia tego typu łódki szturmowej.

– Rozumiem... – zaczął Holden, ale Bobbie mu przerwała.

– Jestem waszym działonowym.

* * *

Jak większość rzeczy w życiu Bobbie, fotel oficera sterowania uzbrojeniem również zrobiono dla kogoś znacznie mniejszego od niej. Pięciopunktowe pasy wbijały się jej w biodra i ramiona. Nawet przy najdalszym ustawieniu konsola była trochę za blisko, by Bobbie mogła wygodnie oprzeć przedramiona na prycy przeciążeniowej przy korzystaniu z niej. A to wszystko może się okazać problemem, jeśli będą musieli wykonywać manewry z naprawdę dużymi przyśpieszeniami. Co oczywiście będzie niezbędne po rozpoczęciu walki.

Ściągnęła łokcie najbliżej jak mogła, by zapobiec wyrwaniu rąk ze stawów przy wysokich przeciążeniach, i próbowała poprawić pasy. To będzie musiało wystarczyć.

– W taki czy inny sposób, szybko będzie po wszystkim – odezwał się Aleks ze stanowiska za nią. – Pewnie nie będziesz miała czasu odczuć niewygody.

– Bardzo pocieszające.

– Znaleźliśmy się w maksymalnym skutecznym zasięgu ostrzału – ogłosił Holden przez interkom. – Mogą wystrzelić od razu albo za dwadzieścia cztery godziny,

więc zostańcie przypięci. Stanowiska można opuszczać tylko w przypadku sytuacji zagrożenia życia i na mój bezpośredni rozkaz. Mam nadzieję, że wszyscy dobrze założyli sobie cewniki.

– Mój jest za ciasny – skomentował Amos.

Z tyłu odezwał się Aleks, a jego słowa dotarły ułamek sekundy później z głośnika interkomu.

– To cewnik kondomowy, brachu. Zakłada się go *na zewnątrz*.

Bobbie wybuchnęła śmiechem i wyciągnęła rękę do tyłu, aż Aleks w nią klepnął.

– U mnie na konsoli wszystkie kontrolki zielone – kontynuował Holden. – Podać statusy z pozostałych konsol.

– Wszystko zielone w kontroli lotu – zgłosił Aleks.

– Zielone w walce elektronicznej – odparła prawie echem Naomi.

– Tutaj wszystko gotowe – zaraportował Amos.

– Broń zielona i w gotowości. – Bobbie zgłosiła się ostatnia.

Czuła się tu cholernie dobrze, nawet wpięta w dwa rozmiary za mały fotel, na skradzionym marsjańskim okręcie dowodzonym przez człowieka najbardziej poszukiwanego przez planety wewnętrzne. Stłumiła cisnący się na usta okrzyk radości i zamiast tego sklonowała konsolę z zagrożeniami Holdena. Zaznaczył już na niej sześć ścigających ich niszczycieli ONZ. Bobbie namierzyła okręt na przedzie i pozwoliła *Rosynantowi* spróbować wyliczyć parametry celowania. Według komputera *Rosa* szansa trafienia wynosiła poniżej jednej dziesiątej procenta. Przełączała się między

poszczególnymi celami, przyzwyczajając się do czasów reakcji i elementów sterowania. Wcisnęła przycisk wywołania informacji o celu i obejrzała parametry niszczyciela ONZ.

Gdy znudziło ją czytanie specyfikacji, przełączyła się na widok taktyczny. Jedna maleńka zielona kropka ścigana przez sześć większych czerwonych, za którymi z kolei sunęło sześć niebieskich. Kolory były niewłaściwe. Okręty Ziemi powinny być niebieskie, a Marsjańskie czerwone. Poleciała *Rosowi* zmienić schemat oznaczeń. *Rosynant* był ustawiony w stronę ścigających go jednostek i na mapie wyglądało to tak, jakby lecieli sobie naprzeciw. W rzeczywistości *Rosynant* był w środku hamowania, zwalniał, by okręty ONZ mogły go szybciej dopaść. Każda z trzynastu jednostek uczestniczących w tym starciu leciała w stronę Słońca, tylko *Ros* rufa do przodu.

Bobbie zerknęła na zegarek i przekonała się, że całe to bawienie się wyświetlaczami trwało raptem piętnaście minut.

– Nie znoszę czekania na walkę.

– Ja też, siostró – rzucił Aleks.

– Macie tu jakieś gry? – zapytała Bobbie, stukając w konsolę.

– Zgadnij, co mam na myśli – odpowiedział Aleks. – Zaczyna się na literę N.

– Niszczyciel – odpowiedziała Bobbie natychmiast. – Sześć wyrzutni, osiem działek obrony punktowej i stępkowe szybkostrzelne działko szynowe.

– Trafiony. Twoja kolej.

– Cholernie nie znoszę czekania na walkę.

* * *

Bitwa zaczęła się bardzo gwałtownie. Bobbie spodziewała się kilku wczesnych, próbnych strzałów, paru torped posłanych z dużej odległości w celu sprawdzenia, czy załoga *Rosynanta* ma pełną kontrolę nad układami uzbrojenia i czy wszystko działa. Zamiast tego okręty ONZ zmniejszyły odległość, z *Rosem* depczącym po hamulcach, wychodzącym im na spotkanie.

Bobbie przyglądała się, jak sześć jednostek coraz bardziej zbliża się do czerwonej kreski na jej ekranie zagrożenia. Była to granica, po której przekroczeniu pełna salwa ze wszystkich sześciu okrętów przeciąży obronę punktową *Rosa*.

Przez cały czas sześć okrętów marsjańskich zbliżało się do zielonej linii na jej wyświetlaczu, oznaczającej ich optymalny dystans do ataku na jednostki ONZ. Wszystko to wyglądało na jedną wielką grę w tchórza i wszyscy czekali, kto uskokczy pierwszy.

Aleks próbował dopasować ciąg tak, by dopilnować, żeby Marsjanie znaleźli się w zasięgu strzału przed Ziemią. Gdy zacznie się walka, miał wdusić manetkę i spróbować jak najszybciej przelecieć przez strefę aktywnej walki. Dlatego w ogóle lecieli naprzeciw statkom ONZ: ucieczka sprawiłaby, że znacznie dłużej znajdowałiby się w ich zasięgu strzału.

W końcu jedna z czerwonych kropek – marsjański szybki krążownik – przekroczyła zieloną linię i na całym statku rozległy się alarmy.

– Szybkie obiekty – poinformowała Naomi. – Marsjański krążownik wystrzelił osiem torped!

Bobbie widziała je na wyświetlaczu: drobne żółte kropki

zmieniające barwę na pomarańczową wraz ze wzrostem przyśpieszenia. Jednostki ONZ natychmiast zareagowały. Połowa z nich odwróciła się w stronę ścigających ich okrętów marsjańskich i otworzyła ogień z dział szynowych i obrony punktowej. Przestrzeń na wyświetlaczu taktycznym między obiema grupami zapełniła się nagle żółtopomarańczowymi punktami.

– Nadlatuje! – krzyknęła Naomi. – Sześć torped na kursie kolizyjnym!

Pół sekundy później informacje o wektorach i szybkościach torped pojawiły się na ekranie sterowania obroną punktową, obsługiwanym przez Bobbie. Holden miał rację, chuda Pasiarka była w tym dobra. Miała zdumiewający refleks. Bobbie oznaczyła każdą z sześciu torped dla obrony punktowej i statek zaczął wibrować w rytmie szybkich strzałów.

– Idzie koktajl – ostrzegł Aleks.

Bobbie poczuła, jak prycza nakłuwa ją w kilku miejscach. Do jej żył napłynął lód, szybko rozpalając się do białości. Potrząsnęła głową, żeby pozbyć się groźby tunelowej wizji przy akompaniamencie odliczania Aleksa:

– Trzy... dwa...

Nie powiedział *jeden*. *Rosynant* wbił się w plecy Bobbie, rozgniatając ją na pryczy przeciążeniowej. W ostatniej chwili przypomniała sobie o odpowiednim ułożeniu łokci, dzięki czemu uniknęła złamania rąk, gdy każda część jej ciała próbowała odlecieć do tyłu przy dziesięciu g.

Na wyświetlaczu zagrożeń pierwsza fala wystrzelonych w nich sześciu torped kolejno mrugała i gasła, w miarę jak *Rosynant* je zestrzeliwał. W przestrzeni pojawiły się kolejne torpedy, ale teraz już całe marsjańskie skrzydło

otworzyło ogień do Ziemi i przestrzeń wokół jednostek zmieniła się w gęstwą wydechów z dysz i wybuchów. Bobbie poleciła *Rosowi* celować we wszystko na wektorze zbliżania i zestrzeliwać to działkami obrony punktowej, zdając się na łaskę marsjańskiej inżynierii i dobrej woli wszechświata.

Przełączyła widok na jednym z dużych ekranów na obraz z przednich kamer, zmieniając go w podgląd bitwy. Niebo przed nią było pełne jaskrawobiałych błysków światła i rosnących chmur gazu po wybuchach torped. Jednostki ONZ uznały, że Marsjanie stanowią prawdziwe zagrożenie i teraz już wszystkie odwróciły się dziobami w ich stronę. Bobbie nałożyła na obraz wideo oznakowanie zagrożeń i nagle niebo zrobiło się pełne niemożliwie szybkich smug światła, w miarę jak komputer obrysowywał każdą torpedę i lecący pocisk.

Rosynant szybko zbliżał się do niszczycieli ONZ i ciągnął do dwóch g.

– No to jedziemy – rzucił Aleks.

Bobbie wywołała system celowania torped i oznaczyła dysze dwóch okrętów.

– Dwie poszły – oznajmiła, wysyłając dwa pierwsze pociski.

Niebo na ekranie rozjaśniło się od dwóch jasnych dysz silników.

Wskaźnik gotowości do strzału zrobił się czerwony na czas ładowania wyrzutni. Bobbie znaczyła już dysze silników kolejnych dwóch jednostek ONZ. Gdy tylko kontrolka zrobiła się zielona, wystrzeliła obie. Wycelowała w ostatnie dwa niszczyciele, a potem sprawdziła postępy dwóch pierwszych torped. Obie

przypadły, zestrzelone przez rufową obronę punktową niszczycieli. W ich stronę pomknęła fala szybkich smug światła i Aleks rzucił statek w bok, uskakując z linii ognia.

To nie wystarczyło. W kokpicie zaczęło się świecić wirujące na żółto ostrzeżenie o utracie atmosfery, wraz z dwutonowym klaksonem.

– Oberwaliśmy – oznajmił Holden spokojnym głosem. – Tracimy atmosferę. Mam nadzieję, że wszyscy mają szczelnie zapięte hełmy.

Holden wyłączył system powietrza i dźwięki statku zanikły powoli, aż Bobbie słyszał tylko własny oddech i delikatny szum kanału interkomu w słuchawkach.

– Rety – rzucił Amos w interkomie. – Trzy trafienia. Małe obiekty, pewnie pociski z działek obrony punktowej. Udało im się przelecieć przez nas i nie trafić w nic istotnego.

– Przeleciały przez moją kabinę – odezwał się naukowiec, Praks.

– Założę się, że cię to obudziło – skomentował Amos z uśmiechem w głosie.

– Zmoczyłem się – wyznał Praks bez śladu rozbawienia.

– Cisza – rozkazał Holden, ale w jego głosie nie było złości. – Nie zajmujcie kanału.

Bobbie pozwoliła, by racjonalna, myśląca część jej mózgu słuchała przekomarzania. W tej chwili ta część mózgu nie była jej do niczego potrzebna. Z kolei część przeszkolona do namierzania celów i wystrzeliwania w nie torped działała bez udziału świadomości. Teraz rządziły instynkty.

Nie widziała, ile torped wystrzeliła, gdy na ekranie pojawiła się olbrzymia kula światła i obraz z kamery na

chwile zniknął. Kiedy znowu się pojawił, jeden z niszczycieli ONZ był rozdarty na dwie, szybko oddalające się od siebie części, ciągnące za sobą niewyraźną chmurę gazu i mgiełkę małych kawałków. Niektóre z obiektów wylatujących z rozbitego statku były ludźmi. Bobbie to zignorowała. Instynkty szalały.

Zniszczenie pierwszego okrętu ONZ przechyliło szalę i w ciągu kilku minut pozostałe pięć było mocno uszkodzonych lub zniszczonych. Kapitan ONZ wysłał sygnał SOS, a chwilę potem ogłosił poddanie się.

Bobbie popatrzyła na ekran. Trzy zniszczone okręty ONZ. Trzy ciężko uszkodzone. Marsjanie stracili dwa niszczyciele, a jeden z krążowników był mocno uszkodzony. *Rosynant* zaliczył trzy dziury po kulach, przez co stracili całe powietrze, ale poza tym żadnych innych uszkodzeń. Wygrali.

– Jasna cholera – powiedział Aleks. – Kapitanie, *musimy* sobie taką sprawić.

Bobbie potrzebowała minuty na zrozumienie, że mówi o niej.

* * *

– Macie wdzięczność rządu ONZ – Avasarala mówiła do marsjańskiego dowódcy. – A przynajmniej tej części rządu ONZ, którą kieruję. Lecimy na Io zniszczyć jeszcze trochę statków i może powstrzymać apokalipsę. Chcecie się przyłączyć?

Bobbie otworzyła prywatny kanał do Avasarali.

– Teraz wszyscy jesteśmy zdrajcami.

– Ha! – odpowiedziała starsza pani. – Tylko jeśli przegramy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Holden

Z zewnątrz uszkodzenia *Rosynanta* były ledwie widoczne. Trzy pociski z działka obrony punktowej wystrzelone przez jeden z niszczycieli ONZ trafiły tuż przed szpitalem okrętowym i po krótkim, ukośnym locie przez statek wyleciały przez warsztat dwa pokłady niżej. Po drodze jeden z nich przeleciał przez trzy kabiny na pokładzie załogowym.

Holden spodziewał się, że drobny botanik będzie kompletnie roztrzęsiony, zwłaszcza po uwadze o zmoczeniu się, ale kiedy Holden zajrzał do niego po bitwie, zaskoczyło go nonszalanckie wzruszenie ramion, którym botanik to podsumował.

– To było bardzo zaskakujące – powiedział tylko.

Łatwo można by to było uznać za objaw szoku. Efekt porwania córki, po którym nastąpiły miesiące życia na Ganimesie z rozpadającymi się strukturami społecznymi. W spokoju Praksa można by z łatwością dostrzec początki całkowitego załamania umysłowego i emocjonalnego. Bóg jeden wiedział, że ten człowiek tracił panowanie nad sobą już kilka razy, na dodatek przeważnie w bardzo nieodpowiednich sytuacjach. Holden podejrzewał jednak, że w Praksi kryje się coś więcej. Potrafił bezwzględnie przeć do realizacji

wyznaczonego sobie zadania. Wszechświat mógł go nieustannie przewracać, ale jak długo nie zginie, będzie bez przerwy wstawał i sunął uparcie do swego celu. Holden pomyślał, że to zapewne czyniło z niego bardzo dobrego naukowca. Zachwyconego drobnymi zwycięstwami, niezniechęcającego się porażkami. Brnącego do celu aż do skutku.

Nawet teraz, zaledwie kilka godzin po uniknięciu o włos rozerwania przez pocisk, Praks pracował wewnątrz statku, łątając powstałe dziury. Nawet nie trzeba go było prosić. Po prostu wstał z pryczy i przyłączył się do nich.

Holden stał nad jednym z otworów wlotowych na zewnętrznym kadłubie statku. Mały pocisk zrobił idealnie okrągły otwór prawie bez wgniecenia. Przebił pięć centymetrów stali o wysokiej wytrzymałości tak szybko, że jej nawet nie odgiął.

– Znalazłem dziurę – oznajmił Holden. – Nie widzę żadnego światła, więc chyba załataliście ją już z drugiej strony.

– Idę – rzucił Amos, a potem ruszył przez kadłub na butach magnetycznych, dzierżąc w dłoni przenośną spawarkę.

Jego śladem przyszła Bobbie w swoim wyszukanym pancerzu wspomaganym, niosąc duże arkusze materiału na łąty.

Kiedy Bobbie z Amosem zajęli się zamknięciem przebicia zewnętrznego pancerza, Holden poszedł szukać kolejnego otworu. Trzy pozostałe okręty marsjańskie unosiły się wokół *Rosynanta* jak gwardia honorowa. Przy wyłączonych silnikach były widoczne tylko jako małe, czarne plamy przemykające pośród gwiazd. Nawet przy

przesyłanych do pancierza z *Rosa* informacjach, gdzie patrzeć, i wskazywaniu statków przez wyświetlacz przezierny, prawie nie sposób było je wypatrzeć.

Holden śledził marsjański krążownik na wyświetlaczu, aż przeleciał przed jasnym kleksem płaszczyzny ekliptyki Drogi Mlecznej. Przez chwilę cały statek był czarną sylwetką obrysowaną starożytną bielą kilku miliardów gwiazd. Z boku statku trysnął ledwie widoczny stożek bieli i okręt z powrotem pogrążył się w upstrzoną gwiazdami czernią. Nagłe pragnienie Holdena, by mieć koło siebie Naomi, która patrzyłaby na te same widoki, graniczyło z fizycznym bólem.

– Zapominam, jak pięknie jest tu na zewnątrz – powiedział do niej na prywatnym kanale zamiast tego.

– Oddajesz się marzeniom, zostawiając całą robotę innym?

– Właśnie. Wśród tych gwiazd jest więcej takich z planetami niż bez nich. Miliardy światów. Według ostatnich szacunków pięćset milionów planet w strefach nadających się do zamieszkania. Myślisz, że nasze prawnuki kiedyś zobaczą któreś z nich?

– *Nasze prawnuki?*

– Gdy będzie po wszystkim.

– Poza tym – dodała Naomi – przynajmniej jedna z tych planet ma na sobie panów protomolekuły. Tej chyba powinniśmy unikać.

– Szczerze? Właśnie tę chciałbym zobaczyć. Kto to zrobił? Jaki to miało cel? Bardzo chciałbym móc oto zapytać. Zresztą przynajmniej dzielą z nami pragnienie odnalezienia każdego nadającego się do zamieszkania kąta i objęcia go w posiadanie. Możemy mieć z nimi

więcej wspólnego, niż nam się zdaje.

– Zabijają też każdego, kto był tam pierwszy.

Holden prychnął.

– Robimy to od czasu wynalezienia włócznie. Oni tylko są w tym przerażająco dobrzy.

– Znalazłeś już następną dziurę? – zapytał Amos na głównym kanale, nieprzyjemnie wtrącając się w ich rozmowę.

Holden oderwał wzrok od nieba, kierując spojrzenie na metal pod stopami. Dzięki danym o uszkodzeniach, które Ros przesyłał do jego wyświetlacza, znalezienie następnego otworu zajęło tylko kilka chwil.

– Tak, tak, jest tutaj – powiedział, a Amos i Bobbie zaczęli iść w jego stronę.

– Kapitanie – odezwał się Aleks z kokpitu. – Chce z tobą rozmawiać dowódca tego krążownika FMRK.

– Przełącz go do skafandra.

– Potwierdzam – rzucił Aleks, a potem szum kanału zmienił nieco brzmienie.

– Kapitanie Holden?

– Słyszę. Proszę mówić.

– Tu kapitan Richard Tseng z FMRK *Cydonia*. Przepraszam, że nie mogliśmy rozmawiać wcześniej. Zajmowałem się opanowaniem uszkodzeń oraz koordynowaniem statków z pomocą i naprawczych.

– Rozumiem, kapitanie – odpowiedział Holden, bezskutecznie próbując zlokalizować *Cydonię*. – Sam jestem na kadłubie i łątam parę dziur. Kilka minut temu widziałem, jak przelatujecie.

– Moja pierwsza oficer mówiła, że chciał pan ze mną rozmawiać.

– Tak, i proszę jej podziękować za udzieloną dotąd pomoc – potwierdził Holden. – Wie pan co, w tym starciu mocno nadwyrężyliśmy nasze zapasy. Poszło czternaście torped i prawie połowa amunicji do działek obrony punktowej, a ponieważ to kiedyś był okręt marsjański, pomyślałem, że może miałyby pan towar, który pasowałby do naszych wyrzutni.

– Jasne – odpowiedział kapitan Tseng bez chwili wahania. – Skieruję niszczyciel *Sally Ride* do zbliżenia się w celu przekazania amunicji.

– O! – wyduśił z siebie Holden zszokowany natychmiastową zgodą. Był przygotowany na negocjacje. – Dzięki.

– Prześlę też analizę walki, przeprowadzoną przez mój personel. Sądzę, że uzna ją pan za ciekawą, ale w skrócie to pierwsze trafienie, to, które otworzyło obronę ONZ i zakończyło walkę – to wasze dzieło. Pewnie nie powinni byli odwracać się do was plecami.

– Możecie je sobie przypisać – stwierdził Holden ze śmiechem. – Naszym ogniem kierowała sierżant kompanii marsjańskich marines.

Przez chwilę panowała cisza, potem Tseng znowu się odezwał.

– Kiedy będzie po wszystkim, chętnie postawię panu drinka i porozmawiam o tym, jak zwolniony dyscyplinarnie oficer floty ONZ trafił na skradziony torpedowiec FMRK, obsadzony przez marsjański personel wojskowy z wysoką rangą polityk ONZ na pokładzie.

– To cholernie dobra historia – zapewnił Holden. – A skoro mowa o Marsjanach, chętnie dałbym mojej marinę prezent. Czy macie na *Cydonii* oddział marines?

- Tak, dlaczego pan pyta?
- A nie ma tam przypadkiem paru zwiadowców?
- Owszem. Jeszcze raz, skąd to pytanie?
- Potrzebowalibyśmy sprzętu, który pewnie macie w magazynie.

Wyjaśnił kapitanowi Tsengowi, czego szuka, a ten odpowiedział:

- Poproszę *Ride* o przekazanie wam jednego, gdy będą podawać amunicję.

* * *

FMRK *Sally Ride* wyglądał, jakby zaliczył walkę bez choćby jednego zadrapania. Kiedy podleciał obok *Rosynanta*, jego ciemne boki wyglądały na gładkie i nietknięte jak powierzchnia czarnego stawu. Po idealnym dopasowaniu kursu przez Aleksa i pilota *Ride'a* w boku niszczyciela otworzył się duży właz, oświetlając okolicę słabym czerwonym światłem. Wystrzelono dwa chwytaki magnetyczne, łącząc statki dziesięcioma metrami liny.

– Mówi porucznik Graves – zabrzmiał dziewczęcy głos. – Gotowi do rozpoczęcia transferu towaru na wasz znak.

– Zaczynajcie – odpowiedział Holden, choć porucznik Graves brzmiała, jakby wciąż chodziła do liceum. – Z naszej strony wszystko gotowe.

Przełączył się na kanał do Naomi.

– Otwórz włazy, idzie dostawa.

Kilka metrów od miejsca, w którym stał, duży właz, normalnie gładko spasowany z resztą kadłuba, otworzył się w szeroką na metr i długą na osiem metrów szczelinę w powłoce statku. Wzdłuż boków otworu zobaczył skomplikowany system szyn i przekładni, a na dnie

spoczywały trzy pozostałe *Rosynantowi* rakiety przeciwokrętowe.

– Siedem tutaj – powiedział Holden, wskazując na otwarty magazyn. – A siedem po drugiej stronie.

– Potwierdzam – odpowiedziała Graves.

W otwartym włazie *Ride'a* pojawił się długi, wąski kształt torpedy z głowicą plazmową, z marynarzami w skafandrach próżniowych po bokach. Dzięki kontrolowanym strumieniom sprężonego azotu przewieźli torpedę wzdłuż lin prowadzących do *Rosa*, a potem z pomocą wspomaganą siłą skafandra Bobbie wprowadzili ją na pozycję u góry szczeliny.

– Pierwsza na pozycji – zgłosiła Bobbie.

– Mam ją – odpowiedziała Naomi, a po sekundzie ożyły szyny, chwytając torpedę i wciągając ją w głąb magazynu.

Holden zerknął na czas operacji wyświetlany na ekranie. Przeniesienie i załadowanie wszystkich torped zajmie wiele godzin.

– Amos – rzucił. – Gdzie jesteś?

– Właśnie kończę ostatnią łąkę przy warsztacie – odpowiedział mechanik. – Czegoś ci potrzeba?

– Kiedy skończysz, zgarnij parę plecaków do manewrowania w próżni. Pójdziemy zabrać pozostałe zapasy. Powinny tam być trzy skrzynie pocisków do działek i trochę drobiazgów.

– Już skończyłem. Naomi, możesz mi otworzyć drzwi towarowe? Holden przyglądał się, jak pracują marynarze *Ride'a* i Bobbie. Zanim pojawił się Amos z dwoma plecakami odrzutowymi, zdołali załadować jeszcze dwie torpedy.

– Porucznik Graves, dwóch członków załogi *Rosynanta*

prosi o zgodę na wejście na pokład i zabranie pozostałych zapasów.

– Udzielam, *Rosynant*.

Pociski do działek obrony punktowej były przechowywane w skrzyniach po dwadzieścia tysięcy sztuk i w pełnym ciężeniu ważyłyby ponad pięćset kilogramów. W nieważkości lecących siłą bezwładności statków, dwóch ludzi z plecakami manewrowymi mogło poruszyć jedną taką skrzynię, jeśli byli gotowi poświęcić czas i uzupełniać zużyty azot po każdej podróży. Bez mecha ratowniczego lub małego promu do pomocy – nie było na to innego sposobu.

Każdą skrzynię należało powoli pchnąć w stronę rufy *Rosynanta*, rozpędzając ją dwudziestosekundowym impulsem plecaka manewrowego Amosa. Kiedy docierała na rufę statku obok drzwi ładowni, Holden wykonywał hamowanie trwającym tyle samo impulsem, zatrzymując skrzynię. Potem razem wprowadzali amunicję do środka i mocowali ją do ściany. Proces był długi i przynajmniej dla Holdena każda podróż wiązała się z bardzo emocjonującym momentem odpalenia silniczków do zatrzymania skrzyni. Za każdym razem ogarniała go krótką, paniczną wizja awarii plecaka, prowadzącej do odlotu wraz ze skrzynią w przestrzeń międzyplanetarną. Oczywiście, było to niedorzeczne. Amos mógłby bez problemu wyciągnąć nowy plecak i przylecieć po niego albo statek mógłby zawrócić bądź *Ricie* mógł wysłać prom ratunkowy. Istniało całe mnóstwo sposobów na szybki ratunek, jednak ludzie nie mieszkali i nie pracowali w przestrzeni kosmicznej dość długo, by prymitywne części ich mózgów nie mówiły *spadnę. Będę spadać przez*

wieczność.

Ludzie z *Ride'a* skończyli przenosić torpedy mniej więcej w tym samym czasie, gdy Holden z Amosem zamocowali w ładowni ostatnią skrzynię z amunicją do działek.

– Naomi. – Holden wywołał ją na otwartym kanale. – Wszystko zielone?

– Stąd wszystko wygląda dobrze. Wszystkie nowe torpedy rozmawiają z *Rosem* i zgłaszają gotowość.

– Doskonale. My z Amosem wracamy przez służbę ładowni. Możesz ją zamknąć. Aleks, gdy tylko dostaniesz potwierdzenie od Naomi, powiedz *Cydonii*, że możemy lecieć z dużym ciągiem na Io, gdy tylko kapitan będzie gotowy.

Kiedy załoga szykowała statek do lotu na Io, Holden i Amos zdjęli skafandry i schowali je do szafek w warsztacie. Sześć szarych dysków, po trzy na dwóch przeciwległych ścianach pomieszczenia, zdradzało, gdzie pociski przebiły się przez tę część statku.

– Co jest w tej dodatkowej skrzyni, którą dostałeś od Marsjan? – zapytał Amos, ściągając wielki but magnetyczny.

– Prezent dla Bobbie – odpowiedział Holden. – Ale wolałbym zachować go w tajemnicy do czasu wręczenia, dobra?

– Jasne, żaden problem, kapitanie. Ale jeśli okaże się, że to tuzin róż, to wolę nie być w okolicy, gdy dowie się o tym Naomi. Plus wiesz, Aleks...

– To coś praktyczniejszego od róż... – zaczął Holden, po czym przewinął rozmowę w głowie. – Aleks? Co z Alekssem?

Amos wzruszył rękami jak Pasiarz.

- Chyba czuje coś do naszej obfitej marynę.
- Żartujesz.

Holden nie potrafił sobie tego wyobrazić. Nie chodziło oto, że Bobbie nie była atrakcyjna, dalece nie. Ale była też przy tym bardzo duża i wyglądała groźnie, za to Aleks był takim cichym i spokojnym facetem. Jasne, oboje byli Marsjanami, a niezależnie od tego, jak kosmopolityczny robił się człowiek, zawsze było coś miłego w przypomnieniu o domu. Może wystarczyło, że byli jedyną dwójką Marsjan na statku. Tylko że Aleks miał na karku prawie pięćdziesiątkę, wyraźnie łyślał i nosił swoją oponkę z cichą rezygnacją mężczyzny w średnim wieku. Sierżant Draper nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat i wyglądała jak ilustracja z komiksu, włącznie z mięśniami *na* mięśniach. Nie potrafiąc się powstrzymać, zaczął sobie wyobrazać, jak by razem wyglądali. Nie zadziało.

– Rety – powiedział tylko. – To obustronne uczucie?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Amos, wzruszając ramionami. – Sierżant nie jest zbyt otwarta, ale nie wydaje mi się, żeby świadomie zrobiła mu krzywdę, jeśli o to pytasz. Nie żebyśmy, no wiesz, mogli ją powstrzymać.

– Ciebie też przeraża, co?

– Słuchaj – rzucił Amos z krzywym uśmiechem. – Jeśli chodzi o przepychanki, to można powiedzieć, że jestem utalentowanym amatorem, ale dobrze przyjrzałem się tej kobiecie w jej eleganckim mechanicznym pancerzu, który nosi. Bez niego zresztą też. To profesjonalistka. Nie gramy w tej samej lidze.

Na *Rosynancie* zaczęło wracać ciężenie. Aleks włączył silnik, co znaczyło, że zaczynali lot na Io. Holden wstał i poczekał chwilę, aż jego stawy z powrotem przystosują się

do uczucia wagi. Klepnął Amosa w plecy i powiedział:

– Cóż, masz pełny ładunek torped i pocisków, asystę trzech marsjańskich okrętów, bardzo wkurzoną staruszkę na odwyku od herbaty i marsjańską marinę, która pewnie mogłaby cię zabić twoimi zębami. Co robisz?

– Ty mi powiedz, kapitanie.

– Znajdujesz im kogoś innego, na kim mogą się wyżyć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Avasarala

– W mojej opinii, sir – powiedziała Avasarala – kości zostały już rzucone. W praktyce stosowane są już dwa kursy polityczne, a obecnie pytanie brzmi, jak postępować dalej. Jak dotąd mogłam nie dopuścić do wycieku informacji, ale gdy już do tego dojdzie, skutki będą druzgocące. A ponieważ jest praktycznie pewne, że artefakt może się porozumiewać, szanse na skuteczne militarne zastosowanie tych protomolekularno– ludzkich hybryd są *de facto* zerowe. Jeśli użyjemy tej broni, doprowadzimy do powstania drugiej Wenus, popełnimy genocyd i unieważnimy argument przeciwko stosowaniu przeciw Ziemi broni w rodzaju przyśpieszanych asteroid. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan język, ale to od samego początku był gówniany pomysł. Zniszczenia zadane bezpieczeństwu ludzkości są dosłownie niewyobrażalne. W tej chwili wydaje się jasne, projekt protomolekuły prowadzony na Wenus jest świadomy zdarzeń w układzie Jowisza. I rozsądne jest założenie, że tamtejsze próbki dysponują informacjami zyskanymi przez zniszczenie *Arborghasta*. Stwierdzenie, że stawia nas to w kłopotliwej sytuacji, jest drastycznym niedopowiedzeniem. Gdyby wszystko przeszło przez właściwe kanały, nie znaleźlibyśmy się tu, gdzie jesteśmy, ale w obecnej

sytuacji zrobiłam wszystko, co jest obecnie w mojej mocy, biorąc pod uwagę okoliczności. Stworzona przeze mnie koalicja między Marsem, elementami Pasa i prawowitym rządem Ziemi jest gotowa do podjęcia działań, ale Organizacja Narodów Zjednoczonych musi się zdystansować od tego planu i natychmiast podjąć działania w celu izolacji i pozbawienia kłów tej frakcji w rządzie, która nawaliła to kacze gówno. Ponownie przepraszam za język. Wysłałam kopie danych dołączonych do tej wiadomości do admirałów Southera i Leniki oraz do mojego zespołu pracującego nad problemem Wenus. Oczywiście, są do pańskiej dyspozycji i odpowiedzą na wszelkie pytania, jeśli ja będę niedostępna. Bardzo mi przykro, że stawiam pana w tej sytuacji, sir, ale będzie pan musiał wybrać stronę. I to szybko. Zdarzenia tutaj nabrały własnego rozpędu. Jeśli ma się pan w tym wszystkim znaleźć po właściwej stronie historii, musi pan podjąć działania już teraz.

Jeśli w ogóle będzie jakaś historia z właściwą stroną, pomyślała. Próbowała wymyślić, co jeszcze mogłaby powiedzieć, jakiś dodatkowy argument, który przebiłby nawarstwione przez dziesięciolecia powłoki betonu osłaniającego mózg sekretarza generalnego. Nic nie przyszło jej do głowy, a powtarzanie tego samego w rytm dziecięcej rymowanki zapewne uznałby za pogardliwe. Zatrzymała nagranie, skasowała kilka ostatnich sekund patrzenia w kamerę z desperacją i wysłała je ze wszystkimi dostępnymi znacznikami priorytetu i szyfrowaniem dyplomatycznym.

A więc do tego doszło. Cała ludzka cywilizacja, wszystko, co istotne, od pierwszego malowidła naskalnego do

pokonania studni grawitacyjnej i wciśnięcia nosa w przedsiónek gwiazd – sprowadzało się do tego, czy człowiek, którego największą zasługą było wtrącenie do więzienia za pisanie kiepskich wierszy, będzie miał dość jaj, by postawić się Errinwrightowi. Statek dokonał korekty kursu, przesuając się jak winda na chwilę tracąca kontakt z przewodnicami. Spróbowała się wyprostować, ale przesunęła się cała pryca na przegubach. Boże, jak ona nienawidziła podróży kosmicznych.

– Czy to zadziała?

W drzwiach do jej kabiny stał botanik. Był chudy jak patyk, jego głowa była trochę za duża, by mógł wyglądać normalnie. Nie był zbudowany tak niezgrabnie jak Pasiarze, ale nie dało się go pomylić z kimś, kto osiągnął dojrzałość w pełnym ciężeniu. Stojąc w jej drzwiach i próbując znaleźć coś, co mógłby zrobić z rękami, wyglądał na niezgrabnego, zagubionego i trochę nie z tego świata.

– Nie wiem – przyznała. – Gdybym tam była, sprawy potoczyłyby się tak, jak tego chcę. Mogłabym ścisnąć jaja paru osobom, żeby spojrzały na to po mojemu. Ale stąd? Może. A może nie.

– Ale może pani stąd rozmawiać z każdym, prawda?

– To nie to samo.

Kiwnął głową, ale uwagę skupił gdzieś wewnątrz. Pomimo różnic w kolorze skóry i budowie mężczyzna nagle skojarzył jej się z Michaellem– Jonem. Emanował tym samym wrażeniem odsunięcia o pół kroku od wszystkiego. Tyle że oderwanie Michaela– Jona graniczyło z autyzmem, a Praksidike Meng był nieco bardziej widocznie zainteresowany otaczającymi go ludźmi.

– Dostali się do Nicoli – powiedział. – Zmusili ją, żeby powiedziała o mnie te rzeczy. O Mei.

– Oczywiście, że tak. Tak właśnie działają. A jeśli tego chcieli, to mają też dokumenty i raporty policyjne na poparcie jej słów, datowane wstecznie i wprowadzone do baz danych wszędzie tam, gdzie pan mieszkał.

– To straszne, że ludzie myślą, że to zrobiłem.

Avasarala przytaknęła, a potem wzruszyła ramionami.

– Reputacja nigdy nie ma zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością – stwierdziła. – Mogłabym wskazać pół tuzina wzorów cnót, które tak naprawdę są koszmarnymi, wrednymi ludźmi. A pan wyszedłby z pokoju, słysząc nazwiska niektórych z najlepszych znanych mi osób. Nikt na ekranie nie jest tym samym człowiekiem, z którym wspólnie oddycha się tym samym powietrzem.

– Holden – zasugerował Praks.

– No cóż. To wyjątek – przyznała.

Botanik spuścił wzrok, potem znowu popatrzył na nią. Miał prawie przeproszający wyraz twarzy.

– Mei prawdopodobnie nie żyje – powiedział.

– Nie wierzysz w to.

– Minęło mnóstwo czasu. Nawet jeśli mają jej lekarstwo, pewnie zmienili ją w jedno z tego... czegoś.

– Nadal w to nie wierzysz.

Botanik nachylił się do przodu, marszcząc brwi, jakby przedstawiła mu problem, którego nie potrafił rozwiązać od ręki.

– Proszę mi powiedzieć, że zbombardowanie Io jest słuszne. Mogę w każdej chwili polecić wystrzelenie trzydziestu głowic nuklearnych. Wyłączyć silniki, niech lecą balistycznie. Nie wszystkie się przedrą, ale część tak.

Proszę powiedzieć jedno słowo, a zmienię Io w żużel, zanim się do niego zbliżymy.

– Ma pani rację – powiedział Praks. A po chwili: – Dlaczego pani tego nie robi?

– Chce pan usłyszeć prawdziwy powód czy moje uzasadnienie?

– Oba?

– Usprawiedliwiam to w ten sposób – odpowiedziała. – Nie wiem, co jest w tym laboratorium. Nie mogę założyć, że potwory są tylko tam, a jeśli zniszczę to miejsce, spalę też dokumentację, która pozwoli mi odszukać brakujące. Nie znam wszystkich osób biorących w tym udział i nie mam dowodów przeciwko niektórym z tych, o których wiem. Mogą być tam na dole. Polecę tam, dowiem się, a potem zmienię laboratorium w radioaktywne szkło.

– To bardzo dobre powody.

– To bardzo dobre uzasadnienia. Według mnie są przekonujące. Ale prawdziwy powód jest taki, że Mei wciąż może żyć. Nie zabijam dzieci – oświadczyła. – Nawet wtedy, gdy to właściwe. Zdziwiłby się pan, jak wiele razy zaszkodziło to mojej karierze politycznej. Ludzie uważali mnie za słabą, aż odkryłam sztuczkę.

– Sztuczkę.

– Jeśli może pan sprawić, że będą się czerwienić, uznają pana za twardziela – wyjaśniła. – Mój mąż nazywa to maską.

– Och. – Tylko tyle wydobył z siebie Praks. – Dziękuję.

* * *

Czekanie było gorsze od strachu przed bitwą. Jej ciało chciało ruchu, wyrwania się z fotela i spacerowania

znanymi korytarzami. Coś w głębi umysłu domagało się działania, aktywności, konfrontacji. Przeszła przez cały statek z góry na dół i z powrotem. Jej umysł podsuwał jej detale na temat ludzi spotykanych na korytarzach, strzępy informacji z przeczytanych raportów wywiadu. Mechanik, Amos Bourton. Zamieszany w kilka morderstw, oskarżony, nigdy nie był sądzony. Poddał się dobrowolnej wazektomii, gdy tylko osiągnął wymagany przepisami wiek. Naomi Nagata, inżynier. Dwa dyplomy magisterskie. Odrzuciła ofertę studiów doktoranckich na stacji Ceres i propozycję pokrycia wszystkich kosztów. Aleks Kamal, pilot. Siedem oskarżeń o pijaństwo i burdy krótko po dwudziestce. Miał na Marsie syna, o którym nie wiedział. James Holden, człowiek bez tajemnic. Święty głupiec, który pogrążył Układ Słoneczny w wojnie i wydawał się zupełnie nie widzieć wywołanych przez siebie zniszczeń. Idealista, najniebezpieczniejszy rodzaj człowieka. A przy tym autentycznie dobry człowiek.

Zastanawiała się, czy cokolwiek z tego miało znaczenie.

Jedynym prawdziwym graczem, znajdującym się dostatecznie blisko, by opóźnienie nie zmieniło rozmowy w wymianę listów, był Souther, a on wciąż oficjalnie stał po tej samej stronie, co Nguyen, i przygotowywał się do bitwy z chroniącymi ją okrętami, więc możliwości miała bardzo ograniczone.

– Masz jakieś wiadomości? – zapytał przez jej terminal.

– Nie – odpowiedziała. – Nie wiem, dlaczego ten pieprzony pustogłowy marnuje tyle czasu.

– Chcesz, żeby odwrócił się od człowieka, któremu dotąd najbardziej ufał.

– A ile, do cholery, potrzeba na to czasu? Kiedy ja to

zrobiłam, w pięć minut było po wszystkim. „Soren”, powiedziałam. „Jesteś dupkiem. Wynos się stąd”. To wcale nie takie trudne.

– A jeśli nie przejdzie na twoją stronę? – zapytał Souther. Westchnęła.

– Wtedy oddzwonię do ciebie i spróbuję cię przekonać do zbuntowania się.

– Ach – odpowiedział Souther z półuśmiechem. – I jak to sobie wyobrażasz?

– Szanse nie wyglądają zachęcająco, ale nigdy nie wiadomo. Potrafię być cholernie przekonująca.

Pojawiło się powiadomienie. Nowa wiadomość. Od Arjuna.

– Muszę się rozłączyć – powiedziała. – Trzymaj ucho przy ziemi czy cokolwiek tam robicie, skoro ziemia nic tam nie znaczy.

– Uważaj na siebie, Chrisjen – odpowiedział Souther i zniknął, zastąpiony zielonym tłem zerwanego połączenia.

Kambuz wokół niej był pusty. Mimo wszystko, ktoś mógł przyjść. Uniosła brzeg sari i powędrowała do swojego małego pokoiku, zasuwając za sobą drzwi, zanim pozwoliła terminalowi otworzyć plik.

Arjun siedział przy biurku, w formalnym stroju, choć z rozpiętym guzikiem pod szyją i bez spinek w mankietach. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie wrócił z kiepskiego przyjęcia. Za plecami miał światło Słońca. Czyli popołudnie. Wysłał to popołudniu. Słońce wciąż jeszcze mogło tam nie zająć. Dotknęła ekranu, przesuwając palcami po obrysie jego ramienia.

– Z twojej wiadomości wynika, że możesz nie wrócić do domu – powiedział.

– Przepraszam – odparła do ekranu.

– Jak możesz sobie wyobrazić, ta myśl jest... niepokojąca – stwierdził, a potem na jego twarzy pojawił się uśmiech, lśniąc w oczach, które jak teraz zobaczyła, były czerwone od łez. – Ale cóż mogę z tym zrobić? Uczę doktorantów poezji. Nie mam żadnej władzy na tym świecie. To zawsze byłaś ty. Więc chciałem ci zaoferować tyle. Nie myśl o mnie. Nie przestawaj przeze mnie zajmować się tym, co robisz. A jeśli nie...

Arjun odetchnął głęboko.

– Jeśli życie przekroczy śmierć, odzyskam cię tam. Jeśli nie, to tam też.

Opuścił wzrok, potem znowu spojrział w kamerę.

– Kocham cię, Kiki. I zawsze będę cię kochał, niezależnie od odległości.

Wiadomość się skończyła. Avasarala zamknęła oczy. Statek wokół niej był ciasny i zamknięty jak trumna. Napierały na nią nawet najcichsze dźwięki, aż miała ochotę krzyczeć. Aż chciała usnąć. Przez chwilę pozwoliła sobie na płacz. Nie mogła zrobić nic innego. Zrobiła wszystko, co mogła, a teraz zostało jej tylko medytować i martwić się.

Pół godziny później znowu zabrzączał terminal, budząc ją z niespokojnego snu. Errinwright. Niepokój ścisnął jej gardło. Wyciągnęła palec, by włączyć odtwarzanie, ale znieruchomiała. Nie chciała. Nie chciała wracać do tego świata, nosić swej ciężkiej maski. Chciała jeszcze raz obejrzeć Arjuna. Słuchać jego głosu.

Tylko że Arjun oczywiście wiedział, czego będzie chciała. To dlatego powiedział właśnie te słowa. Włączyła nagranie.

Errinwright wyglądał na rozzłoszczonego. Więcej, na zmęczonego. Zniknęło uprzejme zachowanie i stał się człowiekiem zrobionym w całości ze słonej wody i gróźb.

– Chrisjen – powiedział. – Wiem, że tego nie rozumiesz, ale robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby zapewnić bezpieczeństwo tobie i twojej rodzinie. Nie rozumiesz, w co wdepnęłaś i wszystko psujesz. Żałuję, że nie miałaś dość odwagi, żeby przyjść z tym do mnie, zanim popędziłaś jak napalona szesnastolatka z Jamesem Holdenem. Szczerze mówiąc, nie bardzo potrafię sobie wyobrazić lepszy sposób na zniszczenie wszelkich śladów zawodowej wiarygodności. Wsadziłem cię na pokład *Guanshiyin*, żeby odsunąć cię od gry właśnie dlatego, że sytuacja miała się zrobić gorąca. No i proszę, jest, tylko że ty znalazłaś się w samym środku i nie rozumiesz, co się dzieje. Z powodu twojego egotyzmu milionom ludzi grozi poważne niebezpieczeństwo. Ty jesteś jednym z nich, kolejnym Arjun. I twoja córka. Wszystkim teraz grozi niebezpieczeństwo przez *ciebie*.

Na ekranie Errinwright złożył ręce, dociskając kostki palców do dolnej wargi, przybierając pozę idealnego ojca udzielającego reprimendy.

– Jeśli teraz zawrócisz, to może – może – zdołam cię uratować. Nie twoją karierę, ta już przepadła. Zapomnij o niej. Wszyscy tutaj widzą, że współpracujesz z SPZ i Marsem. Wszyscy uważają, że nas zdradziłaś, i tego nie da się już naprawić. Twoje życie i twoja rodzina to wszystko, co mogę uratować, ale musisz się wyrwać z tego cyrku, który rozpoczęłaś, i zrobić to natychmiast. Nie ma czasu, Chrisjen. Na szali leży wszystko, co ważne, a nie będę ci mógł pomóc, jeśli sama sobie nie pomożesz. Nie z czymś

takim. To twoja ostatnia szansa. Jeśli mnie teraz zignorujesz, to przy naszej następnej rozmowie ktoś już będzie martwy.

Wiadomość się skończyła. Odtworzyła ją ponownie, potem jeszcze trzeci raz. Miała wrażenie, że uśmiecha się szaleńczo.

Bobbie znalazła na mostku, była z pilotem, Alekssem. Gdy weszła, urwali rozmowę, a na twarzy Bobbie pojawiło się pytanie. Avasarala wystawiła palec i przełączyła nagranie, wyświetlając je na monitorach statku. Errinwright ożył. Na dużym ekranie widziała pory w jego skórze i poszczególne włoski brwi. Avasarala zobaczyła, że przy jego słowach Aleks i Bobbie spowaznieli, nachylając się w stronę ekranu, jakby wszyscy siedzieli przy pokerowym stole i osiągnęli wysokie stawki.

– No dobrze – powiedziała Bobbie. – Co robimy?

– Otworzymy pieprzonego szampana – odparła Avasarala. – Co nam właśnie powiedział? W tej wiadomości nie ma niczego. Nic. Obchodzi swoje słowa, jakby sterczały z nich zatrute kolce. I co przy tym oferuje? Groźby. Nikt nie rzuca groźbami.

– Chwila – odezwał się Aleks. – To był dobry znak?

– Doskonały – zapewniła Avasarala, a potem coś jeszcze, coś małego, wpadło na właściwe miejsce układanki wgłębi jej umysłu i zaczęła równocześnie śmiać się i przeklinać.

– Co? Co się stało?

– Jeśli życie przekroczy śmierć, odszukam cię tam. Jeśli nie, to tam też – zacytowała. – To pieprzone haiku. Ten człowiek ma wąski umysł i myśli tylko o jednym. Poezja. Chronicie mnie przed poezją.

Nie zrozumieli, ale nie musieli. Prawdziwa wiadomość

nadeszła pięć godzin później publicznym kanałem wiadomości, przekazana przez sekretarza generalnego Estebana Sorrento– Gillisa. Staruszek genialnie potrafił wyglądać równocześnie na poważnego i pełnego energii. Gdyby nie był szefem największego organizmu rządowego w historii rasy ludzkiej, byłby zabójczy w reklamach napojów energetycznych.

Tym razem zebrała się już cała załoga: Amos, Naomi, Holden i Aleks. Nawet Praks. Stali ściśnięci na mostku, przeciążając nieco wymienniki powietrza i nadając pokładowi wrażenie gorąca wielu ciał. Wszystkie spojrzenia utkwione były w ekran, wszyscy patrzyli na sekretarza generalnego wchodzącego na podium.

– Przybyłem tu dzisiaj poinformować o natychmiastowym powołaniu komisji śledczej. Dotarły do nas oskarżenia, według których pewne osoby działające w ramach rządu Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz sił zbrojnych dopuściły się nieautoryzowanych i być może nielegalnych kroków obejmujących współpracę z pewnymi prywatnymi wykonawcami. Jeśli oskarżenia okażą się prawdziwe, konieczne będzie natychmiastowe podjęcie związanych z tym działań. Gdyby okazały się nieuzasadnione, wymagane będzie ich rozwianie i ukaranie osób rozsiewających oszczerstwa. Nie muszę państwu przypominać o latach, które spędziłem jako więzień polityczny.

– Och, cudownie – rzuciła Avasarala, radośnie ściskając dłonie. – Częstuje wszystkich swoją przemową outsidera. Jego dupa musi być teraz tak ściśnięta, że zagina przestrzeń.

– Po powołaniu na stanowisko sekretarza generalnego

poświęciłem się zwalczaniu korupcji i jak długo będę je zajmował, nie ustane w tych staraniach. Zapewniamy naszą planetę i dzielony przez nas wszystkich Układ Słoneczny, że Organizacja Narodów Zjednoczonych honoruje etyczne, moralne i duchowe wartości, które łączą nas wszystkich jako gatunek.

Na ekranie Esteban Sorrento– Gillis kiwnął głową, odwrócił się i odmaszerował przy akompaniamencie wykrzykiwanych pytań, a jego miejsce zajęli komentatorzy, przekrzykując się we wszystkich opcjach spektrum politycznego.

– No dobrze – odezwał się Holden. – Czy on właściwie coś powiedział?

– Powiedział, że Errinwright jest skończony – odparła Avasarala. – Jeśli miałby jeszcze jakiegokolwiek wpływy, nie dopuściliby do tego oświadczenia. *Szlag*, ależ chciałabym tam być.

Errinwright został zdjęty z planszy. Został tylko Nguyen, Mao, Strickland (kimkolwiek był), ich częściowo kontrolowani protomolekularni wojownicy i rosnące zagrożenie na Wenus. Pozwoliła, by długi wydech zacharczał w jej gardle i przestrzeniach za nosem.

– Panie i panowie – powiedziała – właśnie rozwiązałam nasz najmniejszy problem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Bobbie

Jednym z najżywszych wspomnień Bobbie był dzień, gdy dostała rozkaz zgłoszenia się do bojowej placówki szkoleniowej 2. Specjalnych Sił Ekspedycyjnych. Oddziały rozpoznania, śmietanka marsjańskich piechociarzy. W obozie szkoleniowym trenowali z sierżantem rozpoznania. Miał na sobie lśniący czerwony pancerz wspomagany i z fascynacją oglądali, jak demonstrował jego stosowanie w różnych sytuacjach taktycznych. Na koniec poinformował ich, że czwórka najlepszych z ich klasy zostanie przeniesiona do placówki działań specjalnych na zboczach Hecates Tholus, przeszkolona w korzystaniu z pancerza i dołączy do najgroźniejszej jednostki bojowej w Układzie Słonecznym.

Uznała, że ona się w tej czwórce znajdzie.

Zdeterminowana, by wygrać jeden z tych pożądanых przydziałów, skupiła się na szkoleniu, ładując w nie wszystko, co mogła. Okazało się, że mogła całkiem sporo. Nie tylko załapała się do pierwszej czwórki, ale wylądowała na pierwszym miejscu z bardzo dużym zapasem. A potem przyszedł list z rozkazem zgłoszenia się do bazy Hekate na szkolenie zwiadu i to wszystko było tego warte. Zadzwoiła do ojca i przez dwie minuty tylko wrzeszczała. Kiedy w końcu zdołał ją uspokoić i

powiedziała mu, z czym dzwoni, on krzyczał jeszcze dłużej. *Jesteś teraz jedną z najlepszych, skarbie*, powiedział na koniec, a ciepło, jakie te słowa wlały w jej serce, nigdy nie osłabło.

Nawet teraz, gdy siedziała na szarym metalowym pokładzie w brudnym warsztacie skradzionego marsjańskiego okrętu. Nawet przy wszystkich towarzyszach rozerwanych na strzępy i rozrzuconych po zamrożonej powierzchni Ganimedesa. Nawet przy niepewnym statusie wojskowym i uzasadnionych wątpliwościach odnośnie do jej lojalności. Nawet przy tym wszystkim – słowa *jesteś teraz jedną z najlepszych, skarbie* przywoływały uśmiech na jej usta. Odczuła pragnienie zadzwonienia do ojca i opowiedzenia mu, co się stało. Zawsze byli blisko, a kiedy żaden z jej braci nie poszedł w jego ślady, żaden nie wybrał służby wojskowej, zrobiła to ona. To tylko wzmocniło ich więzi. Wiedziała, że zrozumiałby, ile kosztowało ją odwrócenie się od wszystkiego, co było dla niej święte, by pomścić swój zespół.

I dopadło ją bardzo silne przeczucie, że nigdy więcej go nie zobaczy.

Nawet jeśli przebiją się do Jowisza z polującą na nich połową floty ONZ i nawet jeśli, gdy już tam dotrą, admirał Nguyen i kilkanaście kontrolowanych przez niego okrętów natychmiast ich nie zestrzelą, i nawet jeśli zdołają powstrzymać to, co dzieje się na orbicie wokół Io z *Rosynantem* w jednym kawałku, to i tak Holden planował wylądować i ocalić córkę Praksa.

Będą tam potwory.

Była tego tak pewna, jak nigdy niczego wcześniej w

całym swoim życiu. Każdej nocy śniła o ponownej walce z nimi. Stwór zginał długie palce i patrzył na nią za dużymi, jarzącymi się niebiesko oczami, gotowy dokończyć to, co zaczął miesiąc temu na Ganimesesie. We śnie unosiła karabin wyrastający jej z ręki i zaczynała strzelać w biegnącego ku niej stwora, tryskającego czarnymi pajęczynami z dziur zamykających się jak woda. Zawsze budziła się, zanim do niej docierał, ale wiedziała, jak zakończy się ten sen: z jej rozerwanym ciałem stygnącym na lodzie. Wiedziała też, że gdy Holden poprowadzi swoich ludzi na dół, do laboratoriów na Io, gdzie tworzyli potwory, pójdzie wraz z nim. Scena z jej snu rozegra się w prawdziwym życiu. Wiedziała to tak, jak wiedziała o miłości ojca. Czekala na to.

Na podłodze pod jej stopami leżały części pancerza. Dysponując całym tygodniami podczas lotu na Io, miała czas całkiem go rozebrać i odnowić. Warsztat *Rosynanta* był dobrze wyposażony, a narzędzia zrobili Marsjanie. To było doskonałe miejsce. Skafander był sporo używany, chociaż niekonserwowany, ale jeśli miała być ze sobą szczerza, to czas wymagany na pracę nad nim był nagrodą. Pancerz marsjańskiego zwiadu był niezwykle skomplikowaną maszyną, dopasowaną do noszącej go osoby. Rozmontowanie go i ponowne złożenie nie było proste, wymagało całkowitego skupienia. Każda chwila, którą spędzała, pracując nad nim, była chwilą, podczas której nie myślała o potworze czekającym na Io, by ją zabić. Niestety, było już po wszystkim. Skończyła konserwację, znajdując nawet mikropęknięcie w maleńkim zaworze, powodujące powolny, ale uporczywy wyciek płynu w siłowniku kolanowym skafandra.

Przyszedeł czas, by złożyć go z powrotem. Procedura miała w sobie coś z rytuału. Ostateczne oczyszczenie przed wyjściem na spotkanie śmierci na polu bitwy.

Oglądałam za dużo filmów Kurosawy, pomyślała, ale nie potrafiła pozbyć się tego uczucia. Wywołane nim obrazy były uroczym sposobem przekształcenia myśli samobójczych w poczucie honoru i szlachetnego poświęcenia.

Podniosła zestaw napierśnika i ostrożnie przetręła go wilgotną szmatką, usuwając ostatnie pyłki i resztki pokrywającego go oleju. Powietrze wypełniła woń metalu i smaru. A kiedy mocowała płyty pancerza do ramy, z czerwonymi powierzchniami pokrytymi tysiącami drobnych wgnieceń i zadrapań, przestała walczyć z chęcią rytualizacji zadania i pozwoliła sobie na nie. Bardzo przypominało to składanie całunu. W zależności od tego, jak potoczy się ostatnia walka, ta ceramika, guma i stopy mogą osłaniać jej ciało na resztę wieczności.

Odwróciła zestaw napierśnika i zajęła się plecami. Długa rysa w lakierze zdradzała gwałtowność, z jaką sunęła przez lód Ganimedesa, gdy potwór eksplodował tuż przy niej. Wzięła do ręki klucz, ale po chwili go odłożyła, stukając kostkami o pokład.

Dlaczego wtedy?

Dlaczego potwór wysadził się właśnie w tej chwili? Przypomniało jej się, jak zaczął się zmieniać, wypuszczać z ciała nowe kończyny. Jeśli Praks miał rację, wtedy właśnie zawiodły systemy ograniczające, wprowadzone przez naukowców Mao. A bomba została ustawiona tak, żeby wybuchnąć, jeśli stwór wyrwie się im spod kontroli. Ale to tylko przenosiło pytanie poziom dalej. Dlaczego ich

kontrola nad fizjologią stwora zawiodła dokładnie w tej chwili? Praks powiedział, że procesy regeneracyjne stanowią dobrą okazję do obejścia systemów ograniczających, a jej pluton szył do stwora ze wszystkiego, gdy ten szarżował na ich linię. Wtedy nie wydawało się, żeby pociski robiły mu krzywdę, ale każda rana oznaczała nagłą aktywność w komórkach stwora, czy cokolwiek tam miał zamiast komórek, w trakcie gojenia. Każda była okazją do tego, by wzrost wymknął się spod kontroli.

Może właśnie tak brzmiała odpowiedź. *Nie próbuj zabijać potwora, po prostu wprowadź tyle uszkodzeń, by programy zaczęły zawodzić i aktywowało się samozniszczenie.* Nie musiała nawet przeżyć, musiała po prostu wytrzymać dość długo, by uszkodzić potwora w stopniu większym niż bezpiecznie mógł się naprawić. Wszystko, czego potrzebowała, to dość czasu na zadawanie mu ran.

Odłożyła płytę pancerza, nad którą pracowała, i podniosła hełm. W pamięci skafandra wciąż miała nagranie z kamery działka podczas walki. Nie oglądała go ponownie po prezentacji Avasarali dla załogi *Rosa*. Nie potrafiła tego zrobić.

Dźwignęła się na nogi i dotknęła panelu łączności na ścianie.

– Hej, Naomi? Jesteś na mostku?

– Tak. – Naomi potwierdziła po kilku sekundach. – Czegoś ci potrzeba, sierżancie?

– Myślisz, że potrafisz namówić *Rosa*, żeby rozmawiał z moim hełmem? Mam włączony nadajnik, ale nie chce rozmawiać z cywilnym sprzętem. To jedna z naszych

łodzi, więc chyba *Ros* powinien mieć wszystkie klucze i kody.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, więc *Bobbie* położyła hełm na blacie, jak najbliżej ściennego monitora, i czekała.

– Widzę węzeł radiowy, który *Ros* identyfikuje jako „MRK MR Goliat III 24397A15”.

– To ja – potwierdziła *Bobbie*. – Możesz przekazać sterowanie tym węzłem do panelu w warsztacie?

– Zrobione – powiedziała *Naomi* po sekundzie.

– Dzięki – rzuciła *Bobbie* i zamknęła połączenie.

Potrzebowała chwili, żeby przypomnieć sobie obsługę oprogramowania do edycji wideo i przekonać system do użycia przestarzałych algorytmów dekompresji danych. Po kilku nieudanych próbach na ekranie pojawił się nieprzetworzony obraz z kamery karabinu z walki na *Ganimedesie*. Kazała go odtwarzać w pętli i usiadła na pokładzie z kombinezonem.

Przy pierwszym odtwarzaniu skończyła skręcanie pancerza na plecach i zaczęła mocować źródło zasilania oraz główny system hydrauliczny. Próbowwała nie czuć niczego w związku z obrazami na ekranie ani nie przypisywać im żadnego znaczenia, a jedynie traktować je jak zagadkę do rozwiązania. Myśli skupiła na pracy przy skafandrze i pozwoliła, by jej podświadomość przyswajała dane z ekranu.

Odtwarzany obraz sprawiał, że traciła koncentrację i zdarzało jej się coś pomylić, co zmuszało ją do poprawek, ale to jej nie przeszkadzało. Nie pracowała pod presją czasu. Skończyła mocowanie zasilania i głównych silników. Na ręcznym terminalu, który podpięła do mózgu

skafandra, pokazały się zielone kontrolki. Na ekranie ściennym obok hełmu żołnierz ONZ został rzucony w nią nad powierzchnią Ganimedesa. Gwałtownie zmieniające się obrazy, gdy uskakiwała. Kiedy obraz się uspokoił, zniknął marinę ONZ i jej przyjaciel, Tev Hillman.

Bobbie podniosła zestaw ręki i zaczęła mocować ją do torsu. Potwór chwycił żołnierza w pancerzu porównywalnym z jej pancerzem i rzucił nim z siłą dostateczną, by natychmiast zabić. Jediną obroną przed taką siłą było nie dać się trafić. Skupiła się na składaniu ramienia.

Kiedy znowu spojrzała na ekran, nagranie zaczęło się od początku. Potwór biegł przez lód, goniąc żołnierzy ONZ. Zabił jednego z nich. Bobbie na nagraniu zaczęła strzelać, co było sygnałem do otwarcia ognia przez cały pluton.

Stwór był szybki. Ale kiedy żołnierze ONZ nagle skręcili, otwierając pole ostrzału dla Marsjan, potwór nie zareagował od razu. A więc może szybki na prostej, ale nie przy zakrętach. To mogło się przydać. Nagranie znowu doszło do miejsca, gdzie żołnierz ONZ został rzucony w szeregowego Hillmana. Stwór reagował na ogień z karabinów i na rany, choć nie spowalniały go w widoczny sposób. Przypomniała sobie nagranie, na którym Holden i Amos starli się ze stworem w ładowni *Rosynanta*. W zasadzie byli przez niego ignorowani do czasu, aż Amos zaczął do niego strzelać – wtedy zareagował gwałtowną przemocą.

Ale pierwszy stwór zaatakował placówkę ONZ, więc przynajmniej do pewnego stopnia można było nimi kierować. Wydawać rozkazy. Gdy przestawały otrzymywać polecenia, zdawały się ograniczać do

domyślnego stanu, w którym próbowały zdobyć więcej energii i zerwać ograniczenia. W tym stanie ignorowały praktycznie wszystko poza pokarmem i przemocą. Kiedy następny raz na kogoś trafi, jeśli ten nie otrzyma rozkazu zaatakowania jej, prawdopodobnie będzie mogła wybrać własne pole bitwy i zwabić go tam, gdzie zechce. To też było przydatne.

Skończyła mocowanie ramienia i przetestowała je. Wszystkie kontrolki zielone. Nawet jeśli nie była pewna, dla kogo pracuje, przynajmniej nie zapomniała, jak wykonywać swoją robotę.

Potwór na ekranie wbiegł po boku wielkiego mecha *Yojimbo* i wyrwał właz pilota. Sa'id, pilot, został wyrzucony. Znowu napięcie mięśni i rzut. Co miało sens. Przy połączeniu niezwyklej siły i praktycznej niewrażliwości na uszkodzenia bronią balistyczną bieg prosto na przeciwnika, a potem rozerwanie go na pół było w zasadzie strategią gwarantującą zwycięstwo. Rzucanie ciężkich przedmiotów z zabójczą prędkością szło ręką w rękę z siłą. A energia kinetyczna była wredna. Pancierz może odbijać pociski i lasery, może też osłabiać uderzenia, ale nikt nigdy nie zrobił pancerza, który mógłby odrzucić całą energię kinetyczną nadaną mu przez dużą masę sunącą z wielką prędkością. Przynajmniej żaden pancerz, który mógłby nosić człowiek. Jeśli miało się dość siły, kosz na śmieci był lepszy od karabinu.

Kiedy więc potwór atakował, biegł prosto na wroga, licząc na złapanie go, co – praktycznie rzecz biorąc – kończyło walkę. Jeśli nie mógł tego zrobić, próbował rzucać w przeciwnika ciężkimi obiektami. Ten w ładowni

prawie zabił Jima Holdena, rzucając w niego masywną skrzynią. Niestety, jej pancierz miał wiele takich samych ograniczeń, jak stwór. Choć jeśli chciała, mogła w nim biec bardzo szybko, nie był zbyt dobry w gwałtownych manewrach. W sumie dotyczyło to większości obiektów stworzonych z myślą o szybkości, nawet gepardy i konie nie skręcały zbyt szybko. W skafandrze Bobbie była bardzo silna, ale nie tak, jak potwór. Broń palna dawała jej tę przewagę, że mogła uciekać przed stworem, strzelając do niego z dystansu. Stwór nie mógł rzucić w nią nic ciężkiego bez zatrzymania się i zaczepienia. Nieludzka siła nie zmieniała jego masy, a pan Newton miał coś do powiedzenia na temat lekkiego obiektu rzucającego ciężkim.

Do czasu, aż skończyła składać swój skafander z pancierzem wspomaganym, obejrzała nagranie ponad sto razy i w jej głowie zaczęła się krystalizować taktyka walki. Podczas szkolenia w walce wręcz potrafiła pokonać większość przeciwników, ale zawsze miała problemy z tymi drobnymi i szybkimi, którzy potrafili przyłożyć i odsunąć się. Kimś takim właśnie musiała być w tej walce. Będzie musiała uderzać i uskakiwać, nie zatrzymując się ani na chwilę. I nawet wtedy będzie potrzebować mnóstwo szczęścia, bo będzie walczyć daleko poza swoją kategorią wagową, a jedno trafienie przez potwora gwarantowało przegraną.

Jej drugą przewagą był fakt, że nie musiała *wygrać*. Wystarczyło zadać dość ran, by potwór sam się zabił. Kiedy w końcu weszła do odnowionego skafandra i zamknęła go wokół siebie do końcowych testów, była przekonana, że potrafi to zrobić.

* * *

Bobbie sądziła, że zdobyty spokój związany z bitwą w końcu pozwoli jej spać, ale po trzech godzinach rzucania się z boku na bok w końcu się poddała. W głębi umysłu ciągle coś ją dręczyło. Próbowwała odnaleźć swoją *Bushido* i wciąż było zbyt wiele rzeczy, z których nie potrafiła zrezygnować. Coś jeszcze nie dawało jej pozwolenia.

Wciągnęła na siebie duży, puchaty szlafrok skradziony z *Guanshiyin* i wjechała windą drabinową na mostek. Była trzecia wachta, więc statek był opuszczony. Holden i Naomi zajmowali wspólną kabinę i stwierdziła, że zazdrości im teraz tej bliskości. Czegoś pewnego, czego można by się trzymać w całym morzu niepewności. Avasarala siedziała w pożyczonym gabinecie, prawdopodobnie wysyłając wiadomości do ludzi na Ziemi. Aleks pewnie spał w swojej kajucie i przez krótką chwilę rozważała obudzenie go. Lubiła towarzyskiego pilota, był szczery w sposób, którego nie widywała często od czasu opuszczenia aktywnej służby.

Jednak zdawała sobie sprawę, że obudzenie mężczyzny o trzeciej nad ranem, gdy sama jest w szlafroku, wysłałoby komunikat, którego wcale nie chciała. Zamiast próbować wyjaśnić, że chciała tylko z kimś porozmawiać, minęła pokład załogowy i szła dalej.

Amos siedział przy stanowisku na mostku plecami do niej, pilnując okrętu. Żeby go nie przestraszyć, odchrząknęła. Nie poruszył się ani nie zareagował, więc podeszła do stanowiska łączności i zobaczyła, że ma zamknięte oczy i bardzo spokojnie oddycha. Spanie na służbie na okręcie FMRK mogło się w najlepszym razie

skończyć na dywaniku u kapitana. Wyglądało na to, że Holden pozwolił na obniżenie standardów dyscypliny od czasów swojej służby we flocie.

Bobbie włączyła konsolę łączności i znalazła najbliższy przekaźnik wiązek kierunkowych. Najpierw zadzwoniła do taty.

– Cześć, staruszk. Nie jestem pewna, czy powinieneś na to odpowiadać. Sytuacja tutaj jest bardzo niepewna i szybko się zmienia, ale przez ostatnie dni mogłeś słyszeć mnóstwo bardzo dziwnych rzeczy. Niektóre mogły dotyczyć mnie. Chciałam tylko powiedzieć, że was kocham i kocham Marsa. Wszystko, co zrobiłam, miało chronić was i mój dom. Może trochę zesłam z właściwej ścieżki, bo sytuacja zrobiła się skomplikowana i trudno było się w tym wszystkim połapać, ale teraz chyba widzę jasno i zamierzam iść dobrą drogą. Kocham was i mamę. I powiedz chłopakom, że są do bani. – Zanim wyłączyła nagranie, wyciągnęła rękę i dotknęła ekranu. – Do widzenia, tato.

Wysłała nagranie, ale nadal czegoś brakowało. Poza jej rodziną każdy, kto próbował jej pomóc w ciągu ostatnich trzech miesięcy, siedział z nią na jednym statku, więc to nie miało sensu.

Tylko że się myliła. Bo nie *wszyscy* byli na tym okręcie.

Bobbie wystukała z pamięci kolejny numer.

– Dzień dobry, kapitanie Martens. To ja. Chyba wiem już, co chciał pan pomóc mi zobaczyć. Wtedy nie byłam na to gotowa, ale to ze mną zostało. Więc nie zmarnował pan czasu. Teraz już wiem. Wiem, że to nie była moja wina. Wiem, że po prostu znalazłam się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Wracam teraz do

początku *dlatego*, że rozumiem. Nie jestem zła, zraniona ani nie obwiniam siebie. Po prostu mam obowiązek dokończyć walkę.

W chwili, gdy wcisnęła przycisk wysyłania, coś poluzowało się w jej piersi. Wszystkie wątki zostały starannie uporządkowane, więc mogła wreszcie lecieć na Io i zrobić, co trzeba, bez żalu. Odetchnęła głęboko i zsunęła się w dół pryczy przeciążeniowej, aż prawie znalazła się w poziomie. Nagle poczuła się potwornie zmęczona. Jakby mogła spać przez tydzień. Zaczęła się zastanawiać, czy komuś przeszkadzałoby, gdyby usnęła po prostu na mostku, zamiast wracać na dół windą.

* * *

Nie pamiętała, kiedy usnęła, ale proszę, leżała rozciągnięta na pryczy przeciążeniowej przy stanowisku łączności z małą plamą śliny obok głowy. Z ulgą zorientowała się, że szlafrok został w przeważającej części na swoim miejscu, więc przynajmniej nie świeciła gołym tyłkiem przed wszystkimi przechodzącymi obok.

– Gunny? – powiedział Holden głosem sugerującym, że robi to nie pierwszy raz. Stał nad nią z zaniepokojonym wyrazem twarzy.

– Już, przepraszam – powiedziała, siadając i ciaśniej zbierając szlafrok wokół siebie. – Musiałam wysłać w nocy parę wiadomości i chyba byłam bardziej zmęczona, niż sądziłam.

– Jasne – stwierdził Holden. – Żaden problem. Możesz spać, gdzie tylko chcesz.

– Dobra – powiedziała Bobbie, cofając się w stronę drabiny. – Chyba lepiej będzie, jak pójde na dół, wezmę

prysznic i spróbuję się zmienić z powrotem w człowieka.

Holden kiwnął głową z dziwnym uśmiechem na twarzy.

– Jasne. Jak się ubierzesz, przyjdź do warsztatu.

– Potwierdzam – rzuciła i pognęła w dół drabiny.

Po dekadenccko długim prysznicu i przebraniu się w czysty czerwono– szary mundur koszarowy wzięła kubek kawy z kambuza i zeszła na dolny pokład. Holden już tam był. Na jednym z blatów leżała skrzynia wielkości pokrowca na gitarę, a na podłodze obok stała większa, sześcienna skrzynia. Kiedy weszła do warsztatu, poklepał skrzynię na blacie.

– To dla ciebie. Kiedy weszłaś na pokład, zauważyłem, że nie masz swojego.

Bobbie zawahała się na chwilę, a potem podeszła do skrzyni i otworzyła ją. Wewnątrz leżało odpalane elektrycznie, trzylufowe działko Gatlinga 2 mm, typu określanego przez Marsjan jako Piorun wzór V. Było nowe, lśniące i dokładnie takiego typu, jaki pasował do jej skafandra.

– To niesamowite – powiedziała Bobbie, gdy już odzyskała oddech. – Ale bez amunicji to tylko nieporęczna maczuga.

Holden kopnął w skrzynię na podłodze.

– Pięć tysięcy pocisków bezłuskowych kaliber dwa milimetry. Zapalających.

– Zapalających?

– Zapominasz, że też widziałem tego potwora z bliska. Przeciwpancerne nic nie dają, raczej zmniejszają uszkodzenia tkanek miękkich. Ale skoro laboratorium wsadziło w nie bomby zapalające, to chyba musi znaczyć, że nie są odporne na ogień.

Bobbie wyciągnęła ciężką broń ze skrzynki i położyła ją na podłodze obok zmontowanego skafandra.

– O *cholera*, tak.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Holden

Holden siedział przy konsoli bojowej na mostku i przyglądał się nadchodzącemu Ragnarokowi. Admirał Souther, który według zapewnień Avasarali był jednym z tych dobrych, dołączył swoje okręty do małej, ale rosnącej floty marsjańskiej lecącej w stronę Io. Na orbicie wokół księżycy czekało na nich dwanaście okrętów floty admirała Nguyena. Kolejne jednostki marsjańskie i ONZ leciały w tę stronę z Saturna i Pasa. Kiedy już wszyscy dolecą, w strefie walki znajdzie się około trzydziestu pięciu okrętów klasy pancernika, pojawią się też dziesiątki mniejszych jednostek przechwytyjących i korwet klasy *Rosynanta*.

Trzy tuziny pancerników. Holden próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek zebrano flotę tej wielkości, ale nie potrafił skojarzyć takiego zdarzenia. Włącznie z jednostkami flagowymi admirała Nguyena i Southera znajdą się tam cztery drednoty klasy *Trumart* ONZ, a Marsjanie będą mieli trzy jednostki klasy *Donnagera*, z których każdy mógł zniszczyć planetę. Reszta będzie mieszanką krążowników i niszczycieli. Nie do końca kategoria wagowa pancerników, ale z dostateczną siłą ognia, by odparować *Rosynanta*. I szczerze mówiąc, właśnie tym Holden martwił się

najbardziej.

Na papierze jego strona miała więcej statków. Po połączeniu sił Southera i Marsjan mieli dwukrotną przewagę nad flotą Nguyena. Z drugiej strony, ile ziemskich statków będzie gotowych strzelać do swoich towarzyszy tylko dlatego, że każą im to zrobić jeden admirał i wygnana polityk? Było całkiem prawdopodobne, że jeśli faktycznie dojdzie do wymiany ognia, dużo jednostek ONZ może doznać niewytłumaczalnych usterek łączności i poczekać na wynik starcia. A to wcale nie był najgorszy scenariusz. W najgorszym przypadku okręty Southera mogły zmienić strony po tym, jak Marsjanie zaczną zabijać Ziemian. Walka mogła zmienić się w całe mnóstwo ludzi celujących do siebie z dział, i nikt nie wiedziałby, komu ufać.

Mogła zmienić się w rzeź.

– Mamy dwa razy więcej okrętów. – Avasarala odezwała się z fotela przy konsoli łączności.

Holden prawie zaprotestował, ale zmienił zdanie. W sumie to nie miało znaczenia. Avasarala będzie wierzyć w to, co zechce. Potrzebowała przekonania, że wszystkie jej wysiłki były czegoś warte, że miały się właśnie zwrócić, gdy flota dotrze na miejsce i ten błazen Nguyen podda się jej ewidentnie większym siłom. Prawda była taka, że jej wizja świata wcale nie musiała być bardziej wydumana niż jego. Nikt nie wiedział na pewno, aż wszyscy się przekonają.

– Ile jeszcze? – zapytała Avasarala, a potem napiła się z bańki słabej kawy, którą zaczęła sobie parzyć zamiast herbaty.

Przez chwilę Holden rozważał wskazanie jej danych

nawigacyjnych udostępnianych przez *Rosa* na wszystkich konsolach, ale zrezygnował. *Avasarali* nie chodziło o pokazanie, jak sama może coś sprawdzić. Chciała to usłyszeć. Nie była przyzwyczajona do samodzielnego wciskania klawiszy. We własnym mniemaniu była od niego ważniejsza. *Holden* zastanawiał się, jak faktycznie wygląda w tej sytuacji struktura dowodzenia. Ilu nielegalnych kapitanów skradzionych okrętów potrzeba było do zrównoważenia jednej, okrytej niełaską urzędniczki ONZ? Zadanie dla sądu na kilka dziesięcioleci.

Zresztą nie był sprawiedliwy względem *Avasarali*. Tak naprawdę nie chodziło o to, żeby wykonywał jej rozkazy, raczej o znalezienie się w sytuacji, do której była kompletnie nieprzygotowana, w której była najmniej przydatną osobą w pomieszczeniu i próbowała odzyskać choć trochę kontroli. Starła się przekształcić przestrzeń wokół siebie tak, by pasowała do jej własnego wyobrażenia na swój temat.

A może po prostu potrzebowała usłyszeć czyjś głos.

– Osiemnaście godzin – powiedział *Holden*. – Większość okrętów, które nie lecą z nami, dotrze tam wcześniej. A te, które nie zdążą, dolecą tam już po wszystkim, więc możemy je zignorować.

– Osiemnaście godzin – powtórzyła *Avasarala*. W jej głosie zabrzmiało coś jakby zgroza. – Kosmos jest tak cholernie wielki. Ciągle ta sama historia.

Miał rację. Po prostu chciała porozmawiać, więc jej pozwolił.

– Jaka historia?

– Imperium. Każde imperium rośnie, aż jego zasięg przekroczy możliwości. Zaczęliśmy walczyć o to, komu

przypadną najlepsze gałęzie na drzewie. Potem zesliśmy na ziemię i biliśmy się o kilka kilometrów drzew. Potem ktoś zaczął jeździć konno i powstały imperia rozciągające się na setki i tysiące kilometrów. Statki umożliwiły imperiom ekspansję przez oceany. Silnik Epsteina dał nam planety zewnętrzne...

Umilkła i wystukała coś na panelu łączności. Nie powiedziała, do kogo wysyła wiadomości, a Holden nie pytał. Odezwała się ponownie dopiero, gdy skończyła pisanie.

– Ale historia jest zawsze taka sama. Niezależnie od tego, jak dobrą masz technologię, przychodzi taka chwila, że podbijasz tereny, których nie możesz utrzymać.

– Mówi pani o planetach zewnętrznych?

– Nie konkretnie – odparła cichszym i bardziej zamyślonym głosem. – Mówię o całej pieprzonej idei imperium. Brytole nie potrafili utrzymać Indii ani Ameryki Północnej, bo czemu ktoś miałby słuchać króla urzędującego sześć tysięcy kilometrów od nich?

Holden poprawił dyszę nadmuchu powietrza na panelu, kierując ją sobie na twarz. Chłodne powietrze pachniało delikatnie ozonem i olejem.

– Logistyka zawsze stanowi problem.

– Bez jaj. Odbycie niebezpiecznej podróży długości sześciu tysięcy kilometrów przez Atlantyk, żeby walczyć z kolonistami, daje przeciwnikowi cholerną przewagę własnego terenu.

– Przynajmniej – zauważył Holden – my, Ziemianie, zrozumieliśmy to, zanim porwaliśmy się na walkę z Marsem. On jest jeszcze dalej, a na dodatek czasami na drodze staje Słońce.

– Niektórzy nigdy nie wybaczyli nam tego, że nie upokorzyliśmy Marsa, gdy mieliśmy szansę – wyznała Avasarala. – Pracuję z paroma takimi. Pieprzeni idioci.

– Sądziłem, że głównym punktem pani opowieści jest to, że tacy ludzie w końcu zawsze przegrywają.

– Tacy ludzie – powiedziała, wstając i powoli kierując się w stronę drabiny – nie są prawdziwym problemem. Wenus może być przyczółkiem pierwszego imperium, którego zdolność kontroli jest równa zasięgowi. A pojawienie się tej pieprzonej protomolekuły ujawniło, jak bardzo małomiasteczkowymi zbirami jesteśmy.

Szykujemy się do sprzedania naszego Układu Słonecznego, bo myśleliśmy, że możemy budować lotniska z bambusa i przywołać towary.

– Proszę się przespać – zasugerował Holden, gdy wezwała windę. – Pokonamy jedno imperium na raz.

– Może – rzuciła i zniknęła z pola widzenia, a chwilę później zamknął się za nią właz.

* * *

– Dlaczego nikt nie strzela? – zapytał Praks.

Wszedł na mostek, idąc śladem Naomi jak zagubione dziecko, i siedział w jednej z nieużywanych prycz przeciążeniowych. Patrzył na główny ekran z mieszaniną strachu i fascynacji na twarzy.

Duży ekran taktyczny pokazywał poplątaną masę czerwonych i zielonych kropek oznaczających trzy tuziny pancerników na orbicie wokół Io. *Ros* oznaczył wszystkie ziemskie statki na zielono, a marsjańskie na czerwono, co tworzyło złudnie prosty obraz faktycznie bardzo złożonej sytuacji. Holden wiedział, że identyfikacja sojuszników i

wrogów będzie prawdziwym problemem, jeśli ktoś zacznie strzelać.

Na razie różne statki unosiły się spokojnie nad Io, jedynie sugerując groźby. Holdenowi przywodziły na myśl krokodyle, które widział w zoo jako dziecko. Potężne, opancerzone, pełne zębów, ale unoszące się na powierzchni wody jak rzeźby. Nawet nie mrugały. Kiedy do zagrody wrzucono jedzenie, wystrzeliły z wody z przerażającą szybkością.

Czekamy tylko na pierwszą krew w wodzie.

– Dlaczego nikt nie strzela? – powtórzył Praks.

– Hej, doktorku – odezwał się Amos. Leżał w jednej z prycz przeciążeniowych obok Praksa, emanując leniwym spokojem, którego zazdrościł mu Holden. – Pamiętasz, jak na Ganimesie staliśmy przed tymi facetami z bronią i nikt nie strzelał, aż do chwili, gdy postanowiłeś odciągnąć kurek?

Praks zbladł. Holden domyślał się, że botanik przypomniał sobie krwawe skutki tej walki.

– Tak – potwierdził Praks. – Pamiętam.

– Teraz jest podobnie – wyjaśnił Amos. – Tylko nikt jeszcze nie odciągnął kurka.

– Rozumiem. – Praks kiwnął głową.

Holden zdawał sobie sprawę, że jeśli ktoś w końcu doprowadzi do walki, sprawdzenie, kto strzela do kogo, będzie stanowiło poważny problem.

– Jakież wieści na temat krajobrazu politycznego, Avasarala? Na tym ekranie jest mnóstwo zieleni. Ile z tych kropek jest po naszej stronie?

Avasarala wzruszyła ramionami i zaczęła nasłuchiwać rozmów między okrętami.

– Naomi? – rzucił Holden. – Jakież pomysły?

– Jak na razie flota Nguyena mierzy tylko w okręty marsjańskie – odpowiedziała, oznaczając jednostki na głównym ekranie taktycznym. – Marsjanie w odpowiedzi celują w nich. Jednostki Southera nie mierzą do nikogo, a Souther nie stworzył nawet pokryw wyrzutni. Przypuszczam, że wciąż ma nadzieję na pokojowe rozwiązanie.

– Wyślij, proszę, moje pozdrowienia do oficera wywiadu na okręcie Southera – zwrócił się Holden do Naomi. – I poproś go o wysłanie danych identyfikacyjnych, żeby nie zmieniło się to w największe szambo Układu Słonecznego.

– Załatwione – odpowiedziała Naomi i nawiązała połączenie. – Wszyscy mają zapiąć skafandry. Amos – kontynuował Holden. –

Zrób test szczelności, zanim zejdziesz na dół. Mam nadzieję, że nie zaczniemy strzelać, ale to, na co mam nadzieję, i to, co faktycznie się dzieje, prawie nigdy się nie pokrywa.

– Potwierdzam – rzucił Amos, wstał z pryczy i zaczął stukać po pokładzie na butach magnetycznych, sprawdzając szczelność wszystkich hełmów.

– Test test test – powiedział Holden w radiu załogowym.

Wszyscy na statku kolejno potwierdzili odbiór wiadomości. Do czasu, aż ktoś z pensją większą od niego nie zdecyduje, w którą stronę potoczy się sytuacja, nie mógł zrobić wiele więcej.

– Czekać – rzuciła Avasarala, a potem wcisnęła przycisk na konsoli i w odbiornikach skafandrów zabrzmiał kanał zewnętrzny.

– ...natychmiast wystrzelimy w cele na Marsie. Mamy

gotową do strzału baterię rakiet przenoszących zabójczą broń biologiczną. Macie godzinę na opuszczenie orbity Io albo natychmiast wystrzelimy w cele na Marsie. Mamy...

Avasarala z powrotem wyłączyła kanał.

– Wygląda na to, że do kółka wzajemnego walenia konia dołączyła trzecia strona – skomentował Amos.

– Nie – odpowiedziała Avasarala. – To Nguyen. Wie, że przeciwnik ma przewagę liczebną, więc polecił swoim sługusom Mao na powierzchni, żeby przesłali groźbę, skłaniając nas do wycofania się. On... o cholera!

Znowu wcisnęła panel i w głośnikach zabrzmiał nowy głos. Ten należał do kobiety, z eleganckim marsjańskim akcentem.

– Io, mówi admirał Muhan z Floty Marsjańskiej Republiki Kongresowej. Jeśli wystrzelicie coś większego od butelki szampana, zeszklimy cały księżyc. Zrozumiano?

Amos odchylił się w stronę Praksa.

– Widzisz, teraz wszyscy zaczęli odciągać kurki.

– Rozumiem – przytaknął Praks.

– To wszystko – powiedział Holden, słysząc ledwie kontrolowaną furię w głosie marsjańskiej admirał – za chwilę wymknie się spod kontroli.

– Mówi admirał Nguyen z pokładu FONZ *Agatha King* – zabrzmiał nowy głos. – Admirał Souther jest tu nielegalnie na żądanie cywilnego urzędnika ONZ bez prawa kierowania wojskiem.

Niniejszym rozkazuję wszystkim okrętom pod dowództwem admirała Southera natychmiastowe wycofanie się. Ponadto rozkazuję kapitanowi okrętu flagowego Southera aresztowanie admirała za zdradę i...

– Och, zamknij się – odpowiedział Souther na tym samym kanale. – Jestem tu w ramach legalnej misji śledczej dotyczącej niewłaściwego wykorzystania funduszy ONZ oraz materiałów w celu stworzenia projektu broni biologicznej na Io. Projektu, za który admirał Nguyen odpowiada bezpośrednio z naruszeniem przepisów dyrektyw ONZ...

Avasarala zamknęła kanał.

– Robi się nieciekawie – skomentował Aleks.

– Cóż – rzuciła Avasarala, a potem otworzyła wizjer hełmu i westchnęła głęboko. Wyciągnęła z torebki pistację, rozłupała ją i zjadła orzeszek, a potem włożyła łupinki do pobliskiego recyklera. W nieważkości oddryfował drobny kawałek skorupki. – Nie, tak naprawdę powinno być dobrze. To wszystko pozy. Jak długo będą porównywać, kto ma dłuższego, nikt nie będzie strzelał.

– Ale nie możemy tu tylko czekać – zaprotestował Praks, kręcąc głową.

Amos podleciał przed niego, żeby sprawdzić hełm, ale Praks go odepchnął i spróbował wstać. Ruch oderwał go od pryczy przeciążeniowej, ale Praks nie pomyślał o włączeniu butów magnetycznych.

– Jeśli Mei jest na dole, musimy lecieć. Mówili o zeszkleniu całego księżyca, musimy tam dotrzeć, zanim to zrobią.

W głosie Praksa słychać było ton wysoki jak struna skrzypiec. Napięcie zaczynało mu się dawać we znaki. Było męczące dla wszystkich, ale to właśnie Praks okazał je po sobie pierwszy i odczuje je najmocniej. Holden posłał spojrzenie Amosowi, ale wielkolud tylko wyglądał

na zaskoczonego odepchnięciem przez znacznie drobniejszego naukowca.

– Mówią o zniszczeniu bazy. Musimy tam polecieć! – kontynuował Praks z coraz wyraźniej słyszalną w głosie paniką.

– Niczego nie zrobimy – odpowiedział Holden. – Przynajmniej do czasu, aż będziemy mieć lepsze pojęcie, jak się to wszystko ułoży.

– Przylecieliśmy tu, żeby nic nie robić? – wykrzyknął gniewnie Praks.

– Doktorku, nie chcemy być pierwszymi, którzy ruszą – odpowiedział Amos i położył rękę na ramieniu Praksa, ściągając go z powrotem na pokład.

Mały botanik gwałtownie ją z siebie strząsnął, nie oglądając się, a potem odepchnął się od pryczy w stronę Avasarali.

– Daj mi ten kanał. Chcę z nimi rozmawiać – powiedział Praks, sięgając do panelu łączności. – Mogę...

Holden wybił się ze swojej pryczy, złapał naukowca w połowie drogi i obaj polecili nad pokładem w stronę ściany. Gruba warstwa wyściółki pochłonęła energię uderzenia, ale Holden i tak poczuł, jak z Praksa uchodzi całe powietrze, gdy jego biodro wbiło się w brzuch naukowca.

Praks wydobył z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk i zwinął się w kulę.

Holden włączył magnesy butów i ściągnął się na pokład, a potem chwycił Praksa i pchnął go przez mostek w stronę Amosa.

– Zabierz go na dół, przypnij do pryczy i napakuj usypiaczami. A potem do maszynowni i przygotuj nas do

walki.

Amos kiwnął głową i chwycił unoszącego się w nieważkości Praksa.

– Dobra.

Chwilę później mężczyźni zniknęli w pokładowym włazie.

Holden rozejrzał się po mostku i zobaczył zszokowane spojrzenia Avasarali i Naomi, ale zignorował je. Napędzająca Praksa potrzeba postawienia córki przed wszystkim innym o mało co nie postawiła ich w bardzo groźnej sytuacji. I choć Holden rozumiał pragnienie mężczyzny, konieczność powstrzymywania go przed zabiciem ich wszystkich za każdym razem, gdy wspomniano Mei, była stresem, którego teraz nie potrzebował. Przez to wszystko zrobił się zły i musiał na kogoś wrzasnąć.

– Gdzie, do diabła, jest Bobbie? – warknął, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Nie widział jej od czasu, gdy weszli na orbitę wokół Io.

– Widziałem ją w warsztacie – odpowiedział przez radio Amos. – Rozkładała moją strzelbę. Chyba przygotowuje broń i pancerze.

– To... – zaczął Holden, gotowy, żeby się na coś wydrzeć. – To właściwie całkiem przydatne. Ale powiedz jej, żeby uszczelniła skafander i włączyła radio. Może się tu szybko zrobić niefajnie.

Poświęcił kilka sekund na kontrolowane oddychanie, żeby się uspokoić, a potem wrócił do konsoli zarządzania walką.

– Wszystko w porządku? – zapytała Naomi na prywatnym kanale.

– Nie – odpowiedział po przełączeniu brodą przycisku, żeby tylko ona go usłyszała. – Tak naprawdę jestem śmiertelnie przerażony.

– Myślałem, że to mamy już za sobą.

– Że już się nie boję?

– Nie – odpowiedziała z uśmiechem wyraźnie brzmiącym w jej głosie. – Obwinianie się za to. Ja też się boję.

– Kocham cię – powiedział Holden, czując ten sam dreszcz, który zawsze towarzyszył tym słowom do niej, w części będący wynikiem lęku, w części podniecenia.

– Chyba powinieneś pilnować swojego stanowiska – odpowiedziała żartobliwym tonem. Nigdy nie mówiła mu, że go kocha, gdy on robił to pierwszy. Twierdziła, że jeśli robi się to zbyt często, słowa tracą całą swoją moc.

Rozumiał jej argument, ale liczył, że choć tym razem złamie swoje zasady. Bardzo chciał to usłyszeć.

Avasarala siedziała przygarbiona nad konsolą łączności jak starożytny mistyk zaglądający w mętną kryształową kulę. Skafander próżniowy wisiał na niej jak za duże ubranie stracha na wróble. Holden przez chwilę myślał o rozkazaniu jej zamknięcia hełmu, ale zrezygnował. Była dość duża, by samodzielnie decydować się na względne ryzyko i korzyści podczas bitwy.

Kobieta co jakiś czas sięgała do torebki i wyciągała kolejną pistację. Powietrze wokół niej zaczynało się robić gęste od chmury drobnych kawałków ich łupinek. Przyglądanie się, jak zaśmieca jego statek, było irytujące, ale żaden okręt nie był aż tak delikatny, żeby trochę śmieci w powietrzu mogło coś zepsuć. Drobne kawałki skorupki zostaną wessane do systemu wymiany

powietrza i unieruchomione przez filtry albo spadną na podłogę, gdy włączą silniki, a wtedy będzie można je pozamiatać. Holden zastanawiał się, czy Avasarala kiedykolwiek w życiu musiała sama coś sprzątać.

Kiedy się jej przyglądał, staruszka przechyliła głowę na bok, z nagłym zainteresowaniem słuchając czegoś, co słyszała tylko ona. Jej ręka wysunęła się szybko, po ptasiemu stukając w ekran. W radiu statku zabrzmiał nowy głos, tym razem z delikatnym szumem, którego transmisje nabierały po przebyciu milionów kilometrów w kosmosie.

– ...neralny Esteban Sorrento– Gillis. Jakiś czas temu ogłosiłem powołanie komisji wyjaśniającej, która miała zbadać sprawę możliwego nadużycia zasobów ONZ na potrzeby nielegalnych badań nad bronią biologiczną. Choć śledztwo w tej sprawie jeszcze trwa, a komitet nie jest na razie gotów postawić żadnych oskarżeń, w interesie bezpieczeństwa publicznego oraz ułatwienia gruntownego i wszechstronnego śledztwa odwołuje się na Ziemię w celu przesłuchania pewnych kluczowych pracowników ONZ na istotnych stanowiskach. Po pierwsze, admirała Augusta Nguyena z floty Organizacji Narodów Zjednoczonych. Po drugie...

Avasarala wcisnęła panel, by wyłączyć strumień i przez kilka sekund wpatrywała się w konsolę z otwartymi ustami.

– Ja pierdolę.

Na całym statku rozbrzmiały alarmy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Avasarala

– Mam szybkie obiekty – krzyknęła Naomi przez ryk klaksonów. – Okręt flagowy ONZ otworzył ogień.

Avasarala zamknęła hełm, sprawdziła na wyświetlaczu skafandra potwierdzenie szczelności, a potem dotknęła konsoli łączności z myślami pracującymi szybciej od rąk. Errinwright poszedł na układ, a Nguyen właśnie się o tym dowiedział. Admirał został wystawiony i nie przyjął tego najlepiej. Na jej konsoli pojawił się znacznik:

 nadchodząca transmisja o wysokim priorytecie.
Włączyła odbiór i na wszystkich terminalach na mostku pojawił się Souther.

– Mówi admirał Souther. Niniejszym przejmuję dowodzenie nad...

– Dobra – odezwała się Naomi. – Ale natychmiast potrzebuję mojego ekranu. Mam coś do zrobienia.

– Przepraszam, już – odpowiedziała Avasarala, stukając w konsolę. – Zły przycisk.

– ...tymi siłami. Admirał Nguyen został zwolniony ze służby. Wszelkie wrogie działania będą...

Avasarala przełączyła transmisję na własny ekran, a przy okazji przeskoczyła na inny kanał. Nguyen zrobił się prawie fioletowy, epatując przy tym galowym mundurem.

– ...nielegalne i bezprzykładne przejęcie. Admirał

Souther ma zostać odprowadzony do aresztu do...

Na konsoli pojawiło się pięć próśb o połączenie, każda oznaczona nazwą i skróconym identyfikatorem transpondera. Zignorowała wszystkie, skupiając się na przyciskach obsługi nadajnika. Gdy tylko aktywowała się kontrolka emisji na żywo, spojrzała w kamerę.

– Mówi zastępczyni podsekretarza, Chrisjen Avasarala, reprezentująca cywilny rząd Ziemi – rozpoczęła. – Legalne i prawowite dowodzenie tymi siłami przekazuje się admirałowi Southerowi. Każdy, kto odrzuci lub zignoruje jego rozkazy, musi się liczyć z konsekwencjami prawnymi. Powtarzam, admirał Souther jest legalnie wybranym dowódcą...

Naomi parsknęła cicho. Avasarala zatrzymała emisję i odwróciła się.

– No dobrze – stwierdził Holden. – To nie było dobre.

– Co? – zapytała Avasarala. – Co nie było dobre?

– Jeden z ziemskich statków oberwał właśnie trzema torpedami.

– To dużo?

– Działka obrony punktowej ich nie zatrzymują – wyjaśniła Naomi. – Te torpedy ONZ mają kody transponderów, według których pochodzą od przyjaciół, więc są ignorowane. Zwykle nie spodziewają się, że mogą do nich strzelać inne okręty ONZ.

– Trzy to dużo – potwierdził Holden, przypinając się do pryczy przeciążeniowej. Nie zauważyła, żeby dotknął jakichś przycisków, ale musiał to zrobić, bo gdy się odezwał, jego głos zabrzmiał z głośników statku i głośniczków w hełmie. – Właśnie włączamy silniki. Wszyscy mają dwadzieścia sekund na przypięcie się w

jakimś bezpiecznym miejscu.

– Zdecydowanie potwierdzam – odpowiedziała Bobbie z jakiegoś miejsca na statku.

– Właśnie przypiąłem szczęśliwego doktorka – zgłosił się Amos. – Pędzę do maszynowni.

– Lecimy w to wszystko? – zapytał Aleks.

– Mamy tam coś koło trzydziestu pancerników, a wszystkie są dużo, dużo większe od nas. Może po prostu spróbujemy dopilnować, żeby nikt nas nie podziurawił?

– Tak jest, sir – odpowiedział Aleks ze sterówki.

Zniknęły wszelkie ślady demokracji i głosowania. To był dobry znak. Przynajmniej Holden miał kontrolę w sytuacji, gdy potrzebny był jeden dowódca.

– Mam dwa nadlatujące pociski – ostrzegła Naomi. – Ktoś wciąż uważa nas za czarne charaktery.

– To przez Avasaralę – skomentowała Bobbie.

Zanim Avasarala zdołała się roześmiać, pojawiło się ciążenie i przechyliła się na bok pchnięta ruchem *Rosynanta*. Jej prycza zeszywniała i zatrzeszczała. Żel ochronny ścisnął ją, a potem puścił.

– Aleks?

– Mam je – odpowiedział pilot. – Ale nie miałbym nic przeciwko prawdziwemu strzelcowi, sir.

– Czy będziemy mieć dość czasu, żeby bezpiecznie ją tam sprowadzić?

– Nie – odpowiedział Aleks. – Lecą trzy kolejne.

– Mogę przejąć kontrolę nad działkami stąd, sir – odezwała się Bobbie. – To nie to samo, ale przynajmniej wy nie będziecie musieli się tym zajmować.

– Naomi, prześlij sierżant sterowanie działkami.

– Kontrola działek przekazana. W twoje ręce, Bobbie.

– Przejmuję kontrolę – zgłosiła sierżant.

Ekran Avasarali pełen był nadchodzących wiadomości w migotliwych stertach. Zaczęła je przeglądać. *Kennedy* oznajmiał, że dowództwo Southera jest nielegalne. Pierwszy oficer *Trytona* informował, że kapitan został zdjęty ze stanowiska i prosił Southera o rozkazy. Marsjański niszczyciel *Chaos lani* próbował skontaktować się z Avasaralą w celu wyjaśnienia, do których ziemskich statków wolno było im strzelać.

Wywołała ekran taktyczny. Chmurę statków otaczały czerwone i zielone kręgi, a srebrne kreski mogły być strumieniami ognia działek obrony punktowej lub trajektoriami torped.

– Jesteśmy zieloni czy czerwoni? – zapytała Avasarala. – Kto jest kto na tym cholerstwie?

– Mars jest czerwony, Ziemia zielona – wyjaśniła Naomi.

– A które łajby z Ziemi są po naszej stronie?

– Dowiedz się – odpowiedział Holden, a jedna z zielonych kropek nagle zniknęła. – Aleks?

– *Dariusz* zdjął bezpieczniki z działek obrony punktowej i sieje do wszystkiego w zasięgu, nie przejmując się, czy to swój czy obcy. I... szlag!

Fotel Avasarali znowu zeszywniał, wydając się rosnąć pod nią i wciskając plecy w żel, aż trudno było jej unieść ręce. Chmura statków na ekranie taktycznym – wrogich, przyjaznych i nieznanym – przesunęła się nieco i dwie złote kropki zrobiły się większe, pokazały się odliczające szybko w dół informacje o odległości.

– Pani zastępczyni, gdziekolwiek pani jest – odezwał się Holden – musi pani natychmiast odpowiedzieć na te żądania łączności.

Wnętrznosci Avasarali sprawiały wrażenie, jakby ktoś wyciskał je od spodu, a na języku czuła smak soli i kwasów żołądkowych. Zaczęła się pocić w sposób, który miał więcej wspólnego z mdłościami niż z temperaturą. Zmusiła się do wyciągnięcia rąk do panelu sterowania w chwili, gdy z ekranu zniknęły dwie złote kropki.

– Dzięki, Bobbie – rzucił Aleks. – Lecę do góry, spróbuję schować nas przed walką za Marsjanami.

Zaczęła nawiązywać połączenia. Pośrodku bitwy mogła zaoferować tylko tyle: dzwonić. Rozmawiać. To samo, co zawsze. Właściwie było w tym coś kojącego. *Greenville* przyjął dowództwo Southera. *Tanaka* nie odpowiadał. *Dyson* nawiązał połączenie, ale z głośników dobiegały tylko dźwięki krzyczących na siebie ludzi. To był istny dom wariatów.

Przyszła wiadomość od Southera, przyjęła ją. Dołączono do niej nowy kod rozpoznawczy, więc ręcznie zaakceptowała aktualizację. Na ekranie taktycznym większość zielonych kropek zmieniła kolor na biały.

– Dziękuję – powiedział Holden.

Avasarala przełknęła swoje *proszę bardzo*. Leki przeciw mdłościom zdawały się sprawdzać u wszystkich innych, tylko nie u niej. Bardzo, naprawdę *bardzo* nie chciała wymiotować wewnątrz hełmu. Jedna z sześciu pozostałych zielonych kropek zamigotała i zniknęła, a inna nagle zmieniła kolor na biały.

– Och, prosto w dupę – rzucił Aleks. – To było wredne.

Na konsoli Avasarali znowu pojawił się identyfikator Southera i wcisnęła przycisk odbioru w chwili, gdy *Ros* znowu się przesunął.

– ...natychmiastowego poddania okrętu flagowego *King* i

admirała Augusta Nguyena – mówił Shouther. Jego grzywa siwych włosów sterczała na głowie, jakby niskie ciążenie małego ciągu pozwalało jej rozwinąć się niczym ogon pawia. Uśmiech miał ostry jak brzytwa. – Każda jednostka, która nadal odmówi przyjęcia moich rozkazów jako legalnych i prawomocnych, straci szansę na amnestię. Macie trzydzieści sekund od tej chwili.

Srebrne i złote smugi praktycznie zniknęły z ekranu taktycznego. Statki zmieniały pozycje, każdy poruszał się wzdłuż własnego, złożonego wektora. Na jej oczach wszystkie pozostałe zielone kropki zmieniły kolor na białą. Wszystkie oprócz jednej.

– Nie bądź dupkiem, Nguyen – powiedziała Avasarala. – Już po wszystkim.

Na mostku zapanowała cisza z napięciem tak namacalnym, że dałoby się je kroić nożem. Przerwał ją głos Naomi.

– Mam kolejne pociski na ekranie. Och, mam ich całe *mnóstwo*.

– Gdzie? – spytał ostro Holden.

– Z powierzchni.

Avasarala nic nie zrobiła, ale jej ekran taktyczny zmienił skalę, rozciągając się, aż chmara czerwonych i białych statków z jedną zieloną kropką zajmowały mniej niż ćwierć oryginalnej wielkości, a przy dolnej krawędzi ekranu pojawiła się krzywizna księżyca. Z jej powierzchni w gęstej masie wznosiły się setki żółtych kresek.

– Daj mi liczbę – rzucił Holden. – Potrzebuję liczby.

– Dwieście dziewiętnaście. Nie. Czekać. Dwieście trzydzieści.

– Co to, u diabła, jest? Torpedy? – zapytał Aleks.

– Nie – odpowiedziała Bobbie. – To potwory. Wystrzelili potwory.

Avasarala otworzyła kanał emisji szerokozakresowej. Jej włosy pewnie wyglądały gorzej niż Southera, ale nie miała już głowy do przejmowania się tym. Dostatecznym błogosławieństwem był fakt, że mogła mówić bez obawiania się o zwymiotowanie.

– Mówi Avasarala – zaczęła. – Wystrzelone właśnie rakiety to nowa broń wykorzystująca protomolekułę, którą zastosowano jako nieautoryzowany atak na Marsa. Musimy zestrzelić te sukinsyny z nieba i to natychmiast. Wszyscy.

– Dostałam żądanie poddania się koordynacji z okrętu flagowego Southera – poinformowała Naomi. – Oddać sterowanie?

– Nie ma mowy – warknął Aleks.

– Nie, ale śledź żądania – zdecydował Holden. – Nie przekażę kontroli nad moim statkiem wojskowemu komputerowi sterowania ogniem, ale mimo wszystko musimy być częścią rozwiązania.

– *King* zaczyna ostre przyśpieszenie – poinformował Aleks. – Chyba próbuje dać nogę.

Na ekranie atak z powierzchni Io zaczynał rozkwitać: poszczególne nitki rozchodziły się pod nieoczekiwanymi kątami, niektóre po spirali, inne w zawijasach lub zygzakach przypominających owadzie nogi. Każda z tych kresek oznaczała śmierć planety, a dane przyśpieszenia wskazywały, że lecą z przyśpieszeniem dziesięciu, piętnastu i dwudziestu g. Żaden człowiek nie potrafił wytrzymać długotrwałego przyśpieszenia dwudziestu g. I żaden człowiek nie musiał.

Ze statków zaczęły wyskakiwać złote błyski światła, dryfując w dół, na spotkanie z nimi z Io. Powolnemu, spokojnemu ruchowi na wyświetlaczu przeczyły wyświetlane niżej dane. Torpedy z głowicami plazmowymi leciały z maksymalnym przyspieszeniem, a mimo to potrzebowały wielu sekund, by dotrzeć do wykwit. Avasarala patrzyła jak wybuchają pierwsze z nich, zobaczyła kolumnę protomolekularnych potworów dzielącą się na kilkanaście strumieni. Uniki.

– Niektóre z nich lecą w naszą stronę, kapitanie – poinformował Aleks. – Nie sądzę, żeby zaprojektowano je do przebijania kadłubów okrętowych, ale nie wątpię, że i tak by to zrobiły.

– Przyłączmy się i zrobmy, co możemy. Nie możemy pozwolić, żeby któryś z nich... dobra, gdzie się podziały?

Atakujące potwory znikają z wyświetlacza taktycznego, gubiąc swoje nici.

– Wyłączają silniki – wyjaśniła Naomi. – I wygaszają transpondery. Muszą mieć też kadłuby pokryte powłokami pochłaniającymi fale radarów.

– Mamy dane śledzenia? Możemy przewidzieć, gdzie będą?

Ekran taktyczny zaczął migotać. Świetliki. Potwory pojawiały się i znikają, rzucając się w pozornie losowych kierunkach, ale ich wykwit nieustannie się rozszerzał.

– To będzie wredne – skomentował Aleks. – Bobbie?

– Mam kilka namiarów na cele. Podprowadź nas w zasięg działek.

– Trzymać się, dzieciaki – rzucił Aleks. – Lecimy na wycieczkę.

Ros ostro szarpnęła i Avasarala znowu została wciśnięta

w fotel. Drżący rytm wydawał się pochodzić od jej dygoczących mięśni, potem wystrzałów działek i znowu od jej ciała. Na wyświetlaczu połączone siły Ziemi i Marsa rozproszyły się, ścigając prawie niewidzialnych przeciwników. Zmieniło się ciążenie ciągu, obracając jej pryczę w jedną stronę, a potem gwałtownie winną, bez ostrzeżenia. Spróbowała zamknąć oczy, ale było jeszcze gorzej.

– Hm.

– Co jest, Naomi? – zapytał Holden. – Co „hm”?

– *King* robił tu coś dziwnego. Bardzo duża aktywność silników manewrowych i... och.

– Co „och”? Rzeczowniki. Potrzebuję rzeczowników.

– Został trafiony – wyjaśniła Naomi. – Jeden z potworów go przebił.

– Mówiłem, że mogą to zrobić – odezwał się Aleks. – Nie chciałbym teraz być na tym statku. Mimo wszystko. Nie mogło się przydarzyć nikomu miłszemu.

– Jego ludzie nie odpowiadają za działania dowódcy – zauważyła Bobbie. – Mogli nawet nie wiedzieć, że Souther dowodzi. Musimy im pomóc.

– Nie możemy – odpowiedział Holden. – Zestrzelą nas.

– Czy bylibyście uprzejmi się zamknąć? – warknęła Avasarala. – I przestań ruszać tym statkiem na wszystkie strony. Wybierz jakiś kierunek i uspokój się na dwie minuty.

Jej żądanie łączności było ignorowane przez pięć minut. Potem dziesięć. Wciąż nie dostała odpowiedzi, gdy włączył się sygnał awaryjny *Kinga*. Sygnał transmisji wielozakresowej nadszedł chwilę później.

– Mówi admirał Nguyen z pancernika Organizacji

Narodów Zjednoczonych *Agatha King*. Oferuję poddanie się okrętom ONZ pod warunkiem natychmiastowej ewakuacji. Powtarzam: oferuję poddanie się dowolnym okrętom wojskowym Narodów Zjednoczonych pod warunkiem natychmiastowej ewakuacji.

Souther odpowiedział na tej samej częstotliwości.

– Mówi *Okimbo*. Jaką macie sytuację?

– Możliwe zagrożenie biologiczne – odpowiedział Nguyen. Mówił głosem tak napiętym, że brzmiało to, jakby ktoś go dusił.

Na wyświetlaczu taktycznym kilka białych kropek leciało już w stronę zielonej.

– Trzymaj się, *King* – rzucił Souther. – Lecimy.

– Nie ma mowy – rzuciła Avasarala, a potem zakłęła cicho i włączyła kanał nadawania. – Nie ma mowy. Mówi Avasarala. Zarządzam kwarantannę i zamknięcie przestrzeni wokół *Agathy King*. Żadnej jednostce nie wolno do niej dokować ani przyjmować transferu materiału lub personelu. Każdy statek, który to zrobi, również zostanie poddany kwarantannie.

Dwie białe kropki skręciły, ale pozostałe sunęły dalej. Znowu otworzyła kanał.

– Czy tylko ja tu pamiętam Erosa? Jak myślicie, do cholery, co szaleje na *Kingu*? Nie zbliżać się.

Ostatnie białe kropki skręciły. Kiedy Nguyen wreszcie odpowiedział na jej żądanie nawiązania łączności, zdążyła już zapomnieć, że je wysłała. Paskudnie wyglądał, choć podejrzewała, że ona nie prezentuje się ani trochę lepiej. *Ile wojen skończyło się w ten sposób?* – przeszło jej przez myśli. Dwoje zmęczonych, wyczerpanych ludzi patrzących na siebie, ze światem płonącym wokół.

– Czego jeszcze ode mnie chcesz? – zapyta) Nguyen. – Poddalem się. Przegrałem. Moi ludzie nie powinni ginąć dla twojej satysfakcji.

– To nie satysfakcja – odpowiedziała Avasarala. – Nie możemy tego zrobić. Protomolekuła wymyka się spod kontroli, twoje wymyślne programy kontrolne nie działają. To coś zaraża.

– Nie dowiedziono tego – zaprotestował, ale sposób, w jaki to zrobił, był odpowiedzią samą w sobie.

– To już się dzieje, prawda? – spytała. – Włącz wewnętrzne kamery, daj nam zobaczyć.

– Nie.

Poczuła, jak uchodzi z niej powietrze. To już się stało.

– Tak mi przykro – powiedziała Avasarala. – Och. Tak bardzo żałuję.

Brwi Nguyena powędrowały o milimetr do góry. Błede wargi zacisnęła w wąską kreskę. Miała wrażenie, że widzi łzy w jego oczach, ale to mógł być tylko artefakt transmisji.

– Musisz włączyć transpondery – powiedziała Avasarala. A kiedy nie odpowiedział: – Nie możemy robić broni z protomolekuły. Nie rozumiemy, czym jest. Nie potrafimy jej kontrolować. Właśnie wydałeś wyrok śmierci na Marsa. Nie mogę cię uratować, po prostu nie mogę, ale włącz z powrotem te transpondery i pomóż mi uratować chociaż ich.

Chwila zawisła w powietrzu. Avasarala czuła na sobie spojrzenia Holdena i Naomi jak ciepło emanujące z radiatora. Nguyen potrząsnął głową, a jego usta drgnęły, wyraźnie był pogrążony w wewnętrznym dialogu.

– Nguyen – odezwała się. – Co się dzieje? Na twoim

statku. Jak bardzo zła jest sytuacja?

– Zabierz mnie stąd, a włączę transpondery – odpowiedział. – Możesz mnie wtrącić do więzienia na resztę życia, nie obchodzi mnie to. Ale zabierz mnie z tego okrętu.

Avasarala spróbowała nachylić się do przodu, ale ruch tylko wywołał przesunięcie pryczy przeciążeniowej. Próbowwała znaleźć słowa, które sprowadziłyby go z powrotem, które powiedziałyby mu, że źle postępował i mylił się, a teraz zginie paskudną śmiercią, zabity przez własną broń, i że zasłużył sobie na to. Patrzyła na tego gniewnego, małego, krótkowzrocznego i przerażonego człowieczka i próbowała znaleźć sposób, żeby wyciągnąć z niego zwykłą ludzką przyzwoitość.

Nie udało się jej.

– Nie mogę tego zrobić – powiedziała.

– Więc nie marnuj mojego czasu – odpowiedział i się rozłączył.

Rozciągnęła się na pryczy i zasłoniła oczy dłońmi.

– Zaczynam dostawać cholernie dziwne odczyty z tego pancernika – odezwał się Aleks. – Naomi? Widzisz to?

– Przepraszam. Daj mi chwilę.

– Co tam masz? – zapytał Holden.

– Spadła aktywność reaktora, za to widzę olbrzymi wzrost promieniowania w kadłubie. Wygląda to tak, jakby wypuścili chłodzenie do wymienników powietrza.

– To chyba nie jest zbyt zdrowe – skomentował Amos.

Na mostku znowu zapadła cisza. Avasarala sięgnęła, by otworzyć kanał do Southera, ale się powstrzymała. Nie wiedziała, co powiedzieć. Głos, który rozległ się na kanale statku, był niewyraźny i otumaniony. W pierwszej chwili

nie rozpoznała Praksa, a potem musiał dwa razy powtórzyć, zanim zrozumiała słowa.

– Inkubator – powiedział Praks. – To robi sobie inkubator. Tak jak na Erosie.

– Wie, jak to zrobić? – zapytała Bobbie.

– Najwyraźniej – rzuciła Naomi.

– Będziemy musieli to spalić – skomentowała Bobbie. – Mamy na to dość siły ognia?

Avasarala z powrotem otworzyła oczy. Próbowwała znaleźć w sobie jakieś uczucie poza wszechpotężnym smutkiem. Gdzieś tam musiała być nadzieja. Miała ją nawet Pandora.

To Holden powiedział to, co siedziało jej w głowie.

– Nawet gdybyśmy mogli, to nie uratuje Marsa.

– Może dostaliśmy wszystkie? – zasugerował Aleks. – No wiecie, było ich cholernie dużo, ale może... może je zniszczyliśmy?

– Trudno stwierdzić, bo leciały bez napędu – odpowiedziała Bobbie. – Jeśli choć jeden nam się wymknął i doleci do Marsa...

Wszystko się jej wymykało. Była tak blisko powstrzymania tego, a teraz proszę, patrzyła, jak wszystko się rozpada. Miała wielki kamień w żołądku. Ale nie przegrali. Jeszcze nie. Gdzieś w tym wszystkim musiało być jakieś rozwiązanie. Ciągłe coś musiało dać się zrobić.

Przesłała Southerowi nagranie swojej rozmowy z Nguyenem. Może on będzie miał jakiś pomysł. Tajną broń, która wyskoczy znikąd i wymusi podanie kodów. Może wielkie braterstwo wojskowych zdoła wydusić z Nguyena jakiś ślad ludzkich uczuć.

Dziesięć minut później z *Kinga* wystrzelono kapsułę ratunkową. Souther nie zawracał sobie głowy nawiązywaniem połączenia, zanim ją zestrzelił. Atmosfera na mostku zaczęła przypominać pogrzeb.

– No dobrze – odezwał się Holden. – Najpierw to, co najważniejsze. Musimy polecieć na dół, do bazy. Jeśli Mei tam jest, musimy ją wydostać.

– Zgadzam się – odpowiedział Amos. – I musimy zabrać doktorka. Tego nie może zlecić nikomu innemu.

– Tak właśnie pomyślałem – potwierdził Holden. – W takim razie polecicie *Rosem* na dół.

– *My* polecimy? – zapytała Naomi.

– Ja polecę ścigaczem na pancernik – odpowiedział Holden. – Kody aktywacji transponderów muszą być w centrum dowodzenia.

– Ty? – zapytała Avasarala.

– Z Erosa wydostało się tylko dwóch ludzi – odpowiedział Holden, wzruszając ramionami. – A zostałem już tylko ja.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Holden

– Nie rób tego – poprosiła Naomi. Nie błagała, nie płakała ani nie żądała. Cała moc jej prośby kryła się w cichej prostocie. – Nie rób tego.

Holden otworzył schowek na skafandry przed główną służą i sięgnął po swój marsjański pancerz. Zatrzymało go nagle i bardzo fizyczne wspomnienie choroby popromiennej na Erosie.

– Już od paru godzin wpuszczają promieniowanie do *Kinga*, prawda?

– Nie idź tam – powiedziała ponownie Naomi.

– Bobbie. – Holden wywołał ją przez interkom.

– Jestem – odparła z sapnięciem.

Pomagała Amosowi przygotować sprzęt do ataku na stację naukową Mao. Po swoim jedynym jak dotąd spotkaniu z hybrydą protomolekuły powstałą dzięki Mao podejrzewał, że zabierali dużo sprzętu.

– Jaka jest klasyfikacja tych standardowych pancerzy marsjańskich w zakresie promieniowania?

– Takiego jak mój? – zapytała Bobbie.

– Nie, niewspomaganego. Wiem, że są wzmacniane pod kątem bliskich wybuchów. Pytam o sprzęt, który wyciągnęliśmy ze skrzyni MPS.

– Mniej więcej tak samo, jak standardowy skafander

próżniowy. W porządku na krótkie wyjścia na zewnątrz statku, ale nie za dobre na ciągłe narażenie na wysoki poziom radiacji.

– Szlag – rzucił Holden. A po chwili: – Dzięki. – Wyłączył panel łączności i zamknął szafkę. – Będę potrzebował pełnego skafandra przeciwradiacyjnego. A to oznacza lepszą ochronę przed promieniowaniem, ale zerową przed pociskami.

– Ile razy możesz dać się napromieniować, zanim cię to w końcu dopadnie? – zapytała Naomi.

– Odpowiedź jest taka sama, jak ostatnio. Przynajmniej jeszcze raz – odpowiedział Holden z uśmiechem, ale Naomi nie uśmiechnęła się.

– Amos, przynieś mi skafander przeciwradiacyjny z maszynowni – poprosił po włączeniu panelu łączności. – Najwyższy poziom ochrony, jaki mamy na pokładzie.

– W porządku – odpowiedział Amos.

Holden otworzył swoją szafkę na sprzęt i wyciągnął trzymany tam karabin szturmowy. Był duży, czarny i zaprojektowany z myślą o zastraszaniu. Każdy, kto nosił coś takiego, musiał być natychmiast uznawany za zagrożenie. Odłożył go i zdecydował się zamiast niego wziąć pistolet. Skafander przeciwradiacyjny uczyni go dość anonimowym, było to coś, co mógł w sytuacji awaryjnej założyć każdy członek grupy ratowników. Jeśli do tego będzie miał tylko pistolet w kaburze przy pasie, może nikt nie uzna go za część problemu.

A przy protomolekule szalejącej na *Kingu* i statku zalanym promieniowaniem zdecydowanie mieli tam duży problem.

Tym bardziej że jeśli Praks i Avasarala mieli rację,

protomolekuta porozumiewała się nawet bez łączności fizycznej i glut na *Kingu* wiedział wszystko to, co ten na *Wenus*. A częścią tej zdobytej przy rozmontowaniu *Arboghasta* wiedzy był sposób budowy ludzkich statków kosmicznych. Na dodatek znaczyło to też, że infekcja wiedziała, jak zmieniać ludzi w rzygające zombie. Przecwiczyla tę sztuczkę milion razy na *Erosie*. Miała wprawę.

Było całkiem możliwe, że każdy człowiek na pokładzie *Kinga* był już rzygającym zombie, a co gorsza, to był jeden z najlepszych możliwych scenariuszy. Rzygające zombie były chodzącym wyrokiem śmierci dla każdego z odsłoniętą skórą, ale dla *Holdena*, w hermetycznym skafandrze próżniowym, byłyby w najlepszym razie niewielką przeszkodą.

W najgorszym przypadku protomolekuta była już tak dobra w zmienianiu ludzi, że statek był pełen zabójczych hybryd w rodzaju tej, z którą walczyli w ładowni. Ta sytuacja byłaby niemożliwa, więc postanowił wierzyć, że to nieprawda. Zresztą na *Erosie* protomolekuta nie robiła żadnych żołnierzy. *Miller* właściwie nie poświęcił czasu na opisywanie tego, na co się tam natknął, ale spędził sporo czasu na stacji, szukając *Julie*, i nie mówił, żeby coś go zaatakowało. Protomolekuła była niesamowicie inwazyjna i agresywna, mogła w ciągu paru godzin zabić milion ludzi i zmienić ich w części zamienne do tego, nad czym pracowała, ale atakowała na poziomie komórkowym. Zachowywała się jak wirus, nie armia.

Powtarzaj to sobie, pomyślał *Holden*. Dzięki temu to, co zamierzał zrobić, wydawało się możliwe.

Wyciągnął z szafki kaburę i mały pistolet

półautomatyczny. Naomi przyglądała się, jak ładuje magazynek broni, plus trzy zapasowe, ale się nie odezwała. Właśnie wsunął ostatni nabój do ostatniego magazynka, gdy do pomieszczenia wleciał Amos, ciągnąc za sobą duży, czerwony skafander.

– To nasz najlepszy, kapitanie – powiedział. – Na sytuacji, gdy statek się solidnie spieprzy. Powiniem w zupełności wystarczyć na poziom, jaki mają na tamtym okręcie. Maksymalny czas narażenia to sześć godzin, ale zapas powietrza wystarcza tylko na dwie godziny, więc nie to cię ograniczy.

Holden obejrzał masywny skafander. Z wierzchu pokryty był grubą i elastyczną substancją podobną do gumy. Mogła ochronić przed kimś atakującym paznokciami i zębami, ale nie zatrzyma noża ani kuli. Zbiornik powietrza mieścił się pod chroniącą przed promieniowaniem powłoką skafandra, tworząc duży, niezgrabny garb na plecach. Wysięk, jaki musiał włożyć w przyciągnięcie skafandra do siebie, a potem zatrzymanie go, oznaczał, że miał sporą masę.

– Nie będę się w tym szybko ruszał, prawda?

– Nie – przyznał Amos, krzywiąc się. – Nie robią ich zmysła o strzelaniu. Jeśli zaczną latać kule, masz przesrane.

Naomi kiwnęła głową, ale się nie odezwała.

– Amos – powiedział Holden, chwytając ramię mechanika, który odwrócił się, by odejść. – Gdy wylądujecie na powierzchni, dowodzi Gunny. To profesjonalistka i to jej impreza. Ale musisz pilnować, żeby nic nie stało się Praksowi, bo to trochę idiota. Jedyne, o co cię proszę, to bezpieczne zabranie faceta i jego córki z

księżycyca na statek.

Amos przybrał dotknięty wyraz twarzy.

– Oczywiście, że zabiorę, kapitanie. Cokolwiek dobierze się do niego lub malucha, najpierw zabije mnie. A to nie takie łatwe.

Holden przyciągnął Amosa do siebie i na chwilę go objął.

– Już mi szkoda wszystkiego, co tego spróbuje. Nikt nie mógłby życzyć sobie lepszego członka załogi, Amos. Chciałem, żebyś to wiedział.

Amos go odepchnął.

– Zachowujesz się, jakbyś miał nie wrócić.

Holden zerknął na Naomi, ale wyraz jej twarzy nie uległ zmianie. Amos roześmiał się głośno, a potem klepnął Holdena w plecy tak mocno, że aż trzasnął zębami.

– Bzdury – rzucił mechanik. – Jesteś najtwardszym gościem, jakiego znam. – Nie czekając na odpowiedź Holdena, ruszył do drabiny i po chwili zniknął na pokładzie niżej.

Naomi odepchnęła się lekko od ściany i poddryfowała do Holdena. Opór powietrza zatrzymał ją pół metra od niego. Wciąż była w mikrograwitacji najzwinniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkał, baleriną nieważkości. Musiał się powstrzymać przed przytuleniem jej. Wyraz jej twarzy jasno dał do zrozumienia, że nie tego chciała. Unosiła się przed nim przez chwilę, nie mówiąc ani słowa, a potem wyciągnęła rękę i dotknęła szczupłą dłonią jego policzka. Jej dłoń była chłodna i miękka.

– Nie leć – poprosiła i coś w jej głosie powiedziało mu, że robi to po raz ostatni.

Cofnął się i zaczął wbijać się w skafander przeciwradiacyjny.

– Jak nie ja, to kto? Wyobrażasz sobie Avasaralę przebijającą się przez tłum rzygających zombie? Zresztą nie odróżniłaby centrum dowodzenia od kambuza. Amos musi znaleźć tę małą dziewczynkę. Wiesz, że musi, i wiesz dlaczego. Praks też musi tam być. A Bobbie utrzyma ich przy życiu.

Załóżył masywny skafander na ramiona i uszczelnił przód, ale zostawił hełm leżący na plecach. Magnesy butów aktywowały się, gdy uderzyły o siebie obcasami. Pchnął się w stronę podłogi i już przy niej został.

– Ty? – zapytał Naomi. – Mam wysłać ciebie? Bez wahania postawiłbym na ciebie przeciwko tysiącu zombie, ale nie znasz centrum dowodzenia ani trochę lepiej od Avasarali. Czy to ma jakiś sens?

– Dopiero udało nam się wrócić do siebie – powiedziała.
– To niesprawiedliwe.

– Ale – odparł – powiedz Marsjanom, że uratowanie przeze mnie ich planety załatwia tę całą sprawę z „ukradliście nasz okręt”, dobra?

Wiedział, że próbuje zmienić sytuację w żart, i natychmiast się za to znienawidził. Ale Naomi go znała, wiedziała, jak bardzo się boi i nie obraziła się. Poczuł falę miłości, która wysłała prąd wzdłuż jego kręgosłupa i sprawiła, że zaswędziała go skóra na głowie.

– Dobrze – powiedziała, poważniejąc. – Ale ty wracasz. Cały czas będę siedzieć przy radiu. Przejdziemy przez to razem, każdy krok. Żadnych zabaw w bohatera. Mózg zamiast pocisków i razem rozwiązujemy problemy. Tyle musisz mi dać. Lepiej, żebyś mi to dał.

Holden w końcu przyciągnął ją do siebie, objął i pocałował.

– Zgadzam się. Proszę, bardzo proszę, pomóż mi ująć z życiem. Naprawdę bym tego chciał.

* * *

Lot *Finwalem* do okaleczonego statku *Agatha King* przypominał wybranie się samochodem wyścigowym do sklepu na rogu. *King* znajdował się tylko kilka tysięcy kilometrów od *Rosynanta*. Wydawało się, że to dość blisko na plecak manewrowy i naprawdę mocne odepchnięcie się. Zamiast tego leciał prawdopodobnie najszybszym statkiem w układzie Jowisza w trybie czajniczka na około pięciu procentach ciągu – przez śmieci pozostałe po niedawnej bitwie. Czuł, jak *Finwal* rwie się w uprzęży, gwałtownie reagując nawet na najdrobniejsze strużki pary. Odległość do rażonego okrętu flagowego była na tyle mała, a trasa na tyle zdradliwa, że zaprogramowanie kursu zajęłoby więcej czasu niż sterowanie ręczne. Jednak nawet przy tak małej prędkości *Finwal* zdawał się mieć problem z utrzymaniem dziobu w stronę *Kinga*.

Nie chcesz tam lecieć, zdawał się mówić statek. *To okropne miejsce*.

– Tak, tak, naprawdę nie chcę – powiedział, poklepując konsolę przed sobą. – Ale dowieź mnie tam w jednym kawałku, dobrze, złotko?

Obok niego przeleciał wielki kawał czegoś, co jeszcze niedawno musiało być niszczycielem, z nierównymi krawędziami jarzącymi się od żaru. Holden dotknął dżojstika i pchnął *Finwala* w bok, aby oddalić się nieco od wraku. Dziób zszedł z kursu.

– Walcz, ile chcesz, i tak dolecimy na miejsce.

Jakaś część Holdena była rozczarowana, że przelot był

tak niebezpieczny. Nigdy wcześniej nie leciał na Io, a widok księżycy na krawędzi ekranu był spektakularny. Olbrzymi wulkan stopionej krzemionki z drugiej strony księżycy wyrzucał drobinki materii tak wysoko w przestrzeń, że widział ślad, który zostawiała na niebie. Pióropusz ochładzał się i zmieniał w deszcz kryształów krzemionki, w świetle Jowisza błyszczących jak małe diamenty rozsypane na tle czerni. Niektóre oddryfują i wyrwane ze studni grawitacyjnej Io dołączają do słabego pierścienia Jowisza. W innych okolicznościach zachwycałby się widokiem, ale niebezpieczny lot przykuwał jego uwagę do przyrządów i ekranów. A na środku głównego ekranu zawsze znajdował się masywny korpus *Agathy King* pośrodku chmury odłamków.

Gdy znalazł się w zasięgu, Holden wywołał system automatycznego dokowania, ale tak jak się spodziewał, pancernik nie zareagował. Podleciał do najbliższej słuzy zewnętrznej i polecił *Finwalowi* utrzymywać stałą odległość pięciu metrów. Wyścigowego jachtu nie zaprojektowano do dokowania do innych statków w przestrzeni i nie miał nawet najprostszego kołnierza dokowego. Do *Kinga* będzie musiał przejść przez próżnię.

Avasarala wydobyła od Southera kody przełamania blokady i Holden polecił *Finwalowi* wyemitować je. Służa natychmiast się otworzyła.

W służbie *Finwala* uzupełnił zapas powietrza skafandra. Gdy znajdzie się na okręcie flagowym Nguyena, nie będzie mógł ufać powietrzu, nawet na stanowiskach ładowania skafandrów. Nic z *Kinga* nie mogło dostać się do wnętrza jego skafandra. Nic.

Kiedy wskaźnik poziomu powietrza dotarł do 100%,

włączył radio i wywołał Naomi.

– Wchodzę.

Wyłączył magnesy butów i silnym odbiciem od wewnętrznych drzwi śluzy przebył niewielką przestrzeń dzielącą go od pancernika.

– Odbieram dobry obraz – powiedziała Naomi.

Łącze wideo z jego hełmu było aktywne, więc Naomi mogła widzieć wszystko to, co on. Było to równocześnie pocieszające i zwiększało poczucie izolacji, jak telefon do przyjaciela mieszkającego gdzieś bardzo daleko.

Holden aktywował cykl śluzy. Dwie minuty, podczas których *King* zamykał zewnętrzne drzwi, a potem pompował do środka powietrze, zdawały się trwać całą wieczność. Nie miał pojęcia, co zastanie po drugiej stronie wewnętrznej śluzy, gdy ta się w końcu otworzy. Oparł dłoń na rękojeści pistoletu z nonszalancją, której wcale nie czuł.

Rozsunęły się wewnętrzne drzwi.

Nagły skrzek alarmu radiacyjnego skafandra niemal wywołał u niego zawał serca. Ruchem szczęki wyłączył alarm dźwiękowy, choć zostawił aktywny miernik poziomu promieniowania na zewnątrz. Te informacje w zasadzie do niczego mu się nie przydawały, ale przynajmniej skafander zapewniał go, że mógł ochronić przed bieżącym poziomem, co było miłe.

Holden wyszedł ze śluzy do małego pomieszczenia pełnego szafek i sprzętu do poruszania się w próżni. Wyglądało na puste, ale ostrzegł go hałas dobiegający z jednej z szafek i odwrócił się akurat na czas, by zobaczyć, jak wyskakuje z niej mężczyzna w mundurze floty ONZ, robiąc zamach ciężkim kluczem prosto w jego głowę.

Masywny skafander radiacyjny nie pozwolił na szybki ruch i klucz uderzył z głośnym brzękiem w bok hełmu.

– Jim! – krzyknęła Naomi w radiu.

– Giń, draniu! – równocześnie wrzasnął marynarz.

Zamachnął się po raz drugi, ale nie miał butów magnetycznych, a bez odbicia od ściany, które wcześniej nadało mu pęd, ruch sprawił tylko, że obróciło go w powietrzu. Holden wyrwał mu klucz z ręki i odrzucił go, a potem złapał mężczyznę lewą ręką, by zatrzymać jego obroty, prawą wyciągnął pistolet.

– Jeśli uszkodzisz mój skafander, wyrzucę cię przez śluzę – warknął. Zaczął przełączać ekrany stanu skafandra, cały czas celując z pistoletu w miłośnika klucza.

– Wygląda w porządku – skomentowała Naomi z wyraźną ulgą w głosie. – Żadnych żółtych ani czerwonych. Ten hełm jest twardszy niż na to wygląda.

– Co, u diabła, robiłeś w tej szafce? – zapytał Holden napastnika.

– Pracowałem tu, gdy... to... weszło na pokład – wyjaśnił mężczyzna. Był niewielkim Ziemianinem z bladą skórą i ogniste rudymi włosami przyciętymi blisko skóry. Na piersi miał plakietkę z nazwiskiem LARSON. – Wszystkie drzwi zamknęły się przy blokadzie awaryjnej. Zostałem tu uwięziony, ale mogłem oglądać przez wewnętrzny system monitoringu, co się tam dzieje. Chciałem wziąć skafander i wyjść przez śluzę, ale ona też się zablokowała. Jak tu wszedłeś?

– Mam admirałskie kody przełamania blokady – wyjaśnił Holden. Dużo ciszej zwrócił się do Naomi. – Jakie szanse na przeżycie ma nasz nowy znajomy przy bieżącym

poziomie promieniowania?

– Całkiem niezłe – odpowiedziała Naomi. – Jeśli trafi do szpitala w ciągu kilku najbliższych godzin.

– Dobra, pójdiesz ze mną. – Z wyraźną ulgą w głosie znowu zwrócił się do Larsona. – Wybieram się do centrum dowodzenia. Zaprowadź mnie tam szybko, a zabiorę cię z tej łajby.

– Tak jest, sir! – odpowiedział Larson, salutując.

– Uważa cię za admirała – skomentowała Naomi ze śmiechem.

– Larson, załóż skafander próżniowy. I to szybko.

– Sir, tak jest, sir!

Skafandry trzymane w szafkach przy śluzie miały przynajmniej własne butle z tlenem, co ograniczało szkody wywoływane przez promieniowanie pochłaniane przez młodego marynarza. A hermetyczny skafander zmniejszał ryzyko zakażenia protomolekułą w drodze przez statek.

Holden poczekał, aż Larson wciśnie się w skafander, a potem przesłał kod przełamania blokady do włazu i otworzył go.

– Ty pierwszy, Larson. Centrum dowodzenia, najszybciej, jak się da. Jeśli kogoś spotkamy, zwłaszcza jeśli będą rzygać, trzymaj się od nich z daleka, ja się nimi zajmę.

– Tak jest, sir – potwierdził mężczyzna głosem trochę niewyraźnym przez szumy w radiu, a potem wyszedł na korytarz. Zrobił dokładnie to, co mu kazano i poprowadził Holdena szybką trasą przez uszkodzony pancernik. Zatrzymywali się tylko, gdy drogę blokował im zamknięty włącz, a i wtedy tylko na tyle, by skafander Holdena przekonał włącz do otwarcia się.

Rejony statku, przez które przechodzili, nie wyglądały na uszkodzone. Broń biologiczna uderzyła od strony rufy i potwór skierował się prosto do pomieszczenia reaktora. Według Larsona po drodze zabił całkiem sporo ludzi, włącznie z całym pokładowym oddziałem marines, którzy próbowali go powstrzymać. Kiedy jednak znaleźli się w maszynowni, w zasadzie zaczął ignorować załogę. Larson twierdził, że krótko po wejściu stwora do maszynowni został wyłączony okrętowy system kamer monitoringu. Ponieważ nie było jak sprawdzić, gdzie znajduje się potwór, ani nie było żadnego sposobu na wyjście z magazynku przy śluzie, Larson ukrył się w szafce, żeby przeczekać zagrożenie.

– Kiedy pan wszedł, zobaczyłem tylko coś wielkiego i czerwonego – wyjaśnił. – Myślałem, że może jest pan kolejnym z tych potworów.

Brak widocznych uszkodzeń dobrze wróżył. Oznaczał, że wszystkie włązy i inne systemy, na które się natykali, wciąż działały. Jeszcze lepszy był brak potwora szalejącego na statku, choć Holdena martwił brak ludzi. Okręt tej wielkości miał załogę liczącą ponad tysiąc osób i przynajmniej część z nich powinna się znajdować w rejonach, przez które przechodzili, ale jak dotąd nie natknęli się na nikogo.

Okazjonalne kałuże brązowej mazi na podłodze nie były dobrym znakiem.

Larson zatrzymał się przed zamkniętym włazem, żeby Holden mógł złapać oddech. Ciężki skafander radiacyjny nie został zaprojektowany z myślą o długich wycieczkach i jego wnętrze zaczęło wonieć potem. Larson odezwał się, gdy Holden odpoczywał chwilę, dając szansę systemowi

chłodzenia skafandra obniżyć temperaturę w środku.

– Przejdziemy przez kambuz do jednego z szybów wind. Centrum dowodzenia jest pokład wyżej, pięć, góra dziesięć minut.

Holden sprawdził zapas powietrza i przekonał się, że zużył go już prawie połowę. Szybko zbliżał się do punktu bez powrotu, ale coś w głosie Larsona przyciągnęło jego uwagę. Chodziło o sposób, w jaki powiedział *kambuz*.

– Czy jest coś, co powinienem wiedzieć o kambuzie?

– Nie jestem pewien – odpowiedział Larson. – Ale kiedy wysiadły kamery, ciągle jeszcze miałem nadzieję, że ktoś po mnie przyjdzie, więc zacząłem wydzwaniać do ludzi przez interkom. Kiedy nic z tego nie wyszło, kazałem *Kingowi* wyszukiwać lokalizację moich kumpli i po jakimś czasie niezależnie od tego, o kogo pytałem, za każdym razem odpowiedź brzmiała „przedni kambuz”.

– Czyli – odezwał się Holden – w kambuzie może być upchniętych ponad tysiąc zakażonych marynarzy?

Larson wzruszył ramionami w geście ledwie widocznym w jego skafandrze.

– Może potwór ich pozabijał i tam pozanosił.

– Och tak, myślę, że dokładnie tak było – zgodził się Holden, wyciągając pistolet i wprowadzając nabój do komory. – Ale bardzo wątpię, żeby zostali martwi.

Zanim Larson zapytał, co Holden miał na myśli, ten polecił skafandrowi otworzyć właz.

– Kiedy otworzę te drzwi, idź do windy najszybciej, jak możesz. Będę zaraz za tobą. Nie zatrzymuj się bez względu na wszystko. *Musisz* zaprowadzić mnie do centrum. Zrozumiano?

Larson kiwnął głową wewnątrz hełmu.

– Dobra. Na trzy.

Holden zaczął odliczać z jedną ręką na włązie, w drugiej trzymając broń. Kiedy dotarł do trzech, pchnął właz. Larson oparł się stopami o ścianę i pchnął się w głąb korytarza po drugiej stronie.

W powietrzu wokół nich unosiły się niebieskie iskierki przypominające świetliki. Jak światełka, o których opowiadał Miller przy drugiej bytności na Erosie. Tej, z której nie wrócił. Teraz świetliki były i tutaj.

Holden zobaczył drzwi windy na końcu korytarza. Zaczął maszerować za Larsonem w butach magnetycznych. W połowie korytarza Larson minął otwarty właz i zaczął krzyczeć.

Holden pobiegł najszybciej, jak pozwalały mu na to magnetyczne buty i masywny skafander. Larson dalej leciał w głąb korytarza, ale krzyczał przy tym i machał rękami jak tonący, który próbuje wypłynąć na powierzchnię. Holden prawie dotarł do otwartego włazu, gdy coś wypełzło stamtąd, zachodząc mu drogę. W pierwszej chwili pomyślał, że to rodzaj rzygającego zombie, które spotkał na Erosie. Stwór poruszał się powoli, a przód jego munduru floty pokryty był brązowymi wymiocinami, ale kiedy obrócił się, by spojrzeć na Holdena, jego oczy jarzyły się błękitem. I zobaczył w nich inteligencję, której brakowało zombie na Erosie.

Protomolekuła sporo się tam nauczyła. Miał przed sobą nową, ulepszoną wersję rzygającego zombie.

Holden nie czekał, by sprawdzić, co stwór zamierzał zrobić. Nie zwalniając tempa, uniósł pistolet i strzelił mu w głowę. Poczuł ulgę, gdy blask w oczach zgasł, a stwór

zawirował, tryskając brązową mazią po tuku wraz z obrotem. Mijając otwarty właz, zaryzykował spojrzenie do środka.

Zobaczył tam pełno nowych rzygających zombie. Całe setki. A spojrzenie wszystkich niepokojąco błękitnych oczu utkwione było w nim. Obrócił się i pobiegł dalej w głąb korytarza. Zza pleców usłyszał narastającą falę dźwięków zombie, które z jękiem zaczęły pełznąć jego śladem po ścianach, po podłodze.

– Leć! Otwórz windę! – wrzasnął na Larsona, przeklinając równocześnie spowolnienie przez ciężki skafander.

– Boże, co to było? – zapytała Naomi.

Zapomniał, że patrzy. Nie tracił tchu na odpowiadanie. Larson uporał się z atakiem paniki i pracowicie otwierał drzwi szybu windy. Holden dobiegł do niego i odwrócił się, by spojrzeć do tyłu. Korytarz wypełniały dziesiątki niebieskookich zombie pełnących jak pająki po podłodze, ścianach i po suficie. Unoszące się błękitne światełka wirowały w prądach powietrza, których Holden nie czuł.

– Szybciej – rzucił do Larsona, celując w pierwszego zombie i posyłając pocisk w jego głowę.

Stwór oderwał się od ściany, tryskając mazią. Postać za nim odepchnęła go z drogi, co posłało wirującego trupa w ich stronę. Holden przesunął się przed Larsona, żeby go ochronić i w jego pierś i hełm uderzyła struga brązowego szlamu. Gdyby obaj nie mieli na sobie hermetycznych skafandrów, byłby to wyrok śmierci. Słumił drżenie i zastrzelił jeszcze dwa zombie. Reszta nawet nie zwolniła.

Larson za plecami Holdena zaklął, gdy częściowo otwarte drzwi znów się zasunęły, unieruchamiając jego

rękę. Marynarz rozepchnął je, napierając plecami i nogą.

– Wchodzimy! – krzyknął.

Holden zaczął się cofać w stronę szybu windy, opróżniając przy tym resztę magazynka. W powietrze odleciało kolejne pół tuzina tryskających posoką zombie, a potem znalazł się w szybie i Larson zatrzasnął drzwi.

– Jeden poziom do góry – powiedział marynarz, dysząc ze strachu i wysiłku. Odepchnął się od ściany i poszybował do następnych drzwi, a potem zaczął je rozpychać.

Holden poszedł jego śladem, wymieniając magazynek w pistolecie. Wprost przed windą zobaczył opancerzoną grodz opisaną akronimem *centrum dowodzenia*. Holden ruszył do niego, wysyłając kod otwarcia z nadajnika skafandra. Za jego plecami Larson pozwolił zamknąć się drzwiom windy. Od strony szybu dobiegał skowyt zombie.

– Musimy się śpieszyć – skomentował Holden, wciskając przycisk otwarcia grodzi i wsuwając się do środka, zanim włąz się na dobre otworzył.

Larson wleciał zaraz za nim.

W pomieszczeniu wciąż znajdował się jeden człowiek: przysadzisty, mocnej budowy Azjata w mundurze admirałskim i z wielkokalibrowym pistoletem w drżącej dłoni.

– Nie ruszać się – powiedział.

– Admirale Nguyen! – wykrzyknął Larson. – Pan żyje!

Nguyen go zignorował.

– Przyszedłeś tu po kody zdalnego sterowania raketami broni biologicznej. Mam je tutaj. – Uniósł ręczny terminal.

– Dostaniesz je za zabranie mnie z tego statku.

– On nas zabierze – powiedział Larson, wskazując

Holdena. – Powiedział, że mnie zabierze.

– Nic z tego. – Holden skierował te słowa do Nguyena. – Nie ma mowy. Albo dasz mi te kody, bo masz w sobie resztkę przyzwoitości, albo dasz mi je, bo będziesz martwy. Gównu mnie obchodzi, co wolisz. Twój wybór.

Nguyen patrzył to na Larsona, to na Holdena, ściskając ręczny terminal i pistolet tak mocno, że zbieleły mu kostki palców.

– Nie! *Musisz...*

Holden strzelił mu w gardło. Gdzieś w głębi jego mózgu detektyw Miller z aprobatą pokiwał głową.

– Wymyśl teraz alternatywną drogę z powrotem do mojego statku – powiedział Holden do Larsena, idąc przez pomieszczenie, żeby wziąć terminal unoszący się przy trupie Nguyena.

Potem potrzebował jeszcze chwili na znalezienie przełącznika samozniszczenia *Kinga*, ukrytego za zamkniętym panelem. Kod przełamania blokady od Southera zapewnił mu dostęp i do niego.

– Przepraszam – powiedział cicho do Naomi, otwierając panel. – Wiem, że tak jakby zgodziłem się więcej tego nie robić, ale nie miałem czasu, żeby...

– Nie – przerwała mu Naomi smutnym głosem. – Ten drań zasługiwał na śmierć. I wiem, że później będziesz się paskudnie czuł. To mi wystarczy.

Panel odsłonił prosty przycisk. Nie był nawet czerwony, po prostu miał barwę zwykłej przemysłowej bieli.

– To wysadza statek?

– Nie ma zegara – zauważyła Naomi.

– Cóż, to zabezpieczenie na wypadek abordażu. Jeśli ktoś otworzy ten panel i naciśnie przycisk, to dlatego, że okręt

przepadł. Nie chcę, żeby miał zegar, który ktoś mógłby rozbroić.

– To problem inżynierski – rzuciła Naomi. Dobrze wiedziała, o czym myślał i próbowała znaleźć odpowiedź, zanim zdążył to powiedzieć. – Jakoś go rozwiążemy.

– Nie możemy – odpowiedział Holden, czekając na smutek, jednak czuł jedynie coś w rodzaju cichego spokoju. – Szybem windy wspina się kilkaset bardzo rozłoszczonych zombie. I tak nie znajdziemy rozwiązania, które nie będzie wymagało zostania tutaj.

Na jego ramieniu zacisnęła się dłoń.

– Ja go nacisnę – powiedział Larson.

– Nie, nie musisz...

Larson wyciągnął rękę. Na rękawie jego skafandra zobaczył małe rozdarcie w miejscu, gdzie zacisnęły się na nim drzwi windy. Wokół rozdarcia rozciągała się brązowa plama wielkości dłoni.

– Pewnie po prostu cholerny pech. Ale oglądałem transmisje z Erosa jak wszyscy – powiedział Larson. – Nie możesz ryzykować zabrania mnie. Niedługo mogę się zrobić... – urwał i wskazał głową w stronę windy. – Mogę się stać jednym z nich.

Holden objął dłoń Larsona. Przez grube rękawice nie dało się niczego poczuć.

– Bardzo mi przykro.

– Hej, próbowałeś – odparł Larson ze smutnym uśmiechem. – Przynajmniej teraz nie umrę z pragnienia w szafce na skafandry.

– Admirał Souther się o tym dowie – zapewnił Holden. – Dopilnuję, by wszyscy wiedzieli.

– Poważnie – rzucił Larson, unosząc się obok przycisku,

który na kilka sekund zmieni *Agathę King* w małą gwiazdę. Zdjął hełm i odetchnął głęboko. – Trzy pokłady wyżej jest kolejna śluza. Jeśli jeszcze nie weszli do szybu windy, dasz radę.

– Larson, ja...

– Lepiej już idź.

* * *

Holden musiał zdjąć skafander w służbie *Kinga*. Był cały pokryty mazią i nie mógł ryzykować zabrania go na *Finwala*. Wchłonął kilka radów, kradnąc inny skafander próżniowy z jednego ze schowków i zakładając go zamiast swojego. Wyglądał dokładnie jak ten noszony przez Larsona. Gdy tylko znalazł się z powrotem na *Finwalu*, przesłał kody zdalnego sterowania na okręt *Southera*. Prawie doleciał do *Rosynanta*, gdy *King* zniknął w kuli białego ognia.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Bobbie

– Kapitan właśnie odleciał – powiedział Amos do Bobbie po powrocie do warsztatu.

Unosiła się pół metra nad pokładem wewnątrz małego pierścienia zabójczych narzędzi. Za sobą miała wyczyszczony i odnowiony pancerz zwiadu, lśniący wystającą ze szczeliny na przedramieniu jedną z luf zainstalowanego działka. Z lewej wisiała niedawno złożona strzelba automatyczna, którą tak lubił Amos. Resztę pierścienia tworzyły pistolety, granaty, nóż bojowy i cały zestaw magazynków. Bobbie skatalogowała je po raz ostatni i uznała, że zrobiła wszystko, co mogła.

– Uważa, że może z tego nie wrócić – kontynuował Amos, a potem schylił się i złapał automatyczną strzelbę. Obejrzał ją krytycznie, a potem posłał jej zadowolone skiniecie.

– Wyruszenie na walkę, o której wiadomo, że się z niej nie wróci, daje człowiekowi coś w rodzaju jasnego obrazu – powiedziała Bobbie.

Sięgnęła do tyłu i chwyciła swój pancerz, wciągając się do niego, co nie było łatwe w nieważkości. Musiała się skręcać i wyginać, żeby wcisnąć nogi do skafandra, zanim mogła zacząć zamykać napierśnik. Zauważyła, że Amos przygląda się jej z obleśnym uśmiechem na twarzy.

– Poważnie? Teraz? – zapytała. – Rozmawiamy o twoim kapitanie udającym się na śmierć, a jedyne, co przychodzi ci w tej chwili do głowy to „och, cycki!”.

Amos dalej się szczyrzył, w ogóle nieporuszony.

– Ten kombinezon nie zostawia wiele wyobraźni, to wszystko.

Bobbie westchnęła.

– Wierz mi, nawet gdybym mogła nosić obszerny sweter wewnątrz przegubowego, wspomaganego pancerza bojowego, i tak bym tego nie robiła. Bo byłoby to głupie.

Wdusiła przycisk uszczelniania skafandra, a pancerz otoczył ją jak druga skóra. Zamknęła hełm i włączyła zewnętrzne głośniczki do rozmowy z Amosem, wiedząc, że jej głos zrobi się nieludzki i mechaniczny.

– Lepiej przebierz się za dużego chłopca – rzuciła, a dźwięk odbił się pogłosem w pomieszczeniu. Amos odruchowo cofnął się o krok. – Nie tylko kapitan może nie wrócić ze swojej misji.

Bobbie weszła na windę drabinową i wjechała nią na mostek. Avasarala siedziała przypięta w fotelu przy stacji łączności, a Naomi zajmowała zwykle miejsce Holdena przy panelu taktycznym. Aleks siedział już w kokpicie. Bobbie otworzyła wizjer, żeby mówić normalnym głosem.

– Możemy lecieć? – zwróciła się do Avasarali.

Stara dama kiwnęła głową i uniosła rękę w geście „poczekaj”, rozmawiając z kimś przez zestaw słuchawkowy z mikrofonem.

– Marsjanie zrzucili już pełny pluton – powiedziała po chwili, odsuwając mikrofon od twarzy. – Ale mają rozkaz ustawić perymetr i otoczyć bazę do czasu, aż ktoś wyżej zdecyduje, co robić.

– Nie będą... – zaczęła Bobbie, ale Avasarala ucięła jej niedbałym gestem.

– Kurwa, nie – potwierdziła. – To *ja* jestem wyżej i zdecydowałam już, że zeszklimy tę rzeźnię, gdy tylko się stamtąd wyniesiecie. Pozwalam im myśleć, że wciąż rozmawiamy na ten temat, żeby dać wam czas na zabranie dzieciaków.

Bobbie przytaknęła pięścią. Zwiadowców marines szkolono do stosowania w pancerzach gestykulacji Pasiarzy. Avasarala wyraźnie nie zrozumiała gestu.

– Przestań się bawić rękami i idź po te cholerne dzieciaki.

Bobbie ruszyła z powrotem w dół windą, po drodze łącząc się z okrętowym interkodem.

– Amos, Praks, spotykamy się w służbie za pięć minut, ze sprzętem i gotowi do drogi. Aleks, posadź nas za dziesięć.

– Potwierdzam – odpowiedział Aleks. – Dobrych łowów, żołnierzu. Zaczęła się zastanawiać, czy mając dość czasu, mogliby się zaprzyjaźnić. To była miła myśl.

Kiedy przybyła, Amos czekał na nią przed służą. Miał na sobie lekki pancerz marsjański, a w rękach trzymał wielką strzelbę. Praks wbiegł do pomieszczenia parę minut później, wciąż zmagając się z pożyczonym sprzętem. Wyglądał jak chłopiec w butach ojca. Aleks połączył się ze służą, gdy Amos pomagał botanikowi się pozapinać.

– Lecimy na dół. Złapcie się czegoś.

Bobbie włączyła magnesy butów na pełną moc, kotwicząc się do pokładu, a statek pod nią drgnął. Amos i Praks usiedli na krzeselkach wyciągniętych ze ściany i się przypięli.

– Powtórzmy sobie plan jeszcze raz – powiedziała, wywołując zrobione wcześniej z orbity zdjęcia placówki. Podłączyła się do sieci *Rosa* i wyświetliła je na monitorze ściennym. – Wejdziemy przez śluzę. Jeśli będzie zamknięta, Amos wysadzi zewnętrzne drzwi. Musimy szybko wejść do środka, bo wasze pancerze nie ochronią was długo przed promieniowaniem, które zalewa *Io*. Praks, masz skonfigurowane łącze radiowe dla *Naomi*, więc gdy tylko wejdziemy do środka, zacznij szukać węzła sieci, do którego można będzie je podpiąć. Nie wiemy nic o wewnętrznym układzie bazy, więc im szybciej *Naomi* zdoła się włamać do systemu, tym szybciej znajdziemy te dzieci.

– Bardziej podoba mi się plan zapasowy – rzucił Amos.

– Plan zapasowy? – zapytał Praks.

– Plan zapasowy polega na złapaniu pierwszego gościa, którego zobaczymy, i łojeniu go, aż powie nam, gdzie są dzieciaki.

Praks kiwnął głową.

– Dobrze. Mnie też się podoba.

Bobbie zignorowała popisy panów. Każdy na swój sposób radził sobie z nerwami przed walką. Ona preferowała obsesyjne sprawdzanie list, choć puszenie się i groźby też nie były złe.

– Gdy poznamy lokalizację, pójdziecie jak najszybciej po dzieci, a ja będę zapewniać czystą trasę wycofania się.

– Brzmi nieźle – skomentował Amos.

– Żeby nie było wątpliwości – dodała *Bobbie*. – *Io* to jedno z najgorszych miejsc w Układzie Słonecznym. Księżyc jest niestabilny tektonicznie i radioaktywny jak cholera. Nietrudno zgadnąć, dlaczego ukryli się właśnie

tutaj, ale nie lekceważcie zagrożenia, które wiąże się z samym pobycem na tym gównianym księżycu.

– Dwie minuty – poinformował ich Aleks przez interkom. Bobbie odetchnęła głęboko.

– A to wcale jeszcze nie jest najgorsze. Te dupki wystrzeliły na Marsa kilkaset hybryd ludzi z protomolekułą. Możemy mieć nadzieję, że wystrzelali się ze wszystkiego, ale obawiam się, że coś sobie zostawili. Po wejściu do środka możemy trafić na jednego z tych potworów.

Nie dodała, *widziałam to w snach*. Raczej nie miało to sensu.

– Jeśli się na niego natkniemy, *ja z nim walczę*. Amos, prawie zabiłeś swojego kapitana, strzelając do tego, którego znaleźliście w ładowni. Jeśli spróbujesz tego ze mną, urwę ci rękę. Nie wystawiaj mnie na próbę.

– Dobra, szefie – zgodził się Amos. – Nie wściekaj się. Słyszałem.

– Jedna minuta – poinformował Aleks.

– Perymetr kontrolują marsjańscy marines, ale dostali zgodę na przepuszczenie nas. Jeśli ktoś ucieknie za nami, nie trzeba się nim przejmować, marines nie dadzą im odejść za daleko.

– Trzydzieści sekund.

– Przygotować się – rzuciła Bobbie, a potem wywołała ekran stanu wyświetlacza przeziernego. Wszystko świeciło na zielono, włącznie z poziomem amunicji, informującym o dwóch tysiącach pocisków zapalających.

Powietrze zostało odpompowane ze śluzy w długim, zanikającym syku, zostawiając tylko drobny ślad atmosfery o tej samej gęstości, co delikatne siarkowe

opary Io. Zanim statek dotknął powierzchni, Amos zerwał się ze swojego krzeselka i stanął na palcach, przystawiając swój hełm do jej.

– Zrób im piekło, marinę – krzyknął.

Rozsunęły się zewnętrzne drzwi śluzy i skafander Bobbie ryknął alarmem promieniowania. Usłużnie poinformował ją też, że atmosfera na zewnątrz nie nadawała się do podtrzymywania życia. Pchnęła Amosa w stronę otwartych drzwi, a potem to samo zrobiła z Praksem.

– Już, już, już!

Amos pognał przez powierzchnię w dziwnym biegu długimi susami, dysząc jej w uszy przez głośniczki hełmu. Praks trzymał się jego pleców i wydawał się lepiej radzić sobie w niskim ciężeniu. Nie miał problemów z nadążeniem. Bobbie wyszła ze śluzy Rosa i zeskoczyła długim łukiem, który w szczycie trajektorii posłał ją jakieś siedem metrów nad powierzchnią księżyca. Przeskanowała wzrokiem okolicę w czasie, gdy jej skafander omiatał ją radarem i czujnikami emisji elektromagnetycznych, szukając celów. Żadne nie zostały znalezione.

Wylądowała na powierzchni obok pędzącego Amosa i skoczyła ponownie, wyprzedzając mężczyznę do drzwi śluzy. Wcisnęła przycisk i zewnętrzne drzwi się otworzyły. Oczywiście. Po co zamykać drzwi na Io? Przecież nikt nie będzie wędrował przez pustynię stopionego krzemu i siarki, żeby ukraść rodzinne srebra.

Amos przebiegł obok niej wprost do śluzy, zatrzymując się dopiero wewnątrz. Chwilę później Bobbie weszła do środka za Praksem i właśnie chciała powiedzieć Amosowi,

żeby aktywował służę, gdy jej radio padło.

Odwróciła się gwałtownie, wypatrując ruchu na powierzchni księżyca. Amos podszedł do niej i przystawił hełm do jej pancerza na plecach. Ledwie usłyszała jego krzyk.

– Co się dzieje?

Zamiast odkrzykiwać w odpowiedzi, wyszła na zewnątrz i wskazała Amosa, a potem wewnętrzne drzwi. Palcami pokazała chodzenie. Amos kiwnął ręką, wrócił do służы i zamknął zewnętrzne drzwi.

Cokolwiek będzie się działo w środku, było teraz w rękach Amosa i Praksa. Życzyła im wszystkiego najlepszego.

Zauważyła ruch, zanim zrobił to skafander. Coś przesunęło się na tle żółtawego, siarkowego tła. Coś nie do końca tego koloru. Prześledziła to wzrokiem i poleciała skafandrowi wymierzyć laserem celowniczym. Teraz już go nie zgubi. Potwór mógł tłumić fale radiowe, ale to, że go widziała, znaczyło, że światło odbijało się od niego całkiem zwyczajnie.

Znowu się ruszył. Niezbyt szybko i trzymał się blisko powierzchni. Gdyby nie patrzyła dokładnie w jego stronę, w ogóle nie zauważyłaby ruchu. Skradał się, a to prawdopodobnie znaczyło, że nie wie, że został zauważony. Według laserowego dalmierza skafandra cel znajdował się trzysta metrów od niej. Według jej teorii, gdy tylko zorientuje się, że został zauważony, ruszy na nią po prostej, próbując ją złapać i rozerwać. Jeśli nie zdoła szybko dobiec, będzie czymś w nią rzucać. Wszystko, co musiała robić, to ranić go do chwili, aż zawiedzie jego program i dojdzie do samozniszczenia. Mnóstwo teorii.

Pora je sprawdzić.

Wycelowała weń z działka. Skafander pomógł skorygować odchylenie na podstawie odległości, ale strzelała pociskami o bardzo dużej szybkości na księżycu o minimalnym ciężeniu. Odchylenie trajektorii pocisku na trzystu metrach będzie prawie niezauważalne. Choć nie było mowy, żeby stwór zobaczył to przez przyciemniony wizjer jej hełmu, posłała mu pocałunek.

– Wróciłam, skarbie. Chodź do mamy.

Wcisnęła spust działka. Do celu pomknęło pięćdziesiąt pocisków, pokonując odległość do stwora w mniej niż jedną trzecią sekundy. Trafiło w niego pięćdziesiąt pocisków, tracąc przy uderzeniu bardzo niewiele energii. Akurat tyle, by rozerwać czubek każdego z nich i zapalić samoutleniający się, palny żel w środku. Z potwora wystrzeliło pięćdziesiąt krótkotrwałych, ale bardzo intensywnych smug płomienia.

Część czarnych włókien tryskających z ran wylotowych zapaliła się, błyskawicznie znikając.

Potwór rzucił się w stronę Bobbie sprintem, który nie powinien być możliwy w niskim ciężeniu. Każde odepchnięcie kończyn powinno wyrzucić go wysoko w powietrze, a zamiast tego gnał przy krzemowej powierzchni Io, jakby miał magnetyczne buty na metalowym pokładzie. Jego szybkość była oszałamiająca, a błękitne oczy jarzyły się jak błyskawice. Niemożliwie długie ręce wyciągały się w jej stronę, w biegu chwytając pustkę. Dokładnie jak w jej snach.

I przez ułamek sekundy Bobbie chciała po prostu stać nieruchomo i pozwolić scenie rozegrać się do końca, którego nigdy jeszcze nie widziała, podczas gdy inna część

jej umysłu spodziewała się obudzić spocona, jak tyle razy wcześniej.

Bobbie przyglądała się biegnącemu stworowi i z satysfakcją odnotowała wypalone czarne rany, zadane mu przez pociski zapalające. Żadnych wytrysków czarnych włókien, a potem ran zamykających się jak woda. Nie tym razem. Skrzywdziła go i chciała to kontynuować.

Odwróciła się i ruszyła w podskokach pod kątem prostym do trasy stwora. Jej skafander utrzymywał laser celowniczy skierowany w potwora, więc mogła śledzić jego położenie bez obracania się. Tak jak podejrzewała, skręcił w jej stronę, ale stracił przy tym część szybkości.

– Szybki na prostych – Bobbie odezwała się do niego – ale odpadasz na zakrętach.

Kiedy stwór zrozumiał, że jego cel nie zamierza po prostu stać i dać się złapać, zatrzymał się. Bobbie też wyhamowała, obracając się, by go obserwować. Potwór sięgnął w dół i oderwał wielki kawał wulkanicznej skały, a potem zaczepił się o ziemię drugą ręką.

– No to leci – Bobbie skomentowała pod nosem.

Rzuciła się w bok w chwili, gdy ręka stwora machnęła do przodu. Skała minęła ją o centymetry. Uderzyła w powierzchnię księżycy i pojechała po niej, strzelając. Tym razem naciskała spust przez kilka sekund, wysyłając w kierunku stwora kilkaset pocisków.

– Rób, co chcesz, ale wiesz, ja będę lepsza – zaśpiewała cicho. – W parę chwil mogę być lepsza niż ty. – Pociski wyrwały z ciała potwora wielkie płonące kawały i prawie oderwały mu lewą rękę. Stwór zawirował i padł. Bobbie zerwała się na nogi gotowa do dalszego biegu, gdyby się podniósł. Nie zrobił tego. Przeturlał się na plecy i

zadygotał. Jego głowa zaczęła nabrzmiwać, a błękitne oczy rozbłysły jeszcze jaśniej. Bobbie zobaczyła, że coś porusza się pod powierzchnią jego chitynowej czarnej skóry.

– Bum, sukinsynu! – wrzasnęła do niego, czekając na wybuch bomby.

Zamiast tego stwór nagle zerwał się na nogi, wyrwał sobie kawał brzucha i rzucił w nią. Zanim Bobbie zrozumiała, co się właśnie stało, bomba była ledwie parę metrów od niej. Wybuch powalił ją na ziemię. Pojechała po powierzchni Io przy wyciu alarmów skafandra. Kiedy się w końcu zatrzymała, wyświetlacz błyskał sieczką zielonych i czerwonych kontroltek, które wyglądały jak bożonarodzeniowa choinka. Spróbowała poruszyć rękami, ale były ciężkie jak z kamienia. Padł procesor kontroli ruchu skafandra, komputer interpretujący ruchy jej ciała i zmieniający je w polecenia dla siłowników pancerza. Skafander próbował się zrestartować, równocześnie usiłując przekierować połączenia i uruchomić program w innym procesorze. Na wyświetlaczu przeziernym pojawił się bursztynowy komunikat PROSZĘ CZEKAĆ.

Bobbie nie mogła nawet obrócić głowy, kiedy więc potwór się nad nią nachylił, całkowicie ją zaskoczył. Stłumiła krzyk. Co by to dało. Siarkowa atmosfera Io była zbyt rzadka, by przenosić dźwięki. Potwór nie mógł jej usłyszeć. Choć nowa Bobbie pogodziła się z ideą śmierci na polu bitwy, zostało w niej dość starej Bobbie, by nie pozwolić sobie na śmierć z płaczem jak dziecko.

Stwór nachylił się, by się jej przyjrzeć, a jego przesadnie wielkie i dziwnie dziecięce oczy świeciły błękitem. Rany

zadane przez jej działko były bardzo poważne, ale stwór wydawał się nie zwracać na nie uwagi. Długim palcem postukał w pancerz na piersi, a potem zwymiotował na nią porcję gęstej brązowej mazi.

– Ohyda – krzyknęła na niego. Gdyby jej skafander był otwarty, kontakt z protomolekularnym paskudztwem byłby w tej chwili najmniejszym z jej problemów. Mimo wszystko, jak miała się pozbyć tego paskudztwa?

Stwór przechylił głowę i przyjrzał się jej z zaciekawieniem. Znowu stuknął pancerz, wciskając palec w szczeliny w próbie dotarcia do skóry. Widziała, jak jedna z tych istot rozrywa dziewięcotonowego mecha bojowego, więc jeśli chciała się dostać do jej skafandra, nic jej nie powstrzyma. A jednak z jakiegoś powodu wydawało się, że nie chce jej uszkodzić. Po chwili z tułowia na wysokości brzucha wystrzeliła długa, elastyczna rurka i zaczęła obmacywać jej pancerz zamiast palca. Z nowego narządu ciągłym strumieniem wyciekała brązowa maź.

Kontrolka stanu jej działka przełączyła się z czerwonej na zieloną. Rozkręciła lufy, żeby je sprawdzić i zaczęły wirować. Oczywiście, gdy przyszło do ruchu, skafander wciąż wyświetlał komunikat o czekaniu. Może jeśli potwór się znudzi i przejdzie pod lufy jej działka, zdoła puścić w niego serię.

Rurka coraz gwałtowniej obmacywała jej skafander, wciskając się w szczeliny i co jakiś czas wstrzykując w nie brązową maź. Było to równie obrzydliwe, jak przerażające. Przypominało groźby w wykonaniu seryjnego mordercy, który równocześnie dobierał się do jej ubrania jak napalony nastolatek.

– Och, *do diabła* z tym – powiedziała w końcu.

Miała już dość pozwalania, by to coś obmacywało ją, gdy leży bezradnie na plecach. Ramię skafandra były ciężkie, a siłowniki, które pracując, zwiększały jej siłę, teraz utrudniały ruch i opierały mu się. Podniesienie ręki przypominało dźwiganie ciężarów w ołowianej rękawicy. Mimo wszystko napała, aż poczuła, że coś strzela. Mógł to być skafander, mogła to być jej ręka. Nie potrafiła stwierdzić, bo była zbyt nabuzowana, by poczuć ból.

Jednak po strzeleniu jej ręka uniosła się, a ona przystawiła pięść do głowy stwora.

– Żegnaj – powiedziała.

Stwór z zaciekawieniem popatrzył na jej głowę. Spust trzymała wciśnięty, aż wskaźnik ilości amunicji wskazał zero i lufy przestały się kręcić. Potwór przestał istnieć od ramion w górę. Wyczerpana opuściła rękę na ziemię.

PRZEKIEROWANIE UDANE, powiedział skafander. PONOWNE URUCEIAMIANIE. Gdy powrócił cichy szum motorów, zaczęła się śmiać i odkryta, że nie potrafi przestać. Zepchnęła z siebie trupa potwora i usiadła.

– Bardzo dobrze. Do statku jest naprawdę kawał drogi.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Praks

Praks biegł.

Ściany stacji wokół niego układały się pod kątemi, które tworzyły wydłużony sześciokąt. Ciężenie było minimalnie większe od standardowego na Ganimedese i po tygodniach przy locie z przyśpieszeniem ziemskim Praks musiał uważać, by nie wybijać się pod sufit przy każdym kroku. Amos pędził obok niego, każdy krok niski, długi i szybki. Strzelba w jego rękach cały czas pozostawała w poziomie.

Na skrzyżowaniu przed nimi pojawiła się kobieta. Ciemne włosy i skóra. Nie ta, która zabrała Mei. Widząc ich, szeroko otworzyła oczy i uskokzyła za róg.

– Wiedzą, że nadchodzimy – rzekł Praks. Trochę dyszał.

– To chyba nie była ich pierwsza wskazówka, doktorcu – odpowiedział Amos. Mówił całkowicie spokojnym tonem, ale ze słów przebijały emocje. Coś przypominającego gniew.

Zatrzymali się przed skrzyżowaniem, a Praks schylił się i oparł łokcie na kolanach, żeby złapać oddech. To był stary, bardzo głęboko zakorzeniony odruch. Przy ciężeniu wynoszącym poniżej jednej piątej ziemskiego umieszczenie głowy na wysokości serca nie zwiększało w istotny sposób ukrwienia. Właściwie lepiej byłoby, gdyby

stanął prosto, dzięki czemu nie zwiężałyby się żadne naczynia krwionośne. Zmusił się do wstania.

– Gdzie mam podłączyć ten przekaźnik radiowy dla Naomi? – zapytał Amosa.

Mechanik wzruszył ramionami i wskazał ścianę.

– Może po prostu zamiast tego pójdziemy zgodnie ze znakami.

Na ścianie umieszczono tablicę z kolorowymi strzałkami wskazującymi w różne strony: KONTROLA ŚRODOWISKA, KAFETERIA i GŁÓWNE LABORATORIUM. Amos stuknął lufą strzelby w GŁÓWNE LABORATORIUM.

– Wygląda nieźle – zgodził się Praks.

– Możesz Iść?

– Mogę – potwierdził Praks, choć nie do końca było to prawdą.

Podłoga przesunęła mu się pod nogami, a zaraz potem dobiegł go długi, złowrogi grzmot wyczuwany podeszwami stóp.

– Jesteś tam, Naomi?

– Jestem. Muszę śledzić kapitana na drugiej linii. Mogę się chwilami rozłączać. Wszystko w porządku?

– To mogłoby być lekkie niedopowiedzenie – przyznał Amos. – Coś zadudniło, jakby ktoś do nas strzelał. Nie strzelają do bazy, co?

– Nie strzelają – potwierdziła Naomi głosem zniekształconym nieco przez przytłumiony sygnał. – Wygląda na to, że miejscowi szykują się do obrony, ale jak na razie Marsjanie nie odpowiadają ogniem.

– Powiedz Im, żeby dali z tym spokój – rzucił Amos, ale ruszył już korytarzem w stronę głównego laboratorium. Praks skoczył za nim, źle wymierzył i uderzył ręką w sufit.

– Jak tylko spytają mnie o zdanie – odpowiedziała Naomi.

Korytarze tworzyły labirynt, ale Praks przez całe życie poruszał się w podobnych labiryntach. Instytucjonalna logika placówki badawczej była wszędzie taka sama. Rozkłady pomieszczeń były różne, wielkość budżetu mogła wpłynąć na bogactwo szczegółów, a dziedzina badań decydowała o ustawionym sprzęcie badawczym, ale dusza miejsca była niezmienna i Praks prawie mógłby być w domu.

Jeszcze dwa razy zobaczyli w korytarzach uciekających przed nimi ludzi. Pierwszą była młoda Pasiarka w białym fartuchu laboratoryjnym, a drugim niezwykle otyły, ciemnoskóry mężczyzna o przysadzistej budowie Ziemanina. Miał na sobie nienaganny garnitur, wszędzie będący oznaką przynależności do klasy administratorów. Żadne z nich nie próbowało ich zatrzymać, więc Praks zapomniał o nich niemal natychmiast po tym, jak znikali w korytarzu. Centrum obrazowania mieściło się za zestawem grodzi podciśnieniowych. Gdy Praks i Amos wchodzili do środka, podmuch powietrza zdawał się ich popychać, skłaniając do szybszego wchodzenia. Znowu rozległ się huk, tym razem dłuższy, trwał prawie piętnaście sekund. Dźwięk mógł być objawem walki albo tworzenia się w pobliżu wulkanu. Nie było sposobu na sprawdzenie. Praks wiedział, że baza musiała zostać zbudowana z uwzględnieniem niestabilności tektonicznej i przez chwilę zastanawiał się nad możliwymi zabezpieczeniami, ale szybko z tego zrezygnował. I tak nie mógł nic z tym zrobić.

Laboratoryjny sprzęt do obrazowania był przynajmniej tak dobry, jak w jego laboratorium na Ganimesie, i

obejmował wszystko, od pełnych ekranów rezonansowych do różnicowej soczewki grawitacyjnej. Stojący w kącie masywny stół wyświetlał holograficzny obraz kolonii szybko dzielących się komórek. Oprócz drzwi, którymi weszli, z pomieszczenia prowadziły jeszcze dwa wyjścia. Gdzieś niedaleko krzyczeli na siebie ludzie.

Praks wskazał jedno z drzwi.

– Te – powiedział. – Spójrz na zawiasy, mogą przepuszczać nosze na kółkach.

Korytarz po drugiej stronie był cieplejszy, a powietrze zawierało więcej wilgoci. Nie był to poziom szklarni, ale blisko. Wychodził na długą galerię z sufitem na wysokości pięciu metrów. Szyny zamontowane na suficie i podłodze pozwalały na transportowanie ciężkiego sprzętu i hermetycznych klatek. Pod ścianami wydzielono przestrzenie robocze ze stanowiskami niewiele różniącymi się od używanych przez Praksa na studiach doktoranckich: inteligentny stół, wyświetlacz ścienny, szafka i klatki na okazy. Krzyżące głosy zrobiły się głośniejsze. Właśnie miał zwrócić na to uwagę, ale Amos pokręcił głową i wskazał w głąb galerii, w stronę jednego z dalszych stanowisk. Dobiegał stamtąd męski głos, wysoki, napięty i pełen złości.

– ...nie ewakuacja, jeśli nie ma gdzie się ewakuować – mówił. – Nie oddam jedyne go argumentu przetargowego, jaki mi jeszcze został.

– Nie masz tej opcji – odpowiedziała kobieta. – Odłóż broń i porozmawiajmy. Opiekowałam się tobą przez siedem lat i utrzymam cię w interesie kolejne siedem, ale nie możesz...

– Oszalałaś? Myślisz, że po tym będzie jakieś jutro?

Amos wskazał do przodu strzelbą i zaczął powoli, ostrożnie iść w stronę głosów. Praks ruszył za nim, starając się być cicho. Minęło wiele miesięcy, od kiedy ostatni raz słyszał głos doktora Stricklanda, ale krzyczący mężczyzna mógł być nim. Niewykluczone.

– Nie łudźmy się – powiedział mężczyzna. – Nie mamy niczego. Nic. Na negocjacje można mieć nadzieję tylko, jeśli ma się jakąś kartę do zagrania. To znaczy *je*. Jak myślisz, czemu one w ogóle żyją!

– Carlos – odezwała się kobieta, gdy Praks podszedł do brzegu wnęki roboczej. – Możemy o tym porozmawiać później. W tej chwili mamy w bazie wrogie siły i jeśli wciąż tu będziesz, gdy przejdą przez ten właz...

– Właśnie – przerwał jej Amos – co się wtedy stanie?

Wnęka była taka sama, jak pozostałe. Strickland – niewątpliwie to on – stał obok szarej metalowej skrzyni transportowej, która sięgała mu do biodra. W klatkach na okazy leżało bez ruchu kilkoro dzieci, śpiących albo znieczulonych. Strickland trzymał w ręku pistolet, celując z niego do kobiety z nagraniem. Miała na sobie surowo wyglądający mundur w rodzaju tych, w jakie siły bezpieczeństwa ubierały swoich ludzi, by nadać im groźny wygląd. U niej się to sprawdzało.

– Przeszliśmy przez drugi właz – wyjaśnił Praks, wskazując do tyłu, za ramię.

– Tata?

Dwie, ciche sylaby, które zabrzmiały ze skrzyni transportowej głośniejsz niż całe tygodnie wybuchów, pocisków z dział Gaussa oraz wrzasków rannych i umierających. Praks nie potrafił odetchnąć, nie potrafił

się ruszyć. Chciał im powiedzieć, żeby odłożyli broń, żeby uważali. Tam jest dziecko. Jego dziecko.

Pistolet Stricklanda szczeknął i jakiś wybuchowy pocisk rozerwał szyję i twarz kobiety w rozbryzgu tkanki i krwi. Próbowwała krzyknąć, ale nie mając sporej części gardła, zdołała tylko sapnąć chrapliwie. Amos uniósł strzelbę, ale Strickland – Merrian, czy jak się tam naprawdę nazywał – przystawił pistolet do skrzynki i wydało się, że odetchnął z ulgą. Kobieta stoczyła się na podłogę z krwią i strzępami ciała opadającymi powoli na wszystkie strony jak obrus z czerwonej koronki.

– Dzięki Bogu, że przyszedliście – powiedział lekarz. – Och, Bogu dzięki. Robiłem, co mogłem, żeby ją opóźnić. Doktorze Meng, nie mogę sobie nawet wyobrazić, jakie to było dla pana trudne. Tak bardzo, *bardzo* mi przykro.

Praks zrobił krok do przodu. Kobieta jeszcze raz odetchnęła chrapliwie, teraz już wskutek losowych impulsów układu nerwowego. Strickland uśmiechnął się do niego tym samym ciepłym uśmiechem, który widział podczas niezliczonych wizyt u lekarza w poprzednich latach. Praks znalazł panel sterowania skrzyni i klęknął, by ją otworzyć. Boczna ścianka kliknęła, gdy magnetyczne zamki puściły. Panel zwinął się do góry, znikając w ramie skrzyni.

Przez jedną krótką, straszną chwilę zobaczył niewłaściwą dziewczynkę. Miała bujne, czarne włosy i jasnobrązową skórę. Mogła być starszą siostrą Mei. A potem dziecko się poruszyło. Ruch nie był większy niż obrót głowy, ale to wystarczyło, by jego mózg zobaczył w starszym ciele jego córeczkę. Przez te wszystkie miesiące na Ganimesie, tygodnie lotu na Tycho i z powrotem,

urośla bez niego.

– Jest taka duża – powiedział. – Tak bardzo urosła.

Mei zmarszczyła czoło, a nad jej brwiami pojawiły się drobne kreseczki. Wyglądała z tym jak Nicola. A potem otworzyła oczy. Były czarne i puste. Praks szarpnął blokadę hełmu i zdjął go. Stacja pachniała nieznacznie siarką i miedzią.

Spojrzenie Mei skupiło się na nim i dziewczynka się uśmiechnęła.

– Tata – powiedziała znowu i wyciągnęła rączkę.

Kiedy do niej sięgnął, chwyciła mu palec i podciągnęła się w jego objęcia. Przycisnął ją do piersi. Ciepło i masa jej małego ciała – już nie drobnego, tylko małego – były przenikliwe. W tej chwili pustka między gwiazdami była mniejsza od Mei.

– Jest na lekach uspokajających – powiedział Strickland – Ale w doskonałym stanie zdrowia. Jej układ odpornościowy jest w szczytowej formie.

– Moje dziecko – powiedział Praks. – Moja cudowna dziewczynka.

Mei miała zamknięte oczy, ale uśmiechnęła się i wydała cichy, prawie zwierzęcy dźwięk świadczący o zadowoleniu.

– Nie potrafię wypowiedzieć, jak mi przykro z powodu tego, co zaszło – mówił dalej Strickland. – Gdybym tylko miał jakiś sposób na skontaktowanie się z panem i wyjaśnienie, co się dzieje, przysięgam, że bym to zrobił. To było gorsze niż koszmar.

– Twierdzi pan, że był tu więźniem? – zapytał Amos.

– Prawie cały personel techniczny był tu wbrew swojej woli – potwierdził Strickland. – Kiedy podpisywaliśmy

kontrakty, obiecywano nam zasoby i wolność na poziomie, o jakim większość z nas nie mogła nawet marzyć. Kiedy zaczynałem, sądziłem, że będę mógł zrobić prawdziwą różnicę. Bardzo, bardzo się myliłem i nigdy nie będę mógł dostatecznie za to przeprosić.

Krew Praksa śpiewała. Z wnętrza jego ciała promieniowało ciepło, rozchodząc się na ręce i nogi. Czuł się jakby podano mu najdoskonalszy lek euforyczny w dziejach farmacji. Jej włosy pachniały tanim szamponem laboratoryjnym, którego w młodości używał do mycia psów laboratoryjnych. Wstał za szybko, a jej masa w połączeniu z impetem uniosły go na kilka centymetrów od ziemi. Miał śliskie kolana i stopy i potrzebował chwili na zrozumienie, że klęczał w kałuży krwi.

– Co się stało z tymi dziećmi? Inne są gdzieś tutaj? – zapytał Amos. – To jedyne, które zdołałem uratować. Zostały już uszpionowane do ewakuacji – wyjaśnił Strickland. – Ale w tej chwili musimy uciekać. Wydostać się ze stacji. Muszę się dostać do władz.

– A czemu tak panu na tym zależy? – zaciekawiał się Amos.

– Muszę im powiedzieć, co się tu działo – stwierdził Strickland. – Muszę wszystkim powiedzieć o popełnionych tu przestępstwach.

– Jasne – zgodził się Amos. – Hej, Praks? Myślisz, że mógłbyś to ogarnąć? – Wskazał strzelbą na coś leżącego na pobliskiej skrzyni.

Praks obrócił się, by popatrzeć na Amosa. Miał problem z przypomnieniem sobie, gdzie jest i co tu robili.

– Och – odpowiedział. – Jasne.

Trzymając Mei przy sobie jedną ręką, wziął pistolet

Stricklanda i wymierzył nim w niego.

– Nie – powiedział Strickland. – Pan nie... nie rozumie. Jestem tu ofiarą, musiałem robić to wszystko. Zmuszali mnie. Ona mnie zmuszała.

– Wiesz – odezwał się Amos – może pochodzę z czegoś, co facet taki jak ty mógłby nazwać klasą robotniczą, ale to nie znaczy, że jestem głupi. Jesteś jednym z socjopatów Protogenu, a ja nie kupuję nic z tego, co próbujesz mi wcisnąć.

W jednej chwili na twarzy Stricklanda odmalowała się zimna furia, jakby spadła z niej maska.

– Protogen został zniszczony – powiedział. – Nie ma żadnego Protogenu.

– Racja – zgodził się Amos. – Pomyliłem nazwę firmy. W tym problem.

Mei powiedziała coś cicho i sięgnęła ręką za ucho Praksa, chwytając go za włosy. Strickland cofnął się o krok, zaciskając dłonie w pięści.

– Uratowałem ją – oświadczył. – Ta dziewczynka żyje dzięki mnie. Przeznaczili ją na jednostki drugiej generacji, a ja ściągnąłem ją z projektu. Jak wszystkie te dzieci. Gdyby nie ja, wszystkie one byłyby teraz gorzej niż martwe. Gorzej niż martwe.

– To przez transmisję, prawda? – zapytał Praks. – Zrozumiałeś, że możemy się dowiedzieć, więc postanowiłeś zatrzymać dziewczynkę z ekranu. Tę, której wszyscy szukali.

– Wolałbyś, żebym tego nie zrobił? – zapytał Strickland. – I tak to ja ją uratowałem.

– Właściwie sędzę, że zrobił to kapitan Holden – odparł Praks. – Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć.

Pistolet Stricklanda miał prosty przełącznik z tyłu. Nacisnął go, żeby włączyć bezpiecznik.

– Straciłem dom – powiedział cicho Praks. – Straciłem pracę. Większość znanych mi ludzi nie żyje albo rozproszyła się po całym układzie. Rząd Ziemi twierdzi, że znęcam się nad kobietami i dziećmi. W ciągu ostatniego miesiąca dostałem ponad osiemdziesiąt bardzo jednoznacznych gróźb śmierci od zupełnie obcych osób. Ale wie pan co? Nie obchodzi mnie to.

Strickland oblizwał wargi, przenosząc spojrzenie z Praksa na Amosa i z powrotem.

– Nie muszę pana zabijać – powiedział Praks. – Odzyskałem córkę. Zemsta nie jest dla mnie ważna.

Strickland głęboko wciągnął powietrze i powoli je wypuścił. Praks zobaczył, że jego ciało się rozluźnia, a w kącikach ust pojawia się coś na granicy między ulgą a przyjemnością. Mei drgnęła przy wystrzale broni Amosa, ale została oparta na ramieniu Praksa, nie płacząc ani się nie oglądając. Ciało Stricklanda opadło powoli ku ziemi z rękami rozrzuconymi na boki. Miejsce, w którym znajdowała się głowa, tryskało jaskrawą krwią na ściany, ale każdy kolejny impuls był słabszy od poprzedniego.

Amos wzruszył ramionami.

– Albo jednak jest – dopowiedział Praks.

– To masz jakiś pomysł, jak...

Otworzył się właz za nimi i do środka wbiegł mężczyzna.

– Co się stało? Słyszałem...

Amos uniósł automatyczną strzelbę. Mężczyzna wycofał się z cichym jękiem strachu. Amos odchrząknął.

– Masz jakiś pomysł, jak zabierzemy stąd te dzieciaki?

* * *

Umieszczenie Mei z powrotem w wózku transportowym było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie Praks kiedykolwiek zrobił. Chciał ją nieść przytuloną, z twarzą przyciśniętą do swojej twarzy. To była pierwotna reakcja, sięgająca korzeni naczelnych, najgłębszych części mózgu pragnących fizycznego kontaktu, ale jego skafander nie ochroniłby jej przed promieniowaniem ani prawie próżnią siarkowej atmosfery Io, a skrzynia transportowa tak. Ułożył ją delikatnie przy dwóch innych dzieciach, a Amos złożył czwarte w drugim wózku. Najmniejsze z nich wciąż miało na sobie pieluchy noworodka. Praks zastanawiał się, czy ono też zostało sprowadzone z Ganimedesa. Wózki sunęły gładko po podłodze stacji, podskakując tylko nieznacznie, gdy przechodzili nad wbudowanymi w podłogę szynami.

– Pamiętasz, jak wrócić na powierzchnię? – zapytał Amos.

– Tak sędzę – powiedział Praks.

– ... doktorku? Naprawdę powinieneś z powrotem założyć hełm.

– Och! Jasne. Dziękuję.

Na pierwszym skrzyżowaniu, które znaleźli po wejściu do stacji, kilkoro ludzi w mundurach ochrony zbudowało barykadę, szykując się do obrony laboratorium przed atakiem. Ponieważ Amos rzucił granaty od tyłu, osłona była znacznie mniej skuteczna, niż przewidywali, jednak i tak potrzeba było kilku minut na odsunięcie ciał i rozebranie pozostałości barykady na tyle, by przeprowadzić przez nią wózki.

Praks wiedział, że były takie czasy, gdy taka przemoc by

go niepokoiła. Nie krew ani ciała, spędził dość czasu na preparowaniu ciała, a nawet na wiwisekcji autonomicznej kończyny, by umieć oddzielić to, co widzi, od jakiegoś poczucia przerażenia. Kiedyś poruszyłby go fakt, że był to czyn wykonany w gniewie, że ci zabici ludzie, kobiety i mężczyźni, nie oddali swoich ciał lub tkanek z własnej woli. Wszechświat mu to odebrał i teraz nie potrafiłby nawet powiedzieć, kiedy to się stało. Jakaś jego część zdrętwiała i może pozostanie taka już na zawsze. Wiązało się z tym poczucie straty, ale wyłącznie intelektualne. Jedyne odczuwane teraz przez niego emocje to wszechpotężna ulga, że Mei żyje, oraz drapieżne zwierzęce pragnienie chronienia jej, co znaczyło, że nigdy więcej nie spuści z niej wzroku, możliwe, że do czasu, aż pójdzie na studia.

Na powierzchni transport był trudniejszy, małe kółka wózków nie bardzo radziły sobie z nierówną powierzchnią gruntu. Praks poszedł za przykładem Amosa i zaczął ciągnąć wózek, zamiast go pchać. Gdy zastanowić się nad wektorami sił, miało to sens, ale nie pomyślałby o tym, gdyby nie zobaczył, jak robi to Amos.

Bobbie szła powoli w stronę *Rosynanta*. Jej skafander był osmalony, poplamiony i poruszał się ociężale. Z tyłu wyciekał jasny płyn.

– Nie podchodźcie blisko – powiedziała. – Jestem cała spryskana rzygami protomolekuły.

– To fatalnie – skomentował Amos. – Masz jakiś sposób na wyczyszczenie tego?

– Nie bardzo – przyznała. – Jak się udała akcja?

– Mamy dość dzieciaków na mały chórek, ale nie starczy na drużynę piłkarską – odpowiedział Amos.

– Jest tu Mei – dodał Praks. – Nic jej nie jest.

– Cieszę się – skomentowała Bobbie i choć wyraźnie była wyczerpana, jej słowa brzmiały szczerze.

Po dotarciu do statku Amos i Praks weszli do środka, ustawiając skrzynie transportowe pod tylną ścianą, a Bobbie została na nierównym gruncie na zewnątrz. Praks sprawdził wskazania transporterów. Miały powietrza na jeszcze około czterdzieści minut.

– Dobra – rzucił Amos. – Jesteśmy gotowi.

– Zrobię wysadzenie awaryjne – powiedziała Bobbie i jej opancerzony skafander rozpadł się na części.

Widok był dziwny: twarde krzywizny i warstwy pancerza bojowego rozsunęły się jak płatki rozkwitającego kwiatu, a potem odpadły, odsłaniając kobietę z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami. Gdy wyciągnęła rękę do Amosa, żeby ją wciągnął, Praksowi przypomniał się gest Mei na jego widok.

– Teraz, doktorku – rzucił Amos.

– Włączam. – Zamknął zewnętrzne drzwi śluzy i aktywował wpuszczanie powietrza do pomieszczenia.

Dziesięć sekund później klatka piersiowa Bobbie zaczęła pompować powietrze jak miechy. Po trzydziestu sekundach mieli już siedem ósmych atmosfery.

– Na czym stoimy, chłopaki? – zapytała Naomi, gdy Praks otworzył transporter.

Wszystkie dzieci spały. Mei ssła kciuk, jak miała to w zwyczaju, gdy była niemowlęciem. Nie potrafił otrząsnąć się z tego, że wyglądała na tyle większą.

– Wszystko załatwione – odpowiedział Amos. – Zbierajmy się stąd w cholere i zrzućmy tu parę atomówek.

– Amen, kurwa – zabrzmiał w tle głos Avasarali.

– Potwierdzam – odpowiedziała Naomi. – Przygotowujemy się do startu. Dajcie znać, gdy zabezpieczycie wszystkich nowych pasażerów.

Praks zdjął hełm i usiadł obok Bobbie. W czarnej powłoce spodniej odzieży wyglądała, jakby właśnie wróciła z siłowni. Mogła być kimkolwiek.

– Cieszę się, że odzyskałeś córkę – powiedziała.

– Dziękuję. Bardzo mi przykro, że straciłaś pancerz.

Wzruszyła ramionami.

– Na tym etapie i tak był już głównie metaforą – odpowiedziała, a chwilę później otworzyły się wewnętrzne drzwi śluzy.

– Koniec cyklu, Naomi – zgłosił Amos. – Jesteśmy w domu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Avasarala

Byto po wszystkim... tylko że nie. Nigdy nie było.

– Teraz jesteśmy przyjaciółmi – powiedział Souther. Rozmowa z nim na żywo, bez opóźnień, była luksusem, którego będzie jej brakować. – Ale jeśli wszyscy pokażemy z powrotem do swoich narożników, to jest większa szansa, że tak zostanie. Miną chyba całe lata, zanim obie nasze floty wrócą do stanu z przeszłości. Nie obeszło się bez sporych strat.

– Dzieci?

– Zajmujemy się nimi. Mój główny lekarz ma całą listę specjalistów zajmujących się pediatrycznymi problemami immunologicznymi. Teraz trzeba jeszcze znaleźć ich rodziców i wszystkie dowieźć do domów.

– Dobrze – skomentowała. – To właśnie chciałam usłyszeć. A ta druga sprawa?

Souther kiwnął głową. W niskim ciężeniu wyglądał młodziej. Zresztą dotyczyło to obojga. Skóra nie obwisała, gdy nic jej nie ciągnęło w dół, i dostrzegła, jak wyglądał jako chłopiec.

– Mamy namiary transponderów na sto siedemdziesiąt jeden przesyłek. Wszystkie szybko lecą w stronę Słońca, ale nie przyśpieszają ani nie robią uników. W tej chwili po prostu czekamy, aż znajdą się bliżej Marsa, gdzie ich

zniszczenie będzie banalnie proste.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

– Przez „bliżej” mam na myśli kilka tygodni lotu przy obecnej prędkości. Kosmos jest wielki.

Na chwilę zapadła cisza znacząca coś więcej niż odległość.

– Wolałbym, żebyś wracała na jednym z naszych – powiedział Souther.

– I na całe tygodnie utonęła w papierkowej robocie? Nie ma mowy. Zresztą powrót z Jamesem Holdenem, sierżant Robertą Draper i Mei Meng? To ma w sobie coś bardzo symbolicznego. Prasa to pokocha. Ziemia, Mars, Planety Zewnętrzne i czymkolwiek teraz jest Holden.

– Celebrytą – zasugerował Souther. – To osobna nacja.

– W sumie nie jest taki zły, gdy przebić się przez tę jego prawość. Zresztą jestem już na tym statku, a on nie musi czekać na żadne naprawy, zanim wyruszy w drogę. A ja już go wynajęłam. Chwilowo nikt nie będzie mi zawracał głowy rozliczaniem budżetu.

– W porządku – poddał się Souther. – W takim razie do zobaczenia w studni.

– Do zobaczenia – odpowiedziała i rozłączyła się.

Podciągnęła się i poleciała ostrożnie przez mostek. Wcale nie było łatwo pchnąć się w dół drabiny załogowej tak, jak wyobrażała sobie w dzieciństwie. Choć wizja była kusząca. W praktyce wiedziała jednak, że odepchnie się za mocno i w coś uderzy, albo za słabo i opór powietrza zatrzyma ją poza zasięgiem czegoś, co mogłaby złapać. Użyła uchwytów i pociągnęła się powoli w stronę kambuza. Grodzie ciśnieniowe otwierały się przed nią i zamykały po jej przelocie z cichym sykiem hydrauliki i

metalicznym dudnieniem. Kiedy dotarła na pokład załogowy, usłyszała głosy, zanim zdołała rozpoznać słowa, a te rozpoznała, zanim zobaczyła ludzi.

– ...trzeba je zamknąć – mówił Praks. – No wiecie, teraz to wszystko już nie ma sensu. Nie sądzicie, że można mnie pozwać, prawda?

– Pozwać zawsze można – odpowiedział Holden. – Choć jest mała szansa, by wygrali.

– Ale ja nie chcę być skarżony. Musimy je zamknąć.

– Zamieściłem komunikat na stronie z informacjami o bieżącej sytuacji i prośbą o potwierdzenie, zanim zostaną przesłane jakieś dodatkowe pieniądze.

Wciągnęła się do kambuza. Praks i Holden unosili się koło ekspresu do kawy. Praks miał nieco oszołomiony wyraz twarzy, za to Holden emanował zadowoleniem. Obaj trzymali bańki z kawą, ale Praks wyglądał, jakby zapomniał o swojej. Botanik miał szeroko otwarte oczy, a jego szczęka zwisała pod otwartymi ustami nawet w nieważkości.

– Kto jest pozywany? – zapytała Avasarala.

– Teraz, gdy mamy Mei – odpowiedział Holden – Praks chce, żeby ludzie przestali mu przesyłać pieniądze.

– To za dużo – dodał botanik, patrząc na nią jakby oczekiwał, że coś z tym zrobi. – To znaczy...

– Nadmiarowe fundusze? – zapytała Avasarala.

– *Niezupełnie* może przejść na emeryturę z tym, co ma – wyjaśnił Holden. – W każdym razie nie luksusową.

– Ale to twoje – powiedział Praks, zwracając się do Holdena prawie z nadzieją. – To ty założyłeś konto.

– I pobrałem już z niego wynagrodzenie dla *Rosynanta*. Wierz mi, hojnie nas opłaciłeś – powiedział Holden, dłonią

wykonując gest odmowy. – Cała reszta należy do ciebie. To znaczy, do ciebie i Mei.

Avasarala zmarszczyła brwi. To nieco zmieniało jej plany. Sądziła, że to będzie dobra chwila na związanie Praksa kontraktem, ale Jim Holden znowu wkroczył w ostatniej chwili i wszystko zepsuł.

– Gratuluję – powiedziała zamiast tego. – Czy któryś z was widział Bobbie? Muszę z nią porozmawiać.

– Widziałem, jak leciała do warsztatu.

– Dzięki – rzuciła Avasarala i zaczęła się przeciągać w tamtą stronę.

Skoro Praksidike Meng stał się niezależnie bogaty, była mniejsza szansa, że przyjmie propozycję pracy polegającą na odbudowie Ganimesesa – z przyczyn czysto finansowych. Choć pewnie mogłaby do niego uderzyć od strony obywatelskiej dumy. Wraz z córką byli twarzami tamtejszej tragedii i obsadzenie go na czele znaczyłoby dla ludzi więcej, niż wszystkie fakty i liczby prezentujące, jak duże będą mieli problemy bez przywrócenia produkcji żywności. Mógł być człowiekiem, którego przekona taka perspektywa. Musiała się nad tym zastanowić.

Znowu poruszała się na tyle powoli i ostrożnie, że głosy usłyszała, zanim dotarła do samego warsztatu. Bobbie i Amos, oboje się śmiali. Nie chciała wierzyć, że trafia na jakąś intymną chwilę, ale ich śmiech miał w sobie coś kojarzącego się z walką na łaskotanie. A potem Mei krzyknęła radośnie i Avasarala zrozumiała.

Warsztat był ostatnim miejscem na statku – może z wyjątkiem maszynowni – które Avasarala uznałaby za odpowiednie do zabawy z małą dziewczynką, a jednak zastała ją tam, wymachującą w powietrzu rękami i

nogami. Jej sięgające ramion czarne włosy unosiły się wokół głowy w wirze, podążając za łagodnymi obrotami ciała. Twarz małej promieniowała radością. Bobbie i Amos stali po przeciwnych stronach warsztatu i na oczach Avasarali Bobbie złapała z powietrza małą dziewczynkę, a potem pchnęła ją z powrotem do Amosa. Avasarala pomyślała, że dziewczynka niedługo zacznie tracić mlecze zęby, i zaczęła się zastanawiać, ile z tego wszystkiego Mei będzie pamiętać, gdy dorośnie.

– Zwariowaliście? – odezwała się, gdy Amos złapał dziewczynkę. – To nie miejsce do zabaw.

– Cześć – rzucił Amos. – Nie zamierzaliśmy zostawać tu długo. Kapitan i doktorek potrzebowali chwili spokoju, więc pomyślałem, że zabiorę malucha na dół. Pokażę jej statek.

– Kiedy wysyłają cię, żebyś się pobawił z dzieckiem, to nie znaczy, że jest piep... że jest piłką – powiedziała Avasarala, lecąc w jego stronę. – Daj mi ją. Żadne z was nie ma pojęcia, jak zająć się małą dziewczynką. Zdumiewające, że oboje dożyliście dorosłości.

– Nie ma w tym nic złego – stwierdził pojednawczo Amos, kierując w jej stronę dziewczynkę.

– Chodź do nany – powiedziała Avasarala.

– Co to nana? – zapytała Mei.

– Ja jestem nana – wyjaśniła Avasarala, przyciągając małą. Jej ciało pragnęło umieścić dziewczynkę na biodrze i poczuć na sobie jej ciężar. Trzymanie dziecka w nieważkości było dziwnym uczuciem. Miłym, ale dziwnym. Mei pachniała woskiem i wanilią. – Ile jeszcze, zanim będziemy mieć jakiś ciąg? Czuję się jak piep... jak jakiś balon.

– Zabierzemy się stąd, jak tylko Aleks z Naomi skończą konserwację komputerów napędu – wyjaśnił Amos.

– Gdzie jest tatuś? – zapytała Mei.

– Bardzo dobrze – skomentowała Avasarala. – Mamy harmonogram, którego musimy się trzymać, i nie zamierzam wam płacić za lekcje latania. Twój tatuś rozmawia z kapitanem, Mei- Mei.

– Gdzie? – zażądała dziewczynka. – Gdzie jest? Chcę do taty!

– Zabiorę cię do niego, mała – zaoferował Amos, wyciągając potężną dłoń. Chwilę później przeniósł wzrok na Avasaralę. – Może się bawić przez jakieś pięć minut, a potem zaraz „gdzie jest tatuś?”.

– Bardzo dobrze – stwierdziła Avasarala. – Zaslugują na siebie.

– Jasne – zgodził się mechanik.

Przyciągnął dziewczynkę blisko swojego środka ciężkości i pchnął się w stronę kambuza. On nie musiał używać uchwytów. Avasarala patrzyła, jak odlatuje, a potem odwróciła się do Bobbie.

Marinę unosiła się w powietrzu z włosami unoszącymi się luźno wokół głowy. Jej twarz i ciało były bardziej rozluźnione, niż Avasarala kiedykolwiek u niej widziała. Powinna się wydawać pogodzona z życiem, ale przychodziło jej na myśl tylko porównanie z topielicą.

– Hej – odezwała się Bobbie. – Dostała pani jakąś odpowiedź od techników na Ziemi?

– Owszem – potwierdziła Avasarala. – Nastąpił kolejny skok mocy. Większy od poprzednich. Praks miał rację, są połączone, a co gorsza, nie mają żadnego opóźnienia czasowego. Wenus zareagowała, zanim mogła do niej

dotrzeć informacja o bitwie.

– Dobra – stwierdziła Bobbie. – To źle, prawda?

– To dziwne jak cycki na biskupie, ale kto wie, czy to cokolwiek znaczy? Mówią coś o sieciach splątanych spinowo, cokolwiek to, u diabła, znaczy. Najlepsza teoria, jaką na razie mamy, głosi, że to coś w rodzaju strzału adrenalinowego dla protomolekuły. Jakaś jej część bierze udział w przemocy, a reszta przechodzi w stan zwiększonej gotowości do czasu, aż minie zagrożenie.

– W takim razie czegoś się boi. Dobrze wiedzieć, że ma jakiś słaby punkt.

Przez chwilę obie milczały. Gdzieś daleko na statku coś głośno brzęknęło i Mei krzyknęła. Bobbie się spięła, ale Avasarala nie. Ciekawe było obserwowanie reakcji na Mei ludzi, którzy nie mieli wcześniej kontaktu z dziećmi. Nie potrafili rozróżnić radości od strachu. Avasarala stwierdziła, że na tym statku byli z Praksem jedynymi ekspertami od dziecięcego krzyku.

– Szukałam cię – powiedziała w końcu Avasarala.

– Jestem – odpowiedziała Bobbie, wzruszając ramionami.

– Czy to problem?

– Nie wiem. Czy co jest problemem?

– Że tu jesteś?

Spuściła wzrok, a jej twarz się zamknęła. Avasarala tego właśnie się spodziewała.

– Poleciałaś na dół umrzeć, tylko że wszechświat znowu się na ciebie wypiął. Wygrałaś. Żyjesz. Żaden z twoich problemów się nie rozwiązał.

– Niektóre tak – odpowiedziała Bobbie. – Ale nie wszystkie. Przynajmniej wygraliśmy pani grę.

Gwałtowny atak śmiechu Avasarali miał dość siły, by

wywołać jej obroty. Sięgnęła do ściany i zatrzymała się.

– W tej grze, w którą gram, nigdy się nie wygrywa. Po prostu jeszcze nie przegrałam. Errinwright – on przegrał. Soren. Nguyen. Usunęłam ich z planszy, a sama zostałam, ale teraz? Errinwright ekspresowo przejdzie na emeryturę, a mnie zaproponują jego miejsce.

– Chce pani tego?

– Nie ma znaczenia, czy tego chcę. Zaproponują mi ją, ponieważ jeśli pustogłowy tego nie zrobi, ludzie uznają, że mnie odsuwa. A ja ją przyjmę, bo jeśli tego nie zrobię, ludzie uznają, że nie jestem dość spragniona władzy, żeby się jeszcze bać. Będę odpowiadać bezpośrednio przed sekretarzem generalnym. Będę miała więcej władzy i spocznie na mnie większa odpowiedzialność. Więcej przyjaciół i wrogów. To cena gry.

– Wydaje się, że powinna być jakaś alternatywa.

– Owszem, jest. Mogłabym przejść na emeryturę.

– Czemu pani tego nie robi?

– Och, zrobię – zapewniła Avasarala. – W dniu, gdy mój syn wróci do domu. A co z tobą? Chcesz skończyć?

– Pyta pani, czy nadal planuję dać się zabić?

– Właśnie.

Przez chwilę panowała cisza. Co było dobrym znakiem. Sugerowało, że Bobbie zastanawia się nad odpowiedzią.

– Nie – odparta. – Nie sądzę. Śmierć w walce to jedno, mogę być z tego dumna, ale ucieczka tylko dla ucieczki? Tego nie mogę zrobić.

– Jesteś w ciekawym położeniu – zauważyła Avasarala. – Zastanów się, co z tym zrobić.

– A jakie to położenie? Ronina?

– Zdrajczyni swojego rządu i patriotyczna bohaterka.

Męczenniczka, która nie zginęła. Marsjanka, której najlepsza i jedyna przyjaciółka właśnie obejmie ster rządu Ziemi.

– Nie jest pani moją jedyną przyjaciółką – zaprotestowała Bobbie.

– Bzdura. Aleks i Amos się nie liczą, chcą ci się tylko wcisnąć między nogi.

– A pani nie?

Avasarala znowu się zaśmiała. Bobbie przynajmniej się uśmiechała, co było osiągnięciem od czasu jej powrotu. Jednak jej westchnięcie było głębokie i melancholijne.

– Wciąż czuję się nawiedzana – wyznała. – Myślałam, że to przejdzie. Sądziłam, że jeśli stawię mu czoła, to wszystko minie.

– To nie odchodzi. Nigdy. Ale z czasem robisz się w tym lepsza.

– W czym?

– W byciu nawiedzaną – wyjaśniła Avasarala. – Zastanów się nad tym, co chcesz robić. Pomyśl, kim chcesz się stać, a potem przyjdź do mnie, a ja tego dopilnuję, jeśli tylko będę mogła.

– Dlaczego? – zapytała Bobbie. – Poważnie, dlaczego? Jestem żołnierzem, wykonałam swoje zadanie. I owszem, było to trudniejsze i dziwniejsze niż cokolwiek, co wcześniej robiłam, ale je *wykonałam*. Zrobiłam to, bo trzeba to było zrobić. Nie jest mi pani nic winna.

Avasarala uniosła brew.

– Przysługi polityczne to mój sposób wyrażania uczuć – wyjaśniła.

– Dobra, ludzie. – Z interkomu zabrzmiał głos Aleksa. – Wszystko na chodzie, za trzydzieści sekund włączam

silnik, chyba że ktoś zaprotestuje. Przygotujcie się na odzyskanie wagi.

– Doceniam pani ofertę – odpowiedziała Bobbie. – Ale może upłynąć trochę czasu, zanim zdecyduję, czy chcę ją przyjąć.

– W takim razie co będziesz robić? To znaczy potem.

– Wrócę do domu – odpowiedziała. – Chcę się zobaczyć z rodziną. Z tatą. Chyba tam jakiś czas zostanę, spróbuję dojść do tego, kim jestem. Jak zacząć od nowa. Takie rzeczy.

– Drzwi zostaną otwarte, Bobbie. Kiedy tylko zechcesz, drzwi będą otwarte.

* * *

Lot powrotny na Lunę był okropnie uciążliwy. Avasarala spędzała siedem godzin dziennie w pryczy przeciążeniowej, wysyłając i odbierając wiadomości z różnym stopniem opóźnienia. Na Ziemi Sadavir Errinwright został po cichu pożegnany, jego kariera w ONZ została podsumowana skromną prywatną uroczystością, a potem udał się spędzić więcej czasu z rodziną, kurzą fermą czy cokolwiek zamierzał zrobić z dziesięciolecia, które zostały mu do śmierci. Cokolwiek będzie robił, nie zbliży się już do władzy politycznej.

Śledztwo w sprawie bazy Io wciąż trwało, a na Ziemi cicho spadały głowy. Ale nie na Marsie. Ktokolwiek w marsjańskim rządzie licytował przeciw Errinwrightowi, nie został ukarany. Przegrana w licytacji o najpotężniejszą broń biologiczną w historii ludzkości uratowała mu karierę. Polityka pełna była tego rodzaju ironii.

Avasarala zdalnie tworzyła swój nowy gabinet. Gdy w

końcu formalnie obejmie stanowisko, będzie pracować już od miesiąca. Przypominało to prowadzenie samochodu z tylnego siedzenia. Nienawidziła tego.

Na dodatek Mei Meng uznała ją za zabawną i spędzała część każdego dnia, domagając się wyłącznej uwagi. Nie miała czasu na zabawę z małą dziewczynką, tylko że... oczywiście, że miała. Więc to robiła. Na dodatek musiała ćwiczyć, żeby po powrocie do pełnego ciąży nie musieli jej umieszczać w domu opieki. Koktajl sterydów wywoływał uderzenia gorąca i utrudniał spanie. Obie jej wnuczki miały urodziny, w których mogła uczestniczyć tylko na ekranie: przy pierwszej miała dwadzieścia minut opóźnienia, przy drugiej cztery.

Kiedy minęli chmurę protomolekularnych potworów sunących w stronę Słońca, przez dwie kolejne noce miała koszmary, ale stopniowo ustąpiły. Każdy pocisk był śledzony przez dwa rządy, a małe pakiety śmierci Errinwrighta zachowywały się bardzo spokojnie, cicho i bez narzekań sunąc ku własnej śmierci.

Nie mogła się doczekać powrotu do domu.

Kiedy zadokowali na Lunie, poczuła się jak umierająca z głodu, której do ust przytknęli kawałek jabłka, ale nie pozwolono go ugryźć. Łagodny błękit i biel oświetlonej planety, czerń i złoto jej nocy. To był piękny świat. W Układzie Słonecznym nic się z nim nie równało. Miała tam swój ogród, biuro, swoje łóżko.

Ale nie Arjuna.

Czekał na nią na lądowisku w najlepszym garniturze z bukietem świeżych bzów w dłoni. On też w niskim ciąży wyglądał młodziej, nawet pomimo zaczerwienionych oczu. Idąc w jego stronę, czuła

ciekawość Holdena i jego załogi. Kim był człowiek, który potrafił wytrzymać małżeństwo z kimś tak twardym i wrednym jak Chrisjen Avasarala? Był jej władcą czy ofiarą? Jak to mogło działać?

– Witaj w domu – powiedział cicho Arjun, gdy utonęła w jego ramionach.

Pachniał sobą. Oparła głowę na jego ramieniu i już nie potrzebowała tak bardzo Ziemi.

To był dom.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Holden

– Cześć, mamó. Jesteśmy na Lunie!

Opóźnienie światła z Luny wynosiło niecałe sześć sekund w obie strony, ale było to dość, by wprowadzać niezręczne przerwy przed każdą odpowiedzią. Mama Elise patrzyła na niego z ekranu w pokoju hotelowym przez pięć długich uderzeń serca, a potem jej twarz się rozpromieniła.

– Jimmy! Przylecisz na dół?

Miała na myśli studnię. Odwiedziny w domu. Holden bardzo chciał to zrobić, minęły lata, od kiedy ostatnio był na należącej do jego rodziców farmie w Montanie. Jednak tym razem miał ze sobą Naomi, a Pasiarze nie przylatywali na Ziemię.

– Nie, mamó, nie tym razem. Ale chciałbym, żebyście wszyscy przylecieli mnie odwiedzić tutaj. Zapłacę za prom. Na dodatek gospodynią jest podsekretarz ONZ, Avasarala, więc warunki na miejscu są dość wyszukane.

Przy opóźnieniu łączności trudno było nie dać się ponieść słowotokowi. Druga strona nigdy nie wysyłała drobnych oznak sugerujących, że przyszła jej pora na odezwanie się. Holden zmusił się do przerywania paplania i oczekania na odpowiedź. Elise patrzyła na ekran, przeczekując opóźnienie. Holden zobaczył, jak postarzała

się przez lata, które upłynęły od jego ostatniej wizyty w domu. Ciemnokasztanowe, prawie czarne włosy były poznaczone srebrem, a kurze łapki w kącikach oczu i ust wyraźnie się pogłębiły. Po pięciu sekundach machnęła ręką w stronę ekranu.

– Och, Tom nigdy nie poleciał promem na Lunę, dobrze o tym wiesz. Nienawidzi nieważkości. Po prostu przyleć na dół i tu się z nami spotkaj. Urządzimy przyjęcie. Możesz zabrać ze sobą przyjaciół.

Holden uśmiechnął się do niej.

– Mamo, chciałbym, żebyście przylecieli tu na górę, bo jest ktoś, kogo chciałbym wam przedstawić. Pamiętacie tę kobietę? Naomi Nagatę, tę, o której wam opowiadałem? Mówiłem, że się z nią spotykam, ale to chyba coś więcej. Właściwie jestem już tego pewien. A teraz siedzimy na Lunie już jakiś czas i cały ten polityczny bajzel trochę się naprostował. Naprawdę chciałbym, żebyście tu przylecieli. Spotkać się ze mną i poznać Naomi.

Delikatny grymas, który zobaczył pięć sekund później na twarzy mamy był ledwie widoczny. Ukryła go uśmiechem.

– Coś więcej? Co to znaczy? Chcesz się żenić? Zawsze sądziłam, że kiedyś będziesz chciał mieć własne dzieci... – umilkła, utrzymując niezręcznie sztywny uśmiech.

– Mamo – powiedział Holden. – Ziemianie i Pasiarze jak najbardziej mogą mieć dzieci. Nie jesteśmy innymi gatunkami.

– Jasne – odpowiedziała po kilku sekundach, za szybko kiwając głową. – Ale jeśli będziesz miał dzieci tam... – Urwała, a jej uśmiech zbladł.

– To będą Pasiarzami – dokończył Holden. – Tak, a wy będziecie musieli się z tym pogodzić.

Po pięciu sekundach kiwnęła głową. Znowu za szybko.

– W takim razie chyba lepiej będzie, jeśli przylecimy i spotkamy się z tą kobietą, dla której jesteś skłonny zostawić Ziemię. Musi być wyjątkowa.

– Owszem – potwierdził Holden. – Jest.

Elise poruszyła się, zdradzając dyskomfort, a potem na jej ustach znowu pojawił się uśmiech, tym razem mniej wymuszony.

– Wsadzę Toma na ten prom, nawet gdybym musiała go ciągnąć za włosy.

– Kocham cię, mamo – powiedział Holden.

Jego rodzice całe życie spędzili na Ziemi. Jedyni ludzie z planet zewnętrznych, o których wiedzieli, to karykaturalne postacie czarnych charakterów na kiepskich kanałach rozrywkowych. Nie miał im za złe nabytych uprzedzeń, bo wiedział, że spotkanie z Naomi pozwoli im błyskawicznie się ich pozbyć. Po kilku dniach spędzonych w jej towarzystwie nie będą mogli jej nie pokochać.

– Jeszcze jedno. Te dane, które wysłałem wam jakiś czas temu – zachowajcie je dla mnie. Nie róbcie nic z nimi, ale niech zostaną. W zależności od tego, jak potoczą się sprawy w ciągu następnych kilku miesięcy, mogę ich jeszcze potrzebować.

* * *

– Moi rodzice są rasistami – powiedział Holden do Naomi, mając w pamięci poranną rozmowę z matką.

Naomi leżała zwinięta przy jego boku z nosem przy uchu. Jedną z jej długich brązowych nóg spoczywała na jego biodrach.

– Dobrze – wyszeptała.

Apartament hotelowy zarezerwowany dla nich przez Avasaralę był luksusowy aż do przesady. Materace były tak miękkie, że leżenie na nich w księżycowym ciążeniu przypominało unoszenie się na chmurze. Systemy wymiany powietrza pompowały delikatne zapachy ręcznie komponowane przez mistrza perfumeryjnego, zatrudnianego przez hotel. Zapach tego wieczoru nazywał się *Trawa na wietrze*. Dla Holdena nie pachniał dokładnie jak trawa, ale był miły. Miał w sobie ślad ziemskości. Holden podejrzewał zresztą, że wszystkie perfumy nazywa się w całkiem losowy sposób. Sądził też, że poziom tlenu w hotelowych pomieszczeniach był odrobinę wyższy od standardowego. Czuł się w nim trochę *zbyt* dobrze.

– Martwią się, że nasze dzieci będą Pasiarzami – powiedział.

– Żadnych dzieci – wyszeptała Naomi.

Zanim Holden zapytał, co miała na myśli, zaczęła mu chrapać do ucha.

* * *

Następnego dnia obudził się przed Naomi, ubrał w najlepszy garnitur, jaki miał, i wyruszył w głąb stacji. Chciał zrobić jeszcze jedno, zanim będzie mógł uznać tę krwawą historię za zakończoną.

Musiał się zobaczyć z Julesem Mao.

Avasarala powiedziała mu, że Mao jest jednym z kilkudziesięciu wysokichrangą polityków, generałów i szefów korporacji zatrzymanych w ramach masowych aresztowań po Io. Był też jedynym, którego Avasarala

zamierzała osobiście odwiedzić. A ponieważ złapali go na stacji L5, gdy gorączkowo próbował wsiąść na szybki statek do planet zewnętrznych, kazała go sprowadzić na Lunę.

Dzisiaj był dzień ich spotkania. Zapytał Avasaralę, czy będzie mógł przy tym być, spodziewając się odmowy. Zamiast tego roześmiała się szczerze, a gdy już przestała się śmiać, udzieliła mu odpowiedzi.

– Holden, nie przychodzi mi do głowy dosłownie nic, co byłoby dla niego bardziej upokarzające niż twoja obecność przy tym, jak będę go rozbierać na części. Cholera, tak, możesz przyjść.

Holden wyszedł więc z hotelu na ulice miasta Lovell. Taksówka dowiozła go szybko na stację metra, a dwadzieścia minut później wysiadł w kompleksie Nowej Hagi Organizacji Narodów Zjednoczonych. Kiedy przyjechał, czekał już na niego młody goniec i został sprawnie doprowadzony przez labirynt korytarzy kompleksu do drzwi podpisanych SALA KONFERENCYJNA 34.

– Może pan poczekać w środku – poinformował go radośnie goniec.

– Wiesz co? – odpowiedział Holden, klepiąc chłopaka w ramię. – Chyba poczekam tutaj.

Goniec kiwnął lekko głową i oddalił się w głąb korytarza, zaglądając już do ręcznego terminala za następnym przydzielonym zadaniem. Holden oparł się o ścianę i czekał. W niskim ciężeniu stanie nie wymagało praktycznie ani trochę większego wysiłku niż siedzenie, a naprawdę chciał zobaczyć, jak Mao prowadzony jest korytarzem na to spotkanie.

Jego terminal zabręczał i dostał krótką wiadomość tekstową od Avasarali. W DRODZE.

Niecałe pięć minut później z windy wyłonił się Jules-Pierre Mao, wyszedł na korytarz w towarzystwie dwóch największych żołnierzy żandarmerii wojskowej, jakich Holden kiedykolwiek widział. Mao miał kajdanki na rękach przed sobą. Nawet w więziennym kombinezonie i z kajdankami na rękach oraz strażnikami po bokach potrafił wyglądać arogancko, jakby to on wszystkim kierował. Kiedy się zbliżyli, Holden wyprostował się i stanął im na drodze. Jeden z żołnierzy szarpnął Mao za rękę, żeby go zatrzymać, i lekko uklonił się Holdenowi. Zdawał się mówić *na wieki obciążyli mnie tym gościem*. Holden miał wrażenie, że gdyby wyjął zza pasa pistolet i zastrzelił Mao tu, na korytarzu, żandarmi doznałyby nagłego ataku ślepoty i niczego by nie zauważyli.

Tylko że wcale nie chciał zastrzelić Mao. Chciał tego, co zawsze w podobnych sytuacjach. Dowiedzieć się *dlaczego*.

– Warto było?

Choć byli tego samego wzrostu, Mao zdołał spojrzeć na niego z góry.

– A pan to kto?

– Och, daj spokój – odpowiedział z uśmiechem Holden. – Znasz mnie. Jestem James Holden. Pomogłem załatwić twoich kumpli z Protogenu, a teraz zamierzam dokończyć sprawę z tobą. I to ja znalazłem twoją córkę po tym, jak zabiła ją protomolekuła. Więc zapytam jeszcze raz: warto było?

Mao nie odpowiedział.

– Martwa córka, zrujnowana firma, zginęły miliony ludzi i Układ Słoneczny, który zapewne nigdy nie odzyska

pokojoyej stabilizacji. *Warto było?*

– Po co tu przyszedłeś? – zapytał w końcu Mao. Kiedy to mówił, wydawał się mniejszy, nie chciał nawiązać kontaktu wzrokowego.

– Byłem tam, w sali, gdy Dresden dostał to, co mu się należało i to ja zabiłem twojego ulubionego admirała. Odczuwam po prostu cudowną symetrię w byciu świadkiem wymierzania sprawiedliwości także tobie.

– Antony Dresden – powiedział Mao – dostał trzy kule w głowę, w stylu egzekucyjnym. To właśnie uważasz za sprawiedliwość?

Holden się roześmiał.

– Och, wątpię, by Chrisjen Avasarala strzeliła ci między oczy. Myślisz, że to, co zrobi, będzie lepsze?

Mao nie odpowiedział, a Holden spojrział na żandarmów i gestem wskazał drzwi do sali konferencyjnej. Wyglądali prawie na rozczarowanych, wpychając Mao do środka i przyczepiając jego kajdanki do krzesła.

– Będziemy na zewnątrz, gdyby nas pan potrzebował – powiedział większy z nich.

Stanęli po obu stronach drzwi.

Holden wszedł do sali konferencyjnej i usiadł, ale nie odezwał się więcej do Mao. Kilka chwil później do pokoju weszła Avasarala, mówiąc do swojego terminala.

– Nie obchodzi mnie, czyje to urodziny, dopilnujesz tego przed końcem mojego spotkania albo oddasz mi jaja na przycisk do papieru. – Urwała, gdy osoba z drugiej strony coś odpowiedziała. Po chwili uśmiechnęła się szeroko do Mao i powiedziała: – No to idź szybko, bo mam wrażenie, że moje spotkanie nie potrwa długo. Miło się z tobą rozmawia.

Opadła na krzesło po drugiej stronie stołu naprzeciw Mao. Nie spojrzała na Holdena ani w żaden sposób go nie przywitała. Podejrzewał, że nagranie w ogóle nie będzie odzwierciedlać jego obecności w pokoju. Avasarala odłożyła swój terminal na stół i odchyliła się na krześle. Milczała przez kilka pełnych napięcia sekund. Kiedy się w końcu odezwała, zwróciła się do Holdena, choć wciąż na niego nie patrzyła.

– Zapłacono ci za dowieszenie mnie tu z powrotem?

– Płatność przeszła – potwierdził Holden.

– To dobrze. Chciałam cię zapytać o kontrakt długoterminowy. Oczywiście, byłby cywilny, ale...

Mao odchrząknął. Avasarala uśmiechnęła się do niego.

– Wiem, że tu jesteś. Zaraz się tobą zajmę.

– Mam już kontrakt – odpowiedział Holden. – Eskortujemy pierwszą flotyllę rekonstrukcyjną na Ganimedesa. I myślę, że potem zdołamy znaleźć tam jakieś kolejne zlecenie eskortowe. Wciąż przenosi się mnóstwo ludzi, którzy woleliby nie zostać zatrzymani przez piratów.

– Jesteś pewien?

Twarz Mao zrobiła się biała od poniżenia. Holden pozwolił sobie na satysfakcję.

– Właśnie skończyłem pracować dla rządu – odpowiedział Holden. – To nie działało najlepiej.

– Och, daj spokój. Pracowałeś dla SPZ, to nie rząd, tylko zbieranina z własną walutą. Tak, Jules, o co chodzi? Chcesz do ubikacji?

– To poniżające – powiedział Mao. – Nie przyszedłem tu, żeby mnie obrażano.

Avasarala się rozpromieniła.

– Jesteś tego pewien? Pozwól, że zapytam, czy pamiętasz, co powiedziałam, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy?

– Chciałaś, żebym powiedział ci o swoim ewentualnym zaangażowaniu w projekt protomolekuły realizowany przez Protogen.

– Nie – odpowiedziała Avasarala. – To znaczy, tak, pytałam oto. Ale nie o ten element naszego spotkania mi chodzi. Okłamałeś mnie. Twój udział w przekształcaniu projektu Protogenu w broń został całkowicie ujawniony, a tamto jest jak pytanie, jakiego koloru był wtorek. Bez znaczenia.

– Przejdźmy do rzeczy – zaproponował Mao. – Mogę...

– Nie – ucięła mu Avasarala. – Powinno cię interesować to, co powiedziałam tuż przed twoim wyjściem. Pamiętasz to?

Popatrzył na nią pustym wzrokiem.

– Tak myślałam. Powiedziałam ci, że jeśli później dowiem się, że o czymś wiedziałeś i mi o tym nie powiedziałeś, nie przyjmę tego zbyt dobrze.

– Dokładnie powiedziałaś „nie jestem osobą, z którą chciałbyś zadzierać” – przypomniał Mao.

– Czyli pamiętasz – stwierdziła bez śladu rozbawienia w głosie. – To dobrze. Teraz właśnie dowiesz się, co to znaczyło.

– Mam dodatkowe informacje, które mogłyby być korzystne...

– Stul pysk – warknęła Avasarala, po raz pierwszy zdradzając prawdziwą złość. – Kiedy znowu usłyszę twój głos, ściągnę tu tych wielkich żandarmów z korytarza i każę im cię pobić pieprzonym krzesłem. Zrozumiałeś?

Mao nie odpowiedział, co sugerowało, że zrozumiał.

– Nie masz pojęcia, ile mnie kosztowałeś – powiedziała. – Dostałam awans. Komisja planowania ekonomicznego? Teraz ja nią kieruję. Publiczna służba zdrowia? Nigdy nie musiałam się nią przejmować, bo to był wrzód na dupie Errinwrighta, a teraz jest moja. Komitet przepisów finansowych? Mój. Spieprzyłeś mi kalendarz na dwie dekady. To nie są negocjacje – kontynuowała Avasarala. – Tym razem się chełpię. Wrzucę cię do dziury tak głębokiej, że nawet twoja żona zapomni, że kiedyś istniałeś. Wykorzystam starą pozycję Errinwrighta do rozmontowania wszystkiego, co kiedykolwiek stworzyłeś, kawałek po kawałku, i rozrzucę to na wiatr. Dopilnuję, żebyś mógł sobie to oglądać. Jedyne, co będzie miała twoja dziura, to całodobowe wiadomości. A ponieważ nigdy więcej się nie zobaczymy, chcę się upewnić, że będziesz o mnie pamiętał za każdym razem, gdy zniszczę kolejną rzecz, którą po sobie zostawiłeś. Zamierzam cię *wymazać*.

Mao patrzył na nią buńczucznie, ale nawet Holden widział, że to tylko pozory. Avasarala doskonale wiedziała, gdzie uderzyć. Ludzie tacy jak on żyli dla swojego dziedzictwa. Widzieli w sobie architektów przyszłości, a to, co obiecywała mu Avasarala, było gorsze od śmierci.

Mao rzucił Holdenowi szybkie spojrzenie, które zdawało się mówić *przyjmę te trzy strzały w głowę*.

Holden odpowiedział uśmiechem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Praks

Mei siedziała na kolanach Praksa, ale całą uwagę skupiała z lewej strony. Przystawiła dłoń do ust i ostrożnie, powoli wypluła na nią porcję na wpół przeżutego spaghetti, a potem wyciągnęła rękę w stronę Amosa.

– Jest fuj – powiedziała.

Wielkolud się roześmiał.

– Jeśli wcześniej nie było, to teraz już na pewno jest, mała – powiedział, rozkładając serwetkę. – Może połóż to tutaj?

– Przepraszam – powiedział Praks. – Ona tylko...

– To dziecko, doktoru – odpowiedział Amos. – To właśnie powinna robić.

Nie nazwali kolacji kolacją. To było przyjęcie sponsorowane przez Organizację Narodów Zjednoczonych w ośrodku Nowa Haga na Lunie. Praks nie potrafił stwierdzić, czy obraz na ścianie był oknem, czy ekranem ultrawysokiej rozdzielczości. Ziemia świeciła na nim bielą i błękitem tuż nad horyzontem. Stoły ustawiono w sali w na wpół organicznym układzie, który według wyjaśnień Avasarali był teraz bardzo modny. *Wygląda tak, jakby jakiś dupek porozstawiał je zupełnie przypadkowo.*

W stali znajdowało się prawie po równo ludzi, których znał, i takich, którzy byli mu obcy, a obserwowanie, jak się rozdzielają, było fascynujące. Z jego prawej strony kilka niedużych stołów zajmowali niscy, krępi ludzie w profesjonalnych garniturach, kostiumach i mundurach wojskowych, orbitując wokół Avasarali i jej męża, Arjuna, który wyglądał na rozbawionego. Plotkowali na temat analiz funduszy systemowych i kontroli relacji z mediami, wykluczając tym samym przedstawicieli planet zewnętrznych ze swojego grona, ale nadrabiali nietakt dyplomatycznymi uściskami dłoni. Po jego lewej stronie zasiadała grupa naukowców ubranych w najlepsze posiadane stroje, czyli marynarki modne dziesięć lat temu i garnitury w kilku różnych stylach. W tej grupie mieszały się Marsjanie, Ziemiańskie i Pasiarze, ale ich rozmowy były równie wykluczające, niezachęcające do przyłączenia się: gradienty pokarmowe, technologie błon o regulowanej przepuszczalności, ekspresja fenotypowa. Na sali byli ludzie z jego przeszłości i przyszłości. Rozbite i zebrane na nowo społeczeństwo Ganimedesa. Gdyby nie siedział przy środkowym stole z Bobbie i załogą *Rosynanta*, byłby właśnie tam, rozmawiając o matrycach kaskadowych i chloroplastach pochłaniających promieniowanie spoza zakresu widzialnego.

Jednak na środku, izolowani i samotni, Holden z załogą byli równie szczęśliwi i spokojni, jakby siedzieli we własnym kambuzie, pędząc przez próżnię. A Mei, która polubiła Amosa, wciąż nie dawała się oderwać od Praksa bez krzyków i płaczu. Praks doskonale rozumiał, jak czuła się dziewczynka, i nie widział w tym problemu.

– Skoro mieszkałeś na Ganimesie, to wiesz dużo o

ciąży w niskim ciążyeniu, prawda? – rzucił Holden. – To nie jest bardziej ryzykowne dla Pasiarek, co?

Praks przełknął porcję sałatki i pokręcił głową.

– Och, nie, to bardzo trudne. Zwłaszcza w sytuacji życia na statku, bez intensywnej opieki medycznej. Jeśli spojrzysz na naturalnie zachodzące ciążę, w pięciu na sześć występują nieprawidłowości rozwojowe i morfologiczne.

– W pięciu... – powtórzył Holden.

– Choć większość to problemy związane z komórkami płciowymi – mówił dalej Praks. – Prawie wszystkie dzieci urodzone na Ganimesedzie zostały implantowane po pełnej analizie genetycznej. W przypadku stwierdzenia śmiertelnej mutacji zygotę się odrzuca i zaczyna od nowa. Nieprawidłowości somatyczne są tylko dwukrotnie częstsze niż na Ziemi, więc nie jest tak źle.

– Ach. – Holden zdecydowanie się pośpieszył.

– Czemu pytasz?

– Bez powodu – odpowiedziała Naomi. – Po prostu podtrzymuje rozmowę.

– Ja chcę tofu, tatusiu – powiedziała Mei, chwytając go za ucho i odciągając go od stołu. – Gdzie jest tofu?

– Zobaczmy, czy znajdziemy trochę – odpowiedział Praks, odsuwając krzesło. – Chodź.

Kiedy szedł przez pokój, rozglądając się w poszukiwaniu ciemnego, formalnego fraka kelnera (w przeciwieństwie do ciemnego, formalnego fraka dyplomaty), podeszła do niego młoda kobieta z drinkiem w ręku i wyraźnie zaczerwienionymi policzkami.

– Pan jest Praksidike Meng – powiedziała. – Pewnie mnie pan nie pamięta.

– Hm. Nie – przyznał.

– Jestem Carol Kiesowski – przedstawiła się, dotykając mostka, jakby chciała podkreślić, że mówi o sobie. – Wymieniliśmy kilka wiadomości zaraz po tym, gdy opublikował pan to wideo o Mei.

– Ach, tak – odpowiedział Praks, desperacko próbując przypomnieć sobie cokolwiek o tej kobiecie lub pisanych przez nią komentarzach.

– Chciałam tylko powiedzieć, że moim zdaniem oboje byliście bardzo, bardzo dzielni – wyznała kobieta, przytakując.

Praks pomyślał, że mogła się upić.

– Syn pieprzonej *kurwy*. – Avasarala powiedziała to na tyle głośno, że jej głos przebił się przez szum rozmów.

Wszyscy obrócili się w jej stronę. Patrzyła na swój ręczny terminal.

– Co to *kurwa*, tatusiu?

– To taki rodzaj mrozu, skarbie – odpowiedział Praks. – Co się dzieje?

– Były szef Holdena wyprzedził nas w drodze do stołu – wyjaśniła Avasarala. – Teraz chyba wreszcie będzie jasne, co się stało z tymi wszystkimi skradzionymi przez niego raketami.

Arjun dotknął ramienia żony i wskazał na Praksa, a ta przez chwilę wyglądała na szczerze zawstydzoną.

– Przepraszam za język – powiedziała. – Zapomniałam o niej.

Przy ramieniu Praksa pojawił się Holden.

– Mój szef?

– Fred Johnson zrobił właśnie przedstawienie – wyjaśniła Avasarala. – Te potwory Nguyena? Czekaliśmy,

aż podlecą bliżej do Marsa, zanim je zestrzelimy. Transpondery cały czas działają, śledzimy je dokładniej niż dziur... No cóż, wleciały w Pas, a on je rozwalił. Wszystkie.

– Ale to dobrze – skomentował Praks. – To znaczy, to chyba dobrze?

– Nie, jeśli robi to on – zapewniła Avasarala. – Prężę muskuły. Pokazuje, że Pas ma teraz arsenał ofensywny.

Mężczyzna w mundurze na lewo od Avasarali zaczął mówić równocześnie z kobietą tuż za nią i po chwili potrzeba rozładowania emocji ogarnęła całą grupę. Praks się odsunął. Pijana kobieta wskazywała jakiegoś mężczyznę i mówiła szybko, zapomniawszy o Praksie i Mei. Znalazł kelnera na skraju sali, wydobył z niego obietnicę przyniesienia tofu i wrócił na swoje miejsce. Amos i Mei natychmiast zaczęli się bawić w to, kto głośniej wydmucha nos, a Praks zwrócił się do Bobbie.

– Czyli wracasz na Marsa? – zapytał.

Wydawało się to uprzejmym, niewinnym pytaniem, ale Bobbie mocno zacisnęła wargi i przytaknęła.

– Tak – potwierdziła. – Okazuje się, że mój brat się żeni. Spróbuję dotrzeć tam akurat na czas, żeby zepsuć mu wieczór kawalerski. A co z tobą? Przyjmiesz propozycję starszej pani?

– Cóż, chyba tak – wyznał Praks nieco zaskoczony, że Bobbie słyszała o ofercie Avasarali. Sprawa nie została jeszcze upubliczniona. – To znaczy, wszystkie podstawowe zalety Ganimedesa wciąż tam są. Magnetosfera, lód. Jeśli uda się uratować choć część luster orbitalnych, byłoby to i tak lepsze od zaczynania od zera. Wiesz, jeśli chodzi o Ganimedesa, trzeba zrozumieć...

Gdy zaczął mówić na ten temat, trudno było mu przestać. Na wiele sposobów Ganimedes był centrum cywilizacji pośród planet zewnętrznych. Tam właśnie prowadzono wszystkie najbardziej zaawansowane badania botaniczne. Właściwie wszystkie badania z nauk biologicznych. Ale to było coś więcej. W pomysłach odbudowy kryło się coś podniecającego, na swój sposób nawet ciekawszego niż pierwsze tworzenie bazy. Robienie czegoś po raz pierwszy było eksploracją, a powtarzanie tego było wykorzystaniem wszystkich zdobytych doświadczeń w procesie ich rozwijania, poprawy i doskonalenia. Praksowi od tego wszystkiego trochę kręciło się w głowie. Bobbie słuchała z melancholijnym uśmiechem.

Zresztą nie chodziło tylko o Ganimedesa. Cała ludzka cywilizacja została zbudowana na ruinach tego, co było wcześniej. Samo życie było wielką chemiczną improwizacją, która zaczęła się od najprostszych replikatorów, rosła, zapadała się i rozwijała ponownie. Katastrofa była po prostu częścią nieustannego cyklu. Preludium do tego, co przychodziło po niej.

– Mówisz, jakby było to coś romantycznego – skomentowała Bobbie w sposób, który prawie zabrzmiał jak oskarżenie.

– Nie chciałem... – zaczął Praks, a potem coś zimnego i mokrego wcisnęło mu się do ucha. Z krzykiem szarpnął głową, a obracając się, zobaczył rozpromienione oczy i szeroki uśmiech Mei.

Jej palec wskazujący ociekał śliną, a siedzący za nią Amos śmiał się do rozpuku, jedną ręką trzymając się za brzuch, drugą waląc w stół tak mocno, że aż podskakiwały

talerze.

– Co to było?

– Cześć, tатko. Kocham cię.

– Proszę – powiedział Aleks, podając Praksowi czystą serwetkę. – Będziesz tego potrzebował.

Zaskoczyła go cisza. Nie wiedział, od jak dawna trwała, ale jej świadomość spłynęła na niego jak fala. Polityczna połowa sali była nieruchoma i cicha. Przez las ich ciał zobaczył, że Avasarala nachyla się do przodu z łokciami na kolanach i zwisa twarzą o centymetry od terminala. Kiedy wstała, rozsunęli się przed nią. Była tak drobną kobietą, a jednak rządziła całą salą samą swoją obecnością.

– To nic dobrego – skomentował Holden, wstając.

Praks, Naomi, Amos, Aleks i Bobbie bez słowa poszli za jego przykładem. Politycy i naukowcy także ruszyli, wreszcie się mieszając.

Sala konferencyjna mieściła się po drugiej stronie dużego holu i urządzono ją na wzór antycznego greckiego amfiteatru. Podium na dole ustawiono przed wielkim ekranem wysokiej rozdzielczości. Avasarala przemaszerowała przez salę i zajęła miejsce na dole, cały czas szybko i cicho mówiąc do swojego terminala. Pozostali poszli jej śladem. Czuło się wręcz fizyczny niepokój. Ekran zrobił się czarny i ktoś przygasił światła.

W czerni ekranu prawie obrysowana Słońcem tkwiła Wenus. Był to obraz, który Praks widywał już setki razy. Strumień mógł pochodzić z każdej z dziesiątków stacji monitorujących. Znacznik czasu w lewym dolnym rogu sugerował, że cofnęli się o czterdzieści siedem minut. Pod cyframi przepłynęła nazwa statku, *Celestine*.

Wenus reagowała za każdym razem, gdy protomolekularni żołnierze brali udział w walce. SPZ zniszczył właśnie setkę jej na wpół ludzkich żołnierzy. Praks utknął gdzieś w połowie między podnieceniem a strachem.

Obraz rozproszył się i pojawił ponownie, najwyraźniej czujniki dały się zmylić jakimś zakłóceniom. Avasarala powiedziała coś ostro, co mogło być poleceniem *pokaż*. Kilka sekund później obraz zatrzymał się i kadrowanie uległo zmianie. Ekran ze szczegółami pokazywał szarozielony statek, opisany na wyświetlaczu jako *Merman*. Obraz znów się rozproszył, a gdy pojawił się ponownie, *Merman* przesunął się centymetr w lewo i wirował w niekontrolowany sposób. Avasarala znowu coś powiedziała. Po kilku sekundach opóźnienia ekran powrócił do pierwotnego obrazu. Teraz, gdy Praks wiedział, gdzie patrzeć, dostrzegł drobną kropkę *Mermana* poruszającą się blisko półcienia. Były tam też inne drobne kropki.

Ciemna strona Wenus zapulsowała jak nagła, obejmująca całą planetę błyskawica pod warstwą chmur. A potem się rozjarzyła.

Olbrzymie włókna jak szprychy koła długości tysięcy kilometrów rozjarzyły się do bieli i zniknęły. Chmury Wenus przesunęły się, poruszone od dołu. Praksa dopadło silne wspomnienie widoku śladu na powierzchni akwarium, gdy tuż pod nią przepływała ryba. Podnosiło się przez powłokę chmur, olbrzymie i jarzące się. Smugi blasku, przypominające szprychy, strzelały łukami potężnych błyskawic, zbiegając się jak macki ośmiornicy, które były połączone ze sztywnym centrum. Gdy obiekt

wzbił się ponad gęstą pokrywę wenusjańskich chmur, ruszył gwałtownie, oddalając się od Słońca w stronę obserwującego statku, ale minął go. Inne statki na jego trasie zostały rozproszone i odrzucone. Długa smuga porwanej przez obiekt wenusjańskiej atmosfery schwytała światło Słońca i jarzyła się jak płatki śniegu i drobiny lodu. Praks próbował zrozumieć skalę. Przynajmniej tak wielkie, jak stacja Ceres. Wielkości Ganimedesa. Większe. Obiekt złożył ramiona – macki – przyśpieszając bez żadnego widocznego odrzutu. Płynął przez pustkę. Jego serce waliło jak oszalałe, ale ciało miał jak z kamienia.

Mei poklepała go otwartą dłonią po policzku i wskazała ekran.

– Co to było? – zapytała.

EPILOG

Holden

Znowu włączył odtwarzanie. Ekran w kambuzie *Rosynanta* był za mały, by dostrzec wszystkie szczegóły obrazu wysokiej rozdzielczości zarejestrowanego przez *Celestine*, ale Holden nie potrafił się powstrzymać od oglądania go, niezależnie od tego, gdzie aktualnie był. Na stole przed nim stygła w kubku zapomniana kawa obok nieruszonej kanapki.

Wenus rozbłysła skomplikowanym wzorem światła. Gęsta pokrywa chmur zawirowała, jakby poruszona planetarną burzą.

A potem to uniosło się z powierzchni, ciągnąc za sobą gęstą smugę atmosfery planety.

– Chodź do łóżka – powiedziała Naomi, a potem wychyliła się z krzesła i wzięła go za rękę. – Prześpij się.

– To jest takie wielkie. I jak rozrzuciło po drodze te wszystkie statki. Bez wysiłku, jak wieloryb sunący przez ławicę rybek.

– Możesz coś z tym zrobić?

– To koniec, Naomi – oświadczył Holden, odwracając się od ekranu i patrząc na nią. – A jeśli to koniec? To nie jest już jakiś wirus z kosmosu, to coś, co protomolekuła miała tu zbudować. Do zrobienia tego właśnie miała przekształcić całe życie na Ziemi. To może być *cokolwiek*.

– Czy możemy coś z tym zrobić? – powtórzyła pytanie. Jej słowa były ostre, ale ton głosu łagodny, i z czułością ścisnęła jego palce.

Holden obrócił się z powrotem do ekranu i włączył obraz. Kilkanaście statków odleciało od Wenus, jakby były porwane potężnym podmuchem wiatru, który rzucił je jak liście. Powierzchnia atmosfery zaczęła gotować się i burzyć.

– Dobra – oświadczyła Naomi, wstając. – Idę do łóżka. Nie budź mnie, kiedy przyjdiesz. Jestem wyczerpana.

Holden kiwnął głową, nie odwracając wzroku od nagrania. Olbrzymi kształt złożył się w coś w rodzaju strzałki, jak kawał tkaniny pociągnięty za środek. A potem odleciał. Zostawiona w tyle Wenus wydawała się w jakiś sposób mniejsza. Jakby skradziono z niej coś kluczowego i użyto do budowy artefaktu.

I oto on. Po wszystkich tych walkach, z ludzką cywilizacją w chaosie od samej jej obecności, protomolekuła ukończyła zadanie, z którym wysłano ją tu miliardy lat temu. Czy ludzkość to przeżyje? Czy protomolekuła w ogóle ich zauważy, gdy już wykonała swoje zadanie?

Holden wcale nie czuł przerażenia z powodu zakończenia, raczej miał wizję początku czegoś zupełnie wykraczającego poza ludzkie doświadczenie. Cokolwiek się teraz wydarzy, nikt nie mógł być na to przygotowany.

Potwornie go to przerażało.

Ktoś za nim odchrząknął.

Holden niechętnie odwrócił się od obrazu na ekranie. Mężczyzna stał w kambuzie obok lodówki, jakby zawsze tam był, w wymiętym szarym garniturze i odgniecionym

kapeluszu pork pie. Z jego policzka zerwał się jaskrawobłękitny świetlik, zawisając w powietrzu obok.

Mężczyzna machnął na niego ręką, jakby odganiał muchę. Wyraz jego twarzy sugerował dyskomfort i przeprosiny.

– Cześć – powiedział Miller. – Musimy pogadać.

PODZIĘKOWANIA

Proces tworzenia książki nigdy nie jest tak samotny, jakby się zdawało. Ta książka i cała seria nie powstałyby bez ciężkiej pracy Shawna McCarthy'ego i Danny Baror oraz wsparcia i poświęcenia DongWon Songa, Anne Clarke, Alex Lencicki, niezrównanego Jacka Womacka i genialnej ekipy wydawnictwa Orbit. Jesteśmy też wdzięczni Carrie, Kat i Jayné za sugestie i wsparcie, podobnie jak całej ekipie Sakeriver. Wiele z najlepszych części tej książki to ich zasługa. Wszystkie błędy, niezręczności i rażące partactwa są naszą winą.

O AUTORZE

James S. A. Corey to pseudonim piszących fantastykę autorów Daniela Abrahama i Ty Francka, asystenta George'a R.R. Martina. Obaj mieszkają w Albuquerque, stan Nowy Meksyk, USA.

Więcej informacji na temat tej serii znajdziesz na:
www.the-expanse.com